WYPISY POLSKIE

NA KLASĘ TRZECIĄ

ZEBRAŁ I UŁOŻYŁ

HENRYK GALLE

WYDANIE SZÓSTE

PRZEJRZANE I POPRAWIO
ZGODNIE Z PROGRAMEM MINISTER

1919

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE
OZNAŃ, PLAC WOLNOŚCI 7. — LUBLIN, NAMIESTNIKOWSKA 23
ILNO, KSIĘGARNIA STOW. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

Pedag. Bibliot. Wojewódzka
99459
808.4(03)

Dom drukarski i nakładowy Karola Prochaski w Cieszynie.

PRZEDMOWA

do wydania VI-ego,

przejrzanego i uzupełnionego według Programu Min. W. R. i O. P.

Wydanie niniejsze uległo, w stosunku do poprzednich, pewnym zmianom. Przedewszystkiem wprowadziłem do nich krótsze nowelki i wiersze, wskazane, jako lektura domowa na klasę III, w „Spisie tymczasowym książek i pomocy szkolnych dla państwowego gimnazjum niższego“, ułożonym przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Dłuższe, podane tam utwory, jak np. Defoego „Robinson Krusoe“, Kraszewskiego „Stara Baśń“, Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy“ i t. d., muszą już być osobno czytane.

Druga zmiana polega na dodaniu na końcu książki „Pytań i ćwiczeń stylistycznych“.

Wprowadziłem je w myśl wymagań „Programu gimnazjum państwowego“, który kładzie na nie — i słusznie — wielki nacisk.

Właściwe miejsce ich jest pod każdym paragrafem „Wypisów“, ale wydanie niniejsze było już w druku, gdy „Program“ ów ogłoszono; musiałem więc umieścić je na końcu. W następnych zaś wydaniach znajdą one odpowiednie dla siebie miejsce.

W innych warunkach życia naszego układałem pierwsze wydania; dziś nowe czasy dla szkoły naszej nastały. Pragnąłbym gorąco, aby moje prace pedagogiczne mogły odpowiedzieć tym nowym, tak dorodnym potrzebom bujnie i radośnie rozkwitającego życia.

Warszawa, dnia 27 grudnia 1919.

Autor.

PYTANIA I ĆWICZENIA STYLISTYCZNE.

1. ***Wyprawa na bezludną wyspę.*** Czy obaj bracia zachowują się i przemawiają jednakowo? Jeśli nie, to na czem polega różnica i jaka jest jej przyczyna? Jak zaznacza autor wzajemny stosunek przyrody i dzieci? W czem maluje się charakter obu chłopców?

   Dobierz bliskoznaczniki do następujących wyrazów: *łódź, rzeka, prąd, rudel, wyspa, fala.*

2. ***Nad kołyską moją.*** Znajdź i podkreśl porównania. Wytłumacz następujące przenośnie: „srebrny Anioł Stróż“, „ślad wieczystego bólu“, „mrok bólu“, „grób zwątpienia“.

3. ***Majówka.*** Napisz szczegółowy plan tego opowiadania. Podkreśl wyrazy i wyrażenia staropolskie. Jaki zachodzi stosunek między pojęciami: „Matka Boska“, „Najświętsza Marja Panna“, „Matka Chrystusowa“, „Królowa Korony Polskiej“, „Madonna“, „Bogarodzica“? albo „Kazimierz Wielki“, „ostatni z Piastów“, „Król Chłopków“, „twórca Statutu Wiślickiego“, „budownik murowanej Polski“? Ułóż podobne przykłady.

4. ***Na kładce życia.*** Wytłumacz, na czem polega porównanie biegu życia ludzkiego z kładką.

5. ***Po kwiat paproci.*** Co w postępowaniu Ignasia jest właściwe dziecku, a co dorosłemu człowiekowi? Co oznacza kwiat paproci? Wypisz rośliny, wymienione w tem opowiadaniu, i zauważ, jak je określa autor.

   Jaka zachodzi różnica między pojęciami: *Ignaś, dziecko, chłopiec, człowiek; znajda, pies, czworonóg, kręgowiec, zwierzę, stworzenie.*

6. ***Powrót do domu rodzinnego.*** Jakich szczegółów używa poeta dla określenia różnicy między obecnym a ostatniim powrocie, tem do domu rodzinnego? Jakie uczucie towarzyszy *portowe*, w tym ostatnim powrocie i jak je poeta rysuje?

7. ***Dzwony w miasteczku.*** Objaśnij wyrażenia: „miasteczko modli się i płacze“, „dzwony, odurzone kadzideł mocnych wonią“, „dzwony rozpaczają, jak płaczki“, „sygnaturka, jak zaklęta ptaszyna“, „dzwon wielkim głosem płacze, płacząc, jak człowiek, gada“, „dzwon modlić się zaczyna“ i „drzewa i kamienie i miasto szepce całe“. Co poeta osiąga przez te wyrażenia?

8. ***Ze szkoły.*** Wypisz wyrazy i wyrażenia z gwary uczniowskiej. Co możesz powiedzieć o każdem z tych dzieci na podstawie ich trybu chodzenia?

9. ***Grajek.*** Podkreśl rymujące się końcówki wierszy. Zaznacz, w którem miejscu zawiesza się głos w środku wierszy, np.:

Gdy opuszczałem || na długie lata
Rodzinną wioskę,
Nie wiodłem z sobą || druha ni brata,
Lecz czarną troskę.

Zaznacz, w którem miejscu przypadają te przestanki i na jakie cząstki dzielą one wiersze (jest to t. zw. *średniówka* lub *cezura*).

10. ***W szkole niemieckiej.*** Na czem polega niedola Michasia? W jaki sposób przyczyniali się do niej nauczyciele? a matka? a korepetytor?

Wskaż różnicę między następującemi szeregami wyrazów: *nauczyciel — mistrz, komnata — pokój, koń — rumak, powóz — rydwan, drzwi — podwoje, panna — dziewica, przyjaciel — druh.*

11. ***Ksiądz kanonik Kropidło.*** Podkreśl rzeczowniki zdrobniałe i pieszczotliwe i objaśnij, w jakim celu ich poeta używa. Jaki jest stosunek autora do bohatera i jak się on wyraża stylowo?

Jaka zachodzi różnica między pojęciami: *ksiądz, ksiądz kanonik, ksiądz kanonik Kropidło?* Znajdź podobne przykłady.

12. ***Wspomnienia szkolne.*** Podkreśl właściwości gwary szkolnej w rozmowie kolegów. Porównaj psychologję uczniowską w urywkach Nr. 8, 10 i 12.

Dobierz pojęcia przeciwne do następujących pojęć: *hałas, prawda, mowa, błąd, pokora, wątpliwość, potęga, uniesienie, młodość, triumf, przyjaźń.*

13. ***Podczas lekcji.*** W jaki sposób autor wyraża niechęć ucznia do nauczyciela i do lekcji? A jaki jest stosunek autora do obu powieści?

Objaśnij następujące bliskoznaczniki: *nauczyciel, profesor, belfer, mistrz, mentor, melamed, wychowawca, metr, pedagog, magister, majster, korepetytor, katecheta, prefekt, dyrektor;*
uczeń, student, żak, wychowaniec, pupil, praktykant, wyznawca, terminator, akademik, alumn, kadet, sztubak.

14. ***A jak poszedł król na wojnę.*** W czem zaznacza się stosunek uczuciowy poetki do króla i do chłopa? Jaka myśl społeczna zawiera się w wierszu? Jakich wyrazów, oznaczających *blaski* i *dźwięki*, używa poetka, kiedy mówi o królu? a o chłopie? Jaką rolę gra przyroda w tym utworze? Oznacz rymy i średniówki w tym wierszu.

15. ***Michałko.*** Oznacz wyrazy z gwary warszawskiej w dialogach. Co powiesz o charakterze Michałka? a o jego rozumie? Jaki zachodzi stosunek między następującemi pojęciami:
rzemieślnik: mularz, cieśla, kowal, szewc, stolarz, blacharz...
budynek: dom, chata, lepianka, kościół, stodoła, dwór, pałac...
roślina: dąb, trzcina, marchew, róża, bób, fiołek, grzyb...
Które z nich są *nadrzędne, podrzędne* i *współrzędne?*

16. ***Tęsknota.*** Jaka myśl zawiera się w tym wierszu? a jakie uczucie? Podkreśl powtarzające się wyrazy i wyjaśnij, poco zostały użyte. Określ różnicę między następującemi dwoma szeregami wyrażeń:
kwiat polny — kwiat młodzieży, wiosna piękna — wiosna życia, tarcza żelazna — tarcza opieki, światło lampy — światło wiedzy, promień słońca — promień szczęścia.

17. ***Pogrzeb posłańca.*** Dokończ następującego wypracowania: *pogrzeb* — ostatnia posługa, *ojciec* — dawca życia, *trumna* — śmiertelna pościel, *posłaniec* — . . . *szpital* — . . . *zakonnica* — . . . *kościół* — . . . *kij* — . . . *pacierz* — . . .

18. ***Nie ja śpiewam.*** Zestaw porównania i przenośnie w trzech zwrotkach tego wiersza: czy są wszędzie takie same? jeżeli jest różnica, to na czem polega? Znajdź pojęcia nadrzędne, współrzędne i podrzędne względnie do następujących pojęć: *miłość, pszczoła, ręka, cytara, lud, brat, piosnka, sosna, oko.*

19. ***Na jarmarku w małem miasteczku.*** Podkreśl w dialogu właściwości gwary mazurskiej i żargonu żydowskiego.
Uszereguj następujące pojęcia według ich zakresu: *stolica, miasto, Warszawa, miasto wojewódzkie, Łowicz, miasto portowe, gród, miasteczko, mieścina, Rypin.*

20. ***Pocztyljon.*** Podkreśl rymy i zbadaj, w jaki sposób zbudowane są zwrotki. Podkreśl wykrzykniki i zauważ, jakie wyrażają one uczucia. Czy autor zaznacza w czemkolwiek, że przemawia tu człowiek prosty, nieuczony? Zbadaj rytm każdego wiersza i oznacz, na jakie cząstki (t. zw. *stopy*) się dzieli:

Tu piją || i gwarzą || ty jeden || w tej wrzawie
Wyglądasz || jak jeniec || w niewoli i t. d.

21. ***Katarynka.*** Jak autor zaznacza swój stosunek do wyprowadzonych na scenę osób: mecenasa, dziewczynki, obu kobiet, służby? Jakim stylem przemawiają: mecenas, stróż, lokaj? Dlaczego katarynka inaczej oddziaływa na mecenasa, a inaczej na dziewczynkę niewidomą? Znajdź wyrazy bliskoznaczne do wyrazów następujących: *mecenas, dom, lokal, kobieta, mizerny, ślepy, wyrozumiały, gniew, żal, towarzyszka.*

22. ***Szczur miejski i wiejski.*** Jakich ludzi oznaczają oba te szczury? Podkreśl wyrazy i wyrażenia, nie używane w mowie potocznej. Czem rytm tego wiersza różni się od rytmu poprzednio rozbieranych wierszy? Znajdź wszystkie znaczenia następujących wyrażeń wieloznacznych: *szczur, buda, ząb, niebo, oko, kosz, stół.*

23. ***Siteczko.*** Co powiesz o charakterze bohaterki? Dlaczego autorka nazywa ją „Siteczkiem“? Wytłumacz niedomówienia tej nowelki. Zaznacz naleciałości językowe w opowiadaniu szwaczki i w przemówieniach Broni. Skąd pochodzą jedne i drugie? Która z nich mówi poprawniej? Dobierz bliskoznaczniki do następujących wyrazów: *suknia, deszcz, portret, majątek, robota, szwaczka, zmrok.*

24. ***Rozmowa z Michałem.*** Czy jest różnica między stylem „pana“ i „Michała“? Jeżeli jest, to na czem polega i czego jest wynikiem? Jaka jest różnica między zdaniami: „śmieszne czynisz zapytanie“ i „czynisz śmieszne zapytanie“?; „choć raz muszę się zapytać“ i „muszę się choć raz zapytać“?; „dość kłopotu na tym świecie“ i „kłopotu dość na tym świecie“ albo „na tym świecie dość kłopotu“?

25. ***Łaciarz.*** Podkreśl osobliwości językowe w przemówieniach Judki, państwa Onufrostwa i Grzeli. Jak zaznacza się w stylu stosunek autora do występujących tu osób?

Jaki zachodzi stosunek między następującemi pojęciami (pojęcia *sprzeczne*): *cielesny — niecielesny; żywy — nieżywy; ludzki — nieludzki; ziemski — nieziemski; słodki — niesłodki?*

26. ***Matka i syn.*** Jakich porównań używa autorka w tym urywku? Jak zaznacza się wzajemny stosunek matki i syna? Objaśnij stosunek, zachodzący między następującemi pojęciami (pojęcia *przeciwne*): *cielesny — urojony; żywy — umarły; ludzki — zwierzęcy; ziemski — słoneczny; słodki — kwaśny.* Jaka zachodzi różnica między pojęciami sprzecznemi a przeciwnemi?

27. ***Szewc Onufer.*** Podkreśl wyrazy zawodowe w tym wierszu. Podkreśl wyrazy staropolskie. W jakim celu autor jednych i drugich używa? Oznacz budowę wiersza i zwrotki. Napisz plan szczegółowy tego wiersza i zastanów się, jaki zachodzi stosunek między poszczególnemi jego częściami.

28. ***Lekcja polskiego w szkole rosyjskiej.*** Jakie wrażenie wywiera na uczniach deklamacja „Reduty Ordona“? W jaki sposób wyobraża ich uczucia autor? Porównaj stosunek dzieci polskich do obcej szkoły *w §§ 10, 12 i 28.*

Oznacz, jaki zachodzi stosunek między następującemi pojęciami (*krzyżującemi się*): *Warszawiak — chrześcijanin; Moskal — blondyn; żołnierz — bohater; kręgowiec — stworzenie skrzydlate; mieszczanin — uczony; wieśniak — chłop; kupiec — oszust.*

29. ***Opłatki.*** Podziel wiersze na stopy, podkreśl rymy. Określ, na czem polega porównanie opłatka i duszy dziecka. Wymień wyrazy, które trzeba rozumieć pod przenośnią.

30. ***Wyprawa woźnego.*** Znajdź średniówki w tym wierszu. Oznacz powtórzenia i określ, w jakim celu są użyte. Określ różnicę między porównaniem woźnego do lisa a porównaniami w innych utworach (porównanie *rozwinięte*). Podkreśl wyrazy, oznaczające ruch. Wymień wszystkie znaczenia wieloznaczników: *kita, pałka, chróst, ziele, chłop, rząd, sztuka, głowa, nurek.*

31. ***Na Starem Mieście w Łodzi.*** Podkreśl wyrazy, oznaczające barwy, dźwięki, ruchy, i oznacz, na jaki obraz składają się te wrażenia zmysłowe. Jak autor maluje tu zbiorowisko ludzkie i przyrodę i jaki jest jego stosunek do obu tych światów? Następujące wyrażenia zmień na porównania: *iść wolno, biec prędko, lampa świeci, człowiek umiera, być nieliościwym, wiatr szumi, jestem smutny, ściemnia się.*

32. ***Śmierć mojego dziadka.*** Jak autor charakteryzuje postać tytułową w jej czynach i słowach? Jakie wrażenie wywołuje ta śmierć na czytelniku?

Wymień wszystkie znaczenia następujących wieloznaczników: *dziad, dziadek, krzyż, krzyżyk, kolano, dusza, koło, kolej.* Do następujących wyrazów dobierz bliskoznaczniki i określ ich znaczenie: *zgon, oblicze, gromnica, płacz, włościanin, głowa.*

33. ***Kolędnicy.*** Podkreśl wyrazy gwarowe w dialogu, w opowiadaniu. Czy dialog i opowiadanie są pisane jednakowym językiem? Co powiesz o stylu przemówienia niedźwiednika? Określ różnicę pod względem *znaczeniowym* i *uczuciowym* następujących dwu szeregów synonimów:

chłopiec, chłopyś, chłopak, chłopczyna, chłopię, chłopiątko, chłopczyk, chłopaczek, chłopaczysko, chłopaczura;
dziewczę, dziewczyna, dzieweczka, dziewczynka, dziewczątko, dziewica, dziewka, dziewczynina, dziewucha, dziewczynisko, dziewczysko, dziewuszysko, dziewa, dziewuszka.

34. ***Staropolskie święcone.*** Podkreśl staropolskie wyrazy i wyrażenia. Na czem polega żartobliwość tego stylu. Określ rymy i rytm tego wiersza.

35. ***Psia dola.*** Porównaj obraz tej śmierci ze zgonem, przedstawionym w § 32. Jaki jest stosunek ludzi do tego psa-matki? a autora?

Następujące wyrażenia zmień na przenośnie: *słońce wschodzi, piorun uderza, księżyc świeci, ptak leci, morze faluje, łąka zieleni się, strumień płynie, róża czerwieni się.*

36. ***Wesele krakowskie.*** Porównaj styl dialogów w tym urywku ze stylem przemówień w §§ 19, 25, 33. Podkreśl obrazy natury i oznacz, jakie wywołują one wrażenie.

Zauważ szyk wyrazów w takich zdaniach: „Już wonny wieczór uśmiechał się ziemi"; „dobrze to w każdym zyskać przyjaciela"; „biją drużbowie w podkówki ze stali"; „zagasił wszystkich poważną postawą" i t. p.

Znajdź więcej podobnych przykładów. Zauważ szyk wyrazów w piosence Wiesława i wskaż w nich akcenty *logiczne* i *uczuciowe.*

37. ***Anielka i Magda.*** Jaki zachodzi stosunek między ojcem Anielki a Gajdą? a między Anielką a Magdą? a między obu ojcami a ich córkami? wreszcie między Anielką a Gajdą? Co powiesz o stylu przemówień każdej z tych osób? Dobierz pojęcia przeciwne do następujących pojęć: *śmiałość, krzywda, potęga, surowość, zmiłowanie, prawda, ciekawość, szacunek.*

38. ***Dziewczyna.*** Podkreśl przenośnie i wytłumacz ich użycie. W jaki sposób poeta maluje nastrój duchowy dziewczyny? a nastrój przyrody?

39. ***Połów ryb.*** Jakie znasz rodzaje sieci i łodzi? a jakie znasz części łodzi i sieci?

Ustawić w szereg według zakresu następujące pojęcia: *ryba, kręgowiec, zwierzę, istota żywa, szczupak, ten szczupak, zwierzę wodne, stworzenie.*

40. ***Wioska.*** Wskaż rymy *(żeńskie* i *męskie).* Rozbierz budowę wiersza i zwrotki. Podkreśl uosobienia i zastanów się nad tem, jakie one wywołują wrażenie.

41. ***W zagrodzie litewskiej.*** Wypisz z tego urywka wszystkie przenośnie i porównania. Co powiesz o takich wyrażeniach, jak: „wybitny ten ziemianin", „piastowska uczta", „uroczysta biesiada", „patrjarchalny przegląd", „przezroczyste złoto", „czarna aureola"? W jakim celu używa ich autor?

42. ***Żaby i ich króle.*** Co powiesz o takich wyrażeniach: „rzeczpospolita żabska", „królu, ojcze bogów, dajże i nam, królu, króla", „wszechżabstwo", „kij kijowicz", „majestat łoskotu", „brat za brat z królem biorą się pod pachy"? A co powiesz o stylu przemówień żab? Kogo tu oznaczają żaby? a ich króle?

43. ***Powrót pod rodzinną strzechę.*** Określ różnicę pojęć, charakteru i stylu ojca i syna.

Dokończ następującego ćwiczenia:
Złoto kolorem przypomina: zboże dojrzałe i co jeszcze?
„ blaskiem przypomina co?
Złoto twardością przypomina co?
„ gładkością „ „ ?
„ jako metal „ „ ?
„ jako materjał do wyrobu klejnotów przypomina co?
„ wysoką wartością „ „ „ „ ?
„ jako pierwiastek chemiczny przypomina co?

44. ***Wyjazd bez powrotu.*** Wskaż w tym wierszu akcenty logiczne i uczuciowe. Znajdź pojęcia współrzędne względem następujących pojęć: *jawor, oko, serce, dąbrowa, koń, kalina, chleb*; do każdego z tych wyrazów znajdź pojęcie nadrzędne.

45. ***Na jeziorze Czterech Kantonów.*** Zbadaj budowę zwrotkową tego wiersza *(sonetu).* W jaki sposób poeta maluje

w tym wierszu naturę? a własny nastrój duchowy? A jak określa stosunek wzajemny między przyrodą a człowiekiem?

46. ***Mały Staś.*** Jak kowalowa przemawia do Stasia? a jak do Kurty? Na czem polega różnica w tych przemówieniach? Jak autor maluje przyrodę i co w niej głównie zaznacza? Co jest treścią marzeń Kurty i jak w nich maluje się jego psia dusza? Podkreśl osobliwości stylowe w przemówieniach Kurty.

Oznacz stosunek wzajemny następujących szeregów pojęć:

Kurta — czworonóg, zwierzę drapieżne, lew, zwierzę lądowe, pies, krokodyl, seter.

Staś — kręgowiec, dziecko, chłopiec, Europejczyk, mężczyzna, aryjczyk, katolik.

Ta mucha — owad, owad błonkoskrzydły, mucha plujka, pszczoła, stworzenie skrzydlate.

47. ***Zawiana chata.*** Jakie szczegóły podkreśla autor w obrazie chaty chłopskiej? Czemu ją przeciwstawia? Co znaczy: „w świat, w jasność, w przyszłość lepszą wygrzebuje chatę", „ofiarne dymy Abla"? Jakie uczucie przeważa w tym wierszu?

Dokończ następujących porównań:

śnieg zimny, jak co? — śnieg sypie w oczy, jak co?
śnieg biały, jak co? — śnieg lata w powietrzu, jak co?
śnieg puszysty, jak co? — śnieg okrywa ziemię, jak co?

48. ***Dziady wiosenne, czyli piąty dzień po Wielkiejnocy.*** Odnajdź ślady gwary ludowej w tym urywku.

Znajdź pojęcia sprzeczne względem następujących pojęć: *umarły, syty, naturalny, wiadomy, żałobny, nowy, trudny, długi.* Opisz, jeśli znasz, jaki obrządek ludowy.

49. ***Chłopskie serce.*** Objaśnij znaczenie i określ styl apostrofy do „siwej siermięgi". W jaki sposób poetka maluje nastrój duchowy matki rekruta? Jakie ma znaczenie apostrofa do Chrystusa? Jaka zawiera się w niej myśl i uczucie? Co powiesz o dialogu chłopki z synem? Jaki jest stosunek wzajemny *opowiadania* (t. zw. *akcji*) i *uczucia* (pierwiastku *lirycznego*)? Porównaj zachowanie się tej matki z zachowaniem się kobiet w § 48.

50. ***Wesele chłopskie.*** Podkreśl wyrazy i wyrażenia gwarowe osobno w dialogu, osobno w opowiadaniu. Podkreśl wyrazy, oznaczające *dźwięki* (jakie?) i *barwy* (jakie?). Podkreśl porównania i zastanów się, z której dziedziny życia są one brane.

Znajdź pojęcia przeciwne względnie do następujących pojęć: *szumny, weselny, hardy, prosty, bogaty, nagły, bujny, śmigły.*

51. ***Ksiądz Piotr.*** Określ styl przemówień każdej z występujących tu osób. Jak zaznacza się w stylu Piotra jego charakter, jako kapłana i jako dawnego żołnierza? Porównaj obraz śmierci ks. Piotra z obrazem zgonu dziadunia w § 32. Który z nich sprawia większe wrażenie i dlaczego?

52. ***Śpiew Janusza.*** Oznacz układ wierszowy (rytm i rymy, żeńskie i męskie) i zwrotkowy tego utworu. Podkreśl powtórzenia, wykrzyknienia i zapytania i zastanów się, jaka w nich zawiera się treść uczuciowa? Wytłumacz następujące omówienia: „brat po mieczu i po lutni", „z krwi ochrzczony", „nieszczęściem poświęcony", „piosnka rdzą przenika więzy tylu lat", „ocucić groby". Podkreśl wyrazy staropolskie i gwarowe w tym wierszu.

53. ***W drodze na łąkę.*** Jakich porównań i przenośni używa autor w obrazie przeprawy dziewczynki z gęśmi? W jakim celu używa takich, a nie innych? Określ wszystkie przejścia duchowe dziewczynki podczas całej podróży. Jak się te uczucia malują w stylu, w doborze wyrazów i zwrotów?

Dokończ następującego wypracowania:

Łąka jest to niezbyt wielka przestrzeń gruntu, pokryta trawą.
Wygon jest to.....
Step jest to.....
Prerja jest to.....
Połonina jest to.....
Hala jest to.....

54. ***Mazur.*** Wypisz wszystkie osobliwości gwary mazurskiej 1) w sposobie wymawiania, 2) w formach deklinacji i konjugacji, 3) w składni, 4) w słoworodzie, 5) w słownictwie.
Jak poeta maluje tu nastrój duchowy bohatera?

55. ***Banasiowa.*** Oznacz różnicę stylu autorki i Banasiowej. Jak charakteryzuje się dusza chłopska w opowiadaniu Banasiowej? Jakich autorka używa wyrażeń, by podkreślić niedolę ludu? Który rys charakteru Banasiowej autorka uwydatnia najsilniej? Odnajdź w dialogu rusycyzmy (rzecz dzieje się, ściśle biorąc, nie we Lwowie, lecz w Warszawie, ze względów cenzuralnych na Lwów przemienionej).

56. ***Ladaco.*** Podkreśl wyrazy i zwroty ludowe. W jaki sposób poeta przedstawia charakter dziewczęcia? Porównaj charakter

tej dziewczyny z dziewczyną w § 53. Jaką rolę grają w tym utworze wykrzykniki? Ułóż 10 zdań z wykrzyknikami i oznacz, jakie wyrażają one uczucie.

57. ***Polowanie na Łysicy.*** Zauważ, jakie uczucia przechodzą kolejno przez duszę Rafała i jak je maluje autor? Podkreśl osobliwości stylu i charakteru w przemówieniu Kaspra. Podkreśl przenośnie i porównania w obrazach natury. Oznacz, które z następujących określeń oznaczają stałe cechy przedmiotów (to znaczy, są *epitetami*), a które przygodne:

śnieg — biały, zeszłoroczny, mokry, lepki, zdeptany, zimny, suchy.

dzień — dzisiejszy, jasny, smutny, pochmurny, biały, słoneczny, krytyczny.

broń — palna, sieczna, zabójcza, zardzewiała, nowa, groźna, nabita.

księżyc — wschodzący, pełny, sierpowaty, blady, jasny, czerwony, zamglony.

58. ***Tatry.*** Określ rymy i rytm. Znajdź akcenty logiczne i uczuciowe w takich np. zdaniach:

„okiem rozbijem dal obszarów“, „czołami sięgniem chmur“, „i siłą w hale się przerzyna“, „hej! za mną w Tatry, w ziemię czarów“. Znajdź więcej podobnych przykładów. Podkreśl wyrazy góralskie.

59. ***Wśród gór na Podhalu.*** Podkreśl wyrazy góralskie. Podkreśl zwroty, w których rośliny lub przedmioty nieżyjące przedstawione są, jak ludzie (*uosobienia*)? Jak przedstawia autor dolinę w różnych porach dnia i nocy? Jakich używa sposobów do odmalowania przyrody? Ułóż porównanie z następujących par pojęć: *rosa — perła, trawa — aksamit, liść — włos, zima — staruszka, szkoła — źródło, nauka — słońce, usta — wiśnia, wicher — ptak, motyl — kwiat, noc — piastunka.*

60. ***W Tatrach.*** Porównaj ten wiersz z wierszem § 58. Jaką rolę gra w nich krajobraz, uczucie i zastanowienie? Który z tych pierwiastków przeważa w każdym z tych utworów?

Wytłumacz następujące zwroty (t. zw. *aluzje*): *kainowa zbrodnia, hiobowa wieść, herod baba, ikarowe loty, achillesowa pięta, to cała odyssea, wyprawa po złote runo, katońska cnota, pyrrusowe zwycięstwo, piastowska gościnność, słupy Chrobrego.*

61. ***Do Morskiego Oka.*** Napisz plan szczegółowy tego opowiadania. Wypisz wyrazy z gwary podhalańskiej i wyjaśnij ich znaczenie. Opisz jaką wycieczkę albo podróż. Dobierz stałe określenia (*epitety*) do następujących przedmiotów: *noc, śnieg, słońce, dzień, sanki, człowiek, rzeka, świerk, wieczór.*

62. ***Pasterstwo w Tatrach.*** Podkreśl wyrazy z gwary podhalańskiej. Na podstawie §§ 59, 61 i 62 ułóż słowniczek takich wyrazów. Uzupełnij go na podstawie lektury lub własnego doświadczenia (jeśli byłeś w Tatrach). Napisz wypracowanie na temat: „Pasterstwo nizinne i górskie.“

Dobierz wyrazy bliskoznaczne do następujących wyrazów: *góra, dolina, równina, potok, przepaść, zbocze, szałas, wicher, drzwi.*

63. ***Na Kujawach.*** Podziel każdy wiersz na stopy w następujący sposób:

Na Ku || jawach || rżną skrzy || pice,
Skoczę || w tanek || dziewczę || chwycę i t. d.

Oznacz zgłoski akcentowane i nieakcentowane. Co powiesz o rytmie tego wiersza? Oznacz zdania o przestawnym szyku wyrazów i określ, w jakim celu szyk ten został zmieniony. Rozbierz 3 ostatnie zwrotki i oznacz, jaka w nich zawiera się myśl, jakie uczucie i w jakich obrazach są one uzmysłowione.

64. ***Domek mojego dziadka.*** Ułóż plan szczegółowy tego opisu. Rozróżnij w nim pierwiastek opisowy i uczuciowy. Porównaj opis Święconego w tym paragrafie z podobnym opisem w wierszu § 34. Podkreśl wyrazy staropolskie. Opisz dom swój rodzinny lub inny, z którym wiążą się twoje wspomnienia dziecięce.

65. ***Izba jadalna w starym dworze.*** Jakie uczucie przeważa w tym wierszu? Porównaj go pod tym względem z § 64. Na czem polega żartobliwość stylu w tym wierszu? Jak ta żartobliwość łączy się z powagą i uroczystością stylu? Dokończ następujących *określeń* (*definicyj*):

Jadalnia jest to pokój . . . . .
Sypialnia „ „ „
Bawialnia „ „ „
Gabinet „ „ „
Buduar „ „ „
Bokówka „ „ „
Kancelarja „ „ „ i t. d.

Znajdź więcej takich bliskoznaczników i daj ich określenie.

66. ***Polesie.*** Jak charakteryzuje poetka krajobraz Polesia? a życie i charakter Poleszuka? Czy między tym krajobrazem a duszą Poleszuka jest co wspólnego? Podkreśl uosobienia w tym opisie.

67. ***Step.*** Jakie uczucie przebija w tym wierszu? Jak ono wyraża się w stylu? a w rytmie? Podkreśl wykrzykniki, wykrzyknienia, powtórzenia i określ ich znaczenie. Oznacz akcenty uczuciowe. W jakim celu poeta opuszcza spójniki w takich np. zdaniach: „pokazują — płyną — toną“, lub „tęskne — dziwne — tajemnicze“? Podkreśl wyrazy, oznaczające dźwięki.

68. ***Ostra-brama w Wilnie.*** Ułóż plan szczegółowy tego opisu. Czy pierwiastek uczuciowy gra jakąkolwiek rolę w tym opisie? Opisz jaką pamiątkę historyczną, np. pałac łazienkowski lub zamek królewski w Warszawie, pomnik Sobieskiego w Łazienkach, zamek wawelski, kopiec Kościuszki i t. p.

69. ***Cmentarz*** Podkreśl powtórzenia i zastanów się, poco używa ich poeta? Na co zwraca poeta największą uwagę w tym opisie? Jaka myśl zawiera się w tym wierszu? Oznacz rytm tego wiersza.

70. ***Cmentarz w Grodzisku.*** Jakie szczegóły opisowe zaznacza autorka w tym utworze? A jaki tu panuje nastrój uczuciowy? Napisz wypracowanie p. t. „Na cmentarzu“.

Dokończ następującego wypracowania *(omówienia)*:

cmentarz — miejsce wiecznego spoczynku i jak jeszcze?
krzyż.....
kościół.....
mogiła.....
pogrzeb.....
ksiądz.....
śmierć.....

71. ***Czyj jest las?*** W jaki sposób poeta maluje piękno lasu? Co można powiedzieć o przemowach wszystkich domniemanych władców lasu? Czy wszystkie one mają równą miarę słuszności (lub niesłuszności)? Co oznacza końcowe pytanie (pytanie retoryczne)?

Zmień na pytanie retoryczne następujące twierdzenia: „Bóg jest wszechmogący“, „pokora niebiosa przebija“, „lepsze ubóstwo przy cnocie, niż bogactwo, połączone z występkiem“, „wiedza jest niezgłębiona“, „słońce ożywia wszystko na ziemi“.

72. ***Na polowanie o świcie.*** Podkreśl w tym urywku wszystkie wyrazy i wyrażenia, malujące wrażenia miłe, radosne, rozkoszne. Podkreśl przenośnie i porównania i oznacz ich rolę w opisie krajobrazu. Jak poeta maluje tu (zapomocą barw, dźwięków, ruchów) wschód słońca? Jaką rolę odgrywa tu pierwiastek uczuciowy? Napisz wypracowanie na temat: „W lesie.“

73. ***Ostęp leśny.*** Podkreśl porównania i oznacz, z czego podobne są do siebie porównywane przedmioty lub zjawiska. Które szczegóły poeta omawia obszerniej w tym opisie i dlaczego? Który z dwu opisów uważasz za doskonalszy, w § 71 czy w 73 i dlaczego?

Ułóż określenia następujących pojęć:

Pojęcie określane	*Najbliższy rodzaj*	*Różnica gatunkowa.*
Las jest to	zbiorowisko drzew	niezbyt wielkie, z różnych drzew złożone.

Bór jest to.....
Zagajnik jest to.....
Puszcza jest to.....
Jelnik jest to.....
Dąbrowa jest to..... i t. d.

Znajdź więcej takich bliskoznaczników i podaj ich określenia.

74. ***Chata gajowego.*** Ułóż plan szczegółowy tego opisu. Podkreśl wyrazy, oznaczające barwę, ruch, dźwięk. Porównaj nastrój uczuciowy w opisach §§ 72 i 74.

Dodaj epitety do następujących wyrazów: *woda, słonecznik, mak, groch, len, kapusta, zboże, wróbel, gołąb, słońce.*

75. ***Brzozy.*** Jakie znaczenie mają takie wyrazy: „zapłakały“, „rdzawo“, „rozpłakanych“, „ciemne“? Jaki zawiera się w nich nastrój uczuciowy? Jaka aluzja zawiera się w ostatniej zwrotce? Jaki efekt osiąga poeta przez uosobienie brzóz? Oznacz rytm i rymy.

Ułóż uosobienia następujących przedmiotów: *dąb, jarzębina, pokrzywa, róża, fiołek, lilja, wierzba, burak, trzcina, tulipan, powój, wiśnia.*

76. ***Jastrząb-drapieżnik.*** Ułóż plan szczegółowy tego urywka. Jakich przenośni i porównań używa autor, by określić jastrzębia i jaka w nich zawiera się myśl? Jakiego szyku wyrazów w zdaniu autor używa najczęściej i w jakim celu? Jak autor przedstawia śmierć wiewiórki i zająca? Ułóż opis znanego ci ptaka (na podstawie rysunku albo okazu).

Jaki zachodzi stosunek między następującemi pojęciami (t. zw. *krzyżującemi się*): *zwierzę leśne* i *gryzoń*, *zwierzę drapieżne* i *ptak*, *drzewo* i *roślina europejska*, *trawa* i *roślina uprawna*, *gruszа* i *drzewo ogrodowe.*

77. ***Zdaleka.*** Oznacz rymy męskie i żeńskie. Podkreśl powtarzające się wyrazy, zdania i wiersze i zastanów się nad tem, w jakim celu autor używa tych porównań. Czy zachodzi różnica między opisami w wierszach §§ 75 i 77? i jeżeli zachodzi, to jaka?

78. ***Napad wilków.*** Podkreśl wyrazy staropolskie. Podkreśl wyrazy, wzięte z gwary myśliwskiej. Oznacz w tem opowiadaniu szczegóły krajobrazu nocnego.

Ułóż szereg pojęć nadrzędnych o coraz to szerszym zakresie, począwszy od następujących pojęć: *ten wilk, ów pachołek z kafarkiem, pan Gedeon Pągowski, Radom, tamta sosna.*

79. ***W maju.*** Podkreśl wyrazy, oznaczające dźwięki. Oznacz, co w tym wierszu zarówno w krajobrazach, jak i w scenach z życia ludzkiego, charakteryzuje porę roku i miesiąc.

Czy nastrój uczuciowy jest zaznaczony w tym wierszu? Użyj w znaczeniu dosłownem i przenośnem następujących przymiotników: *złoty, srebrny, brylantowy, żelazny, kamienny, turkusowy, miedziany, opalowy, ołowiany, rubinowy, perłowy* według następującego wzoru:

Znaczenie dosłowne.	*Znaczenie przenośne.*
złoty pierścionek.	złoty sen.

80. ***Dzień wiosenny.*** Podkreśl wyrazy, formy i zwroty gwarowe *(gwara mazurska).* Podkreśl porównania i przenośnie i oznacz, z jakiej dziedziny życia są one wzięte. Jak autor zaznacza w tym opisie bliskość życia natury i życia chłopskiego? Wypisz 10 form językowych ze znanej ci gwary ludowej. Czy nastrój uczuciowy w tym opisie jest taki sam, jak w wierszu § 79, czy też inny?

Napisz wypracowanie na temat: „Wiosna na wsi i w mieście.“

81. ***Wiosna wróciła.*** Jakie szczegóły krajobrazu wiosennego zaznacza poeta w tym wierszu? Czy te szczegóły składają się na krajobraz jednolity? A co podkreśla poeta najsilniej? Co powiesz o nastroju uczuciowym w tym wierszu? Który z tych trzech opisów wiosny (§§ 79, 80 i 81) podoba ci się najwięcej i dlaczego?

Napisz wypracowanie na temat: „Wiosna i ludzie.“

82. ***Pierwszy śnieg.*** Porównaj dwa opisy: „Dzień wiosenny“ (§ 80) i „Pierwszy śnieg“ (§ 82) pod względem: 1) doboru wrażeń zmysłowych, 2) pod względem przeważającego nastroju uczuciowego. Ułóż na podstawie tych dwu opisów, oraz § 33, 50 i 54 słowniczek gwary mazurskiej.

Ułóż z następujących par pojęć porównania, porównania zaś skróć w przenośnie: *śnieg* i *puch, niebo* i *woda, chmura* i *płachta, noc* i *całun, warga* i *koral, łza* i *rosa, włosy* i *len, oko* i *węgiel* według następującego wzoru:

Pojęcia.	*Porównania.*	*Przenośnie.*
śnieg i puch.	śnieg lekki i miękki, jak puch.	śnieg puszysty.

83. ***Dwa stawy w nocy.*** Jak poeta przeprowadza w tym opisie porównania. Podkreśl wyrazy, oznaczające: 1) cienie, 2) blaski, i zastanów się nad ich wzajemnym stosunkiem. Dobierz wszystkie znane ci wyrazy bliskoznaczne do wyrazu: *staw* i podaj ich ścisłe określenia. Opisz znane ci zbiorowisko wodne (staw, sadzawkę, rzekę, strumień, morze i t. p.).

84. ***Dąb Dewajtis.*** Jak maluje autorka dąb Dewajtis? Jaki jest wzajemny stosunek między nim a ludźmi? Jakie rysy charakteru Czertwanowej podkreśla autorka? A Marka? Wymień wszystkie znaczenia następujących wieloznaczników: *wiek, zamek, kamień, dwór, matka, świat, dzwonek, sztuka, mąż, serce, dusza.*

85. ***Pogrzeb Mickiewicza na Wawelu.*** Wypisz osobno wyrazy, oznaczające: smutek, śmierć, cierpienie, i osobno te, w których zawiera się: radość, życie, nadzieja. Jaka myśl zawiera się w tem przeciwstawieniu? Wypisz z tego wiersza 10 par wyrażeń, oznaczających pojęcia przeciwne. Podkreśl wyrażenia, zawierające aluzje do Polski, np. „dzień ucisku i niedoli“, „stu lat cień“, „ziemia czarnych smutków“ i t. d.

86. ***Cicho! . . . sza! . . . nie wolno!*** Jakim stylem przemawia pan Franciszek w winiarni do zakrystjana, a jakim do szpaka? W jaki sposób autor uwydatnia charakter pana Franciszka? Co chce powiedzieć przez dzieje człowieka i ptaka? Podkreśl niedomówienia i zastanów się nad ich znaczeniem, np.: „pan mundurowy“ „kiedy mię wówczas . . . wiesz kiedy . . . pochwycili i wywieźli daleko, hen“ i t. d.

Określ stosunek między następującemi pojęciami: *Polska, kraina Lechitów, dziedzictwo Chrobrego, kraina mogił i krzyżów* i t. d. Znajdź więcej podobnych przykładów *(tożsamość pojęć).*

Nakład Biblj. Wł. Spasowskiego

87. ***Przegląd wojska.*** Podkreśl porównania i oznacz, z jakiej dziedziny życia są one wzięte. Podkreśl powtórzenia i zastanów się nad ich znaczeniem. Co powiesz o stylu wezwania do Muzy? Jaki jest stosunek uczuciowy autora do odtwarzanego przedmiotu? Rozbierz pod względem stylu ostatnie porównanie armaty do pająka.

Dokończ następującego wypracowania:

Zwykły sposób mówienia.	*Ironiczny sposób mówienia.*
Dziś jest słota.	śliczna dziś pogoda!
To nieprzyjemny człowiek.	.....
Kłamstwo jest grzechem.	.....
Nędzna to szkapa!	.....
Ucz się pilnie!	.....
Zemszczę się na tobie!	.....

88. ***W Winiarskim forcie.*** Jakie uczucie przeważa w tej noweli? Jak się ono wyraża? Jak autorka przedstawia stan duchowy bohatera? Co powiesz o zakończeniu noweli (zamordowanie koguta)? Jakie uczucie budzi ono w twej duszy? Jak przedstawia autorka duszę polską a pruską? Napisz wypracowanie p. t. „Polacy i Niemcy“. Dokończ następującego wypracowania:

Zwykły szyk wyrazów.	*Przestawnia poetycka.*
Czerwona barwa róży.	Czerwona róży barwa.
Płynęliśmy po przejrzystem jeziorze	.....
Zwyciężysz mnogich nieprzyjaciół	.....
Będę ci serdecznym bratem	.....
Nadchodzi barwna i wonna wiosna	.....
Lata młodości mijają szybko	.....

89. ***Pożegnanie.*** Określ rytm i rym tego wiersza. Jaki nastrój uczuciowy przeważa w nim? Podkreśl porównania i przenośnie. Czy jest ich dużo? Co powiesz o tym stylu?
W następujących zdaniach zastąp czasownik wykrzyknikami: „ktoś zapukał w okno“, „chłopiec upadł na ziemię“, „uderzył go pięścią w nos“, „kanarek uciekł z klatki“, „baran beczy, a krowa ryczy“.

90. ***Przykładna kara.*** Co powiesz o stylu starego komendanta? Podkreśl w jego przemówieniach wyrażenia żołnierskie. Jak w słowach i czynach zaznacza się charakter komendanta? Jaki jest stosunek autora do przedstawianych przez niego postaci? Napisz wypracowanie p. t. „Stary żołnierz“.

91. ***Było to w dzień wigilji.*** Wytłumacz porównanie serca do trzebieży. Podkreśl wyrazy gwarowe w przemówieniu gajowego. Rozróżnij pierwiastek uczuciowy od opowiadania.

Dokończ następującego wypracowania:

Dziadowski *próg*	zam. dziadowski dom
Bystra *źrenica*	„ .....
Tysiąc *żagli*	„ .....
Być na łaskawym *chlebie*	„ .....
Dwudziesta *wiosna*	„ .....
Mocarna *dłoń*	„ .....

92. ***Na mogile.*** Podkreśl w tym urywku niedomówienia. W jakim celu używa ich autorka? Jaką rolę odgrywa krajobraz w opowiadaniu autorki i w opowieści Jana? Czy styl opowiadania Jana i autorki jest taki sam? Jeżeli nie, to wskaż osobliwości stylu Jana.

Dokończ następującego wypracowania:
Nie minie go *grób* (zam. śmierć). Znam go od *kołyski* (zam.?) Zdobyć *wawrzyny* (zam.?) Otrzymał *pieczęć* koronną (zam.?) Jęczeć w *kajdanach* (zam.?) Czeka go *ława* oskarżonych (zam.?)

93. ***W stepie.*** Wypisz wszystkie określenia przymiotnikowe i oznacz, które z nich mają charakter epitetów. Podkreśl przenośnie i porównania i oznacz, jakie w nich przemawia uczucie. Oznacz rytm i rymy w tym wierszu. Podkreśl powtórzenia i akcenty znaczeniowe i uczuciowe.

94. ***Maciek-bohater.*** W jaki sposób autor przedstawia swego bohatera? Oznacz główne cechy jego charakteru. Podkreśl osobliwości gwarowe w mowie Maćka. Porównaj nastrój uczuciowy w §§ 91, 92 i 94.

95. ***Rok 1812.*** Jakie uczucie zawiera się w początkowem wezwaniu do „roku owego“? Jaki nastrój przeważa w tym opisie? Który szczegół głównie zaznacza autor w tym urywku? Co powiesz o zachowaniu się ludzi i zwierząt? Napisz wypracowanie p. t. „Wspomnienie z wojny wszechświatowej“.

96. ***Mickiewicz w szkole w Nowogródku.*** Ułóż plan szczegółowy tego opowiadania. Napisz wypracowanie p. t. „Dawne i dzisiejsze szkoły“. Porównaj dawniejsze i dzisiejsze zabawy uczniowskie. Ułóż 10 przykładów na krzyżujące się pojęcia.

97. ***Krakusy.*** Podkreśl wyrazy, z gwary krakowskiej wzięte. W jakim celu użył ich autor? Co powiesz o doborze takich

wyrazów, jak: „grzmią“, „kropić“, „trzepać“, „czyste warjaty“, „jak bydła“ i t. p.? Podkreśl zdania o szyku przestawnym. Zbadaj budowę wiersza i zwrotki.

98. ***Pieśń ułanów po zwycięstwie pod Wawrem.*** Co powiesz o wyrażeniach: „wilkiem goni“, „pułki djabłów złamie“, „będziem hulać po Kijowie“, „sprawim lancą“, „Prusak nieborak“, „spławim Wisłą bez flisaka“, „czarapacha Austrjak“, „pokraka“, „dać szczupaka“ i t. p.? Zbadaj budowę zwrotkową wiersza. Podkreśl wykrzykniki, powtórzenia i przenośnie. Objaśnij aluzje: „Chrobrych chodem“, „dziatwa Piasta“.

99. ***Stary ułan pod Brodnicą.*** Porównaj §§ 97, 98 i 99 pod względem nastroju uczuciowego. W jaki sposób autor wyraża tu swoje uczucie? Jaką rolę grają tu: akcenty uczuciowe, przenośnie, porównania, wykrzyknienia, pytania i t. p. Objaśnij następujące wyrażenia: „dać nura“, „wyciąć kuranta“, „stanąć okuniem“, „spiec raczka“, „natrzeć uszu“, „węża mieć w kieszeni“, „nos na kwintę“, „śledzia zjeść“, „podbijać bębenka“, „jeżem się postawić“ i t. p.

100. ***Śmierć księcia Poniatowskiego.*** Napisz plan szczegółowy tego opowiadania. Napisz wypracowanie p. t. „Mój najukochańszy bohater narodowy“. Napisz wypracowanie p. t. „Wojsko polskie“.

Znajdź 10 przykładów na wyrazy wieloznaczne.

101. ***Bój pod Lipskiem.*** Zwróć uwagę na powtórzenia i akcenty znaczeniowe i uczuciowe. Porównaj opis bitwy pod Lipskiem w §§ 100 i 101. Który jest pełniejszy? Który trafia ci więcej do rozumu? a do serca? a do wyobraźni?

Zamiast czego użyty jest wyraz: *wiara?* A takie wyrazy, jak: *półksiężyc, krzyż, korona, palestra, kościół?*

102. ***Bitwa pod Raszynem.*** Podkreśl wszystkie błędy językowe w przemówieniach Franca. Poco ich autor używa? Co powiesz o charakterze Franca? a Janka? A jak autor przedstawia ks. Józefa? Przeczytaj z historji o bitwie raszyńskiej i określ, co w tej opowieści jest prawdą, a co zmyśleniem? Czy zmyślenie takie a kłamstwo to to samo?

103. ***Pole raszyńskie.*** Co w tym wierszu odnosi się do chwili współczesnej autorowi, a co jest wspomnieniem? Jaki jest stosunek wzajemny przeszłości i teraźniejszości? Jaką rolę odgrywa tu krajobraz? a pierwiastek uczuciowy? W jaki sposób uze-

wnętrznia się uczucie? Porównaj obraz bitwy raszyńskiej w §§ 102 i 103.

Ułóż 10 uosobień i objaśnij ich pochodzenie.

104. ***Opowiadanie legjonisty.*** Co powiesz o Ojrzyńskim na podstawie rozbioru jego stylu? Co znamionuje w jego stylu prostego człowieka? a co dzielnego żołnierza? A co powiesz o Trepce? Porównaj styl i charakter obu tych ludzi.

Znajdź wszystkie synonimy pojęcia: *żołnierz* i objaśnij różnice między niemi.

105. ***Napoleonista.*** Które główne cechy napoleonisty podkreśla tu poeta? Które zewnętrzne, a które wewnętrzne cechy? Porównaj tego napoleonistę z Ojrzyńskim.

106. ***Czworobok.*** Jak w tem opowiadaniu przedstawiony jest Napoleon? Porównaj ten opis bitwy z innemi opisami, np. §§ 100 lub 102. Którą cechę żołnierza polskiego podkreśla tu autor? Zamiast jakiego wyrazu powiedziane tu: *ołów*? A zamiast czego mówimy: *żelazo, srebro, miedź, marmur, jedwab, płótno, szkło* i t. d. Znajdź więcej takich przykładów.

107. ***Bonaparte.*** Rozróżnij w opowiadaniu dziadka: 1) wspomnienia momentów dziejowych, 2) pierwiastek uczuciowy. A jak poeta przedstawia teraźniejszość, t. j. moment samego opowiadania? Porównaj dziadka z innymi napoleonistami w poprzednich paragrafach. Jak przedstawia się Napoleon w §§ 104—107?

Dokończ następującego wypracowania:

Imię własne.	*Omówienie.*
Napoleon	mały kapral
Kościuszko	.....
Krzysztof Kolumb	.....

Imię własne.	*Omówienie.*
Jan Sobieski	.....
Michał Wołodyjowski	.....
Henryk Sienkiewicz	.....

108. ***Łostaje.*** Jakie obyczaje tatarskie zaznacza tu autor? A co z obyczaju polskiego udzieliło się Amuratowi Bielakowi? Podkreśl wyrazy staropolskie, tatarskie i łacińskie w opowiadaniu i w dialogu. W jakim celu używa ich autor?

Co oznaczają następujące omówienia: „wyznawca Mahometa“, „mistrz dratwy“, „pracownica igły“, „śpiewak majowy“, „król zwierząt“, „potomek Lecha“, „stróż pieczęci koronnej“?

109. ***Bitwa racławicka.*** Co powiesz o takich wyrażeniach, jak: „maszeruje, nie żartuje“, „kraj, jak malowany“, „siedziały, jak chrząszcze“ i t. p.? A co wogóle o stylu? Czy widoczny jest w nim wpływ gwary ludowej? Objaśnij porównanie w 8 i 9

zwrotce. Co powiesz o dialogu Kościuszki z dziadem? Jaką rolę gra tu krajobraz? Czy stosunek poety do Kościuszki jest taki sam, jak autorów do Napoleona w §§ 105 lub 107?

110. ***Ostatnia nobilitacja.*** Jak autor przedstawia tu Kościuszkę? Porównaj przemówienie Kościuszki w §§ 109 i 110. Przypomnij sobie, co wiesz o bitwie racławickiej. Napisz wypracowanie p. t. „Kościuszko i Napoleon".

111. ***Śmierć Kościuszki.*** Jakie rysy zaznacza tu autorka i w jaki sposób? Porównaj obraz Kościuszki w tym wierszu z jegoż wizerunkami w §§ 109, 110. Co naród polski winien Kościuszce?
Ułóż 10 przykładów na epitety.

112. ***Wigilja.*** Porównaj ten obraz wigilji z obrazem w wierszu: „Było to w dzień wigilji"... (§ 91). Jak autor przedstawia w tej opowieści Pułaskiego i Kościuszkę? Podkreśl wykrzyknienia i oznacz, jakie w nich zawierają się uczucia. Jaka zachodzi różnica między takiem pytaniem (*zwykłem*), jak np.: „Czy znajdę w Trenton brygadjera Pułaskiego?" a takiem, jak: „Dla wodza ukochanego możnaż było poskąpić ofiary?" (pytanie *retoryczne*)? Ułóż podobne przykłady.

113. ***Pan porucznik Mohort.*** Jaki typ wojaka przedstawił tu poeta w Mohorcie? Porównaj go z innymi żołnierzami w tej książce. Jakim stylem przemawia Mohort do młodego nowicjusza? W jakim celu powtarza się „jak" w zdaniu: „Ale mój Mohort jak na szpaka pryśnie...."? Dlaczego autor mówi: „mój Mohort"? Co powiesz o zdaniu „nuż harcować"....? W jakiem znaczeniu użyty jest wyraz „*serce* do boju"? Objaśnij podobne wyrażenia: „tęga głowa", „formować rękę", „mieć dobry nos", „wątroba go ponosi", „posiadać wrażliwe ucho", „mieć plecy", „palec Boży".

114. ***Mniemany upiór.*** Podkreśl wyrazy łacińskie i pochodzące z łaciny. Co powiesz o pannie Barszczewskiej, jako typie starej panny? A o ojcu i jego charakterze? Co powiesz o postępowaniu ojca, syna, Hawryłki?
Napisz wypracowanie p. t. „Rodzice i dzieci, dawniej i dziś".

115. ***Husarze.*** Jaki jest stosunek autora do wywołanych przezeń obrazów przeszłości? Wypisz czasowniki i określ ich znaczenie (ruch, barwa, dźwięk i t. p.).
Ułóż 10 zdań, w których wykrzyknik użyty jest zamiast czasownika.

116. ***Savannah.*** Jaki jest nastrój uczuciowy w tym wierszu i jak on się uzewnętrznia? Jak poeta przedstawia Pułaskiego? Porównaj ten obraz Pułaskiego z wizerunkiem jego w § 112. Podkreśl określenia przymiotnikowe raz, a epitety dwa razy. Objaśnij omówienie: „inny anioł złoty w rycerskiej piersi".

117. ***Uroczystość weselna.*** Jakie zwyczaje staropolskie zaznacza autor w tem opowiadaniu? Jak autor charakteryzuje Massalskiego? A księcia Radziwiłła? Jakie rysy możnowładztwa polskiego zawierają się w tem opowiadaniu?
Objaśnij następujące wyrażenia (t. zw. *zamienne*): „cały dom już był na nogach", „cały kościół płakał", „Warszawa lubi się bawić", „okręt pośpiesza do brzegu", „dziś szkoła jest na wycieczce", „cały teatr płakał".

118. ***Arcyserwis Wojskiego.*** Ułóż plan (logiczny) tego opowiadania. Narysuj plan serwisu. Co powiesz o stylu przemówienia Wojskiego? Co wiesz o *liberum veto*? Jaki jest stosunek Wojskiego i autora do wspomnień sejmikowych?
Napisz wypracowanie p. t. „Sejmik polski na podstawie Arcyserwisu Wojskiego".

119. ***Poranek króla Stanisława Augusta.*** Jak autor przedstawia Stanisława Augusta? Jak zaznacza się jego stosunek uczuciowy do króla? A do konfederatów barskich? Jak przedstawia autor stosunek króla polskiego do obywateli? Czy w rozmowie Branickiego i króla zaznacza się różnica ich charakterów?
Ułóż 5 przykładów na pojęcia sprzeczne i 5 na przeciwne.

120. ***Kazanie konfederackie.*** Podkreśl wyrazy łacińskie i staropolskie w opowiadaniu i w przemówieniach ks. Marka. Czy zachodzi jaka różnica między temi przemówieniami? Jak na ich podstawie możnaby charakteryzować możnowładztwo polskie XVIII w.? Porównaj pod tym względem § 117 i § 120. Ułóż na ich podstawie wypracowanie p. t. „Możnowładztwo polskie za Stanisława Augusta". Co powiesz o charakterze ks. Marka? Porównaj kazanie ks. Marka z kazaniem ks. Muchowieckiego w „Ogniem i mieczem" (nad trumną Podbipięty) i ks. Kamińskiego w „Panu Wołodyjowskim" (nad trumną Wołodyjowskiego).

121. ***Przegląd wojsk przed wyprawą wiedeńską.*** Jaki nastrój uczuciowy przeważa w tem opowiadaniu? Wypisz wyrazy, oznaczające wrażenia wzrokowe, słuchowe, ruchowe, wę-

chowe. Który szczegół podkreśla głównie autor w obrazie przeglądu wojska? Wypisz z tego opowiadania 10 przykładów na szyk przestawny wyrazów. Porównaj opis husarza w tem opowiadaniu z obrazem w wierszu Nr. 115. Napisz wypracowanie p. t. „Husarz polski".

122. ***Opowieść Wojskiego o Domejce i Dowejce.*** Jakim tonem odznacza się ta opowieść? Podkreśl wyrazy, rymujące się z nazwiskami Domejki i Dowejki. W jakim celu autor używa tych rymów? Podkreśl wyrazy i wyrażenia staropolskie. Dopełnij brakującemi wyrazami następujące wyrażenia: „Czach, czach!"; „a więc do szerpentynek"; „śmierć niechybna"; „zgoda, że na pistolety"; „oni w złość". Ułóż sam 10 podobnych zdań.

123. ***Sobieski pod Wiedniem.*** Ułóż plan szczegółowy tego opowiadania. Porównaj ten obraz bitwy z innemi obrazami w tych wypisach. Co powiesz o Sobieskim na podstawie tej opowieści? Określ stosunek wzajemny następujących pojęć: *Jan Sobieski, dzielny wojak, król bohater, król polski, Sobieski, król rodak, król, władca, człowiek, zwycięzca z pod Wiednia.*

124 ***Pogrzeb Wołodyjowskiego.*** Podkreśl wyrazy staropolskie. Co powiesz o stylu kazania ks. Kamińskiego? Jak autor przedstawia Sobieskiego? Czy Sobieski mówi tu co? Czy wizerunek jego jest wyrazisty? Porównaj wizerunki Sobieskiego w §§ 121, 123 i 124. Porównaj z niemi to, co wiesz o Sobieskim z historji. Wskaż akcenty znaczeniowe i uczuciowe.

125. ***Giermek.*** Podkreśl powtórzenia i oznacz ich znaczenie. Zauważ zdania, w których powtarzają się spójniki. W jakim celu? Zauważ zdania z opuszczonemi spójnikami. W jakim celu? Oznacz przenośnie. Jaki jest tu zasadniczy ton uczuciowy? A jaka myśl przewodnia?

Ułóż 10 zdań, w których pojęcie materjału zastępuje pojęcie rzeczy, z niego zrobionej (np. „każe jednem skuć żelazem" zam.: „łańcuchem").

126. ***Kmicic porywa Bogusława Radziwiłła.*** Podkreśl wyrazy staropolskie oraz wyrazy, użyte w innem, niż dzisiaj, znaczeniu. Podkreśl wyrazy i wyrażenia, wzięte z gwary koniarskiej. Jak autor charakteryzuje konia kmicicowego. A jakich używa wyrazów dla oznaczenia ruchów końskich? Napisz wypracowanie p. t. „W pędzie" (na koniu, na samochodzie lub w pociągu).

127. ***Odbicie jasyru.*** Ułóż plan (logiczny) tego opowiadania. Narysuj plan tej bitwy. Podkreśl wyrazy, odnoszące się do wojskowości. Podkreśl wyrazy tatarskie i ukraińskie. Zaznacz akcenty znaczeniowe.

128. ***Pobudka.*** O jakim boju mówi tu autor? Jakich wymienia bojowników i jakich wrogów? Czy walka toczy się w świecie zmysłowym czy duchowym? A czy autor, mówiąc o niej, używa obrazów zmysłowych, czy pojęć oderwanych? Dokończ następującego wypracowania:

Pojęcie oderwane	*Obraz zmysłowy*
Nauka	Światło nauki
Gniew	.....
Nadzieja	.....
Rozpacz	.....
Wiara	.....
Zwątpienie	.....

129. ***Djabeł Wenecki.*** Napisz plan szczegółowy tego opowiadania. W jaki sposób historyk charakteryzuje Djabła Weneckiego? Czy używa takich samych środków, jak poeci i powieściopisarze, przedstawiający postacie dziejowe w poprzednich paragrafach? A jaka jest różnica stylu historycznego i poetyckiego?

130. ***Zagłoba zdobywa sztandar.*** Podkreśl rzeczowniki, przymiotniki i czasowniki, oznaczające ruch szybki i powolny. Podkreśl wyrazy i wyrażenia, oznaczające stany duchowe Zagłoby. Co powiesz o Zagłobie na podstawie tego opowiadania? Jaki jest stosunek autora do bohatera? Podkreśl czasowniki, użyte w czasie teraźniejszym zamiast przeszłego.

Opowiedz (ustnie lub piśmiennie) o zdobyciu Kijowa przez Chrobrego, używając wszędzie czasu teraźniejszego zamiast przeszłego.

131. ***Czertomelik.*** Na które szczegóły kładzie poeta największy nacisk? Podkreśl uosobienia i przenośnie. Objaśnij użycie liczby pojedyńczej w następujących zdaniach: „brzoza się kąpie", „gałązką mącą wodne błękity", „słowik w gałązkach śpiewa"... Znajdź więcej podobnych przykładów. Objaśnij użycie liczby mnogiej w zdaniu „wieczorne zorze zapadły". Objaśnij użycie liczebnika w zdaniu: „Sto wysp przerznęły Dniepru strumienie" albo w zdaniach: „zasyłam ci miljony całusów", „tysiąc rzeczy

go zajmowało", „kopę lat nie widzieliśmy się", „z tuzin ciotek przyszło", „za pięć minut tu wrócę", „sto razy ci mówiłem" itp.

132. ***Śluby królewskie.*** Które szczegóły głównie uwydatnia autor w tym obrazie? Podkreśl szczegóły krajobrazowe. Jaki nastrój panował w kościele i jak go maluje autor? Podkreśl wyrazy staropolskie w opowiadaniu i w przemówieniu króla. Co powiesz o stylu przemówienia? A o budowie zdań tego przemówienia? Czy przysięga króla została wykonana i co z tego wynikło?

133. ***Karol Gustaw w katedrze wawelskiej.*** W jaki sposób autor charakteryzuje Karola Gustawa? Które zasługi Kazimierza W. podkreśla Starowolski i w jaki sposób? Co powiesz o stylu opowieści Starowolskiego? Czy podręcznik historji pisany jest podobnym stylem? Jeżeli nie, to na czem polega różnica? Spróbuj stylem Starowolskiego opowiedzieć panowanie np. Władysława Warneńczyka, Jana Sobieskiego i inne. Zmień kilkakrotnie szyk wyrazów w następujących zdaniach: „Przy tym krzyżu Jadwiga łzy sączyła hojne", lub: „Miejsca pustyń osady i zamki zaległy", albo: „Pierwszy raz czuje w piersiach zachwianego ducha". Czy zachodzi jaka różnica między tak zmienionemi a poprzedniemi zdaniami?

134. ***Bitwa pod Cecorą.*** Jak autor przedstawia nastrój wojska polskiego podczas pochodu? A jak maluje bitwę? Czy obrazy walki i śmierci rycerzy polskich są jednostajne? Jeżeli nie, to na czem polega różnica? Napisz wypracowanie p. t. „Żółkiewski, jako ideał rycerza polskiego" (z planem szczegółowym).

135. ***Pani Twardowska.*** Zauważ, w jaki sposób łączą się z sobą w tym wierszu zdania oraz jednorodne części zdania? Zrób rozbiór logiczny pierwszej zwrotki. Co powiesz o stylu tej zwrotki i całego wiersza? Jak autor przedstawia djabła (charakterystyka zewnętrzna i wewnętrzna)? Co powiesz o trzech próbach djabelskich? Czy wszystkie były jednakowo trudne dla djabła? Jeżeli nie, to na czem polega różnica? Co powiesz o Twardowskim? Dlaczego ta sama kobieta nazywa się: raz „żoneczka" drugi raz „luba", a wreszcie „samka"?
Rozróżnij następujące bliskoznaczniki: *djabeł, czart, szatan, zły duch, bies, anioł upadły, Mefistofeles, kusy* i t. p.
Czy djabła zawsze przedstawiają tak, jak w tym wierszu?

136. ***Trzech budrysów.*** Co powiesz o przemówieniu starego Budrysa? Jak w tej mowie charakteryzuje się stosunek Litwinów do

trzech narodów sąsiednich? A jak ten stosunek zaznacza się w stylu? Poco poeta użył tu wyrazu „dziengi"? Czy wszystkich trzech synów powrót poeta przedstawia jednakowo? Jeżeli nie, to na czem polega różnica? Zbadaj budowę wiersza i zwrotki. Ułóż słowniczek wyrazów staropolskich (na podstawie przeczytanych §§-ów.

Dokończ następującego wypracowania.

Zwykłe wyrażenie.	*Przesadnia.*
Dużo pieniędzy.	Dziengi, jak lodu.
Mnóstwo bursztynów.	Bursztynów, jak piasku.
?	Nieba sięga.
?	Ludzi, jak maku.
?	Ptasiego mleka brak.
Jest chudy.	?
Nieczułe serce.	?
Dziwię się bardzo.	?

137. ***Świteź.*** Jak maluje poeta krajobraz Świtezi? Czy odgrywa tu jaką rolę wybór pory doby? Jaki jest stosunek autora do pierwiastka cudownego? Jaki jest udział poety w samej akcji? A w jakim celu wprowadza siebie, jako osobę działającą? Porównaj obraz ciągnienia niewodu z podobnym opisem w § 39 („Połów ryb"). Czy w opowiadaniu córki Tuhana można odnaleźć znamiona stylu staropolskiego? Co powiesz o stronie moralnej tego opowiadania? Poco autor używa zaimków osobowych w takich zdaniach: „Jaż własnych mieszkańców dla obcej zgubię odsieczy"? lub „Ja bronię żony i córki"? Czy wogóle używamy w tych razach zaimków?

138. ***Burzenie świątyń Perkuna.*** Ułóż szczegółowy plan tego opowiadania. Które szczegóły świątyni i posągu zaznacza autor? Jak charakteryzuje nastrój Jagiełły? a Jadwigi? a Litwinów? a chrześcijan? Podkreśl wyrazy staropolskie w opowiadaniu. Rozbierz pod względem językowym urywek z hymnu „Bogurodzica". Jaką rolę odgrywa krajobraz w tem opowiadaniu? Podkreśl zdania o szyku przestawnym.

139. ***Hołd królowej Jadwidze.*** Jaka jest myśl zasadnicza tego utworu? W jaki sposób poetka myśl tę uzmysławia? Wymień przenośnie i wskaż ich znaczenia. Ułóż rozprawkę, zawierającą rozbiór i rozwinięcie tej samej myśli. Jaką rolę w stylu wiersza grają wyrazy staropolskie? A takie aluzje: „węgiel Izajasza",

„zdrajca Judasz“, „Piastowy kmieć“? Jakie znaczenie estetyczne ma powtarzający się ostatni wiersz każdej zwrotki (t. zw. *przyśpiew*)? Jak i poco jest on zmieniony w ostatniej zwrotce?

140. ***Do swego Boga.*** Jaki nastrój uczuciowy przeważa w tej noweli? A jakie wywołuje wrażenie? Jaki jest stosunek krajobrazu do opowiadania? Z jakiej dziedziny życia wzięte są przeważnie porównania i przenośnie i w jakim celu? Podkreśl wyrazy gwarowe? A w jakim celu użyte są wyrazy rosyjskie? Co wiesz o unitach i ich prześladowaniach?

141. ***Na okręcie emigranckim.*** Jaka jest budowa zwrotki (t. zw. *oktawy*)? Podkreśl wyrazy i wyrażenia ludowe. Poco używa ich poetka? Z jakiej dziedziny życia wzięte są porównania i przenośnie? Jaki jest w nich stosunek nowych wrażeń do dawnych przeżyć? Co powiesz o panu Balcerze-kowalu? Jaki jest jego stosunek do innych emigrantów? Co możesz powiedzieć o jego przeszłości? Jaki jest stosunek poetki do odtwarzanego przedmiotu i w czem się on zaznacza?

142. ***Przypowieść o rozbitkach.*** Kogo tu ma na myśli poeta? Wytłumacz, co oznacza: rozbicie się okrętu, brzeg cudzy, kształt okrętu, wiatr północny, wiatr zachodni, skała podwodna, sternik, człowiek prosty, ludzie morscy, cieśla, powrót do kraju i t. p. Co powiesz o sposobie łączenia zdań w tej przypowieści? Co powiesz o takich wyrażeniach, jak: „onego czasu“, „weszli w radę“, „i stało się, że . . .“ i t. p.? Czy są tu wyrażenia staropolskie? Jeżeli są, to w jakim celu użyte?

143. ***List z Sybiru.*** Jaki nastrój uczuciowy przemawia w tym wierszu? Jak on uzewnętrznia się w stylu? Zwróć uwagę na powtórzenia, wykrzyknienia, zapytania, niedomówienia, przesadnie. Jakim celom artystycznym one służą? Czy wykrzyknienie: „Mamo!“ zawsze ma jednakową wartość uczuciowa? A dlaczego w jednem miejscu poeta użył okrzyku: „O matko!“? Co znaczy „potwór dymiący“ i dlaczego poeta użył takiego właśnie omówienia? Rozróżnij następujące pierwiastki składowe: 1) wspomnienia wygnańca, 2) obecne jego życie. Który z tych pierwiastków silniej jest zaznaczony i dlaczego?

144. ***Litanja pielgrzymska.*** Naucz się litanji na pamięć. Czem różni się ta litanja od litanij kościelnych? Które z próśb poety mogłyby znaleźć się w litanji kościelnej, a które nie? Co spełniło się dotąd z tych próśb?

145. ***Burza.*** Zrób rozbiór logiczny pierwszej zwrotki. Co możesz na podstawie tego rozbioru powiedzieć o jej stylu? Podkreśl wyrazy, oznaczające dźwięki. A co możesz powiedzieć o zespole dźwiękowym wyrazów? Jak poeta uzmysławia w drugiej zwrotce myśl: „Śmierć się zbliża“? Co powiesz o nastroju duchowym załogi? A na tem tle o nastroju samotnego podróżnego? Co możesz o nim wogóle powiedzieć? Rozbierz budowę zwrotkową całego wiersza (t. zw. *sonetu*).

Wypisz 10 wykrzykników, 10 czasowników i 10 rzeczowników, naśladujących dźwięki natury.

146. ***Na pokładzie.*** Podkreśl przenośnie i uosobienia w krajobrazach. Jaki nastrój uczuciowy w nich się przejawia? Przypomnij lub przeczytaj z podręcznika historji podanie o Tellu. Co oznacza „swobodna łódka Tellowa“? Jak autor charakteryzuje pedagoga szwajcarskiego? Jakie cele wycieczki szkolnej podkreśla? Jakie wrażenie wywiera pieśń na ludziach różnej narodowości? Kto są owi „młodzi ludzie“? Dlaczego wrażenia ich są odmienne od innych podróżnych? Jaka jest myśl zasadnicza utworu? Czy autor wypowiada ją wprost? Jeżeli nie, to dlaczego i poco? Napisz wypracowanie p. t. „Moje myśli i uczucia podczas wycieczki szkolnej“.

147. ***Konno przez Peloponez.*** Które szczegóły krajobrazu uwydatnia głównie poeta? Podkreśl szczegóły, zawierające wspomnienia starożytnej Grecji, a także szczegóły, odnoszące się do panowania Turków w Grecji. Co powiesz o wyrazie: „krajograficznie“? Jakie uczucie przeważa w tym wierszu? Co znaczy przenośnia „wolności dżuma“? Dlaczego autor używa wyrazów zdrobniałych w przedostatniej zwrotce? Zbadaj budowę zwrotki (t. zw. *sekstyny*).

148. ***Rybak normandzki.*** Który główny rys charakteru i życia rybaka normandzkiego podkreśla autorka? Jaki ton uczuciowy panuje w tej nowelce? A we wspomnieniu z wojny francusko-pruskiej? Jak autorka charakteryzuje pobożność rybaków? A jaki jest stosunek poetki do przedstawionego życia? Kto zna życie rybaka i co może o nim powiedzieć?

149. ***W Pekinie.*** Porównaj list Brzeskiego z listem wygnańca w wierszu Or-Ota (§ 143 „List z Sybiru“). Czy podobny jest w nich obu nastrój uczuciowy? Co przeważa w każdym z nich: opis czy uczucie? Jakie osobliwości życia i obyczaju chińskiego zaznacza tu autor? A jak przedstawia życie w ambasadzie?

Jaki jest stosunek wzajemny Europejczyka i Chińczyków w tym urywku? Jaką rolę odgrywa tu zachód słońca? Podkreśl wyrazy chińskie.

Napisz wypracowanie p. t. „Zachód słońca".

150. ***Odwiedziny piramid.*** Co widzisz osobliwego w tym krajobrazie? Spróbuj opisać ten sam obraz, np. ruchliwej ulicy, z równego poziomu i z góry, np. z wysokiego piętra. Podkreśl wyrazy, oznaczające barwy, i określ, które z barw przeważają. Określ nastrój uczuciowy autora. Co powiesz o wartości estetycznej i etycznej zakończenia?

151. ***Dzieci uwalniają się z niewoli u Arabów.*** Podkreśl szczegóły krajobrazowe. Podkreśl wyrazy arabskie. Co powiesz o szyku wyrazów w zdaniu: „Oto na niewielkiej skale . . ."? Jak autor charakteryzuje postawę i ruchy lwa? A ruchy i nastrój uczuciowy Arabów? Czy przeżycia duchowe Stasia, gdy strzela do lwa i kiedy zabija Arabów, są takie same? A jak się te przeżycia uzewnętrzniają? Jak autor przedstawia śmierć każdego z czterech Arabów? Jak autor charakteryzuje mowę murzyna Kalego? Napisz wypracowanie p. t. „Na polowaniu".

152. ***Baśń o złej córce.*** Jak autorka charakteryzuje dziewczynę w trzech okresach jej życia: *a*) w chacie ojcowej, *b*) w chwili odjazdu, *c*) na zamku? Na czem polega pierwiastek nadprzyrodzony w tej baśni? Czy jest on użyty w tych samych celach artystycznych, co w balladzie A. Mickiewicza: „Pani Twardowska"? Jeśli nie, to na czem polega różnica? Na czem polega myśl moralna utworu? Czy starzec, jako człowiek żywy, zachowuje się tak samo, jak wtedy, gdy jest upiorem? Jeżeli nie, to skąd pochodzi różnica i jaki jest jej cel? Co powiesz o karze, wymierzonej niegodnej córce? Co powiesz o stylu tej baśni?

153. ***W niebie.*** Kto tu opowiada? Czy wybór osoby opowiadającej wpływa na rodzaj opowiadania? Jak autor przedstawia krajobraz niebieski? A jak kreśli Osoby Święte? Dlaczego poeta nie przedstawia postaci Stwórcy? A jakie myśli moralne zawierają się w tym opisie? A jak je poeta uzmysławia?
Co oznaczają takie przenośnie: „cierniowa korona", „palma męczeńska", „jasność wiekuista", „promień wiary", „padół płaczu", „księga żywota", „mrok pogaństwa"?

154. ***Mitręga.*** Jak charakteryzuje się Mitręga w pierwszej rozmowie z aniołem? Jakim stylem przemawia? Jaki jest jego nastrój

duchowy po otrzymaniu cudownego daru? Jaki odcień uczuciowy zawiera się w rzeczownikach: „człeczysko", „piwsko"? Znajdź więcej podobnych przykładów. Jaka myśl moralna zawiera się w tej baśni? Co powiesz o pierwiastku cudownym? Porównaj pod tym względem „Mitręgę" z „Panią Twardowską" i „Baśnią o złej córce". Napisz wypracowanie p. t. „Życie i praca".

155. ***Myśli i przestrogi.*** Naucz się tych myśli na pamięć. Rozwiń którąkolwiek z nich w dłuższą rozprawkę.

1. Wyprawa na bezludną wyspę.

W przeciągu nie więcej, niż kwadransa, chłopcy zdobyli zapałki, zabrali suchary, ojcu ściągnęli maluchny kompas ze stolika, a ze „schronienia“ wydostali łuk, nóż i siekierę — tomahawek. Z łódką mieli więcej kłopotu; stała ona w małej zatoce, ocienionej olszyną i wierzbami płaczącemi, przytwierdzona na łańcuchu, zamkniętym na kłódkę.

Podczas gdy Piotruś silił się zamek otworzyć, Mieczyś blady, wystraszony, siedział na dnie łódki i patrzał, jak brat starszy napróżno w zamek stukał i gwóźdź w dziurkę od klucza wsuwał. Chciał nawet skobel oderwać, ale łódź, gwałtownie pchnięta, naciągnęła łańcuch, i kłódka otworzyła się sama. Kołysząc się łagodnie, wypłynęli z zielonej pieczary na słońce. Chyży prąd porwał ich natychmiast i uniósł na środek rzeki.

— Wiosło... wiosło... zakładaj na miejsce wiosło! — krzyczał Piotruś.

Mieczyś schwycił ciężką łopatę i podniósł ją w górę, ale pod ciężarem zachwiał się, potoczył do burty i o mało nie wpadł do wody. Wówczas Piotruś kazał mu zachować się spokojnie, sam wiosło założył i łódź z wielkim trudem zwrócił we właściwym kierunku. Ale z wiosłowaniem poradzić sobie nie umiał; za głęboko w wodę pogrążał łopaty, i łódź zwolna posuwała się naprzód.

Mieczyś siedział, jak skamieniały, stopniowo jednak się ośmielał.

— Mój Boże, jak to już daleko jesteśmy od brzegu, a wokoło, jak okiem rzucić, tak jasno i woda pluska. Słyszysz, jak ona pod deskami szeleści i łódź naszą łaskocze?... Sądzę, że od tego można dostać morskiej choroby.

— Głupiś, siedź cicho! Nie szanuję cię, przekonałem się, że jesteś tchórz! Jaka tam morska choroba na rzece! Lepiej zaczerpnij wody czapką i daj mi się napić, gdyż wioseł wypuścić nie mogę, rozumiesz przecie?

— Tylko nie przechyl łódki i nie wpadnij do wody.

— Rozumiem... doskonale rozumiem.

— Wiesz co, przesuń się na sam dziób, tam łódź zawsze mniej się kołysze!

Mieczyś ostrożnie powędrował na kolanach na wskazane miejsce, dostał wody, zaniósł bratu i sam się napił.

Tak mu się podobało w dziobie statku u burty, że już tam pozostał. Zwiesił rączkę nad wodą i bawił się, bryzgając dokoła perłowe, mieniące się krople.

— Piotrusiu, ja cię kocham okropnie!... Tu wszystko takie ładne... Patrz: ryba! doprawdy ryba z ogonem! — wołał co chwila z zachwytem.

Piotruś rzucił wiosła i wytarł spotniałe czoło. Nęciło go zobaczyć rybę, ale czuł jednocześnie, że nie mógł zostawić „samopas“ statku. Najmniejsze niedbalstwo mogło spowodować rozbicie. Więc obejrzał się tylko za siebie na przeciwny brzeg, gdzie na stoku wzgórza wśród zieleni parku bielał ich dom. Jaki on teraz był inny! a jaki śliczny! U samej wody siedział Cezar i żałośnie poszczekiwał, wstrząsając długiemi uszami.

— Szkoda, żeśmy go nie zabrali. — Byłby nam się przydał na polowaniu.

Stało się. Wracać już było za daleko. Błyszcząca, lazurowa szyba pochłaniała ich, jak przepaść.

Drobne żyłeczki prądu i migotliwa łuska płytkich fal ogarniały ich ze wszech stron. Łódź kołysała się ruchem miarowym, jak swobodnie puszczona huśtawka. Zielone brzegi uciekały w dal. Górą białe chmury karawaną dążyły ku słońcu. Między dwoma przestankami błękitów ukazała się nagle upragniona wyspa tajemnicza i chyżo zbliżała się ku nim po śliskiej, kryształowej toni. Można już było rozpoznać pojedyńcze drzewa jej lasu, ogniste pnie i konary niebieskawych sosen, blade kolumny brzóz z żółtawemi liśćmi i brunatnemi wiciami gałązek, ciemne, kędzierzawe kopuły olszyn. Bliżej, u samej wody, kołysane wiatrem chwiały się smukłe, pozłociste i, jak trzcina, drżące zarośla. Miały listki kiściaste, podłużne i popielate.

— Patrz, Mieczysiu: napewno „rokita“!

— Więc to jest rokita?! Jaka cudna!

„Rokito, rokito, co ci oczko podbito!...“ zaśpiewał Mieczyś i dygnął jej tak ładnie, że o mało łódki nie wywrócił.

— Ostrożnie, niezgrabiaszu! Rozbijesz statek! Cała sztuka w tem teraz, żeby wylądować. Będę wiosłował, kierował, a ty łap i skacz na brzeg z łańcuchem.

— Co łap?

— Co się da.

— Doprawdy, jesteś dziwak. Mam łapać, kiedy niewiem, co.

— A więc dobrze! Daj mi pokój!

Piotruś zaczął manewrować łodzią, uderzając jednem wiosłem, to drugiem; nagle silne wstrząśnienie zachwiało statkiem. Mieczyś upadł na dno, jak długi, Piotruś zleciał w tył z ławki.

— Co się stało? pewnie skała podwodna!

Starszy chłopiec podniósł się, ale natychmiast przysiadł i oczy dłonią zasłonił; uczuł w nich silny ból od słonecznego blasku, wydało mu się, że pędzą z szaloną szybkością, gdy tymczasem stali na miejscu, a tylko wartki prąd kłębił się i z pianą przelewał mimo łodzi.

— Ławica! — zawołał znacząco Piotruś. — Siedliśmy na mieliźnie.

— A co!? A ty mówiłeś: łapaj! Co tu łapać, kiedy jeszcze nic niema, prócz nieba i wody.

— To nic, tu płytko.

— Wiesz co? Mówisz zagadki, a tu przecież i o moje chodzi życie.

— Tak, ale ty nic nie rozumiesz! Mielizna nie jest rozbiciem okrętu. Wyspa jest blisko, możemy się uratować, zbudowawszy tratwę z ławek i wioseł.

— Doskonale.

— Wcale nie. Naprzód spróbujmy łódkę zepchnąć z mielizny; tak wszyscy robią. Siedź i pilnuj rudla, a ja zdejmę buty.

— I ja zdejmę buty.

— Zdejm, a tylko uważaj i łap, co się da, gdy się zbliżymy do wyspy.

Wody miał po kolana: była ciepła, czysta, a płynęła tak wartko, że muł, poruszony na dnie, uciekał z pod stóp, jak kłębuszki dymu, unoszone wiatrem. Piotruś miał wielką ochotę zatrzymać się dłużej w tem miejscu. Zaledwo jednak dotknął łodzi, gdy, porwana prądem, popłynęła dalej. Mieczyś, rzuciwszy rudel, musiał go wciągać do łódki. Gdy wreszcie znaleźli się na miejscu, ogarnął ich nagle cień, zaszeleściły gałęzie, a dziób łodzi znowu o coś potrącił, przyczem czapka Mieczysia upadła na dno.

— Trzymaj... łapaj...

Dzieci wyciągnęły ręce, ale wszystko uciekło im z pod palców.

Prąd omijał wyspę, zaczerniało ostatnie, wysokie podmywisko z pochyloną nad wodą garbatą wierzbą, z głębi

zaiskrzył się od słońca obszar otwartej rzeki. Piotruś stanął na przodzie łodzi, zebrał siły i wpił się palcami w zielone warkocze starej czarownicy. Pęd zrzucił go na dno, ale chłopak wierzby nie puścił, łódka pochyliła się, fale zawrzały u burty i przycisnęły statek do samego brzegu. Mieczyś pomógł bratu zaczepić łańcuch o pień wierzby, poczem klapnął ją po zmurszałym garbie i rzekł pieszczotliwie:

— Poczciwa!

Wacław Sieroszewski.

2. Nad kołyską moją.

Nad kołyską moją
Srebrny Anioł Stróż
Smutne nucił piosnki
I łzy ronił już.
Na me czoło łezka
Spadła, niby kwiat,
Wieczystego bólu
Wyciskając ślad.
Jam wyrastał zwolna,
Smutek ze mną rósł,
Mrożąc radość wszelką,
Jak pierwiosnki mróz.
Nie zaznałem, czem są
W życiu jasne dni,
Wiecznie tęskno, gorzko,
Wiecznie smutno mi.
Kędy zwrócić zdołam
Załzawiony wzrok,
Wnet za sobą wiodę
Smutku, bólu mrok.
Szczęście w jednej chwili
Niknie z przed mych stóp,
Zostawiając rozpacz
Lub zwątpienia grób.
Nad kołyską moją
Srebrny Anioł Stróż
Smutne nucił piosnki
I łzy ronił już.
Na me czoło łezka
Spadła niby kwiat,
Wieczystego bólu
Wyciskając ślad.

Wł. Bukowiński

3. Majówka.

Rozsypana na rynku boruńskim młodzież swobodnie używała wieczora, piłka lekko szybowała przez powietrze, kiedy ksiądz Fizyk, który brał udział w zabawie, spojrzał na zachód i jakby od niechcenia rzucił uwagę: — „Jutro dzień piękny; wartoby, dzieci, o majówce pomyśleć.“ Ksiądz Fizyk nigdy się w proroctwie nie myli: jutro dzień piękny, więc wnet wielka przed kościołem składa się rada, na której jednomyślnie uchwalono prosić o majówkę na jutro. Wyprawiona tuż w tropy za księdzem Fizykiem do księdza prefekta delegacja, a wybrana ze śmielszych zuchów i mających łaskę u księdza prefekta, powraca w kwadrans z klasztoru. Krzyczą zdaleka posłowie: — M a j ó w k a! m a j ó w k a! Okrzyk się powtórzył na rynku: M a j ó w k a!

Na to hasło pan Kazimierz, arcydobosz szkolny, wie, co ma czynić; bieży do kościoła, porywa z chóru ogromny bęben i, waląc weń, co ma siły, maszeruje po całem miasteczku. Za nim biegnąc, liczna tłuszcza głuszy huk bębna nieprzestannem wołaniem: M a j ó w k a! Gdy zemdlały ręce panu Kazimierzowi, a krzykaczom zachrypło w gardle, rozbiegli się nakoniec wszyscy do domów, padli na pościele i każdemu śni się majówka.

Ledwie nazajutrz dzień zaświtał, leniwi w każdym innym czasie chłopcy zrywają się ochotnie z pościeli: każdy skwapliwie pakuje zapasy podróżne.

Pan Kazimierz daje hasło w taraban, a szósto-klasista, otoczony liczną asystencją, wynosi z kaplicy studenckiej szkolną chorągiew. Na niej z jednej strony wyobrażenie patronki szkolnej, Bogarodzicy, bogato na białym atłasie wyszyte, na drugiej zaś stronie kłosisty snop zboża, godło plonów z nauki. Około tej chorągwi tłum dziatwy coraz liczniej się gromadził, rozmaite głosy i krzyki rozlegały się po całem miasteczku, a jednoczyły się i zlewały w jedno w tłumie.

Scena ta pełna ruchu i życia: tu skaczą z radości, stamtąd biegną bez pamięci, wyrzucając czapkę w górę i łapiąc ją w powietrzu; tam się czubią i godzą, a w powszechnym wrzasku słychać pisk strojonych klarynetów, brzęk fałszywej strunki skrzypców i pomrukiwanie jakby godzącej te spory poczciwej basetli.

Wreszcie wychodzi z klasztoru sztab główny: ksiądz prefekt, jako naczelny wódz, i księża profesorowie. Ksiądz

Fizyk uprzedził wszystkich, stanął w tłumie i głośno zawołał: „Dokądże pójdziemy, dzieci?“ „Do Giejstun!“ — wołają jedni; „Do Olan“ drudzy; „Do Zahorza!“ krzyczą trzeci. Któż rozdzielone zdania zjednoczy?... Tenże sam ksiądz Fizyk, który sprzeczce dał powód. „Do Zahorza pójdziemy, księże prefekcie! Do Zahorza, dzieci; już ja ręczę, mosanie, że będzie tam dobrze!“ I, nie czekając odpowiedzi, pchnął w kark chorążego. „Do Zahorza — krzyknął — marsz, mosanie cymbale! marsz! marsz!“ Zabrzmiały klarynety, skrzypce i basetla, ruszyła chorągiew, a za nią hurmem wszyscy.

Miła jest nader okolica Borun po drodze ku Mińskowi. Po wzgórzach, jakby po falach, podnosi się ona i spływa, a z każdego wzgórza coraz to nowe, a zawsze przyjemne odkryjesz obrazy. Najpiękniejsze gaje z rozmaitego drzewa i w rozmaitych formach wznoszą się gęsto na góry lub schodzą na łąki, między rozległemi i okrytemi bujnem zbożem polami w dolinach rozesłane; gdzieniegdzie małe widać wioseczki, rozłożystemi dęby i kosatą brzozą ocienione. Po obu stronach drogi, w gronie drzew owocowych lub stuletnich lip, wznoszą się dwory i dworki, w szybach przejrzystych stawów, jak w zwierciadłach, odbite; dróżki wąskie, wijąc się po wzgórkach i polach, łączą sąsiadów, a strumyki, z jednego do drugiego przebiegając stawu, szumią na młynkach, tu i ówdzie rozrzuconych, i ożywiają tę piękną, ludną i powabną krainkę, która całością zachwyca, a szczegółami przynęca.

Po tej to drodze, wysypawszy się z miasteczka, ciągnęła czerń szkolna wesołym pochodem przez półtorej najmniej godziny; potem zwróciła się małą drożyną naprawo ku dworowi, dającemu się postrzegać blisko wzgórza: to cel wędrówki, Zahorze! Maszerujemy więc w porządniejszym szyku przy odgłosie samej tylko muzyki prosto na dziedziniec: a gdy pod bramę chorągiew się zbliża, występuje na powitanie uprzejmy gospodarz, pan szambelan Bujnicki.

Któż z moich kolegów nie przypomni sobie, jak poczciwy staruszek rad był swoim gościom, jak się uwijał między dziatwą, jak, poprawiając pasa na niskiej, krępej a rubasznej figurze swojej, błyskał szeroką łysiną, kłaniając się na wszystkie strony! Za nim wysypuje się liczne grono mamuniek.

Na ten widok chłopcy krzyczą z zadziwienia, a ksiądz Fizyk odzywa się z uśmiechem: „A cóż, dzieci? Nie mówiłem, mosanie, że tu nam będzie dobrze? — hę?“ Oj! bo ksiądz Fizyk wysłał na całą noc żebraczkę Raducinę do bliskich dworków, uwiadamiając mamunie o majówce i zapraszając do Zahorza;

wiedział więc, kto się tam znajdzie, a zatem śmiało zaręczał, że tam będzie dobrze.

Pieszczota dziatwy z rodzicami budziłaby zazdrość w innych, gdyby wesołość powszechna nie tłumiła wszelkich innych uczuć i myśli. Nareszcie ksiądz prefekt i profesorowie wchodzą do budynku; za nimi starszyzna, panowie dyrektorowie; za nimi malcy, którzy tu rodziców znaleźli; nakoniec muzyka: wszyscy, którzy mają ochotę, proszeni i nie proszeni, sute tam znajdują śniadanie. A tymczasem główny tłum majówki zwraca się na równinę, u spodu wzgórza, na którem dom się wznosi, rozciągającą się szeroko i bujnemi brzozami zrzadka porosłą, tak że i cień przed spieką w południe gotowy i miejsca na zabawy wystarcza. Tam się rozmierza m e t a, obok wyznaczają place do z a j ą c a, do p r z e p ę d z a n k i, do p a l a n t a; indziej ścisłe sadowi się koło i bolesna skręca się p y t a n a s z y d ł o, ówdzie usiedli gracze w m a t o n y; tam wysypano przyniesione k r ę g l e; ówdzie kupią się gracze w p o n ę; słowem, każdy wybiera, co lubi, i od jednej do drugiej swawoli przebiega.

W budynku, po sutem śniadaniu, pan Bujnicki musnął się po łysinie; pan Dziewałtowski, metr muzyki, zrozumiał chęć gospodarza, chwycił za skrzypce i urznął poloneza; reszta panów wirtuozów stanęła obok, a ucieszony pan szambelan: h u h a! zawołał i stanął w pierwszą parę z panią mostowniczyną. Dziatwa wybiegła do gaju, panowie dyrektorowie[1]) stanęli za panem szambelanem i zaczęły się tańce.

Tak dzień przelatywał wesoło. Gdy godzina podwieczorku nadeszła, pan szambelan z całą kompanją wychodził do gaju; tam, w zgromadzonym tłumie dziatwy stanąwszy, równie grzecznie i uprzejmie, jak przy powitaniu, kłaniając się, zapraszał na podwieczorek. O! jakże go kochano w szkole boruńskiej! dzieci i rodzice zarówno mu byli wdzięczni. Pan Bujnicki szanował i jednał sobie miłość nowego pokolenia swych ziomków; była to uprzejmość obywatelska, którą każdy z sąsiadów boruńskich z równą, jak pan Bujnicki, rozkoszą i z chlubą nawet wyświadczał, gdy miał gościem całą szkołę boruńską. Trzeba też było zagadnąć którego malca o panu szambelanie; za każde wątpliwe o nim słowo dostałbyś sińca na czole, choćby wnet na pieńku odpokutować przyszło. Podwieczorek wiejski! kredens sejmikowy! w długich stodołach i odrynach[2]) usta-

[1]) Dyrektorami nazywano w dawnych szkołach polskich dozorców młodzieży, byli to najczęściej uczniowie klas wyższych.

[2]) Odryna — szopa na siano.

wiono wzdłuż i nakryto stoły, zedle i ławy zastawiono garnkami wybornego kwaśnego mleka; chleba i soli dostatek, misek i łyżek drewnianych mnóstwo; apetyt studencki, podniecony kilkugodzinną swawolą, wilczy!

We dworze wyśmienita kawa z wyborną wiejską śmietanką i cwibaczkami[1]) ocukrowanemi, których mamunie kopami nawiozły, zasila uczone grono i wesołych przed chwilą towarzyszy w poważnych i mądrych przemienia statystów[2]).

Przeciągły podwieczorek doprowadził aż do zachodu słońca; zatem na skinienie księdza prefekta dano niespodziane hasło w taraban. „Ach! ach!“ krzyknęły przelęknione damy. — „Czas wracać“ — rzekła smutna dziatwa i gromadziła się około chorągwi, wbitej na środku dziedzińca, na który i cała kompanja wyszła z pokojów. Rozpoczynały się więc pożegnania i powszechne i szczególne; księża prawili panu szambelanowi podziękowania, pan szambelan znowu się kłaniał na wszystkie strony; chłopcy czepiali się szyi matek.

Wracamy więc. Rój nas około księdza prefekta i chorągwi, jak pszczoły około matki, ciemnym, gęstym i szumnym posuwa się kłębem; reszta odlotków długiem po gościńcu ciągnie się pasmem i odstrzela się pojedyńczo na boki. Znowu wchodzimy na górę, ale we wstecznym kierunku, więc i przeciwny z niej uderza nas widok. Horyzont tuż za Borunami głębokim w półkole ogranicza się lasem; na nim, jak na tle czarnem, odbite białe gmachy kościoła, klasztoru i wież boruńskich poważny i uroczysty dają obraz.

Przy wejściu do Borun marsz triumfalny ozwał się znowu. Natenczas dziatwa, złamawszy szyki i porządek, rzuciła się do miasteczka, jakby je szturmem zdobyć chciała; muzyka umilkła na rynku; zmęczona tłuszcza rozsypała się po kwaterach, a księża niknęli jeden za drugim w ciemnych korytarzach klasztornych. Gwar zwolna ustawał, coraz ciszej było i ciszej, aż nakoniec piękna noc majowa ogarnęła to siedlisko wesołości, na setne rozdzielonej serca.

Ignacy Chodźko.

---

[1]) t. j. sucharkami.
[2]) Statysta — mąż stanu, polityk.

4. Na kładce życia.

Wpośród zarośli, na łączce zielonej,
Z poszmerem strumyk toczy się spieniony,
A na nim kładka pół omszała leży,
Dwoma końcami dotyka wybrzeży.
Po tej deszczułce idzie drobna dziatwa,
A jest ich troje... Przeprawa niełatwa,
Bo kładka wąska: drżące niebożęta
W wodę utkwiły błękitne oczęta,
A przecież idą, snadź chętka je niesie
Zajrzeć do lasu...
Jedna chce w tym lesie
Nazbierać w króbkę jagódek dla matki,
Może się zdarzy znaleźć grzybków kilka...
Drugie zagadnie: — „Snadniej spotkać wilka,
W ciemnych ostępach siłać ich się kryje,
A po moczarach pełzają tam żmije.“
Trzecie odpowie: — „Mnie to nie ustraszy,
Rosną tam zioła i barwiste kwiaty,
Z nich ja uplotę wianuszek bogaty,
Do stóp go złożę tej Królowej naszej,
Co na ołtarzu w gwiazd koronie świeci.“
Idą po kładce i szczebiocą dzieci...
A ponad niemi kolysze się z góry
Na lekkiej chmurce anioł złotopióry;
Dzieci go własnym nie dostrzegły wzrokiem,
Gdyż niebo większym zabiegło pomrokiem,
Lecz idą śmiało, nie braknie im siły,
Lica się dziatek krasą zrumieniły,
Snadź przeczuwają, że zdala od ziemi
Anioł w obłoku straż trzyma nad niemi.

* * *

Dzieteczki moje, dziś wielka to chwila,
Bo rok się kończy — i wiek się przechyla.
Dokoła głucho i pusto, jak w lesie;
Wyście na kładce, rzuconej w pomroku
Z wieku do wieku, od roku do roku;
Ta krucha kładka — gdzie ona poniesie,
Czyli na drogę chropawą, czy gładką,
Nie pytasz nawet, ty Boża czeladko!

Czy pamiętacie, jak mateńka miła
Wam do pacierza rączęta złożyła?
Wy wiecie od niej, że Anieli Stróże
Od główek waszych odganiają burze;
Iż, póki człowiek przed Bogiem się korzy,
Przy jego boku stoi Anioł Boży;
A gdy mu siły do życia nie starczą,
On najpewniejszą osłoni go tarczą
I wskaże błędnym, gdzie bezpieczna droga
Z ziemskich manowców prowadzi do Boga!

Seweryna Duchińska.

5. Po kwiat paproci.

Ignaś wyskoczył z łóżeczka, ubrał się pośpiesznie, wyjął z szufladki drogocenną broń, w którą się zaopatrywał na wszelkie wyprawy, kozik za sześć groszy; wdrapał się na okno, odemknął zaszczepki i zręcznie zeskoczył na ziemię. Noc była widna: na sklepionych szafirach stał w aureoli srebrnej mgły wysoki krążek księżyca, tu i owdzie iskrzyły się gwiazdy, gdzieś daleko klekotał spóźniony wóz... W cieniach ganku warknęło krótkie szczeknięcie.

— Znajda! — zawołał stłumionym głosem.

Łaciasty pies podbiegł do chłopca, kręcąc ogonem, wysunął przednie łapy, przeciągnął się i ziewnął skomląco. Ignaś poklepał go po łysym łbie i skierował się razem do parku.

W mrocznych alejach, pełnych przywidzeń tajemnych i szeptów trwożliwych, w sercu chłopca począł się trzepotać bojaźliwy niepokój; przytrzymywał tedy przy sobie Znajdę, ściskając na fałdach jego skóry mocnej rączkę, ilekroć odezwał się zagadkowy szmer. W ten sposób ciemnemi labiryntami przedostał się na widniejsze miejsce aż pod chróściany płot, gdzie w płytkim wąwozie krzewiły się obficie kępy paproci. Tu puścił psa; Ignaś wiedział, że kwiatu należy szukać w lesie, ale że w łódeczce, którą się zamierzał przeprawić na wysoki lesisty brzeg, nie było ławki, chciał więc sobie urządzić siedzenie z czarodziejskiego ziela. Zapomocą kozika zaczął więc ciąć zapamiętale wilgotne, frendzliste liście, a gdy już pęk był gotów, związał go pnączem chmielu, przerzucił przez ramię i, tak obładowany, przecisnął się przez dziurę w płocie na łąkę.

Tu otworzyły się przed nim, oblane pełnią księżyca, trącane lekkim wiatrem, rozległe przestrzenie. Garbate pola

chwiały się powabnym rytmem bujających się zbóż, niby kołyski, rozwiewające zapach.

Po sennych wodach ogromnego stawu migotały drobne smugi fali, której zmarszczków czepiały się sine pasma oparów, jak nici wiotkiej przędzy; z dymiącej się łąki ku odległym moczarom płynęły rozwiewne kształty białawych tumanów, niby słaniające się błędne postacie w powłóczystych welonach, i tam rozsrebrzoną szeroką kurzawą wstępowały w niebo.

Cicho było, gdzieś tylko niedaleko biła pełnym tonem przepiórka i dwa chróściele darły naprzemian chrapliwe swe głosy.

Znajda wyprzedzał Ignasia i ostrym kłusem przebiegł w zygzakach łąkę; coś furknęło, pies rzucił się i znikł.

Kiedy powrócił, Ignaś już był na brzegu stawu i wyciągnął schowaną między balami żerdź, którą się posługiwał zwykle zamiast wiosła. Nad głową chłopca przewinął się kilkakrotnie wyolbrzymiały w cieniach lelek[1]), dalej porwał mu się z pod nóg duży kulon[2]) i, poświstując tęsknotą, zniknął zaraz w pomroce.

Ignaś, wlokąc tyczkę, dotarł do małej zatoki, gdzie czerniała wąska, płaska łódeczka. Tu rozwiązał snop ziela, wysłał nim, jak matą, stojącą w zagłębieniu łódki wodę i, rozstawiwszy nogi, począł się odpychać żerdzią od brzegu. Dziób łódki obracał się to w tę, to w ową stronę, ale na jednem miejscu.

Chłopak wyskoczył, zdjął buciki, rozkazem: waruj! powierzył je opiece Znajdy i, wszedłszy po kostki w wodę, popychał łódkę przed sobą po piasku; poczem nagłym ruchem wdrapał się do środka. Pies cały czas kręcił się niespokojnie, rzucił się do stawu, ale szybko się wycofał i, popiskując żałośnie, patrzył na stojącą na czarnej plamie figurkę, która się oddalała od brzegu, aż nareszcie znikła, jakby wsiąknęła w unoszący ją cień. Wówczas dopiero Znajda otrząsnął się z wilgoci, zwinął w kłębek w pobliżu bucików i począł drzemać czujnie.

Tymczasem jego pan był prawie na środku Śniwody; żerdź nie sięgała już dna, więc usiadł w łódce, powierzywszy ją prądowi fali, która w tem miejscu była istotnie leniwa i niosła ją już wolno w kierunku pożądanym na brzeg przeciwległy, gdzie stał tęgi, wysoki mrok lasu.

Pozbawiony zajęcia, Ignaś począł się rozglądać wokoło.

Nagle otarła się burta łódki o szuwary. Z gwałtownym łopotem uniosła się nad niemi ciemna plama, wydając zardzewiały

[1]) Ptak nocny.
[2]) Ptak błotny.

krzyk, i przepadła. Chybnęła się dusza Ignasia, ocknął się i wrócił do siebie.

— Kaczka! — szepnął z zimnem mrowiem przestrachu, z ciężkiem uczuciem nagłego osamotnienia.

Rozejrzał się żałośnie. Uprzytomniał sobie, po co płynie, i odzyskał sprężystość energji. Wstał i, chwytając się za tatarak, posuwał się wzdłuż szuwarów i znowu utknął dziobem łódki w stary, wysoki oczeret; coś licznego furknęło i przesypało się na drugą stronę, jak garście śrutu.

— Szpaki pewno! — pomyślał Ignaś i, odpychając się żerdzią, wycofał się na czystą wodę.

Kiedy nie zmacał dna, usiadł, rzucił listek na falę i z otuchą zobaczył, że płynie w stronę lasu; ucieszył się, poczytując to za dobrą wróżbę, i nabrał pewności, że kwiat znajdzie. Zaraz też sobie zaczął wyobrażać jego wygląd. Widział na zarysie liści paproci małą, złotą gwiazdeczkę promienistą i, czując w drżącej radośnie dłoni gorące jej kształty i miękkość aksamitu, obejrzał się na dwór. Srebrzyły się dachówki, okna były ciemne.

— Śpią i nic nie wiedzą!... — szepnął z rozczuleniem. — Do czasu sekret, ani mru-mru!... Życzenia wszystkich spełnione... Stryjcio zdrów! Ciocia ma kopalnię złota w ogrodowym lochu; ubranka same łatają się nocami; kuce, wózki, łuki, niesłychane zabawki zjawiają się na żądanie, jak z pod ziemi... Dzieci, wszyscy starsi... Dziadunio... Jan, cała wieś... wszyscy zadowoleni. Biorą, co się komu podoba, cieszą się i dziwią... A on taki rad, taki rad, aż płakać się chce.

— Boże mój, Boże... — szepcą usta dziecka i, jak w modlitwie, podnosi się ku niebu uskrzydlone rozrzewnieniem serce.

Znowu miękko zatrzymała się łódka.

Ignaś oprzytomniał.

Wstał, by zobaczyć przeszkodę.

Od ściany lasu oddzielał go długi, lecz niezbyt szeroki pas, zarośnięty niskim tatarakiem i rzadkiem sitowiem.

— Omijać... daleko! chyba się przebić!... — postanowił chłopak.

Zanurzył żerdź, oparł się całą siłą i pchnął łódkę; z szurgotem podnosząc dziób w górę, wsunęła się między zielsko.

Jeszcze raz udało mu się posunąć ją o parę cali, lecz dalej ani rusz; uwięzła w kępach.

Czarna gęstwina lasu była tak blisko, że chłopak słyszał szelest rozbujanych wierzchołków; czuł idący stamtąd chłód i widział padający nań cień.

Nie namyślając się długo, zakasał, jak mógł najwyżej, majteczki i stanął na najbliższej kępie. Ugięła się, bulgocąc. Nóżki do kostek pogrążyły się w ciepłej wodzie, rozszedł się zapach zgniłych korzeni tataraku. Chłopiec przeskoczył na drugą kępę, za którą zaczynała się jakby murawa darni, pokrytej posoką.

Ignaś rozróżniał już ciemne pieczary wnętrza lasu. Serce zabiło mu mocniej i nagle zatrzymał się, jak wryty.

W jednem miejscu, prawie nad ziemią, unosiła się zielonawo-błękitna iskierka; zatrzymała się i błyszczała najwyraźniej. Ignaś uczuł gorąco zapartej w piersiach krwi, i fala ciepła oblała go od stóp do głowy. W uniesieniu radości, zapatrzony w mistyczne[1]) światełko, począł biec prawie. Wtem zachybotało się wszystko naokół; przerwało się trzęsawisko, i chłopak zawisł na łokciach w wodzie, pogrążając się zwolna coraz głębiej. W szamotaniu okręcił się i złapał oburącz za jakieś ostre komysze. Miękka, rozlazła, drgająca masa chwytała go za nogi i ciągnęła pod kępy...

Chciał krzyknąć, ale głos zastygł mu w krtani. Zacisnęły się żyły i wszystka krew na moment zatrzymała się w rozdętych arterjach; a potem skurczyły się tętnice, krwawy prąd buchnął do obwodu ciała i serce stało się wystraszoną pustką. Trzymając się słabnącemi rączynami za sitowie, Ignaś utkwił skamieniałe z przerażenia oczy w cichy, uśpiony dwór.

— Ratujcie! — jęczały obłąkane rozpaczą myśli.

Słodkie omdlenie rozjęło małe palce.

I nagle rozwarły się bez szelestu stare zręby domostwa. Dziecko znalazło się wśród swoich; rozwinął mu się w oczach ostatni dzień...

Potem przesunęło mu się marmurowe oblicze matki, wychudła postać ojca, a potem jakieś rozwidnione twarze zmarłych rodziców z akordami dźwięków i plamami barw i świateł, wreszcie poszarzały światła, dźwięki stały się zmieszanym zgiełkiem...

Tymczasem zewsząd czołgały się śliskie macki wodorostów, bezokie rzęsy, wysmukłe zielenice, przeciągały się zdaleka brunatną linją nenufary i oplatały jakby siecią ciało Ignasia, nim upadł na dno.

Bielała noc, wiatr się wzmagał. Szedł szmer w oczerety, poszum w las. Sieć zarabiała się pracowicie w całun wybładłej zieleni, jakby chcąc zataić przed złotem okiem słońca zrabowany skarb.

G. Daniłowski.

---

[1]) Mistyczne — tajemnicze.

6. Powrót do domu rodzinnego.

Niedawno odwiedziłem dom nieboszczki matki,
Ledwie go poznać mogłem! już ledwie ostatki!
Kędy spojrzysz — rudera, pustka i zniszczenie!
Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie,
Dziedziniec mech zarasta, piołun, ostu zioła,
Jak na cmentarzu w północ, milczenie dokoła!
O, inny bywał dawniej przyjazd mój w te bramy;
Po krótkiem oddaleniu gdym wracał do mamy,
Już mnie dobre życzenia spotkały zdaleka,
Życzliwa domu czeladź aż za miastem czeka,
Na rynek siostry, bracia wybiegają mali,
Gustaw! Gustaw! wołają, pojazd zatrzymali.
Lecą nazad, gościńca wziąwszy po pierogu;
Mama z błogosławieństwem czeka mnie na progu;
Wrzask spółuczniów, przyjaciół ledwo nie zagłuszy!...
Teraz pustka, noc, cichość, ani żywej duszy!
Słychać tylko psa hałas i coś nakształt stuku;
Ach! tyż to, psie nasz wierny, nasz poczciwy Kruku!
Stróżu i niegdyś całej kochanku rodziny,
Z licznych sług i przyjaciół tyś został jedyny!
Choć głodem przymorzony i skurczony laty,
Pilnujesz wrót bez zamka i bez panów chaty.
Kruku mój! pójdź tu, Kruku! Bieży, staje, słucha,
Skacze na piersi, wyje i pada bez ducha!...
Ujrzałem światło w oknach; wchodzę, cóż się dzieje?
Z latarnią, z siekierami plondrują złodzieje,
Burząc do reszty świętej przeszłości ostatki!
W miejscu, gdzie stało niegdyś łoże mojej matki,
Złodziej rąbał podłogę i odrywał cegły,
Schwyciłem, zgniotłem, oczy na łeb mu wybiegły!
Siadam na ziemi, płacząc, w przedporannym mroku
Ktoś nasuwa się, kijem podpierając kroku.
Kobieta w reszcie stroju, schorzała, wybladła,
Bardziej do czyśćcowego podobna widziadła;
Gdy obaczy straszliwą marę w pustym gmachu,
Żegnając się i krzycząc, słania się z przestrachu;
Nie bój się! Pan Bóg z nami, ktoś, moja kochana?
Czemu po domu pustym błąkasz się tak z rana?
„Jestem biedna uboga, ze łzami odpowie,
W tym domu niegdyś moi mieszkali panowie:
Dobrzy panowie, niech im wieczny pokój świeci!
Ale Pan Bóg nie szczęścił, dla nich i dla dzieci:

Pomarli, dom ich pustką, upada i gnije,
O paniczu nie słychać, pewnie już nie żyje.“

A. Mickiewicz.

7. Dzwony w miasteczku.

A te dzwony! te dzwony!
Gdy zagrzmią wśród błękitu,
Po ziemi i po murach
Idą dreszcze zachwytu.
Aż do najdalszych kresów,
Aż po chatki rybacze,
Miasteczko drży i dźwięczy,
I modli się, i płacze.
Gdy ich serce przed sumą
Rozkołysze niedziela,
Przysiągłbyś, że to w chmurach
Anielska gra kapela.
Pod wieczór już smętniejsze,
Ciszej na nieszpór dzwonią,
Jak gdyby odurzone
Kadzideł mocnych wonią...
Gdy kto z mieszczan do Boga
Z ziemskiej wraca tułaczki,
Dzwony nad jego trumną
Rozpaczają, jak płaczki...
Niekiedy sygnaturka,
Jak przelękła ptaszyna,
Głosem drżącym, zdyszanym
Jęczeć w górze poczyna.
Kto w mieście ją usłyszy,
Zamyśla się i lęka!
Kogo doleci w domu,
Przed obrazami klęka.
Wie każdy, że to gasną
Czyjegoś życia zorze,
Że ktoś w cichem miasteczku
Kona — skonać nie może.
Inny jest jeszcze śpiewak
Rozgłośny, chociaż mały,
Co, oprócz letnich skwarów,
Świergoce przez rok cały.
Co rano, w mgłach jesieni
I wśród zimowych mroków

Do szkoły, do nauki
Woła dziatwę — z obłoków.
Miasteczko sypia twardo,
Odmówiwszy pacierze,
Bo wie, że święty Florjan
Od przygody je strzeże.
Jednak czasem w noc późną
Zrywa się w nagłym lęku —
Łuna bije od okien,
Powietrze pełne jęku.
Dzwon wielkim głosem płacze,
Płacząc, jak człowiek, gada;
W ciszy słychać wyraźnie:
„Wstawajcie! Biada! biada!“
Ale najboleściwiej
Brzmi muzyka wieżowa.
Gdy się za dachów szaniec
Słońce gasnące chowa.
W tej porze uciszenia,
Gdy głosy ziemskie drzemią,
Dzwon modlić się poczyna
Za tych, co śpią pod ziemią.
A razem z dzwonem ludzie
I drzewa i kamienie,
I miasto szepce całe:
„Wieczne im odpocznienie.“

W. Gomulicki.

8. Ze szkoły.

Do szkoły to się chodziło różnie, jak tam którego dobra myśl napadła, albo i czasu stało; ale ze szkoły każdy chodził według postanowionego trybu, i tylko ostatnie już niedołęgi własnego chodu nie miały. Nazywaliśmy ich miętusami, że niby ni to, ni owo. Jak już który raz wypróbował, co mu najlepiej pasuje, to się tego cały kwartał trzymał; a za naśladowanie, czy podrywanie, srogie bywały bitki. Szosą waliło się, albo środkiem, albo tuż nad stojącemi z rzadka kupami kamieni. Lizusy chodziły poza kupkami, nad samym rowem, w który też, znienacka w kark wziąwszy, gęsto padali.

Zuchy, do których i ja się liczyłem, chodziły zazwyczaj samym wierzchem kupek, przelatując pędem od jednej do drugiej. To był honorowy sposób chodzenia, i tylko drugoroczni

przywilej na niego mieli. Frajery, pierwszoroczniaki, trzymały się środka, stąpając drobno, oglądając się dokoła, a nawet dając się prowadzić dziewczynom za rękę. Ale to już była sama bryndza, z niższego oddziału, a prowadzenie takie uważane było za tchórzliwość i godne ostatniej wzgardy niedołęstwo. Nikt tak nie psuł między chłopakami ducha, jak dziewczyny, co młodszych braci do szkoły wodziły.

Pchnie kto w kark takiego gagatka, po ludzku chce się z nim zadać, a ten do dziewczyny:

— Mańka! On się bije!

A Mańka zaraz do oręża staje, zaraz zbiegowisko robi, zaraz sprawa, zaraz wymysły od łobuzów, od andrusów, albo jeszcze gorzej. Tośmy tych przyszytych do dziewczyńskich spódnic tak unikali, jak ognia.

Chyba, że u nas który do samej dziewczyny co miał, wtedy najlepiej tyło takiego „przyszytego“ szturchnąć, a dobrze. Za sobą tak ci się nie ujęła żadna, jak za nim. Zaraz, jak kokosz: gda... gda... gda!... gda... gda... gda!... a my w śmiech.

Józiek Czepień, w starym, niebieskim kaszkiecie, który mu podarował maszynista Pawlak, chodził zazwyczaj samym środkiem drogi, z nosem zadartym do góry, jak gdyby co wietrzył.

Wszystkie wróble, gnieżdżące się na starych topolach nad drogą, znały tego chłopca i nienawiść do niego czuły. W miarę, jak szedł, na topolach powstawała niesłychana wrzawa, wróble rozlatywały się z drzew chmurą i chmurą na nie wracały, trzepocząc się i krążąc z okrutnym piskiem, jak to na kota lub na gacka[1]) czynią. Czasem puszczały się za nim całą kupą, aż do ostatniej topoli, do końca wysady, gdzie między czterema brzózkami stał krzyż na rozstaju.

A Józiek ręce po bokach trzymał, a nosa w górę zadarłszy, na wrzask ten nie zważał niby, czasem tylko, jak z niechcenia, śmigając to prawą, to znów lewą ręką. Ruch był tak mały, że nieznaczny prawie, ale skutek niesłychany. Razem bowiem z tym ruchem dawał się słyszeć w powietrzu cienki, ostry świst, a drobny kamyk leciał w górę z taką siłą i bystrością, jak z najlepszej procy. Zawsze też zrywał liści garść, gałąź suchą, albo nieco pierza. Szczególniej w gniazda trafiał Józiek wyśmienicie, i wtedy to podnosiły się owe lamenty wróble i ów wrzask piekielny.

Kiedy Józiek kamyki zbierał, nie wiedzieć, to pewna, że już przy wyjściu ze szkoły miał ich pełne rękawy i że tylko

[1]) Nietoperza.

przy wyjątkowo obfitych w gniazda topolach schylał się nieznacznie i drobnemi, długiemi palcami nabierał tyle kamyków od jednego razu, ileby drugi i szuflą nie nabrał.

Było u nas mniemanie, że Józiek nosem patrzy, bo oczu nie podnosił prawie od ziemi, a jego rzadkie, rude rzęsy zawsze mu niemal leżały na piegowatych policzkach. Spokojny był zresztą i do nikogo nie odzywał się w drodze; a im wróble srożej wrzeszczały, tem głębiej spuszczał rzęsy i tem szczelniej ręce do boków przyciskał.

Za Józkiem wychodził zwykle z ławki Koszela, któremu Wicek było.

Ten rozpędzał się od szkoły zaraz wielkim biegiem, a wyprzedziwszy nas kawał drogi, siadał na kamieniu i czekał. Ledwośmy się jednak zbliżyli, zrywał się i biegł, jakby go kto gonił, póki nas znów o jakie pół staja za sobą nie zostawił. Nazywaliśmy go wroną. Raz z tego przysiadania i zrywania się, co też i wrony, za chłopem orzącym latając po polu, czynią, a drugi raz od wielkiej, czarnej chusty, którą mu matka, wdowa, na katankę starą wiązała, że to nic ciepłego powierzch, choć i w tęgie mrozy, nie miał.

Gdy biegł, końce tej chusty fruwały za nim, jak skrzydła; gdy przysiadł, zwieszały się z kamieni, jak ogon. Nie opłaciło mu się wszakże wroną być i tą czarną chustą się okręcać, bo i tak zawsze zębami szczękał, aż do Wielkiej Nocy, a każdej wiosny blichowała go febra tak, jak baba płótno.

Ale Stefek Tomaszewski inną sztuką rzecz swoją prowadził. Od szkoły szedł w ukos dwadzieścia kroków i dochodził do rowu naprawo; zaczem znów nalewo i znowu naprawo i tak ciągle do samego domu. Idąc liczył. Nie odpowiadał wtedy na zaczepki i rozmów nie prowadził. Nie wielceśmy go lubili, bo z nim zabawy nie było żadnej. Prosty, jak tyka, ręce w tył, stary tornister na plecach, a tak równo chodził, że, gdyby kto za nim piasek sypał, o calby nigdzie nie skrzywił. W lewo idąc, liczył od jednego do dwudziestu, w prawo od dwudziestu do jednego. Zapytałem go kiedyś: dlaczego? Nie chciał zrazu mi rzec, dopiero mi się potem zwierzył, że miarkuje tym sposobem, kto ma większą rację, my, czy Żydzi? Ale musiałem się zaprzysiąc, że nie powiem nikomu.

Kiedy mu który umyślnie krok przestąpił, zatrzymywał się Stefek z niedomówioną liczbą na ustach, marszczył się i czekał, aż minie. Kiedy go kto sturchnął, także się zatrzymywał i, podniósłszy kułak, dobitnie wymawiał, co mu tam z porządku wypadło: pięć, siedm, jedenaście. Zdaje

się, że to nic. Ale nie przepuszczał nigdy, tylko na pierwszej pauzie grzmocił kark w sam raz tyle, ile mu tam wtedy z rachunku wypadło, ku czemu przednią pamięć miał, a i pięść takoż.

Bały go się chłopaki, jak ognia, i tylko co głupszy frajer, to mu w drogę właził.

Ale ja miałem na niego swój sposób. Kiedym mu dokuczyć chciał, siadałem przy nim w ławce i zaczynałem mówić „Powrót taty“. Przy pierwszych zaraz słowach zaczynał oczyma mrugać, potem ziewał i robił się taki blady, jakby mu kto węża przez skórę ciągnął. Dopieroż mój Stefek w pokorę. Alem ja tam na to niewiele pytał. To się nieraz trząsł, jak liść, a pot mu na czoło występował, choć zimą, jak rosa. Takie miękkie serce miał. Kiedy był w dobrym humorze, opowiadał nam, że, jak urośnie, do Warszawy, do dużych szkół na nauki pójdzie, tak samo, jak po szosie do miasteczka chodził, tylko, że wtedy nie po dwadzieścia, ale po sto kroków liczyć będzie, bo to wielka droga jest, i wielkie szkoły, i wielkie nauki. A kiedy mówił, rozszerzały mu się oczy bure, a długa twarz dziobata jeszcze się dłuższa robiła.

Razem ze mną, z tej samej ławki, wychodził zwykle Kubuś Nowotny. Tegośmy przezwali „swoboda“, choć to on, prawdę rzekłszy, do sroki bardziej podobny był, niźli do swobody, bo jeszcze w ławce przed wyjściem podkulał jedną nogę, a skacząc na drugiej, zbierał książki, zapinał spencerek, kładł czapkę i tak już całą drogę tym trybem przebywał. Tylko, że od szkoły do słupa skakał na prawej, a od słupa do huty, gdzie ojciec jego palaczem był, na lewej nodze.

Był to najgrzeczniejszy chłopiec z całej szkoły. Czy kto szedł, czy jechał, babie nawet, po żebrze idącej, kłaniał się swoją małą, zieloną czapeczką i mówił uprzejmie: „dzień dobry“ lub „dobre południe“, ani na chwilę nie przerywając przytem swojego skakania.

Zdarzyło się, że która z dziewczyn upuściła co za sobą, jako, że to dziewczyny jedna w drugą niezdary są, i stu kroków nie przejdzie żadna, żeby czego nie puścić z ręki, natychmiast Kubuś nadskoczył, podjął, podał, czapeczki nawet uchylił, choć to nie było u nas we zwyczaju, żeby się przed dziewczynami płaszczyć. One go też nie lubiły i ramionami na niego ruszały. Taki drugi, co je dobrze wyszturchał, większe łaski miał.

Zauważyłem jednak, że już u słupa rumieńce Kubusia znikały, a mała twarzyczka okrywała się zimnym potem, za-

nim doskakał do huty; blady bywał, jak opłatek, i uderzał we drzwi rękoma, jakby mu się w oczach mroczyło. Jeśli go zamrok taki chwycił na drodze, opierał się o ramię którego z nas, żeby nie paść; nigdy jednak nie chybił przyjętemu przez siebie zwyczajowi, takie kawalerstwo w nim było.

— Com obrał, tom obrał! — mówił i ocierał pot z twarzy chudą, żółtą ręką.

W trzeciej ławie za mną siadał Klimek Szuwała; ten miał psa Gasia i najdłuższą z nas wszystkich kapotę, z matczynego tołuba zrządzoną. Kapota była żółtawa, w ciemne pasy; kołnierz tylko miała granatowy i takież mankiety. Chodził w niej Klimek całą wiosnę, całe lato, całą zimę i nigdy nie było mu w niej ani zbyt gorąco, ani też zbyt zimno. W kapocie tej były kieszenie niezmiernie głębokie. Kładł w nie Klimek książki, kajety, pióra, kałamarz, linję, piłkę; i jeszcze pełne nie były. Kiedy w nie sięgał na spód, musiał zanurzać rękę aż po łokieć. W kieszeniach tych gromadził Klimek wszystko, co tylko znalazł; nieraz umyślnie dałem mu wiór, albo rzemyk, albo gwóźdź złamany, i to chował. Nadewszystko zaś miewał w nich stare skórki chleba, kości nawet, dla swojego Gasia. Gasio siadał na ogonie przed drzwiami szkoły i czekał na Klimka. Aż kiedy nie zadzwonią, kiedy się ono psiątko nie porwie, kiedy nie wpadnie do sieni!...

Ale Klimek tych czułości przy ludziach nie lubił. Gwizdał wtedy na psa niecierpliwy, gniewny prawie i przyzostawał u bramy. Dopieroż jak się cała kupa przewaliła przez podwórze, klepał Gasia i karmił go resztkami, dobytemi z czeluści swoich kieszeni, poczem obaj puszczali się w drogę. Klimek łagodny był i figle nasze przyjmował obojętnie, spokojnie; ale niech ręka Boska broni, żeby mu kto psa trącił! Wpadał wtedy w taką złość, że aż siniał cały i z oczyma na wierzch wysadzonemi rzucał się wprost do gardła.

Zwaliśmy go brytanem, o co się nie gniewał.

— Żebyś mnie, kpie jeden, nazwał swojem przezwiskiem, tobym cię zamalował! Ale jak psiem przezwiskiem mnie nazywasz, to i owszem! Wolę ja być psem, niż takim, jak ty, błaznem!

To słówko: błazen, raz wraz na języku miał; kochał nas jednak i dobrym był kolegą, a kiedy który z chłopaków chorował, to prosto ze szkoły do niego szedł, choć w domu kasza mu stygła.

Stasiek i Franek wychodzili razem, trzymając się za szyję i bose nogi tak pod miarę stawiąc, jak żołnierze w marszu.

Kto ich zdaleka widział, mógł myśleć, że jeden idzie, tak im to składnie szło. Bardzo ze sobą trzymały te chłopaki. Nazywaliśmy ich „majstry“, a to z tej przyczyny, że nade drzwiami staśkowego ojca był szyld:

„Kowalski, majster stolarski“,

a nade drzwiami frankowego:

„Stolarski, majster kowalski“.

I Stasiek i Franek sierdzili się o to przezwisko, a że nieraz na udry z chłopakami szli, więc ich potem przezwali „kapela“, bo jeden z nich gwizdał, a drugi na tornistrze basa mu dodawał. Kiedy oczy przymknę, widzę jeszcze ich wyciągnięte, cienkie, bose nogi, jak, nie pytając, czy żwir, czy piasek, maszerują ze szkoły z tą muzyką przenikliwą, od której w uszach darło. I widzę ich wielkie czapy watowane na lnianych, krótko postrzyżonych włosach, i to poważne spojrzenie modrych oczu, kiedy nam powiadali, dokąd idą. Bo zawsze gdzieś szli. To szli „za morze“ po takie miecze, co sto łbów odrazu tną; to szli „za góry“ po taką wodę, co umarli od niej wstają; to szli „na wojnę“, na taką wojnę, co jeden zginąć miał, a drugi zostać, i wtedy się najmocniej trzymali za szyje. Nie wiedzieli tylko, co którego spotkać ma: śmierć czy życie, a że obaj sławnie zginąć chcieli, więc co pauza ciągnęli węzełki, i coś ucho między nich puścił, zawsze koło tego gadanie jakieś było, bo ustąpić żaden nie chciał.

Dopiero coś przed samem Bożem Ciałem zdecydowali, że obaj zginą, i tak nastał spokój miedzy nimi.

Porzucili już nawet chodzenie „za morze“, a także chodzenie „za góry“, i ciągle już potem „na wojnę“ tylko szli, i mało się co nawet bryczkom i wózkom ustępując z drogi, jako, że już raz kozie śmierć, kiedy i tak obaj zginąć mieli.

Marja Konopnicka.

9. Grajek.

Gdy opuszczałem na długie lata
Rodzinną wioskę,
Nie wiodłem z sobą druha ni brata,
Lecz czarną troskę.
Nikt mnie nie żegnał łzami rzewnemi,
Nikt nie szedł ze mną,
Było mi gorzko na świętej ziemi.
Pusto i ciemno...

I nie żegnałem i ja nikogo,
Nikogo w siole,
Chatynkę tylko starą, ubogą,
Łąkę i pole.
I te stokrotki, i te powoje
Przy Bożej Męce —
Burka, co w oczy zaglądał moje
I lizał ręce.
I lipy stare, co mi szumiały
Dumki żałosne,
I ten konwalji kwiatuszek biały,
I naszą wiosnę...
A z sobą wziąłem z rodzinnej chaty
Zbytek jedyny:
Obrazek, którym dostał przed laty
Z ręki matczynej.
Urwałem tylko gałązek parę
Z wierzby nad strugą
I wziąłem ziemi dwie grudki szare
Na drogę długą.
Świtkę na ramię, czapkę na głowę,
Szkaplerz dziecięcy,
I skrzypki moje, skrzypki lipowe —
I nic już więcej.

Wł. Bukowiński.

10. W szkole niemieckiej.

Rodzina Michasia była niegdyś bardzo zamożna, ale — za dużo kochali... więc rozmaite burze rozchwiały fortunę, a to, co zostało, nie jest wprawdzie nędzą, nie jest wprawdzie ubóstwem, jednakże w porównaniu do dawnych czasów — miernością. Michaś był ostatnim z rodziny; to też pani Marja kochała go nie tylko jak własne dziecko, ale zarazem jak wszystkie swoje nadzieje na przyszłość. Na nieszczęście z zaślepieniem, zwykłem matkom, widziała w nim niepospolite zdolności. Chłopiec wprawdzie istotnie nie był tępy, ale należał do tego rodzaju dzieci, których zdolności, z początku średnie, rozwijają się dopiero później razem z siłami fizycznemi i zdrowiem. W innych warunkach mógłby był skończyć szkoły i uniwersytet i stać się pożytecznym pracownikiem na każdem polu. W tych, jakie istniały, męczył się tylko i, wiedząc o wysokiem wyobrażeniu, jakie matka miała o jego zdolnościach, wysilał je napróżno.

Wiele na świecie widziały oczy moje, i postanowiłem nie dziwić się niczemu, ale wyznaję, że z trudnością uwierzyłem, by mógł istnieć taki zamęt, w którymby dziecku na złe wyszła wytrwałość, siła charakteru i praca.

Pracowałem z Michasiem, jakby od tych stopni, które on za postępy dostawał, moja własna przyszłość zależała. Bo też obaj z moim drogim chłopcem mieliśmy jeden cel, a to: nie zmartwić jej, pokazać dobrą cenzurę, wywołać uśmiech szczęścia na jej usta. Gdy mu się udało dostać dobry stopień, malec przychodził z klasy rozpromieniony i szczęśliwy. Zdawało mi się, że w takich razach urósł nagle, że się rozkurczał; jego chmurne zwykle oczy śmiały się wówczas tą szczerą, dziecinną wesołością i świeciły, jak dwa węgielki. Zrzucał natychmiast ze swoich wąskich pleców tornister, przeładowany książkami i, mrugając na mnie, mówił jeszcze w progu:

— Panie Wawrzynkiewicz, mama będzie kontenta! dostałem dziś z geografji... niech pan zgadnie ile?

A gdym udawał, że zgaduję, przybiegał do mnie z pyszną minką i, zarzuciwszy mi ręce na szyję, mówił niby do ucha, ale bardzo głośno:

— Piątkę! naprawdę piątkę!

Były to dla nas obydwóch szczęśliwe chwile. Wieczorami w takie dni Michaś rozmarzał się i, wyobrażając sobie, co to będzie, jeśli dostanie wszystkie stopnie celujące, gwarzył nawpół do mnie, nawpół do siebie samego:

— Na Boże Narodzenie pojedziemy do Zalesia, śnieg będzie padał — zwyczajnie jak w zimie — więc pojedziemy sankami. Przyjedziemy w nocy, ale, o! mama będzie na mnie czekała, uściska mnie, ucałuje, a potem spyta o cenzurę. Ja zrobię smutną minę naumyślnie, a tu mama czyta: z religji: celujący; z niemieckiego: celujący; z łaciny: celujący... same celujące! O, panie Wawrzynkiewicz!

I biednemu chłopcu łzy stawały w oczach, a ja, zamiast go powstrzymać, sam biegłem za nim zmęczoną wyobraźnią i przypominałem sobie dom w Zalesinie, jego powagę, spokój, tę wyższą, szlachetną istotę, która tam była panią, i szczęście, jakie jej sprawi powrót chłopca z celującemi w cenzurze.

Korzystałem z takich chwil i dawałem Michasiowi nauki, tłumacząc mu, że mamie chodzi bardzo o jego naukę, ale także i o zdrowie, że więc nie powinien płakać, gdy go wyprowadzam na przechadzkę, sypiać tyle, ile mu każę, i nie upierać się przy nocnem siedzeniu. Rozrzewniony malec ściskał mnie za szyję i powtarzał:

— Dobrze, mój złoty panie, będę zdrów, że aż strach, i stanę się taki duży, że ani mama, ani mała Lola mnie nie poznają.

Odbierałem też często listy od pani Marji, polecające mi, bym czuwał nad zdrowiem dziecka, ale z rozpaczą przekonywałem się codzień, że pogodzić naukę ze zdrowiem było prawie niepodobieństwem. Gdyby przedmioty wykładane były za trudne, byłbym sobie poradził, cofnąwszy Michasia z klasy drugiej do pierwszej, ale on te przedmioty, jakkolwiek jałowe, doskonale pojmował; nie o naukę więc chodziło, tylko o czas i o ten nieszczęsny język niemiecki, którym dziecko nie władało dostatecznie. Na to już nic nie mogłem poradzić i liczyłem jedynie, że, gdy święta nadejdą, odpoczynek wypełni te szczerby w zdrowiu chłopca, które czyniła nadmierna praca.

Gdyby Michaś był dzieckiem obojętniejszem, mniejbym się troszczył o niego, ale on prawie żywiej jeszcze odczuwał każde niepowodzenie, niż pomyślność. Chwile radości z owych piątek, o których wspominałem, rzadkie były, na nieszczęście.

Tak nauczyłem się czytać w jego twarzy, że, skoro tylko wszedł, od pierwszego rzutu oka poznawałem, gdy mu się nie powiodło.

— Dostałeś zły stopień? — pytałem.

— Tak jest!

— Nie umiałeś?

Czasem odpowiedział:

— Nie umiałem — częściej jednak: — Umiałem, ale nie mogłem powiedzieć.

Jakoż mały Owicki, prymus z klasy drugiej, którego umyślnie sprowadziłem, aby się Michaś z nim uczył, mówił, że Michaś głównie dlatego dostaje złe stopnie, że nie umie się... wyjęzyczyć.

W miarę jak dziecko czuło się coraz więcej zmęczone umysłowo i fizycznie, takie niepowodzenia powtarzały się coraz częściej. Zauważyłem, że, gdy, wypłakawszy się, siadał następnie do lekcji, cichy bywał i niespokojny, ale w tej zdwojonej energji, z jaką zabierał się do zadań, było coś rozpaczliwego i gorączkowego zarazem. Czasem też szedł w kąt, ściskał głowę obu rękoma i milczał: ambitny chłopiec wyobrażał sobie, że kopie grób pod nogami ukochanej matki, a nie wiedział, jak zaradzić temu, i czuł się po prostu w kole błędnem, z którego nie było wyjścia.

Jego nocne siedzenia stawały się coraz częstsze. Bojąc się, że, gdy się obudzę, każę mu iść spać, wstawał cicho, pociemku, wynosił lampę do przedpokoju, tam ją zapalał i zasiadał do roboty. Nim go na tem złapałem, kilka nocy przepędził w ten sposób między nie opalanemi ścianami. Nie miałem innej rady, tylko wstać, zawołać go do pokoju i przerobić z nim raz jeszcze wszystkie lekcje, by go przekonać, że je umiał, i że niepotrzebnie narażał się na przeziębienie. Ale on już sam wkońcu nie wiedział, co umiał, czego nie umiał. Dziecko straciło siły, chudło, żółkło i zasępiało się coraz bardziej. Czasem trafiło się coś takiego, co przekonywało mnie, że nie sama jednak praca wyczerpywała jego siły. Raz, gdym wykładał mu historję polską, którą „stryj synowcom opowiedział", co na żądanie pani Marji robiłem codziennie, Michaś zerwał się z zaiskrzonemi oczyma, ja zaś przestraszyłem się prawie, ujrzawszy badawczy i surowy wyraz jego twarzy, z jakim zawołał:

— Panie! więc to naprawdę nie bajka? bo...

— Bo co, Michasiu? — pytałem się ze zdziwieniem.

Zamiast odpowiedzi, zacisnął zęby, a wkońcu wybuchnął płaczem tak namiętnym, że długo nie mogłem go uspokoić.

Badałem Owickiego o przyczynę tego wybuchu: nie umiał lub nie chciał powiedzieć; domyśliłem się jednak sam. Nie było żadnej wątpliwości, że polskiemu dziecku trafiało się słyszeć w niemieckiej szkole wiele rzeczy, które raniły jego uczucia. Zdania takie ześlizgiwały się po innych chłopcach, nie zostawiając nic, prócz niechęci do nauczycieli i całej ich rasy; ale chłopczyna tak uczuciowy, jak Michaś, odczuwał je boleśnie, a nie śmiał zaprzeczać. Dwie siły, dwa głosy, których słuchać jest obowiązkiem dziecka, ale które też właśnie dlatego winny być zgodne, szarpały Michasia w dwie przeciwne strony. Co jedna powaga nazywała białem, cnem, ukochanem, druga naznaczała piętnem strupieszenia i śmieszności; co jedna zwała cnotą, druga — występkiem. Więc w tem rozdwojeniu chłopiec szedł za tą powagą, do której rwało mu się serce, ale musiał udawać, że słucha i bierze do serca słowa przeciwne, musiał udawać od rana do wieczora i żyć w tym męczącym przymusie dni, tygodnie, miesiące... Co za położenie... dziecka!

Dziwny był los Michasia. Dramaty życiowe zaczynają się zwykle później, gdy pierwsze liście spadają z drzewa młodości: dla niego wszystko to, co składa się na nieszczęście: przymus moralny, tajona zgryzota, niepokój, daremne wysiłki, szamotanie się z trudnościami, stopniowa utrata nadziei, wszystko to poczęło się w jedenastym roku życia. Ani jego wątła postać, ani wątłe siły nie mogły sprostać temu ciężarowi. Upływały dni, tygodnie, biedak podwajał wysilenia, a skutek coraz był

mniejszy, coraz bardziej opłakany. Listy pani Marji, jakkolwiek słodkie, przyrzucały jeszcze wagi do brzemienia.

„Bóg cię obdarzył, Michasiu, niezwykłemi zdolnościami — pisała matka — ufam więc, że nie zawiedziesz nadziei, jakie w tobie złożyłam, i że staniesz się krajowi i mnie pociechą.“

Gdy chłopiec odebrał pierwszy raz taki list, chwycił mnie za ręce spazmatycznie i, zanosząc się od płaczu, powtarzał:

— Co ja poradzę, panie Wawrzynkiewicz! co ja mogę poradzić?

Istotnie, cóż mógł zrobić? cóż mógł poradzić na to, że nie przyszedł na świat z wrodzoną łatwością do języków i że nie umiał się po niemiecku wyjęzyczyć?

Henryk Sienkiewicz.

11. Ksiądz kanonik Kropidło.

I.

Ksiądz kanonik Kropidło,
Kapłan siwy i stary,
Do ósmego krzyżyka
Był proboszczem u Fary.
Już go rychło śmierć weźmie
Pod bezpieczne swe skrzydło...
Młody kapłan dziś zajął
Miejsce księdza Kropidło [1]).
Ma kanonik na Piwnej
Dwie klasztorne komnatki,
W nich na oknach po ścianach
Klatki, klatki i klatki.
„Bo to, widzisz... starego
Ożywiają te ptaki...
Com chciał mówić?... No... spróbuj
Bernardyńskiej tabaki...

II.

Światowego poloru
Nie ma proboszcz ni trocha.
Sam mieszczańskie jest dziecko,
Więc mieszczańską brać kocha.

[1]) Tak dla rymu; powinno być właściwie: Kropidły.

Do siwego staruszka
Każdy przystęp ma łatwy;
On zna dolę, niedolę
Staromiejskiej swej dziatwy.
Na usługi bliźniego
I w dzień gotów, i w nocy,
Nie odmówi porady,
Nie odmówi pomocy.
By uniknąć dziękowań,
Wetknie datek za progiem:
„Com chciał mówić?... Daj pokój!...
Z Bogiem, synu!... Idź z Bogiem!..“

III.

Ledwie słońce ozłoci
Stare domy i wieże,
Ksiądz odmawia żarliwie
Swe poranne pacierze.
Potem karmi ptaszęta
I rośliny podlewa,
Klei, struże, buduje
Klatki z drutu i z drzewa.
A gdy starą Warszawę
Zmrok obejmie w swe sploty,
On przy lampie olejnej
Czyta Świętych żywoty.
Ich męczeństwo odczuwa,
Wielką wiarę ich dzieli,
I z uśmiechem usypia
Na swej mniszej pościeli.

IV.

Był kanonik prefektem
Kawał czasu niemały;
Nieraz figle starcowi
Psotne żaki płatały.
Wtedy uśmiech serdeczny
Twarz łagodną mu złocił:
„Com chciał mówić?... A lekcja?
Pójdź-no tutaj... Tyś psocił?“
Gdy się żegnał ksiądz prefekt
Ze swoimi chłopcami,
Oni ręce staruszka
Całowali ze łzami.

Dziś niejeden już poszedł
Na życiowe gdzieś szlaki...
„Szczęść im, Boże! szczęść, Boże!..
Dobre... dobre... chłopaki..."

V.

Choć mu zdrowie nie służy,
Chociaż kiepsko już chodzi,
Jest w kościele co rano
Ksiądz kanonik dobrodziej.
Na prymarję w śnieżycę
Drepce chyłkiem przy murze,
W wielkiej czapie futrzanej,
W staroświeckiej lisiurze.
Spróbuj rzec mu: „Do Fary?
W taką porę obrzydłą?"
Zaraz kropnie kazanie
Ksiądz kanonik Kropidło.
„To mam Boga zaniedbać
Dla nadgniłych swych kości?
Com chciał mówić... Ot, rada!...
Jesteś fircyk, mój mości!"

VI.

I śmierć wzięła staruszka
Pod bezpieczne swe skrzydło...
Przy wieczornej modlitwie
Usnął prefekt Kropidło.
Z jego twarzy zastygłej
Lśniła radość tak błoga,
Jakby w chwili ostatniej
Ujrzał niebo i Boga.
Trumnę księdza drewnianą
Niosły mieszczan ramiona,
Przytuliła ją ziemia,
Tylu łzami zroszona.
Grób schronienie mu ciche
Za życiową dał pracę...
Niech śpi starzec spokojnie,
Requiescat in pace...[1]).

Or-Ot.

[1]) Niech spoczywa w spokoju (łac.).

12. Wspomnienia szkolne.

„Co się dzieje w szkole, nie opowiadaj, choćby cię smażono w smole!" Nie wiem, czy dzieci i teraz podobnej trzymają się zasady, ale za lat mojego pędractwa w wielkiem mieliśmy poszanowaniu owe głębokiej myśli wyrazy, i zaprawdę tego, co tu dzisiaj z całą otwartością opowiem, przed dwudziestu laty za wszystkie skarby świata nie byłbym wyjawił.

Byłem dopiero w klasie trzeciej, oddziale pierwszym, gdy przybył z Getyngi pan Berendt i objął katedrę literatury niemieckiej w gimnazjum poznańskiem. Mąż ten, pełen nauki i nieco zgarbionej postaci, nosił frak, spodnie, kamizelkę i chustkę czarnego koloru; a u kamaszy, sięgających po kolana, było na każdej nodze 7 dużych, stalowych guzików, mówię wyraźnie: siedem, bom je nieraz rachował, przemyśliwając, jakimby to sposobem kilka z nich oberznąć. — Zdawało mi się, że taka sprawka mogłaby sławę moją figlarną na zawsze utrwalić.

Co za triumf... gdybym był zdołał chociaż jeden guzik w obliczu całej klasy od nienawistnych nam kamaszów odłączyć! — Już nawet skradałem się raz ku tej katedrze, ale obejrzał się czujnego ucha profesor i znikła sposobność wielkiego czynu.

Lecz wracam do głównego celu mej powieści: — siódmego stycznia, nazajutrz po Trzech Królach, przybiegłem do zakrystji, pragnąc służyć do mszy studenckiej, — a lubo niebardzom dobrze w ministranturze odpowiadał i tylko końcówki: „per Dominum Deum nostrum" „sanctae"[1]) głośno wymawiałem — natomiast potężnym dzwonkiem słynnie machać potrafiłem. Patrzę — aż tu już pięciu kandydatów do tego zaszczytu kłóci się o pierwszeństwo. Jakoś się pogodzili i zaczęła się rozmowa o studenckiej biedzie.

— Rozumiesz ty, co ten Berendt szwargocze? „die erste Abteilung der deutschen Litteratur" „ruhig!"[2]) — „ruhig!" — i zawsze „ruhig!" — zupełnie jak gdyby kto szczotką po uszach drapał.

— Mój Boże! ksiądz Przybylski jak krzyknął „hajdamaku!", na całą godzinę było cicho.

— Ale Kaulfus to wcale dobrze uczy.

[1]) „Przez Pana Boga naszego". „świętej" (łac.).
[2]) „Pierwszy rozdział literatury niemieckiej", „spokojnie!"

— Albo to nasz poczciwy Buchowski nie tęgi matematyk?

— Pewno, że i on bardzo dobrze uczy — wiesz, ja Buchowskiego tak kocham, jak mego własnego ojca.

— A kto z nas Berendta rozumie? — zabawne! on ma nas czegoś nauczyć, kiedy my jego języka nie rozumiemy; żeby on to po polsku mówił: „pierwszy rozdział literatury niemieckiej poczyna się!...“

— Ej, gadasz, on nas pierwej powinien nauczyć gramatyki, a potem dopiero rozprawiać o literaturze. — Słuchaj, Auguście! zróbmy mu dzisiaj figla; jak on zacznie: „ruhig!“ to my się odezwijmy: „stille!“[1]), tylko tak, aby żadnego nie spostrzegł, możnaby też wywoskować ławki i puścić piszczonego, wiesz?...

— Wiem, wiem — a masz wosk?

— Albo go tu mało w zakrystji, tylko poprośmy Walentego!

— Mój kochany Walenty, dajcie — dajcie — mnie i mnie!

Jakoż w krótkiej chwili powolny zakrystjan dał każdemu z nas po odrobince żółtego wosku.

Poważnie ozwały się organy, miły śpiew chóralny rozległ się po świątyni Pańskiej, i w tym tak znakomicie pysznym przybytku Boga, w Farze poznańskiej, siedmiuset z górą uczniów modliło się w pokorze do Pana nad pany, aby im dał zdrowie, naukę, bojaźń Boską, przyjaźń ludzką, aby ich rodziców od złego chronił, nauczycielom troski i znoje nagrodził.

Byłem i ja wpośród modlących się; zapomniałem o Berendtcie, myśl pozbyła się swawoli, pobożnie patrzałem na obrządek mszy świętej, i dopiero, gdyśmy parami w bramę szkolną wchodzili, szepnął mi Stasio: „Czy masz wosk?“ — „Mam“ — odrzekłem, i żądza pustoty przebiegła żyły moje.

Od 8-ej do 9-ej był język polski, poprzednik kochanego i wielce zacnego Królikowskiego odczytywał nam pięknym głosem wzorowe utwory Karpińskiego; słuchaliśmy z wdzięcznością, bo ksiądz Antosiewicz obrał tak lube obrazy dla serc naszych młodzieńczych, takie czynił objaśnienia, porównania z innymi pisarzami, że szybko, mile, na skrzydłach, króciuchna ubiegła godzina. Gorliwy w służbie stary pedel Schal zmianę godzin dzwonkiem ogłosił. Wytoczył się poważnie szanowny ksiądz Antosiewicz, miejsce jego zajął profesor Berendt.

Porachowałem u prawej nogi guziki, było ich, jak dawniej, ni mniej, nie więcej, jak siedem, — rachuję u lewej —

[1]) „Cicho!“

niedowierzam oczom moim! o radości! — sześć tylko. — Tymczasem pan Berendt prawił o Wielandzie[1]); myśmy wosk z kieszonek wydobyli.

— Ruhig!

— Stille! — ozwało się po różnych klasy stronach kilka piskliwych głosików.

— Was ist das[2])?

Harmonja woskowa zagrała.

— Du ungezogener Bube[3]). I schwycił mnie za kołnierz granatowego spencerka, szarpnął silnie i za drzwi wyrzucił.

Usiadłem sobie przy progu w kuczki, słuchając, jak się tam moi koledzy popisują. Właśnie kiedym się dziwił spokojności, jaka w klasie panowała, ksiądz Antosiewicz, przechodząc przez dziedziniec, do mnie przystąpił:

— A cóż, wilczku, wygnali cię z kniei, pewnoś baranka dusił?

— Nie, księże profesorze! jam nic nie robił — (i skrzywiłem twarz w grymas płaczu), tylko pan profesor Berendt opowiadał nam, że Kopernik był Niemcem, a wszakże ksiądz profesor nauczał nas, że Kopernik był Polakiem.

Zarumienił się ksiądz Antosiewicz, roztworzył narozcież drzwi klasy i, popychając mnie naprzód, z przyciskiem wyrzekł:

— Kopernik był Polakiem, jest to rzeczą dowiedzioną i żadnej nie ulegającą wątpliwości; proszę pana profesora tak grubych błędów historycznych nie objawiać, którymby może dano wiarę w Getyndze, ale nie u nas!

I, wychodząc, drzwi za sobą zatrzasnął. Berendt stał nieporuszony i niemy, łoskot grzmotu nie jest tak głośny, jak był śmiech i wrzask siedemdziesięciu chłopców.

— Aha! sehen Sie, Herr Professor[4])! — nie będę marzł na zimnie — i wyszczerzyłem zęby.

Tu już hałas wzmógł się do najwyższej potęgi; ławki trzeszczały, nogi tupały, okna się trzęsły, lecz zarazem i ja znów powtórnie za drzwi wyleciałem.

— Cóż? — zapytał, przybiegając do mnie, obrońca polskiego Kopernika.

[1]) Poeta niemiecki XVIII w.
[2]) Co to takiego?
[3]) Ty niegrzeczny bębnie.
[4]) Widzi pan, panie profesorze!

— Ksiądz profesor ledwie wyszedł, on zaraz powtórzył, że Kopernik był Niemcem i że się Polacy niesłusznie przyznawają...

Nie dał mi dokończyć ksiądz dziekan, trzęsąc się ze złości, wnosi mnie za kołnierz napowrót do klasy i w najwyższem uniesieniu zawołał:

— Dzieci! dopóki ja żyję, nikt was fałszem karmić nie będzie, a jeżeli nam pozazdrościli...

— Was wollen Sie damit sagen, Herr Kollege[1])?

— Kopernik war ein Pole[2])!

Wtem ukazał się ówczesny rektor Kaulfus: rzecz się wyjaśniła, cenzor klasy[3]) zdał świadectwo, przeciwnicy pogodzili się i, gdy mnie do komórki ciągniono, słyszałem tylko już lekką zwadę o rodowód Kopernika.

Co się następnie stało, pozwólcie, łaskawi czytelnicy, że zamilczę, bo, chociaż to już temu lat dwadzieścia i kilka, ale przecież głęboką myśl tych wyrazów: „co się dzieje w szkole, nie powiadaj, choćby cię smażono w smole!“ do niektórych przynajmniej okoliczności i dzisiaj zastosować muszę.

Długo — długo po tem zdarzeniu, jeszcze i na uniwersytecie wrocławskim, moi z owych lat współuczniowie pytali mnie często:

— Czy Kopernik był Polakiem?

Patrząc tu, w Warszawie, na pomnik tego wielkiego męża, szybko omijam to miejsce. Wczoraj przy ulicy Senatorskiej spytał mnie jeden z dawnych znajomych:

— Czy Kopernik był Polakiem?

Łzy zapełniły oczy moje; było to wspomnienie z lat daleko ubiegłych, z lat młodości i szczęścia.

A. Wilkoński.

13. Podczas lekcji.

Poszedłem do śpiżarni ucałować ręce matki, a tymczasem Łukaszowa zaniosła mi do jadalnego pokoju sitny chleb i talerz żurku, zatartego czosnkiem i zasypanego kaszą hreczaną. Zjadłem go z pośpiechem i zaraz wybiegłem na dziedziniec wystrugać pałasz z gonta. Nimem wyszukał deseczkę, nimem wyostrzył nóż i zatamował krew ze skaleczonego palca, patrzę, a tu wlecze się pan Dobrzański.

[1]) Co pan chce przez to powiedzieć, panie kolego?
[2]) Kopernik był Polakiem.
[3]) Dyżurny.

„To nieprawda, ażeby już była jedenasta!“ — pomyślałem rozgniewany i uciekłem schować się za stajnię. Lecz nim ochłonąłem z prędkiego biegu, już słyszę niańkę, jak woła w niebogłosy:

— Antoś!... Antoś... pan nauczyciel przyszedł.

— Nie pójdę — krzyknąłem, pokazując w tamtym kierunku język.

Wtem odezwała się mama:

— Antoś!... do nauki...

Boże, jaki byłem zły w tej chwili! No, ale co robić? Wyszedłem z poza stajni i wlokłem się do domu, pragnąc, ażeby mi się droga wyciągnęła, jak stąd do stolicy. I dziwna rzecz, droga istotnie trochę się wydłużyła.

Zajrzałem przez okno do pokoju jadalnego, myśląc, iż może stało się coś takiego, że pan Dobrzański zniknął. Gdzie tam! Siedzi przy stole, jak straszydło, w swoim surducie, z wysoką czupryną, z kołnierzykami do skroni, z szyją długą, jak biczysko, okręconą w czarną chustkę. Już wydobywa mosiężne okulary i zaciska je na nosie. Z prawej strony na stole czerwona chustka, z lewej — brzozowa tabakierka z rzemykiem... Boże, że też niema sposobu na takiego człowieka!... Przychodzi rano i po południu, jak zmora, a ja nic zrobić nie mogę przez niego!

Wszedłem do pokoju i, niedbale pocałowawszy w rękę pana Dobrzańskiego, zacząłem wyciągać z szuflady książki i kajety. Szło to bardzo powoli, lecz nareszcie — skończyło się. Usiadłem do lekcji.

Dziś już nie wyobrażam sobie, jakim sposobem wytrzymywałem dwie godziny strasznej męki, nazywającej się lekcją. Byłem jak ptak, przywiązany nitką za nogę. Ilem ja razy chciał zerwać się, wyskoczyć za okno i uciekać, gdzie oczy poniosą!... Kręciłem się, jakbym siedział na szczotce do czesania lnu, a niekiedy z rozpaczy tak machałem nogami, żem uderzał w dno stołu. Wtedy siwy surdut pana Dobrzańskiego, a później jego głowa, osadzona na wysokiej szyi, zwracały się w moją stronę. Czerwieniłem się i cichłem, czując nad sobą okrągłe okulary i niebieskie oczy, patrzące przez wierch szkieł, i już byłem od świętej pamięci spokojny, kiedy pan Dobrzański zaczynał:

— A to co za hałasy? Nie wiesz, że jesteś na lekcji i powinieneś zachowywać się, jak w kościele? Mówiłem ci to już nieraz.

Potem brał tabakierkę z brzozowej kory, strzelał w nią palcami, ciągnął za rzemyk, zdejmował wieko, zażywał tabaki i, znowu strzeliwszy z palców, kończył:

— Ośle jakiś!...

Zdaje mi się, że największą dla mnie mękę stanowiły długie przerwy w upomnieniach pana Dobrzańskiego. Z góry wiedziałem, co powie, dziesięć razy powtórzyłem sobie to samo w myśli, a on — dopiero zaczynał, przerywał i znowu mówił dalej. Ciągnęło się to bez końca.

Nareszcie pan Dobrzański brał długi kajet, linjował go kantówką i w pierwszym wierszu z góry wpisywał mi jako wzór do kaligrafji:

„...Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie...“

Temperował pióro, układał mi ręce i kajet na stole i posuwał kałamarz.

Potem obowiązany byłem ten sam wiersz przepisać sześć razy, głośno go powtarzając. Pan Dobrzański drzemał sobie teraz w fotelu, a ja śpiewającym głosem mówiłem:

— „...Ojczyzno moja, ty jesteś...“

— „Jak zdrowie!“ — wrzasnąłem głośno.

Pan Dobrzański ocknął się.

— Dziękuję! — odparł poważnie.

Zdawało mu się, że kichnął, więc utarł nos w czerwoną chustkę i znowu zażył tabaki.

Powtarzało się to prawie codzień i stanowiło dla mnie jedyną rozrywkę przy lekcjach, tem bardziej, iż kaligrafja wypadała zawsze na końcu.

Zaraz po nauce jedliśmy razem obiad. Niekiedy gospodyni spóźniała się, więc po kaligrafji następowało jeszcze — powtarzanie na wyrywki.

— Kto cię stworzył? — pytał pan Dobrzański.

— Bóg Ojciec.

— Do...brze. A ile jest części świata?

— Siedem. Poniedziałek, wtorek...

— Źle, ośle!... Pytam o części świata.

— Pięć! pięć!... Europa, Azja, Afryka, Ameryka, Oceanja...

— Do...brze... A sześć razy dziewięć?...

— Sześć razy siedem... sześć razy osiem... sześć razy dziewięć — pięćdziesiąt i cztery.

— Do...brze. A kogo najbardziej powinieneś kochać na tym świecie?

— Boga, ojczyznę, mamę i brata, pana nauczyciela, a potem wszystkich ludzi.

— Do...brze — odparł pan Dobrzański.

Chcąc uwolnić się od dalszych badań na wyrywki, raz zapytałem go:

— A Łukaszową trzeba kochać?

— Mo...żna — odparł pan Dobrzański po namyśle.

— A Walka?

Nauczyciel spojrzał przez wierzch okularów.

— Sam przecie mówiłeś, ośle jakiś, że — trzeba kochać wszystkich ludzi... Wszystkich.

Zwiesił głowę na piersi i po chwili rzekł głucho:

— Wszystkich, wyjąwszy tych, którzy zdradzają.

— A kto nas zdradził?

Pan Dobrzański jakby zaczerwienił się, wziął do ręki tabakierkę, lecz nagle postawił ją i odparł:

— Poznasz ich, gdy podrośniesz.

Snać była to rzecz straszna, której mi nie wyjaśnił; zresztą, choć nic nie wiedziałem, czułem głęboki smutek na samą myśl o człowieku, którego nikt nie powinien kochać. Biedak ten mieszkał niedaleko nas, jego domek widywałem codzień, lecz mimo to, gdybym go kiedy spotkał na drodze, nie mógłbym zdjąć przed nim czapki i powiedzieć: „Dzień dobry panu, a dlaczego pan tak dawno nie był u nas?...“

Jego u nas nikt nie wyglądał.

Gdy zegar wykukał pierwszą, wchodziła niańka do naszego pokoju ze stosem talerzy. Książki i kajety w okamgnieniu znikały ze stołu, a ich miejsce zajmował czerwony obrus w białe kwiaty i trzy nakrycia. Po chwili ukazała się mama, a za nią waza barszczu z uszkami i salaterka grochu.

Pan Dobrzański przywitał się z matką, a gdy zupa już była rozlana, powstał i odmówił modlitwę: „Pobłogosław, Boże, nas i te dary, które z Twojej świętej szczodrobliwości pożywać mamy. Amen.“

B. Prus.

14. A jak poszedł król na wojnę.

A jak poszedł król na wojnę,
Grały jemu surmy zbrojne,
Grały jemu surmy złote,
Na zwycięstwo, na ochotę...
A jak poszedł Stach na boje,
Zaszumiały jasne zdroje,
Zaszumiało kłosów pole,
Na tęsknotę, na niedolę...
A na wojnie świszczą kule,
Lud się wali, jako snopy,
A najdzielniej biją króle,
A najgęściej giną chłopy.

Szumią orły chorągwiane,
Skrzypi kędyś krzyż wioskowy...
Stach śmiertelną dostał ranę,
Król na zamek wraca zdrowy.
A jak wjeżdżał w jasne wrota,
Wyszła przeciw zorza złota,
I zagrały wszystkie dzwony
Na słoneczne świata strony.
A jak chłopu dół kopali,
Zaszumiały drzewa w dali,
Dzwoniły mu przez dąbrowę
Te dzwoneczki, te liljowe.

M. Konopnicka.

15. Michałko.

Na niebrukowanej ulicy, gdzie stało ledwie kilka domów, kręcili się strwożeni ludzie. Krzyczeli i pokazywali rękami niewykończoną budowlę, przed którą leżały deski, połamane słupy i świeże gruzy. Nad wszystkiem unosił się czerwony pył cegły.

Michałko przybiegł bliżej. Tam już zobaczył, co się zdarzyło. Oto — nowy dom upadł.

Cała jedna ściana rozsypała się od góry do dołu, a druga w większej swej części.

W poszczerbionych murach wisiały futryny, a dwie belki, przeznaczone do dźwigania sufitów, opadły, pogięły się i potrzaskały, jak wióry. W oknach sąsiednich domów ukazały się zalęknione kobiety. Ale na ulicy, prócz robotników, było ledwie kilka osób. Wieść o wypadku nie zdążyła jeszcze do środka miasta.

Pierwszy oprzytomniał główny majster.

— Czy nie zginął kto? — pytał drżący.

— Zdaje się, że nie. Wszyscy byli na śniadaniu.

Majster począł rachować swoich, ale wciąż mylił się.

— Czeladnicy są?

— Jesteśmy.

— A pomocnicy?

— Jesteśwa!...

— Jędrzeja niema!... — odezwał się jeden głos.

Obecni na chwilę zaniemieli.

— Tak, on był we środku.

— Trzeba go szukać! — rzekł majster ochrypłym głosem.

I poszedł ku przewróconemu domowi, a za nim kilku śmielszych.

Michałko machinalnie z liżył się także.

— Jędrzeju!... Jędrzeju! — wołał majster.

— Usuń się pan! — ostrzegli go — ta ściana ledwie wisi.

— Jędrzeju!... Jędrzeju!...

Z wnętrza domu odpowiedział jęk.

W jednem miejscu ściana była rozdarta na szerokość drzwi.

Majster zabiegł z tamtej strony, zajrzał i schwycił się oburącz za głowę. Potem, jak szalony, popędził do miasta.

Za ścianą wił się w boleściach człowiek. Obie nogi zdruzgotała i przycisnęła mu belka. Nad nim wisiało urwisko muru, który pękał coraz mocniej i lada chwilę mógł się oberwać.

Jeden z cieślów począł oglądać miejscowość; skamienieli z trwogi robotnicy patrzali mu w oczy, gotowi pójść, jeżeli ratunek jest możliwy.

Ranny konwulsyjnie wykręcił się i stanął na dwu rękach.

Był to chłop. Miał czarne z bólu usta, szarą twarz i zapadłe oczy.

Patrzał na ludzi, stojących o kilkanaście kroków od niego, jęczał, ale wzywać o ratunek nie śmiał. Mówił tylko:

— Boże mój!... Boże miłosierny!...

— Tu nie można wejść! — rzekł głucho cieśla.

Gromada cofnęła się w tył.

Między nimi stał Michałko, przerażony może więcej, niż inni.

Strach, co się z nim działo!... Czuł wszystek ból rannego, jego bojaźń, rozpacz, a jednocześnie czuł jakąś siłę, która popychała go naprzód. Zdawało mu się, że w tłumie nikt, tylko on jeden ma obowiązek i musi ratować człowieka, który przyszedł tu ze wsi na zarobek. I w tej chwili, kiedy inni mówili sobie: „pójdę“, on myślał:

— Nie pójdę! Nie chcę!

Obejrzał się bojaźliwie. Stał sam jeden przed gromadą, bliżej muru, niż inni.

— Nie pójdę!... — szeptał, i — podniósł drąg, który leżał mu prawie przy nogach.

Między ludźmi zaszemrano:

— Patrzcie!... Co on robi?

— Cicho!

— Boże miłosierny, zmiłuj się! — wołał ranny, szlochając z bólu.

— Idę! Idę!... — rzekł Michałko i wszedł między gruzy.

— Zginiecie obaj! — krzyknął cieśla.

Michałko już był przy nieszczęśliwym. Zobaczył jego zdruzgotane nogi, kałużę krwi, i pociemniało mu w oczach.

— Bracie mój! bracie!... — szeptał ranny i objął go za kolana.

Chłop podsunął drąg pod belkę i rozpaczliwym ruchem podważył ją. Rozległo się trzeszczenie, a z wysokości drugiego piętra spadło kilka kawałków cegły.

— Wali się! — krzyknęli robotnicy, rozbiegając się. Ale Michałko nie słyszał, nie myślał, nie czuł nic. Silnem ramieniem podparł znowu drąg i już całkiem usunął belkę ze zmiażdżonych nóg leżącego człowieka.

Z góry posypały się gruzy. Czerwony pył zakłębił się, zgęstniał i wypełnił wnętrze budynku. Za ścianą słychać było jakieś szamotanie się. Ranny jęknął głośniej i nagle ucichł.

W otworze rozdartej ściany ukazał się Michałko zgięty, z trudnością dźwigający rannego. Powoli przeszedł niebezpieczną granicę i, stanąwszy przed tłumem, zawołał z naiwną radością:

— Jedzie!... jedzie!... Jeno mu tam jeden but ostał.

Robotnicy schwycili rannego, który omdlał, i ostrożnie zanieśli do najbliższej bramy.

— Wody!... — wołali.

— Octu!...

— Po doktora!...

Michałko powlókł się za nimi, myśląc:

— To ci dobry naród w tej Warszawie!

Zobaczył, że ma ręce zakrwawione, więc umył je w kałuży i stanął pod bramą domu, gdzie leżał ranny. Do środka nie pchał się. Alboż on doktor? czy mu co poradzi?

Tymczasem ulica poczęła się bardzo zaludniać. Biegli ciekawi, pędziły dorożki, a nawet zdaleka słychać było dzwonki straży ogniowej, którą także ktoś zaalarmował. Nowy tłum, już takich, którzy byli chciwi wrażeń, skupił się przed bramą, a gorętsi pięściami torowali sobie drogę dla zobaczenia krwawej hecy.

Jednemu z nich stojący przy furtce Michałko zawadzał.

— Usuń się, gapiu jakiś! — krzyknął jegomość, widząc, że bosy chłop niebardzo ustępuje pod naciskiem jego ręki.

— A bo co? — spytał Michałko, zdziwiony tym zapędem.

— Coś ty za jeden, zuchwalcze jakiś? — wrzasnął ciekawy. — Co to, niema policji, żeby takich próżniaków rozpędzała?...

— Oj! na złe idzie! — pomyślał chłop i zląkł się, żeby go za taki występek nie wsadzono do kozy. I, nie chcąc budzić licha, wcisnął się między gromadę.

W kilka minut później zaczęto z bramy wołać tego, który biedaka wyniósł z pod gruzów.

Nie odezwał się nikt.

— Jak on wygląda? — pytano.

— To chłop. Miał białą sukmanę, okrągłą czapkę i był bosy.

— Niema tam takiego na ulicy?

Poczęto szukać.

— Był tu taki — krzyknął ktoś — ale poszedł!

Rozbiegła się policja, rozbiegli robotnicy, i — nie znaleźli Michałka.

Bolesław Prus.

16. Tęsknota.

Tęsknię, ach! tęsknię w zimie za kwiateczkiem,
A gdy mam z wiosną kwiatków łąkę całą,
To jeszcze tęsknię za konwalją białą,
A przy konwalji za śniegu płateczkiem.
Tęsknię, ach! tęsknię do mojego brata,
A kiedy z bratem, to tęsknię do ciebie,
A kiedy z tobą, to do Boga w niebie,
A kiedy z Bogiem, znów tęsknię do świata.
I złe, i dobre, i grzech mój, i cnota,
I czego pragnę, i czego się boję,
I myśli moje, i modlitwy moje,
I życie całe — to tylko tęsknota.

N. Żmichowska.

17. Pogrzeb posłańca.

Ode drzwi kaplicy dał się słyszeć stuk kija, szukającego drogi dla starych nóg nawpół oślepłej kobiety, która przecież sama szła, szeroko otworzywszy zbielałe źrenice i macając przed sobą chudą, wyschłą ręką.

— Babka, babka!... — poszedł szept do progu, a gromadka rozsunęła się na obie strony.

— Dalej, babusiu! Dalej, dajcie rękę! — przemówiła z żywością zakonnica, chcąc ślepą podprowadzić do trumny.

Ale stara kobieta zatrzepotała w powietrzu wyschłemi dłońmi.

— Nie trzeba, nie! Ja wszystko widzę. Ja sama... wszystko widzę! — Kazia! Jesteś tu, Kazia? — dodała zaraz suchym, twardym głosem.

Dziewczynka puściła chłopców i, do babki podszedłszy, pocałowała ją w rękę.

— Cóż? — pytała stara — zamknęli już ojca? — Co?

— Zamknęli, babusiu... I dziecko wybuchło niepohamowanym płaczem.

— No, to niechże otworzą! Niechże otworzą jeszcze! Pod głowę mu ot przyniosłam... Ma być pochów, to niech będzie pochów... I rozwinęła przed sobą trzęsącemi się rękami kawałek oszytego szlarką perkalu, do którego czterech rogów przyczepione były kokardki z lichej, białej wstążki.

— Pod głowę przyniosłam... Niechże otworzą... — I szła prosto na trumnę, szerzej jeszcze otwierając oślepłe oczy, aż rękami jej dotknąwszy, o krok się cofnęła z głuchem jakiemś mruczeniem.

— Kazia! — zawołała znowu, ale głos jej złamał się nagle, a usta zapadłe w milczeniu poruszać się zaczęły.

Zakonnica kiwnęła na posługaczy. Jeden z nich zsunął z trumny nie przybite jeszcze wieko.

Wtedy to ukazała mi się woskowo-żółta twarz zmarłego, do której przywarł jakiś wyraz twardy i posępny. Na zapadłych piersiach złożone były ręce, a w nich tkwił papierowy, jaskrawo malowany obrazek; wyciągnięte nogi nareszcie wypoczywały po wszystkich kursach „z listem“ i „z posyłką“.

Obecni zaczęli się przysuwać i wspinać na palce.

Wtedy drugi z posługaczy podłożył ręce i podniósł w połowie trupa.

— Dawaj, pani, bo ciężko! — przemówił do starej.

Ale stara nie puszczała chusty.

— Gdzieżbym ja komu?... Ja... matka — mruczała, stukając grubym swoim kijem po stopniach wzniesienia.

— Gdzieżbym ja komu... Samam rodziła, sama i na śmierć ułożę...

Nie mogła wszakże wejść. Czy sił jej nagle zabrakło, czy chwiejące się stopnie dostatecznej nie dawały podpory, dość, że nie mogła.

— Kazia!... Kazia... prowadź — rzekła — zmienionym głosem.

Dziewczynka podbiegła i wpół objęła starą.

— Tu, babusiu, tu... — mówiła, kierując rękami ślepej. Tu... o tu, głowa...

— Dalej, kładź pani prędzej, masz pani kłaść! — wołał niecierpliwie posługacz.

Stara kobieta zdawała się nie słyszeć. Kij puściła na ziemię, a wsunąwszy wyschłe ręce w trumnę, zaścielała po omacku ostatnie dla syna posłanie.

— Szpitalnego pochowu się bałeś — mruczała półgłosem — a ot tobie, synku, własny pochów, nie szpitalny... Nie pójdziesz do wspólnego dołu, nie bój się, nie... Trumnę własną masz, płatną, nie borgowaną; pokładne zapłacone. Na dwadzieścia lat, synku, komorne, w poświęcanej ziemi... Karawan masz, cztery świece masz, wszystko masz. Piętnaście rubli wydałam, synku... Dla ciebie, nie dla siebie. Dla siebie nic nie schowałam, nic, synku! Jak ty wpierw, co mnie po tem?

Mówiła to z jakąś bolesną dumą, trzesąc głową siwą.

Obecni wzdychali. Zakonnica odmawiała głośno Pater noster, zasunąwszy ręce głęboko w rękawy.

— No! włożyła pani, czy nie włożyła? — ofuknął posługacz, i, nie czekając odpowiedzi, trupa na ręce ślepej puścił.

— Oh! oh!... — jęknęła nagle i pochyliła się cała nad trumną. — Oh! oh!... Weź mnie, Józef, do domu! Do wiecznego domu...

Siwa jej głowa mocno trząść się zaczęła, a łzy ciężkie, grube padły na piersi syna. Chwilę trwała cisza, wśród której słychać było szlochanie kobiet. Dzieci patrzyły wystraszone, zakonnica zaczynała Ave.

Nagle wyprostowała się ślepa.

— Kazia! — przemówiła znów dawnym swoim twardym głosem — a dajno dzieci! Niech pożegnają ojca.

Dziewczynka dźwignęła z wysiłkiem młodszego do wysokości trumny.

— Pocałuj, Maniuś, ojca w rękę — rzekła, dysząc ciężko.

Ale malec z przestrachem odwrócił twarzyczkę od wnętrza trumny.

— Dalej! Pocałuj, kiedy mówię — nalegała trzymająca go w powietrzu siostra.

Wtem babka wyciągnęła rękę i natrafiwszy na głowę wnuka, przycisnęła ją do złożonych rąk zmarłego.

— Julek — rzekła dziewczynka, puściwszy młodszego brata — pójdź ty teraz, pożegnaj ojca.

Starszy chłopiec sam się wdrapał i wspiąwszy się na palce, pocałował rękaw ojcowski.

Babka i tę głowinę przycisnęła do piersi trupa.

— Patrz, a pamiętaj to sobie — mówiła — że, choć twój ojciec w szpitalu umarł, ale równo pochów miał własny. Trumnę miał, wszystko miał... Żebyś to sobie pamiętał!

— O la Boga! — niecierpliwili się tymczasem posługacze. — Żeby tak człowiek ze wszystkimi takie termedyje miał, toby nie stało czasu i na połowę tego, co się teraz przez ręce przewinie.

Dziewczynka pociągnęła babkę za sobą. Zaraz też dało się słyszeć kilkanaście uderzeń młotka, przytwierdzających wieko trumienne.

— A blacha? Gdzie blacha? — zapytała nagle stara.

Wyjęto blachę z kąta.

Powiodła ręką po trumnie i wskazała miejsce.

— Tu przybić. A kapa na wierzch!

Kapą nazywała kawałek perkalu, który wychodził z trumny.

— Kazia! — dodała. — A patrz tam, czy aby prosto przybijają. Bo to wszystko płatne... I wstążkę żeby było widać.

Dwa uderzenia młotka przytwierdziły w tej chwili blachę, na której był napis:

Ś. p. Józef Szczeptek,
posłaniec miejski,
żył lat 43.

Dokładniejszej rekomendacji przy pierwszem zapoznaniu się trudno było wymagać.

— Dalej go!... Na prawo! Nie tak! Z tej strony! Pod górę! Dość — wołali kolejno obaj posługacze, poczem trumnę wynosić zaczęto.

Dziad stęknął w tej chwili i głośno zaczął mówić wieczny odpoczynek. Liczył na uznanie obecnych.

Dosłyszawszy go, stara zaniepokoiła się i po kieszeniach szukać zaczęła. Nie mogła wszakże nic znaleźć.

— Jeszcze gdzieś... — mruczała — był grosz... czy dwa...

Zbliżyłam się, podając dziewczynce trochę drobnej monety.

Mała zrozumiała i, nie dziękując, wzięła z niej dwie sztuki i podsunęła ku babce.

— Jest, babusiu... — rzekła — jest...

Ślepa podniosła wysoko głowę i wyciągnęła rękę.

— Na! macie — rzekła. — Za duszę Józefa. A nie gadajcie, żeście darmo pacierz mówili. Jak ma być pochów, to niech będzie!

I z podniesioną głową wyszła powoli z kaplicy, stukając przed sobą kijem.

Marja Konopnicka.

18. Nie ja śpiewam!

I.

Nie ja śpiewam, lecz duch Boży,
Który piosnkę we mnie tworzy,
Co z miłości swej ogniska
Promieniami w pierś mi tryska.
Od którego ciepła mięknę,
Chwytam w serce wszystko piękne!
Aż te czucia ręką Bożą
Harmonijnie się ułożą
I wydadzą dźwięczne gwary,
Niby struny u cytary.
I piersiowa moja deska
Niby harfa gra niebieska...
W pierś uderzam się ze skruchą,
Aż zabrzęczą struny głucho,
Coraz bardziej, bardziej głośno,
Aż te szmery w pieśń urosną.

II.

Nie ja śpiewam, lecz lud Boży,
Który piosnkę we mnie tworzy,
I przez serce nitką żywą
W bratnie wiąże mnie ogniwo,
I udziela, duszy gwoli,
Czucia doli i niedoli.
Bratnie szczęście, jęk lub skarga
Elektrycznie pierś mi targa,
I napełnia echem łono,
I rozbudza krew uśpioną.
Kładę na pierś rękę brata,
Wnet mi tętno zakołata,
Wewnątrz tony się rozleją
To miłością, to nadzieją,
Coraz bardziej, bardziej głośno,
Aż te szmery w pieśń urosną.

III.

Nie ja śpiewam, lecz świat Boży,
Który piosnkę we mnie tworzy —

Puls przyrody bije we mnie,
Jak pluchoce fala w Niemnie,
Jak w litewskim, szumnym borze
Gwarzą sosny w rozhoworze,
Jak wiatr kąpie moją głowę
I kołysze chmury płowe...
Oko, ucho, myśli moje
Wrażeniami temi poję,
I na oścież pierś rozwinę,
I zapraszam je w gościnę.
One lecą, w pierś się kładną
Harmonijnie a bezładno,
Wszystko żyje, brzęczy, hula,
Jak gromada pszczół wśród ula,
Coraz bardziej, bardziej głośno,
Aż te szmery w pieśń urosną.

L. Kondratowicz.

19. Na jarmarku w małem miasteczku.

Już na moście był ścisk okropny. Dzierżawca rogatki kłócił się o kopytkowe, faktorki i przekupki przeglądały wszystkie fury, kilkunastu dziadów śpiewało na całe gardło: jeden o świętym Mikołaju, drugi „Kto się w opiekę“, dziesiąty o św. Rochu, obrońcy od morowego powietrza...

Interesy odrazu wzięły pomyślny obrót. Za prosiaka, wedle obliczeń Michałowej, miało być siedem rubli, tymczasem rzeźnik, niewiele się targując, dał za niego dziewięć rubli i złotych dwa, przybił Michałowi rękę, aż się po całym rynku rozległo, i jeszcze litkup zapłacił.

Co prawda, w Okpiszewie na św. Marcin bywali porządni rzeźnicy, aż z pod Węgrowa podobno, czy może z innego końca świata...

Uradowani małżonkowie pragnęli też zaraz załatwić sprawunki.

— Słuchajno, Michał — rzekła baba — mnie się widzi, że pasowałoby ci kaśkiet kupić, takie masz wielkie czapczysko, jak, nie przykładając, wronie gniazdo, kożuch na nic zrudział, denko wypłowiało i wstąscyna, ze tylko na śmiecie wyrzucić.

Żyd czapnik podsłuchał rozmowę i wnet chwycił Michała za rękę.

— Aj waj, gospodarzu — zawołał — jaką wy macie rozumną kobietę, aj waj, jaką rozumną! Co ona w swojej głowie ma, to prawdziwy majątek. Żeby wy tyle zboża w stodole mieli, co ona ma w swojej głowie rozumu! to rarytna kobieta jest, na moje sumienie!

— Nie gadaj, Żydzie — rzekła Michałowa — jeno daj kaśkiet, rzetelny kaśkiet z daszkiem.

— I to macie recht, na co jemu staromodne czapke? Taka czapka barania, jak konewka, to ciężkie jest, trzeba zdrowe szyje, żeby mogła udźwignąć głowę z takim baranem! trzeba bydlęce szyję na taki interes!

— Magduś — rzekł Michał — a może lepiej zamiast kaśkieta capkęby kupić, tera do zimy idzie, mróz, cy do lasu, cy jak, zawdy cieplej.

— Macie recht, gospodarzu — rzekł Żyd, wybierając ogromną, czarną czapę barania — macie recht! Tera do żyme idzie, kto nosi kaszkiet, żeby wiater jego świszczył po uszach! Ja wam co powiem: letki człowiek, letka czapka! Po czem poznać siłę w koniu? Po ogonie! a po czem poznać osobę? Po głowie! a że każde głowe jednakowe jest, to trzeba poznać po czapce! Kto nosi kaszkiet? pisarczyk od wójta! a kto nosi taką czapkę? sam wójt! Aj waj! aj waj! czekajcie, niechno ja wam wybiorę kawałek czapki w dobrym gatunku, coś fajn!

To mówiąc, Żyd wsadził Michałowi na głowę olbrzymie czapczysko i, natychmiast zwracając się do Michałowej, zapytał:

— Gospodyni! pani gospodyni! słuchajcie no, gdzie się wasz chłop podział? gdzie un się podział, wasz chłop, co tu stojał niedawno, gdzie un się podział?!

— A dyć stoi przed tobą — rzekła z gniewem baba — gdzie się miał podziać, toć się w ziemię przecież nie zapadł!

— Na moje sumienie, ja jego nie poznałem w tej nowej czapce, żebym tak nieszczęścia nie widział; tu stojał sobie chłop, zwyczajny chłop, jak dużo chłopów jest, a teraz taki gospodarz, taka osoba, że na całą gibernję takiego nie zdybować! Ja, jak żyję na świecie, nie widziałem, żeby który wójt tak wyglądał. Ale też to jest kawałek czapki! aj, waj! jaki to kawałek czapki jest!

— No, Magda! jak? — zapytał Michał — jak ty mi raisz... kaśkiet, czy czapkę?

— A no, albo ja wiem, może według zimy i czapkę, a na św. Jan kupisz se kaśkiet, jak zechcesz.

— Aj, aj, sprawiedliwie pani gospodyni powiada, bardzo sprawiedliwie, ja nawet nie wiem, gdzie wy na wsi taki rozum zdybali! Na moje sumienie!

Po długim targu, odchodzeniu, zawracaniu kilkakrotnem, Michał został właścicielem wspaniałej czapki, która, zdaleka szczególniej, wyglądała rzeczywiście, jak wronie gniazdo.

Pani Michałowa sprawiła sobie chustkę bardzo piękną, w której barwy czerwona, zielona i żółta kłóciły się z sobą zawzięcie i, nareszcie, przed zmrokiem jeszcze, zrobiony został najważniejszy sprawunek... buty.

Szewc z czerwonym nosem, znany na wszystkich jarmarkach handlarz obuwia, zaklął się na wszystkie świętości, na żonę, dzieci, na zbawienie duszy, że rzemień na butach jest mocny, jak żelazo, a fason najświeższy, warszawski; że podkówek najlepszy kowal obcęgami nawet nie oderwie i że, nareszcie, w tem wspaniałem obuwiu można stać w wodzie przez rok i sześć niedziel, i nie przemoczyć się wcale. Zapewnił, że z tego samego towaru robił buty dla dwóch młynarzów i rybaka, przyczem opowiedział bardzo ciekawą historję. Jeden z jego klientów, kupiwszy buty, takie same właśnie, jak Michał sobie wybrał, łowiąc ryby na jeziore, utonął, i dopiero w pół roku później woda wyrzuciła go na brzeg. Cygan, który właśnie tamtędy przechodził, pozazdrościł topielcowi tak pięknych butów i ściągnął je, potem dostał się do sądu i w tychże samych butach przesiedział dwa lata w kryminale; ale nie dość na tem, bo, wyszedłszy z kryminału, sprzedał je Żydowi za cztery złote podobno.

Doprawdy od takiego majstra, jak ów szewc, nie żal przynajmniej kupować, bo to i majster dobry i człowiek wymowny, umie towar zachwalić i uszanować każdego, nie targuje się, jak Żyd; jak może co opuścić z ceny, to opuści i da statek porządny, co się zowie, i nie obedrze człowieka.

Jarmark powiódł się Michałostwu. Prosiaka sprzedali dobrze, kupili piękną chustkę, czapkę, buty, obwarzanków dla dzieci, a oprócz tego Michałowa zaopatrzyła się w duży garnek gliniany, polewany, o jakim już oddawna marzyła; kupiła także soli oraz kilka pierniczków dla swego „raka zatraconego“, najmłodszego Antosia, którego bardzo kochała. Sprawunki zawiązała w chustkę, a Michał przymocował nowe buty u kobiałki, potem wstąpili do Lejbusia, napili się na drogę wódki, zjedli śledzia prosto z beczki, parę bułek i poszli do domu.

Kl. Junosza.

20. Pocztyljon.

Gawęda gminna.

Tu piją i gwarzą, ty jeden w tej wrzawie
Wyglądasz, jak jeniec w niewoli;
Weź czarkę, weź lulkę, siądź tutaj na ławie
I powiedz, co ciebie tak boli.

Ni dzwonek, ni trąbka, ni kraśne dziewczęta
Nie mogą rozerwać twej nudy,
Dwa lata tu żyjesz, a nikt nie pamięta,
Ażebyś był wesół, jak wprzódy.

— O! bo też mi gorzko, bo smutno mi wszędzie,
Niemiło na świecie, niemiło!
Daj czarkę! przy czarce odważniej mi będzie,
Posłuchaj, co mi się zdarzyło:

Gdym przystał na pocztę, zbyt jeszczem był młody,
Lecz dusza dość miała swej mocy;
Nie znało się wprawdzie wygody, swobody,
Nie było ni święta, ni nocy.

Od ranka do zmroku, od zmroku do ranka
Woziłem pakiety i pany,
Dostałem złotówkę, o! wtedy hulanka,
Wesoły, i syt, i pijany!

Zwodziłem dziewczęta, skarbiłem przyjaciół,
Z pisarzem, jak z równym — i kwita;
I konie mię znały, jak gwizdnął, jak zaciął,
Rwą moje siwaki z kopyta.

Wesoło wieźć pocztę! zatrąbię na moście,
Tu kogoś się spędzi, tam spotka,
Tu wiozę panicza, tu młode jejmoście,
O! wtedy pewniutka dwuzłotka!

Lecz serce me jednej oddałem dziewczynie,
Mieszkała w wioseczce o milę,
Bywało, wracając nigdy się nie minie,
Choć krótką przepędzę z nią chwilę.

Raz woła mię pisarz w północnej coś porze,
Budzę się natychmiast, przychodzę,
A była to zima, mróz tęgi na dworze,
Zawieja, sumioty[1]) na drodze.

[1]) Sumioty — zaspy śnieżne.

— „Powieziesz sztafetę![1])“ — Oj, licho przywiodło! —
Tak sobie, odchodząc, mruczałem,
Za pakiet, za trąbkę, za konia, za siodło,
I w moment puściłem się cwałem.

A tutaj wiatr świszcze, śnieg kręci, i ciemno,
A przytem okrutne bezdroże;
Dwa słupy wiorstowe mignęły przede mną,
Podjeżdżam pod trzeci — o Boże!

Wśród wichru poświstów głos, z płaczem zmieszany,
Wbok drogi gdzieś woła pomocy;
Myśl pierwsza: pomogę! ktoś pewno zbłąkany
Brnie w śniegu i zginie wśród nocy.

Zwróciłem już konia, wtem jakby mi zda się,
Ktoś szepnął: — „A tobie co po tem?
Ot, lepiej, godzinkę zyskawszy na czasie,
Odwiedzić swą dziewę z powrotem.“

Strach serce ogarnął, zaledwiem mógł dyszeć,
Pot zamarzł kroplami nad czołem;
Jam w trąbkę uderzył, by jęków nie słyszeć,
I dalej siwego zaciąłem.

Wracałem o świcie, trzy wiorsty od domu
Strach znowu ogarnął mię skryty,
Duch zamarł, a serce, szepcąc pokryjomu,
Stukało, jak dzwonek rozbity.

Przy słupie koń czmychnął, zjeżyła się grzywa,
Na drodze, pod płachtą powiewną,
Pod warstwą sumiotu — kobieta nieżywa,
Skostniała, bezwładna, jak drewno.

Strząsnąłem płat śniegu na białej jej szacie
I trupa wywlokłem na drogę;
Otarłem śnieg z lica — to była... Ach! bracie,
Daj czarkę, dokończyć nie mogę.“

L. Kondratowicz.

21. Katarynka.

Żaden śmiertelnik nie jest wolny od jakiegoś dziwactwa, a pan Tomasz miał także swoje. Oto — nienawidził kataryniarzy i katarynek.

[1]) Sztafeta — pilna wiadomość, przesyłana umyślnym gońcem.

Gdy usłyszał na ulicy katarynkę, przyśpieszał kroku i na parę godzin tracił humor. On, człowiek spokojny, zapalał się; jak był cichy, krzyczał, a jak był łagodny, wpadał w gniew na pierwszy odgłos katarynkowych dźwięków.

Pan Tomasz był mecenasem. Dom, w którym mieszkał, przechodził kilka razy z rąk do rąk. Rozumie się, że każdy nowy właściciel uważał za obowiązek podwyższać wszystkim komorne, a najpierwej panu Tomaszowi. Mecenas płacił podwyżkę, ale pod tym warunkiem, wyraźnie zapisanym w umowie, że katarynki grywać w domu nie będą. Niezależnie od kontraktowych zastrzeżeń, pan Tomasz wzywał każdego nowego stróża i przeprowadzał z nim taką mniej więcej rozmowę:

— Słuchajno, kochanku... A jak ci na imię?

— Kazimierz, proszę pana.

— Słuchajże, Kazimierzu! Ile razy wrócę do domu późno, a ty otworzysz mi bramę, dostaniesz dwadzieścia groszy. Rozumiesz?

— Rozumiem, wielmożny panie.

— A prócz tego będziesz brał ode mnie dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz za co?

— Nie mogę wiedzieć, jaśnie panie — odpowiedział wzruszony stróż.

— Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek.

— Rozumiem, jaśnie wielmożny panie.

Z drugiej strony podwórza, wprost okien pana Tomasza znajdował się lokal, wynajmowany osobom mniej zamożnym. Długi czas mieszkał tu stary urzędnik sądowy, który, spadłszy z etatu, przeniósł się na Pragę. Po nim najął pokoiki krawiec; lecz ten, że lubił niekiedy upijać się i hałasować, więc wymówiono mu mieszkanie. Później sprowadziła się tu jakaś emerytka, wiecznie kłócąca się ze swoją sługą. Ale od św. Jana staruszkę, już bardzo zgrzybiałą i wcale zasobną, pomimo jej kłótliwego usposobienia, wzięli na wieś krewni, a do lokalu sprowadziły się dwie panie z małą, może ośmioletnią dziewczynką.

Kobiety utrzymywały się z pracy. Jedna szyła, druga wyrabiała pończochy i kaftaniki na maszynie. Młodszą z nich i przystojniejszą dziewczynka nazywała mamą, a starszej mówiła „pani“.

I u mecenasa, i u nowych lokatorów okna przez cały dzień były otwarte. Kiedy więc pan Tomasz usiadł w swoim fotelu, doskonale mógł widzieć, co się dzieje u jego sąsiadek.

Były tam sprzęty ubogie. Na stołach i krzesłach, na kanapie i na komodzie leżały tkaniny, przeznaczone do szycia, i kłębki bawełny na pończochy.

Z rana kobiety same zamiatały mieszkanie, a około południa najemnica przynosiła im niezbyt obfity obiad. Zresztą każda z nich prawie nie odstępowała od swojej turkocącej maszyny.

Dziewczynka zwykle siedziała przy oknie. Było to dziecko z ciemnemi włosami i ładną twarzyczką, ale blade i jakieś nieruchawe. Czasami dziewczynka zapomocą dwu drutów wiązała pasek z bawełnianych nici. Niekiedy bawiła się lalką, którą ubierała i rozbierała powoli, jakby z trudnością. Czasami nie robiła nic, tylko, siedząc w oknie, przysłuchiwała się czemuś.

Pan Tomasz nie widział nigdy, ażeby dziecko to śpiewało lub biegało po pokoju, nie widział nawet uśmiechu na bledziutkich ustach i nieruchomej twarzy.

— Dziwne dziecko! — mówił do siebie mecenas i począł przypatrywać się jej uważniej. Spostrzegł raz (było to w niedzielę), że matka dała jej mały bukiecik. Dziewczynka ożywiła się nieco. Rozkładała i układała kwiaty, całowała je. Wkońcu związała napowrót bukiecik, włożyła go w szklankę wody i, usiadłszy w swojem oknie, rzekła:

— Prawda, mamo, że tu jest smutno...

Mecenas zgorszył się. Jak mogło być smutno w domu, w którym on od tylu lat miał dobry humor!

Jednego dnia mecenas znalazł się w swoim gabinecie około czwartej. W tej godzinie słońce stało naprzeciw mieszkania jego sąsiadek, a świeciło i dogrzewało bardzo mocno. Pan Tomasz spojrzał na drugą stronę podwórza i widać zobaczył coś niezwykłego, gdyż z pośpiechem założył na nos binokle.

Oto, co spostrzegł.

Mizerna dziewczynka, oparłszy głowę na ręku, położyła się prawie na wznak w swojem oknie i szeroko otwartemi oczami patrzała prosto w słońce. Na jej twarzyczce, zwykle tak nieruchomej, grały teraz jakieś uczucia: niby radość, a niby żal...

— Ona nie widzi! — szepnął mecenas, opuszczając binokle.

W tej chwili doświadczył kłucia w oczach na samą myśl, że ktoś może wpatrywać się w słońce, które ziało żywym ogniem.

Zdarzyło się w tych czasach, że jeden z przyjaciół mecenasa miał proces i, jak zwykle, oddał mu do przejrzenia papiery z prośbą o radę. Wprawdzie pan Tomasz nie stawał już w sądach, ale, jako doświadczony praktyk, umiał wskazać najwłaściwszy kierunek akcji[1]) i wybranemu przez siebie adwokatowi udzielał pożytecznych objaśnień.

Sprawa obecna była zawikłana. Pan Tomasz, im więcej wczytywał się w papiery, tem bardziej zapalał się. W emerycie ocknął się adwokat. Nie wychodził już z mieszkania, nie sprawdzał, czy starto kurz w salonie, tylko, zamknięty w swoim gabinecie, czytał dokumenty i notował.

Na drugi dzień pan Tomasz jeszcze siedział nad aktami; około drugiej zjadł obiad i znowu siedział.

Matka ociemniałej i jej wspólniczka, robiąca pończochy na maszynie, podziwiały mecenasa i mówiły, że wygląda na czerstwego wdowca, który ma zwyczaj od rana do wieczora drzemać nad biurkiem.

Tymczasem on, choć przymykał oczy, nie drzemał wcale, tylko rozmyślał nad sprawą.

Gdy tak nurzał się w powikłanych kombinacjach, zdarzył się dziwny, trudny do pojęcia wypadek.

Na podwórzu, pod samem oknem pana Tomasza odezwała się — katarynka!... I żeby to przynajmniej była katarynka włoska, z przyjemnemi tonami fletowemi, dobrze zbudowana, grająca ładne kawałki! Gdzie tam! Jakby na większą szykanę, katarynka była popsuta, grała fałszywie ordynaryjne walce i polki, a tak głośno, że szyby drżały. Na domiar złego, trąba, niekiedy się w niej odzywająca, ryczała, jak wściekłe zwierzę.

Wrażenie było potężne. Mecenas osłupiał. Nie wiedział, co myśleć i co począć. Chwilami gotów był przypuścić, że przy odczytywaniu pośmiertnych rozporządzeń chorego na umyśle pana X., po którym miał ów przyjaciel dziedziczyć, jemu samemu pomieszało się w głowie.

Ale nie! To była rzeczywista katarynka z popsutemi piszczałkami i bardzo głośną trąbą!

W sercu mecenasa, tego wyrozumiałego, tego łagodnego człowieka, zbudziły się dzikie instynkty. Uczuł żal do natury, że go nie stworzyła królem dahomejskim, który ma prawo zabijać swych poddanych, i pomyślał, z jaką rozkoszą położyłby w tej chwili kataryniarza trupem.

A ponieważ u ludzi tego temperamentu, co pan Tomasz, bardzo łatwo w gniewnem uniesieniu przechodzi się od zuchwałych projektów do najstraszniejszych czynów, więc mecenas skoczył, jak tygrys, do okna i postanowił zwymyślać kataryniarza najgorszemi wyrazami.

[1]) Akcja — postępowanie (tu: sądowe).

Już wychylił się i otworzył usta, aby krzyknąć: „Ty próżniaku jakiś!“ — gdy wtem usłyszał dziecięcy głos.

Spojrzał naprzeciwko.

Mała, niewidoma dziewczynka tańczyła po pokoju, klaszcząc w ręce. Blada jej twarz zarumieniła się, usta śmiały się, a pomimo to z zastygłych oczu łzy płynęły, jak grad. Ona, biedactwo, w tym domu spokojnym dawno już nie doświadczyła podobnych wrażeń! Jak pięknem zjawiskiem wydawały się jej fałszywe tony katarynki! Jak wspaniałym był ryk trąby, która mecenasa mało nie przyprawiła o apopleksję!

Na dobitkę, kataryniarz, widząc uciechę dziecka, zaczął przytupywać wielkim obcasem w bruk i pogwizdywać, niby lokomotywa przed spotkaniem się pociągów.

Boże! jak on ślicznie gwizdał...

Wtem do gabinetu mecenasa wpadł wierny lokaj, ciągnąc za sobą stróża i wołając:

— Ja mówiłem temu gałganowi, jaśnie panie, żeby natychmiast wygnał kataryniarza! Mówiłem, że od jaśnie pana dostanie pensję, że my mamy kontrakt... Ale ten cham tydzień temu przyjechał ze wsi i nie zna naszych obyczajów. No, teraz posłuchaj — krzyczał lokaj, targając za ramię oszołomionego stróża — posłuchaj, co ci sam jaśnie pan mecenas powie!

Kataryniarz grał już trzecią sztuczkę, tak fałszywie i wrzaskliwie, jak dwie pierwsze. Niewidoma dziewczynka była upojona. Mecenas odwrócił się do stróża i rzekł, ze zwykłą sobie flegmą, choć był trochę blady.

— Słuchajno, kochanku... A jak ci na imię?

— Paweł, jaśnie panie.

— Otóż, mój Pawle, będę ci płacił dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz, za co?

— Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek! — wtrącił śpiesznie lokaj.

— Nie — rzekł pan Tomasz — za to, ażebyś przez jakiś czas codzień puszczał katarynki. Rozumiesz?

— Co pan mówi? — zawołał służący, którego nagle rozzuchwalił ten niepojęty rozkaz.

— Ażeby, dopóki się z nim nie rozmówię, puszczał codzień katarynki na podwórze — powtórzył mecenas, wsadzając ręce w kieszenie.

— Nie rozumiem pana! — odezwał się służący z oznakami obrażającego zdziwienia.

— Głupiś, mój kochany! — rzekł mu dobrotliwie pan Tomasz.

— No, idźcie do roboty — dodał.

Lokaj i stróż wyszli, a mecenas spostrzegł, że jego wierny sługa coś towarzyszowi swemu szepce do ucha i pokazuje palcem na czoło... Pan Tomasz uśmiechnął się i, jakby dla stwierdzenia ponurych domysłów famulusa[1]), wyrzucił katarynce dziesiątkę. Następnie wziął kalendarz, wyszukał w nim listę lekarzy i zapisał na kartce adresy kilku okulistów. A że kataryniarz odwrócił się teraz do jego okna i za jego dziesiątkę począł przytupywać i wygwizdywać jeszcze głośniej, co już okrutnie drażniło mecenasa, więc, zabrawszy kartkę z adresami doktorów, wyszedł, mrucząc:

— Biedne dziecko!... Powinienem był zająć się niem oddawna.

Bolesław Prus.

22. Szczur miejski i wiejski.

Niegdyś szczur wiejski do swej w polu nory
Miejskiego szczura zaprosił,
A chociaż skrzętny, kiedy szło o zbiory,
Co z potem czoła poznosił,
Jednak, dawnego widząc przyjaciela,
Co miał w komorze, hojnie mu udziela;
Stawia przed gościem wszystkiego po trochu:
Kilka ziarn owsa, przy nich kilka grochu,
Inne polowe jarzyny,
Nawet kawałek ogryzłej[2]) słoniny;
Rozmaitością chcąc mierność zastąpić,
Nie znał, co to jest dla sąsiada skąpić.
Ale szczur miejski, w zbytkach nauczon smakować,
Gardzącym zębem ledwie coś raczył skosztować;
Nakoniec tak mu rzecze: „Na co ci się przyda
To nędzne życie i bieda?
Mieszkanie w głuchym lesie, w tej poziomej budzie?
Chceszże poznać, co to są i miasta i ludzie,
Pójdź ze mną; życie krótkie, czy wielki, czy mały,
Umierać musi; więc te, co nam dały
Dni dobre Nieba, wesoło spędzajmy,
Jedzmy smaczno i hulajmy;
Nic się po nas nie zostanie!“ —
Takie rozumowanie[3])

[1]) Sługi.
[2]) t. j. ogryzionej.
[3]) t. j. dowody.

Przekonało wieśniaka: skoro nocne cienie
Okryły ziemię, a głuche milczenie
Panowało po mieście, oba nasze szczury
Dość sporym krokiem,
Ruszywszy mrokiem,
Bezpiecznie przeszły bramy i obwodne mury[1]).
Już i dostatnie gmachy mieszczą naszych gości,
Kędy na łożach ze słoniowej kości
Błyszczy jasna purpura, jak oko zamierzy,
I gdzie obfite reszty z wczorajszej wieczerzy
Stały w złocistych koszach. Przez poszanowanie,
Sadza szczur miejski gościa na pięknym dywanie;
Krząta się, biega, sam półmiski stawia,
Sam różne sosy zaprawia;
Każdej potrawy dobroć mu wykłada,
A nasz wieśniak wszystko zjada.
Gdy się unosi i chwali,
Alić hałas drzwi skrzypiących
Spędza u stołu siedzących,
Przejęci strachem, biegają po sali,
Ledwie dyszą z bojaźni; wkrótce pomieszanie
Powiększa straszne brytanów szczekanie,.
Wtenczas rzekł wieśniak: „Bądź zdrów, mój sąsiedzie,
Nie chcę ja życia takiego,
Gdzie szczur nie pewien nawet przy obiedzie.
Wracam do lasu mojego;
Wolę w spokoju jeść groch mój suszony,
Niźli w bojaźni kapłony!“

J. U. Niemcewicz.

23. Siteczko.

Co się jej stało? Jezus Marja? Co jej się stało?

Dlaczego ona krzyknęła, zemdlała, a gdyśmy ją otrzeźwili, taką była zmartwioną i przelęknioną? Nie wiem, nie rozumiem. Może pan zgadnie. Trzebaż wypadku, że pan tu wszedł, jak raz w tym momencie, kiedy ona krzyknęła: „Tatku!“ i zemdlała. Jakim ona głosem krzyknęła! Prawda? Aż mię w serce ukłuło, aż pode mną nogi się zatrzęsły! Takim głosem krzyknęła, jak gdyby stracha przed sobą zobaczyła, albo jak gdyby ktoś nagle nożem po sercu ją ciął? Prawda? Co jej się stało? Nie

[1]) Mury, okrążające miasto.

wiem. Może pan zgadnie... Mnie ten wypadek bardzo martwi, bo tę panią znam od dzieciństwa... Ach, jak to szczęśliwie, że były przy tem dwie moje panny i że pan wszedł, bo są przynajmniej świadkowie, że ja nic złego jej nie zrobiłam, a gdybyśmy były tylko we dwie, lękałabym się, aby nie posądzono, że to z mojego powodu... Ona nie! ona pewno nic złego zrobićby mi nie chciała. Gdzież tam! serce zawsze miała dobre i znamy się od tak dawna; ale jej mąż, taki znakomity i możny człowiek, jednym palcem zgnieśćby mógł taką jak ja biedną kobietę... Szczęście, że miałam świadków... ale jestem bardzo zmartwiona i dziś wieczorem muszę pobiec do niej, dowiedzieć się, czy czasem nie zachorowała. Pan wie, jak ona się nazywa i kto jest jej mąż, a kto ona z domu? Zaraz, zaraz powiem, wszystko opowiem, tylko spojrzę na moje panny, czy prędko już sukienkę córeczki pańskiej wykończą, bo nie trzeba przecież, aby pan długo czekał...

Za kwadrans, może za dwadzieścia minut będzie gotowa; byłaby już gotową, gdyby nie ten wypadek, który nam trochę czasu zajął. Czasu zawsze niewiele mamy, bo roboty jest dużo, nawet na kilka szyjących panien za dużo... chwała Bogu... Niechże pan będzie łaskaw usiądzie sobie tymczasem na tym fotelu. Sukienka za kwadrans będzie...

Ach, mój Boże, jak jestem zmartwiona tym wypadkiem! Widzi pan, ja u jej rodziców dwanaście lat służyłam. Młodą dziewczyną dostałam się do nich i u nich nauczyłam się wszystkiego, co umiem i z czego teraz chleb jem. Dobrzy byli ludzie, niech im Bóg Najwyższy da swoją światłość niebieską... zacni byli ludzie, on szczególniej, bo ona, choć bardzo dobra, miała trochę próżności i może już zanadto lubiła wygódki, zabawki, stroiki... Ale to mała rzecz. Zresztą oboje byli zacni i bardzo dobrzy. Jedną tylko córeczkę dał im Pan Bóg, oto tę, Bronię... Kiedym się do nich na służbę dostała, miałam szesnaście lat, a Bronia trzy, może cztery. Przed oczyma mojemi to rosło, na moim ręku, można powiedzieć, że ręku wszystkich, bo wszyscy we dworze, od samych państwa aż do najpośledniejszych sług, przepadali za nią. Dziecko było ładne, ale więcej jeszcze miłe. Żywa, jak iskra, gadatliwa, jak czeczotka, wiecznie śmiejąca się, szczebiocąca, całująca, przylepka, umizgalska; wszystkich rozweselała, nikomu bez niej życia i wesołości nie było. Państwo nie byli bardzo bogaci, ale też niczego im nie brakowało. Majątek, nie ogromny, ale i nie mały, dwór obszerny, sług dużo; dziecko we wszystko opływało: matka stroiła je, ojciec uczył. Od samej maleńkości uczyć je zaczął; na kolanach, bywało, posadzi, różne historje opowiada, obrazki pokazuje, a że moja

służba taka była, iż prawie ciągle około państwa kręcić się musiałam, więc mnie także przysiąść każe, jeszcze innych służących zawoła, i razem z Bronią uczymy się wszyscy praw boskich i czasów starych, czytania, pisania. Pani kazała w garderobie uczyć mię szycia sukien, pan wołał zawsze, ile razy co opowiadał i pokazywał... wszystko im zawdzięczam, a teraz taki wypadek z córką ich w moim domu... ach, jak mię to martwi! Przy całej swojej dobroci, kiedy szło o rzeczy ważne, pan był trochę srogi. Martwiło go i gniewało, że Bronia nie była przy nauce bardzo uważną i że, jak powiadał, miała charakter płochy. Siteczkiem ją nazywał. „Czego nauczy się," powiada, „to zapomni; za czem dziś przepada, tego jutro już nie pamięta; wszystko", powiada, „przelatuje przez nią, jak przez sito." I prawda to była; my już, bywało, sługi, choć duże i proste nieuki, lepiej od niej zapamiętamy to, co od pana usłyszym, a na punkcie przywiązania i chęci i gustów, to u Broni jednego dnia dziesięć razy deszcz i pogoda: to umie, to nie umie; to kocha, to nie kocha; to chce, to nie chce. Sama żywość była w tem dziecku i sama pustota. Zresztą dobra, jak anioł; nikogo nigdy nie krzywdziła, ani obrażała; w razie potrzeby i możności każdemu dopomogła, tylko byle narazie, bo, gdy jedna godzina minęła, ona już o czyjejś biedzie i o swojej obietnicy ani pamięta: co innego ją zajęło, bawi się, a kiedy bawić się zacznie — zgiń, świecie! Bronia w tamtą stronę ani spojrzy. Jabym tam może sama nie zauważyła i nie zapamiętała tego wszystkiego, gdyby pan czasem o tem nie mówił i za to jej nie gromił. Nad życie kochał on swoje „siteczko", ale pomimo to zdarzało się nierzadko, że je karcił. Ona jednak, rzecz dziwna, do niego najwięcej była przywiązana, więcej nawet, zdaje się, niż do matki. Jakby w nim zbawienie swoje czuła, tak czepiała się go i małem sercem swojem i rękoma. Gdy, bywało, za szyję go obejmie i przylepi się mu do piersi, to już i do zabawy jej nie odwołać i łakociami, których jednak bardzo chciwą była, nie zwabić. Czasem, choć nie często, zajmowało ją nawet to, co on opowiadał. W jadalnym pokoju, dość dużym, wisiało na ścianach wiele portretów różnych dawnych ludzi. Pan o każdym z nich mówił: kto to był taki? jak się nazywał? kiedy żył? co robił? Ona te historje portretów lubiła daleko więcej, niż inne nauki, może dlatego, że i pan także w tych lekcjach większą, niż w innych, znajdował przyjemność. Tak o tem, bywało, mówi, jakby najpiękniejsza muzyka grała, jakby słowami malował, a choć nie był już bardzo młody, oczy mu błyszczą, to jak węgle rozpalone, to jak gwiazdy, przez mgłę świecące. Ona też, jak nasłucha się tych historyj, jak ich ponaucza

się na pamięć, to potem z portretami temi odegrywa różne komedje. Sto pociech z dzieciny tej bywało! Dziesięć lat może miała, ale zabawne to było jeszcze, jak pięcioletnie dzieciątko. Bielutka, różowa, ze złotemi włosami, które pani codzień na loki zawijała, zgrabna, jak ta laleczka na sprężynach. Wchodzi, bywało, do jadalnego pokoju, dwoma paluszkami z każdej strony sukienkę troszkę podnosi i przed każdym portretem: dyg, dyg! z podniesioną główką aż do samej ziemi przysiada: „Dzień dobry!" albo: „Dobry wieczór, panie taki a taki! Jakże się pan miewa? Czy rany już nie bolą? czy akademja w Zamościu dobrze idzie? A ja wiem, ilu Turków pod Chocimiem było i bardzobym chciała zobaczyć żywe wielbłądy! Tak żałowałam, tak żałowałam, kiedy pod Cecorą pana zabili, że aż rozpłakałam się, a tatko mnie cały może kwadrans całował! I pana także żałowałam bardzo, że pan utonął."

Tak, bywało, przed każdym dyga i do każdego o czemś innem przemówić potrafi, a taka przytem milutka, że chciałoby się ją zjeść. Ze wszystkich przecież jeden portret najlepiej sobie upodobała, czy to dlatego, że pan o nim najpiękniej rozpowiadał, czy że najsilniejszemi kolorami był malowany: oto ten tam, co u mnie teraz wisi, tu... niech pan będzie łaskaw spojrzy, na tej ścianie, naprzeciw lustra. Kiedy odprawiałam się od państwa, a raczej od pani, bo pan nieborak już wtedy nie żył, hojnie mię obdarowano, a między innemi pamiątkami od nich mam i ten portret. Otóż Bronia do niego miała największą sympatję. Innym, bywało, raz tylko dygnie, a temu trzy razy i jeszcze główkę nisko pochyli: „Dzień dobry, panie Stefanie! Jaką ładną delję pan ma na sobie! Tatko mnie opowiadał, jak pan ślicznie tę rzekę przepłynął i co pan w Danji robił. Ja pana bardzo lubię. Kiedy do jadalnego pokoju wchodzę, zawsze mi się zdaje, że pan na mnie tak ładnie, ładnie patrzy, jakby pan mię także bardzo lubił. Czy to prawda, że pan Bronię lubi?" I, okręciwszy się na paluszkach, śpiewając, główką kręcąc, wprost ojcu na kolana. „Jużem się, tatku, ze wszystkimi przywitała i wszyscy popatrzali na mnie tak ładnie, tak ładnie, ale najładniej patrzał pan Stefan." Takie to było ucieszne, w szczęściu hodowane, ale niedługo. Boże mój kochany, niedługo! Państwo na majątku podupadać jakoś zaczęli, pan gryzł się, a że już i przedtem osobliwego zdrowia nie miał, więc zagryzł się i zszedł z tego świata. Pani, wiadomo, kobieta w interesach niedoświadczona i niczego sobie odmówić nie umiejąca, wprędce majątek do reszty w długi pogrążyła, tak że już i utrzymać się na nim nie było sposobu; w biedę popadły obydwie z Bronią, która wtedy piętnaście lat miała. Ale gdzie

im tam było biedę znosić: pani takiej delikatnej i chorowitej, panience rozpieszczonej i wesołości pragnącej! Krewnych bogatych miały w bardzo wielkiem mieście i proces jakiś, który im ci krewni wygrać przyrzekali; zabrały się tedy i pojechały. Ja wtedy odprawiłam się od nich, bo, choć chciały mię z sobą zabrać, żal mi było wszystko swoje porzucić i wolałam tu biedę klepać, niż za siedmiu górami i rzekami w dostatki opływać. Przed wyjazdem Bronia była bardzo uradowana. Cieszyło ją to, że w ogromnem mieście zamieszka, że u bogatych krewnych wielkie salony i częste bale, że, kiedy proces wygra, sama salon sobie urządzi i zawsze jak najpiękniej stroić się będzie; no, nic dziwnego, młode to takie było, prawie dziecko. Kiedy żegnała się ze mną, całowała mię, ściskała i płakała, ale o starym domu, który na zawsze była opuściła, o ojcu, przed dwoma laty zmarłym, już w niej ani wspomnienia nie było. Siteczko!

Piętnaście lat minęło. Przez ten czas za mąż wyszłam, owdowiałam, dwóch synów podhodowałam, do klas od kilku lat już chodzą... Z pracy rąk swoich wszystko mam i chociaż, dzięki Bogu, głodem nie mrę, ależ zawsze przy dzieciach, zwłaszcza po owdowieniu, kłopotów różnych i smutków najadłam się niemało, a wśród tego wszystkiego, przyznam się panu, o Broni prawie i zapomniałam. Nie widziałam jej przez piętnaście lat ani razu i nie słyszałam o niej nic. Czasem, kiedy, nie śpiąc w nocy, albo modląc się w kościele, dobrodziejów swoich wspominałam, i ona mi też, jak żywa, stawała przed oczyma, ale to tylko momentalnie, poczem rozpoczynał się znowu męczący, a czasem to aż krwawy taniec życia, przy którym obraz ładnego i wesołego dziewczątka niknął z pamięci na długo. Aż tu raz, właśnie tej zimy, idę ulicą, z jedną swoją znajomą, z żoną tego, może pan go zna, introligatora, i gadamy sobie o różnych swoich biedach i pociechach, aż z innej ulicy, z boku, wylatują wielkie, rozłożyste sanie, w cwał pędzącemi i szeroko rozpuszczonemi końmi zaprzężone, i tak na nas lecą, że, Jezus Marja! ani nam w prawo, ani w lewo; uciekamy, ślizgamy się po zamarzłym śniegu i już nie wiemy same, jak śmierci albo kalectwa uniknąć, a tylko w uszach nam dzwoni, brzęczy, krzyczy, gwiżdże i tak śmieje się, że aż zanosi się od śmiechu. Dzwoniła i brzęczała tak uprząż na koniach, krzyczał i wołał woźnica: „Z drogi! z drogi!“, a śmiało się i zanosiło od śmiechu, nie z nas pewno, ale z jakiejś zabawnej rozmowy, towarzystwo, siedzące w wielkich, rozłożystych saniach. Nic jednak; wykręciliśmy się jakoś, introligatorowa tylko nosem w śnieg padła, ja zaś utrzymałam się na nogach i, jak we śnie, jak w przelocie błyskawicy, zobaczyłam — Bronię. Kilkoro ich

jechało, raczej leciało, mężczyźni i kobiety, z których jedną była ona. Dałabym była siebie na kawałki porąbać za to, że to ona. Ta sama białość i różowość twarzy, te same turkusowe oczy, te usta śmiejące się i ponsowe, te włosy blond, takie złote, z pod sobolowej czapeczki... Cała w sobolach była, a przy jej uszach, jak iskry, ze śniegu podjęte, błysnęły w słońcu brylanty! Chociaż sanie daleko już odleciały, ja jeszcze za niemi patrzyłam i pomimo, że prze ulicę dość ludzi szło i jechało, długo nad wszystkim gwarem wzbijał się brzęk i dźwięk ich uprzęży, krzyk ich woźnicy: „Z drogi! z drogi!“ — i głośny śmiech: cha-cha-cha! cha-cha-cha! Kiedy oprzytomniałam, trzebaż wypadku, przechodzi koło mnie jeden znajomy mój, taki, który wiele różnych osób w mieście znać może. Chwytam go tedy za rękę i pytam: czy nie wie czasem, kto ta pani, co tam pojechała? — A wiem — odpowiada — i mówi mi panieńskie jej nazwisko.

Więc ją poznałam! Ale skądże ona tu się wzięła, a w takim bogatym stroju i w takiej wesołej kompanji jeździ? Ot, wielkie dziwy! Z mężem przyjechała, tym a tym, człowiekiem bardzo znakomitym i możnym. Idąc do domu, ciągle myślałam sobie: a-a-a! a-a-a! hm, hm, hm, hm! a potem pomyślałam: a no! — ręką machnęłam i do swoich szyjących panien poszłam. Roboty było wiele, pilna, a tych panien, choć i poczciwe, dobrze pilnować trzeba. Przytem staniki kroję zawsze sama i draperje w ostatecznem upięciu z pod mojej własnej ręki wychodzić muszą.

Ale w miesiąc może potem panna Róża (to moja starsza panna do staników), wracając z miasta, wielkim pędem do pracowni wpada i aż zadyszana od pośpiechu woła:

— Kareta! kareta! Proszę prędko przyjmować! Jakaś pani taką piękną karetą przyjechała!

Biegnę i już przez okno przedpokoiku widzę, że śliczna kareta przed drzwiami mieszkania stoi, przy niej konie czarne, takie duże. Wpadam do tego pokoju, aż w przedpokoiku słyszę srebrny, donośny głosik: — Czy tu suknie szyją? — Tu, tu! — odpowiadam i drzwi naoścież otwieram, a na progu, cała w sobolach, tak jak wtedy, staje Bronia. Kiedym ją tak zbliska zobaczyła, kiedy ona swojemi turkusowemi oczyma na mnie spojrzała, zapomniałam o długiem niewidzeniu się naszem, o tem, że ona teraz wielka pani, o wszystkiem... zawołałam: „Bronia!“ i rozpłakałam się. Ona zdziwiła się bardzo, bo wcale mnie nie poznała, ale kiedy jej powiedziałam imię i panieńskie nazwisko swoje (z okolicy szlacheckiej rodem jestem, proszę pana), zaraz przypomniała sobie naszą dawną znajomość i, ręce

na szyję mi zarzuciwszy, ucałowała mię serdecznie. Całując i kiedy na tej oto kanapce ją sadzałam, ciągle śmiała się i mówiła:

— A mojaż ty, Kazimiro, jak ja dawno ciebie nie widziałam! Ot i nie spodziewałam się takiej siurpryzy! A mojaż ty, duszeczko! Co? to ty suknie szyjesz? Ależ postarzałaś! Gdzie twoja dawniejsza talja podziała się! No, ale oczy to takie same, jak były! Jaka ja rada, że ciebie widzę i że to ty suknie dla mnie będziesz szyła! Tak dużo różnych rzeczy potrzebuję! Ale najpierwej to mnie kostjum na bal maskowy zrobić musisz, potem dwie suknie: jedną ze szlejfem, a drugą krótką; matinetę też prędko, prędko mieć muszę...

Porwała się z kanapki, do drzwi do przedpokoju skoczyła:

— Michał! Michał! rzeczy z karety tu przynieść prędzej!

Cały magazyn ze sobą przywiozła. Czego tam nie było! Materje różne, koronki, wstążki, tiule, kwiaty, aż w pokoju od tego zrobiło się ciasno.

— Masz żurnale? — Sporo mam żurnali mód i wszystkie przed nią położyłam. No, byłoż to, było wybieranie, przebieranie, dobieranie, medytowanie, kombinowanie, aż poty na mnie wybijać zaczęły. Jak ryba w wodzie! Kontenta taka, że, zdaje się, tyle skrzydeł ma, ile koło niej gałganków leży. Już ja spokojna — mówi — że ty to wszystko ślicznie zrobisz. Mnie znajome panie mówiły, że ty ślicznie robisz, i bardzo ciebie rekomendowali, tylko, że powiedzieli mi inną jakąś familję...

— Po mężu tak się nazywam...

— A! za mąż poszłaś! No, i ja poszłam! ale żebyś wiedziała jak! Kochał się on we mnie i ja w nim kochałam się tak... że prosto okropność. Pokażę ci go kiedy. Piękny mężczyzna! Jeszcze wtedy, kiedyśmy się pobrali, na takiej posadzie on nie był, jak teraz, ale zawsze dobrze nam już było... teraz, no! Przyjdź kiedy do mnie, zobaczysz, jaka u mnie rozkosz! No, duszeczko, przyjdź koniecznie.

Pocałowała mię znowu kilka razy.

— Ale co będzie z temi koronkami? za wąskie, prawda? Może sama znajdziesz szersze. No, a ten kostjum? to już tak, jak my umówili się...

Słucham, odpowiadam, doradzam, przymierzam, a ciągle czekam, kiedy też ona o swoim starym domu, o ojcu, o różnych dawnych znajomych wspomni. Miała przecież mnóstwo znajomych i z wyższego stanu i niższego. Pewno zapyta się: czy żyją? gdzie są? jak im się powodzi? Gdzie tam! O nikim i o niczem nie wspomniała. Dużo mówiła o swojem szczęściu, o tem, że ją mąż bardzo kocha i pieści, że ma dwoje ślicznych

dzieci, że tam, gdzie dotąd z mężem mieszkała, bawiła się doskonale, że tu także, choć miasto jest niewielkie, bardzo wesoło jej czas przechodzi...

Nieśmiało zapytałam:

— A mama?

Zasmuciła się. — Nie żyje już, duszeczko, w junji pięć lat się skończy, odkąd nie żyje. Ale w wygodach ostatnie jej lata przeszły, niczego jej nie brakowało, w chorobie najsławniejsi lekarze ją leczyli...

Spojrzała na zegarek, krzyknęła, że już późno, i, z wielkim pośpiechem futro wkładając, mówiła, że dziś będzie na proszonym obiedzie, że jutro kawalerowie wyprawiają dla dam ogromny kulig, że synek jej zupełnie do ojca podobny, a córeczka do niej, że kostjum powinien być za tydzień gotowy i że ja mam przyjść do niej koniecznie, koniecznie...

Poszłam. Kiedy trzeba było przymierzyć ten kostjum, nie posłałam z nim panny Róży, jak to czynię zwykle, ale poszłam sama. Było to już o zmroku; na wschodach jej mieszkania jasno i pięknie, jak w kościele. Lampy przy ścianach, dywan pod nogami, tu i tam marmurowe wazony z szerokiemi, zielonemi liśćmi. Parada! zadzwoniłam. Drzwi otworzyły się zaraz i, jak wiatr z podwórza przez otwarte okno, buchnęło na mnie z mieszkania, jak grzmot, głośne: cha-cha-cha! cha-cha-cha! Ale niedługo słuchałam, bo ani obejrzałam się, kiedy nakształt piłki odskoczyłam aż do samej prawie poręczy wschodów. To lokaj we fraku i w białych rękawiczkach tak grzecznie mię ode drzwi usunął i, palcem w dół ukazując, ze złością i pośpiechem krzyczał: — Przez czarne wejście! proszę iść przez czarne wejście! Takem się, proszę pana, za ten kułak lokajski, co mię odepchnął, rozzłościła, że byłabym może coś bardzo niegrzecznego powiedziała lub i zrobiła, ale usłyszałam tylko trzaśnięcie drzwiami, i już fagasa tego przede mną nie było. Przez dwie minuty może stałam, trzęsąc się z gniewu, ale potem machnęłam ręką i poszłam czarnego wejścia szukać. Znalazłam i weszłam do pokoju, w którym ze trzy wystrojone służące siedziały, a między niemi, na szczęście, jedna znajoma, poczciwa dziewczyna. Ta zaraz mię do sypialnego pokoju zaprowadziła i pobiegła lokajowi powiedzieć, aby pani oznajmił. Przez zamknięte drzwi słyszę gwar wielki; same męskie głosy, między któremi jej srebrny głosik dzwoni ą dzwoni. Czasem rozmawiają tylko, a czasem zamkniętemi drzwiami, jak grzmot, bucha i toczy się: cha-cha-cha! cha-cha-cha!

W sypialnym pokoju różowo i srebrnie. Łóżka rzeźbione, gotowalnia w koronkach, jak w śniegu, jedna wielka lampa pod

zasłoną pali się na gotowalni, druga, mniejsza, w kącie pokoju błyska. Rozglądam się, przypatruję, aż raptem ktościś, jak obejmie mię rękoma z całej siły, jak okręci mną po pokoju, niby w walcu, jak zacznie mnie całować w głowę, w twarz, w uszy, to tylko już obie lampy, jak iskry, przede mną migotały, a w uszach dzwoniło: cha, cha, cha! cha, cha, cha! I co pan powie? sama zaczęłam śmiać się, taka ucieszna ona była i śliczna. Co tam działo się przy mierzeniu kostjumu, tego panu i opowiadać nie będę: tysiąc pociech. Bardzo była z niego zadowoloną, a kiedy napowrót ubrała się w swoją codzienną sukienkę i pokładła na siebie wszystkie swoje broszki, paski, bransoletki, mówi do mnie: — Stań tu, duszeczko, a ja drzwi trochę otworzę i pokażę tobie mojego męża i mój salon!

Zrobiłam, jak kazała, bo nie tyle salonu, ile męża bardzo byłam ciekawą. Piękny, niema co mówić: piękny mężczyzna, wspaniały. Ryżawy blondyn, wysoki, z rękoma, jak mleko, białemi. Stał o kolumnę jakąś oparty i rozmawiał, temi białemi rękoma poważne gesty robiąc. Po tych gestach tylko poznać już było można takiego, co rozkazuje. A naokoło, w salonie białym i złotym, aż lśni się w oczach od ubrań mężczyzn, których ze dwudziestu może było. Jedni chodzą, drudzy stoją, siedzą, wszyscy rozmawiają. Gwar. Na stołach lampy, u ścian kinkiety ze świecami, posadzka błyszczy, przy oknach firanki aksamitne, w malowanych wazonach kwiaty. Parada! Patrzę, słucham, a ona, za mną stojąc, w samo ucho mi szepce: Widzisz, duszeczko, dziś u nas proszony obiad. Mąż wydaje go dla tych panów. Oni wszyscy włóczą się za mną i żeby nie wiedzieć ile kobiet było, ja u nich zawsze pierwsza, królowa. Mnie to bawi, ale jak tylko który zadaleko się posunie, zaraz figę ode mnie dostaje. Męża kocham, skandalu się boję, brudów nie cierpię.

Potem za rękę mnie wzięła i przez dwa pokoje, z których w jednym bawiło się z boną dwoje dzieci, do jadalnej sali przyprowadziła. Tam oprócz długiego, pięknie nakrytego stołu, stał bufet, wokoło którego kręcili się lokaje, i na ziemi srebrne wiaderko pełne lodu, z którego sterczały butelki z winem szampańskiem. Do bufetu mnie pociągnąwszy, zaczęła mi kieszenie wypychać i kosz, w którym kostjum jej się znajdował, napełniać przysmakami. Daremnie broniłam się, gniewałam, prosiłam, aby tego nie robiła; naładowała mi mnóstwo pomarańcz, cukierków, ciastek, poczem, znowu wycałowawszy mnie, do gości pobiegła, ale w progu sali jadalnej spotkała się z małą córeczką, którą, gdy na ręce wzięła, obie szczebiotać do siebie zaczęły. Ja zaś stałam, tego ich szczebiotania słuchałam, cośćiś nogi do ziemi

mnie przykuło i w oczach czułam szpilki. Kiedy przez sienie czarnego wejścia przechodziłam, znowu za jakąś ścianą, czy z za jakichś drzwi, jak wiatr z podwórza, buchnęło na mnie z tego mieszkania: cha, cha, cha! cha, cha, cha! Do domu wróciwszy, długo myślałam: a-a-a-a! a-a-a-a! hm, hm! i w oczach miałam szpilki, ale potem pomyślałam sobie: a no! machnęłam ręką i poszłam kompresy choremu mojemu malcowi do nogi przykładać.

Potem ze trzy miesiące nie widzialam już jej wcale. Panna Róża chodziła do niej z sukniami, które była zadysponowała; ona zaś za każdym razem mówiła pannie Róży, że niegrzeczną i niedobrą jestem, gdy sama do niej nie przychodzę, ale że ona nie gniewa się i najpewniej, najpewniej do mnie którego dnia na długą gawędę przyjedzie. Nie przyjechała, a gdy wszystkie stroje były już zrobione i odniesione, znowu przestałam o niej wiedzieć i słyszeć. Nic dziwnego! Cóż ja wobec niej? Przytem — siteczko!

Dopiero przed kilku dniami, kiedy ciepło na świecie robić się zaczęło, przysłała lokaja z prośbą, aby panna Róża do niej przyszła, bo chce wiosenne suknie dać do roboty, a sama przyjechać nie może, trochę niezdrową będąc. Panna Róża zaraz poszła i przyniosła na początek fular francuski, bardzo ładny i drogi.

— Prosiła — mówi do mnie panna Róża — aby suknia była za tydzień: dla przymierzenia zaś sama przyjdzie.

— A kiedyż chora — mówię.

— E! — śmieje się panna Róża — jej choroba lepsza, niż nasze zdrowie. Zobaczy pani, jak ona wygląda!

I prawda. Kiedy dziś z karety wyskoczyła i tu wbiegła, myślałam, że to sama wiosna przez drzwi wlatuje. Zdaleka widział ją pan nieraz, ale trzeba ją znać tak, jak ja znam, aby osądzić, co to jest za cudowne wyglądanie! Przecież ma 30 lat, albo i 31, wiem o tem dobrze, a któżby dał jej więcej nad 18, no... najwyżej 20? Czoło gładziuteńkie, jak u młodej dziewczyny, usta ponsowe, oczy błyszczące. I wszystko u niej takie foremne, giętkie, młodziutkie, jakby jej nigdy nic ani ukłuło, ani uszczypnęło, ani mroziło, ani upiekło. A przecież, proszę pana, tego kłucia, szczypania, mrożenia i pieczenia tyle na świecie, że jak tu, zdaje się, wykręcić się od nich? Wykręciła się i, trzydziestkę minąwszy, ośmnastoletnią pozostała. Na wiosnę jeszcze kolorów, blasku oka i żywości ruchów jej przybyło, tak, że, kiedy błękitny fular w różnokolorowe desenie do przymierzenia włożyla i w pracowni przed lustrem stanęła, wszystkie moje panny aż ręce poskładały i rozdziawiły usta. Bardzo była zadowoloną z sukni, śmiała się i gadała:

— Duszeczko, jak ty ślicznie tę suknię zrobiłaś! Jak doskonale stanik siedzi!

Ale za małe było dla niej lustro, co wisiało w pracowni, istotnie za małe, bo tak jest wysmukła; więc ją do tego oto pokoju przed to stojące zwierciadło przyprowadziłam, ażeby już dobrze od stóp do głów obejrzeć siebie mogła. Oglądała się też dobre kilka minut, chwaliła stanik, mówiła, że mąż będzie ją w tej sukni bardzo lubił, bo faworytalnym jego kolorem jest błękitny, a wykręcała się przytem na wszystkie strony, figurę swoją oglądała, włosy poprawiała, bransoletami dzwoniła, kolczykami błyskała... raptem podniosła troszkę oczy i wypadkiem na odbity w zwierciedle ten portret spojrzała. Widzę ja to i myślę sobie: pozna ona ten portret, który niegdyś tak lubiła, czy nie pozna? Widzę: patrzy ciągle, ręce opuściła, o sukni zapomniała. Troszkę jakby pobladła, usta jej otworzyły się, potem rękę, jak długa, ku górze aż wyprężając, na portret pokazała i wymówiła: „Pan Stefan!“ Pocichu to wymówiła, jak przez sen, bardzo już zbladła, i usta jej drżeć zaczęły.

— Co pani?... — zaczęłam pytać się, ale nie skończyłam, bo ona oczu, które otwierały się coraz szerzej, z odbijającego się w lustrze portretu nie spuszczając, chwyciła mię za rękę i tak mocno ścisnęła, że ledwie z bólu nie krzyknęłam.

— Jak on na mnie patrzy! — zaszeptała — jak on okropnie, jak on okropnie na mnie patrzy!

Troszkę cofnęła się, oczy rękoma zasłoniła i jak krzyknie: „Tatku!“, to aż mnie w samo serce ukłuło, aż pode mną nogi zatrzęsły się, a moje panny w pracowni usłyszały i wszystkie zbiegły się tu przestraszone. Takim głosem krzyknęła, jakby stracha przed sobą zobaczyła, albo jakby nagle ktoś nożem po sercu ją ciął; przytem zachwiała się, zemdlała, i ledwieśmy z panną Różą i z panem zapobiec mogli temu, aby na ziemię nie upadła. Widziałeś pan, jak po otrzeźwieniu z omdłenia, gdyśmy w pracowni ją przebrały, przebiegła przez ten pokój taka blada, że aż usta jej były blade, ze spuszczonemi oczyma, prędko, prędko, niby od czegoś uciekając. Nie pożegnała się ze mną i na nic nie spojrzała, a o sukni to już, zdaje się, że zapomniała zupełnie. Możnaby myśleć, że ktoś raptem kolory z twarzy jej starł, powieki do oczu przykleił i zaśrubował usta. Tak do karety wsiadła i pojechała. Ach, jak zmartwiona jestem tym wypadkiem! Ale co jej się stało? Jezus Marja! co jej się stało — nie wiem, nie rozumiem. Może pan zgadniesz?

Oto i panna Róża sukienkę córeczki pana niesie. Już gotowa.

Eliza Orzeszkowa.

24. Rozmowa z Michałem.

— Cóż, Michale, tam na dworze?
— Deszcz, że człowiek wyjść nie może,
Brzydko, panie, zawierucha,
Wiatr szkaradny. Niech pan słucha,
Aż strach, jaka wciąż ulewa. —
— Więc przyłóż na komin drzewa. —
— Mam też suche. Niech pan siada.
Oj, tak, deszcz okrutny pada.
— Dajno książkę, tę ze stołu. —
— Tę, co z wierzchu, czy tę z dołu?
— Tę, którąś rozcinał zrana...
Ta, ta, daj ją. — Proszę pana,
Choć raz muszę się zapytać,
Czy pan wciąż tak może czytać?
Ja to o tych książkach słyszę,
Proszę pana, co w nich pisze?
Pan znać musi doskonale! —
— Różne rzeczy, mój Michale,
Historyje, różne dzieje,
Przez jakie świat szedł koleje,
Jakie były sławne ludy,
Jakie wiary były wprzódy,
Opisują różne kraje,
Wojny, prawa, obyczaje,
Jacy wielcy ludzie byli,
Jacy króle gdzie rządzili,
Co, dlaczego tak się stało...
— Na co się to, panie, zdało?
Dość kłopotu na tym świecie
Myśleć, by człek wyżył przecie,
Co to teraz zewsząd bieda...
A to na co to się przyda,
Jeszcze tam dochodzić głową,
Czy naprzykład to, czy owo,
Te tam dawne wojny, straty,
Jak tam były gdzieś przed laty.
— Popraw ogień. — Pan się śmieje,
A to prawda... Jak deszcz leje!
Wszystko zniszczy... To tak właśnie,
Jak dziecko, co to nie zaśnie,
Aż mu bajkę gadaj wprzódy.

Praw mu dziwolągi, cudy,
O królewnach tam, mospanie,
O Trzech Braciach, o Sułtanie,
Że tam ktoś miał skarby, zbytek...
Jakiż, panie, w tem pożytek?
Dziecko to tam się i bawi,
Matka głupia, to mu prawi.
— Jakto, stary? Ty powszednie
Bajki, te kuchenne brednie,
Kładniesz w równi... — Nie to, panie,
Cóż tam moje proste zdanie!
My, zwyczajnie, na to ślepi,
Pan czyta, to wie najlepiej,
Proszę pana, mnie się roi,
W nich chyba coś więcej stoi.
Jeśli pan ma wolną chwilę.
Bo to, panie, ksiąg jest tyle,
Że liczba niezrachowana,
Różnej formy, proszę pana.
— W książkach także jest wykrycie,
Jak trzeba prowadzić życie,
Że tylko prawdziwa cnota
Do szczęścia otwiera wrota,
Żeby ludzie byli zgodni,
Że zawsze od wszelkiej zbrodni
Praca jest najlepszą tamą.
— Proszę pana, toć to samo,
Byle na mszę pójść w niedzielę,
Można słyszeć i w kościele.
A ksiądz, człowiek też nielada,
Różnych nauk dość posiada;
Niejednego, kto zbrodniczy,
Złaje, nawet i wykrzyczy.
Lecz cóż! Panu rzecz ta znana,
Ludzie ludźmi, proszę pana.
Gdy w kościele... to ta słyszą,
A z kościoła... to znów grzeszą.
— Więc źle robią, mój Michale.
— Bardzo źle. Ja też nie chwalę.
Powiedz mi pan z łaski swojej,
Jak w tych różnych pismach stoi,
Cóż też się na przyszłość stanie?
— Śmieszne czynisz zapytanie.
— Bo to, panie, najciekawsze.

Czy już tak ma być na zawsze,
Jak jest dotąd? Czy się przecie
Raz polepszy co na świecie?
— A polepszy w jakiejś porze.
— Kiedyż, panie, to być może?
— Wtedy, gdy, tak jak należy,
Rozum z cnotą się sprzymierzy,
Kiedy nauk skarb otwarty...
— Proszę pana, wolne żarty!
Od kiedy to w takim trudzie
Tych się nauk uczą ludzie!
Od kiedy już księgi piszą,
Co gdzie tylko widzą, słyszą,
W różnym, panie, tam języku,
To już właśnie, że bez liku!
Według tego, w każdym kraju
Jużby było dziś, jak w raju.
A to, panie, zawsze bieda!
Choć grosz przyjdzie, to się wyda.
Wciąż drożyzna niesłychana...
To nie warto, proszę pana.
Cośby się to ludziom snuło...
— No, idź sobie już, gaduło!

Stefan Witwicki.

25. Łaciarz.

Judka od kilku dni już pracował u pana Onufrego, a pracował zawzięcie, przez ten czas albowiem uszył śliczną salopę dla pani Onufrowej, przerobił ze starego surduta kaftan dla panny Onufrówny, oblatał i odświeżył z dziesięć sztuk rozmaitego ubrania i nakoniec tej nocy miał skończyć arcydzieło, palto dla samego pana Onufrego. Za to wszystko, oprócz fury drzewa i prowizji w naturze, prowizji, którą pan Onufry przyrzekł solennie odstawić własną furmanką w przyszłym tygodniu, Judka miał otrzymać w gotowiźnie rubli srebrem cztery.

Arcydzieło trzeba było koniecznie wykończyć na termin.

— Słuchaj, Żydzie — zapowiadał pan Onufry — płacę ci, bestjo, po pańsku, ale pamiętaj sobie, żeby mi na piątek raniuśko paltot był, bo ja „p r z e z“ lepszego odzienia na odpust nie pojadę.

— Kiedy proszę jegimości — tłumaczył się Judka — niech jegimość uważy, co ja „bez“ ten tydzień prawie nic nie spałem.

— A to czemuś czeladnika sobie nie przyprowadził?

— Co tu czeladnik ma robić, kiedy ja sam zarobię tak mało...

— Powiedziałem ci, kręć, jak chcesz, aby było...

— Nu, to już ja zrobię, ale niech jegimość jeszcze doda choć pół korca ziemniaków dla dzieciów... niech jegimość kochany nie żałuje, teraz taki czas ciężki...

— A niech cię marności!... dobrze, dam ci, ile udźwigniesz, abyś mi tylko zrobił, jeszcze ci u sąsiada robotę naraję.

Ta obietnica była dla Judki ostrogą; przesiedzi już czwartą noc z kolei przy pracy, ale za to dostanie, oprócz zapłaty umówionej, pół korca ziemniaków, a i obietnica nowej roboty coś znaczy...

Wziął się tedy gorąco do pracy, a kiedy pas złocisty zaczął się ukazywać na wschodzie, a on już do swego arcydzieła rękawy przyszywał, wówczas słabo mu się zrobiło.

Barwne koła zamigotały przed oczami z niesłychaną szybkością i zaraz prędko czernieć zaczynały... Wtenczas Judka, według zwyczaju swego, poratował się kieliszkiem wódki i gryzącą cebulą z chlebem. Kiedy siły wzmocnił i właśnie palto prasować zamierzał, zerwała się ze swego posłania panna Brygida i rozpaliła ogień na kominie, przy którym całego cielaka upiecby można.

Pani Onufrowa też wstała.

— A to — rzekła — Żydzisko pazerny[1]) na zarobek, kiej jeszcze do tej pory siedzi!

— Każda biedność, proszę jejmości, jest bardzo pazerna — odpowiedział jej Judka — ale właśnie „bez“ to, co ona taka pazerna jest, to jegimość będzie na odpuście wyglądał, jak sam jaśnie hrabia z Wywłoki... Taki kawałek odzienie to jest rarytny[2]) interes!

Pani Onufrowa troskliwie obejrzała paltot, zganiła trochę szycie, skrytykowała kieszenie, ale w gruncie rzeczy rada była, że jej szanowny małżonek tanim kosztem przyszedł do takiej elegancji; a kiedy rzuciła wzrokiem na twarz Judki, wybladłą, zmęczoną, na oczy poczerwieniałe, jak u królika, to jej się żal Żyda zrobiło i rzekła:

— Może ci dać co jeść, boś jakoś kaducznie kiepski, mój Judko?

— Bóg zapłać jejmości, ale co ja tu mogę jeść? Mnie nie wolno tego, co państwo jedzą.

Kobieta przyznała mu słuszność.

[1]) Chciwy.
[2]) Rzadki, niezwykły.

— Co wiara, to wiara — rzekła — zawdyk trza swego zakonu pilnować.

I potem otworzyła szafkę, nalała kieliszek wódki i postawiła na stole.

Drugi już z kolei kieliszek i ciepło od rozpalonego na kominie ognia wywarły swoje skutki. Judka orzeźwił się, na twarz jego wystąpiły silne rumieńce, wpadł nawet w dobry humor. Dowcipkował, przymierzając workowate palto i gładząc je na szerokich plecach pana Onufrego.

— Cóż, Małgosiu? — zapytał świeżo ustrojony szlachcic — podobne to odziewadło do czego?...

— No, niby niema co gadać, sprawny Żyd, porządny statek ci uszył.

— Niech jegimość sam uważy, jak to leży — mówił Judka, wygładzając dłonią fałdy na plecach — niech kto drugi zrobi taki fajn palto! to jest kawałek roboty, to jest sztuka! Aj waj, jegimość tak wygląda, jakby miał na wielgie wesele jechać — ja zarobiałem moje pół korca ziemniaków...

— No, słowo się rzekło... dam, odeślę ci z tem, com obiecał.

— To ma być dopiero we wtorek; niech mi jegimość da dzisiaj choć ćwiartkę dla moich dzieciów, ja wezmę z sobą do domu. Uni tam pewnie już nic nie mają do jedzenia; za taką fajn robotę niech uni sobie zjedzą tę trochę ziemniaków!

Szlachcic zaprowadził Żyda do kopca, pomógł mu nasypać w worek dobrą ćwierć ziemniaków, potem wręczył umówioną zapłatę i rozstali się. Pan Onufry z małżonką pojechał na odpust. On w paltocie nowym, w czerwonym szaliku na szyi, wygolony świeżo, miał niezwykle uroczystą minę. Pani zaś w ogromnej, przedpotopowym jakimś krojem zrobionej salopie wyglądała, jak mały... stożek siana. Judka poszedł pieszo. Na zgarbionych plecach niósł ciężki worek, w którym, oprócz ziemniaków, znajdowały się jeszcze dwa krawieckie żelazka. Na drodze było szkaradne błoto. W powietrzu wisiała mgła ciężka, szara, z poza której wychylały się wyraźnie kontury drzew i krzaków przydrożnych.

Do miasteczka było blisko dwie mile, a Judka potrzebował stanąć tam przed mrokiem, gdyż to był piątek. Szabas się miał rozpocząć. Liczył na swoją lekkość, na drewniany łokieć, którym się podpierał, wreszcie liczył na to, że go może jaki chłop dopędzi i na furkę swoją zabierze. Przecież go wszyscy znają w tej okolicy... Żeby mu lżej iść było, zawinął poły chałata i uczepił je z tyłu za pasem; nadał swojej kapocie jakby kształt fraka, którego ogon wlókł się po błocie,

ilekroć było głębsze. Niełatwa to rzecz iść pieszo po wyboistej drodze, pełnej grząskiego błota, zwłaszcza, gdy się dźwiga ciężar stosunkowo dość znaczny... O, niełatwo! ale Judkę popychało do domu szczęście wielkie. On miał taki śliczny ty dzień, tak dużo zarobił! Będzie miał furę drzewa i trochę prowizji, w kieszeni gotowizną posiada całe cztery ruble; a na plecach niesie ćwierć ziemniaków! Z takim sutym zarobkiem warto przecie śpieszyć do domu!

Szedł więc drogą i dumał.

Z początku myśli jego skupiały się na sumie, którą zarobił. Rachował, obliczał, co może kupić za owe cztery ruble, oraz, ile jest też warta fura drzewa i prowizja, którą ma dodatkowo otrzymać. Myśląc o tem, szedł bardzo szybko, tak dalece szybko, że uczuł, iż mu się robi gorąco. Twarz zaczęła palić... Musiał zwolnić kroku, nareszcie stanął, położył ciężar na ziemi; zażył tabaki i zaczął się oglądać, czy jaka fura chłopska nie nadjeżdża. Wówczas przekonał się, że jeszcze dwóch wiorst nie uszedł. Jak mógł okiem zasięgnąć, droga była zupełnie pusta... z przeciwnej tylko strony jechało fur kilka; dziad kulawy, wziąwszy kule pod pachę, śpieszył na odpust, a biegł zamaszyście, śpiewając jakąś piosnkę niezbyt nabożnej treści. Wszyscy w tamtą stronę!

Przypomniała mu się rozmowa z panią Onufrową i zaczął o niej rozmyślać. Sam powiedział, że biedność jest p a z e r n a i chciwa, a przez to, że biedność p a z e r n a, bo głodna wiecznie, bogaci mają uszyte ubranie. To prawda jest, myślał, bieda to brzydki interes, a głód dziwnie podobny do bata; on bije, bardzo mocno bije. Koń u woziwody dostaje dużo kijów, ciągnie dużo wody, ale za to ma trochę siana. Na te ciężkie czasy koń robi niezły interes, ale łaciarz robi gorszy. Dlaczego gorszy? Bo koń potrzebuje tylko siana i nie ma ani żony, ani ośmiorga dzieci, nie potrzebuje wyprawiać szabasowej uczty, ani wydawać córek za mąż.

Judka już chciał zazdrościć koniowi, ale się przeląkł tej myśli! Fe! cóż znowu! Koń jest bydlęciem, a on, pierwszy krawiec warszawski na całe Łosice, co rano dziękuje Panu Bogu za to, że go stworzył człowiekiem. Koń jest głupi, a on przez pięć lat pił ze studni mądrości u uczonego rebe Jojny. Konia po śmierci psy zjedzą, a on leżeć będzie wygodnie w ziemi pod słupkiem, na którym wyrzeźbią świecznik. Dusza jego pójdzie do sławnych przodków. Nie, łaciarz nie zazdrości koniowi losu. On przecie miał taki obfity zarobek w tym tygodniu.

Już odpoczął i puścił się w dalszą drogę. Idzie, ale go dziwna senność ogarnia. Patrzy bezmyślnie w mgłę szarą,

stawia krok za krokiem automatycznie, ale kroki są coraz wolniejsze. Nogi ociężały, jakby kto do nich po kawale ołowiu przywiązał, nie chcą się trzymać prostego kierunku, lecz coraz zachwieją się niepewnie i zakreślają łuki, jak u pijanego. Wszakże Judka nie jest pijany, on czuje się tylko słabym nieco. Ale to bagatela, to przejdzie; jemu to nie pierwszy raz się zdarza. O! wieleż razy tak było! Jest to tylko senność. Senność, przy której trochę głowa boli i dreszcze przebiegają po ciele. Czasem bywa z tego interesu choroba, a czasem tak przechodzi. Często przechodzi, Judka wie, że się można do tego przyzwyczaić, zresztą może furmanka się trafi. Niestety, nie widać. Pół drogi już przeszedł, lecz cóż to jest? — miasto nie przybliża się wcale, owszem, zdaje się nawet oddalać, a worek strasznie ociężał. Czyżby szlachcic, zamiast ćwiartki ziemniaków, wsypał w niego grochu? Nie — to ziemniaki istotnie. Gniotą one grzbiet... bardzo gniotą, ale czemuż są tak okropnie ciężkie? Przecież, jak je brał na plecy, nie wydawały się takiemi i spać mu się tak nie chciało, jak teraz. Powieki opadają bezsilnie, nogi odmawiają posłuszeństwa, trzeba spocząć koniecznie... niepodobna iść dalej... Na szczęście jest tuż przy drodze wzgórek, dość suchy, zeschła, pożółkła trawa na nim sterczy. Musiał tam niegdyś stać dąb, jeszcze pień czarny, szeroki, świadczy o tem. Doskonałe miejsce do wypoczynku. Judka położył worek na pniu, sam zaś usiadł na wzgórku.

Jeszcze ma czas. Mgła opadła nieco, i blade, jakby zaspane słońce, co się z poza chmur wymknęło chwilowo, świadczy, że jeszcze południa niemasz. Przed zachodem zajść można.

Judka siadł i rozmyśla, dlaczego Pan Bóg dał biednemu człowiekowi głupie nogi, co mdleją? Dlatego zapewne, że go obdarzył delikatnym rozumem. I to jest prawda... Ale to się wszystkich ludzi nie tyczy. Jakie naprzykład znakomite nogi ma każdy faktor: jak on lata za geszeftami, jak zając! Ale zato on nie potrafi uszyć f a j n warszawskiego paltota i — nie spać przez kilka nocy. Już takie przeznaczenie. Trzeba się cieszyć talentem albo zdrowiem. Judka się cieszy talentem. Liczy w myśli kapoty, jakie uszył w ostatnich czasach: były to śliczne kapoty! Potem zgaduje, co też Bajla ugotowała na szabas? Zapewne wiele bardzo dobrych rzeczy. Śliczna to rzecz jest szabas, w tym dniu zawsze się jada i sypia, oraz chwali Boga... Kto szabas wymyślił, ten musiał być bardzo mądry... O tak!... Myśli Judki sięgają w przeszłość, jak w kalejdoskopie, tworzą się w nich coraz to nowe obrazki... Cała historja życia staje przed oczami, czuje, że mu słabo. Skąd znów? To znużenie, sen dopomina się o swoje prawa. Głowa opada na piersi,

cały korpus pochyla się nareszcie mimowolnym ruchem. Łaciarz podłożył ręce pod głowę, wyciągnął nogi i usnął... Dwie wrony, kracząc, zakreślają koła. Nareszcie siadły na zagonie i zdaleka, przekrzywiając głowy, przyglądają się śpiącemu. Potem wzlatują znów w powietrze i z góry przypatrują mu się bacznie, krącząc krzykliwie... Dziwi je zapewne, dlaczego ten Żyd śpi przy drodze? Że nie umarł jeszcze, wiedzą dobrze — oho! wrony doskonale znają się na tem.

Już słońce zniża się ku zachodowi, po drodze, chociaż błotnistej, jedzie szybko wóz drabiniasty, w dzielne trzy konie zaprzężony. Na wozie, na siedzeniu ze słomy siedzi pan Jacenty, ekonom z sąsiedztwa, fornal Grzela powozi. Jadą po jakąś maszynę widocznie, bo wóz dobrze słomą wyłożyli i obroku na parę dni mają ze sobą.

— Stój, Grzela, stój! — woła Jacenty — patrzno, kto tu leży?...

Grzela wstrzymał konie.

— A dyć to, panie, chyba Żyd...

— Czy pijany? czy chory?

— E, panie, może umarły, to uciekajmy lepiej, bo nas będą wodzić tam za świadków.

— Pewnie, ale trza obaczyć; jak żywy, to go weźmiemy na furę, a jak trup, to w nogi!

Grzela zeskoczył z wozu...

— Panie! to je łosicki Żyd, Judka, ale musi żywy, bo krzynkę jeszcze dycha.

— Żydzie, Judko! — krzyknął pan Jacenty — a nie szabas to na ciebie, bestyjo!

Na ten wykrzyknik Judka zerwał się prędko, spojrzał nieprzytomnemi, jakby obłąkanemi oczami i narazie nie mógł zmiarkować, gdzie jest i co się z nim stało.

— A dyć siadaj, bestyjo! — zawołał Grzela — to cię zawieziem do Łosic...

Dziękując, kłaniając się do samej ziemi, łaciarz ze swym ciężarem wdrapał się na wóz i opowiedział ekonomowi, skąd idzie.

— Ale też żeby tak zaś paść przy drodze, jak nieczłowiek — rzekł, jakby sam do siebie ekonom — to dopiero!

— Proszę jęgimości — odpowiedział Judka — między nami jest takie gadanie, co kura nie ptak, koza nie bidło, a krawcy nie ludzie.

— Jak to nie ludzie? A cóż ty jesteś?

— Nu, niby uni ludzie, a nie tak, jak ludzie, krawcy tylko...

— Ale, baj baju, będziesz w raju! A któż ci kazał, żeby, panie dzieju, cztery noce nie spać?

— Nikt mi nie kazał, tylko, widzi jegimość, każdy człowiek potrzebno żyć... Krawiec też musi żyć trochę, a jak un chce żyć, to nie może spać, a jakby chciał spać, toby nie mógł żyć, to jest bardzo prosty interes...

— To ci Żyd spekulantny — wtrącił Grzela — na każdy sposób ma bestyja swój wykręt!...

. . . . . .

W parę godzin później, przy osobnym, nakrytym stole siedział Judka, ubrany w nową kapotę i szpiczastą czapkę z futrem. Dzieci jedne już spały, drugie ziewały po kątach. Pani Bajla, ustrojona w jakiś dziwnego rodzaju tupet[1]), ozdobiony kwiatami i wstęgami żółtemi, kładła na talerz swego małżonka i pana kawałek mocno korzeniami zaprawionej ryby. A ten mąż i pan i głowa swojej rodziny myślał o tem, jaki świat piękny, kugiel[2]) smaczny, życie rozkoszne, a szabas błogosławiony!!!

Tyfusu nie dostał, bo takie niewywczasowanie, ból głowy i dreszcze przechodzą czasem... gdy się już kto do wszystkich rozkoszy życia przyzwyczai.

Klemens Junosza.

26. Matka i syn.

Ile razy spojrzała w okno swej izdebki, tyle razy dym widzieć mogła, jak z ogromnego komina fabryki walił sinym słupem. Nieraz nawet umyślnie odrywała od roboty stare swoje oczy, aby rzucić na niego choć jedno spojrzenie. W spojrzeniu tem była dziwna błogość i jakby pieszczota. Ludzie szli i przechodzili, śpiesząc w różne strony, rzadko który spojrzał w górę w kierunku komina, jeszcze rzadszy zauważył siną smugę dymu. Ale dla niej dym ten miał szczególne znaczenie, mówił do niej, rozumiała go, był w jej oczach niemal żywą istotą.

Kiedy o wczesnym brzasku, na opalowem, mieniącem się barwami jutrzni tle nieba dym rozkłębiał się nad kominem w krągłych, czarnych runach, roznosząc ostrą, gryzącą woń sadzy, wiedziała ona, że tam jej Marcyś w kotłowni przy palenisku stoi, ognie zanieca, miarkuje, rozkłada, wysoki, smukły, gibki, w granatowej, płóciennej bluzie, spiętej skórzanym pasem,

[1]) Rodzaj peruki.

[2]) Ciasto, legumina u Żydów.

w lekkiej furażerce na jasnych włosach, z szeroko odwiniętym u szyi kołnierzem.

— Oho! — szeptała wtedy, uśmiechając się — Marcyś „fasuje“[1]...

Istotnie „fasował“. Z gorliwością nowicjusza sypał na palenisko węgiel, kosz za koszem, za siebie i za palacza pracując, dumny ze swojej świeżej godności kotłowego. A razem z tym wielkim, jasnym płomieniem wybuchały mu w duszy pieśni, któremi się kotłownia rozlegała od świtu do nocy.

Wkrótce jednak czarne kłębiska dymu bielały, rzedły, stawały się lżejsze, aż wskróś pogodnych błękitów wybiły w górę lekkim, równym słupem.

Ten widok wlewał w serce wdowy radość i pogodę.

— Wszystko dobrze... — szeptała — wszystko dobrze, Bogu Najwyższemu dzięki!

I krzątała się po ubogiej izdebce, zaścielając łóżko swoje i synowski tapczan, zamiatając śmieci starą, brzozową miotłą i rozpalając na kominku drewka do południowego posiłku.

Wtedy to wprost wielkiego, fabrycznego komina ze wspaniałą kitą dymu wznosiło się w błękity cienkie, sinawe pasemko z ponad dachu facjatki, gdzie mieszkała wdowa, pasemko tak wątłe i nikłe, jak tchnienie starych piersi, co je wydobyły z ogniska.

Ale młody kotłowy zawsze to pasemko dostrzegał. A nie tylko je dostrzegał, ale się do niego uśmiechał. Wiedział on dobrze, że tam, u komina, stara jego matka w bieluchnym czepcu na głowie, w tołubku, przepasanym różowym fartuchem, drobna, zawiędła, zgarbiona, szykuje dla niego jakiś barszcz wyśmienity lub wyborny krupnik. Zdawało mu się nawet czasem, że wyraźnie czuje smakowitą woń tych specjałów. Z podwójnym tedy zapałem dorzucał na palenisko świeżą szuflę węgla i, podczas kiedy palacz po głowie się drapał, on, stojąc jedną nogą na podmurowaniu, zwinny i giętki, za dwóch nastarczał w robocie. I tak naprzeciw sobie szły w niebo te dwa oddechy: fabryki i facjatki, niknąc w przejrzystych lazurach, może łącząc się w nich nawet.

Ku południowi dym fabryczny rzedniał nieco; olbrzymie płuca machin zwalniały swą pracę, wypuszczone pary przeszywały raz i drugi powietrze ostrym, przykrym świstem, a chłopak, jak uragan, do izdebki wpadał.

— Mamo, jeść! — wołał już od progu, a cisnąwszy furażerkę na stół, biegł do klatki z kosem, wiszącej w okienku. Kos, jak

[1]) Fasować — ładować, pakować.

tylko chłopaka obaczył, wydawał gwizd przeciągły, do fabrycznej świstawki podobny, a potem zaczynał swoje zwykłe kuranty, których go wyuczył Marcyś. Chłopak stawał przed klatką, kładł ręce w kieszenie i gwizdał także. Aż się ściany trzęsły od gwizdania tego.

A matka rozpościerała tymczasem na stole piękną, żółtą serwetkę, w niebieskie jelenie wyrabianą, i stawiała głęboką, fajansową wazkę krupniku, barszczu z rurą, albo grochówki z wędzonką, albo też zacierek, jak tam wypadło. Obok wazki występował na stół chleb w dużym bochnie, główna tego posiłku podstawa.

Znikał on też prawie w połowie, ledwo się chłopak przysunął do niego. Kawał za kawałem krajał, w miseczce z solą maczał, a precz dogadywał:

— Dobry chleb, mamo!

— Dobry, synku — odpowiadała za każdym razem wdowa. — Jedz z Bogiem, jedz! Na chwałę Panu Jezusowi i Matce Jego Przenajświętszej!

Chłopak nie dawał się prosić, a razem z chlebem znikała i zawartość misy.

— Dobry barszcz, mamo — mówił wtedy.

Matka już od kilku chwil jadła coraz wolniej. Mieszała łyżką w talerzu, dmuchała w niego. Ale barszczu nie ubywało jakoś. Kiedy więc chłopak wymiótł, co miał przed sobą i wąsiki runiące wierzchem ręki otarł, pytała skwapliwie:

— A możebyś, synku, jeszcze... Mnie dziś coś nie bardzo jakoś...

Chciała mu dać poznać, że jej nie smakuje, ale bała się wyraźnem kłamstwem Boga obrażać, bo barszcz był doskonały.

— A no — mówił chłopak — kiedy mama nie je...

Podstawiała mu z pośpiechem swój talerz, mówiąc:

— Jedz, dziecko, jedz! Na chwałę Panu Jezusowi...

Chłopak tedy znów się zbierał do łyżki po swojemu.

— Co mama chce od tego barszczu? — pytał. — To królewski barszcz!

— Byłby on, byłby, synku — odpowiadała, mrugając oczami — tylko, że mi do niego bobkowego liścia zbrakło.

Zdarzało się, że nie dojadał.

Zlewała tedy resztę w glinianą ryneczkę i stawiała w kominku, tak, aby syn nie spostrzegł tego.

Tę resztę uważała już za wyłączną swoją własność i, kiedy chłopak wyszedł, posilała się nią, ogryzając ostatki chleba.

Wszystko to odbywało się z niezmierną szybkością. Młody kotłowy chwilowo tylko bywał zastępowany w południe i śpie-

szyć musiał. Zaledwie zjadł, żegnał się szerokim znakiem krzyża, całował matkę w zapracowaną, wychudłą rękę, chwytał furażerkę, a gwizdnąwszy na pożegnanie kosowi, zbiegał w trzech susach z facjatki na dół. Wdowa stawała wtedy w pośrodku izdebki z zebraną ze stołu serwetą w ręku i słuchała grzmiącego tupotu nóg synowskich z trwożnym i błogim zarazem uśmiechem.

— Święty Antoni! — mówiła, kręcąc głową — z leceniem takiem! Nogi jeszcze połamie... schody porozbija... I stała tak zasłuchana, dopóki nie huknęły na dole drzwi od sionki i nie przebrzmiało echo tej szalonej kanonady nóg młodych i silnych. Wtedy dopiero kończyła składać serwetę, zmywała statki, ogarniała ogień popiołem, a siadłszy u okna, łatała synowską odzież i bieliznę.

Jeśli to było lato, długo jeszcze, bardzo długo widzieć mogła dym, walący z fabrycznego komina. Drugi raz to się tak zapatrzyła w niego, że i robota wypadła jej z ręki...

Dziwne bo przybierał i kształty, i barwy. To jak żelazna gadzina wywijał się sam z własnych przegubów coraz dalej, coraz wyżej; to jak lekkuchna zasłona w powietrzu wiał, siejąc przez siebie obłoczki różane; to jak z kadzielnicy prosto w górę szedł, wełniąc się miękko po skrajach; to jak olbrzymi pióropusz pod słońce złotem się palił, z komina, jak z hełmu, za wiatrem wiejąc; to się w jakieś postacie cudne wydłużał, w jakieś mary nadziemskie, w jakieś widzenia...

Czasem go wiatr wydymał, jak żagle wielkiego statku; czasem rozrywał, niby kłęby pakuł, czasem pędził, jak tuman czarniawy. A zadżdżyło się na świecie, to chmurą ciężką nad kominem stał i płatkami po dachach się wieszał i tłukł nad ziemią, nie wiedząc, kędy się dziać.

Gdy przyszła zima, zapalała wdowa lampkę u komina i robiła przy niej grube na sprzedaż pończochy.

Ale choć od okienka wiało srodze i szron aż do izby zalatywał przez spróchniałe ramy, podchodziła do niego coraz, żeby na fabrykę spojrzeć. Gorzała ona wprost facjatki długim szeregiem oświetlonych migotliwie okien, huczała wewnętrzną pracą płuc swoich olbrzymich, szczękała żelastwem, dźwięczała biciem młotów, zgrzytała zębami pił, syczała żądłami topionych metalów. Dym, który teraz na tle głębokiego granatu niebios walił z jej komina, płomienny był, ogniami ziejący, snopy iskier ciskał, jak race.

Szerokie łuny od niego skróś nieba szły i het, precz, odbijały wielkie, ciche zorze...

Patrzyła na nie wdowa w zadumaniu. Z zadumy tej wyrywało ją gwizdanie kosa, który, rozbudzony światłem, bijącem z fabryki w okienko, zaczynał wycinać swoje kuranty.

W izdebce robiło się weselej, ogień trzeszczał na kominku, a kos darł się aż do ogłuszenia. A kiedy na niebie księżyc w pełni stanął, całe ono widzenie ogniste topniało w blaskach miesięcznych.

Późnym wieczorem dopiero wracał syn i od progu już znowu wołał:

— Mamo, jeść!...

A zarazem z tą młodą, silną postacią wstępowało w progi izdebki wesele, śmiech i swoboda. Z mniejszym już teraz pośpiechem posilał się chłopak, opowiadał przez chwilkę to i owo rozpytującej się go o ubiegły dzionek matce, poczem zaczynał szeroko ziewać, przeciągać się; kos nawet nie bawił go już w takiej chwili.

— Idź spać, synku, idź spać — mówiła matka, głaszcząc go po głowie. — A to jutro dodnia ci znów trzeba...

— Pójdę, mamo... — odpowiadał sennym głosem — zmordowałem się tak, że ha!

— A pacierz, synku, zmów — przypominała jeszcze.

— Zmówię, mamo.

Całował jej rękę, klękał przed swoim tapczanem i, schyliwszy głowę na złożone dłonie, odmawiał szybko półgłosem Ojcze nasz i Zdrowaś, tu i owdzie przerywając modlitwę potężnem ziewnięciem, poczem bił się hałaśliwie w piersi, żegnał z rozmachem i, zdjąwszy pośpiesznie odzież, rzucał się na twarde posłanie.

Natychmiast też prawie usypiał, a w izdebce słychać było dawno jego równy, głęboki oddech, podczas kiedy matka długo jeszcze szeptała zdrowaśki przed poczerniałem, ze złocistego tła wychylającem się obliczem Panny Najświętszej.

Marja Konopnicka.

27. Szewc Onufer.

I.

Szewc Onufer, tęgi majster
Z ojca, dziada i pradziada,
Od małego pacholęcia
Tajemnice kunsztu[1]) bada.

[1]) Sztuka, fach.

Wedle igły, wedle dratwy,
Jak niewielu, jest on świadom,
Zaś ma warsztat w kamienicy,
Co współczesna jego dziadom.

Przy kościele Augustjanów
Stoi chata Onufrowa,
W niej po szewcku i Bożemu
Konsolację[1]) liczną chowa.

Dobry sąsiad z Onufrego
Dla plebanji i świątyni:
Nie opuszcza nabożeństwa
I fundacje liczne czyni...

II.

Ma Onufer Onufrową,
Urodzeniem sobie równą,
Bo powiadał jego rodzie:
— „Niech się żeni szewc z szewcówną!...“ —

Jejmość pani Onufrowa,
Córa majstra Jana Szczygła,
Parantelą[2]) i posagiem
Ród mężowski w górę dźwigła.

Jak przystało na majstrową,
W korpulencję[3]) jest zasobna,
Głos jej gruby, gest wspaniały,
Pulchna rączka niezbyt drobna.

Z roku na rok jest przybytek
W starych mieszczan cnej rodzinie,
Więc raduje się Onufer,
Że ród szewców nie zaginie!

III.

W czterech izbach Onufrostwa
Nieubogo i chędogo:
Wszak mieszczanie z prapradziada
Iść w paragon[4]) z szlachtą mogą!

[1]) Pociechę; tutaj w używanem często znaczeniu: dzieci, potomstwo.
[2]) Pokrewieństwo, powinowactwo.
[3]) Tusza.
[4]) Iść w zawody, ubiegać się o równość.

Garnitury jutą kryte,
Wielkie szafy, zydle drobne,
Simmlerowskiej snadź roboty,
Bo masywne i ozdobne.

Zaś na ścianach konterfekty[1]):
Cały zacny świat mieszczański,
A „serwantka[2])“ w rogu salki,
A kantorek[3]) w drugim gdański!

Nie od dzisiaj ród Onufra
Słynne w świecie szyje buty,
Nie od dzisiaj zbija grosze
W skrzyni krzepkiej i okutej...

IV.

Gdy kolegów majster zbierze
Od kufelka i od dratwy,
Spędza z nimi błogie chwile
Wśród krewniaków i wśród dziatwy.

Przewodniczy stary Szczygieł
Z gęstym wąsem, z głową siwą,
Płynie ciurkiem anyżówka
I marcowe szumi piwo.

Radby majster żyć przez wieki
Z towarzystwem swem cechowem,
Rad ich zalać spirytusem,
Skąpać w piwie dubeltowem.

Więc węgrzyna na stół stawia
Przy kompanji hucznych śpiewach —
— „Niechaj żyje cech szewiecki!
Znajcie pana po cholewach!...“

V.

Choć ma grosze szewc Onufer
W skrzyni krzepkiej i okutej,
Chce, by jego Onufrzęta
Tak, jak ojciec, szyły buty.

[1]) Portrety.
[2]) Szafka oszklona na cenne graciki.
[3]) Biurko.

Nauczyła ich majstrowa
Kochać iglę, cenić dratwę,
Zaś szacunek dla pociągla[1])
Sam pan majster wpajał w dziatwę.
Nieraz prawi najstarszemu
Z głębi serca morał snuty:
— Grunt są, chłopcze, dobre nogi!
Grunt — na nogach dobre buty!
Ty z tradycji jesteś szewcem,
Szewcem z dziada i pradziada. —
Godność rodu cenić, chłopcze,
I należy i wypada...“

VI.

Płyną lata, niby fale,
Nie wracają nigdy więcej —
Już wyrosły Onufrzęta
Z doby życia pacholęcej.
Już wyrosły Onufrzęta,
Szyją „juchty“, szyją „saki“[2]), —
Łeb posiwiał Onufremu,
Nos mu zgrubiał od tabaki.
Do kościoła Augustjanów
Codzień z rana chodzi stary,
Zaś pod wieczór regularnie
Na nieszporach jest u Fary.
Klepie pacierz szewc Onufer
I za dzieci, i za siebie,
I rozmyśla, że szyć buty
Będzie wkrótce chyba... w niebie...

Or-Ot.

28. Lekcje polskiego w szkole rosyjskiej.

Na początku trzeciego kwartału, po przyjeździe ze świąt Bożego Narodzenia, uczniowie klasy siódmej zastali nowego kolegę. Był nim Bernard Sieger, wydalony z tejże klasy któregoś gimnazjum w Warszawie. Nikt z klerykowian nie miał wiadomości autentycznych, za co właściwie Sieger był ze stolicy raz na zawsze wypędzony, a do Klerykowa przyjęty. Chodziły

[1]) Rzemień, którym szewc przytrzymuje robotę
[2]) Sak — skóra cielęca wyprawna.

tylko niezdecydowane pogłoski, że to „ptaszek“. Zczasem dopiero jeden z ósmoklasistów, któremu zdarzyło się być podczas świąt w Warszawie, oświetlił nieco sprawę, rozgłaszając, że tajemniczy przybysz wyrzucony został za „niebłagonadiożność“. Do Klerykowa, według tejże relacji, udało mu się wstąpić za specjalnem zezwoleniem kuratora okręgu naukowego, który znowu miał dać takie zezwolenie dzięki wstawiennictwu jednej ze znakomitych figur wielkiego świata.

W nowej szkole Sieger natychmiast otoczony został szczególniejszą opieką. Mieszkał sam jeden u pana Kostriulewa i poza murami szkoły nie miał prawa stykać się z kolegami. W gimnazjum pilnowano go również w sposób, nie zostawiający nic do życzenia. Codziennie ktoś upoważniony, a więc pan Majewski, inspektor, dyrektor, Mieszoczkin, — rewidował jego tornister, wszyscy udzielali mu admonicyj surowszych, niż innym, a do wydawania lekcji powoływano go bez ustanku. Bernard Sieger miał lat ośmnaście, dziewiętnaście, był wzrostu średniego, krępy, nieco ospowaty. Rysy twarzy miał wyraziste, nos duży, oczy barwy nieokreślonej, jak woda. Oczy te patrzały spokojnie, ale ze szczególną uwagą. Sieger nigdy nie zdradzał strachu lub złości, gdy go niepokojono, gdy mu rozkazującym tonem czegoś „surowo zabraniano“. Na twarzy jego malował się stale pewien wyraz, który możnaby chyba ochrzcić imieniem — uprzejmej drwiny.

Głowacze klasy siódmej już po kilku lekcjach spostrzegli, że Sieger wszystko „kapuje“. Robił przykłady matematyczne niezbyt lotnie, ale bystro, tłumaczył Disputationes tusculanae Cycerona powoli, ale samoistnie, pisał ćwiczenia literackie i „logiczne“ na cztery, — słowem był to dobry uczeń.

Buckle'iści z krótkiego dyskursu przed nabożeństwem w pewien dzień galowy, kiedy pilnowacze zajęci byli malcami i nie przeszkadzali rozmawiać, dowiedzieli się, że nowy nie tylko czytał Buckle'a i Drapera, ale posłyszeli z ust jego pytania o dzieła, jakich ani oko klerykowskie nie widziało, ani ucho nie słyszało. Sieger żył całkiem samotnie. Wprost z klasy szedł do mieszkania. Na spacer, na łyżwy, po sprawunki — tylko z cerberem Kostriulewem. Autochtonowie klasy siódmej obserwowali go z uwagą, ciekawością, a nie bez odrobiny niechęci i zawiści. Już to samo, że Sieger przybył z Warszawy, gniewało wszystkich, którzy za obrębem Klerykowa nic nie znali. Uprzejmą grzeczność jego poczytywano za wyniosłość i arystokratyzm, ironiczne milczenie, gdy uczeni sławiści roztaczali w czasie pauz swe wiadomości, — za nieuctwo w tym kierunku wiedzy człowieczej.

Pewne trudności miał Sieger z uczęszczaniem na lekcje języka polskiego. Zrazu władza wzbraniała mu wstępu na wykłady prof. Sztettera i dopiero po upływie miesiąca dała swe zezwolenie.

Tego dnia lekcja języka „miejscowego“ była ostatnią z rzędu, a więc przypadła między godziną drugą a trzecią. Sztetter wszedł do klasy, jak zwykle, z wyrazem niechęci na twarzy, zasiadł i wnet wymienił czyjeś nazwisko, prosząc o tłumaczenie z języka polskiego na rosyjskie wiersza Czajkowskiego p. t. „Pająk“.

Ten, kogo spotkał los tak nudny, pragnąc wykręcić się, zaczął gadać (rozumie się, po rosyjsku):

— Panie profesorze, mamy nowego ucznia.

— Nowy kolega, z Warszawy uczeń... — błaznowali inni.

— Nowy uczeń? — spytał Sztetter ze zdziwieniem. — Gdzie, jaki uczeń?

Sieger wstał ze swego miejsca i skłonił się nauczycielowi.

— A... — mruknął Sztetter. — W a s z a f a m i l j a?

— Zygier — rzekł nowy uczeń.

Nauczyciel zaczął szukać tej f a m i l j i w spisie abecadłowym pod literą Z — i nie znalazł.

— Mówisz pan... Zygier?

— Tak. W papierach i w metryce stało — Sieger, jak pisał się mój dziad i ojciec, dlatego prawdopodobnie zanotowano pod S. Ja nazywam się Bernard Zygier, Zet, y, gier...

Nauczyciel spojrzał na nowego ucznia i smutne oczy jego zajaśniały przez chwilę niklym promyczkiem wesela.

— Niech będzie Zygier... — powiedział. — Chcesz pan uczęszczać na lekcje języka polskiego?

— Rozumie się! Przecież to nasz język ojczysty... (W i e d' e t o n a s z r o d n o j j a z y k.)

Sztetter obejrzał szybkim lotem drzwi oszklone, tego ucznia, dziennik i poruszył wargami, jak gdyby mówił jakieś słowo, czego przecie nikt nie dosłyszał. Po chwili rzekł:

— No... czytaj pan!

Zygier wziął książkę, ułożoną przez prof. Wierzbowskiego, i zaczął czytać wskazany urywek. Koledzy jego, widząc, że prezentacja skończona i że rozpoczynają się zwykłe „nudy narodowe“, wzięli się do odrabiania lekcji, do jawnego czytania rzeczy postronnych, albo wprost układali się jako tako do drzemki. Niektórzy, lepiej wychowani, z nałogu przyzwoitości trzymali oczy wlepione w „Pająka“. Inni oglądali ściany, powleczone sinym kolorem, szerokie, brunatne lamperje, żółty stoliczek katedry, czarną tablicę, szyby zasłonięte parą... Tymczasem Zygier odczytał i przetłumaczył na język urzędowy kilka strof wiersza, a potem rozbierał kolejno zdania pod względem gramatycznym i logicznym. Zastanowiło wszystkich, że czynił to nadzwyczaj starannie i że rozbierał po polsku. Sztetter, oparty ramieniem na krześle, dźwignął zwieszoną głowę i, bębniąc w stół palcami, z pod oka przyglądał się Zygierowi. Podmiot, orzeczenie, słowa określające, rzeczownik, zaimek, mianownik, dopełniacz, celownik, imiesłowy odmienne, nieodmienne i t. d. brzmiały w tej klasie tak dziwnie, tak jakoś zabawnie, że wszyscy uczniowie, słysząc to raz pierwszy, spoglądali ze śmiechem to na profesora, to na ucznia, ciągnącego rzecz swoją ze skupieniem i uwagą. Ukończywszy rozbiór całego wiersza, Zygier złożył książkę na ławie. Nauczyciel otworzył swój notes prywatny, dziennik klasowy, ujął za pióro, wykręcał je w palcach i myślał o czemś głęboko.

— Dosyć... — rzekł wreszcie. — Mam panu stawiać stopień. Ale jaki? Cóż ja panu postawię? Ja nie mam... na to... stopnia, panie Zygier...

Mówiąc tak, znowu przyglądał się nowemu uczniowi i wracał do niego oczyma kilkakroć, jakby ich nie był w stanie zdjąć z tej twarzy. Zygier stał w ławce, mierząc Sztettera swem uważnem i spokojnem wejrzeniem.

— Proszę mi powiedzieć — rzekł jeszcze nauczyciel — co pan czytałeś, w jakim kierunku?

— Czytałem... tak dosyć rozmaitych rzeczy.

— A z literatury polskiej?

— Uczyliśmy się kolejno, systematycznie okresami.

— Tak, tak... — mówił Sztetter, zabawnie strzepując ręką piasek z dziennika, — no i jakież to tam okresy?

— Czytaliśmy utwory wieku złotego dosyć pobieżnie, zato romantyków szczegółowo.

— Któż to... m y? — zapytał nauczyciel daleko ciszej i patrząc we drzwi.

— To tam w Warszawie... my... sami...

— Cóż pan czytałeś np. z Mickiewicza?

— No, zdaje się... Niektórych rzeczy żadną miarą nie mogliśmy dostać.

— Ja się o to nie pytam, nie chcę wiedzieć! Jakiż utwór podobał się panu najbardziej?

— Czy ja wiem? Trzecia część... Improwizacja, Pan Tadeusz, Księgi Pielgrzymstwa...

Sztetter umilkł. Po chwili zapytał jeszcze:

— No, a cóż pan wiesz o Mickiewiczu?

Uczeń wyraźnie, jasno i bardzo szczegółowo opisał w języku rosyjskim młodość poety, związek Promienistych, Filomatów i Filaretów, aresztowania, uwięzienie i deportację. Wprost od tych szczegółów najniespodziewaniej zjechał z Wilna do Warszawy i, już nie ku profesorowi, lecz w stronę klasy zwrócony, jął wyborną i bardzo piękną ruszczyzną, z chwalebnem uniknięciem „polonizmów", plastycznie malować napad podchorążych na Belweder w nocy 29 listopada.

Oszołomiony belfer, pragnąc co tchu przerwać ten wykład, rzucił pytanie:

— Umiesz pan może co na pamięć?

— Tak, umiem to i owo.

— Proszę powiedzieć.

Zygier złożył książkę, przez chwilę się namyślał i wnet zaczął mówić głosem nie donośnym, ale dźwięcznym, jak szlachetny metal:

„Nam strzelać nie kazano. Wstąpiłem na działo..."

Usłyszawszy te wyrazy, Sztetter zerwał się na równe nogi i zaczął machać rękami, ale Zygier nie umilkł. Jakby odepchnięty jego wzrokiem nauczyciel siadł na swem krześle, podparł głowę rękoma i nie spuszczał oka z szybek we drzwiach. W klasie stała się cisza. Wszystkie oczy skierowały się na wypowiadającego „wiersze polskie". Ten mówił równo, ze spokojem i umiarkowaniem, ale jednocześnie z jakąś ukrytą w słowach, wewnętrzną gwałtownością, która kiedy niekiedy, w pewnych cezurach, wymykała się między sylabami. Dziwne, niesłychane słowa przykuwały uwagę, potężny obraz boju rozwierał się przed oczyma słuchaczów — i nagle mówca dźwignął swój głos o stopień wyżej:

„Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,
Gdy poselstwo francuskie twoje stopy liże,
Warszawa jedna mocy twej urąga!
Podnosi na cię rękę..."

Nauczyciel syknął i zaczął wstrząsać głową. Wtedy „Figa"-Walecki wylazł ze swej ławki, zbliżył się do drzwi, wspiął na palce i, spoglądając uważnie w korytarz, machnął ręką na Zygiera, żeby gadał dalej. Nie była to już recytacja utworu wielkiego poety, lecz oskarżenie uczniaka polskiego, zamknięte w zdarzeniach bitwy. Był to własny jego utwór, własna mowa. Każdy obraz walki dawno przegranej wydzierał się z ust mówcy, jako pragnienie uczestnictwa w tem dziele zgubionem. Uczucia dziecięce i młodzieńcze, po miljonkroć znieważane, leciały teraz między słuchaczów w kształtach słów poety, pękały wśród nich,

jak granaty, świszczały, niby kule, ogarniały dusze na podobieństwo kurzawy bojowej. Jedni z nich słuchali wyprostowani, inni wstali z ławek i zbliżyli się do mówcy. Borowicz siedział zgarbiony, podparłszy pięścią brodę, i rozpalone oczy wlepił w Zygiera. Dręczyło go przemierzłe złudzenie, że on to wszystko już niegdyś słyszał, że on to nawet gdzieś jakby własnem okiem widział, ale nie mógł pojąć, co będzie dalej — i słuchał ze wstrętem i złością, ale z dreszczami dziwnego bólu w piersiach. Wtem Zygier zaczął mówić:

„... nieraz widziałem
Garstkę naszych, walczącą z Moskali nawałem,
Gdy godzinę wołano dwa słowa: — pal! nabij!
Gdy oddechy dym tłumi, trud ramiona słabi,
A wciąż grzmi rozkaz wodzów, wre żołnierza czynność,
Nakoniec bez rozkazu pełnią swą powinność,
Nakoniec bez rozwagi, bez czucia pamięci
Żołnierz, jako młyn palny, nabija, grzmi, kręci
Broń od oka do nogi, od nogi — na oko...
Aż ręka w ładownicy długo i głęboko —
Szukała... Nie znalazła... I żołnierz pobladnął,
Nie znalazłszy ładunku, już bronią nie władnął
I poczuł, że go pali strzelba rozogniona
I puścił ją i upadł... Nim dobiją, skona..."

Borowicz zamknął oczy. Znalazł już wszystko. To ten sam żołnierz, o którym mówił mu przed laty strzelec Noga na pagórku pod lasem. Ten sam, zabity nahajami, leżący w skrwawionej mogile pod świerkiem. Serce Marcina szarpnęło się nagle, jakby chciało wydrzeć się z piersi, ciałem jego potrząsało wewnętrzne łkanie. Ścisnął mocno zęby, żeby z krzykiem nie szlochać. Zdawało mu się, że nie wytrzyma, że skona z żalu. Sztetter siedział na swem miejscu wyprostowany. Powieki jego były, jak zwykle, przymknięte, tylko teraz kiedy niekiedy wymykała się z pod nich łza i płynęła po bladej twarzy.

Stefan Żeromski.

29. Opłatki.

Zakrystjan mi przyniósł prześliczne opłatki,
Tkwi na nich złocista opaska,
Przypięta kokardą z różyczek i siatki,
Gdzie anioł wygląda z obrazka.
Gdy patrzę w tę białość, to widzę wasz światek,
Dziewczęta! Chłopięta! Nadzieje!

Sumienie lśni u was, jak strojny opłatek,
Gdzie jeszcze Stróż-anioł się śmieje.
Lecz długoż ta białość w opasce zostanie?
Los chleba jest losem i duszy,
Łamaną być musi! Ach, tylko pytanie,
Pod jakim naporem się skruszy?
Jeżeli za prawdą usycha z tęsknoty,
Niech puka i jęczy w jej bramie,
Niech anioł ją wiedzie i da jej klucz złoty.
Waleczny, kto z myślą się łamie!
Lecz jeśli w niej życie głos prawdy zagłuszy,
Ze skrzydeł obedrze jej ramię,
I hart jej odbierze, ach, biada tej duszy!
Nieszczęsny, w kim wola się złamie!
Ty jedna, miłości! gdy dzielisz się chlebem,
Niebiańskie wyciskasz w nim znamię.
Czy z bratem, czy z wrogiem, czy z ziemią, czy z niebem,
Szczęśliwy, kto sercem się łamie.

Deotyma.

30. Wyprawa woźnego.

Woźny już dawniej wyszedł ku domowi Hrabi.
Jak lis bywalec, gdy go woń słoniny wabi,
Bieży ku niej, a strzelców zna fortele skryte,
Bieży, staje, przysiada coraz, wznosi kitę,
I wiatr nią, jak wachlarzem, ku swym nozdrzom tuli,
Pyta wiatru, czy strzelcy jadła nie zatruli.
Protazy zeszedł z drogi i wzdłuż sianożęci
Krąży około domu; pałkę w ręku kręci,
Udaje, że obaczył kędyś bydło w szkodzie,
Tak, zręcznie lawirując, stanął przy ogrodzie;
Schylił się, bieży, rzekłbyś, iż derkacza tropi,
Aż nagle skoczył przez płot i wpadł do konopi.

W tej zielonej, pachnącej i gęstej krzewinie,
Koło domu, jest pewny przytułek zwierzynie
I ludziom. Nieraz zając, zdybany w kapuście,
Skacze skryć się w konopiach bezpieczniej, niż w chróście,
Bo go dla gęstwi ziela ani chart nie zgoni,
Ani ogar wywietrzy dla zbyt tęgiej woni.
W konopiach człowiek dworski, uchodząc kańczuka
Lub pięści, siedzi cicho, aż się pan wyfuka.
I nawet często zbiegli od rekruta chłopi,
Gdy ich rząd śledzi w lasach, siedzą śród konopi.

I stądto w czasie bitew, zajazdów, tradowań,
Obie strony nie szczędzą wszelkich usiłowań,
Ażeby stanowisko zająć konopiane,
Które z przodu ciągnie się aż pod dworską ścianę,
A z tyłu, pospolicie stykając się z chmielem,
Kryje atak i odwrót przed nieprzyjacielem.

Protazy, choć człek śmiały, uczuł nieco strachu,
Bo przypomniał z samego rośliny zapachu
Różne swoje dawniejsze, woźnieńskie przypadki,
Jedne po drugich, biorąc konopie za świadki:
Jako raz zapozwany szlachcic z Telsz, Dzindolet,
Rozkazał mu, oparłszy o piersi pistolet,
Wleźć pod stół i ów pozew psim głosem odszczekać,
Że Woźny musiał co tchu w konopie uciekać.
Jak później Wołodkowicz, pan dumny, zuchwały,
Co rozpędzał sejmiki, gwałcił trybunały,
Przyjąwszy urzędowy pozew, zdarł na sztuki
I, postawiwszy przy drzwiach z kijami hajduki,
Sam nad Woźnego głową trzymał goły rapier,
Krzycząc: „Albo cię zetnę, albo zjedz twój papier.“
Woźny niby jeść zaczął, jak człowiek roztropny,
Aż, skradłszy się do okna, wpadł w ogród konopny.

Wprawdzie już wtenczas w Litwie nie było zwyczajem
Opędzać się od pozwów szablą lub nahajem,
I ledwie woźny czasem usłyszał łajanie:
Ale Protazy o tej obyczajów zmianie
Wiedzieć nie mógł, bo dawno już pozwów nie naszał.
Choć zawsze gotów, choć się Sędziemu sam wpraszał,
Sędzia dotąd przez winny wzgląd na lata stare
Odmawiał jego prośbom; dziś przyjął ofiarę
Dla naglącej potrzeby.

Woźny patrzy, czuwa —
Cicho wszędzie — w konopie zwolna ręce wsuwa
I, rozchylając gęstwę badylów, w jarzynie,
Jako rybak, pod wodą nurkujący, płynie;
Wzniósł głowę — cicho wszędzie — do okien się skrada —
Cicho wszędzie — przez okna głąb pałacu bada —
Pusto wszędzie. — Na ganek wchodzi nie bez strachu,
Odmyka klamkę — pusto, jak w zaklętym gmachu;
Dobywa pozew, czyta głośno oświadczenie.

A. Mickiewicz.

31. Na Starem Mieście w Łodzi.

Niżej, za Nowym Rynkiem, pełno było Żydów i robotników, dążących na Stare Miasto. Piotrkowska ulica w tem miejscu zmieniała po raz trzeci swój wygląd i charakter, bo od Gajerowskiego Rynku aż do Nawrotu jest fabryczną, od Nawrotu do Nowego Rynku — handlową, a od Nowego, w dół, do Starego Miasta — tandeciarsko-żydowską.

Błoto było czarniejsze i płynniejsze, trotuary zmieniały się przed każdym domem, raz były szerokie z kamienia, to biegły wąskim, wydeptanym paskiem betonu, albo szło się wprost po drobniutkim, zabłoconym bruku, który kłuł przez podeszwy. Rynsztokami płynęły ścieki z fabryk i ciągnęły się, niby wstęgi brudno-żółte, czerwone i niebieskie; z niektórych domów i fabryk, położonych za niemi, przepływ był tak obfity, że, nie mogąc się pomieścić w płytkich rynsztokach, występował z brzegów, zalewając chodniki kolorowemi falami, aż pod wydeptane progi niezliczonych sklepików, ziejących z czarnych, zabłoconych wnętrzy brudem i zgnilizną, zapachem śledzi, jarzyn gnijących, lub alkoholu.

Domy stare, odarte, brudne, poobtłukane z tynków, świecące, niby ranami, nagą cegłą, miejscami drewniane, albo ze zwykłego pruskiego muru, który pękał i rozsypywał się przy drzwiach i oknach, o krzywych obsadach futryn, powykrzywiane, wyssane, zabłocone, stały ohydnym rzędem domów trupów, pomiędzy któremi wciskały się nowe, trzypiętrowe kolosy[1]) o niezliczonych oknach, jeszcze nie tynkowane, bez balkonów, z tymczasowemi oknami, a pełne już ludzkiego mrowia i stuku tkackich warsztatów, które pracowały bez względu na niedzielę, turkotu huczących maszyn, szyjących tandetę na wywóz, i przenikliwego zgrzytu kołowrotków, na których zwijano przędzę na szpulki do użytku ręcznych warsztatów.

Przed owemi nieskończonemi domami, które wznosiły się czerwonemi, posępnemi murami, nad tem morzem umierających ruder i kramarskiego życia, leżały całe sterty cegieł i drzewa, ścieśniając i tak wąską uliczkę, zapchaną wozami, końmi, przewożonym towarem, zgiełkiem, nawoływaniem handlarzy i tysiącznemi głosami robotników, płynących gromadami w Stare Miasto: szli środkiem ulicy lub obok trotuarów; ich różnokolorowe szaliki, któremi mieli poobwiązywane szyje, rozjaśniały nieco ten ogólny, szarobłotnisty ton ulicy.

Stare Miasto i wszystkie przylegające uliczki trzęsły się zwykłym, niedzielnym ruchem.

[1]) Kolos — olbrzym.

Na kwadratowym placu, obstawionym staremi, piętrowemi domami, nigdy nie odnawianemi, pełnym sklepów, szynków i t. zw. Bier-Hall[1]), zastawionym setkami szkaradnych bud i kramów, tłoczyło się kilkanaście tysięcy ludzi, setki wozów i koni; wszystko to krzyczało, mówiło, klęło, biło się czasami.

Wrzaskliwy chaos[2]) przewalał się z jednej strony Rynku na drugi. Nad tem rojowiskiem głów, włosów rozwianych, rąk wzniesionych, łbów końskich, toporów rzeźnickich, połyskujących nagle w słońcu, podnoszonych nad rozrąbanem mięsem, olbrzymich bochenków chleba, niesionych z powodu tłoku nad głowami, żółtych, zielonych, czerwonych, fioletowych chustek, powiewających, niby sztandary, na kramach garderoby; czapek i kapeluszy, wiszących na kołkach, butów, szalików bawełnianych, co, jak węże kolorowe, trzepotały się na wietrze i uderzały w twarze przeciskających się; blaszanych naczyń, błyskających w słońcu; stosów słoniny, kup pomarańcz, poukładanych na straganach, kul, świecących jaskrawo na tle czerni ludzkiej, i błota, które, gniecione, rozrabiane, tratowane, mieszane, rzygało strumieniami z pod nóg na stragany i na twarze i wylewało się z Rynku do rynsztoków i na ulice, z czterech stron okalające targ, któremi toczyły się wolno olbrzymie wozy piwowarskie, pełne antałków, wozy z mięsem, pookrywane brudnemi szmatami, albo zdala świecące czerwono-żółtemi żebrami wołów, obdartych ze skóry, wozy, naładowane worami mąki, wozy, pełne drobiu, krzyczącego wrzaskliwemi głosami, pełne kwakania kaczek i gęgotu gęsi, które przez szczeble drabin wysuwały białe głowy i syczały na przechodniów.

Czasem bokiem tych nieskończonych sznurów wozów, idących jeden za drugim, przebiegał z pośpiechem jaki elegancki powozik, ochlapując błotem ludzi, wozy, trotuary, na których w kuczki siedziały stare, wynędzniałe Żydówki z koszykami, pełnemi gotowanego grochu, cukierków, zmarzniętych jabłek, zabawek dziecinnych.

Przed sklepami, które były pootwierane i pełne ludzi, poustawiano stoły, krzesła, ławki, na których leżały góry galanterji, pończoch, skarpetek, kwiatów sztucznych, perkalików sztywnych, jak blachy, kołder o jaskrawych poszyciach, koronek bawełnianych. W jednym końcu Rynku stały żółte, malowane łóżka, komody, które się nie domykały i bronzowym bajcem udawały mahoń; lustra, w którychby się nikt nie zobaczył, połyskiwały w słońcu; kołyski, stosy sprzętów kuchen-

[1]) Piwiarnia.

[2]) Chaos — zamieszanie, zgiełk.

nych, za któremi na ziemi, na garstkach słomy siedziały kobiety wiejskie z masłem i mlekiem, ubrane w czerwone wełniaki i zapaski. A pomiędzy wozami i straganami przepychały się przez tłumy kobiety z koszami czepców bawełnianych, wykrochmalonych, które przymierzano wprost na ulicy.

Na Poprzecznej, zaraz przy Rynku, stały stoły z kapeluszami, których nędzne kwiaty, zardzewiałe spięcia, kolorowe, farbowane pióra chwiały się smutnie na tle ścian domów.

Garderobę męską sprzedawano, kupowano i przymierzano na ulicy, w sieniach, wreszcie pod ścianą, za zasłoną, która zwykle nic nie zasłaniała.

Tak samo robotnice przymierzały kaftany, fartuchy i spódnice.

Wrzawa rosła bezustannie, bo wciąż z góry miasta napływały fale kupujących i podnosiły nowe krzyki, nawoływania zachrypniętemi gardłami, głosy trąbek dziecinnych brzękały ze wszystkich stron, turkoty wozów, kwiki prosiąt, krzyki gęsi, cała szalona wrzawa zbiorowiska ludzkiego wrzała i biła w to czyste, rozsłonecznione niebo, co wisiało nad miastem, niby blado-seledynowy baldachim.

W jednym z szynków grano i tańczono, bo czasami przez zgiełk i wrzawę piekielną przedzierał się głos harmonji i skrzypiec, wycinających oberka, i mocny, siarczysty pokrzyk tańczących, ale rychło te głosy tonęły w chaosie bójki, jaka powstała w środku Rynku, przy straganach z wędlinami.

Kilkanaście ciał splątanych, sczepionych szamotało się z rykiem i chwiało w różne strony, aż wkońcu runęło pod straganv, w błoto i gryzło się i tarzało, jak kłąb olbrzymi, pełen rąk, nóg, twarzy okrwawionych, ust wyjących, oczu, zaszłych bielmem wściekłości.

Wysoko świeciło słońce i zalewało potokami wiosennego ciepła Rynek cały. Podnosiło barwy, złociło nędzne, wycieńczone twarze, obnażało rudery, zapalało złote ogniska w szybach okien i w błocie, przepojonem wodą, w oczach ludzi, którzy stali pod domami i grzali się, i pokrywało jakby złotawą glazurą[1]) brzydotę, jaka tutaj królowała; wszystkie te rzeczy i ludzie i wszystkie te głosy, co się zrywały z pośród bud, wozów, straganów, błota i olbrzymim wirem krążyły nad Rynkiem, odbijały się o czworokąt domów, i płynęły w boczne ulice, w świat, w pola, ku fabrykom, które niedaleko stały, panując kominami i jakąś cichą, milczącą grozą, w jakiej były zatopione, i patrząc błyszczącemi w słońcu, wytrzeszczonemi oczami okien na te roje robocze.

Wł. St. Reymont.

[1]) Glazura — polewa.

32. Śmierć mojego dziadka.

Usypiał od niejakiego czasu i z kolei się przebudzał mój dziadunio; zdawało się, że nie mniemał się tak bliskim zgonu, jakeśmy sądzili. Tymczasem od kilku już godzin trwało nabożeństwo w kościele, mające się zakończyć, jak zwyczajnie w to święto, wielką procesją do przygotowanych z maju[1]) i kwiatów ołtarzy. Uderzenie we dzwony dało znak wyjścia procesji z kościoła i obudziło staruszka.

— Czy jest ołtarz przy naszym krzyżu? — zapytał mnie; corocznie bowiem mój dziadunio prowadził sam celebrującego w procesji do stacji, przy własnym krzyżu przybranej, i te solenne odwiedziny gorliwą modlitwą Bogu, a sutym obiadem plebanowi i całemu zebranemu duchowieństwu odwdzięczał.

— Krzyż ubrany — odpowiedziałem.

— No! to i mnie wstać, ubrać się i wyjść pomóżcie!...

Po wczorajszemu więc, lecz słabszy, niż wczora, wywlókł się staruszek za bramę pod krzyż, usiadł na podanem sobie szerokiem swojem krześle i czekał z wypogodzonem zupełnie obliczem procesji. Wkrótce też, ogromnym chórem całego ludu śpiewana, dała się słyszeć najpierw nuta, a potem pieśń:

„Niebo! ziemia! świat i morze!
I co tylko w was być może!
Jak najgłębiej upadajcie,
Pokłon Panu z nami dajcie.“

Zruszył się mój dziadunio z miejsca, chcąc upaść na kolana. Wprzód go chcieliśmy zatrzymać, potem pomóc musieliśmy koniecznemu jego żądaniu i wspierać klęczącego. Ukazał się naprzód zdaleka krzyż wielki, posuwający się powoli, a niesiony przez pana Jakóba, który przywileju tego nikomu i nigdy nie odstępował. Nad nim i za nim powiewały chorągwie; zbliżały się potem gęste ognie jarzące w rękach kapłanów i bractwa, i dziatwy, spokojnie palące się podczas pięknej dnia tego pogody; w środku postępował ksiądz pleban pod baldachimem, niosąc w ręku wzniesioną nad ludem, jakby ognisko światła, wiary i chwały, bogatą monstrancję, okrytą wianeczkami z kwiatów i ziółek polnych, w dniu tym zwykle poświęcanych... Któż nie zna porządku, powagi i wspaniałości uroczystych procesyj? Lecz komuż miłem nie będzie, jako i mnie, piszącemu, wyobrażenie i przypomnienie onych.

[1]) Zieleni.

Zmienia się pieśń przy zbliżaniu się do ołtarza; triumfalnym tonem i słowami, umyślnie na tę uroczystość złożonemi, obwieszcza się przyjście Pana:

„Idzie! idzie! Bóg prawdziwy!
Idzie Sędzia sprawiedliwy!
Stanąwszy pięknem kołem,
Uderzmy wszyscy czołem."

— O, mój Boże! — zawołał starzec przenikającym do głębi serca głosem, usłyszawszy te pienia i wyciągając ręce ku zbliżającej się procesji — o, mój Boże! ja to! ja idę do Ciebie!... ja przed sąd Twój stanę natychmiast! o, mój Boże! zmiłuj się nade mną!!!

Chwiejącego się zupełnie i słabego starca podjęliśmy i posadzili na krześle. Wzruszenie, mocniejsze nad siły zwątlone, mowę mu odjęło; łzy jednak, płynące potokiem po twarzy, świadczyły, że przytomny zupełnie; nie mogąc usty, modlił się duszą i myślą.

Po odśpiewaniu Ewangelji ruszyła nazad procesja i zabrzmiały znowu słowa:

„Idzie! idzie! światłość wieczna!
Idzie! idzie! moc przedwieczna!
Stanąwszy pięknem kołem,
Uderzmy wszyscy czołem."

O! nigdy nie zapomnę natenczas twarzy mojego dziadka! na mojej młodej wyobraźni został jej obraz na zawsze! cała reszta życia zebrała mu się na oblicze, a życie to było już tylko samą miłością ku Bogu i pragnieniem połączenia się ze światłością wieczną, która, oddalając się, ciągnęła duszę jego za sobą. Podniósł znowu ręce za procesją i nakoniec padł na krzesło... Odnieśliśmy zemdlonego na łóżko, bez nadziei, aby raz jeszcze wrócił do życia.

Tymczasem, najrychlej jak mógł, po nabożeństwie przybył ksiądz pleban, starzec mało młodszy od mojego dziadka, kilkudziesięcioletni jego przyjaciel, codzienny wspólnik życia, zabaw i towarzystwa, a jako stróż sumienia, powiernik wszystkich myśli i zamiarów. Za nim ksiądz definitor i kilku jeszcze przybyło kapłanów. Pan Jakób, pierwej przybiegłszy, klęczał w pierwszym pokoju przed obrazem Najświętszej Panny i, zebrawszy około siebie czeladkę domową, modlił się z płaczem i łkaniem. Księża obstąpili łóżko i, gdy jeszcze jakiekolwiek ślady życia dawały się postrzegać, rozpoczęli modlitwy, nad konającym zwykle odmawiane; ja nakoniec, drżący z przerażenia, trwogi i żalu, stałem pomiędzy nimi.

Wtem odetchnienia umierającego stawały się coraz wyraźniejszemi; otworzył oczy, powlókł wzrokiem spokojnym po nas otaczających... wziął potem za rękę księdza plebana i cichym z początku, ale coraz wyraźniejszym głosem mówił:

— Dziękuję tobie, mój ojcze, że mnie nie opuszczasz w tym ostatnim terminie!...

— Błagałem Boga przy ołtarzu — rzekł proboszcz — o zdrowie dla ciebie, panie skarbniku, i prosiłem wszystkich parafjan, aby także modlili się za twoje zdrowie...

— Ach, mój ojcze! niechby się wolej[1]) modlili za moją duszę!... poślijcie po moich chłopków, trzeba mnie i z nimi się pożegnać...

Nie trzeba było posyłać, wszyscy oni z nabożeństwa prosto zaszli do dworu i w sieniach czekali niespokojnie, co się stanie z ich ukochanym panem. Otworzono więc drzwi, i napełnili izbę włościanie. Odwrócił ku nim głowę mój dziadunio i mówił, jak mógł najdobitniej:

— Moje dziatki! umieram ja i żegnam was i błogosławię... i was, i dzieci wasze... i chudoby... i chatki wasze! dziękuję wam za waszą życzliwość dla mnie! i za pracę waszą! i za chleb!...

Przerwał się głos starca, odpoczywał i zbierał ostatnie siły:

— Darujcie mi, jeżelim którego z was mimowolnie ukrzywdził, darujcie dla miłości Boga! kto was po mojej śmierci krzywdzić odważy się, tego na sąd straszny zapozywam!

To ostatnie zapozwanie wymówił wyraźniej i znowu zamilkł.

Włościanie, żalem przejęci, nie wiedzieli sami, co czynić. Jedni, łzami zalani, poklękali około łóżka i całowali kraje prześcieradła, którem umierający był nakryty; drudzy, nachyliwszy głowy ku ziemi, klęcząc także, dotykali się ręką prawą obu swoich policzków; jest to u nich znak głębokiego uszanowania i adoracji. Inni popadali krzyżem na ziemię przy panu Jakóbie i odmawiali z nim litanję.

Nakoniec mój dziadunio skinął, abym się zbliżył i ukląkł, wyciągnął rękę, położył ją na mojej głowie i, przez chwilę tak zatrzymawszy, uczynił potem znak krzyża na mojem czole... powtórzył go raz drugi i trzeci, usiłując wymówić swoje nade mną błogosławieństwo! Niestety! oczy mu tylko, które na mnie zwrócone trzymał, łzą zaszły... i ręka z głowy mej spadła... Raz jeszcze podniósł ją mój dziadunio, ujął za krzyżyk drewniany z wizerunkiem Chrystusa, który na piersiach nosił, i do ust go

[1]) Raczej, lepiej.

swoich przyłożył, lecz przywrzeć ust i ucałować krzyża już nie mógł; tak więc z krzyżem na ustach zostawał...

Widząc coraz rzadsze i słabsze odetchnienia umierającego, ksiądz pleban gromnicę gorejącą włożył mu w rękę i, własnemi rękami ją utrzymując, rzekł uroczystym głosem:

— Polecaj się Bogu, chrześcijaninie!

A stojący obok ksiądz definitor dodał ponuro:

— Wychodź, duszo chrześcijańska!

Zadrżałem na te wywołujące słowa! Ściśnienie ręki proboszcza i gromnicy dało poznać, że jeszcze żył konający. Głębokie potem milczenie opanowało izbę, łzy ciekły po twarzach wszystkich, ale nikt poruszyć się nie śmiał... Anioł śmierci już był pomiędzy nami!

Wnet ksiądz pleban nachylił się nad konającym. Po chwili, podjąwszy głowę, wzniósł oczy ku niebu... i zdmuchnął gromnicę!

Wkrótce zabrzmiały dzwony kościelne i sprawdziły wczorajsze przeczucia mojego dziadka.

Oto kamień, mchem porosły, na grobie jego, a na nim zaledwo już wyczytać się mogące te słowa: „Żył poczciwie! wierzył po prostu! umarł spokojnie!“.

Ignacy Chodźko.

33. Kolędnicy.

Sporo ludu się nabrało, boć i wieczory były długie, roboty nie mieli żadnej. Zima szła sroga i przykre dni, to ckniło się chodzić spać razem z kurami, gdyż i tak do świtania tyla się jeszcze wyspał i wyleżał, aż boki bolały.

Porozsadzali się, jak mogli, kto na ławach, kto na skrzyniach, którym zaś, jak parobkom, Kłębiaki pieńki przynosili ze dwora, a jeszcze miejsca dosyć ostawało w izbie, bo dom był wielki, choć niski, starą modą pobudowany, pono jeszcze przez Kłębowego pradziada, że rachowali mu ze sto pięćdziesiąt roków z okładem, w ziemię też już zapadał, przygarbił się, kiej staruch, i strzechami płotów dotykał, aż musieli podporami go wspierać, by się docna nie zwalił.

Gwar się czynił zwolna, bo cicho jeszcze pogadywały, między sobą tylko, wrzeciona jeno furkotały i dudniły po podłodze, a gdzie niegdzie i kółko warczało, ale niewiela, bo niedowierzały zbytnio tym nowomodnym wymysłom, woląc prząść po staremu na prześlicach.

Kłębiaki, a czterech było młodziaków, wyrosłych, jak sosny, i już prawie pod wąsem, skręcali powrósła przy drzwiach, reszta

zaś parobków rozwalała się po kątach, kurząc papierosy, szczerząc zęby i prześmiewając się z dziewczynami, że co trochę cała izba się trzęsła od chichotów, a starsze jeszcze rade dokładały swoje, bych więcej było do śmiechów i zabawy.

— Byli już z niedźwiedziem? — zagadnął Rocho.

— Ino ich patrzeć, bo są już u organistów.

— Które to chodzą?

— A dyć te wisielaki Gulbasowe i Filipki chłopaki!

— Idą już, idą! — zaczęły wołać dziewczyny, bo się rozległ przed domem długi ryk, a po nim głosy różnych zwierząt zaczęły się rozlegać w sieni: to kogut piał, owce beczały, koń rżał, a przewodził im ktosik na piszczałce; wreszcie drzwi się otwarły i przodem wlazł chłopak, przyodziany w kożuch do góry wełną, z czapą wysoką, przysmolony na gębie, że jak cygan się widział, a ciągnął za sobą na długiem powrósle onego niedźwiedzia, przybranego całkiem w grochowiny, z kożuszanym łbem, z ruchającemi się uszami z papieru i z ozorem czerwonym, może na łokieć wywalonym, do rąk zaś miał przywiązane kije, okręcone w grochowiny i wrażone w trepy, że chodził niby na czworakach, a za nim szedł tuż drugi wodziciel, ze słomianą pytą i kijem, ostremi kołkami najeżonym, na których tkwiły kawałki słoniny, to chleby, to jakieś pękate torbeczki wisiały, a dopiero za niemi Michał od organisty, na piszczałce przygrywający, i cała hurma chłopaków z kijami, bijąc niemi w podłogę i pokrzykując z całej mocy.

Niedźwiednik pochwalił Boga, zapiał potem, kiej kokot, zabeczał, jak baran, zarżał, niby ogier rozgrzany, i zaczął wykrzykiwać:

— Niedźwiedniki my z kraju dalekiego, z za morza szerokiego, z lasu wielgachnego! gdzie ludzie do góry nogami chodzą: gdzie płoty kiełbasami grodzą, a ogniem się chłodzą; gdzie garnki do słońca przystawiają, świnie po wodach pływają i deszcze gorzałką padają; niedźwiedzia my srogiego wodzim i po świecie chodzim! Powiedzieli nam ludzie, że w tej wsi są gospodarze bogacze, gospodynie użyczliwe, a dzieuchy piękne! tośmy przyśli z kraju dalekiego, z za Dunaju szerokiego, by nas opatrzyli, grzecznie przyjęli i na drogę co dali. Amen!

— Pokażcie, co umiecie, a może się dla was znajdzie co w komorze — rzekł Kłąb.

— Pokażemy wraz! Hej! graj, piszczało! tańcuj, Misiu! tańcuj! — zakrzyczał, kropiąc go kijem.

A na to piszczałka wrzasnęła przebieraną nutą, chłopaki rypnęli kijami w podłogę i nuż przykrzykiwać; wodziciel udawał różne głosy, a niedźwiadek jął skakać na czworakach,

ruchał uszami, kłapał ozorem, wierzgał, za dzieuchami gonił, a wodziciel niby go to powstrzymywał, a pytą wokół prał co wlazło i krzykał:

— Nie znalazłaś se mężyny, naści, babo, grochowiny.

Krzyk się podniósł w izbie, wrzaski, rwetes, bieganina, przegony, piski, a taka uciecha zapanowała, aż się za boki brali, niedźwiedź zaś wciąż baraszkował, figle stroił, przewalał się na ziemi, ryczał, uciesznie skakał, to dziewczyny brał wpół temi drewnianemi kulasami i ciągnął w tan, do taktu Michałowej piszczałki, a rzekome niedźwiedniki wraz z chłopakami tak dokazywali, że dziw się chałupa nie rozwaliła od tych wrzasków, gonów i śmiechów!

Opatrzyła ich suto Kębowa, że wreszcie się wynieśli, ale długo jeszcze słychać było na drodze wrzaski i naszczekiwania psów. *Wł. St. Reymont.*

34. Staropolskie święcone.

Jakże suto zastawione
Długie stoły u ścian w koło!
Staropolskie to święcone,
Więc zabawim się wesoło.
Bo co wszystkich tak weseli,
To dla serca w ziemi rajem.
Ot, gospodarz jajkiem dzieli,
To i my się dzielmy wzajem!
„In quo nati...[1]) ale starka[2])
Dobrze taką post odprawić —
Tylko trochę wielka miarka.“ —
— „A ja radzę, by poprawić“ —
Ktoś tam z boku na to prawi:
„Bo trza wypić, kto chce spożyć;
I kto wieżę w ziemi stawi,
Ten fundament ma położyć.“
Mazowiecki statut radzi,
By po starce przysiąść trochę,
Więc siąść w kątku nie zawadzi,
Bo są rzeczy tu nie płoche.
Świat zwykł chwalić te powaby
Gładkich panien zawdy, wszędy;
Lecz w kąt panny, kiedy baby[3])

[1]) In quo nati — gdzie jesteśmy urodzeni, skąd pochodzimy.
[2]) Starka — stara wódka.
[3]) Baby — bułki, z najprzedniejszego ciasta pieczone, wielkiego kształtu.

Tak wyrosłe stoją w rzędy.
Co u licha! dzik zuchwały
Wpoprzek stołu legł układnie:
Jakże z nim się spotkać padnie,
Kiedy, widzę, jeszcze cały?
Niema troski, bo nadziany
Kopą pardwi[1]) — przystęp łatwy
I głowizną przekładany[2]);
A są także kuropatwy.
W drugim końcu, w równej mierze,
Tej zastawy sarniuk strzeże:
Stanął, niby w małym lesie,
I złocone rożki niesie.
Miasto darni mszą się puchy,
Od fiołków i rzeżuchy[3]).
Co tam stoi między dzikiem
A sarniukiem — któż to zgadnie?
Kto to przejdzie wszystko likiem,
Co dom daje tak już ładnie?
Tutaj szynki — tu pieczenie —
Więc i sarnie, i jelenie —
I cielęce, i baranie —
A co bliżej, to już stanie
Ta kiełbasa rozwijana,
Pisankami przetykana,
Aż i tutaj — i tam prosię
Już na krańcu stołu staje,
Bo tu ledwo dopchało się.
A więc w pyszczku chrzan podaje.
Gęsto między tem mięsiwem
Leżą rzędem ułożone:
Te mazurki postrojone[4]),
Co sąsiadek są podziwem,
Więc i placki przekładane.
I kołacze te rumiane,
Co po stole gęsto stoją
I barwinkiem stół ten stroją.
W środku stołu stoi wiernie

[1]) Pardwa — ptak kurowaty z rodziny cietrzewi.
[2]) Głowizna: nadziewka, którą się sporządza z mięsa wieprzowego, wziętego z głowy, t. j. z uszów, z języka, z podgarla i t. d.
[3]) Rzeżucha: ziele, rosnące bujno, jasno-zielone, które gospodynie umyślnie sieją do ubierania „święconego“.
[4]) Mazurki — placki z kruchego ciasta, posypywane rodzynkami i migdałami.

I urobion jest misternie
Ów baranek, co prowadzi
I te grzechy świata gładzi.
A już głębiej, za barankiem,
Wonne kwiaty stoją wiankiem;
I z przysmaków urobiony
Koń w tureckiem stoi siodle;
Bo nie chadzał dom ten podle,
Ale gotów do obrony,
W rodzie swoim miał hetmana,
Który siadał w siodło chana[1]).
Więc w tym koniu pamięć męstwa,
Wiernej służby i zwycięstwa
Staropolski dom ten święci,
I nic jemu z tej pamięci,
Ale chwała jest w narodzie,
Że szli tacy nam na przodzie:
I szczęśliwy jest ten, komu
Czcić się godzi dzieje w domu;
Kto, jak starszy, staje czołem
W święto wielkie, przed kościołem;
Kto, jak starszy, jest przewodem,
Dla narodu swoim rodem.

Wincenty Pol.

35. Psia dola.

Za rogatkami miejskiemi, pod płotem jakiegoś ogrodu, położonego w kierunku południowej strony świata, leżała wyżlica Norma, otulając ciałem swojem czworo szczeniąt, ślepych jeszcze prawie. Małe pieski co chwila chwytały pierś matki, ale z piersi tej nie zdołały wydobyć ani kropli mleka; ruszały się więc niespokojnie, wydając z siebie mruki niecierpliwe i skomlenie. A Norma nieustannie nadstawiała dzieciom swoją pierś próżną, w której one nadaremnie szukały posiłku. Powyłaziły przeto dzieci z pod matki, jedno za drugiem, niezdarnie się toczyły na swych nożynach, podeszły do rodzicielki z przodu, garnęły jej się do ust, do uszu, do oczu, zdawały się zapytywać:

— Matko, co to wszystko znaczy? Dałaś nam oto życie, a nie możesz nas utrzymać?... Z głodu mrzemy!

Pies-matka smutnie popatrzała na potomstwo, mrużyła oczami i poczęła dziatwę kolejno a troskliwie lizać językiem. Może ona pragnęła głód swoich dzieci pieszczotą uśmierzyć.

[1]) Zdobywał je.

Powstała z miejsca, wyprostowała się i, stojąc, poddawała szczeniętom pierś swą do ssania. Rzuciły się do niej wszystkie, czepiały jej się, jak pijawki, zawisły, szarpały ją, rozpierały się, ssąc i ciągnąc swą rodzicielkę.

Norma była zwierzęciem wychudłem, zbiedzonem, sierść z niej miejscami zupełnie oblazła, trzęsła się, na nogach zaledwie ustać mogła, a na uszach jej i na szyi widniały wszędzie nie zabliźnione rany, które wokółek obsiadały muchy. Dzieci, ssąc matkę w stojącej postawie, i teraz nie znalazły w jej piersiach mleka; poczęły ją więc kaleczyć, do krwi jej się dobierać; ale ona i krwi niewiele miała w sobie.

Szczenięta, znużone licznemi a bezpłodnemi wysiłkami, legły wreszcie na ziemi, ułożyły się jedno na drugiem i, tak zwinięte, jakby w jeden kłębek, zasnęły. Przez czas jakiś stała nad niemi matka, liżąc je i troskliwie obwąchując, niby kołysząc swoje drobne psięta. A kiedy sen już na dobre ogarnął potomstwo, ona sama puściła się w świat na żebraninę. Poszła pomiędzy ludzi...

Dokąd pies iść może?

Wpadła do najbliższego domu w mieście. Tu ją rozkoszna jakaś woń zaleciała; przeto stanęła pod drzwiami kuchni i stała biedna, z pokorą żebraczki. Stała długo, aż jej się sprzykrzyło: lekko skrobnęła nogą w ludzkie podwoje. Drzwi się otwarły; wyjrzała stara jakaś kobieta z zakasanemi rękami, zapłoniona od kuchennego żaru, widocznie kucharka. Spostrzegła psa i szpetnie zaklęła:

— No, nie bestja to jedna!... Puka do drzwi, jak człowiek... A nie pójdziesz mi ty stąd, psiaduszo!

I z temi słowy poczęła kucharka szukać na podpieckach pogrzebacza, aby skarcić zwierzę, które się ośmieliło do drzwi jej przychodzić. Norma stała spokojna, osłabiona, chwiejna; zdawała się spojrzeniem błagać o jałmużnę. Kucharka odszukała narzędzie kary, wypadła z niem na psa i uderzyła go po dwakroć. Pies nie uchodził, nie wydał skowytu, jak gdyby ciosy owe nie były dla niego najcięższemi w życiu... Kucharka zamierzyła się raz jeszcze pogrzebaczem, lecz już nie uderzyła, tylko z przekleństwem okropnem zatrzasnęła drzwi od kuchni.

Niepewnym krokiem oddaliła się psia-matka od niegościnnych progów i poszła dalej. Wstąpiła do innego znowu domostwa. Tutaj na dziedzińcu spotkał ją stróż domu, uzbrojony w miotłę, osadzoną na bardzo długim kiju.

— Jeszcze i ty, psiawiaro, będziesz mi tu zawadzała i bróździła!... — zawołał stróż, wymiatając siłą psa za bramę.

Norma wpadła teraz, pomieszana, do jakiegoś zajazdu, którego brama narozcież była otwarta, ponieważ właśnie zajeżdżała tam bryczka z gościem. Służący hotelowi już jej nie wygnali, mniemano, że pies przyszedł za bryczką, że należy do przybyłego gościa. A gość wysiadł z bryczki i szedł pod numer, który mu wskazano. Norma poszła za nim i w ciemnym korytarzu legła pod drzwiami, w których gość ów zniknął. Czuła brak sił w sobie; nie mogła już ani stać, ani chodzić. Po niejakim czasie skrobnęła we drzwi łapą, wydając przytem z siebie jękliwy głos niepokoju. Gość drzwi otworzył; miał twarz jakąś rumianą, wąsatą, sympatyczną. Kiedy spojrzał na psa, pies przyjacielsko, choć słabo, merdnął ogonem.

— Na tu, piesku! — zawołał człowiek i wpuścił psa pod swój numer wewnątrz. Norma zaledwie mogła przez próg się przewlec; weszła do izby, a sympatyczny człowiek rzucił jej jakieś resztki chleba i kiełbasy, któremi się właśnie raczył po odbytej podróży. Z chciwością i wielką żarłocznością rzuciła się psia-matka na te specjały, ale szczęki i zęby snadź już jej wypowiadały posłuszeństwo, bo jeść nie mogła, a pochwycony w usta pokarm wypadał jej z ust na ziemię. Popatrzyła na żywność, spojrzała gościowi w oczy z jakąś żałością, zachwiała się całem ciałem i upadła na ziemię.

Nadchodziła dla Normy ostatnia chwila życia... Przypomniały jej się teraz oto drobne dzieci, które zostawiła pod płotem bez żadnej opieki, głodne. I ścisnęło się okrutnie serce matki; wydała jęk cichy najpierw, jak gdyby smutne westchnienie, potem podniosła nieco głowę i głosem jakimś rozbitym, urywanym zawyła tak przeraźliwie smutno, że głos ten przestraszył gościa. Zadzwonił przeto ów człowiek, a kiedy przyzwał numerowego, rzekł:

— Zabierzcież mi stąd to zwierzę! Co za nieporządek w hotelu! Psy wałęsają się i niepokoją gości.

Na te słowa numerowy kopnął potężnie Normę, ale ona się nie podniosła, nie jęknęła. Służący przyniósł szczotkę do zamiatania i począł nią bić psa, wypędzając z izby. Uderzył kilkakrotnie, ale pies zdawał się być nieczułym na odbierane ciosy. Pochwycił więc numerowy Normę za ogon i wywlókł ją na korytarz; potem przyzwał stróża i polecił mu psa-przybłędę znowu wywlec na śmietnik. Teraz spokojnie, na tyłach stajen, na kupie śmieci, leżała bezwładna Norma; oczy mgła jej powlokła, z ust toczyła się piana... Kończyła życie, mając przed oczami obraz dzieci, zostawionych bez opieki pod płotem ogrodu.

Ze stajen dolatywały głosy ludzkie, słychać było, jak konie żują owies, chrzęszczą łańcuszkami uzd; z za parkanu rozlegało się oszczekiwanie psów, swawolących po trawnikach. Z wnętrza śmietnika powyłaziły szare szczury; ostrożnie zbliżały się do konającej Normy, szybko poruszając wąsami i topiąc w niej swe małe, przenikliwe oczka...

Spojrzała ostatni raz w jasne słońce, drgnęła, i szczury znikły w kryjówkach. Po chwili ukazała się na śmietniku wielka liczba szczurów; wszystkie szły śmiało do Normy, która już nie żyła.

A. Dygasiński.

36. Wesele krakowskie.

Już wonny wieczór uśmiechał się ziemi,
Gdy wracał Wiesław z końmi kupionemi.
Z przydrożnej wioski rozlega się granie,
Słychać wesołe pląsy i śpiewanie.
Parskając, konie biegną po gościńcu,
Widać dziewoje przy rucianym wieńcu,
Biją drużbowie w podkówki ze stali;
A gdy wędrowca mile powitali,
Tak rzekł starosta, zarządca wesela:
„Dobrze to w każdym zyskać przyjaciela.
Witajcież do nas, wy z proszowskiej ziemi!
Nie chciejcie gardzić dary ubogiemi.
Pożyjcie z nami, czem tu gospodarzy
Wdzięczna prac rola i dobry Bóg darzy.
Napatrzycie się krakowskim dziewojom,
Wymyślnym tańcom i przecudnym strojom;
Wreszcie i w tany sunąć nie zaszkodzi,
Bo, choć strudzeni, widzę, żeście młodzi."

Na to Halina przystępuje młoda,
W całem weselu najpierwsza uroda;
Wstydzi się, wstydzi, jednak przed nim staje,
Ciasto z koszyka i owoc podaje:
„Obcy wędrowcze! jużci przyjąć trzeba
Naszych owoców i naszego chleba!"
A przytem uśmiech jakowyś uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy
I zwrócił tyle, że odtąd jedynie
Okiem i duszą został przy Halinie.

Wchodzi do izby na wesołe tany,
Z kubkiem od drużbów Wiesław powitany;
Potem starosta, zarządca wesela,
W te słowa drużbom porady udziela:
„Jużci pierwszeństwo zostawcie obcemu,
Niech idzie w tany, niech też po swojemu
Skrzypkom zanuci, dziewoję wybierze:
Bo z obcym trzeba uczciwie i szczerze.“

I wybrał druchnę, której wdzięk uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy.
Naprzód wychodzi, przed muzyką staje,
Halina w pląsach rękę mu podaje;
Za nim się wkoło młodzieńcy zebrali,
Nucą i biją w podkówki ze stali;
Wiesław się za pas ujął ręką prawą,
Zagasił wszystkich poważną postawą,
W skrzypce i basy sypnął grosza hojnie,
Ojcom za stołem skłonił się przystojnie.
Halina pląsa z miną uroczystą,
Oburącz szatę ująwszy kwiecistą,
On tupnął, głowę nachylił ku ziemi
I zaczął nucić słowy takowemi:

„Niechże ja lepiej nie żyję,
Dziewczę! skarby moje!
Jeśli kiedy oczka czyje
Milsze mi nad twoje.
Patrzajże mi prosto w oczy,
Bo widzi Bóg w niebie,
Że mi ledwo nie wyskoczy
Serduszko do ciebie!“

Bierze Halinę i tak wokoło,
Przodkując drużbom, tańczy wesoło;
A gdy ku skrzypkom znowu powróci,
Staje i w pląsach tak dalej nuci:

„Czemuż ja w proszowskiej ziemi
Małe zaznał dziecię[1]),
Byłbym między krakowskiemi
Najszczęśliwszy w świecie,
Krew, nie woda, ludźmi włada,
Bo któż sercem rządzi?
Człowiek pragnie i układa,
A wszystko Bóg sądzi.“

[1]) t. j. poznał małą Bronikę, z którą go swatają.

Halina w pląsach przed nim ucieka,
On, w ręce plaszcząc, goni zdaleka;
A gdy dogoni, z ujętą wróci,
Staje i w pląsach tak dalej nuci:

„Nie uciekaj, ptaszku luby,
Moje sto tysięcy!
Dogonię ja mojej zguby
I nie puszczę więcej.
Krąży słowik w szumnym lesie,
Gałązek się czepia,
Aż, dognany, piórka niesie,
Gniazdeczko ulepia.“

Sam teraz w pląsach przed druchną stroni,
A ona za nim poskocznie goni,
I, dogoniony, gdy znowu wróci,
Staje i w pląsach tak przed nią nuci:

„Gospodarzu, nie dasz wiary,
Jak konie opłacę;
Wydałem ja twe talary,
Moje serce stracę.
Grajcie, skrzypki! bo się smucę
W opłakanym stanie.
Z konikami ja powrócę,
Serce się zostanie.“

Dłoń mu podała, a on wokoło,
Przodkując drużbom, tańczy wesoło,
A gdy do nowej piosenki stanie,
Skrzypek drzemiący zakończył granie.

Na to Halina, zapłoniona cała,
Między teścine za stół uciekała;
Wiesław staroście i matkom się kłania;
Słychać wokoło pokątne szemrania.
Długo się Wiesław gościnnie weselił,
Już się też dzionek nad górami bielił;
Pożegnał wszystkich w zasmuconym stanie,
Wciąż mając w uszach i śpiewy, i granie,
W sercu niepokój, a myśli jedynie
Krążą niewolne przy pięknej Halinie.

K. Brodziński.

37. Anielka i Magda.

Wtem z odległości kilkudziesięciu kroków doleciał Anielkę cienki głosik dziecięcy:

— „Malu! malu! maluśki!...," któremu odpowiedziało wesołe chrząkanie prosięcia.

Karusek podniósł uszy. Anielka, zapomniawszy o swych medytacjach, jednym skokiem stanęła na ławce i rozejrzała się.

Za ogrodzeniem parku ciągnął się gościniec do miasteczka. Zdaleka widać było furę, otoczoną tumanem kurzu, w którego kłębach iskrzyły się promienie słońca. Bliżej szło dwóch ubogich Żydków. Jeden niósł jakiś duży przedmiot w szarej płachcie, drugi, kiwające się buty na lasce. Jeszcze bliżej, między konarami drzew i dygoczącemi liśćmi, tuż naprzeciw białych kominów dworu, stała chata włościanina Gajdy, a przy niej dziewczynka w grubej koszuli.

Siedziała ona na ziemi i okruchami chleba karmiła spore prosiątko. Potem wzięła ciągle chrząkające prosię na kolana i bawiła się niem, jak pieskiem.

Na Anielkę szczególna ta grupa wywierała taki wpływ, jak żelazo na magnes. Zeskoczyła z ławki, zeszła ze wzgórka, ale po chwili — zatrzymała się.

Gajdy, właściciela chaty, bardzo nie lubił ojciec Anielki.

Wieśniak ten był niegdyś jego parobkiem i mieszkał w domu, którego później stał się posiadaczem, nieprawnym, jak mówił ojciec. Za to nie brano go nigdy na robotę do dworu, a że Gajda miał mało gruntu, więc często na gruntach swego niegdyś chlebodawcy dopuszczał się nadużyć.

Od kilkunastu lat ojciec Anielki i Gajda pasowali się z sobą.

Zniecierpliwiony dziedzic chciał już kupić grunt Gajdy, byle pozbyć się niewygodnego sąsiada, ale wieśniak ani słuchał podobnych propozycyj. Nie było prawie miesiąca, żeby Gajdzie nie zajęto krowy, konia albo świni z dworu. On wówczas chodził ze skargą do gminy, odbierał bydlę na mocy wyroku, albo wykupywał je. Dziedzic mówił, że Gajda płacił pieniędzmi, wziętemi za drzewo, kradzione w dworskich lasach.

Anielka wiele słyszała o tych stosunkach (bo o czem nie słyszała?), bała się Gajdy i nie lubiła jego chaty. Mimo to pociągał ją widok dziewczyny, bawiącej się pogardzanem przez wszystkich prosiątkiem. Zdawało się Anielce, że dziecko musi być biedne i dobre, a zresztą — coś ciągnęło ją tam...

Odgarniając gałęzie krzaków, Anielka powoli zbliżyła się do płotu, zbudowanego nakształt palisady. Był on stary, obrosły ciemno-zielonym mchem i popielatym, łatwo rozcierającym się w palcach porostem. Co kilkanaście kroków stały tęgie, zaostrzone słupy, utrzymujące zapomocą długich, poziomych ramion rzędy również ostro zakończonych łat, które, zmęczone długoletnią służbą, całym ciężarem chyliły się naprzód albo wywracały w tył. Gdzie niegdzie brakło już łat; w innych miejscach jaśniejszy kolor i mniej staranne obrobienie zdawały się opowiadać, że płot naprawiano w nowszych czasach, ale już z mniejszym nakładem.

Zapominając o swych trzynastu latach i stanowisku dziedziczki, Anielka przez jeden z szerszych otworów wydostała się na gościniec i podeszła do dziewczyny w grubej koszuli. Ubogie dziecko w pierwszej chwili przestraszyło się ładnie ubranej panienki ze dworu. Otworzyło szeroko usta i podniosło się z ziemi, jakby chcąc uciekać. Wtedy Anielka wydobyła sucharek z kieszeni i, ukazując go dziewczynce, zawołała:

— Nie bój się mnie! Ja ci przecież nic złego nie zrobię. Widzisz oto, com dla ciebie przyniosła! Pokosztuj-no!

I włożyła dziecku do ust kawałek olukrowanego ciasta. Dziewczyna nie spuszczała z Anielki zdziwionych oczu.

— Masz jeszcze. Smakuje ci? co?...

— Dobre! — odpowiedziało dziecko.

Anielka usiadła na przewróconym pniu, obok niej przykucnęła na piasku dziewczyna.

— Jak ci na imię? — spytała, głaszcząc ją po tłustych, jasno-żółtawych włosach.

— Magda.

— Masz, Magdziu, jedz jeszcze sucharek. A to prosię czy twoje? — dodała, patrząc na prosiaka, którego Karuś chciał za ogon chwytać i który odwrócił się do niego ryjem, pokwikując w sposób, okazujący mało ufności.

— Tatulowe — odparła już nieco ośmielona dziewczyna. — Żeby go choć pies nie zagryzł...

— Karusek, do nogi!... To ty zawsze bawisz się z prosiątkiem?

— A jużci. Jałośka już urosła, a Kaśka tego roku umarła... Malu! malu!... I on woli być ze mną, bo także nie ma z kim chodzić. Maciorę dziedzic kazali zastrzelić, a drobiazg tatulo sprzedali. Ino ten ostał.

— A za co maciorę zastrzelili?

— Bo ją zdybał dziedzic w szkodzie.

— Wyście tylko jedną mieli?

— A skądby więcej? Tatulo przecie chłop, to u nas dobytku nie może być wiele...

To mówiąc, głaskała prosiaka, który położył się obok niej.

— I bardzo ci było żal maciory?

— O i jak! a jeszcze lepiej, kiej mnie tatuś zbili.

— Zbił cię?

— I nie tak zbili, ino mnie wzięli za łeb i kopnęli parę razy nogą.

Dziecko opowiadało to bardzo spokojnie. Anielka aż pobladła. Zdawało jej się, że Karusek został zabity i że ją samą skatowano tak okrutnie.

Uczuła potrzebę wynagrodzenia tylu krzywd biednej; ale czem? Gdyby miała majątek, podarowałaby jej maciorę, sprawiła piękną sukienkę, lecz dziś — cóż jej da?

Wtedy spostrzegła, że Magda pilnie przypatruje się szafirowej wstążeczce, którą miała na szyi. Nie namyślając się więc, zdjęła szybko wstążkę i zawiązała ją przy koszuli małej.

— Teraz będziesz ubrana tak, jak ja — rzekła.

Magda roześmiała się na cały głos, wyobrażając sobie, że już posiada nie tylko szafirową wstążkę, lecz i różową sukienkę, białe pończochy i wysokie buciki.

— A to jeszcze sobie zjedz — mówiła Anielka, dając jej drugi sucharek.

— Zjem aż jutro, bo to słodkie.

— A za to, że cię zbili...

Ucałowała ją.

Pocałunek przecie, który Anielka uważała za najwyższą nagrodę, najmniej oddziałał na Magdę. Ściskała ona sucharek i co chwila spoglądała na szafirową wstążkę, myśląc, że jest całkiem podobna do wielkiej damy.

Tymczasem na zakręcie drogi rozległ się turkot i podniósł obłok kurzu. Elegancki koczyk nadjeżdżał pędem. Nim Anielka zorjentowała się, co to może znaczyć, kocz stanął naprzeciwko chaty.

— Ojczulku! — zawołała Anielka, biegnąc do powozu. Ale ojciec spostrzegł ją pierwej jeszcze i dlatego nie pocałował jej, tylko zawołał surowo:

— Panna Aniela na gościńcu!... Winszuję... Co ty tu robisz?...

Anielka przestraszona milczała.

— Piękny masz dozór... wybornie postępujesz... niema co mówić! Biegasz po trakcie i tarzasz się w piasku z jakimś brudnym bachorem i prosięciem!... Proszę iść do domu. Wrócę tam zaraz, a wtedy rozmówimy się. Nie przypuszczałem nigdy, ażebyś mogła tak ciężko zmartwić ojca!

Na dany znak powóz ruszył, zostawiając Anielkę, osłupiałą ze strachu.

„Rozmówimy się!“ O Boże, co to znaczy?

Magda uciekła aż do progu chaty, niespokojnie patrząc na oddalający się powóz, za którym pogonił Karusek. Anielka odwróciła się do niej i skinęła na pożegnanie ręką.

— Bądź zdrowa, Magdziu! — rzekła. — Pewnie będę miała duży kłopot za to, żem tu przyszła.

Podbiegła do otworu w płocie i za chwilę zniknęła w gąszczu. Za nią popędził Karusek, a za nimi obojgiem — Magda.

Rozumiała ona, co znaczy: duży kłopot, i rada była przynajmniej dowiedzieć się o przyszłych losach nowej przyjaciółki. Zbliżyła się ostrożnie do płotu i, położywszy palec na ustach, to nasłuchiwała, to zaglądała do ogrodu. Ale na wejście tam zabrakło jej odwagi...

W parę godzin później doniesiono ojcu Anielki, że przybył Gajda wykupić zajęte z pszenicy dworskiej konie. Dziedzic wyszedł na ganek i zastał tam Anielkę, z obawą i ciekawością przypatrującą się olbrzymiemu wieśniakowi, którego twarz była raczej zakłopotana, niż groźna.

— Cóż? — zaczął pan Jan. — Znowu twoim koniom podobała się moja pszenica?

— Zara, jaśnie panie, ja powiem od początku prawdę — rzekł chłop, pochylając się ku ziemi. — Jak słonko wzeszło, kazałem mojej dziewusze popaść koniska nade drogą, tu, gdzie ugór. A te hycle wzięły, zawróciły i poszły w pszenicę. Może nie uszczypały jednej trawki, kiej przyszedł fornal i zajął je. Tak było, żebym skonania nie doczekał!

Chłop stał, trzymając czapkę w obu rękach, ale śmiało patrząc w oczy dziedzicowi, który uśmiechał się drwiąco.

— No — rzekł dziedzic — słyszałem, że już nie będziecie układali się o zniesienie serwitutów.

Gajda podrapał się za ucho.

— Gospodarze mówią, że za taką rzecz warcibyśmy od jaśnie dziedzica chociaż po pięć morgów na osadę — odparł.

— Ja myślę, żebyście i wszystko wzięli, gdyby wam tak dać?...

— Jakby jaśnie dziedzic zechciał dać, tobyśwa wzięli.

— No, ja będę lepszy i nie chcę od ciebie wszystkiego. Dasz tylko trzy ruble fornalowi, który konie zajął.

— O lo Boga! aż trzy ruble?... — krzyknął chłop.

— Więc idź do sądu! — rzekł dziedzic.

— Panie! a jakże mi iść do sądu, kiej mnie Żydy zgodziły do miasta, żebym zara jechał. Niech się pan zmiłuje i opuści!

— Słuchajno, a czy ty, co chcesz pięć morgów za serwituty, opuściłbyś mi co?

Chłop milczał.

— No, powiedzże, zmiłowałbyś się i opuściłbyś?

— Ja tam nie chcę nic, ino żeby tak było, jak jest!

— Więc tobie lepiej z tem, jak jest?

— Juźci lepiej. Niewiele nam z tego przychodzi, ale zawdy i opału trocha jest, i bydlę przeżyje latem. No, a przecie nic się z tego nikomu nie płaci, a ze swego, to imby więcej było, tem więcej szłoby pieniędzy do gminy.

— Widzisz, jak ty dobrze rozumiesz swoje interesy! Pozwól mi więc, abym i ja swoje rozumiał, i daj dla fornala trzy ruble, jeżeli ci koni potrzeba.

— To już takie pańskie ostatnie słowo? — pytał Gajda.

— Ostatnie. Kto wie, czy od dziś za rok nie będzie tu gospodarował Niemiec, który was za szkody ofantuje do ostatniej kuszuli.

Gajda sięgnął za pazuchę i drżącemi rękami wydobył skórzany woreczek.

— Ha! niechże tam będzie i Niemiec. Już mnie i jaśnie dziedzic do ostatniej koszuli rozebrał. Ma pan! — dodał, kładąc trzy ruble na ławce. — Przynajmniej za to mojej dziewusze kości porachuję, żeby pamiętała...

— Oj, to, to! rachuj a dobrze, żeby wiedziała, jak cudze szanować trzeba — rzekł dziedzic, śmiejąc się. Potem zawołał fornala, który konie zajął, oddał mu trzy ruble, kazał konie wypuścić, a sam wrócił do pokoju.

Kiedy znikł we drzwiach, Gajda pogroził za nim pięścią. Teraz patrząca ciągle Anielka zobaczyła, że człowiek ten ma twarz straszną.

— Porachuję kości mojej dziewusze!... — powtórzyła Anielka i dreszcz ją przebiegł! — Biedna Magdzia!

Myśląc o losie Magdy, nie mogła się uspokoić. Chciała ją ratować, ale jak?

Pomoc matki nie na wiele się przyda, bo matka w tej chwili nie miała trzech rubli, któreby należało zwrócić Gajdzie w celu ułagodzenia go. Możeby pójść do ojca?

Przypomniała sobie ostatnie słowa ojca, który zachęcał Gajdę do bicia dziewczyny, i przestała myśleć o tym środku. Instynkt ostrzegał ją, że ojciec śmiać się tylko będzie z jej współczucia.

Na prawo od ganku, za inspektami, leżały budowle gospodarskie: stodoły, obory i stajnie. Tam poszedł Gajda z fornalem po swoje konie. Za parę minut wróci do domu i zacznie

bić Magdę. Co ona myśli w tej chwili? Anielka okrążyła dwór, skręciła na lewo za inspekty i pobiegła do płotu, ciągnącego się naprzeciw stajni aż do gościńca. Tu zatrzymała się, czekając na Gajdę, równie zatrwożona mającą nastąpić z nim rozmową, jak losem Magdy, jak wreszcie i tem, ażeby jej samej nie spostrzegł ojciec.

Usłyszała powolny tętent kopyt i ciężkie kroki chłopa.

I w tej części płotu jedna ze sztachet była złamana. Anielka odsunęła ją, przeszła rów pełen pokrzyw, które jej ręce i nogi poparzyły, i zabiegła drogę Gajdzie. Urodzona do rozkazywania, szła prosić. Chłop, ujrzawszy ją, zatrzymał się i popatrzył ponuro na zbladłą twarz i bojaźliwe, szafirowe oczy pańskiego dziecka.

— Gospodarzu!... — rzekła Anielka ledwie dosłyszalnym głosem.

— Czego? — spytał krótko.

— Gospodarzu, prawda, że wy nie będziecie bili Magdy?

Chłop aż się cofnął.

— Posłuchajcie mnie, proszę was!... Ona taka mała, czy mogła zatrzymać takie wielkie konie?... Ona jest taka... o... mnie po ramię... Widzieliście jej ręce? Cóż ona poradzić mogła koniom takiemi rękami? I pewnie bała się ich jeszcze... Ja, gdyby mi koń uciekł, płakałabym tylko... Ona może goniła je, ale... gdyby ją który uderzył kopytem, pewnieby ją zabił.

Na twarzy chłopa malowało się zdziwienie, graniczące z przestrachem. Z oczu, głosu, każdego ruchu Anielki biła taka potęga uczucia, że groźny olbrzym widział się wobec niej małym.

— O, nie bijcie jej! — mówiła Anielka, składając ręce. — Wy jesteście tacy silni, a ona taka słaba. Gdybyście ją mocniej schwycili, moglibyście udusić... Żebyście wiedzieli, jak ona boi się teraz! Pewnie siedzi w oknie i słucha, czy nie nadchodzicie... Musi płakać i trząść się... bo cóż ona poradzi?... Konie zawiniły, a ją bić mają. Za co?

— Anielko! Anielko!... — odezwał się z ogrodu wątły głos panny Walentyny.

Anielka na chwilę umilkła. Z rozpaczą niemal obejrzała się dokoła, a potem, jakby szczęśliwą myślą natchniona, szybkim ruchem wydobyła z poza gorsu złoty medaljonik i zdjęła go z szyi.

— Patrzcie, Gajdo... Ta Matka Boska jest złota i poświęcona w Rzymie. Dostałam ją od mamy. Kosztuje bardzo dużo, więcej niż trzy ruble... Dała mi ją mama i kazała przez całe życie nosić... Ale macie ją, byleście nic złego nie robili Magdzie!...

Dziewczynka, trzymająca taką świętość w ręku, wzrosła w oczach chłopa do znaczenia księdza, trzymającego hostję. Zdjął czapkę i bardzo wzruszony przemówił:

— Schowaj se panienka ten obrazik przenajświętszy. Ja tam nie Żyd, żebym takiemi rzeczami handlował.

— Anielko! Anielko! — wołała panna Walentyna.

— A będziecie bili Magdę?

— Nie.

— Z pewnością nie?

— Niech mnie Bóg broni!... — rzekł, uderzając się w piersi.

— I nigdy?

— Już nigdy nie będę bił małych dzieci, boby chyba Pan Bóg jaką karę na mnie zesłał...

— Anielko! Anielko!

— No, to bądźcie zdrowi!... Dziękuję wam — I, cofając się do płotu, przesłała mu pocałunek ręką.

Chłop stał, patrzał na nią i słuchał ostatniego szelestu. Potem przeżegnał się i zaczął pacierz mówić. Chwila ta cofnęła go we wspomnieniach aż do pierwszej spowiedzi. Serce mu prędko biło. Gdyby widział cud, nie byłby więcej zmieszany. Potem zaczął iść wolno ze spuszczoną głową i znikł na zakręcie, trzymając wciąż czapkę w ręku.

Bolesław Prus.

38. Dziewczyna.

Oj, wesołaż ja dziewczyna,
Wszystko mi się śmieje.
Dla mnie kwieci się dolina,
Dla mnie wietrzyk wieje;
Dla mnie wschodzą ranne zorze
I wieczorne gwiazdki,
Dla mnie dałeś wszystko, Boże,
Na piosnki, powiastki,
Bo i któżby myślał w świecie
Przy tym niepokoju
O powoju, co się plecie
Po krzakach, przy zdroju,
I o lichej tej ptaszynie,
Co w wieczornym chłodzie
Śpiewa sobie na kalinie
W matuli ogrodzie.
Już ja o tem myśleć muszę,

To mój kłopot cały,
Żeby w letnią, skwarną suszę
Kwiatki nie zwiędniały;
Żeby chłopcy nie wybrali
Małych ptasząt z gniazdka;
Zdrój oczyszczam, żeby w fali
Przejrzała się gwiazdka;
Za to od lilii, ruty
Kwiatki mam dla siebie,
A ptaszek mnie uczy nuty
Do pieśni o niebie.
Od zdroju mam orzeźwienie,
Tę świętość poranka,
A z gwiazd lecą mi promienie,
Jakby srebrna tkanka.
I tak dobrze, tak mi lekko
U matki jedynej,
Że i nie wiem, jak tam cieką
Lata, dni, godziny.
Czasem tylko, gdy do chatki
Zła wieść zakołacze,
To na łonie mojej matki
Żal nad ludźmi spłaczę.
Bo, chociaż ja tak wesoła,
Taka śmieszka psotna,
Lecz i najsmutniejsza z sioła,
I często samotna.
Lada co to mnie ucieszy,
Lada co zasmuci;
Czasem mała rzecz rozśmieszy,
Mała rzecz zakłóci.
Teraz to mniej śpiewam sobie,
Mniej skaczę, jak dziecię;
Od czasu, jak brat mój w grobie,
Smutniej mi na świecie.

T. Lenartowicz.

39. Połów ryb.

Obie łodzie stanęły teraz jedna przy drugiej, utwierdziły się mocno na kotwicach przy brzegu, a czterej rybacy zgodnym wysiłkiem obu korb przyciągali szybko matnię, widoczną już nie tylko z powodu pławek. Razem z pławkami zbliżał się pas wody wzburzony, jakby miał zaraz zakipieć: to z głębi

jeziora szedł na powierzchnię dreszcz od miotania się ryb, ujętych w matnię.

— Dużo tego musi być, ale zapewne drobiazgu — rzekł Kazimierz — nie widać podskoków grubej ryby.

Jakby w odpowiedzi na tę wątpliwość rzucił się w tej chwili duży szczupak, ukazując aż nad powierzchnią czarnosrebrny skręt śliskiego ciała. Chciał, widać, przeskoczyć przez górny kraj matni, ale opadł z wielkim pluskiem przed matnią.

— Nie ujdziesz, złodzieju! — zawołał Zumbakis.

Oczy starego Litwina, spokojne dotąd, jak jezioro, zaczęły błyskać, twarz mu się ożywiła chciwą zaciętością łowca, a wargi wydłużyły się pożądliwie. Inny młody rybak, płowy, jak len, otwierał nadmiernie usta i powzdychiwał drapieżnie. Wszyscy zresztą, na łodziach i na lądzie, pochłonięci byli przez mniej lub więcej namiętne oczekiwanie.

Sieć, już bliska, gotowała się bałwanem. Podpierali rybacy już rękami jej boki obmokłe, srebrzone gęsto uwięzłym w okach drobiazgiem wodnym: płocicą, kiełbiem, kolczastą stynką, smaczną, choć małą okleją, splamione tu i owdzie przez czarnego raka, trzaskającego konwulsyjnie ogonem o pancerz. Podbierali uważnie i przebiegle dolny kraj sieci, czyniąc z niej powoli wielki wór, pełen dobytku. Podnieśli go nareszcie nad wodę między dwoma dziobami łodzi. Zakotłowało się w sieci, skłębiło, zachlupało rozpaczliwie i rozgłośnie.

— Pokazać!... Pokazać grubą rybę! — wołał pan Apolinary do rybaków, którzy jęli koszami czerpać ryby z sieci i rzucać je w łodzie na dno, po otworzeniu środkowych pomostów.

Były skrzelowatego rodzaju niezliczone odmiany: ciemne leszcze, ościste okunie, okrągłe i śliskie piskorze, płaskie karasie i rozmaitych rozmiarów zbóje wodne: szczupaki. Jednego z tych, herszta, chcieli rybacy okazać triumfalnie; więc młody chłop zstąpił do wody, pochylił się nad siecią i całym wysiłkiem tęgich ramion wychwycił oburącz z kłębowiska ogromne cielsko szczupaka. Ważył zapewne ze trzydzieści funtów. Ale gdy go tak zdławionego podniósł do góry wśród aprobacyjnego szmeru zgromadzonych, chytry litewski rekin, udający omdlałego, skurczył się błyskawicznie w pierścień i runął w wodę. Na szczęście, chytrzejsi litewscy rybacy podnieśli uprzednio wysoko brzegi sieci naokoło, i ogromny szczupak znalazł się napowrót w matni.

Ale rybak, który go trzymał przed chwilą, podniósł dłoń do ust, potem ją oglądał i mruczał ponuro:

— Ot, pies jaki!

— Ukąsiła go bestja! — zawołał z brzegu pan Apolinary.

Aldona wyjęła z kieszeni chusteczkę i podała ją do obwiązania ręki młodemu rybakowi. Ten przyszedł do niej, brodząc po wodzie, skłonił się wdzięcznie, przyjął chustkę, owinął nią zakrwawioną rękę i powrócił do roboty. Potem wyjął nóż z kieszeni, narychtował, a schyliwszy się szybko nad siecią, zgnął mściwie nieprzyjaciela pod ziejące, krwawe skrzele.

Ubezwładnionego potwora wrzucono do łodzi, a za nim sypało się przeróżnej zdobyczy koszów jakoby trzydzieści.

Dopisało „szczęście gości".

Józef Weyssenhoff.

40. Wioska.

Sukmanką śniegów otulona,
Wieczorne piosnki wioska śpiewa...
Hen! na zachodzie dzionek kona,
Nadchodzi nocka czarnobrewa...
Miesiąc czarownym blaskiem zlewa
Wierzchołki wzgórz...
Cisza... Okiścią prószą drzewa...
Hen! na zachodzie dzionek kona...
Sukmanką śniegów otulona
Wieczorny pacierz wioska śpiewa
Na Anioł Stróż!

Cisza... Do snu się kładą echa...
Dokoła nocka ugwiażdżona,
Gdzie niegdzie światłem błyśnie strzecha...
Sukmaną śniegów otulona,
Zasypia wioska u wygona,
Za zrębem wzgórz...

Cisza... Krzyż rozpiął swe ramiona,
Patrzy... i z wyżyn się uśmiecha!
Do snu się kładą wszystkie echa...
I Anioł Stróż!

K. Laskowski (El).

41. W zagrodzie litewskiej.

Pięknie jeszcze było w okolicy Rarogów, chociaż poranki srebrzyły się już szronami, a pola pożęte zbladły nieco i zasnuły się opalową pajęczyną „babiego lata". Opodal od pałacu, ku lasom, po kraju, niby dla zabawy oka uprawionym tu i owdzie, mozajka pól coraz częściej plamiła się wydłużonym

prostokątem ciemno-rudej roli, świeżo zoranej, i można było schwytać na tym pracowitym uczynku szarego oracza, pełznącego, jak przemyślny robak, za konikiem bułanym, za sochą swą, starożytnego, rzymskiego kroju. Pod cichem, jeszcze wesołem niebem działy się wysoko przeglądy wojsk skrzydlatych przed zamorską wyprawą: uszykowane w ostry grot, śmigały kaczki po linji prostej; ważyły się w powietrzu bociany powolną zawieruchą wielkich krzyżów.

Wioska rozdwojonym różańcem chat okrywała grzbiet wzgórza, przewita, jakby na święto, zielenią z czerwonemi gronami jarzębin. Na podwórku, między największą we wsi chatą a kolumnowym świrnem, stał powozik dworski wyprzężony; konie w szorach, ale rozkiełznane, wyciągały wybrednie słodkie główki koniczyny ze sporej więzi, ofiarowanej im na podmurowaniu świrna, między drewnianemi słupami, gdzie i woźnica, leniwie zapatrzony na piękną chatę, siedział, przegryzając poczęstunek chłopskiego bogacza, Jusupa Żukielisa.

Wybitny ten ziemianin zaprosił panią Krystynę, powracającą z lasu, na podwieczorek. Apetyt młodej pani, choć podniecony przechadzką, zbieraniem grzybów i owoców, nie starczył na wyczerpanie piastowskiej iście uczty, zastawionej na stole, dosuniętym do okna. Przy stole siedziała Krystyna i panna Zubowska, na ławie pod ścianą Jusupas Żukielis i leśnik Sidorkiewicz. Usługiwały żona i najmłodsza córka gospodarza.

Pomimo usiłowań Krystyny, aby ożywić rozmowę, biesiada była uroczysta i upływała przeważnie w milczeniu. Żukielis rozumiał zaledwie po polsku, a pani Krystyna nie mówiła płynnie po litewsku; przy rzadkiej wymianie zdań Sidorkiewicz, człek dworski, przychodził z pomocą, jako tłumacz. Gospodarz, bokiem do zastawionego stołu, siedział na ławie, oparty plecami o ścianę, a poważną, nieruchomą twarzą zwrócony ku izbie. Od łysego szczytu czaszki spływały bezbarwne włosy symetrycznie dwoma strumieniami na kołnierz ciemnej, sztywnej kapoty. Nie jadł nic, popijał tylko czasem herbatę ze szklanki, postawionej na brzegu stołu, i przegryzał cukrem, jakby na znak, że bierze udział w uczcie: ale głównem jego zajęciem był patrjarchalny, baczny przegląd, jak się odbywa porządek ugoszczenia.

Świetlica chaty, wymieciona wzorowo, była zupełnie przyjemnym pokojem. Obrazy święte pokrywały ściany, zegar bijący, skrzynie rzeźbione, ławy i krzesła miały swą treść estetyczną, a oszklona szafa, pełna malowanych farfurów, znęciłaby do bliższego ich przejrzenia etnografa i starożytnika. Żukielis nie zwracał uwagi na te urządzenia stałe, lecz na okazanie

gościom, że chata im rada wspaniale. Więc jednocześnie prawie kobiety domowe postawiły na stole zupę z zabielanej boćwiny, pachnącą dymem wędzonki, i cały stos pieczonych kurcząt, i misę ogórków, i plastr miodu, spływający wonną patoką na mosiężną misę. Stanął na osobnym stole lśniący samowar wśród mnóstwa szklanych talerzyków, na których rozłożono konfitury z wisien, z malin, z ożyn, z czarnej porzeczki, z tataraku... Ukazywały się jeszcze sery tłuste, jedne zachowujące kształt spłaszczonego worka, inne lepione w gomółki; wędliny suche, streszczone w smaku; dzban chlebowego kwasu... Nadciągały dostatki, przerażające, gdyby ich wszystkich choć spróbować należało. Ale stary Żukiel nie przymuszał gości do jedzenia, nie zapraszał nawet. Tylko kiedy Krystyna dobierała czegoś na talerz, skłaniał wdzięcznie głowę i przymilał do niej swe spojrzenie.

— Ot i pięknie...

Panna Zubowska fachowy uczyniła przegląd konfitur, próbując i chwaląc każdy gatunek. Sidorkiewicz jadł nieco wstydliwie, odsunąwszy się w kąt izby, ustawiwszy na ławie pełny talerz i kubek z kwasem. Żukielis podał mu całą misę wędliny.

— A mnie cóż? dziękuję wam, dosyć.

— Bierz dla dzieci.

— A kiedy już tak...

Przyjął „gościńca“ i zawinął w chustę.

Pani Krystyna, po spożyciu kurczęcia ze śmietaną i trzech ogórków z miodem, wstała żywo od stołu.

— Już nie mogę. Dziękuję wam serdecznie, sąsiedzie.

Powstał i Żukiel, skłonił się i poprosił panią, aby obejrzała sad.

Pod jabłoniami, już obranemi, albo jeszcze noszącemi na sobie ciemno lakierowany, twardy, na zimę przeznaczony owoc, stało ze czterdzieści uli ramowych, w kształcie małych domków, malowanych każdy inną barwą.

— Jakby maleńka wioska! — zawołała Krystyna. — Dlaczego to każdy ul innego koloru?

— Żeby się pszczoły nie myliły, kiedy wracają do domu — objaśnił Żukielis.

I zapraszał do wnętrza sadu dla okazania wewnętrznych urządzeń uli. Ale Krystyna wolała pozostać na podwórku i patrzeć przez płot, jak Żukiel odchylał daszki i okazywał ramy, pełne przezroczystego złota, inne ciemniejsze, zamieszkałe już przez owady. Pszczoły krążyły czarną aureolą około głowy jego odkrytej.

— Nie boi się ukąszenia — rzekła Krystyna do Sidorkiewicza.

— Wiadomo, takiego czarownika żadna nie ukąsi!

Dobry czarownik zbliżył się do płotu, przy którym stała Krystyna, miał do niej dość długą przemowę po litewsku, a kończąc, skłonił się nisko, czyniąc widocznie jakąś zaszczytną, czy poddańczą propozycję. Ale Krystyna zrozumiała tylko coś o pasiece, coś o szczęściu — i zwróciła się do Sidorkiewicza po tłumaczenie.

— To on grabinię chce przyjąć do „bitnikostwa“[1]) pasieki, żeby jemu szczęście przyniosłaśby.

— Niby jak? co mam odpowiedzieć?

— A już tak, że trzeba przyjąć.

— Przecie z tej pasieki musi być duży dochód?

Sidorkiewicz objął osadę pszczelną zamyślonem spojrzeniem:

— Musi będzie rubli trzysta... A taki jemu bitnika na szczęście trzeba.

Krystyna przyjęła zatem, ale znowu zapytała zaufanego leśnika, czy nie wypada wywdzięczyć się jaką ofiarą pieniężną.

— Uchowaj, Boże! Tożby jemu krzywda była. I nie dawaj, grabini, tutaj ani kopiejki, bo może gospodarz pogniewać się.

Po przeglądzie chaty i sadu okazał Żukielis wnętrze świrna, gdzie zgromadzony był zapas lnu z lat czterech w oczekiwaniu lepszej ceny. Len zajął Krystynę jeszcze żywiej, niż inne dostatki: brała w ręce szare pasma, porównywając, które włókno cieńsze, które lepiej czesane. Aż uśmiechnął się do niej Żukielis:

— Wiadomo, kobieca rzecz.

I jął wykładać o gatunkach płótna, wyrobionego w domu; odwinął rękaw kapoty do pokazania, jak przedniego gatunku nosi koszule, przypomniał obrus, zasłany do podwieczorku, wytoczył ze świrna ogromne zwoje gotowego materjału, a za sadem wskazał kilka długich, wąskich pasów, rzuconych, jak chodniki, na łące: tam wiatr bielił płótno.

Pożegnano się nareszcie, oświadczając wzajemne uszanowanie i przyjaźń. Gdy wsiadły obie panie do powozu, Sidorkiewicz umieścił tam dwa koszyki z grzybami i orzechami, plon wycieczki do lasu, a Żukielis uparł się, żeby panie zabrały ogromny plastr miodu w misie, owiniętej płótnem, niby zadatek dla

[1]) „Bitnikostwo“ oznacza wspólnictwo pasieki. Bartnik kowieński przybiera często wspólnika, na szczęście, zakładając pasiekę. Inną formą „bitnikostwa“ jest rzekoma darowizna połowy istniejącej już pasieki osobie, którą chce się uczcić. Taka ofiara ogranicza się do dowolnego podatku z pasieki, oddanego „bitnikowi“.

wspólniczki z pałacu. I Krystyna, obdarowana, wesoło rozrzewniona, oddalała się po ulicy wioski od pięknej chaty, od dobrych spojrzeń Żukiela i Sidorkiewicza.

Józef Weyssenhoff.

42. Żaby i ich króle.

Rzeczpospolita żabska wodami i lądem
Szerzyła się od wieków, a stała nierządem.
Tam każda obywatelka,
Mała czy wielka,
Gdzie chciała, mogła skakać,
Karmić się i ikrzyć[1]).
Ten zbytek swobód wkońcu zaczynał się przykrzyć.
Zauważyły, że sąsiednie państwa
Używają pod królmi rządnego poddaństwa:
Że lew panem czworonogów...
Orzeł nad ptaki...
U pszczół jest królowa ula;
A więc w krzyk do Jowisza[2]):
„Królu, ojcze bogów,
Dajże i nam, królu, króla!“
Powolny bóg wszechżabstwu na króla użycza
Małego, jak Łokietek, kija kijowicza.
Spadł kij i pluskiem wszemu obwieścił się błotu...
Struchlały żaby na ten majestat łoskotu.
Milczą dzień i noc, ledwie śmiejąc dychać.
Nazajutrz jedna drugiej pytają: „Co słychać?
Czy niema co od króla?“ Aż śmielsze i starsze
Ruszają przed oblicze stawić się monarsze.
Zrazu zdala, w bojaźni, by się nie narazić;
Potem, przemógłszy te strachy,
Brat za brat z królem biorą się pod pachy
I zaczynają na kark mu włazić.
„Tożto taki ma być król!... Najjaśniejszy Bela[3]),
Niewiele z niego będziem mieć wesela:
Król, co po karku bezkarnie go gładzim!
Niechaj nam abdykuje[4]) zaraz niedołęga!
Potrzebna nam jest władza, ale władza tęga!“

[1]) t. j. znosić ikrę, jajeczka.
[2]) Jowisz — naczelny bóg u starożytnych Rzymian.
[3]) Bela — belka, kłoda.
[4]) Abdykować — złożyć koronę i władzę królewską.

Bóg, gdy ta nowa skarga żab niebo przebija,
Zdegradował[1]) króla kija,
A zamianował węża królem żabim.
Ten pełzacz, pływacz i biegacz,
Podsłuchiwacz i dostrzegacz,
Wszędzie wziera: pod wodę, pod kamień, pod pnie,
Wszędzie szuka nadużyć i karze okropnie.
Arystokracja naprzód gryziona jest żabia,
Że się nadyma i zbyt się utłuszcza;
Gryziony potem chudy lud, że nie zarabia
I że się na dno biedy opuszcza;
Gryzione są krzykacze, że wrzeszczą namiętnie;
Gryzieni cisi, że śmią siedzieć obojętnie.
Tak gryząc się swobodnie, wąż do dziś dnia hula;
A rzeczpospolita żab bolesnemi skwierki[2])
Do dziś dnia woła o innego króla:
Lecz Bóg nie chce się więcej mieszać w jej rozterki.

A. Mickiewicz.

43. Powrót pod rodzinną strzechę.

Było to lato — sama kośba. Pod napół już spróchniałą, stuletnią lipą, osłaniającą dom Didelisów, stary Jan ciosał suchą dębinę na koła. Z chaty dorośli, kobiety i wyrostki poszli do siana. Od łąk rozbrzmiewały śpiewy i wesołe okrzyki — we wsi natomiast panowała wielka cisza. Zdala tylko od jednej z uboższych zagród dolatywał jednostajny stuk tkackiego warsztatu, a w sąsiedztwie, w sadzie wiśniowym ktoś gwizdał z cicha. Wiedział Jan stary, że warsztat stukał u Jodasów pod pracowitą dłonią Rozalki sieroty, że gwizdał żołnierz kaleka, krewniak jego, dozorując pasieki. A on, nasłuchując pieśni dalekiej, przypomniał sobie młode lata, gdy w śpiewach prym trzymał, a w zabawie przodował. Teraz zostawiono go z kalekami we wsi i oddano mu pod dozór troje wnucząt najmłodszych. Jedno spało w kołysce, zawieszonej na niskiej gałęzi lipy, dwoje siedziało na progu chaty, bawiąc się z łaciastym kotem. Słońce schylało się na zachód. Niebawem już dotknie wierzchu Piłkalnisa[3]) i skwar swój purpurą złagodzi. Niebawem też wieś się zaludni i spoczną pracowite ręce.

[1]) Zdegradować — pozbawić urzędu.
[2]) Skwierkami, żalami.
[3]) Piłkalnis — tak się nazywają na Litwie i Żmujdzi wzgórki okrągłe, sypane ręką ludzką.

Daleko na gościńcu kołatał dzwonek pocztowy. Kołodziej, nie podnosząc oczu, westchnął. Od Ejragoły[1]) szła poczta — wiozła pisma różne, listy i papiery do gminy. Pisma nie dla niego były, i listów nie miewał, chyba żołnierski, żałosny i krótki od Florka, któremu tam na kraju ziemi śniła się Kirszniawa[2]) i rodzinna chata. Ale papierów urzędowych bał się chłop, bo tam bywały pozwy do sądu, rozkłady podatków, rozkazy różne — ciężkie. Dzwonek się zbliżał, skręcił z gościńca między zagrody, rozbrzmiewał donośnie między ścianami i sadkami. Nie do gminy to była droga, ani do gospody, ani do plebanji. Gzież więc?

Kołodziej ręce opuścił i, zasłaniając ręką oczy od słońca, patrzał w tę stronę. Bryczka ukazała się właśnie z za pasieki sąsiada, zbliżyła się do jego chaty i stanęła. Ktoś z niej wysiadł. Pan jakiś młody, brodaty, w jasnym, ładnym paltocie i miejskim, filcowym kapeluszu. Przez ramię miał torbę skórzaną, w ręce laskę o złotej gałce, na rękach rękawiczki jasne. Kołodziej podszedł parę kroków. Ten obcy może zbłądził. Zapytać go o co zechce. Oto żywo otwiera furtkę i wchodzi na dziedziniec. Stanęli naprzeciw siebie i sekundę patrzali w oczy. Wpadłe źrenice chłopa rozszerzyły się zmieszanem uczuciem trwogi, niepewności i uszczęśliwienia. A wtem przybysz kapelusz i laskę o ziemię cisnął i, porywając go za szyję, zdławionym głosem wyjąkał:

— Tewe! (ojcze).

Kołodziej ramiona roztworzył. Zdało mu się, że umarł i umarłych wita.

— Wawer, Wawer! Synku mój! Synku!

I tak w objęciu zapłakali obadwa. Aż nagle młody się odchylił i spojrzał na drzwi chaty.

— Ojcze, gdzie matka? — zagadnął.
— Umarła.
— A ksiądz stary?
— Umarł.
— A siostry?
— Za mężem.
— A mój bliźniak Łukasz?
— Umarł.

Umilkł młody i po chwili, bojąc się pytać o każdego zosobna, rzekł:

— To któż się ostał z moich, com ich żegnał?

[1]) Ejragoła — miasteczko na Żmujdzi.
[2]) Kirszniawa — rzeczka na Żmujdzi.

— Ośmioro żyje z tobą, com cię za umarłego miał. Niema u Boga odmowy, kiedy mnie wysłuchał i ciebie do domu odprowadził! Zdalekaś ty?

— Zdaleka. Amerykę widziałem wiele razy i wszystkie morza świata znam. W Prusach, ojcze, kapitanem byłem dotąd.

— A toż chyba swoich nie spotykałeś, żeś i mowy mało co zapamiętał. Szczęścił ci Bóg — widzę! — A czemuś wieści nie przysłał tyle lat?

— Wolałem z wieścią sam przyjechać. Szczęścił mi Bóg, bom i ręce wyrobił, i głowę. Na szerokim świecie ciężko się dobijać i niejeden tam zginął, gdziem ja dał sobie radę! Takie tam burze, co gwałtem życia ludzkiego chcą; takie prace, co biorą i dnie, i noce, takie choroby, co najtęższego walą, jak dziecko. A świat tam pełen mądrych ludzi i bogatych kupców. A ot, nie wzięły mnie burze i choroby, nie zabiła praca, mądrzy ludzie mnie szanowali i obracałem miljonami bogatych kupców! Takim ja się stał!

Lice jego opromieniła duma i pewność siebie.

Stary ojciec zdziwione, rozjaśnione oczy wlepił weń i słuchał, jak baśni, jak dziwów. Jegoż to Wawer był, w tejżeż to chacie starej taki jasny pan się urodził i wychował?

— A przecie trafiłeś do domu! — rzekł.

— Trafiłem. Toć mi nie nowina podróżować. Trafiałem do Afryki i do Indyj, choć tam gościńców niema, ani kolei. Jakem sobie postanowił was odwiedzić, takem do Kowna przyjechał, a stamtąd poczta mnie wiozła. Kraju nie pamiętam, ale gdym nasz Piłkalnis zoczył, to mi się wszystko wydało, jak żywe, i jużem nie zmylił drogi do chaty.

— Tylkoś mowy prawie zapomniał.

— Nie dziw! Toć to taka tylko chłopska mowa. Śmiali się, gdym po swojemu bełkotał. Prędko się nauczyłem po niemiecku, a i po angielsku umiem. Wiadomo, że kapitan musi języki posiadać, bo mu trzeba i z ambasadorami [1]) gadać i z wysokimi urzędnikami obcować.

— A z kimżeś ty po swojemu rozmawiał?

— Z nikim! Raz w Ameryce zdarzyło się swego spotkać. Przyszedł na okręt i gazet pakę mi dał, żebym do Hamburga dostawił. Ot, taki warjat. Nie zechciałem!

— Czemu?

— Ot, albom to ja socjalista czy chłystek! Będę bibułę przewoził! to nie honor u nas w kupiectwie.

— Toś ty kupiec?

[1]) Ambasador — poseł czyli przedstawiciel pewnego państwa u obcego państwa.

— A cóż! Ojciec myśli, z próżnemi rękami przyszedłem do was w odwiedziny?

Stary Jan już na syna nie patrzał, ale w ziemię.

— Ja tylko ciebie czekałem i tylko ciebie przyjmuję — odparł spokojnie, ale bez radości.

W tejże chwili niemowlę w kołysce kwilić zaczęło, więc dziad wstał i, jak umiał, zaczął je uspokajać.

— Czyje to? — zagadnął Wawer.

— Andrzejowe! Wawrzyńcem nazwali na twoją pamiątkę.

— To Andrzej żonaty?

— Żonaty, i Piotr. To Piotrowe tych dwoje większych.

— To u was znowu w chacie pełno i jednaka bieda?

— A cóż! Tak Bóg dał!

— Bo nam wszystkim w świat iść trzeba!

— Któż tu ostanie?

— A choćby nikt! Czego żałować? Albo tu los, czy dostatek? Ot — gnicie!

Spojrzał po podwórzu i gumnie, po omszonym dachu chaty.

— Czego żałować? — powtórzył. — Mieszkacie, jak na świecie i bydło nie mieszka. Mordujecie się dla kawałka chleba, zarabiacie grosze, chodzicie boso! Albo to życie? Ot, na świecie domy, jak szklanki; jak trud — to daje zbytek; jak zarobek — to tysiące! Ot, byle głowa dobra i ręce zdrowe! Tam warto pracować.

— A tu warto umierać — rzekł stary uroczyście. — U nas teraz książki różne piszą, po swojemu, dla chat! Tam pisze, jakie to wojny i niedole nasi przed wiekami odbyli, a przecie nie odeszli z ziemi, nie wyzbyli się wiary, mowy i obyczaju! Jakoż my teraz możemy to wszystko rzucić? Czy to się godzi?

— Godzi się wszystko, co uczciwe, by sobie los poprawić!

— Toby nas tak ksiądz uczył, a on nie uczy!

— Boć to nie księża rzecz!

— Kiedy nie księża, to i nie Boża. Człowiek każdy — Boży żołnierz! Postawił go gdzie Bóg, to on tam stać powinien!

Młody mimowoli lekceważąco się uśmiechnął. Nic już więcej nie rzekł. Zrozumiał, że jego światowych wyobrażeń chłop ciemny nie pojmie i nie oceni.

— A kogoż wziął Andrzej? — spytał po chwili milczenia, zaglądając do kołyski.

— Jodasową Marynkę, sierotę po cieśli Jakóbie.

— A Piotr?

— Szlugurisa Onutę.

— A nasza Barbara i Marta gdzie poszły?

— Do Butkisa i do Szwedasa.

— A czemuż ta chata pusta?

— Ot, przy sianie wszyscy. Ucieszą się z ciebie, ucieszą. Już nawet się nie spodziewali ciebie kiedykolwiek zobaczyć. Tylko ja czekał!

— Przywiozłem wszystkim podarków z za morza.

— A ot, i wracają, zdaje się! — rzekł stary, nasłuchując.

Od łąk, zrazu na jeden głos, potem chórem podniosła się pieśń donośna i płynęła ku wsi. Obadwa wstali. Wawer szyję wyciągnął i łowił słowa, jeszcze dalekie i niewyraźne.

— Poznajesz? — spytał ojciec.

— Nie!

— Toż kosiarzy śpiew: „Vali Dalgiale!“

— Zapomniałem. Śpiewali my inne, a po teatrach tom się rozmaitości nasłuchał.

Stary chmurno spojrzał na syna. Twarz jego, zawsze posępna, stała się twardą i zawziętą.

— To sobie przypomnij! Naszej pieśni po teatrach nie rozwożą.

Śpiew się zbliżał, dochodził z za Piłkalnisu, odbijając się o rzekę i dalekie bory. Teraz już wyraźniej doleciały słowa do Wawra, który cygaro zapalił, ręce w kieszenie włożył i słuchał z miną pobłażliwej wyższości.

Wtem nagle zbudziła się jego pamięć i, wzruszony pieśnią, uśmiechnął się, a zwracając się do ojca, wesoło rzekł:

— A ot, pamiętam i zaśpiewać razem potrafię. Wyjdźmy na ich spotkanie na drogę. Czy oni mnie poznają?

Wyszli. Zdala na drodze widać było gromadkę z grabiami na ramieniu. Mężczyźni mieli jasne samodziały, kobiety barwne spódnice i gorsety. Dziewczęta miały rutę w warkoczach, a mężatki malinowe czepeczki, jak kwiaty.

Idący na przodzie mężczyzna, rosły i ogorzały, trzymał prym w chórze.

— To Szluguris Jonas! — rzekł stary — w ich rodzie zawsze prym trzymają. Piotrów szwagier pomaga nam dzisiaj; pustak i paliwoda okrutny.

A Szluguris czapkę na ucho przesunął, otarł kraciastą chustką pot z czoła i zaczął drugą zwrotkę.

Już o krok byli od eleganckiego pana i urwali śpiew, patrząc ciekawie to na starego, to na tego cudzego w miastowej odzieży.

— Gość nam przybył! — rzekł stary Karewis — nie poznajecie go?

Andrzej i Piotr podnieśli uznojone, ciemne twarze. Obcy przystąpił do nich i za szyję objął, całując.

— A toć Wawer chyba? — spytali nieśmiało.

— A on! — zaśmiał się stary przez łzy.

— Wawer, taki pan! Wawer! Wawer! — rozległy się zmieszane, radosne okrzyki.

Gromadka otoczyła wokoło kapitana. Tak go wiedli wśród siebie, ściskając, wołając, pytając.

— Skrzypki sprowadzę do chaty i bal urządzimy! — krzyknął Szluguris, grabiami wywijając młynka.

— Jeść mu trzeba! — troskały się bratowe, rade biec naprzód do chaty i nie chcąc go opuścić.

— Po Marcinka na łąki dworskie skoczę! — mówił Piotr.

— Jeść dajcie i Marcinka sprowadzić trzeba! — rozstrzygnął stary — ale co skrzypiec, to wara. Jeszcze on w kościele nie był, ani na cmentarzu nie klęczał. Potem uciecha!

Więc Szluguris, nie wiedząc, jak okazać radość, wysforował się naprzód i swym potężnym głosem zaśpiewał:

Mergele mano,	Dziewczyno moja,
Tekek už mane,	Wychodźże za mnie,
Tai tu ne žusi,	To ty nie zginiesz,
Varge ne busi!	W biedzie nie będziesz.

A przechodzili właśnie obok zagrody Bakutisa i w ogródku mignęła hoża twarz dziewoi. Szluguris gwizdnął przeciągle i przesłał jej ręką całusa. Kobiety się oburzyły, stary się zachmurzył, a Wawer ze śmiechem swawolnego chłopca po ramieniu poklepał.

Dotarli do swojej zagrody, która zawrzała ruchem i weselem, aż się dziwiły stare ściany chaty, aż się bociany na stodole spłoszyły, i pierzchły wróble ze strzechy. A po uczcie obfitej, na którą wydobyto co najprzedniejsze specjały z komory i świronka[1]), na stole ukazały się tłumoki Wawra, a z nich poczęły płynąć i przechodzić do rąk rodziny upominki drogie: jedwabne chustki i korale, srebrem nabijane fajki, noże o zagranicznych rękojeściach, jaskrawe szale i cienkie suknie.

Obdarowani cieszyli się, pokazywali wzajem prezenty, gwar rósł, śmiechy i wesołość wzbierały, jak morze. A wśród tych twarzy rozjaśnionych, promiennych, wśród tej gorączki i ruchu, stary Karewis sam jeden milczał, siedząc w kącie ławy za stołem i pykając z fajeczki tytuń, patrzał bystro, badawczo w twarz tego pięknego pana, co mowę kaleczył, o nic nie pytał, a tylko swe dzieje i triumfy opowiadał z widoczną dumą.

Z pod brwi namarszczonych patrzał i milczał.

Marja Rodziewiczówna.

---

[1]) Świronek — śpichlerz lub skład.

44. Wyjazd bez powrotu.

Stoi jawor wedle wody,
A chyla się, chyla.
Płacze, nudzi kozak młody,
Bo ciężka nań chwila.

O! nie chylaj się, jaworze,
Zielonyś, młodziutki!
I tyś, chłopcze, w rannej porze,
Na co ci tam smutki?

Jak się jawor chylać nie ma?
Fala śród gałęzi!
Jak z suchemi stać oczyma?
Serce na uwięzi!

Kozak żegna kraj swój wiecznie:
A gdzie w naszej ziemi
Tak miłują się serdecznie?
Tak tęsknią za swemi?

Jedzie, jedzie przez dąbrowę,
Na cudze już strony;
Siodło pod nim orzechowe
I koń jego wrony.

O! za Dunaj jedzie siny,
Na chleb gdzieś tułaczy,
Swojej lubej Ukrainy
Nigdy nie obaczy.

Rok za rokiem krwawe boje,
Przez długie tam lata,
Jak potomstwo liczy swoje,
Hoduje dla świata.

Idą przecie milsze chwile,
Grób stoi gotowy!
Prosi — wszczepić na mogile
Kalinę u głowy.

„Będą ptaszki dniem i nocą
Dziobać po kalinie;
Może kiedy zaszczebiocą
Wieść o Ukrainie.“

J. B. Zaleski.

45. Na jeziorze Czterech Kantonów.

Rozbłękitnioną płyniemy topielą...
Na jej zwierciadło snadź się niebo zwali,
Ciężkie od blasków, co się po niem ścielą,
Lejąc szmaragdy wskróś stopionej stali.

Naokół góry, naodziane zielą
Marzących świerków, kąpią szczyty w fali;
Czasami śnieżne kopy się zabielą,
Lub zaczernieją granity w oddali.

Wietrzyk zawiewa i wraz z szumem wody
Duszę sennemi melodjami pieści,
W żar jej piekący słodkie niosąc chłody.

I głębia, pełna tajemniczych wieści,
Ciągnie ją k'sobie na nieznane gody —
Precz od trosk ludzkich, od ludzkiej boleści.

J. Kasprowicz.

46. Mały Staś.

Pewnego dnia położyła matka Stasia w sadzie pod gruszą, podesłała mu płachtę, podwinęła koszulkę i mówi:

— Śpijże tu, chłopak, i nie drzyj się, ty jagódko moja najsłodsza, jaką kiedy Pan Bóg stworzył i słońce wygrzało! A ty, Kurta, ligaj przy nim i pilnuj, żeby mi go kura nie dziobnęła, albo pszczoła nie ugryzła, albo jaki zły człowiek nie urzekł. Ja pójdę buraki pleć, a jak mi się tu nie będziecie dobrze sprawowali, to złapę tyczki i tak wam kości porachuję!...

Ale na samą myśl wykonania groźby schwyciła chłopca na ręce, jakby mu kto miał istotnie krzywdę zrobić, utuliła go, wycałowała i wyhuśtała, wołając pieszczotliwym głosem:

— Jabym ciebie miała bić tyczką?... To Kurtę, nie ciebie!... Mój ty pączku... mój gołąbku... mój synusiu jedyneńki, złoty!... Nie śmiej się ty, Kurto, sobako kudłata... nie przymykaj ślepiów, nie wymachuj ogonem, bo ty wiesz, że jabym prędzej z ciebie trzy skóry zdarła, niż na niego, na Stasieńka mego serdecznego, jeden patyczek ułamała... Lu!... lu... lu... lu... lu...

A Kurta tył pod siebie zawinął, pysk z gorąca otworzył i czerwony jęzor wywiesił na lewo, jak chustkę. Wyrozumiały pies i chytry!... On myśli sobie: „Gadaj ty zdrowa, a ja

co wiem, to wiem, że, ile razy sienniczek Staśkowi suszyć wypadło, tyle razy dostawał chłopak takie bicie, że w kuźni słychać było!“...

Tak sobie myślał Kurta pyskaty, ale milczał, wiedząc, że od najlepszych racji mocniejszy jest — ożóg, którym wszyscy domownicy, a gospodyni najpierwsza, mitygowali jego psie pretensje.

Staś tymczasem tarł oczy tłustemi pięstuszkami i lnianowłosą głowę pokładał na ramieniu matki. Gdyby umiał mówić rozsądnie, niechybnieby jej powiedział:

— Macie mnie kłaść, to kładźcie, bo po tym garnczysku kaszy z mlekiem dobrze człowiekowi spać się chce!

Chłopiecby już sam zasnął z własnego przeświadczenia, ale matce wydawało się, że go usypiać potrzeba, więc znowu huśtała go i lulała, śpiewając:

Cóżeś wskórała,
Żeś wędrowała
Po zielonej olszynie?
Jam choć to zyskał,
Iżem się wyspał
Na puchowej pierzynie!...

Dopiero, gdy jej zaciężył i wetknął głowę między ramię i piersi, położyła go na płachcie, targnęła Kurtę za mokry język i, oglądając się, poszła w głąb sadu.

Staśkowi płachta zgrzebna, a pod nią ziemia, wydały się trochę zimne i twarde po matczynych objęciach. Więc, choć mu nogi doskonale spały, głową ocknął się jeszcze i podźwignął na tłustych rączkach. Chciało się dziecko rozejrzeć: gdzie matka?... a może i popłakać po niej. Ale że był mały jeszcze, więc dobrze rozglądać się nie umiał, i zamiast przed siebie, patrzał pod siebie, na murawę. Tymczasem uczciwy Kurta raz i drugi oblizał go zawiesiście po opalonej twarzy i zaczął iskać w głowie tak serdecznie, że Staś upadł na lewy bok, podłożywszy sobie tłusty łokieć pod skroń. Jeszcze chciał się podźwignąć, oparł nawet prawą rękę na płachcie i usiłował rozplątać nóżęta; ale w tej chwili palce u rączki rozbiegły mu się, wiśniowe usta rozchyliły, oczy gwałtem przymknęły i — zasnął. W jego wieku sen bywa mocny, jak najtęższy chłop: pokłada człeka pierwej, nim się z nim zacznie borykać. Wtedy od łąki, świeżo skoszonej, gdzie długiemi rzędami najeżone i pękate kopice dumały, powiał wiatr gorący, jak dmuchanie słońca. Połaskotał przysadziste kopy, pogwizdał w dziuple spróchniałym wierzbom, które napróżno chciały go machaniem gałązek odstraszyć;

przecedził się przez pleciony płot i pociągnął po kowalowym sadzie.

Zielone liście buraków z ponsowemi wypustkami, wysmukły koper i pierzasta pietruszka zaczęły się trząść, jak w febrze, prawdopodobnie ze złości, bo to leniwy naród i nie lubi, aby go dotykano. A rozczochrana nać kartofli, jaskrawe słoneczniki i blado-różowe makówki kiwały się, jak Żydzi w bóżnicy, zgorszone widać lekkomyślnością wiatru, który pszczoły od ulów het odpędzał, a samej kowalowej czepiec na głowie przekręcał, choć ona, mimo dwudziestu jeden lat, matka przecie Stasiowa, pani i gospodyni wszystkiego, co tylko jest w sadzie, w chacie, w oborze i na sześciu morgach pola!

— Aj! zbytki! zbytki!... aj, jakie zbytki ten wiatr wyrabia! — szemrały czerwonogłowe makówki, poglądające w niebo słoneczniki i tęga nać kartoflana.

A okrągłe listki gruszy, pod którą Stasia ułożyła matka na spoczynek, jak uczciwe piastunki, szeptały:

— Cicho!... cicho!... cicho!... bo mi dziecinę rozbudzicie!

Kurcie, który lubił być czynnym i w najgorszym razie przynajmniej karbował wieprzkom kłapciaste uszy, poczęło się okrutnie nudzić.

— Co to za świat! — myślał — na którym dzieci tylko śpią, gospodyni bawi się rwaniem listków; drzewa, zamiast uczciwie pracować, kiwają się i szeleszczą, bocian na klekotanie zrywa piersi, a gospodarz z chłopakami nie robi w kuźni nic, tylko ruszają miechem i kują?... On małym młotkiem bije w kowadło: dyń! dyń! dyń! dyń! — a chłopcy wielkiemi młotami w żelazo: łup! łup! łup! łup!... aż iskry lecą. Stałem nieraz przed kuźnią, tom widział.

I z rozpaczy nad powszechnem lenistwem upadł pracowity Kurta na bok, aż ziemia jękła, spłaszczył się i nogi wyciągnął przed siebie, a chcąc lepiej uwydatnić pogardę dla świata, przymknął oboje oczu, aby na nic nie patrzeć...

Wtedy przed wzrokiem jego niespracowanej duszy rozwinęło się pole, pełne kapusty, należącej do gospodarza, wśród której żerowały stada zajęcy, przebierających łapkami i nastawiających uszy, jak palce...

— Ach, damże ja wam, hultaje! — szczeknął Kurta i dalejże gonić szkodników na wszystkie strony!...

Gonił i gonił, a pole przeciągało się do nieskończoności, zające mnożyły się, jak krople deszczu ulewnego, a gospodarz, gospodyni i chłopcy, patrząc na tę bieganinę, wołali: „Aj! Kurta, jaki to pies pracowity, ani godzinki nie odpocznie!“

A Kurta wyciągnął się i cwałował tak, że aż ogon, który nie mógł podążyć za nim, został gdzieś zdaleka. Ledwie dyszał, ale gonił.

Wtem nad głową marzącego psiska poczęła krążyć mucha i wymyślać mu cieniutkim głosikiem:

— Oj! ty... ty... kundlu jakiś!... próżniaku!... Najadłeś się osypki i, kiedy cały świat rusza się na słońcu, ty leżysz, jak kłoda, i drzemiesz!

Ocknął się pies i kłap na muchę zębami!

— Widzicie ją, darmozjada!... Ona mi tu będzie leżenie wymawiała, kiedy ja zające wyganiam z kapusty!... I, nie chcąc na obronę swego honoru i czasu tracić, wyciągnął się jeszcze lepiej i — wrócił do czynności. A mucha wciąż krążyła nad nim, choć się marszczył i pazury nadstawiał, i piszczała:

— Oj! ty!... ty!... kundlu jakiś!... Kazali ci dziecka pilnować, a ty się sam wysypiasz, próżniaku!...

I od tej chwili koper i pietruszka, nać kartoflana, makówki i słoneczniki, wiatr na niebie, oddech śpiącego Stasia, bociany na szopie i młoty w kuźni, wszystko to w takt szemrało:

— Leń Kurta!... leń Kurta!... leń Kurta!...

Ale pracowity Kurta wyciągnął się pod gruszą i precz gonił zające! *B. Prus.*

47. Zawiana chata.

Chato polskiego chłopa, zasypana śniegiem!
Kiedy nad tobą cichą nocne wichry wyją,
Podobnaś do mogiły; kto zgadnie, że żyją
W tobie ludzie, dla bezsnu wstający do pracy?
Ledwie północ poddaszni obwołują ptacy,
Już się budzisz czerwono, już świecisz łuczywem;
Kobiety pieśni tęskne nucą nad przędziwem,
Razem z nicią zwijają swój żal na wrzeciona;
Gospodarz nudzi sobą, wyciąga ramiona,
To majaczy przy ścianach, to siada na ławie,
Często za próg wychodzi, wyglądając słońca:
W niebie i w myśli jego noc a noc bez końca!
Nad łożem nie migoce mu szlachecka szabla,
Dzienną złocąca troskę wspomnieniem o sławie...
A spłonie świt! — weselszy chwyta za łopatę,
W świat, w jasność, w przyszłość lepszą wygrzebuje chatę!..
Z niej ku słońcu ofiarne ciągną dymy Abla. *K. Ujejski.*

48. Dziady wiosenne, czyli piąty dzień po Wielkiejnocy.

Trzy razy do roku lud wspomina swe umarłe, w dnie, ściśle oznaczone wiekową tradycją. Późną jesienią, gdy roboty rolne pokończył i wraz z naturą zamiera na długi, zimowy spoczynek, sprawia swym zmarłym Dziady, darzy ich kołaczem i kaszą, odprawia modły. W końcu zapust powtórnie dzieli się z nimi sytością jadła i napitku, zastawia wieczorem stół, zapala święconą świeczkę, domownicy uroczyście siedzą na ławach, a gospodyni, rozwarłszy okienko, trzykrotnie nawołuje: „Dziady, dziady, chodźcie wieczerzać!“

I czekają w milczeniu gościny duchów, wpatrzeni w gromnicę, licząc po jej chybotaniu ilość biesiadników.

Z wiosną, kto przezimował, kogo nie umorzył post rzetelny, który mało się różni od głodu, kto wytrzymał duszność i głód chaty, ten się raduje Chrystusowem Zmartwychwstaniem, ten się szczyci życiem i naturalnym wynikiem triumfuje nad zmarłym.

I tedy we czwartek po Wielkiejnocy obchodzą uroczystość Dziadów.

Skoro słońce błyśnie, w każdej chacie jedna lub dwie kobiety szykują się w odwiedziny duszne. Ubierają się odświętnie w białe płótno, wynoszą z komory zachowane umyślnie na ten cel resztki święconego i, zawinąwszy je w fartuch, zapowiadają rodzinie: „Idę teraz na Dziady.“ I idą jedna za drugą sznury białych postaci za wieś, na piaski cmentarne. Idą skupione i uroczyste, boć spełniają odwieczny obrządek. Słońce się podnosi i cmentarz, zwykle zapomniany i opuszczony, zaludnia się temi białemi postaciami, jak tłumem widm. Błądzą długo, odszukując swe mogiły. Trudna to rzecz. Nagrobków tam niema, napisów nie znajdziesz, a one zresztą czytać nie umieją. Gdy człowieka tu zakopią, trochę piasku ino nagarną i zatkną malutki krzyżyk. Ale po kilku dniach wiatr kopczyk zdmuchnie, a po kilku miesiącach krzyżyk upadnie, ramiona straci, i mogiła niczem się od innych nie różni. Błądzą tedy kobiety i odszukują sobie tylko wiadomych znaków. Jedna na grobie córki powiesiła na krzyżu kilka paciorków, druga na grobie córki obwiązała krzyżyk czerwoną nicią, inna na mężowskiej mogile zawiesiła fartuszek z wyszytemi na rogach krzyżami.

Pastuszki i włóczęgi często zabierają te pamiątki, wtedy kobiety zbierają się po kilka, przypominają, gdzie kogo chowano, przy kim leży, i wreszcie każda odnajduje swoich.

Wtedy restauruje mogiłę, rękami zgarnia znowu piasek na kopczyk, zbiera ułamki krzyża, prostuje go i ramiona zakłada, zawiesza nowy fartuszek. Krzątają się tak wszystkie, a pastuszki, pędzący popod cmentarzem bydło, spoglądają ciekawie:

— Patrz, jak baby stroją mogiły. Zaraz zaczną zawodzić!

Bo to dopiero wstęp do właściwej ceremonji. Teraz kobiety zaścielają obrusami kopczyki mogilne i składają na nich kołacz i jaja, ser i kiełbasę, i flaszkę wódki.

Wtedy siadają naprzeciw, w kuczki, podpierają brodę pięścią i zaczynają z nieboszczykami rozhowor.

— Oj, doniu moja, dońko! — zawodzi matka. — Nie chcesz ty mi prząść ani tkać. Samą mnie zostawiłaś na robotę. Niemasz ciebie, niemasz. Oj, dolaż moja, dola, doleńka!

Głos się coraz podnosi, nabiera dźwięku wiatru jęczącego, wycia prawie, i łączy się w jeden chór z setką innych, co opłakują mężów i ojców, braci i matki, synów i wnuków.

Trwa to długo, cichnie, to znowu rośnie, ogarnia cały cmentarz, aż wreszcie któraś się podnosi, nalewa czarkę wódki, żegna się i woła:

— Piję ja do ciebie, doniu serdeczna, żebyś wiedziała, że ci nic nie żałuję, i światło Boże niech ci świeci.

I wylewa czarkę na piasek.

I zaczyna się biesiada.

Łamią kołacz na kęsy i pytają się zmarłego, czy pamięta zagonki, które opuścił, i opowiadają mu o bujnych runiach i znoju żniwa, którego z niemi nie podzieli. Kruszą ser i wspominają bydlęta, które chował, prawią mu dzieje krowy rodzicielki i byków pracowitych, których nie zobaczy wskróś ziemi, co mu oczy zakryła.

Całą historję ludzi chatnich i dobytku opowiadają mu, spożywając tę ucztę i na piasek mogiły kładąc wszelkiego posiłku cząstkę dla tego ducha współbiesiadnika. Potem pod wpływem libacji rozczulają się, zbierają się w gromadki, gwar rozmów staje się żywszy, wspominają różne dziwy, strachy; a wreszcie smętek i zawodzenie przechodzi w jakąś dziką uciechę z wiosny, z życia, wśród mogił roją o swatach, o weselach, rozpoczynają się śpiewy i śmiechy.

Zbierają się do odwrotu, sprzątając resztki jadła, i ciągną ku wsi gwarnym tłumem, niczem nie przypominającym żałobnego obrządku. Wieczorem wracające pastuszki odwiedzają cmentarz. Bieleje cały od nowych fartuszków ofiarnych, na krzyżach błyszczą paciorki i życzki[1]) czerwienieją. Chłopaki

[1]) Tasiemki czerwone z ostrej wełny.

rabują potrosze, a potrosze szperają po ziemi, szukają kołacza lub sera.

Po ich przejściu mogiły znowu zostają opustoszałe i nikt już nieboszczyków nie odwiedza aż do następnych „Dziadów".

Marja Rodziewiczówna.

49. Chłopskie serce.

W tłumie, na mrozie, stanęła pod ścianą,
Okryta starą mężowską sukmaną.
Posępna rzecz jest ta siwa siermięga,
Przesiąkła potem i łzami i zdarta
Na zgiętym w pracy i niedoli grzbiecie
Nędzarza, który nigdy z ciemności nie sięga
Do światła żadną ożywczą nadzieją...
I smętna rzecz jest, i zadumy warta,
I sama w sobie taka żałośliwa,
Jakby nie łachman, ale rana żywa,
Na narodowem ciele się krwawiąca...
Kiedyś, gdy wichry i burze przewieją,
I rozbłękitni się w sobie wiek słońca,
O tej siermiędze mówić będą w świecie
I zwać jej dzieje ludu epopeją...
I może wtedy nawet my, my sami
Wśród narodowych skarbów i pamiątek
Ten nędzny, zgrzebny, poszarpany szczątek
Chować będziemy — i oblewać łzami!

Pół dnia już stała tak nieporuszona,
Bezwładnie oba zwiesiwszy ramiona,
Patrząc upornie na gmach, kędy w sali
Rekrutów strzygli i mundurowali.
W ręku ubogi węzełek trzymała —
Chudoba syna mizerna i licha...
Twarz jej wygasła, pożółkła, zmartwiała,
Jak pustka, była posępna i cicha;
I tylko usta zacięte, drgające
Jakiś krzyk duszy zdradzały ogromny,
Co mógł wybuchać dziki, nieprzytomny,
I bić w niebiosa, i wstrząsać to słońce,
Co bezpromienną i zimną swą głowę
Ukryło kędyś za chmury śniegowe.
Sąsiad przemówił do niej: „Pochwalony!"

Odrzekła na to jękiem jakimś głuchym...
Pierś jej w śmiertelnej podniosła się męce,
I znowu wzrokiem błyszczącym i suchym
Patrzyła na drzwi zamknięte, przed siebie.

O pochwalony! O błogosławiony
Bądź ty mi, Chryste, co przebite ręce
Rozciągasz ponad wieśniacze zagony
Z przydrożnych krzyżów! Tyś jest Bóg nędzarzy!
Ty liczysz kędyś w błękitnem swem niebie
Wszystkie gryzące łzy troski i bólu,
Co żłobią brózdy wśród zwiędłych tych twarzy...
O! pochwalony bądź, boleści Królu!

Z trzaskiem otwarto drzwi sali. W natłoku
On jeden tylko jest widny jej oku...
Jej Jasiek!... dziwne spostrzega odmiany:
Jakieś odblaski tragiczne, surowe
Padły już na tę obnażoną głowę,
Którą dziś jeszcze ocieniał włos lniany...
Klasnęła w dłonie i w oczy mu patrzy,
A łzy, co kędyś pod sercem zaległy,
Wielkie i słone po licach mu zbiegły...
„O matko! Nie płacz! Pan Jezus przemieni..."
„Tyś głodny; weź to, posil się na drogę..."
Chleb mu podała; wyjął nóż z kieszeni,
Odkroił kęsek i szepnął: „Nie mogę!
Nie mogę, matko, sam!..." Jak chusta, zbladła,
Lecz rozłamała chleb — i z synem jadła.

A wtem wydano ostatnie rozkazy.
Marsz zabrzmiał. Jakieś zmieszane obrazy
Łąk, pól i lasów, i chaty, i wioski
Powiały razem z dźwiękami tej nuty...
„Hej!... nie zobaczyć już tego w żołnierce!"
Powstał zgiełk, lament... Jaśka tylko matka
Bez łzy, bez skargi trwała do ostatka,
Zwróciwszy oczy smutne, pełne troski,
Na drogę, którą iść miały rekruty..
Nagle, jak gdyby zawiodła ją siła,
Syna rękoma za piersi chwyciła...
„Dziecko!..." krzyknęła raz tylko i zbladła,
I zatoczyła się — i martwa padła...

Mówiono, że jej pękło chłopskie serce.

Marja Konopnicka.

50. Wesele chłopskie.

Dzień się dopalał jaskrawo i zwolna przygasał. Ale w Lipcach huczało, jakby na jarmarku. Jak tylko przedzwonili na nieszpory, muzyka wywaliła się od wójta na drogę. Najpierwsze szły skrzypki w parze z fletem, a za niemi warczał bębenek z brzękadłami i basy, przystrojone we wstęgi, wesoło podrygiwały. Za muzyką szły oba dziewosłęby i drużbowie — sześciu ich było.

A wszystko chłopaki młode, dorodne, kiej sosny, śmigłe, w pasie cienkie, w barach rozrosłe, taneczniki zapamiętałe, pyskacze harde, zabijaki sielne, z drogi nieustępliwe — same rodowe, gospodarskie syny. Walili środkiem drogi, kupą całą, ramię przy ramieniu, aż ziemia dudniła pod nogami, a tak radośni, weselni i przystrojeni pięknie, że ino w słońcu grały pasiaste portki, czerwone spencerki, pęki wstęg u kapeluszów i rozpuszczone na wiatr, kiej skrzydła, kapoty białe...

Krzykali ostro, podśpiewywali wesoło, przytupywali siarczyście i szli tak szumno, jakoby się młody bór zerwał i z wichurą leciał.

Muzyka grała polskiego, bo zaś ciągnęli od domu do domu zapraszać weselników; gdzie im wynosili gorzałki, gdzie zapraszali do wnętrza, gdzie zaś śpiewaniem odpowiedzieli, a wszędy wychodzili przystrojeni ludzie, przystawali do nich i szli dalej społem, i już wszyscy w jeden głos śpiewali pod oknami druchen:

— Wychodź, druchenko, wychodź, Kasieńko,
Na wesele czas —
Będą tam grały, będą śpiewały
Skrzypice i bas —
A kto się nie naje, kto się nie napije...
Pójdzie do dom wczas!
Oj ta dana, dana, oj ta dana, da!...

Hukali społem i z mocą taką, aż się po wsi rozlegało, aż na pola szły weselne głosy, pod borami śpiewały, we świat leciały szeroki. Ludzie wychodzili przed domy, do sadów, na płoty, a jaki taki, choć nie weselny, przystawał do nich, by się aby napatrzeć i nasłuchać, że, nim doszli, już się prawie cała wieś stłoczyła i okrążała weselników ciżbą, iż coraz wolniej szli, a dzieci chmarą nieprzeliczoną i z wrzaskiem a przyśpiewywaniem przodem biegły.

Doprowadzili gości do weselnego domu, przegrali im na godne wejście i zawrócili do pana młodego.

A Witek, któren ze wstęgami u spencerka hardo był spólnie z drużbami chodził, skoczył teraz naprzód.

— Gospodarzu, a to muzyka z drużbami wali! — krzyknął w okna i poleciał do Kuby.

Rzęsisto zagrali na ganku, a Boryna w ten mig wyszedł, drzwi narozcież wywarł, witał się, a do środka zapraszał, ale wójt z Szymonem ujęli go pod boki i już prosto do Jagny powiedli, bo czas było do kościoła.

Szedł ostro i aż dziw, tak młodo wyglądał: wystrzyżony, doczysta wygolony, przystrojony weselnie, urodny był, jak mało który, a przez to, że mocno w sobie podufały i rozrosły, to i postawę już miał zdala widną i powagę w twarzy niemałą; pośmiewał się wesoło z parobkami, pogadywał, a najczęściej z kowalem, bo mu się wciąż na oczy nawijał. Godnie go wprowadzili do Dominikowej; naród się rozstąpił, a oni go wiedli do izby szumno, z graniem i przyśpiewkami.

Ale Jaguś nie było, przystrajały ją jeszcze kobiety w komorze, mocno zawartej i pilnie strzeżonej, bo parobcy drzwi pchali, to w deskach szparutki czynili i przekomarzali się z druchnami, że ino pisk, śmiechy i babie wrzaski odpowiadały.

A matka z synami przyjmowała gości, częstowała gorzałką, usadzała co starsze na ławach i na wszystko oko miała, bo narodu się zwaliło, że i trudno przejść przez izbę, po sieniach stali, w opłotkach nawet. Nie bele jakie to goście, nie. Gospodarze sami, rodowi i co bogatsze, a wszystko krewniacy, powinowaci i kumy Borynów i Paczesi, a drudzy zasię znajomkowie to i z dalszych wsiów zjechali. Juści, że ni Kłęba, ni Winciorków, ni tych morgowych biedot nie było, ni tego drobiazgu, co po wyróbkach chodził i zawżdy ze starym Kłębem trzymał. Nie dla psa kiełbasa, nie dla prosiąt miód.

Dopiero w dwa pacierze otwarli drzwi komory i organiścina z młynarzową wywiodły Jaguś na izbę, a druchny otoczyły ją wiankiem, a tak strojne i urodne wszystkie, że kwiaty to były, nie kwiaty, a ona między niemi najśmiglejsza i, kieby ta róża najśliczniejsza, stojała w pośrodku, a cała w białościach, w aksamitach, w piórach, we wstęgach, w srebrze a złocie, że się widziało, niby ten obraz, co go naszają na procesjach, aż przycichło znagła, tak poniemieli i dziwowali się ludzie.

Hej! jak Mazury Mazurami, nie było śliczniejszej. Wnet drużbowie zrobili rumor i gruchnęli z całych piersi:

Rozgłaszaj, skrzypku, rozgłaszaj!
A ty, Jaguś, ojca. matkę przepraszaj —

Rozgłaszaj, flecie, rozgłaszaj!
A ty, Jaguś, siostry, braci przepraszaj!...

Boryna wystąpił, ujął ją za rękę i przyklęknęli, a matka obrazem ich przeżegnała i jęła błogosławić i wodą święconą kropić, aż Jaguś z płaczem padła do nóg macierzy, a potem i drugich podejmowała, przepraszała i żegnała się ze wszystkimi.

Brały ją kobiety w ramiona, obejmowały i podawały sobie, aż się popłakały społem, a Zosia najrzewliwiej zawodziła, bo się jej matula nieboszczka przypomniała.

Wysypali się przed dom, ustawili w porządku należytym i ruszyli pieszo, bo do kościoła było ze stajęę.

Muzyka szła przodem i rznęła ze wszystkich sił.

A potem Jagnę wiedli drużbowie; szła bujno, uśmiechnięta przez łzy, co jej jeszcze u rzęs wisiały, weselna, niby ten kierz kwietny i, kiej słońce, ciągnąca wszystkich oczy; włosy miała zaplecione nad czołem, w nich koronę wysoką, ze złotych szychów, z pawich oczek i gałązek rozmarynu, a od niej na plecy spływały długie wstążki we wszystkich kolorach i leciały za nią i furkotały, kieby ta tęcza; spódnica biała, rzęsisto zebrana w pasie, gorset z błękitnego, jak niebo, aksamitu, wyszyty srebrem, koszula o bufiastych rękawach, a pod szyją bujne krezy, obdziergane modrą nicią, a na szyi całe sznury korali i bursztynów aż do pół piersi opadały.

Za nią druchny prowadziły Macieja.

Jako ten dąb rozrosły następuje w boru po śmigłej sośnie, tak on następował po Jagusi, w biodrach się ino kołysał, a po bokach drogi rozglądał.

A za nimi dopiero szła Dominikowa ze swatami, kowalowie, Józia, młynarzowie, organiścina i co przedniejsi.

Na ostatek zaś, całą drogą waliła wieś cała.

Słońce już zachodziło, wisiało nad lasami czerwone, ogromne i zalewało całą drogę, staw i domy krwawym brzaskiem, a oni szli w tych łunach wolno, że aż się w oczach mieniło od tych wstążek, piór pawich, kwiatów, czerwonych portek, pomarańczowych wełniaków, chustek, kapot białych, jakoby ten zagon, rozkwitłemi kwiatami pokryty, szedł i pod wiatr zwolna się kołysał, a pośpiewywał, bo druchny raz wraz zawodziły cieniuśkiemi głosami:

A jadą, jadą, wozy kołaczą,
A moja Jaguś, po tobie płaczą,
Hej!
A da śpiewają, śpiewają sobie,
A da na smutek, Jagusia, tobie,
Hej!

Dominikowa całą drogę popłakiwała i, jak w obraz, wpatrywała się w córkę, że nic nie słyszała, co do niej zagadywali.

W kościele już Jambroży zapalał świece na ołtarzu.

Ogarnęli się ino w kruchcie, uporządkowali w pary i ruszyli przed ołtarz, bo i ksiądz już z zakrystji wychodził.

Prędko się odbył ślub, bo ksiądz się do chorego śpieszył. A gdy wychodzili z kościoła, organista jął na organach wycinać mazury, a obertasy i kujawiaki takie, aż same nogi drygały, a niektóren tylko co nie huknął piosenką, dobrze, iż się wczas pomiarkował! Wracali już bez nijakiego porządku, całą drogą, jak komu było do upodoby, a rozgłośnie, bo drużbowie z druchenkami zawodzili, jakoby ich kto ze skóry obłupiał.

Dominikowa rychlej pobiegła, a gdy nadciągnęli, już ona państwa młodych na progu witała obrazem i tym świętym chlebem i solą, a potem nuż się ze wszystkimi znowa witać, a ściskać i do izby zapraszać! Muzyka rznęła w sieniach, więc co który próg przestąpił, chwytał wpół pierwszą z brzega kobietę i puszczał się posuwistym krokiem „chodzonego“, a już tam, niby ten wąż, farbami migotliwy, toczyły się dokoła izby pary, gięły się, okrążały, zwracały z powagą, przytupywały godnie, kołysały się przystojnie i szły, płynęły, wiły się para za parą, głowa przy głowie, niby ten rozkołysany zagon dostałego żyta, gęsto przekwiecony bławatem z makami... a na przedzie w pierwszą parę Jagusia z Boryną!

Aż światła, ustawione na okapie, dygotały, dom się chwiał, zdawało się, że ściany się rozpękną od tej ciżby i mocy, jaka biła od taneczników!...

Pochodzili z dobry pacierz, nim skończyli.

Muzyka teraz zaczęła przegrywać pierwszy taniec dla młodej, jak to we zwyczaju zdawiendawna było.

Naród zbił się gęstwą pod ścianami i zaległ wszystkie kąty, a parobcy uczynili wielkie koło, w którem zaczęła tańcować! Krew w niej zagrała, aż się jej modre oczy lśniły i białe zęby połyskiwały w zarumienionej twarzy; tańcowała niezmęczenie, coraz zmieniając taneczników, bo, choć raz wokoło z każdym przetańcować musiała. Muzykanci grali ostro, aż im ręce mdlały, ale Jaguś jakby zaczęła dopiero, mocniej tylko poczerwieniała i wywijała tak zapamiętale, aż jej wstęgi z furkotem za nią latały, chlastając po twarzach, a rozdęte taneczną wichurą spódnice zapełniały izbę. A parobcy z uciechy pięściami walili w stoły i pokrzykiwali siarczyście.

Wł. St. Reymont.

51. Ksiądz Piotr.

Zajęty służbą Bożą i ludzką, a zajęty bardzo ciężko, ksiądz wikary bowiem, studjujący dniami i nocami dzieła teologiczne, małą mu był wyręką, nie miał ksiądz Piotr wiele czasu myśleć o śmierci, tem bardziej, iż zawsze zapowiadał, iż od setki ani dnia Panu Bogu nie opuści. Ale pewnego jesiennego wieczora, kiedy słońce zaszło, ostatnie fioletowe plamy kładąc na ciemnem niebie, ksiądz Piotr, który długo przedtem siedział w milczeniu na ganku od ogrodu, zdając się drzemać, zwrócił nagle głowę ku siedzącemu naprzeciw organiście i rzekł poważniejszym niż zazwyczaj głosem:

— Panie Dzięgielewski, mnie się zdaje, że trzeba iść.

— A dokąd, że śmiem zapytać?

— Dalej, niż stąd do kancelarji parafjalnej. Tam... I pokazał ręką ku bielejącemu się opodal murowi cmentarnemu.

Dzięgielewski żachnął się:

— A co też ksiądz kanonik dobrodziej wygaduje! Po prawdzie, żeby powiedzieć, to nawet nie przystoi, pfe! Jeszcze można w złą godzinę...

— No, zobaczysz, panie Dzięgielewski, organisto kłonicki, że mnie już trzeba iść. Już czas, już i tę trzynastkę Panu Bogu odstąpić muszę.

— O, o! Wolałby jegomość nawet nie wymawiać takich przykrości.

— E, już i czas. Spowiadałem się właśnie dziś rano, jakby umyślnie. I komunję przyjąłem. Gotów jestem. Po księdza wikarego też jeszcze posłać można będzie, ale przeprosić go pięknie, bo pewnie nad „Summą teologiczną“, albo „Naśladowaniem Chrystusa“ będzie siedział. Takich kanonikami robić, nie mnie, starego bajdę.

Od pól szły przez ogród chłodne i zwiędłe wonie jesienne i słychać było cichy, jednostajny szum wiatru.

— Panie Dzięgielewski — ozwał się staruszek.

— Słucham księdza kanonika dobrodzieja.

— Słuchaj waść, ale nie mnie, tylko świata. Słyszysz, jaki to szum? Wydaje mi się, że słyszę obrót całej tej wielkiej maszyny, której Bóg jest budowniczym i maszynistą wiecznym. Kręcą się na osiach planety i słońca, wszystko idzie po swoich drogach i szumi. Cały świat szumi. A On, budowniczy i maszynista wieczny, słucha i raduje się. Pomyśl tylko, panie organisto kłonicki, Mateuszu Tymoteuszu Dzięgielewski, herbu Cykorja, jaki to ogromny, cudowny szum być musi! Ty myślisz,

że jak wiatrak Kuby Michałowego z Zardzawicy, a to jak tysiąc, miljon takich wiatraków. Ho! ho! Jak wszystkie fale Atlantyku i wszystkie wichry Sahary razem wzięte. Słuchaj tylko...

— Słucham, księże kanoniku.

— Słyszysz?

— Słyszę, jak wiatr po ogrodzie szuści.

— A tego szumu świata, tej maszyny ogromnej, nie słyszysz?

— Nie, z przeproszeniem księdza kanonika dobrodzieja.

Ksiądz Piotr pomilczał chwilę, a potem znowu zaczął mówić:

— Odsuń, mości organisto, tę szybę od północy. Niech jak najwięcej zapachu z pola wejdzie. Tam, jak tam... może być, jeśli Bóg miłościwy, i światło prześliczne i chóry anielskie i wonie rajskie mogą być i wszelki cud, ale przecież kłonickich pól nie będzie, nie będzie tego zapachu z mego parafjalnego ogrodu... Wieczność jest długa, ale i pięćdziesięciu lat też pies nie przeskoczy... Te młode wiązy każesz podeprzeć, a żeby grusze dobrze na zimę słomą owinęli... Ho! ho! Takiego zapachu nie będzie... Mości panie Dzięgielewski, ja byłem w Ziemi Świętej i w Arabji i we włoskich pomarańczarniach, a takiego zapachu jak u mnie w Załanach dawniej, a potem tu w Kłonicach, nigdzie nie było. Panie Dzięgielewski!

— Do usług księdza kanonika.

— Czy to już miesiąc wschodzi?

— Niby.

— Jasny jest? Bo mi się źle w tamtą stronę oglądać.

— Jasny.

— To chwała Bogu. Nie chciałbym w niepogodę umierać.

— Uu, co też to ksiądz kanonik...

— Cicho, panie Dzięgielewski, organisto, cicho. Miesiąc poświeci duszy, jasnym gościńcem pójdzie. A i dobrze, jeśli z ganku. To prawie tak, jakby z pola. U nas w rodzie mało kto na łóżku gasł. W polu gaśli. Dobrze, że się skończyli, bo kto wie, coby z nimi było, tak, jak z innymi. Kotu na łódź szlachectwo bez szlachetności w duszy. Tak, panie Dzięgielewski.

— Słucham księdza kanonika.

— Ubierzesz mnie w nową sutannę, tę na jedwabnej podszewce, pasem jedwabnym przewiążesz, szpilką złotą z Korabiem przepiąć, buty nowe wyglansować, łańcuch kanoniczy na szyję, ordery moje wojskowe na pierś. Sygnet zostawić na palcu, niech idzie ze mną... Obsypiesz mnie kwiatami, dużo macierzanki, bo pachnie, narcyzy w głowach. I szablę moją,

mości Dzięgielewski, złamać, bo jestem z rodu ostatni... Cóż to, ty buczysz, panie Dzięgielewski?

— U-u-u... bo ksiądz kanonik tylko mi serce kraje...

— Albo wiesz co, panie Dzięgielewski, szabli łamać szkoda, ale mi ją cicho, żeby ksiądz wikary nie widział, pod sutannę we fałdy włożysz. W rękach krzyż, nibym ja tylko ksiądz, ale tam, pod bokiem, szabla... Czujesz, jak z mego ogrodu pachnie, panie organisto?

— Czu-czuję... księże kan-n-nnoniku dobrodzieju...

— Testament jest tam, w biurku. Wszystko w porządku. Żebyś mi tu zawsze, panie Dzięgielewski, kwiaty w doniczkach podlewał i ogrodu strzegł. Nic nie sprzedawać, nic nie wypędzać. Na wszystko fundusz jest. Na dziady i na baby, na sieroty i kaleki, na zwierzyniec, na Marcina i Zagraja. Wszystko ma być, jak było, póki nie wymrze, albo nie wyrośnie i w świat nie pójdzie. U mnie było jedno serce dla całego świata. Sarnię bez kozy takiej litości warte, co i dziecko małe. Bóg wszystko stworzył, wszystko miłuje i o wszystkiem wie. Panie Dzięgielewski!

— Co ksiądz kanonik rozkaże?

— Bułanki panu Strzemieskiemu do Topolicy posłać. Broń Boże nie sprzedawać! On im łaskawy chleb da, bo niemi ostatni Załański jeździł. Mój dziad pannie Bronisławie Strzemieskiej, będąc nieco podchmielon, srebrny imbryczek z ręki wystrzelił, a potem jej do nóg padł i ona była moją babką. Stąd my krewniacy. Bułanki do Topolicy, siwki księdzu wikaremu na pamiątkę, bo on rad tą maścią jeździ i tych jednych się nie bał. Strzałę weźmie porucznik Kotwicz, to kawaleryjski koń. Może da Bóg jeszcze obaj nie tej trąbki będą słuchali, co dzisiaj. Ho, ho!... Fajkę z Marją Antoinettą i kałamarz bronzowy z Napoleonem także księdzu wikaremu. Z majątku mego będzie fundusz na zakład wychowawczy, a tobie, panie Dzięgielewski, przekazałem testamentem dwa buhajki, dziesięć tysięcy i jeszcze tam to i owo, a tu masz ciepłą ręką tę tabakierkę szyldkretową z rubinem, żebyś o starym księdzu pamiętał.

— Uu, uu, uu, księże kanoniku dobrodzieju!...

— A nie klękaj przede mną waść, nie całuj mię po kolanach, fe, wstyd, wszyscyśmy równi. A że ja mam więcej, to ci daję. Tak powinno być i koniec. A nie bucz tak, panie Dzięgielewski, bo ludzi pobudzisz... Narobią się dzień cały, potrzebują spać. Ja się też choć pół życia napracowałem, trza iść spać... A tak przecież dziwnie... Niby się wie, że się ma umrzeć, a tak dziwnie... Tu jutro już może człeka nie będzie, a tu żeby

choć jeden listek z lipy opadł, żeby choć jedno źdźbło trawy zawiędło... A przecież wszystko z jednego Boga wyszło, Bogiem trwa... Marność marności jest człowiek i nic tylko marność... Rok, dwa będą pamiętali, potem zapomną... Niech tam, byle Bóg miłosierny nie zapomniał... O resztę nic!

— Jak mi się też żywo przypomina, jakem tu pierwszego dnia przyjazdu po alei grabowej w ogrodzie chodził... Takie były te graby, jak i dzisiaj, rozłożyste i szumiące. Lat pięćdziesiąt, pół wieku z górą... Nie chce mi się wierzyć, żeby ta pszenica tak samo prosto rosła, a przecież będzie... Tyle lat. Com ja tu chrzcił, com tu pochował... O, jak to jasno.

Przez liście winne, które ganek gęsto obrosły, poczęła wmykać się światłość miesięczna, cicha i srebrzysta, zawisała na liściach i patrzyła w dół. Szum wiatru, poruszając liśćmi, jakoby przymykał i odchylał jej powieki. Ksiądz Piotr spoglądał jakiś czas w górę, potem głowa opadła mu ku piersi, a pan Dzięgielewski, któremu grube łzy spływały na wąsy, słyszał, jak staruszek szeptał:

— Niema co, niema co, trzeba iść. Teraz wieczór, jutro rano, ale trza... Jak to księżyc na mnie patrzy... Jakby mi jasność jaką zapowiadał niebieską. Ale kto wie... nigdym się niczego nie bał, com się to śmierci napatrzył w oczy, a przecież mi jakoś straszno... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu, Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu... Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa... A i krew jest na mojej duszy...

Opuścił jeszcze niżej głowę na piersi i milczał chwilę, ale nagle podniósł ją i silnym głosem przemówił:

— Mości Dzięgielewski, jak odśpiewają Requiescat in pace, każesz ze wszystkich moździerzy parafjalnych huknąć... Pamiętam w brzezince leci na mnie oficer dragoński, jak go chlasnę! Ale to było w dobrej sprawie, panie Dzięgielewski... Poprawno ten knotek w lampce przed Matką Boską Bolesną... Tak...

Poczem ksiądz Piotr przymknął powieki i począł drzemać, ale organiście się zdawało, że głowa opada staruszkowi coraz niżej i że oddycha coraz słabiej i słabiej. Trwało to czas jakiś, aż się pan Dzięgielewski zaniepokoił i miał już wstać, aby przywołać pannę Capikównę, gdy zegar uderzył dwa razy na wpół do dziesiątej i we drzwiach, wiodących z sieni do ganku ukazał się mały Ignaś Znajda w koszulinie i płóciennych majteczkach. Podszedł on ku fotelowi księdza Piotra i, pociągnąwszy go lekko za sutannę, ozwał się:

— Jegomość! Podźcie! Pani gospodyni kozeli podzieć i prosi, coby jegomość śli spać. Podźcie, dojcie renke! Pomalućku, boście starzy. Jegomość!

Ale kiedy ksiądz Piotr nie poruszył się, ani nie odpowiedział, wówczas Ignaś podniósł oczy na pana Dzięgielewskiego i spytał:

— Panie organisto! cy jegomość pomarli?

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

52. Śpiew Janusza.

Śpiewak wita wasze strony:
Niechaj będzie pochwalony!
Pokój z domem tym!
Śpiewak wita w ojców wierze,
A kto w dom go przyjmie szczerze,
Pieśń i Pan Bóg z nim!

Pieśń ojczysta, narodowa,
Prosta, rzewna a surowa,
Jak nasz lud i czas,
A więc w imię pieśni waszej,
Dziejów waszych i krwi laszej,
Witam, witam was!

Lubię tylko powitanie,
Niech też po mnie tu zostanie
Ten jedyny ślad,
Byście rzekli: Tu przebywał,
Tutaj Janusz nam zaśpiewał
I gdzieś ruszył w świat.

Byłem w Litwie i w Koronie,
Byłem w tej i w owej stronie,
Byłem tu i tam:
Od Beskidów do Pomorza,
Z Litwy aż do Zaporoża
Naszą ziemię znam.

Znam to całe szczere plemię,
Polskie morza, polskie ziemie
I tę polską sól;
I o wszystkiem marzę, roję,
I to wszystko niby moje,
Nibym jaki król.

Choć nieznany i ubogi,
Gdy nawiedzę czyje progi,
Każdy z duszy rad;
Czy to w dworze, czy w klasztorze,
Na słobodzie, czy w gospodzie,
Wszystkim Janusz brat.

Kędy bracia moi smutni,
Brat po mieczu i po lutni,
Niosę piosnkę im,
I, obecną słodząc dolę,
Na grochowskie ciągniem pole,
A sławą brzmi rym.

Czasem brząknę mej drużynie,
Kiedy czarna chwila minie,
I weselszy śpiew:
O Krakusach dzieciom nucę,
A powiastką w starych cucę
Staropolską krew.

Nieraz z dziadem w puhar dziarsko
Na powiastkę brzękniem barską,
Sławiąc polski ród;
Wówczas stary wre, jak z młodu,
Woła wnuczkę: „Nalej miodu!
Boć to polski miód.“

A cóż w świecie nad miód polski,
Nad kord stary, snop podolski
I nad polski śpiew?
Nad kraj wolny, własną niwę
I te Polki czarnobrewe,
I tę polską krew?

Siostry moje! córy Piasta!
Skąd to serce w piersiach wzrasta?
Skąd ta dusza wam?
Co to w piersiach waszych wierzy?
Co za dobro dla was leży
Za bojami tam?

My tej ziemi się dobijem
Lub w mogiłach znów ożyjem
W dziejach ziemi tej;
Lecz, kto groby wam ocuci,
Kto wam waszą młodość wróci,
Te nocy i łzy?

O! i jam znał różne bole;
Lecz o młodość, o mą dolę
Nie pytajcie mnie:
Dość wam, żem ja z krwi ochrzczony
Żem, w nieszczęściu poświęcony,
Znał niejedną łzę.

Moja skarga was nie znudzi;
Ja pieśń z ludu mam dla ludzi,
Żale toną w głąb:
Mego serca pieśni własnej
Słucha tylko miesiąc jasny
I stuletni dąb.

Hej mogiły! skały! zdroje!
Stepy! orły! dęby moje!
Z wami ja się znam.
Lecz ty, działwo, żądasz pieśni,
To już sobie Janusz nie śni;
Cóż zaśpiewam wam?

Czasem śpiewak zgadnąć umie,
Co się w głębiach piersi tłumi,
Bo i w nim ta krew;
Więc o Lachu, o orlęciu
I o krzywej szabli cięciu
Przynosi wam śpiew.

Bo to straszne sądy Boże
I krew lacka cuda może.
Jest i w śpiewie jad.
Jeszcze Polska nie zginęła!
Toż ta piosnka rdzą przecięła
Więzy tylu lat.

Lecz wy znacie, co to boje?
Co to orły? Co to zbroje?
I co wrogów dłoń?
Ile krwi się w sercach spiekło?
Ach! a ile jej wyciekło
Na ojczystą błoń?

W. Pol.

53. W drodze na łąkę.

„Oj dana, dana, dana,
Pod kopeczką siana.“

Dwunastoletnia dziewczynka zadrżała, przysiadła do ziemi, podskoczyła i puściła się galopem młodych nóg, w jednej ręce

trzymając dwojaki, drugą podgięła do kolan spódniczkę, aby jej nie przeszkadzała w biegu. Dana, dana, dana, falowało w powietrzu. Wietrzyk je rozbijał i poszarpane pędził na Brzezinki, strumyk, wijący się obok drogi, gnał gdzieś w górę lub przybijał do ziemi.

Każde tętno głosu, które wraz z zapachem świeżego siana dolatywało do dziewczęcia, przyśpieszało jej bieg. Pierwszy raz siano grabili tego roku, pierwszy raz niosła ojcu obiad na łąki!... Ach, jaki zapach rozkoszny... Słońce było wysoko, obejrzała się, nikogo z dwojakami na drodze, pewno już obiadują, a tatusiowi jeść się chce okrutnie. Słyszała głosy z łąk, lecz nie widziała ani kosiarzy, ani grabiących dziewuch. Naprzód więc radaby wyprzedzić własne myśli, ale cóż, nieszczęście...

Na drodze, jak Żydówki w szabas, wolno przestępując z nogi na nogę, pochylając się na prawo i lewo i szwargocąc między sobą, jako one, maszerowały gęsi stare z młodemi, jak rozwinięty szwadron kawalerji, zajmując całą drogę z wyciągniętemi, długiemi szyjami, podobnemi do dzid. Złośliwy syk i gęganie, oznaczające hura ataku, napełniało powietrze.

Dziewczynka stanęła, namyślając się chwilę, jakie kroki wojenne należy przedsiębrać dla szybkiego zwalczenia nieprzyjaciela.

— Przebić się przez kolumnę i pomaszerować dalej.

Decyzja[1]) nastąpiła w jednem mgnieniu oka, i w jednem mgnieniu oka przystąpiono do wykonania planu. Dwojaki zamienione zostały w taran[2]) i tarczę, pod której osłoną usiłowano rozbić nieprzyjaciół. Usiłowania się nie powiodły. Prawe i lewe skrzydła, zachodząc pośpiesznym marszem, otoczyły nieprzyjaciela, rażąc czerwonemi dziobami czerwone nożyny i suche, a również czerwone łydki dziewczęcia. Szczypania rozzuchwalonych gęsi są bolesne, a tem dotkliwsze, im prędzej poznają one słabość przeciwnika.

Należało się przebić lub cofać. Przebiłaby się dziewczynka z pewnością, gdyby nie nadciągnęła rezerwa[3]), w postaci drugiego szwadronu. Cztery szeregi gęsi, dzioby takie ostre, a nożyny tak suche. Cofnęła się pośpiesznie, a unikając pogoni, dwojaki postawiła na drodze, przeskoczyła rów przydrożny, wyrywając z płotu gałąź.

[1]) Postanowienie.

[2]) Machina oblężnicza do rozbijania murów fortecznych za dawnych czasów, przed wynalezieniem prochu.

[3]) Wojsko pomocnicze, stojące w odwodzie.

Trzask obrywanej gałęzi przeraził nieprzyjaciela, który, nie czekając na ponowienie walki, ustąpił, przeprawiając się na drugą stronę drogi, przy akompanjamencie[1]) poważnego i umiarkowanego gęgania.

Dziewczynka pogroziła ułamaną w płocie gałęzią nieprzyjacielowi, zabrała dwojaki i poszła dalej.

Minęła szczęśliwie wieś. Za wsią ciągnęło się szeroko i długo błonie, przecięte strumykiem, poza którym rozpoczynała się łąka. „Dana, dana, dana“ zadźwięczało w powietrzu, dziewczynina rzuciła się w lewo, przebiła się przez rów, wygramoliła na błonie i lotem strzały pogoniła za odgłosem.

Młode źrebaki galopem wybiegły na jej spotkanie, zbliżyły się o kilkanaście kroków, popatrzyły, zarżały, wierzgnęły raz i drugi i pobiegły naprzód, że aż ziemia zatętniała. Za niemi wysunął się osiełek. I on lekkim kłusem poleciał do dziewczęcia, stanął, strzygł długiemi uszami, a wielkie, zdziwione, na wierzch osadzone oczy wytrzeszczał. I on także ryknął, wierzgnął i za źrebakami pogonił. Dziewczynka się rozśmiała, podskoczyła, jak źrebię, i uszczęśliwiona dopadła na granicę łąki do strumyka.

I znowu nowe nieszczęście! Kładka przy ścieżce znikła. Albo ją chłopcy ściągnęli, lub ludzie na ogień zabrali, przeprawa została zerwana. Wprawdzie pochylona, skutkiem usunięcia się ziemi, wierzba łączyła oba brzegi. Możnaby było przejść suchą nogą na drugą stronę, gdyby troszkę szczęścia i odwagi. I gdyby nie dwojaki, pełne kartofli i mleka z kluskami!... Mała próbowała przeprawić się, postawiła drobną, bosą nogę na okrągłem drzewie, uniosła się, przyciągając powoli drugą. Stanęła, wyprostowała się, serce jej zaczęło bić mocno ze strachu nie o siebie, lecz o dwojaki, i bokiem zaczęła się powoli posuwać, aby równowagi nie stracić... lecz gdzie tam, zaledwie parę razy przesunęła nogami, zachwiała się i, chcąc uratować nie siebie, lecz dwojaki, skoczyła z drzewa na ziemię. Skok był pomyślny, tylko dwojaki straciły równowagę i zachwiały się, skutkiem czego mleko wystąpiło z brzegów, płynąc po zewnętrznej stronie garnka. Mała, chcąc zatrzeć ślady niepowodzenia, oblizała szybko językiem białą powłokę i, rada z siebie, że cało wyszła z nieszczęścia, dwojaki postawiła na murawie, sama zaś zabrała się do szukania bezpiecznej przeprawy, w dość głębokiej na jej wzrost wodzie strumienia. Woda była wyżej kolan, grunt zato twardy, nie było obawy o upadek;

[1]) Przy wtórze.

zatem dwojaki przeniesione być mogły. Dla bezpieczeństwa dwojaki umieszczone zostały na głowie, okrytej chustką, spódniczka podkasana, nożyny szukały trwałego oparcia i, chociaż woda zimna, bo wczoraj deszcz padał, mała szła raźno i przytomnie, zajęta myślą przeprawienia na drugą stronę dwojaków. Strumień wprawdzie nie był tak szeroki, jak Dunaj, wymagał zawsze wielkiej przezorności, stanowczości, a nawet ryzyka w przeprawie.

Śmiałym szczęście sprzyja, dzieweczka, pełna niepewności i radości, wyciągnęła drżącą rękę, chwytając nią zieloną, wypłukaną w wodzie trawę przeciwległego brzegu, nie zważając na zamoczenie spódniczki.

Łatwo zdobyć brzeg, lecz opanować go trudniej, gdy jest stromy. Tak, opanować go z dwojakami na głowie nie jest łatwo. Ach, gdyby nie te dwojaki, mała westchnęła, szukając oczami ratunku. Jako ratunek, znalazła wydobytych z ziemi kilka pręcików wierzbiny. Nietrudno było do nich się dostać, chwytając się ręką nadbrzeżnych traw i zwolna posuwając się za biegiem wody. Mniejsza o spódniczkę, byle ratować dwojaki. Podniosła się na palcach, zdjęła z głowy drogi ciężar, pochyliła się, wyciągnęła rękę i nareszcie pochwyciła wiotkie, lecz mocne wicie wikliny.

— Cóż dalej — szepnęła — co dalej...

Należało złożyć ładunek, tym sposobem uwolnić drugą rękę i wydobyć się na płaszczyznę łąki, z której głosy i śmiechy coraz wyraźniej dobiegały, świdrując serduszko dziewczynki.

Postawić dwojaki, pełne mleka i kartofli, na spadzistej pochyłości, ciężkie zadanie. Nie było innej rady, musiała puścić trzymane w ręku pręciki, aby tą samą ręką wyrobić w piasku podstawę dla niesionego ładunku. Szczęściem znalazł się spory kamień, jakby umyślnie zagłębiony do połowy w piasku.

— Wydobyć go — strzeliła myśl, jak błyskawica, i mała ręka zaczęła pracować. Ochwierutany[1]) kamień, a potem zważony, wytoczył się i spadł do wody, pluskiem swym zalewając oczy naszej pracownicy.

Mniejsza o oczy, jeżeli dwojaki zostaną uratowane, przetarła je ręką i zobaczyła w połowie brzegu jamę, w którą jeden dwojak mógł być swobodnie ustawiony. Wstawiła cięższy, napełniony mlekiem i kluskami, drugi przylepiony do pierwszego, a przyparty do ściany, nie psuł równowagi.

[1]) Obruszany.

Radość aż do bicia serca z dokonanego czynu! W tak ważnym wypadku nie myślimy o spódniczce, która przez pewien czas, jak balon, unosiła się nad wodą, później wolno, wolno tonęła i utonęła. Dziewczynka po raz drugi gorączkowo pochwyciła wikliny i z ich pomocą wygramoliła się na kolanach z wody. W dalszym pochodzie do wydobycia się na wierzch pomagały gałązki lucerny[1]) i esparcety[2]), różowo kwitnące... Jeszcze jedno wysilenie, i już stanęła na brzegu...

Sewer (*Ignacy Maciejowski*).

54. Mazur.

Mazur ci ja, Mazur,
Z pod Warszawy rodzic[3]),
Nie żaden pan baron,
Ani wojewodzic.
Najprzód mnie uczono
Grabić w łące siano,
Na stodole młócić,
Czterma końmi włóczyć;
A kiej mnie już byli
Wyhejdukowali[4]),
To mnie ożenili,
Za żonę wydali.
Siano, jako siano,
Cielok, jako cielok,
Ale z miłą żoną
Człowiek smutny wselok.
Bodaj to parobkiem
Chodzić sobie sobkiem,
Capka z fantazyją,
Sukman granatowy,
A w taneczku biją
Iskrami podkowy,
Stalowy obcasik
I czerwony pasik.
Juścić mieli racją
Dawać hedukacją:
Lec, ze zonkę dali,
To się pomylali:

[1]) i [2]) Rośliny pastewne.
[3]) t. j. rodem z pod Warszawy.
[4]) Wyedukowali

Cłekby miał ochoty
Podobać się komu;
A tu krzycy z chaty:
„A pójdzies do domu!“
Bóg się nie zmiłuje,
Toć mnie gnębią wszyscy,
Zona mnie pomstuje,
Dziecko w łóżku piscy,
A dymem z komina
Dymi chałupina.
Niech je tam wciornoscy
W tym ostatnim dzionku!
Zostanę ja w wiosce
Chyba na postronku.
Jak jeno zaświta,
Z moją zonką kwita,
Zostawiam stodoły,
Dwa konie, dwa woły,
I pscół ćtery pieńki,
W skrzynce dwa dukaty:
Na nowe sukienki
I cycowe[1]) szmaty;
Nie pierwsej młodości,
Nie będzie w załości.
Pójdę do starsego,
Zamelduję mu się,
Powiem, zem z Dębego,
Ze mieskałem w lesie;
Mam z sobą fuzyję,
Co niezgorzej bije;
Lepiej w wojsku strzelcem,
Niż w chacie wisielcem,
Bo przysięgam Bogu,
Jakem Maciej Dzwoniec,
Żeby mi w chałupie
Przysło na ten koniec.

T. Lenartowicz.

[1]) Cyc — tania tkanina bawełniana.

55. Banasiowa.

. . . . . .

Niechże i tobie będzie tutaj karta,
Staruszko moja, na kiju oparta,
Coś mnie tak zeszła wśród ciszy i słońca,
Białością swoją cała srebrniejąca,
Jak schodzi czasem z swojego ukrycia
Prosta i mądra w prostocie — myśl życia

. . . . . .

Południe było ciche i gorące. Park łyczakowski we Lwowie zdawał się topnieć w powietrzu rozjarzonem, drgającem od natężonych, promienistych blasków.

W złoto-zielonej sieci, splątanej z cienkich nitek siejącego nawskróś cienistej lipy słońca, wisiał przede mną nieruchomo prawie i bez brzęku omdlały rój drobniuchnych muszek; nad niedalekim trawnikiem polatywały białe motyle krótkim, niskim lotem, zapadając głęboko między trawy; żwir błyszczał oślepiająco na krzyżujących się wprost ławki ścieżkach, a silne, zmieszane wonie biły w powietrze, jakby z kadzielnicy. Wszystko to przyszło nagle po bardzo świeżym i pełnym ros rzęsnych poranku, gdy słońce, białe prawie, wytoczyło się wysoko, jak kula, uderzając całym żarem w dyszącą i spotniałą ziemię. Park był pusty. Ci, co tu bywają rankiem, już odeszli, ci, co szukają cienia i chłodu, nie przyszli jeszcze. Natężone gorąco zdawało się wzmagać wśród zupełnej ciszy, a oddalone cykania koników polnych podobne były do lekkiego trzasku niewidzialnych, podsycających żar południa iskier.

Naraz usłyszałam za sobą pośpieszny stukot kija. Obejrzałam się. Ku ławce mojej szła drobnym, pośpiesznym krokiem mała, mocno do ziemi przygięta staruszka. Biały jej czepiec olśniewająco srebrzył się pod słońce, równie jak biała, skrzyżowana na grubym kaftanie chustka i takiż obszerny fartuch. Jedno jej ramię obciążone było koszem, drugie wyciągało się miarowo, stukając niewielkim kijkiem, który nogom za podporę służył, a i oczom pomagał może.

Daleko jeszcze było, kiedy już usłyszałam jej oddech krótki i ciężki. Widocznie śpieszyła do ławki, by spocząć i kosz na niej postawić. Wyschłe jej nogi dreptały z wielkiem wysileniem, plącząc się coraz prędzej i krzywe stawiając kroki; głowę miała tak schyloną, żem oblicza jej dojrzeć nie mogła. I ona też zapewne nie widziała mnie wcale. Dopiero kiedy cień mój znalazł się tuż przed nią, wstrzymała się nagle, rozprostowała nieco i twarz podniosła ku mnie. Jaka to była sieć zmarszczek! Życie, co przędło nitki tej sieci, musiało być długie, bardzo

długie; musiało też nie spoczywać nigdy. Musiało ono rankiem przy ogarku do pracy się brać, a kończyć ją napół ślepo, o pianiu północnych kurów. Musiało na szare wrzeciono swoje wytargać z tej piersi wszystkie włókienka; musiało nić swoją rwać, plątać i znów rwać, i znów plątać, nie wygładzając węzłów, tylko śpiesząc, śpiesząc, śpiesząc...

Stała tak chwilkę, jakby w zadziwieniu, mrugając małemi, szaremi oczkami, poczem znów się ruszyła, do ławki podeszła i kosz, do połowy napełniony piernikami, o nią oparłszy, odetchnęła głęboko raz i drugi.

— Gorąco — przemówiłam, aby coś powiedzieć.

— A dał Pan Jezus, dał! — odrzekła, ocierając wyschłą ręką pot z bladej, jak opłatek, twarzy. — Przypadek taki naszedł, co strach!

— Siądziecie może trochę?

— I... co ta siadać, proszę łaski pani! Tak się aby zeprę. Starocie takiej to i sieść i wstać trudno. Zaraz cości w krzyżu trzeszczy...

— Ileż sobie lat liczycie?

— A cóż ja ta mam je liczyć, proszę łaski pani. Pan Jezus je ta beze mnie liczy... Zawszeć będzie tego z osiemdziesiąt chyba... osiemdziesiąt, abo i więcej. Tak z pamięci to trudno wszystko do kupy złożyć, ale że w naszej parafji ludzie wiedzą... papiery na to są...

— Toście nie tutejsi, matko?

— Cobym zaś, proszę łaski pani, tutejsza miała być? Z Wadowic jestem, z miasteczka. A jakże! Ino że teraz osada się tam zrobiła i insze porządki są. Ale zawsze mnie tam ludzie znają. Banasiowa, ta i Banasiowa, mały, duży o mnie wie, co i jak.

— I takeście do Lwowa przywędrowali?

— A gdzieby ja tam do Lwowa, proszę łaski pani! Abo mnie to Lwów co da, abo i pomoże? To tam młodym dobrze ubiegać po świecie i pod wiater dmuchać, ale nie na moje lata! Ino, że tu dzieci mam, niby córkę, co za goździarzem we fabryce je... A jakże! To jak mnie ta święta ziemia zaczęła do siebie wołać, takem do nich na śmierć ściągła. Zawszeć to u swoich lżejsze umieranie. Nie daj, Boże, ciężkiego konania, to choć słomy na izbie rozścielą i tej duszyczce z grzesznego ciała wyjść dospomogą.

— I dobrze wam u dzieci?

— A cóż? Dobrze. Staremu wszędzie dobrze, bo już od złego nie ubiega. Ino, że mi się tak nie wyszykowało, jakem sobie umyśliła.

— I z czemże wam się tak nie wyszykowało?

— Ano, niby z tem umieraniem, proszę łaski pani. Tu na śmierć do dzieci ściągłam, a tu precz żyję, taj żyję. Pecherzynka się, ot, taka widzi, co to dmuchnąć i tyla, a tu takie twarde życie we mnie, co niech ręka boska broni! Ze samego początku, to tam kramu żadnego, chwalić Boga, nie było. Zameldowali mnie pięknie, ładnie; bywało, zięć na robotę do fabryki idzie, córka się po stancji kręci, a ja wedle pieca siądę, pierza sobie, com ta miała zebranego poduszczynę, drę, pacierz mówię i onej ostatniej godziny czekam. Czekam miesiąc, czekam dwa, nic. Aż mnie coś przenika z tego czekania. Tak przychodzi raz w niedzielę stróż i powiada: A wy, Pietrze, — niby, że to zięciowi Pietr ze chrztu świętego — matce kartę-pobyt szykujcie, kiedy u was siedzi. Tak zięć się zastanowił i powiada: A siłaż to tam tego? Tak stróż powiada: A dwa złote przez kwartał. Ano poczęstował go zięć tabaką, poszedł! Jak też poszedł, tak mówię ja Pietrowi: Naco mi, synku, ta karta-pobyt, kiedy ja tu na śmierć ściągła, nie na życie? Ino we mnie tchu patrzeć, bom strasznie mdła na wnątrzu. Tak córka się odzywa: A bo i prawda! Co się ta będziesz kosztował, kiedy matce dziś a jutro. Ano, tak my się wszyscy na jedno zmówili, i cicho i dobrze. A uderzały na mnie, proszę łaski pani, takie słabości, takie poty śmiertelne, że to każda kosteczka trzęsła się we mnie, jak ten liść na wietrze, a przed oczami jakby kto sadze sypał, taka czarność szła. A drugi raz, to jak mnie zaczęło w krzyżach łamać, to żeby tam troiste zorza na niebie stanęły, toby człowiek do nich głowy nie wzmógł dźwignąć. Więc takem sobie na rozum brała, że to ta niedługie już rzeczy ze mną. Ale co ta grzeszny człowiek może wiedzieć. Zeszedł kwartał, zeszedł drugi, nic, precz żyję. Licho co zjem, na ziemi pod piecem się prześpię i żyję. A jakże! Aż mi dziwno. Czy też Pan Jezus — myślę ja sobie — nóżką swoją przenajświętszą moją liczbę przystąpił, czy co?... Tak raz wraca zięć z roboty, a tu za nim stróż we drzwi. Bójcie się Boga, Pietrze — powiada — cóż z tą waszą matką? Na śmierć, mówicie, ściągła, a tu już trzeci kwartał żyjąca je i karty-pobyt nie płaci. Już na drugie tyla kary narosnęło. Insze lokatory to tam same za siebie myślą, ale wedle suteryn, to mnie naczelnik przykazał za tem patrzeć. Żeby się tak dowiedział, toby i mnie i wam była bieda. Róbcież jaki porządek z tym interesem, abo w tę stronę, abo w tę stronę, bo to już tego więcej niż dziesięć złotych będzie. Tak się Piotr zafrasował, czapkę na stół cisnął, i jak stanął na wpośrodku izby, tak stoi i w głowę się drapie. A córka się zara zapaliła na twarzy i po-

wiada: Matka też to, Boże odpuść, nie wiedzieć po jakiemu się wyrachowała! Na umieranie ściągła, a tu umieranie, gdzie! Drugi człowiek to i na starość rozumu nie ma. Gdzie tu tera walić dziesięć złotych, a jeszcze nie koniec! Tak Pietr na nią: Cichoj, Franka, nie mamrocz, nie wiesz jeszcze sama do siebie, na co ci przyjdzie, że to miłosiernego serca, proszę łaski pani, był, muchyby nie zabił. A jakże! Ano rada w radę, dał zięć stróżowi dwadzieścia i trzy grosze, żeby ta jako zachraniał aby do czasu, aby do czasu, że to niby, co drzwi skrzypną, to śmierci patrzeć. Jak mu też te dwadzieścia i trzy grosze dał, tak mnie ino pod sercem ścisło. Córka się też złością zajęła, garnek cisnęła pod stół, mało się nie rozleciał, ale że już nic nie mówiła. A co to, to niema dziwu! Tera tyle pieniędzy wal, tera wykład taki... I żeby to człowiek za to zjadł, abo wypił, ale tak po próżnicy...

Odetchnęła głęboko i otarła pot kroplisty z czoła.

— Łyżki strawy żałować, to mi nie żałowali, Pan Bógby mnie skarał, gdybym mówiła inaczej. Co prawda, to ta człowiek niewiele ich tem jadłem ukrzywdził. Pochlipał ta parę łyżek, co w misce ostało i już. A co? Takiej ta grochowinie, to i nie pięknie młodych objadać. Każde lata mają swój porządek. Staremu, to ta zarówno, choć i przymrze głodu, bo i tak się do roboty nie porwie, a młody stanąć musi na każdy czas we swoim obowiązku. Nie skąpili mi ta nigdy, ani zięć, ani córka; ale taka utrata...

Przestała mówić i chwiała głową siwą.

— No i cóż dalej?

— A no co! Przyszła druga zima i nic. Stróżowi się ta podetkło co nieco i cicho. A mnie ino przez jedno w głowie, że mi się tak nie wyszykowało, jak ja sobie myślałam. Ludzkie pomyślenie, głupich pocieszenie... Pókim jeszcze pierza nie zdarła, to co mi się wspomni, to sobie mówię: niech ta! niech im ta choć poduszczyna po mnie ostanie; ale jakem pierze zdarła...

Aż tu mnie na zezimek znów po kościach łamać zaczęło, kaszel mi się też przyplątał, dychawica jakaś... Franka! — mówię do córki, — już tera będzie koniec, bo i tchnąć za kaszlem nie mogę. A córka: Co ta matce będzie! kaszel nie kaszel, jakby kijem za psem ciskał. Że to ją serce gryzło o to podtykanie stróżowi, proszę łaski pani... Tak, nie wymawiając Panu Jezusowi, zaczęłam ja dwa dni suszyć do Przemienienia Pańskiego. Bo już mnie i wstyd było przed ludźmi. W całych suterynach wiedzieli, żem do dzieci umierać ściągła, to co kto pojrzy na mnie, to się dziwuje... A jakże! Z początku to mi ta zięć nie dał suszyć. Co ta matce po tem, powiada, Pana

Boga kusić! Co ma przyjść, to i tak przyjdzie. Tera, na zezimek, najwięcej starych umiera, to ta i bez suszenia na matkę trafi. Ale żem sobie przeperswadować nie dała.

— I pomogło?

— A pomogło! Na trzeci tydzień tom tak zesłabła, żem już stancji zamieść nie mogła, gdzie! ani wody przełknąć. Śmierć moja — myślę ja sobie — i zara mi się lżej na sercu zrobiło. Umyłam się pięknie, ładnie, oblokłam czystą koszulę, siadłam na progu, paciorek sobie święty mówię i czekam. A tu takie białe chmurki niebem idą, a tu słońce przyświeca, a wróble świegocą, że to już niby wszystko wiosnę poczuło. Jak na to uderzyły dzwony nad miastem... Tak mówię ja sobie: wieczny odpoczynek racz mi dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mi świeci na wieki wieków, amen... I zaraz mi się same oczy przymknęły, i taka słodkość po sercu mi poszła, jak kiedy się człowiekowi na lekki sen zbierze. Aż tu ktoś idzie, butami stuka. Patrzę ja, stróż idzie. Papier niesie, do policji woła, do kancelarji niby o tę kartę-pobyt... Myślałam, że się ziemia przede mną rozstąpiła. Pietra nie było w domu, córka prała, to ta do niej i nie gadać wtedy wiela, tak weszłam do stancji, stanęłam i stoję, nie mający się zaradzić kogo.

Żeby Pietr w domu był, toby ta stróża czem niebądź uładził na tę chwilę, a tu już może do wieczora byłoby po kramie. Ano, nie było Pietra. Stoję ja, medytuję, a córka niesie garnek z ukropem do balji. Tak potrąciła się o mnie, i powiada: Co matka będzie na drodze stać, jak ta męka pańska, kiedy tu niema czasu omijać? Kiedy wołają do cyrkułu, to iść. Trza było wpierw wymiarkować, jak i co, nie tera mędrkować po niewczasie. Ano, mówię, twoja prawda. Takem się odziała chustką i idę. Pan Jezus Przenajświętszy zapisał ta sobie tę moją dróżkę... Inom się murów chwytała, jak ten pijany, ino mi się mroczki w oczach robiły, a takie zimno i gorąco przeze mnie szło, jakby mnie kto wodą polewał i ogniem parzył. Ano zaszłam. Jakem też zaszła, tak patrzę, siedzą panowie u stołów, jeden spaniały w sobie, drugi czarny taki i jeszcze trzeci. Tak się zaraz pokłoniłam i mówię tak i tak. A oni precz rękami machają, nie tu i nie tu... Tak poszłam dalej. Ale i tam mi jeden, młody taki, powiedział, że nie tu. Tak mnie sobie podawali od stołu do stołu, a ze mnie już ostatnie siły wyszły. Aż nareszcie zmiłował się ta jeden, taki chuderlawy, i palcem mi do drugiego pokoju pokazał, gdzie siedział sam starszy. Stanęłam ja przy progu i stoję, a tu nogi ino pode mną dygocą. Tak się starszy odwrócił. Jak się też odwrócił, tak zara pyta: „co? jakie dzieło?“ Tak ja

jemu powiadam wszystko od początku. Wysłuchał i znów pyta: „jakie dzieło?“ Tak ja jemu znów od początku powiadam, jakem tu do dzieci na śmierć ściągła, jakem karty-pobyt nie wykupywała, że to niby dziś a jutro takiej starocie, jak Pan Jezus Przenajświętszy zapomniał o mnie i precz żyję i tera mnie tu wołają. Tak starszy dzwoni. Jak zadzwonił, przychodzi drugi, w takich guzikach... Dopieroż mnie się pytać jeszcze raz o wszystkiem od początku. Jak mnie też wypytali, tak starszy powiada: no, moja kobieto, należy się od ciebie pięć papierków z połową. Jak ja to nie usłyszę, jak nie załamię rąk... Pięć papierków! Jezu Chryste! A toć rychtyczek tyla, com na swój pochów Pietrowi dała, kiedym do nich ściągła... Tak zara na mnie mdłość uderzyła i o ścianę się, jak nieżywa, sparłam. Niby stoję, niby skróś ziemi lecę, niby patrzę, niby nie patrzę, a w głowie taki szum, jakby po niej wicher chodził. Pozrywali się ta oni panowie, ten w guzikach po wodę poleciał, ten drugi na krzesło mnie sadzać chciał... Widzę ja, że taki miłosierny, ludzki pan, tak buch jemu do nóg. Panie! — mówię — wielmożny panie, wielmożny komisarzu! A skądże ja tyle pieniędzy wezmę? Skądże ja to sierota, opłacę? Wielmożny panie! — powiadam — niech ino wielmożny pan spojrzy po mnie! Toć to wiór suchy, kostki spróchniałe, próchno... Ledwo się ten ostatni duch ma po czem kołatać. A toć ja nic zastępuję nikomu nijakiego placu na świecie... Na garsteczce słomy pod piecem legam, wody kapkę wypiję, jak ten wróbel skubnę tej strawy... powietrza też nie ukrzywdzę, bo ledwie dech złapać mogę, ani słonyszka tego, bo w suterynach siedzę, to tam go i nie ujrzyć nawet... Ja wiem, wielmożny komisarzu, że już mi dawno czas na umieranie! A co zrobić, kiedy takie twarde życie mam w sobie! Niech mi już ta wielmożny pan odpuści! Daruje! A toć ja sama tej śmierci wyglądam a wyglądam, co dnia, co godziny... Jużem ci ja ten pobyt zapłaciła Panu Jezusowi, na chwałę Jego Przenajświętszą. Trzynaściorgo dzieci miałam, pochowałam siedmiorgo, jak tych kwiatuszków bieluśkich, dwóch mi synów w rekruta wzięli, żołnierzyków takich młodziuśkich, że to krew z mlekiem... jeden mi chłopak w rzece utonął, jedna córka do miasta uciekła, jeden najmłodszy spalił mi się na strychu śpiący, jako ten wróbel pod strzechą... Toż ta Pan Bóg Przenajświętszy już ze mnie wybrał ten pobyt i rodzeniem i żałością i pracą ciężką i głodem i krwawym płaczem i onemi mogiłkami ze żółtego piasku...

Zamilkła, a po jej wyschłej twarzy leciały wielkie łzy, w jasności słonecznej złote, jedna drugą strącając. Zapadłe

wargi drżały niedomówionemi słowy, a stara głowa trzęsła się bezmocnie... Zaprawdę, Bóg wybrał już z tej istoty ludzkiej opłatę za „pobyt“ do ostatniego szeląga.

— I cóż? — spytałem zcicha, gdy się uspokoiła nieco.

— A cóż! Musiałam zapłacić. Pięć papierków, pani moja, jak lodu. A jakże! jeszcze mi Pietr pół papiera ze swoich dał. Co było na pochów, poszło... Niech im ta Pan Bóg Przenajświętszy nie pamięta! A to i oni, chudziątka niewinni, ino, że takie prawo je... niby przykaz taki...

— A teraz handlujecie?

— Gdzie ja ta, proszę łaski pani, handluję! Przedałam onę poduszczynę, papiera mi za nią dali i złoty przez pięciu groszy, to zara dwa złote poszło na nową kartę-pobyt, niby od kwartału, a z reszty tak oto człowiek grosza dogania, coby aby w te kary znów nie popaść. A co? Jak takie twarde życie we mnie je, to może jeszcze i ten rok płacić będzie trzeba...

Zapatrzyła się przed siebie, podniósłszy wysoko brwi siwe, wypełzłe i chwiała głową na obie strony, jakby w wielkiem zadumieniu nad porządkiem świata...

Marja Konopnicka.

56. Ladaco.

Kogut, krzykliwe licho,
Nie siedziałby to cicho!
Mała bo nocka, mała,
Jeszczem się nie wyspała.
Nie wstanę taki z rana,
Doprawdym spracowana;
A mnie do pracy szkoda,
Bom sobie hoża, młoda.
Gnała mię matka wczora:
„Pleć żyto, póki pora.“
A jam nie pełła żyta;
W bróździe leżała skryta.
Do rąk się buja kwiecie,
Wianeczek sam się plecie
I wracam w samą porę,
Bo liczko mi ogore.
Matka się w chacie krząta:
Z tego, to z tego kąta
Wynosi wciąż łakocie
Dla dziecka — po robocie.

Wylegam się na ławie,
Z kotkiem się swoim bawię;
A stoi kądziel z przędzą,
I robić znowu pędzą.
Nudzę oj! u kądzieli;
A w nudach pieśń weseli,
Pieśnią też zabawiona,
Naprzędłam — pół wrzeciona.
Słońce upada z nieba:
Po wodę hej! potrzeba.
Lecęż co tchu poskocznie,
Zanim się zmierzchać pocznie.
Na kładce nuż w swawole,
Pląsać, to mrugać w pole,
Wlot zdala młódź się zrywa,
Bom taka czarnobrewa.
Przy cudzej dobrej woli
Oj, głowa nie zaboli;
U chłopców jest ochota:
Niosą mój dzban we wrota.
I łaje oto matka,
Łaje na młode latka;
I nie wiem, nie wiem, zaco
Ludzie mnie zwą: ladaco!
Nie wstanę taki z rana,
Doprawdym spracowana;
Mała bo nocka, mała,
Jeszczem się nie wyspała.

J. B. Zaleski.

57. Polowanie na Łysicy.

Nagły, daleki, jadowity głos drgnął w lasach. Za pierwszym ozwał się drugi, rzewny i czysty, niby miąższy[1]) tenor. Rafał ocknął się jak ze snu i machinalnie dźwignął strzelbę do twarzy. Po chwili oprzytomniał i napastnicze oczy w las wlepił. Pierzchły marzenia. Słońce przypiekało, wzmogły się powiewy ciepłego wiatru i ze wszystkich drzew leciały raz wraz na ziemię ogromne płaty lepkiego śniegu.

— Psy gonią... — szepnął do siebie.

Wistocie słychać już było dźwięk dwu głosów, Niemna i Wisły, ale tak daleko, gdzieś w ciepłej kniei, na południowym

[1]) Pełny, silny.

stoku łańcucha gór, że tylko młode ucho mogło rozróżnić to granie. Echo płynęło zwolna, jakby w znużeniu, ale zbliżało się ciągle. Nim jedno krańców leśnych dosięgło, już płynął w pościgu rzeźwy huk, niby muzyka złowroga, pełna dzikiego czaru, gwałtu i siły. Młody mężczyzna obejrzał starannie panewkę swej broni, troskliwie przyjrzał się suchym i lśniącym ziarenkom prochu. Zaczaił się i cały przeistoczył w narzędzie śmierci. Tęsknota, jaka mogłaby zdusić życie, osiadła w jego oczach i zmieniła je we dwa pociski. Serce głośno biło w piersiach i każdem uderzeniem zdało się również czatować.

Psy nadciągały bliżej, bliżej... Już można było rozróżnić same głosy.

W pewnej chwili od szczytu góry dał się słyszeć tępy, jednostajny, rytmiczny odgłos biegu: duch-duch, duch-duch... Serce w słuchającym zamarło i ustało. Trzasła w pobliżu gałązka. Przez chwilę gęściej, obficiej śnieg się posypał... Oto z pomiędzy zarośli młodej świerczyny wysunęło się stado sarn, a na ich czele szedł z wysuniętą głową ciemno-orzechowy rogacz. Rafał wziął go na oko, przycisnął kolbę do szczęki i położył palec na cynglu. W tej samej chwili sarn stanął. Przednią lewą nogę podniósł, odwrócił śliczną głowę z rożkami i uważnie nasłuchiwał. Z całego stadka para szła gęsta.

— Na komorę... — marzył Rafał, kierując lufę pod przednią łopatkę kozła.

Nagle olbrzymia czapa mokrego śniegu runęła na jego ręce, twarz, kolbę i panewkę. Pociągnął za cyngiel. Krzemień sucho trzasnął, ale iskra nie zapaliła zmoczonego prochu. Gdy młodzieniec przetarł oczy, ujrzał już tylko sarnie nogi, wytężone, jak stalowe sprężyny, i białe ich „talerze". Przesadziły najwyższe stojące szczyty chojaków i znikły. Tylko te szczyty zielone i giętkie jeszcze długo drżały i kiwały się, a śnieg leciał niespokojnie z potrąconych gałęzi.

Ujrzawszy, że znowu jest sam na tem miejscu, Rafał ze wściekłością cisnął strzelbę w zarośla, a sam runął na ziemię, dusząc się od łkania.

Ocucił go strzał, po nim drugi. Jak gromy, rozległy się i długo huczały w lesie. Po ostatnim dało się słyszeć z dołu, w połowie wysokości górskiej, nawoływanie:

— Na-hohoho! Na-hoho! Na-hoho!

Psy uciły. Zaraz potem drugi głos, bliższy Rafała, odpowiedział jednostronnie tym samym sposobem.

Młody myśliwiec jeszcze przez czas pewien leżał na ziemi, pękając ze złości. Po chwili jednak zerwał się na równe nogi, strzepnął śnieg z siebie, odszukał w krzakach pojedynkę. Wy-

tarł oczy i, na podobieństwo sarn skacząc przez choiny, pomknął na dół.

W odległości kilkuset kroków stał nad zabitym rogaczem ogromny chłop w krótkiej, brunatnej sukmanie i oglądał uważnie swoją małą fuzyjkę.

— Zabiliście, Kacper! — szepnął Rafał, zdyszany od biegu.

— Ij... tak mi się ta nawinął... Sam nawet nie wiem, jako to być mogło. Myślałem se, że tego kozielka to przecie jaśnie panicz położy.

— A kiedy nie wyszły na mnie... — rzekł Rafał, czerwony, jak burak.

— O, hery! Widzicież wy, moi ludzie... A na to miejsce przecie wagę miały[1]). Nie wyszły i pokój! A już ta pod tym bukiem niejeden wygarnął. Czasem to tam nawet dłużej przystaną i wezmą szukać wrzosu, aby chwycą wargami, ile zdolą, młodych koniuszków jedli. Poszły bokiem... — mówił stary wyga, wlepiając z jawnym śmiechem w młodzieńca swe wypełzłe oczy.

W tej samej chwili jeszcze raz odezwał się w dole niecierpliwy głos:

— Na-hoho!

— O, nasz pan woła! — z trwogą mruknął Kacper. — Chodźwa.

— A cóż zrobicie z rogaczem?

— Trza go brać na ramię, tylego konia!...

Zabity sarn, trafiony w samo serce, leżał martwy. Dokoła niego zamróz odtajał i krople wody sączyły się ze świerkowych gałęzi. Pyszna jego głowa, rzucona bezwładnie, patrzała w Rafała umarłemi oczyma. Młodzieniec uczuł nagle porywy wściekłości, chwycił za kordelas, który miał przy sobie, i byłby zadał zdechłemu zwierzęciu cios jeszcze jeden, ale już strzelec podsadzał się pod nie. Dowlókł rogacza do sąsiednich wykrotów, dźwignął go w górę i, ująwszy rękoma po dwie jego nogi, zarzucił sobie na plecy to brzemię ze zdumiewającą siłą.

St. Żeromski.

58. Tatry.

Hej, za mną w Tatry, w ziemię czarów,
Na strome szczyty gór!
Okiem rozbijem dal obszarów,
Czołami sięgniem chmur.

[1]) Kierowały się.

Ponad przepaści nasza droga,
Odważnie, bracie mój!
Od ludzi dalej, bliżej Boga,
Ha! już jesteśmy — stój!

Patrz, jak w głębinach białą pianą
Potoków kipi war,
Potężną falą, rozhukaną,
W granitach żłobi jar.

I siłą w hale się przerzyna,
W juhasa Boży świat,
Gdzie w szmaragd stroi się dolina
I różnobarwny kwiat.

Tu znów iglica za iglicą
W niebiosa patrzy się;
Patrz! tam urwiskiem błyskawicą
Kozica trwożnie mknie.

I z bystrej turni nad jeziora
Wieczysty zbiega chłód,
Gdzie się przegląda Mnich-potwora[1])
W zwierciadle czarnych wód.

Tam białą wstęgą nurt szeroki
Śle w przepaść głazów złom
I błyskawica drze obłoki,
Po gromie wali grom!

Zda się, że wstrząsa gór posadę
Grom, zdwojon echem burz,
Zda się, że niesie nam zagładę,
Że koniec świata już.

Lecz burza coraz niżej schodzi,
Piorunów słabnie trzask,
Wybiegłe szczyty z chmur powodzi
Oblewa złoty blask.

Gierlach, Łomnica i Lodowy
Nad białe morza chmur
Podnoszą swoje dumne głowy,
Króle tatrzańskich gór.

Uczucie wzniosłe, niepojęte
W piersi nie mieści się,
I jakieś tchnienie wonne, święte
W niebiosa serce rwie.

[1]) Mnich — nazwa szczytu w kształcie głowy ludzkiej w kapturze, nad Morskiem Okiem.

Oddalonemu od trosk ziemi
Zda się, niebieski próg...
Że stanął między wybranemi,
Że tutaj mieszka — Bóg!

W. L. Anczyc.

59. Wśród gór na Podhalu.

Turbacz[1]), jak się już rzekło, wysoko czoło dźwiga nad gromadą Gorców. Stoi w pośrodku nich, jak gazda[2]), przygarbiony wiekami i rządzi. Nie może ino baczyć na te wierchy, co nie mają z nim bliskiego pokrewieństwa. Zato oba ramiona rozciągnął nad dziatwą: prawe nad Kopą i nad Turbaczykiem, lewe zaś nad Obidowcem, nie widząc Suhory, bo ta się dużo poniżyła.

Z pod pazuchy tych ramion wytrysły roztoki[3]) i niewidocznie płyną, szukając się z gorączką w zagłębieniach leśnych. Aż spotkały się w dolinie i witają się w milczeniu, w cichym uścisku idą razem aż do wąskiej bramy, do onego wąwozu, który zamknął kotlinę, i stąd, porwane szałem rozhukania, jedną roztoką dalej pędzą.

Wszystkie zbocza, okalające dolinę ściśnioną, i Turbaczyka i Suhory, szarzeją wrębami, są jako cmentarze stare z pomnikami pniaków. Od nich to wieje smutek na dolinę i wkoło pustka się rozchodzi.

Jedyna ubocz góry, która się przygięła wierzchem do kolan Turbacza, ta jedna czerniała lasem.

I tę miał ścinać Rakoczy.

Pięła się ona bystro w górę wprost w międzywidła dwóch roztok, a dochodziła na dół aż do ich połąki[4]) tam, kany dawno, drzewiej[5]), za ludzkiej niepamięci stała ta sławna, wielka huta.

Na jej pogrobie, jak się rzekło, ostała rudera. W niej to Rakoczy osiadł i zamieszkał.

I rozgazdował się na dobre. Z odziomków starych jedli, nalezionych w potoku, narznął gnatków[6]), naszczypał giętkich tylin[7]) i uplótł wrota, które przymocował do drzwi zawiasami

[1]) Nazwa szczytu na Podhalu.
[2]) Gazda — gospodarz
[3]) Roztoka — potok górski.
[4]) Połączenia.
[5]) Drzewiej — dawniej.
[6]) Gnatki — kawałki drzewa, pieńki.
[7]) Tyliny — gałązki, chróst.

łycznych korzeni, wyprutych z ziemi w gąszczu i oparzonych w dymie nad ogniskiem. Tak samo z tylin stworzył sobie łoże, umocował je w kącie i podparł nad ziemią; potem nazmiatał liści pod bukami, naznosił na posłanie, aby miękko było, i zgotował legowisko wcale nie od rzeczy. Dach pozawłóczył gontami, powałę poprawił i umszył[1]) szpary w ścianach, aby wiatr nie miał przystępu. Przedtem wyrznął w ścianie bocznej nieduże okienko. Następnie z pozostałych po hucie kamieni, a wypalonych mocno, ułożył nalepę, na której mógłby upiec i wołu z rogami. Nareszcie wtoczył gnat szeroki, parę niskich gnatków, aby mieć i stół, i stołki, jak bogaty gazda.

Poszedł w las i nazbierał porostów wiszących, spadających z gałęzi, jak zielone brody, naobcinał hub[2]) olbrzymich o dziwacznych kształtach, gałęzi z młodych jedlic i okwiatu z buków — to wszystko przyniósł, porozdzielał, miarkując uważnie, aby je tak porozwieszać po nierównych ścianach, iżby oko z przyjemnością mogło na nie spojrzeć.

I wnet owo boisko odmieniło się do cudu. Niktby nie poznał, nie uwierzył, że tu niedawno wiatr chadzał samopas. Żywności też przysposobił, zakupił na dole i, choć dostatku nie sprowadził, nie bał się już głodu. Rozgazdował się w tej pustce i przywykł pomału. Z początku było mu tak, jakżeby z jasnego pola wszedł do ciemnej świątnicy; powoli jednak rozpatrzył się i począł odnajdywać rzeczy, których nie spostrzegł odrazu. Więc najpierw zauważył, że w różnych porach dnia różne przybiera barwy ta dolina. Ma też mowę swoją, smutki i wesela.

O wschodzie całą przebiega dreszcz święty. Czuje z oddali narodziny słońca. Potem osusza łzy radości, które perlą na twarzach i na liściach drzew, i, gotując się do wesela, przystraja odzienie. Zielone chusty łąk po równi ściele, wzorzyste hafty traw po wrębach wiesza, wieńce mirtowe z gajów splata, stopy omywa w pienistej roztoce i włosy, rozwiane wiatrem a strojne zielenią, gładzi złotym grzebieniem gęstych promieni.

A kiedy słońce stanie na południu, pozdrawia je dolina miłosnym uśmiechem. I poczyna się wesele w pełni świateł, blasku, w rozżarzonem do białości morzu czystych ogni.. Zdaje się: cała dolina przepełniona szczęściem.

Ale słońce-oblubieniec wnet kryje się za wierchy, posyłając na odchodnem ostatni odblask, drużbę z łagodnem pocieszeniem: do jutra... Na obliczu ścichłej doliny widać stur-

[1]) Umszyć — zatkać mchem.
[2]) Huba — grzyb drzewny.

bowanie, chęć wzniesienia się, by zoczyć, kany[1]) słońce idzie. Niemoc ogarnia całą, potem smutek, wkońcu rezygnacja bolesna. Jeszcze z za wierchu prześwieca długa miotła drużby — pęk związanych promieni — snop białego światła, od niego oświetl o licach różanych zstępuje na dół ku samej dolinie, a kiedy jej ostatnie pozdrowienie szepce, blednie i powietrzem zachodzą jej lica. Dolinę dreszcz przebiega, ale zimny, trwożny, pełen niespokojności i lęku przed nocą.

Tak żyje ona w dzień słoneczny.

A gdy nadejdzie słota, długie dni, w których słońca musi nie widywać, wtedy owinie się cała łoktusą[2]) mgły szarej i w zasępieniu ciężkiem siedzi, nie patrząc na chmury. Nieraz w tym smutku odrętwieje i, gdy nagle słońce wejdzie, nie wierzy, nie odchyla łoktusy z przed oczu, aż ją promień, budząc z martwych, pocałuje w czoło.

Jaką żywo czującą była ta dolina, poznał Rakoczy, pilnie bacząc na jej dzienne życie. I stała mu się przez to bliższą, bardziej ulubioną. Częściej rozpatrywał się po niej i obaczył, że suche jedle po wyrębach sterczą, niby szkielety ludzkie z podniesionemi ku niebu ramiony, jakby uschnęły w modlitwie albo w groźbie wiecznej; że potracone modrzewie chowają się skrycie i zachylają wiotkie ciała poza plecy smreków, jakby czuły wyraźnie, że tu nie ich państwo, i zdają się po boku pytać harnych smreków[3]), czy nie pozwolą koło siebie róść, taka w nich bojaźń; a białe, srebrne, słabiutkie osiki drżą, gdy się trąci o jeden liść z kraja.

Wędrując okiem, naszedł niespodzianie wciśniętą między jedle, opuszczoną brzozę. Stała tu, jak samotnica, jak płaczka żałobna. Taka w niej była niewieścia lękliwość, tyle tęsknicy, smutku i rozpaczy, że Rakoczy, patrząc na nią, uczuł żal serdeczny.

— Cóż ciebie tu przesadziło w te nie swoje strony?

Myślał, że go odczuje i odpowie płaczem. Poczynał bowiem wierzyć, że zaklęta w niej dusza dziewczyny jakiejś tak się smuci. I przyrzekł święcie, na głos cały, że, gdy będzie spychał drzewo, tak uważnie puści, aby jej nie skaleczyło najmniejszej gałązki. Bo stała w dole, pod uboczą, którą musi ciąć.

Żył tak, rozpatrywaniem doliny zajęty, bo czas roboty jeszcze był nie nadszedł. Zżywał się z każdą skałą, z każdym prawie smrekiem, aby stracić swoją pustkę i czuć się w gromadzie. Bo poznał niezadługo, że pustki tu nie zastał, ino on

[1]) Kany — dokąd.
[2]) Szmatą, płachtą.
[3]) Świerków.

ją sam z sobą w to zacisze zawlókł. Dopieroż go z dnia na dzień pomału opuszcza.

Widział, że nie sam tu jest z przybytku Noego. Jak odnajdywał w każdem drzewie utajone życie, tak codzień prawie spotykał w tym kącie żywinę[1]) jaką niespodzianą.

Wł. Orkan.

60. W Tatrach.

Odwiecznych Tatrów strażnice Piastowe!
Zdawnaście znane, a wieczniście nowe!
Choć myśl i oko przy was się upaja,
Myśl i źrenica wiecznie tutaj gością!
Z wami przenigdy myśl się nie oswaja,
Jak nie oswoi się nigdy z wiecznością,
Bo nie wziąć myślą, co oko zakreśli,
Ani wziąć okiem, co ogarną myśli,
Ani was ująć, ni duchem wyświecić,
Ni w was się wcielić, ni nad was wylecić;
Tu hardość ducha mierzy się z naturą,
I rozigrana — bo nikomu górą...
I gdyby nie lud, co dumnie te czoła,
I te przepaści oplątał ścieżkami,
I prostym zmysłem zaludnił dokoła
Ten świat w obłokach swojemi gadkami;
Gdyby nie powieść, co swemi uśmiechy
Rozjaśnia wasze ponure milczenie,
Widok ogromu byłby bez pociechy,
Bo duch pojmuje tylko ducha tchnienie...
A wy, strażnice, śniegami świecące,
Stoicie wiecznie niemo i surowo,
I dla tych ludzkich pokoleń milczące,
Odkąd w was Boże skamieniało słowo!

W. Pol.

61. Do Morskiego Oka.

W dolinie śnieg stajał. Południowe stoki niższych wzgórzy szarzały na tle płowego marcowego nieba, potoki rozlewały się szerzej, szumiały głośniej i gwałtowniej się kłębiły wśród kamieni, zawalających ich łożyska.

Droga lśniła się blaskami odbitego w błocie słońca i błękitu, na urwiskach pagórków żółciły się kwiaty podbiału i różo-

[1]) Żywina — żywa istotą.

wiały stokrocie. Tem dziwniej przedstawiały się góry, oblepione szczelnie śniegiem i regle[1]), okryte lasem, posiwiałym od szronu — cała ta wielka zima, biała i czysta, wznosząca się z szaro-rudego dna doliny. W taki dzień i wśród takiego pejzażu[2]) jechaliśmy do Morskiego Oka.

Naprzód wygodnym wozem, którego koła dudniły po skorupach lodowych, pokrywających potoczki, ukryte w cieniu; potem, od Bukowiny góralskiemi saneczkami; wkońcu pieszo, brnąc w śnieżnym nasypie wyżej pasa.

Wciśnięci grzbietami o poręcz sanek, oparci nogami o przód, trzymaliśmy się ich całą siłą, ażeby nie leżeć w śniegu na drodze, którą Jarząbek nazywał dobrą, a która była taką o tyle tylko, o ile jego silne ramiona dźwigały w garści nas i sanki, równoważąc wyboje, pochyłości, zakręty śnieżne. Mały, zręczny i nadzwyczaj inteligentny koń, posłuszny każdemu słowu, wrzynał się zadniemi nogami, prawie siadał, trzymając z góry, lub najsumienniej brał na lewo, albo na prawo, stosownie do rozkazu. Ciągle też rozlegało się za nami: Wiśt! Wiśt! albo: — Hajt! Hajt!

Tak, przewalając się z boku na bok, wędrowaliśmy polaną Głodówki prosto na zataczającą się przed nami ścianę śnieżną, szczerbatą potężnemi ornamentami pojedyńczych turni[3]), których nazwy wyliczali moi towarzysze.

Wielkie osobistości gór mają taką wybitną indywidualność[4]) charakteru, że nazwisko potrzebne im jest, jako człowiekowi.

Oto dziwna turnia Murania, która, widziana z Zakopanego, niknie w ogromie stojących za nią: Hawrania i Nowego. Tu, gdy widzimy ją, zjeżdżając w cieniu zbocza góry, sterczy przed nami, ponad czarnym lasem, jak potężny, bajeczny pień jakiegoś naprawdę niebotycznego smreka.

Cicho tu i pusto.

Natura jest tak olbrzymia, tak się zdaje w tej niedostępnej bieli śnieżnej u siebie, ponad ludźmi i poza ludźmi, że się ze zdziwieniem patrzy i na swoją tu obecność, i na dymy węglarek, ciągnące się między zaśnieżonemi świerkami, i na zasmolonych uhlarów[5]).

Jedziemy dalej. Droga, ciągle uczepiona do stoku góry, stacza się w dolinę Białki, którą widzimy u stóp, pieniącą się

[1]) Regl — pagórki, pokryte lasem.
[2]) Pejzaż — krajobraz.
[3]) Turnia — szczyt.
[4]) Indywidualność — odrębność.
[5]) Uhlar — węglarz.

i szumiącą wśród omszałych, lub wybielonych wodą odłamów skalnych i zasp śnieżnych. Dojeżdżamy, raczej dochodzimy do tartaku w Łysej, ponad którym wznosi się szara, stroma skała, po której załamach pną się w górę wysmukłe sosny. Tam, przed nami, ponad lasem, widać fioletową, lekko poszczerbioną ścianę Mięguszowieckich turni, u stóp których leży Morskie Oko.

Słońce zachodzi z prawej strony. Wjeżdżamy w las, droga coraz mniej jeżdżona, ledwo przetarta płozami kilku sanek i końcami kilku belek, wleczonych z lasu, wkońcu niema jej wcale.

Nasi górale zatrzymują konie, ścinają kilka obumarłych smreków-„sucharzy“ na rozpalenie ogniska.

Stajemy przed jakiemiś wrótkami, których ledwie szpice sterczą ponad śniegiem. Mrok wieczoru gęstniał nieznacznie wśród ciszy czarnego, drzemiącego lasu.

Jesteśmy w Roztoce.

Gdy wchodzimy do tej pustej chałupy, zbudowanej tak pierwotnie, bez okien, z czarnem okropnem ogniskiem, zawalonem śniegiem, przypominają się wszystkie bajki dziecinne o tych chatach na pustkowiu, stojących w głębi strasznych lasów, do których nocami się schodzą wiedźmy i zbójcy.

Na tej pustyni to mieszkanie ludzkie bez ludzi, ten dom bez właściciela i gospodarza, do którego niema śladu drogi, koło którego niema śladu życia, razi. Zdaje się, że tu mór przeszedł i wymiótł życie, lub że to jakaś zasadzka, że jakaś zła siła kryje się po ciemnych kątach lub czai się na poddaszu.

Nic z tego.

Górale przedeptują drogę do stodółki i poczciwe, zziajane konie poprostu płyną w śniegu, przewalając się na brzuchu, łopocąc nogami i wlokąc za sobą sanki, idące po wierzchu.

Połupane ciupagami sucharze zajęły się wkrótce wielkim płomieniem, napełniając czarną i ciasną izbę czerwonym blaskiem i dymem. Na dworze tymczasem zapadła noc zupełna, czarna, pochmurna, w której cieniu ledwo widniała białość śniegów.

Nasi przewodnicy znają tu jednak każdy zakątek, są właściwymi tej pustki gospodarzami i, kiedy przyszedł czas na gotowanie herbaty, poszli po wodę.

W dwumetrowej warstwie śniegu Roj wykopał dół, na dnie którego szemrało źródło, Sabała stał nad nim i świecił pochodnią. Robili rzecz prostą, a zdawali się zajęci czemś bajecznem, lub zbrodniczem, na tle czarnej ciemni, tem czarniejszej, że odbitej od blasku pochodni.

St. Witkiewicz.

62. Pasterstwo w Tatrach.

Wnętrze Tatr jest puste i bezludne. Tylko przez dwa lub trzy miesiące w roku pasą się tam stada owiec, krów i wołów, strzeżonych przez pasterzy, którzy koczują w halach. Zamknięci za skalnemi progami, przez większą część lata ukryci w chmurach, prani deszczem, śniegiem, osypani gradem, ogłuszeni piorunami, zupełnie na woli surowej natury, ledwo osłonieni dziurawym dachem i ścianami, przeświecającemi na przestrzał, żyją oni życiem twardem i dzikiem, pasterskiem życiem koczowniczych plemion.

Wszystko to jest tak różne od tego, do czego my, ludzie z dolin, przywykliśmy, iż trudno się oprzeć wrażeniu, że się patrzy na jakąś resztkę zanikłego świata, jakiś szczątkowy objaw starożytnych, niegdyś powszechnych stosunków i warunków bytu.

Kiedy już doliny zielenią się trawami i zbożami, przeginą śniegi w górach i zima wygląda tylko z ciemnych kominów[1]) i źlebów[2]), wybierają się pasterze z „dziedzin“[3]), ze wsi, na hale[4]). Płowe niebo wiosenne rozpina się ponad światem, ciepły wiatr przeciąga z za wirchów; brzegi potoków świecą się stokrótkami, dzwonkami, lśnią się jaskrem i gwiazdami podbiela; potoki pozdzierały i uniosły zawalające ich dna bryły lodowe; budzą się też owczarze ze snu i odrętwienia zimowego.

W dniu umówionym wszyscy gazdowie spędzają swoje owce na jedno miejsce, liczą je z bacą[5]) i zdają mu na jego odpowiedzialność. Baca kropi owce święconą wodą, robi krzyż ciupagą na drodze i cały kierdel[6]) z bekiem i brzękiem dzwonków, z naszczekiwaniem psów wędruje kamienistemi drogami, przez lasy ciemne, przez wirchy i jary, brnąc przez potoki, coraz wyżej, do szałasów na halach. Białe, zbite stado pstrzy się gdzie niegdzie plamami czarnych baranków; jeżą się rogi pokręcone, kiwają się garbate nosy, otoczone ogromnemi kudłami na skroniach, podbródku i na łbie. Oczy świecą się zielono wśród mroku leśnego, pod oczami czarne lub rudawe obwódki. Przednie nogi pokryte gładką, krótką sierścią; na zadnich kręcona i gęsta wełna sięga do samego kopyta.

[1]) Komin — tu: rozpadlina w skałach.
[2]) Źleb — szczelina górska.
[3]) Dziedzina — wieś.
[4]) Hala — łąka w górach.
[5]) Baca — stary pasterz, przełożony nad juhasami.
[6]) Kierdel — stado.

Tryki, mniejsze od owiec, niosą na zgrabnych, garbatych łbach wielkie, wywinięte na boki, żłobkowane rogi.

Idą krowy łaciaste, jęcząc ogromnemi miedzianemi dzwonami, wiszącemi u podbródka; konie niosą na grzbiecie rozmaite statki, graty i kotły mleczarskie. Stary baca, sam z twarzą owczą, z długiemi, kręconemi włosami, idzie spięty pasem szerokim, świecącym nabitemi guzikami i wielkiemi, mosiężnemi klamrami; przy nim bieży pies biały, kudłaty.

Juhasi[1]), w czarnych, moczonych w tłuszczu koszulach, w kapeluszach, lśniących, jak cerata, od tłuszczu i brudu, w starych, zrudziałych od słoty i dymu ognisk cuhach[2]) i portkach odartych, z ogromnemi, pasiatemi torbami wełnianemi, których długie na łokieć frendzle dyndają się im u kolan. Juhaski w pomarańczowych chustach, w czerwonych płachtach, lub serdakach obcisłych na piersi i w granatowych spódnicach; nogi ich owinięte białą szmatą do pół goleni i obwiązane czarną krajką, przytrzymującą kierpce[3]). Cała ta pstra czereda, obwiana parami oddechów stada, drze się w jędrnem i czystem powietrzu, oblana słońcem, wesoła i budząca swemi śpiewami, piskiem piszczałek, dudnieniem kobzy echa, drzemiące w wąwozach i wnętrzach gór.

Można sobie wyobrazić, jak tym ludziom, którzy całą zimę przesiedzieli bezczynnie w brudnych, cuchnących izbach, których twarze zbladły i zzieleniały od lichego życia i braku powietrza, można sobie wyobrazić, jak im pachnie powiew hal, jak im się śmieje to słońce, jak im gra wieczna muzyka wód żywych i czystych.

Nakoniec, przebrnąwszy moc potoków, przeszedłszy tyle gór, wydostali się ponad lasy i wchodzą na halę.

Szałas, zostawiony jesienią na woli wichrów halnych i wszelkiego złego, stoi z oddartym dachem.

Czarne, zakopcone wnętrze, zasypane śniegiem, zieje wilgocią i stęchlizną; przeszłoroczny popiół i węgle z watry[4]), z ogniska, zmieszały się w jakieś brudne błoto. Kto wie, kto tu zaglądał? Ile razy niedźwiedź, pasąc się na szałasisku, zazierał swoim czarnym ślepkiem przez szpary; jacy tu źli ludzie, albo też samo „złe“ siadywało w tej pustce! To też baca, wchodząc do pustego szałasu, mówi: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ Wogóle, całe to pasterstwo otoczone jest

[1]) Juhas — młody pasterz.
[2]) Cuha — góralski płaszcz z grubego, białego sukna.
[3]) Kierpce — obuwie góralskie.
[4]) Watra — ognisko

mnóstwem zwyczajów, noszących charakter tajemniczego obrządku.

Kiedy już zagnali owce do zagrody, baca bierze żarzące węgle, sypie na nie święcone ziele i żywicę, odkrywa głowę, żegna się i milcząc, okadza zagrodę trzy razy, od zachodu na wschód, następnie wysypuje węgle przed nią i z juhasami, na klęczkach, odmawia modlitwy. Przy dojeniu owiec, przy przecedzaniu mleka, przy robieniu sera odbywają się różne praktyki i nabożeństwa. Wreszcie dach naprawiony, w dołku przy drzwiach watra chwieje się czerwonym płomykiem, dym napełnia czarne poddasze, po kątach stoją statki, na ścianach wiszą płachty, szmaty, torby i cuhy; całe to ubogie gospodarstwo, dające się zwinąć w pół godziny i przenieść na grzbiecie jednego konia i kilku ludzi, rozkłada się na paromiesięczne koczowisko.

We trzy dni po przyjściu stąd na hale zjawiają się gazdowie, właściciele owiec, i idą z juhasami na cały dzień na pastwiska, dla przekonania się, jaka jest pasza i jaki udój; nazywa się to — przyjść do miru. Kiedy owce przypędzą do dojenia, każdy gazda, wydoiwszy swoje do gielety[1]), bierze dwa jednakiej miary patyki i na nich nacina znak, jak wysoko sięgało mleko w gielecie. Jeden patyk zabiera z sobą, drugi zostawia u bacy. Na jesieni, gdy owce wrócą do dziedziny, patyk ten służy do porachunku z bacą. Ile tygodni owce były w halach, tyle razy napełniają gieletę wodą na wysokość miary, oznaczonej na patyku, wodę tę ważą; ile w niej funtów, tyle funtów sera ma baca oddać właścicielowi owiec. Sposób kontrolowania, jakkolwiek pierwotny, jest jednak dosyć skomplikowany.

Baca jest panem, z ojcowską władzą na szałasie; jest on tak, jak i juhasi, płatny serkami, przyczem gazda dostaje mniej więcej jedną trzecią, a pasterze dwie pozostałe części całego letniego zysku.

St. Witkiewicz.

63. Na Kujawach.

Na Kujawach rżną skrzypice,
Skoczę w tanek, dziewczę chwycę!
Chwycę dziewczę z poza stoła,
Wykręcę je dookoła.
Niech tam wpodłuż tańczą pany,
Z izby za próg — odbijany,
Na Kujawach, chwalić Boga,
Chłop nie przejdzie swego proga!

[1]) Gieleta — skopek.

Kołem, kołem, popod ściany!
Przez bok koła od sukmany,
Na łbie czapa, jak pół stoga,
Przy niej wstęga, że laboga!
Kołem, kołem, popod ściany,
Trzos rzęsisto nabijany,
A we trzosie dukat prawy...
Jak Kujawy, to Kujawy!
Dokoluśka gniazda ptasze!
Dokoluśka chaty nasze!
Dokoluśka kumy braty!
Dokoluśka płot u chaty!
Coraz prędzej Piotr, muzyka[1]),
Po skrzypicy ciągnie smyka,
Coraz gibciej dziewczę gnie się,
Jak węgorek[2]) w mokrym lesie!
Na przechybkę, na przegiętkę,
Oj, załowię cię na wędkę!
Na przygiętkę, na przychybkę,
Oj, załowię moją rybkę!
Czasem Bieda ze mną k'sobie,
Lecz ja odsieb migiem drobię;
Nim się Bieda odsieb ruszy,
Ja znów k'sobie, co mam duszy!
Co mnie Bieda za czuprynę,
To ja klęknę, to się zwinę,
To ku ziemi się przychylę,
Że nie dotknie mnie — i tyle!
Nie przychylę się daremno,
Wszędy Boża moc nade mną!
A i co mi za niewola?
Komu z pola — mnie do pola!

Marja Konopnicka.

64. Domek mojego dziadka.

Któż nie doznał najtkliwszego uczucia, wchodząc po długiem oddaleniu do domku, w którym dni swe dziecinne i młode przepędzał? Czyjeż oko nie zalało się łzą miłego rozrzewnienia na wspomnienie osób, których w tych samych już nie ogląda izbach, a które go tu niegdyś z pieszczotą tuliły do serca?

Przybywam do domku mojego dziadka...

[1]) Muzyka — muzykant.
[2]) Węgorek — mały węgorz.

....Wszystko tak, jak było,
Tylko się ku starości nieco pochyliło...

Taż sama, mchem porosła strzecha, tenże sam ganek z ławkami i te odeń w rozmaite strony wydeptane ścieżki, po których dziecinna moja niegdyś biegała stopa; a co najbardziej, tenże sam ogromny kamień, na którym tylekroć, razem wieczorem zebrani, letniego używaliśmy chłodu lub, zwróceni pokornie do podniesionego tuż wizerunku męki Chrystusa, za przewodnictwem ojca rodziny wznosiliśmy za jego długie życie, on za naszą szczęśliwość gorące modły; zły człowiek, który tu zamieszkał, ogołacając ze wszystkiego tę ubogą chatkę, nie śmiał poruszyć krzyża, a nie zdołał głazu; i te jedynie przy ciemnych ścianach zostawił mi przeszłości pamiątki.

Przed laty kilkudziesięciu mieszkał tu pan Maciej Widmont, skarbnik od pradziadów, dziadek mój, prawdziwy szlachcic na zagrodzie.

Kilka chat włościańskich i mały obszar ziemi składały dziedzictwo mojego dziadka: z tem szczupłem mieniem był on szczęśliwy i uszczęśliwiał! Jakiż to los do zazdrości!

Wyprowadza z nędzy szlachcica:
Pszczółka, klaczka i pszenica,

powtarzał często pan Widmont i szedł w gospodarstwie za tem staroświeckiem przysłowiem. To też dwa ogródki jego, gajem wisien, jabłoni i grusz zarosłe, brzęczały rojami pszczółek; na gumnisku zawsze kilkoro pięknych hasało źrebiąt i corocznie większa część pola jego złotym pszenicy okrywała się kłosem, a obfitość i dostatek gospodarski napełniał mu stodoły, śpiżarnie i śpichrze.

Domek ten, w którym teraz żywot dawnego dziedzica jego rozpamiętywam, schludny natenczas, wesoły i ludny, dziś mi tylko urokiem przypomnienia miły, zawiera dwie izby, pokojami honorowemi zwane, alkówkę z garderóbką i bokówkę z alkierzykiem. Bokówka ta z dużym kominem, piecem jeszcze większym, szerokim zydlem koło pieca i długim zapieckiem, gniazdem dziatwy i szczurów, była miejscem najwalniejszych spraw domowych: tu panowie i słudzy zgromadzali się przede dniem na różaniec, wieczorem na godzinki; tu faworytne[1]) przy kawie rano snów tłómaczenie i tu wieczorem przy kominie o upiorach i strachach gwary; tu nakoniec w niedzielę i święta uroczyste panna Helena, córka nieboszczyka ekonoma, do familijnej przyswojona gromady, siedząc przy piecu na zydelku, cieniutko śpiewała światowe pieśni. Rzadko jednak goście wstęp mieli do

[1]) Faworytne — ulubione.

bokówki, dla nich dwa paradne były pokoje: w pierwszym z nich wielki obraz Bogarodzicy, ozdobiony buntem[1]) błyszczących bisiorów[2]) i co niedziela w świeże bukiety siarczystych goździków ustrojony, główną zajmował ścianę, pod nim bogaty relikwjarz misternej roboty i dzwonek loretański, odpędzający chmury, pioruny i nawałnice; kredens i inne sprzęty proste dogadzały tu koniecznej tylko wygodzie. Drugi pokój, o! drugi pokój na zbytek zakrawał! Tu kanapki, dywanikami zasłane, tu staroświeckie, w kwiaty malowane obicia okrywały ściany, tu stolików parę, niegdyś także malowanych, na jednym warcabnica, na drugim talja kart polskich, dobrze ogranych, i filiżanka z garścią bobu na miarki! Tu bowiem był plac rozprawy w codziennego nałogowego marjasza i świątecznego ćwika.

O! ileż to razy, ze szkolnej uwolniony mozoły, jechałem na uroczyste święta!

Student z Boru, z jakiemże uniesieniem postrzegałem zdaleka gaik i dach domu, w którym piękną Wielkanoc przepędzić miałem. Gdy huczne salwy artylerji księdza proboszcza dawały hasło rezurekcji, bieżał wnet mój dziadulo do kościoła, biegliśmy i my wszyscy za nim, biegła cała czeladź domowa, bo, kto z gospodarzem chciał używać darów Wielkanocy, modlić się wprzód z nim koniecznie musiał. Powitany wesołem Alleluja, dzień zaświtał wśród nabożeństwa, dzień piękny, wiosenny! Gromadnie i huczno wychodzono z kościoła: Chrystos woskres! Chrystos woskres! odzywa się naokoło. Pozdrowienia te uroczyste mieszały się z wesołym gwarem pospólstwa, a rzeźwość, rozweselenie i radość jaśniały na twarzach wszystkich. My także wracaliśmy do domu, przechodząc przez ulicę z łubek; około każdej z nich familja poczciwych chłopków, w kupki zebrana, czekała na poświęcenie swoich zapasów.

Nasze damy powracały do domu w staroświeckiej na pasach kolasce, my piechotą krótką tę odbywaliśmy podróż, dając czas księdzu proboszczowi do przybycia dla podobnegoż obrzędu. Co za miły widok nas oczekiwał! W pierwszym pokoju, świeżą wysypanym jedlinką, długi stół, okryty najsmakowitszem święconem. Tu na środku baranek, z czerwoną chorągiewką na grzbiecie, trzyma w zawróconym pyszczku garstkę młodej trawki, jakby zwiastując wracającą wiosnę; obok podpiera go dwoje tłustych prosiąt, a każde częstuje z paszczy czerwonem jajkiem; dalej indyk utuczony, który sam jeden w całym domu przez post wielki nie pościł; szynka, główna ozdoba możnych i chudopacholskich święconych stołów, przy niej, dla zaspoko-

[1]) Wiązka.
[2]) Bisior — lśniące, dęte paciorki.

jenia apetytu żarłoków, ćwierć cielęca szeroką zalega misę. Co mówić o półgąskach, ozorach, zającach, cietrzewiach, zdolnych najgruntowniej stępiony obudzić apetyt. Na obu końcach stołu zasiadły szerokie, przysadziste, jakby tej śpiżarni gospodynie, dwie okrutne baby. Ach! bez nich cóżby całe święcone znaczyło!

Na ich ogorzałych obliczach, jakby na twarzy pijaka, gęsto wypisane czerwone garby, a ze środka czarniawa, lepka wysączona masa upewniała wprawne znawcy oko, że, mimo straszne pozory zewnątrz, smaczne były. Garnitur pierogów i placków, rozmaitego koloru i nazwania, zapełniał przerwy między półmiskami, a wszystko razem gajem zielonego bluszczu zarosłe, troje razem zmysłów: widzenia, smakowania i powonienia, nęciło. Oczekiwano księdza proboszcza, a tymczasem każdy przygotował się do swojej roli; poglądano w okna, milczano lub szeptano z cicha; kotka tylko, faworytka domowa, siedząc na kredensie, figlarnie myła się łapką, a Filonek tańcował koło stołu.

Przybywa nakoniec i ksiądz proboszcz, mój dziadunio przyjmuje go na ganku; wnet w komżę przybrany, mając za sobą organistę z wodą święconą z kropidłem, poświęca i błogosławi Boże dary, a ukończywszy obrządek, obraca się z powagą do gospodarza i wyborną prawi mu orację przez połowę po łacinie i po polsku. Tu już następowały powinszowania, w których mniej dowcipu, a więcej prawdziwej wylewało się czułości; syn i synowa, córki i zięciowie ze łzami w oczach, mało mówiąc, całowali rękę ojca swego i dobroczyńcy. Traktował potem gospodarz wszystkich z kolei pokrajanem jajem i nie opuścił najmniejszego dziecka, a z uczuciem równie życzliwem podawał talerz swym dzieciom, jak swym sługom i wiernej czeladce, która potem szła do piekarni i posiliła się nie tak wytwornem, lecz równie obfitem święconem. Dzień ten cały jak nam mile schodził!

Ignacy Chodźko.

65. Izba jadalna w starym dworze.

Z wszystkich izb tam najdłuższa i razem najszersza
Była izba jadalna, z rzędu komnat pierwsza,
Sarmackiej[1]) gościnności państwo niezmierzone,
Nieprzełomnym z Węgrami sojuszem złączone[2]).
Stał na jego granicy kredens, gmach drewniany,
W czasach pono pradziadka już antykiem zwany.

[1]) t. j. polskiej.
[2]) To znaczy: Polacy częstowali gości winem węgierskiem.

Lśniły się za szkłem jego dwa srebrne puhary,
Staremi mnogich królów obite talary;
A jak gdy ponad miejskie niezliczone dachy
Wznoszą się wież gotyckich niebotyczne gmachy,
Tak nad drobnych szkieł tłumem w różne rznięte wzory,
Odęte starą pychą sterczały potwory:
Syndyk się tam z Naparstkiem o miarę certował,
A corda fidelium[1]) nad wszystkie górował;
Pysznił się, że sam cześnik przed nim z strachu zmykał,
A zwalił chorążego, choć, jak beczka, łykał.
Przy ścianie, gdzie stał z wieków ów kredens niezmierny,
Jako ciągły przybocznik, stróż i służka wierny,
Odwieczny wszędzie jeniec jadalnej komnaty,
Klęczał pod prasą serwet muzułman wąsaty;
Zdał on się na swej głowie haracz nam przynosić
I za Chocim i Wiedeń przebaczenia prosić.
Zeszły wiek w nim podziwiał rzadki utwór sztuki,
A dziaduś nim hałaśne zwykle straszył wnuki.

Piec wielki, piec ogromny, stał z przeciwnej strony,
Kaflanem Sobieskiego popiersiem zwieńczony;
Istny olbrzym Babelu, co na podpał mały
Paszczą swoją połykał drzewa sążeń cały
I w którym, jak to dawne powiadały dzieje,
Potrzykroć się przed laty zakradli złodzieje.
Stykał się z nim rozległej, równej jak on, miary,
Komin, krewniak, towarzysz i przyjaciel stary;
Gorząc wzajem tak w dziennej, jak i w nocnej dobie,
Ciągłym żarem afektu[2]) dogrzewali sobie.
Jak ów potwór, co całą zalega jaskinię,
Tak potężny pień dębu jeżył się w kominie;
Stróż nań ciągle szczyp smolnych całe kopy walił,
Huczał ogień, i dziaduś przy nim turka palił,
A gdy czasem przez istne dopuszczenie Boże
Ciężka go jaka niemoc rzuciła o łoże,
Stach przy ogniu z różańcem noce przesiadywał,
Modlił się, ziewał, drzymał i, drzymając, kiwał.

Całą izbę zajmował stół wielki, dębowy,
Pięć się kloców do jego składało budowy;
Ile on uczt podźwigał, ile straw, gąsiorów,
Ile związał przyjaźni, ile zgodził sporów!
Trzeźwo się tam i w sposób zmawiano uprzejmy
O sądy, o wybory, projekty na sejmy.

[1]) Serca wiernych (łac.); wszystko to są nazwy kielichów.
[2]) Miłości.

Północna czasem w sporze wybiła godzina,
A nikt ust swych nie zwilżył nawet kroplą wina,
Lecz gdy wszystko na zgodnym skończyło się spisie,
A gospodarz wzniósł owo sławne: kochajmy się,
Nikt się tam od kielicha wyśliznąć nie zdołał,
Próżno wzniósł go do góry i o litość wołał;
Niczem ni pan, ni sługa zbłagać się nie dali,
Przez głowę mu, przez ramię strugi węgra lali,
A gdy widząc, że próżno dąsał się i bronił,
I nagle go usunął i aż pod stół schronił,
Już tam zdradny kozaczek, osadzony zcicha,
Czekał go z nową flachą i dolał kielicha,
Tak, iż wzięty w dwa ognie i ten szturm pijaczy,
Wzmógł się, kielich przeżegnał i wypił z rozpaczy.

Patrzyły na te uczty i huczne wiwaty
Z ram niegdyś wyzłacanych dziarskie antenaty[1]),
Jeden w lśniącym kirysie i z podpartym bokiem,
Wygolony rudowąs, groźnym ciskał wzrokiem;
Drugi, z brodą kępiastą i czubem na głowie,
Zdał się stare ojczyzny wyobrażać zdrowie
I być jeszcze z tych dębów, o których rdzeń twardy
Szwedzkiego się Gustawa łamał oręż hardy;
A gdy nagle w tyszowskim zaszumiały borze,
Cały gad się rozproszył i uciekł za morze.
Wisiały tuż przy przodkach i zacne matrony,
Pozgonną nawet wiarą nieodstępne żony;
Tamta w lśniących bławatach, jak Juno[2]) dostojna,
Ta zaś czepcem i drogim naszyjnikiem strojna:
Każda tkliwą do męża zwrócona twarzyczką,
Jedna z wonną balsamką, a druga z różyczką.

Ilekroć mój dziadunio, wzrok wiodąc po ścianie,
Patrzył się na te przodki, wzdychał, patrząc na nie;
Czasem łza mu wytrysła, i znów w krótkiej dobie
Śmiał się, pana Rafała przypomniawszy sobie,
Bo, gdy pierwszy raz swoje przodki porozwieszał,
Wszystkie nazwy, urzędy i herby pomieszał
I pożenił jakimściś pogrobowym ślubem
Piotra z żoną Jakóba, a tamtą z Jakóbem;
Nie mógł on tak grubego darować mu grzechu
I zawsze, mówiąc o tem, spłakał się do śmiechu.

Lecz wszystkie te pomniki i warowne sprzęty
Gasił potwór, przez cały pułap przeciągnięty,

[1]) Portrety przodków.
[2]) Juno — bogini u Rzymian.

Odwiecznych może borów pierwsza rodzicielka,
Niezmierzonego dębu jednorodna belka;
Potężna córa puszczy, król piastowych lasów,
Łom arki, co przepłynął cały potop czasów.
Zdało się, że nie ludzkie go tam ręce wzbiły,
Trzeba było też strasznej, tej wszechmocnej siły,
Która światy przerzuca i hamuje burze,
Aby wznieść taki ogrom i utwierdzić w górze.
Belka ta, liczne włości przeżywszy dziedzice,
Miała jedną z kart ważnych w domowej kronice,
Na jej boku wyryty rok stawiania dworu
Był rokiem straszliwego w ojczyźnie pomoru;
A gdy raz pierwszy Moskal wszedł w dziadka podwoje,
Z strasznym hukła łoskotem i pękła na dwoje.
Pod nią chłystki szlacheckie na kobiercach bito,
Pod nią duch się pokazał i Szweda zabito.
Nigdy też dobry dziaduś, znany z ostrożności,
Ni sam pod nią siadywał, ni umieszczał gości;
O szeląg on się nawet pod nią nie założył,
Na niczem nie podpisał, listu nie otworzył,
Zważał nawet, że, gdy kto klął się na szatana,
Zachłysnął przy kielichu, ograł w kasztelana[1]),
Lub się wyrwał niebacznie i głupstwo powiedział;
Zawsze się pokazało, że pod belką siedział.

Fr. Morawski.

66. Polesie.

Tymczasem mroki gęstną, kraj mierzchnie, ciemnieje. Żywa modrość i świetlistość jezior przygasa od den iłowatych, grząskich. Już tu się rzeki nie kwiecą w swych brzegach, jak piękna Niewiaża, która jest uśmiechem świętej, chlebnej Żmujdzi. Już nie znaczą jak Wilja, jak Niemen, złotym i błękitnym ściegiem bystrych swoich chodów. Wody leśne, niemal czarne, zbierają się w żyły, zatajone borową pomroką, i cieką poomacku, skrycie. Już wielkie wrzosowiska suchych, piaszczystych pagórów ustępują rudym, bagiennym powrzosom. Już na podmiękłych łąkach sterczą coraz twardsze, gęsto w sit ostry przeradzające się trawy. Już krzaczaste kępy łosin wżerają się coraz głębiej w zapaszyste błonia, wypierając macierzanki i turzyce wonne.

Ogromne bory starej Litwy, na górnym trzonie zaniemeńskim siadłe, schodzą ze swego podniesienia w kraj niski,

[1]) Gra w karty.

zapadły, który iż ich potęgi żadną miarą zdzierżeć nie jest mocny, muszą się w pochodzie swoim dzielić i rozdrabniać. Jeszcze pod Berezyną falują litewskie wzgórza; jeszcze się tu ziemia dźwiga, jak może, podając czoło słońcu. Zaczem zwarty rdzeń jej wolnieje, rozrabia się, topnieje, a moczary bagniste biorą nad nim przewał[1]). Tu już, jak oko puścić, świat staje się najosobliwszą plątaniną rzek i rzeczek, z których każda zadzierzguje gęste oka sieci wód mnogich, jaka nakrywa tę najgłębszą zapadłość ziem naszych, ową to kotlinę poleską, wiecznie tchem oparów dymiącą. Wszystko tu inne i własne. Zwierz, ptak, przyodziewa ziemi, kolor obłoków, chody chmur, głosy wichrów, samopas lecących, a także człowiek i obyczaj jego. Świat tu zamknięty w sobie własną swą naturą, niełatwo dopuszczający do tajników swoich. Świat oparzelisk[2]), mateczników[3]), odeszłych kęp, oblanych rzecznemi łachami ostrowów.

Ostrowy te, te warownie wilcze, do których dostępu ludzkiej nodze czasu lata[4]) niema, pokazują ciekawe widowisko na twardej jesieni. Już ługi podmarzłe nie puszczają pary, już ostre, pożółkłe sity i szuwary sterczą, jak sierść, na nich, kiedy tu, to tam, na szerokich, dalekich przestrzeniach zaczynają świecić gęste, żywe ognie.

To Poleszuk wypala w łozach wilcze gniazda. Zrazu pełzną ogniе, zżółkłemi trawami sycone, nisko, tuż przy ziemi, sycząc, jak zły gad, i kłębiąc się w sobie. Aż gdy dopadną tęższej, zwartszej żertwy[5]) i buchną po łozach, kiedy się zakędzierzą i zakręcą w miotły, lecąc powietrzem, jak ogniste race, wtedy całe okolice wyglądają jakby morze ognia. A tuż wicher lodowy zadmie, zaśwista, zahuczy, podbije, rozżarzy owe mietlice czerwone, pomiecie, popędzi one iskrzaste dymy i razem z uciekającym zwierzem wyje, tarza się, szaleje.

Niejedno tam półkurcze[6]) trzaśnie wtedy zcicha, a psy po opłotkach zanoszą się dzikim skowytem, zaczuwszy ciekające między ogniami gniazd swoich wilczury. Wtedy to trzeba widzieć te oczerety i te żyły wodne, jak grają, wymalowane łunami pożarów. Wtedy te posępne bagna, obrzeżane czerwienią płonących twierdz wilczych!

A od ognia do ognia dmie lękliwa surma, której głos, odbity setnem echem, dodaje przerażenia tym dzikim widokom.

[1]) t. j. biorą górę.
[2]) Ziemia wodnista, nie marznąca nigdy.
[3]) Miejsce niedostępne w kniei.
[4]) t. j. podczas lata.
[5]) Żertwa — ofiara, zdobycz.
[6]) Kurek u strzelby.

Surma — to głos Polesia i głos Poleszuka.

Jej rozciągły, jednostajny, na trzech czy czterech tonach oparty obzew[1]) powtarza się niezmiennie, kto wie, od wieków może, tą samą posępną nutą na wydanie smutku i radości życia.

I wsiąka ów obzew jednostajny, rozciągły w opary bagien, w zatajone zacisze borowe, brzmiąc szeroko, daleko, o wieczornej i porannej zorzy, i w krótkiej gamie westchnienia, czy jęku wypowiada duszę tego ludu, jest jakby przyrodzonym jej wyrazem. Dużo się tu zmieniło od tych dawnych czasów, kiedy taką wykręconą z młodej osiki trombitą zwoływały się, czasu niebezpieczeństwa, rody Poleszuków, po ostępach i borach osiadłe. Przetrzebione są bory, osuszone bagna, puszczone kanałami wód cieki; miasta porosły i zmarniały, niedźwiedź ustąpił przed hukiem toporów z natrzęsionych po chaszczach barłogów; z mnogich niegdyś drapieżców jeden ryś tylko zasiada na zbójeckich czatach, a w tym obzewie Poleszuka, czujnym a ponurym, nie zmieniło się nic, kto wie, może od czasów Wojsiełka[2]), o którym wieść powiada, iż, uchrony przed postrzyżynami w czerńce szukając, tu się był zaszył w bagniste, niezbrodzone puszcze. Nie zmieniło się wiele i w doli, niedoli. Jaka dola, taka pieśń, która jest jej głosem.

Od kolebki, wiszącej u pułapu kurnej chaty, pod powałą dymów, jak pod siwą chmurą, do mogiły, nad którą stoi krzyż ogromny, z co najwyższej jodły ciosany, wśród innych krzyżów cmentarza, co są, jako wielki las bezlistny, na jesiennym wichrze skrzypiący, dola idzie tu z ojca na syna twardą, ciężką schedą. Te woły, po bagnach grzęznące, te skąpe ziemie, gdzie Poleszuk na mokrym jeszcze zagonie przygarść słomy po siewie z kraju kładzie, żeby Pan Jezus, gdy zejdzie rolę przeżegnać, stóp świętych nie zamaczał sobie; ta febra, zaczajona w bagiennych oparach, która szpik w kościach trawi i wypala; te niedostępne, potracone między łachami rzek „zachody“, na które pastuch, gdy z dobytkiem zajdzie, dziczeje bez ludzkiej i twarzy i warzy; te gryzące dymy smolarni, które wyżerają oczy, wszystko to przekazuje się z wieku na wiek, z pokolenia na pokolenie, cierpliwie, biernie, milcząco. Bo, jeśli dola twarda, to i dusza tu twarda i nieprzełamana; a co w niej skargi i żałości, to tylko surma wypowiada w roznośnym, przeciągłym jęku.

Głodny Poleszuk rybą dojada, czego chleb uskąpi; a po resztę idzie do boru.

[1]) Pobudka.
[2]) Wojsiełk — syn Mendoga, wielki książę litewski (XIII w.).

Tam to jesienią rozwloką się dymy budników, pędzących smołę i dziegieć. Tam ostre wonie żywiczne, poczerniałe twarze, skołtunione głowy, tam snopy iskrzaste, za wiatrem jesiennym noszone, tam ognie i ponocne straże dla odstraszenia zwierza; tam skąpe słowo, twarde życie i myśl stłoczona, stłumiona. Stamtąd to niesie Pina, Prypeć, Mozyr całe dubasy[1]), całe szuhaleje[1]) i klepki, i gontu; stamtąd Pińczuk, jak borsuk norowy, rzadko się wychyla do miast, chytry, jak wijun[2]), i zaparty w swoim zwyczaju, że wieki mijają, a on zawsze ten sam, ku żadnej zmianie nieskłonny, na umór przy swojem stojący, pokorny, tępy na obcym sobie gruncie, zręczny i śmiały w swojej kurnej chacie, na swoich rozlewiskach i w swych smolnych borach. Poleszuk w ciemnej swej odzieży nie różni się prawie od kory tych drzew, z któremi razem w ziemię twardo wrasta. Jest on jakoby dalszym ciągiem tej przyrody i zlewa się w jedno z krajobrazem, którego szarą, smutną nutę sam nosi w obliczu. Bo te ziemie poleśne a wodne, mgłą przez większą część roku nakryte, nie mają w sobie wesołej barwności pól ornych, szerokich, otwartych. Chodzi podmiękłym ługiem tuman smętku i opar zadumy. Przebije go czasem dzwon starej, poczerniałym gontem pokrytej cerkiewki, czasem głuchy stuk toporu, walącego pnie smolne, najczęściej wszakże jęczy w tej mgle tu, to tam niewidzialna surma.

Nie zna Polesia ten, kto go nie widział w wiosennym wód jego rozlewie. Kiedy z głębokich zapaści swoich wystąpi wezbrana Prypeć, kiedy Pina, Słucz, Styr, Horyń szeroko wykipią z swych brzegów; kiedy owe Stochody, Ptycze, Ławie, Uborcie, Żerewie przelewają się przez wręby; kiedy ta cała plątanina wód bieży, goni się, szumi, huczy, dopada, łączy i rozłącza; kiedy wystąpią nawet z krużów swoich jeziora tej kotliny, Kniaź, Pohost, Bobrownicki, Sporawskie: wtedy nie wiesz, gdzie rzeka, gdzie bagno, gdzie susza, a cały kraj widzi się jednem wielkiem morzem, na którem sadyby ludzkie wyglądają, niby drobne wyspy.

Wtedy i Poleszuka poznać w przyrodzonym mu żywiole, gdy ociężały, niezgrabny na suszy, nozdrzami wiatru tego chwyciwszy ledwie, wnet z byle jakiego pniaka czółno sobie zrządzi i zwinnie, szybko, obrotnie kieruje niem po niezmiernych bezdrożach wodnych, od smolarni do smolarni, od boru do boru, ocknięty jakby na duszy i na ciele i cały podany na wolę rozbudzonego instynktu tych prastarych, nawodnych plemion, z których idzie rodem. Te ziemie, pod przemocą wód stojące,

[1]) Rodzaje statków rzecznych.
[2]) Piskorz.

te rozlewiska potężne, nadające właściwy jej charakter, tej niedosuszonej zapaści[1]) starego morza; ten człowiek, wyrastający sam nad siebie, gdy poczuje pod sobą dno czółna, a drąg w garści, to jest dopiero Polesie i to jest Poleszuk.

Marja Konopnicka.

67. Step.

Szumią trawy i burzany,
O! zielono skróś, o! sino,
Jako fale, wciąż kurhany,
Step — a step — a rozbujany,
Morze twoje, Ukraino!
Kędy wzdłuż i wszerz za Turkiem,
Koń i kozak, chodzim nurkiem!

Witaj, wielki mogilniku,
Krwią i ciały ległych żyzny!
Co wokoło zgiełku, kliku!
Tabunowych stad bez liku,
Trzód bez liku, rogacizny,
Ponad wodą tam zieloną
Pohasują — płyną — toną!

Patrzaj, patrzaj na rozdoły!
Różnowzory tłum skrzydlaty,
Który, jako gmin wesoły,
Na chorągwie, na powiaty,
Rządzą orły a sokoły;
I czerń zgodna, raźno, strojnie,
Wyśpiewuje, jak po wojnie.

Stepie, stepie nasz rodzimy,
Po rodzicu och! z rodzica
Zadumane nasze lica!
My tu wszyscy pobratymy!
Och! i duma, ta siostrzyca;
Jako nasze, jej oblicze,
Tęskne — dziwne — tajemnicze.

A taż wieczna tu muzyka,
Niby rozbrzęk gdzieś gęślowy,
Co nie wiedzieć skąd wynika!
Och! senliwa — jakaś dzika —

[1]) Zapaść — pozostałość.

Podmogilnej wyraz mowy
W rozpierzchnione zdaje szumy!
Czyż nie nuta naszej dumy?

Dumoż — dumo Bojanowa![1])
Tu tak bujno i przestronno,
Że rozbrzmieją w rozhuk słowa!
Cięży dzisiaj czemuś głowa:
Dumo! kiedyż wesół, konno,
Hukniem w stepie? kiedyż po nim
Wdzięczną, brzęczną pieśń zadzwonim?

J. B. Zaleski.

68. Ostra Brama w Wilnie.

Z rycin, z opowiadań i opisów przedstawia sobie każdy człowiek Ostrą Bramę inną zupełnie, niż jest w rzeczywistości. W głębi ulicy długiej, staroświeckiej i bardzo cichej wyobraża sobie bramę wysoką, wąską, daleko smuklejszą może, niż Florjańska w Krakowie, prawdziwie „ostrą“, w niej wysoko nad ludźmi przez otwarte okna z ciemnego wnętrza kaplicy połyskują marmury, świeci złoto, iskrzą się drogie kamienie, migają światła lamp srebrnych, na górę prowadzą po dwóch stronach schody kamienne, a na każdym stopniu grupy klęczących, które spływają aż na ulicę; brama może być poczerniała i obdarta, ale musi nosić widoczne ślady wielu wieków... Czyż nieprawda, że jest się przygotowanym na coś bardzo malowniczego, a w tej malowniczości przeważają dwa pierwiastki: starożytność i przepych.

Rzeczywistość jest zupełnie inna. Jedziesz ku miastu ulicą, podobną do wszystkich najpospolitszych małomiejskich ulic, ani długą, ani piękną, dość nową, aż ujrzysz się przed kwadratową ciężką basztą, bramą zapewne, skoro się pod nią podjeżdża; ta brama bez stylu i bez cechy starości, bo ją zawsze bielą i mażą, pomalowana jest rosyjską modą na żółto, gzymsy na niej i Pogoń nad otworem bramy wysmarowana wapnem na biało. Nie wiesz, na co patrzysz i gdzie jesteś, kiedy widzisz naraz, że twój dorożkarz zdejmuje czapkę, że na ulicy wszyscy bez czapek, że niektórzy klęczą na bruku... już wiesz, co to za brama! Zrywasz czapkę i ty, chcesz dojrzeć obrazu „Panny świętej, co w Ostrej świeci Bramie“; widzisz tylko kapliczkę, przystawioną do bramy, tak że zdaje się być jedną ścianą,

[1]) Bojan — bajeczny śpiewak staroruski.

widzisz z trzech jej okien największe środkowe szeroko otwarte, a za tem oknem firanki, które zasłaniają obraz; ale napróżno szukasz przepychu lub starożytności. Owszem, nic skromniejszego, powiedzmy poprostu, nic uboższego, jak ta budowa, dostawiona do bramy, tak że zdaje się być jej facjatą, a tylko z za dwóch boków trójkąta, który stanowi szczyt kaplicy, wyglądają dwa rogi właściwej kwadratowej baszty. Inaczej świeci obraz częstochowski ze swojej Jasnej Góry, której wieże i baszty na kilka mil widne dokoła i zdaleka już można mu się pokłonić!

Niegdyś, przed wiekami, obraz stał we framudze tej baszty, tak mniej więcej, jak figura św. Florjana w bramie Florjańskiej w Krakowie; później wystawiono nad wjazdem kapliczkę drewnianą, już cokolwiek więcej przestronną, a tę dzisiejszą ukończyli księża Karmelici z sąsiedniego kościoła św. Teresy już w początkach XX-go wieku. Na marmury nie było ich stać, jest to prosty mur, niczem nie ozdobiony, ani nie zasłonięty, pomalowany na kolor szafirowy, a wszystko, co z muru wystaje, jak gzymsy, pilastry i t. p., wapnem pobielone. Ulica nie cicha, niestety; owszem, najgwarniejsza ze wszystkich ulic wileńskich, bo, prowadząc do kolei, jest główną komunikacją miasta. Dawniej powozy jeździć po niej nie mogły, a ruch cały szukał sobie dróg innych; dziś wszystkie powozy i dorożki, wszystkie pakunki, ciężary, wszystkie żydowskie fury i wózki jeżdżą popod Ostrą Bramą bez ceremonji i nieustannym turkotem przeszkadzają do nabożeństwa i do skupienia ducha i myśli.

I schodów kamiennych z ciosanemi poręczami niema. W jakiejś przystawce, w jakiejś żółtej, niepokaźnej budzie po lewej stronie ulicy są ciasne, wąskie drzwiczki, jest ciasny, wąski, ciemny korytarzyk, są schody drewniane, niebardzo ciasne, ale dość brudne; po tych wchodzi się do maleńkiego przedsionka czy kruchty, znajdującego się zawsze jeszcze we wspomnianej budzie, z niego zaś naprost są ciasne drzwiczki do małej zakrystji, a na prawo małe, wąskie, na jednego człowieka ledwo, żelazne drzwi do kaplicy. Kaplica może mieć długości kroków kilkanaście, szerokości ledwo kilka; na pokój nie byłaby bardzo duża. Jak wejdzie pięćdziesiąt osób, już nie mają się gdzie pomieścić, a gorąco staje się dusznem, nieznośnem. Z dwóch ścian dłuższych jedną zajmują trzy okna, wychodzące na ulicę i podczas nabożeństwa zawsze otwarte, drugą przez całą prawie jej szerokość ołtarz i umieszczone przy nim małe organki. Wszystko to niskie, tak że ten ołtarz, choć dochodzi do samego sklepienia, wydaje się za niski w stosunku do swej szerokości, jakiś zduszony, przygnieciony.

I tu niema ani murów, ani złota, ani pereł i kamieni, ani lamp kosztownych; ściany pociągnięte klejowo-szafirowym, a sklepienie zielonym kolorem; ołtarz murowany, pomalowany olejno, udaje marmur, kolumny ołtarzowe i wszystko wokoło nich na pierwszy rzut oka niby ze srebra, ale to wszystko drewniane, obwieszone tylko srebrnemi wotami. Są na ołtarzu nawet dwie figury świętych, drewniane, złocone, tak złe, że mogłyby stać w najskromniejszym wiejskim kościele; nawet lichtarze tylko te, co małe, są srebrne, a wielkie ołowiane są, czy cynowe. I wota skromne. Niema częstochowskich buław hetmańskich, ani królewskich darów; srebrne blaszki, przez biedaków zawieszone, wyobrażają to nogi, to ręce, to oczy, to serca; niektóre mają napisy niezgrabne, jak gdyby szpilką wydrapane. Jedyne wotum bogatsze to wielki srebrny półksiężyc, który cały obraz od spodu obejmuje, tak że na obrazach wydaje się, jak gdyby był jego częścią.

Nie częstochowskie to bogactwa i wspaniałości! Tam Matka Boska na swojej wysokiej górze, w swojej obronnej fortecy, w swojej wspaniałej kaplicy wygląda, jak królowa na majestacie; tu, w tych prostych, białych murach, w tej ciasnej przestrzeni, w tem otoczeniu ubogiem, wygląda sama, jak w więzieniu, w ucisku, w ubóstwie. I w obrazach samych podobna różnica. Częstochowski ma oblicze surowe i groźne, tak że mu w oczy patrzeć trudno; ten patrzy tak łagodnie, tak łaskawie, a tak smutno, jak gdyby sam chciał płakać nad sobą; a widząc go w tem ubóstwie, w tym ucisku, myśli się o Matce Bolesnej, jak z pod Krzyża wróciła do swojej izdebki, a za nią gromadka wiernych, płaczących niewiast i uczniów. I tu tak ciasno, i tu tak mało ludzi wejść może, a ci ludzie, co są, płaczą tak często, i to nie nad sobą tylko, ale i nad Najświętszą Panną także, że taka biedna, i nad jej Synem, że zelżony i umęczony przez Heroda i Piłata!... Doprawdy, patrząc na te kobiety, klęczące koło ołtarza i płaczące, myśli się o Salomei albo Weronice, o tych świętych niewiastach, które z takiem uczuciem pojął i przedstawił Delaroche w Wielkim Piątku, jak Matkę Najświętszą znękaną odprowadzają do domu, albo na kolanach próbują krzepić i cucić zemdloną. A sam sobie wydaje się człowiek, jak gdyby należał do orszaku, jak gdyby szedł za nim gdzieś daleko, na końcu i przez uchylone drzwi patrzał na te sceny świętych boleści i sam je choć trochę podzielał.

Taki jest charakter Ostrej Bramy, taki rodzaj czci, którą tam Matka Boska odbiera, i takie wrażenie. I gdyby na tem miejscu stanął przybytek tak wspaniały, jak niema żadnego na świecie, gdyby go wszystkie skarby świata zdobiły, gdyby

najzawołańsi śpiewacy od rana do nocy śpiewali, jak anioły, a setki tysięcy ludzi klęczały dokoła, nie robiłby ten przybytek większego wrażenia, jak robi dziś, w tej swojej biedzie i przez nią. Obraz sam mało jest podobny do innych. Twarz jest więcej niż naturalnej wielkości, jej kolor nie czarny wcale, raczej zanadto czerwony; figura cała zasłonięta zwykłą u nas sukienką, tylko że nie jest, jak w Częstochowie, na aksamicie perłami i kamieniami haftowana, ale wyrobiona ze srebrnej, pozłoconej blachy i wyrobiona wcale ładnie. Jedyna to rzecz okazała i bogata w całej kaplicy.

Z rana msze wychodzą jedna po drugiej bez przerwy aż do godziny jedenastej, wieczorem zaś o szóstej czyta ksiądz litanje przed odsłoniętym obrazem, a zawsze tak wieczorem, jak z rana kaplica pełna i na schodach ludzie się tłoczą i na ulicy klęczą.

Przed Ostrą Bramą, po lewej stronie ulicy, stoi rodzaj domu, umyślnie zbudowany, który na piętrze ma tylko jedną salę, raczej duży pokój z oknami, dającemi wprost widok na ołtarz, z ławkami do siedzenia i klęczenia: to rodzaj loży dla tych, którzy do kaplicy docisnąć się nie mogą, a wolą mszy słuchać pod dachem, niż na ulicy. Tutaj, na ulicy, dużo żebraków i kalek wszelkiego rodzaju i cokolwiek sklepików i przekupek z obrazkami, medalikami i wszelkim tanim kramo-odpustowym towarem. Towaru tego niewiele i dość lichy. Ani mowy o takich pięknych obrazkach, jakiemi pyszni się Częstochowa. Kto więc, jadąc do Wilna, liczy na to, że wróci do domu, wioząc łupy bogate, świętości z Ostrej Bramy, ten niech się z tą nadzieją pożegna. Zato przekupki, które te świętości sprzedają, otoczone są najwyższem uszanowaniem całego miasta, nawet całej Litwy, jako bardzo godna, mądra i typowa część ludności.

St. Tarnowski.

69 Cmentarz.

Wije się, wije wąska drożyna,
Na długie wiorsty wije,
To w dół się spuszcza, to w górę wspina,
Wije się w krętą żmiję.

Żmija się kręci w zielonych łanach
I w łąki się zanurza:
Na wiorst kilkoro znika w tumanach,
Wije się wokół wzgórza.

A wzgórze w gaju sosnowym drzemie,
A w gaju — krzyże czarne,
A pod krzyżami umarłych plemię
Milczenie śni cmentarne.

Czy idziesz w górę, czy w dół, w parowy,
Po długiej ścieżce krętej:
Widny ci wszędzie ów gaj sosnowy
I krzyżów gaj ów święty.

Idź po tej wąskiej, krętej drożynie,
Co wdal swą wstęgę przędzie;
Las, pole, łąka z oczu ci ginie,
Lecz cmentarz widać wszędzie.

A. Lange.

70. Cmentarz w Grodzisku.

Nie widziałam milszego zakątka, jak był mały wiejski cmentarz w Grodzisku. Niski wał z kamieni z trzech stron go tylko grodził, ale w czwartej zato grunt był wzniesiony dość znacznie, a pod nim, jak okiem zajrzeć, ciągnęły się mokre łąki, wiły strugi i czerniły kępy olszowe. Od niższej, piaszczystej strony kopano zwykle chłopskie doły, iż robota była tam lżejsza; i co się zresztą ma chłop skrobać gdzieś na górę. Tuś żył, tu leż i basta! Murowane znów groby, a było ich kilka, stały na stromym skraju cmentarza i świeciły z góry wapnem lub cegłą czerwoną. Z brzegu, u wejścia, kilka drobnych, ledwo ociosanych i krzywo zatkniętych krzyżyków sterczało z piaszczystych, rozsypujących się wzgórków. Dalej, na górze, stały krzyże, co się nazywa, zielone, niebieskie, żółte, z daszkami, z włóczniami, był nawet taki, co miał kurka blaszanego na wierzchu. W połowie wysokości była na nich zwykle przybita okrągła, wapnem pobielona tablica, na której stał napis. Napisy były różne. Czasem wprost: D. O. M.[1]) Tomasz Balcer, albo Maciek Kmiecik, albo Walenty Kałużny, czasem wszakże bywały tam i inne jeszcze rzeczy.

Był wtedy we wsi organista Sroczyński, wielce uczony, który ze dworu książki pożyczał i pisywał wiersze. Ten co przedniejszym gospodarzom sam napisy na tablicy układał, albo może i z książek je formował. Trudno wiedzieć. On to dla Trusika, karczmarza, taki wyszykował napis:

[1]) t. j. Deo Optimo Maximo (Bogu Najlepszemu, Najwyższemu. — łac.)

Moi kochani, dobranoc.
Dobrze jest, cóż Boska moc
Czyni z nami.

Dziękuję wam za waszą wierność.
Jezus woła mnie na wieczność.
Bądź z wami.

Była to bardzo piękna tablica, a dobroduszność tego napisu zawsze mnie rozrzewniała głęboko. Ale prawdziwym triumfem Sroczyńskiego był krzyż ogólny cmentarny, w pośrodku mogił stojący, wedle jego dyspozycji zrobiony.

Krzyż ten był cały czerwony, trzy białe gałki miał u szczytów, a poniżej przybitych stóp Chrystusa wielką trupią głowę na dwóch piszczelach, jakby z mamuta wyjętych, opartą, pod nią zaś tablica z takim napisem:

I nierychło, nierychło godziny spływają,
Ach, leniwe kwadranse rokiem się stają,
Żelazne czasy moje i chwilowe wieki,
Przez które z łez nie oschną powieki,
Nieszczęśliwe kwadranse, przeklęte minuty,
Niejeden z was przeminie i styczeń, i luty,
I miesięczne promienie zagasną i słońca,
A nigdy się wieczność nie doczeka końca.

Podobno Sroczyński kupił sobie w tym czasie srebrny zegarek, i to go zapewne natchnęło owemi aluzjami do kwadransów i minut.

Cmentarz w Grodzisku był zwykle bardzo ożywiony: to krowina jaka połakomiła się na nędzny chwast, jaki tam wyrastał, to szkapa spętana wlazła i wyleźć nie chciała, to kury grzebały się w piasku.

Ale najwięcej ruchu sprawiały wiosną chłopaki, wdrapujące się pod górę od łąki po fujarki.

Co która wierzba wypuściła rózgę, chlast!... już jej niema. A pod drzewem leży wykręcony biel, czasem mokry jeszcze od miazgi, i trzpień zepsuty, i moc naszarpanych liści, a na całem tem pobojowisku siedzi Antek od kowala; bose nogi zwieszają mu się z górki, muchy łażą mu po twarzy, włosy na oczy spadły, a on gra a gra, aż echo od kęp olszowych idzie, a tu mu skrowronek podrzeźnia, w ton wpada, przebija zawodzenie fujarki i ginie w jasności słonecznej.

Taką kapelę miały groby na onym cmentarzu.

A mieszał się do niej często i klekot bocianów, brodzących po łące.

Kiedym tam była po raz ostatni, zbierały się właśnie ku odlotowi. Pod wieczór się już miało i słońce gasło, kiedy zaczęły się zlatywać na łąkę. Z czterech stron świata leciały, a co który przyleciał, to wszczynał się klekot taki, że aż w uszach lgło. Stado zebrało się wreszcie, chwytając naprędce żer w łąkach przygodny i jakby czekając na hasło. Aż gdy zorze przedzachodnie stanęły nad lasem, zerwały się bociany z ogromnym klekotem i biciem skrzydeł ciężkich, i popłynęły w tę różaność złotą długim, długim sznurem. A każdy na piórach miał plamkę czarną, niby grudkę czarnej ziemi, zabraną z tych pól, kędy się ich gniazda zostały...

Marja Konopnicka.

71. Czyj jest las?

Ileż skarbów w gąszczach lasu!
Drogie przędze i klejnoty,
Płaszcz ze słońca szczerozłoty,
Stroje z pereł i atłasu,
Tęczowemi lśniące farby...
Czyjeż, czyje są te skarby?
Ptaszę śpiewa: — Ja tu rosnę,
Gniazdo zwijam, piosnki składam
I echami, jak chcę, władam,
Budząc smutne lub radosne,
O wieczorze i nad ranem,
Któż jest większym, niż ja, panem?
Owad brzęczy: — Traw pokłony
Las wybija na cześć moją.
A te kwiaty, co go stroją,
To stół, dla mnie zastawiony...
Wśród słodkiego żyjąc wczasu,
Czyż nie jestem władcą lasu?
Trawy szepcą: — W pierś olbrzyma
Wpuściłyśmy sieć korzeni,
Las tej sieci nie wypleni,
Bo go pęt miljonem trzyma...
Słońce mówi: — Leśne cuda
To promieni moich dzieło;
Ze mnie wszystko byt swój wzięło,
Czem zakwita ziemska gruda;
Las bez ciepła mego zginie,
Ja więc władam w nim jedynie...
Drzewa szumią: — Czasu zimy

Stygnie słońce, więdną zioła;
A my zawsze dumne czoła
Ku niebiosom podnosimy...
Kiedy inni śpią nieczule,
My tu władcy, my tu króle!
Wreszcie kupiec głos zabierze:
— Długim trudem, nie zabawą,
Jam do lasu zdobył prawo,
Prawo trwałe na papierze...
Nikt go dziś już nie odmieni,
Bo akt kupna mam w kieszeni.
A poeta pilnie zważa,
Co mocarze gwarzą leśni.
Potem wszystko wkłada w pieśni
I w tych pieśniach las odtwarza;
Las z nim śpiewa, las z nim gada —
Czyż nie on to lasem włada?

Wiktor Gomulicki

72. Na polowanie o świcie.

Zapowiedzieliśmy gajowemu Lalewiczowi, że nazajutrz przed świtem będziemy u niego, skąd ma nas poprowadzić na młode kaczki, „klapaki“, do jemu tylko wiadomego smugu nad stawem.

Słowo się rzekło, trzeba było wstać przed drugą w nocy, naciągnąć długie buty i iść. Idziemy tedy z panem Alfredem, papierosy palimy, gwarzymy od niechcenia. Idziemy twardą ścieżką między zbożami. Zgięte już ku ziemi kłosy okwitłego żyta do twarzy nam niemal dostają, na każdym z nich wiszą ogromne krople rosy. Z rozkoszą przesuwasz ręką po mokrych kłosach i pozwalasz, by cię biły po twarzy. Pachnie zboże...

Czasami pociąga od Wisły nie wiatr, lecz zdrowy chłód, niby wilgotny oddech ziemi, ukrytej w nocy. Nie porusza on ścian zboża, lecz je głaska; dotyka ustami, jak pocałunek. Wtedy kłosy leniwo, przez sen, tłuką się o siebie, i cichy szmer płynie w zbożu. Strząśnięte krople zlatują z łuski kłosów, przypadają do kolan ich, z kurzu zzutych, i wiszą tam do świtu. Z bardzo daleka, z głębin olszyn nad rzeczką dolatuje odgłos pieśni słowika.

Leci po rosie tkliwe nawoływanie: przyjdź, przyjdź, przyjdź!... i nie wysłuchane cichnie między trawami.

Nastaje cisza długa, póki nie wypłyną z niej tony gwałtownej, namiętnej, nerwowej, upajającej pieśni. I ta zacichnie

w rosach dalekich... Wtedy zadumane olszyny słuchają urwanych, radosnych wybuchów głosu, podobnych do pocałunków. Ale nie czas nam słuchać Chopina olszyny.

Wkraczamy już na szerokie łąki. Nad lasem ciemność się zmniejsza, nie rozprasza się jeszcze, lecz rzednie. Jest tam niby łuna dogasającego pastuszego ogniska. Obok nas ciemno tak jeszcze, że ledwo możemy dojrzeć wyżła Puka, o dwa kroki biegnącego przed nami. Zbliżamy się, brnąc po wysokiej trawie, do lasu i idziemy jego brzegiem po wrzosach, utykając na kretowiskach i krzaczkach jałowca. Derkacze skrzeczą na przemiany, w łąkach gdzieś daleko odzywa się pierwsza przepiórka i melodyjny jej głos odbija się w lesie. Weselej iść w ciemności z jej wołaniem: — Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć! — Jak woda, przypływają i otaczają nas zimne fale leśnego chłodu, nasycone zapachem poziomek, jałowcu, młodej wikliny, smoły sosnowej, całym tym nie dającym się opisać, wilgotnym, gęstym, duszącym, a tak zdrowym zapachem lasu, ukrytego w mgłach porannych. Pachnie to, jak dziki bukiet.

Blado-niebieski firmament zaczyna wreszcie przeświecać między gałęziami sosen. Nieruchomo, bezwładnie, jakby pogrążone w znużeniu, leżą w powietrzu zwieszone ku ziemi gałęzie sosen. Kontury grubych, w burych sukmanach pni sosnowych odkreślają się już, a jednak toną w niebieskości, jak ryby w wodzie, plamami są w jednym wielkim kolorze, rozpływają się w tym żywiole w szarym przedświcie.

Dostrzec już można mgły nad łąkami i pod niezmiernie ostrym kątem padający na nie cień lasu. I odbywa się w oczach zawzięta walka, bój nad boje, cienia ze światłem, odbywa się szybko, niepostrzeżenie, jak uciekanie czasu. Przesuwają się wszystkie fazy: napaści, osłabienia, pogromu... Każda ma miarę czasu, ma trwanie, żyje, wysila się, walczy, umiera, a tem straszliwiej, że bez wrzasku, bez odgłosu. Aż wreszcie cień poczyna ustępować. Jest taka minuta przed wschodem słońca, gdy zlatuje w głąb krzaków jałowcu i rokicin, przypada na twarz w trawy, chyłkiem idzie między badylami, rowami i bróżdami, zbliża się do lasu, wreszcie na łeb, na szyję doń ucieka, aby tam usiąść pod osłoną sosen, oddychać nocą i patrzeć z wściekłością na bielejące pola. Od tej minuty głośniej krzyczą derkacze, zaczynają wołać przeciągle swojej „ku wyk“ czajki i, jak chłop pracowity, wstaje śpiewać hymn pracy serdeczny brat roli, skowronek.

Drożyna nasza, zarosła trawą, poprzerzynana wyschniętemi kałużami i korzeniami drzew, wybiega czasami na łąkę, by znowu ku lasowi zawrócić. Gdy, stosując się do jej kapry-

sów, wyjdziemy z lasu, bierzemy oddalone krzaki za pasące się konie; zbliżamy się ku nim z ostrożnością nadzwyczajną po to chyba, by je kopnąć nogą ze źle tajoną złością, gdy się ukażą w całej swej niewinności, rosą białą od stóp do głów, jak komżą, okryte.

Nareszcie purpurowym płomieniem zapala się zorza pod lasem. Złoto-ponsowemi brzeżkami otaczają się białe chmurki, leżące na niebie, jak plamy od bezmyślnych pociągnięć pendzlem na niezaczętym obrazie. Zdaje się, że jakaś ręka szybko ściąga z widnokręgu oponę czarną, i ostatek ciemności wsiąka w ziemię. Wstają wsie z ich wysokiemi topolami, co się w świtaniu niebieskiemi wydają, kępy drzew, drogi, pola uśmiechnięte i dalekie, dalekie smugi lasów granatowych, jak ogromne, zastygłe fale.

Zbliżyliśmy się właśnie do „gajówki“ Lalewicza, stojącej pomiędzy chojakami na wydmuchu piaszczystym.

Stefan Żeromski.

73. Ostęp leśny.

Na dole, jak ruiny miast: tu wywrot dębu
Wysterka z ziemi, nakształt ogromnego zrębu,
Na nim oparte, jak ścian i kolumn obłamy,
Tam gałęziste kłody, tu wpół zgniłe bramy,
Ogrodzone parkanem traw. W środek tarasu
Zajrzeć straszno, tam siedzą gospodarze lasu:
Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
Napół zgryzione jakichś nieostrożnych gości.
Czasem wymkną się w górę przez trawy zielenie,
Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,
I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,
Jak promień, kiedy, wpadłszy, gaśnie między lasem.

I znowu cichość w dole. Dzięcioł na jedlinie
Stuka zlekka i dalej odlatuje, ginie,
Schował się, ale dziobem nie przestaje pukać,
Jak dziecko, gdy, schowane, woła, by go szukać:
Bliżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma,
Gryzie go; zawiesiła kitkę nad oczyma,
Jak pióro nad szyszakiem u kirasyjera;
Chociaż tak osłoniona, dokoła spoziera,
Dostrzegłszy gościa, skacze gajów tanecznica
Z drzew na drzewa, miga się, jakby błyskawica:
Nakoniec w niewidzialny otwór pnia przepada,

Jak wracająca w drzewo rodzime Dryjada[1]).
Znowu cicho.

Wtem gałąź wstrzęsła się trącona
I pomiędzy jarzębin rozsunione grona
Kraśniejsze od jarzębin zajaśniały lica,
To jagód lub orzechów zbieraczka — dziewica;
W krobeczce z prostej kory podaje zebrane
Brusznice świeże, jako jej usta rumiane;
Obok młodzieniec idzie, leszczynę nagina,
Chwyta w lot migające orzechy dziewczyna.

Wtem usłyszeli odgłos rogów i psów granie,
Zgadują, że się ku nim zbliża polowanie,
I pomiędzy gałęzi gęstwę, pełni trwogi,
Zniknęli nagle z oczu, jako leśne bogi.

Adam Mickiewicz.

74. Chata gajowego.

W lesie, w głębokim lesie, na obszernej polance, stała chata gajowego Szczepana. Chata była słomą kryta, a budowana z krąglaków, mchem utykanych w spojeniach; obok chaty stały dwa budynki gospodarskie, przed nią zaś kawał zagrodzonego pola i studnia żórawiana, krzywa, zapadła, z wodą, pokrytą zieloną rzęsą.

Przed oknami rosły słoneczniki i dzikie malwy, wysokie, smukłe, a pokryte kwieciem, jakby rojem motylów; między słonecznikami patrzyły czerwone główki maku, około malw okręcał się groch o kwieciu różanem i lila, w dole rósł barwinek, żółty krokosz, złote nagietki i astry blade, bo przygłuszone i siwemi liśćmi słoneczników i malw od słońca zakryte.

W ogrodzeniu, po obu stronach drogi do chaty, posiane były warzywa: marchew, buraki i kapusta; dalej, w osobnych opłotkach, za każdym powiewem wiatru kołysały się falą błękitne kwiatki lnu; dalej ciemniała zieleń kartoflanej naci, a na reszcie obszernej polanki ruń zbóż mieniła się to jaśniej, to ciemniej, aż do brzegów jeziora, oblewającego z jednej strony polankę.

Drzew niewiele było przy chacie. Kilka czereśni z ciemnym, błyszczącym liściem i brzoza jedna o długich, cienkich prątkach, stojąca tak blisko chaty, że lada wietrzyk rzucał jej

[1]) Bóstwo leśne u Greków.

zielone warkocze na zapadły, mchem porosły dach słomiany; a kiedy wiatr silniejszy przygiął brzozę ku ścianie i wszystkie prątki i całą falę listków zwiał na dach, wówczas mogło się zdawać, że brzoza miłuje chatę i bierze ją w ramiona.

W tej brzozie pełno było wróbli, a szelest liści i szmer prątków mieszał się ze świegotem i radosną wrzawą ptactwa; na podstrzeszu zaś chaty niosły się gołębie, więc i tam pełno było ich rozhoworu, i gruchań, i wabienia się, i niby próśb, i rozpraw, jak to zwyczajnie między gołębiami, narodem dziwnie gwarnym i gadatliwym.

Bywało, że czasem spłoszył je jaki nieznany strach; wówczas koło chaty zerwał się szum skrzydeł, powietrze zaroiło się wirem skrzydlatym i mnogością białego ptactwa; słyszałeś zamęt, i szum, i warkotanie sterówek[1]). Cały rój wylatywał nagle i w kołach a w kółkach krążył i zbliżał się, i oddalał; to się rozpływał w błękicie, to błysnął pod słońcem białemi pióry, to zawisnął nad chatą, zawahał się, zakołysał w powietrzu i wreszcie padał, niby tuman śniegowych płatków, na słomiany dach chaty.

A jeśli to było o rannej lub wieczornej zorzy, to wówczas, w blaskach powietrza, gołębie one zdawały się już nie białe, ale różowe, i niby płomyki lub rozsypane listki róży padały na strzechę i brzozę.

Wieczorem, gdy słońce zachodziło za bory, cichł zwolna rozhowor pod strzechą i świegot na brzozie. Wróble i gołębie strząsały rosę ze skrzydeł i zabierały się do snu; czasem zagruchał lub zaczyrykał jeszcze który, ale coraz rzadziej, ciszej, senniej, a wreszcie cichło wszystko, mrok padał z nieba na ziemię; chata, czereśnie i brzozy zacierały się w kształtach, mieszały razem, topiły i przysłaniały mgłą, podnoszącą się z jeziora.

Około polanki bowiem, jak okiem dojrzał, ciągnął się mur ciemnych sosen i gęstwi leśnej. Mur ten przerywał się w jednem miejscu i, idąc wdal nakształt korytarza, rozszerzał się coraz bardziej. W korytarzu i rozszerzeniu bełkotały fale jeziora i opłókiwały brzeg polanki. Jezioro było rozległe, bo drugi kraniec jego prawie że ginął w oddaleniu, i chyba, jak przez mgłę, można było dojrzeć czerwony dach, wieżyczkę stojącego po drugiej stronie kościołka z czarną opaską lasu, zamykającą niedaleko za kościołkiem horyzont.

Sosny przeglądały się z wysokich, piaszczystych brzegów w jeziorze, niby w zwierciedle, więc, zdało się, drugi las jest

[1]) Sterówka — długie pióro w ogonie u ptaka, służące do sterowania.

w toni; a kiedy kołysał się las na ziemi, zdawał się szumieć i w wodzie; kiedy zaś wśród ciszy powietrznej tkwił nieruchomie, wówczas i w gładkiej, nie pomarszczonej toni każda igiełka sosny rysowała się wyraźnie, a pnie szły prosto, niby szeregi kolumn, idące gdzieś daleko, daleko, w nieskończoność. Środkiem jeziora fala w dzień odbijała słońce, rankiem i wieczorem zorze, nocą księżyc i gwiazdy, a wydawała się tak głęboką, jak wysoko nad nami jest sklepienie niebieskie, za słońcem, zorzą, księżycem i gwiazdami.

Henryk Sienkiewicz.

75. Brzozy.

Zapłakały rdzawo liście
Rozpłakanych brzóz,
Na dalekie, ciemne morze
Popłynął ich głos.

Zapytały morza: „Czemu
Łkacie smutno tak?
Czy wam słońca brak jasnego,
Czy wam deszczu brak?“

Nie brak nam jasnego słońca,
Deszcze chmury ślą,
Tylko ziemia, kędy rośniem,
Przesiąknięta krwią.

K. Tetmajer.

76. Jastrząb-drapieżnik.

Widywano go o każdej porze dnia, jak czatował mordu chciwy, a czatował z niezrównaną cierpliwością; widywano tę wspaniałą i straszną postać o krótkiej szyi, płaskiej czaszce, o oczach jakby ze szkła żółtego. Któż nie zna jastrzębia, tego rycerza, który u ust, w złoto oprawnych, nosi sztylet i sztylety ma u nóg, w złotą łuskę odzianych? Nieraz leniwym lotem pruł czyste przestwory błękitu, a szalonym się stawał na widok ofiary. Widziano go samotnego w szczerem polu, kiedy, ponury, z rozkoszą o mordach marzył i kiedy, uniósłszy w górę skrzydła, do lotu opieszale się zabierał. Jak król śmiercionośny, przebywał on państwo ptaków bezbronnych i mniejszych ssących. Najczęściej milczący — tem straszniejszy: czasem tylko wydaje dziki pisk, czy syk, niby żmija. I nigdy nie było słychać ani hasła wojny, ani krzyku triumfu. Krępy,

o potężnych barach, z piersią szeroką, opancerzoną, żywił on uczucia krwawego bohatera wojny.

Jeżeli zasiadł na dzikiej gruszy w polu, lubił się ważyć, gdy wiatr gałęziami wzruszał; niekiedy za tron obierał sobie skibę szarej roli i wtedy zaledwo ruchem głowy pobyt swój tu zdradzał. Zgarbiony nieco, strasznie spozierał dokoła tym wzrokiem, który doprowadza do nieprzytomności i odrętwienia niejedno stworzenie. Oto dwakroć podskoczył niezdarnie, wzniósł w górę biało podszyte skrzydła, wzleciał, i czuć w nim pana powietrznych krain. Płynie wyżej a wyżej, wzlata ponad niwami, na których z trwogi zamilkły pieśni skowrończe. Wzniósł się wysoko i krąży, zatacza w powietrzu koła. Czy to polowanie, czy bezmyślna pańska zabawa? Zakreślił w błękicie krąg wielki, ogarnął nim całe zbożowe łany i, kąpany promieniami słońca, stanął nad borem, stolicą swoją. Teraz z góry zagląda w gąszcze; wpatruje się w zielone polanki; patrzy na kwieciste poręby, smugi; wzrokiem plondruje drzew szczyty. Coś zajęło jego uwagę, bo z głową, w dół spuszczoną, z zaciśniętemi szponami w powietrzu się zatrzymał; niby na skrzydłach stanął i skrzydłami wachluje; przez chwilę to czyni i znów popłynął dalej. Lecz oto nagle na łeb się rzucił i w mgnieniu oka spadł między drzewa, jak gdyby strzałem ugodzony. On ujrzał łup godny siebie; ale zdobycz umknęła, a łowca, dziko spozierając po cienistym lesie, przelatuje swobodnie między drzewami, ani skrzydłem o konar nie zawadzi. Słyszy tylko wszędy dokoła szmery ucieczki, głosy śmiertelnej trwogi: rodzice ukrywają dzieci, kochankowie ostrzegają narzeczone. Zabłąkana jakaś wiewiórka spóźniła się w powszechnym popłochu zwierząt... W zielone murawy zabiegła, orzeszek znalazła i w gniazdo go niosła; orzeszek upadł jej po drodze, chciała go odzyskać, jedną chwilę dłużej zabawiła; to ją zgubiło. Zadarła w górę ogon, skacze w wielkich susach, snadź uczuwa przestrach, bo dziwnie pomrukuje i zwinnem ciałem rzuca niby piłką. Już dopada pnia sosny, dwa skoki jeszcze tylko, a ujdzie przed wrogiem swego życia. Ale jastrząb dopadł zręcznej skoczki, uderzył na nią szponami, ugodził w czaszkę śmiertelnym ciosem, topiąc w niej dziób haczysty. Ogłuszona uderzeniami, popadła w jakiś obłęd, poczuła marność i nicość życia, nieuchronność swej zguby; zamglonem okiem spojrzała i zobaczyła straszne jastrzębiowe oczy, świecące dziwną siłą i nieubłaganą wściekłością... Dziób okropny, chciwie rozdziawiony, i te dzikie oczy dobiły biedną. Ucichło w piersi trwożliwie skaczące serce; mrok wiecznej ciszy, niezakłóconego spokoju zakrył przed nią pogodę ciepłego dnia jesieni. A on,

bezmyślnie wściekły, mechanicznie powtarzał ciosy na ciele, drgającem resztkami życia. Znów wzniósł skrzydła i teraz unosił już w szponach krwawą ofiarę, przelatywał nisko ponad ziemią, aby znaleźć miejsce dogodne dla spożycia uczty. Usiadł pod krzakiem leszczyny i ciepłe jeszcze ciało rwał kawałkami, połykał je szybko, a za każdym razem dławił się z chciwości.

Alboż to jedna ofiara jastrzębiej żarłoczności?

Jesienne popołudniowe słonko łagodnie grzało; nitki pajęczyny wlokły się po powietrzu i pajęczyną nakryły się miedze, ścierniska, krzaki tarniny. Z ugorków wystraszyli pasterze zająca, stąd też uciecha ogromna. „Aha!..., Aha!“ — krzyczą, a w dłonie klaszczą i pędzą. Wypadł strwożony szarak, słuchy położył na grzbiecie; rwie przez jedno, drugie pole, aż się za nim kurzy w podorywkach; on już tylko w oczach się miga i kędyś za wzgórzem znika. Wbiegł na wąską, jak krajka, miedzę, postawił słupka, rozgląda się, słucha, czy jeszcze nie ścigają... Zwolna kica od miedzy i daje nura w ściernisko; tylko wierzchy jego grzbietu nieco widać i czarne końce nastawionych uszu; niekiedy mignie jeszcze białym kosmykiem i już, już ma przycupnąć w bróździe, ażeby straszny dzień przebyć w ukryciu, doczekać zmierzchu. On nie wie, że go zdala dostrzegło bystre oko jastrzębia. Okrutny ptak siedział na samotnym stogu wśród cichych pól; nagle zerwał się, wzleciał ponad niwę, gdzie mu się zdawało, że coś spostrzega i, niby ciekawy, ważył się na skrzydłach ponad ściernikiem, badając uważnie położenie rzeczy. Zadrżał szarak w legowisku, poruszyć się nie śmie, bo jastrząb krąży mu nad grzbietem; może jeszcze nie spostrzeże, przeleci; nieraz tak bywało. Dotrzymuje więc zając placu, prawie że się wlepił w bróżdę, przylgnął do niej; chciałby się schować pod ziemię. Lecz jastrząb naraz gwałtownie spada i dotkliwy cios zadaje. Cóż robić? Trzeba uciekać: pomknął przeto szarak; już późno na ucieczkę. Drugi potężny cios wściekłego dzioba razi go w grzbiet, aż się przegiął biedak... Czuje, że straszne szpony wpijają mu się między żebra; pędzi, ile siły starczą, może wróg straci równowagę... Gdzie tam! Nowy cios godzi między słuchy, aż czaszka trzeszczy... i znów nowy cios i jakieś zaciekłe szarpanie, okrutnie dotkliwe. Bek, płacz, krzyk boleści, kwilenie, rozdzierające serce, rozległo się w polu. Mała dziecina ludzka w dolegliwościach tak się skarży, tak jęczy bezbronna... A gęste ciosy spadają nieustannie, a szpony okrutnie cisną i silne skrzydła z przeraźliwym łoskotem biją po bokach ciała... Jeszcze parę kroków wlecze się

szarak, dźwigając zwycięzcę na swym karku; już pełza prawie, słabym krokiem podchodzi do krzaka głogu; może się tu schronić zdoła, wciśnie się w ciernie i ocali choćby parę chwil nadwerężonego życia. Daremnie! Jastrząb jednym szponem czepił się krzaka, drugim przycisnął ku sobie znękane i poranione zwierzę. Rozpoczęła się znów krwawa uczta.

Nadeszła zima, śnieżna opończa przystroiła ziemię w nową barwę. Niechaj niedołężni oprawcy czają się wśród drzew i krzewów: kto ma wzrok bystry, lot dzielny i dobrą siłę, ten w otwartem polu bierze zdobycz. Na tych smutnych, ubielonych niwach popod lasami tak jakoś żałośnie, tęskno!... Niby jastrzębiowe grody, wysokie zamki, stoją po łąkach stogi z sianem, w polach — grusze wyniosłe na miedzach. Po takich czatowniach dniem wysiaduje jastrząb. Zna on wszystkie kamienie, które czernieją, odbijają od śniegu na polach w okolicy; oko go nigdy nie zawodzi. Tam oto wdali widnieje pod wzgórzem gromadka jakichś czarnych punkcików; ale on się myli: to kretowiska nie przyprószone śniegiem. Lecz dalej jeszcze, około miedzy, widać gromadkę innych czarnych wysepek: to kuropatwy zziębłe, zgłodzone, nieszczęśliwe, właśnie co tylko zapadły tu, bo w polach, lodową skorupą pokrytych, nie mogą nigdzie odgrzebać szczypioru oziminy. Hajże na nie! To zdobycz dobra i łatwa. Więc znów mordy.

Adolf Dygasiński.

77. Zdaleka.

Serce mi się wciąż wyrywa
Do dalekich moich stron,

Do tej wioski ukochanej
Serce mi się wciąż wyrywa...
U nas teraz na wsi żniwa,
Złotokłosy pada plon.

Śpiewką żeńców dźwięczą łany,
Głos po niebie się rozpływa,
A na kłosach wiatr przygrywa,
Jak na harfie wyzłacanej.
Śpiewką żeńców dźwięczy niwa;
Na południe bije dzwon.

I przy drodze wierzba siwa
Da gromadzie spracowanej
Cień, blaskami przetykany...

— Mnie tu, pośród obcych stron,
Śnią się ciągle takie żniwa,
I ta wierzba, i te łany,
I do wioski ukochanej
Serce mi się wciąż wyrywa!

L. Rydel.

78. Napad wilków.

Zdawało się panu Gedeonowi, że, wyjechawszy przed południem z Radomia, stanie jak nic na zachód słońca w domu. Tymczasem w kilku miejscach trzeba było rozkopywać drogę w opłotkach, na czem schodziło po kilka godzin, tak że Jedlnię przejechali już o zorzy wieczornej. Tam ostrzegano ich jeszcze raz, że lepiej zostać na nocleg, ale że u kowala znalazło się łuczywo, którem można było sobie świecić w drodze, kazał pan Pągowski ruszać dalej.

I oto noc zaskoczyła ich w puszczy.

Trudno było jechać prędzej z przyczyny zasp coraz większych, więc pan Gedeon niepokoił się coraz bardziej, a wreszcie począł kląć, ale po łacinie, aby nie przestraszać swej krewnej, pani Winnickiej, i swej przybranej córki, panny Sienińskiej, które jechały z nim razem.

Panna Sienińska była młoda, niefrasobliwa, więc niebardzo się bała. Owszem, odsunąwszy skórzaną firankę w oknie karocy i rozkazawszy jadącemu wpobok pachołkowi, by nie przesłaniał widoku, wesoła patrzyła na zaspy i na pnie sosen, pokrytych długiemi rzutami śniegu, po których pełzały czerwone blaski łuczywa, czyniąc wraz z zielonem światłem księżyca miłą dla oczu igraszkę. Wyciągnąwszy następnie usta nakształt dzióbka, poczęła chuchać i bawiło ją to, że oddech jej był widzialny i od ognia różowszy. Lecz bojaźliwa i wiekowa pani Winnicka poczęła biadać:

— Dlaczego było wyjeżdżać z Radomia, albo przynajmniej nie zanocować w Jedlni, gdzie ostrzegano ich o niebezpieczeństwie? Wszystko przez czyjś upór. Do Bełczączki jeszcze kawał drogi i samym borem, więc wilcy zastąpią im niezawodnie, chybaby Archanioł Rafał, patron podróżnych, zmiłował się nad zbłąkanymi, czego, na nieszczęście, nie są wcale godni.

Słysząc to, pan Pągowski zniecierpliwił się do ostatka. Tego tylko brakło, by o zbłąkaniu gadać.

Gościniec przecie, jak strzelił, a co do wilków, zastąpią, albo nie zastąpią. Pachołków jest kilku dobrych, a przytem

wilk nierad zastępuje żołnierzowi — i nie tylko dlatego, że się go boi więcej od pospolitego człeka, ale i jakowegoś afektu[1]) i, jako bestja, mająca bystry dowcip.

Rozumie wilk dobrze, że ni mieszczanin, ni chłop nic mu darmo nie dadzą, i tylko żołnierz nieraz godnie go pożywi, albowiem wojnę nie napróżno ludzie wilczem żniwem nazywają.

Jednakże pan Pągowski, mówiąc tak, a zarazem schlebiając potrochu wilkom, niezupełnie był ich afektów pewien; zamyślił się więc, czyby nie kazać jednemu z czeladników zleźć z konia i usiąść koło panienki.

W takim razie on sam broniłby jednych drzwiczek karocy, a pachoł drugich, nie mówiąc o tem, że pozostawiony koń pomknąłby prawdopodobnie w tył lub naprzód i mógłby pociągnąć za sobą wilki. Ale zdawało się panu Gedeonowi, że na to jeszcze czas.

Tymczasem położył na przedniem siedzeniu koło panny Sienińskiej parę krócic i nóż, które chciał mieć na podorędziu, albowiem, nie mając lewej ręki, mógł się posługiwać tylko prawą.

Przejechali wszelako spokojnie kilka stajań. Gościniec począł się rozszerzać. Pągowski, który znał tę drogę doskonale, odetchnął jakby z poczuciem ulgi i rzekł:

— Niedaleko Malikowa polana.

Spodziewał się bowiem, że na otwartem miejscu bądź co bądź bezpieczniej jest, niż w borze.

Ale właśnie w tej chwili pachołek, jadący na przedzie z kafarkiem[2]) zawrócił nagle konia, poskoczył ku karocy i począł mówić coś szybko do woźnicy i do czeladników, którzy odpowiadali mu urywanemi słowy, jak się mówi w chwilach, w których niema czasu do stracenia.

— Co tam? — zapytał pan Pągowski.

— Cości słychać, panie, od polany.

— Wilki?

— Jakowyś hałas, Bóg wie co!

Pan Pągowski już miał dać rozkaz, aby czeladnik, jadący z kafarkiem, skoczył naprzód i zobaczył, co się dzieje, ale pomyślał, że w takich razach lepiej nie zostawać bez ognia i trzymać się kupy, a dalej, że na widnej polanie obrona łatwiejsza, niż wśród boru, więc kazał jechać dalej. Po chwili jednak pachołek znów pojawił się przy oknie karocy.

— Dziki, panie — rzekł.

---

[1]) Uczucie, sympatja.

[2]) Kafarek — tutaj: łuczywo.

— Dziki?

— Słychać okrutne rechtanie, na prawo od drogi.

— To chwała Bogu!

— Ale je może wilcy napadli.

— To też chwała Bogu! Przejedziemy mimo bez zaczepki. Ruszać!

Jakoż przypuszczenie czeladnika okazało się słuszne.

Wyjechawszy na polanę, ujrzeli na jakie dwa lub trzy strzelenia z łuku przed sobą na prawo od drogi zbitą kupę dzików, którą otaczał ruchliwy wieniec wilków.

Straszliwe rechtanie, w którem nie było trwogi, ale wściekłość, rozlegało się coraz potężniej. Gdy karoca posunęła się ku środkowi polany, pachołkowie, poglądając z koni, dostrzegli, że wilki nie śmiały jeszcze rzucić się na stado, naciskały je tylko coraz mocniej.

Dziki ustawiły się w okrągłą kupę, jarczaki[1]) w środku, tęgie sztuki na odwodzie tworząc jakby ruchomą fortecę, groźną, połyskującą białemi kłami, nieprzełamaną i nieustraszoną. To też między wieńcem wilków a ową ścianą kłów i ryjów widać było białe, śnieżne kolisko, oświecone, jak i cała polana, jasnem światłem księżyca.

Niektóre tylko wilki doskakiwały do stada, ale wnet cofały się jakby przerażone kłapaniem szabel[2]) i jeszcze groźniejszemi wybuchami rechtania.

Gdyby wilki były się już związały ze stadem, walka pochłonęłaby je całkowicie i karoca mogła przejechać wówczas nie zaczepiona; skoro to jednak się nie stało, była obawa, że porzucą niebezpieczny atak, aby popróbować innego.

Jakoż po chwili niektóre poczęły odrywać się od gromady i biec ku karocy. Za niemi poszły inne. Ale widok zbrojnych ludzi stropił je. Jedne poczęły się zbierać za orszakiem, inne osadzały się na kilkanaście kroków, lub też obiegały naokoło w szalonym pędzie, jakby chcąc się przez to podniecić.

Pachołkowie chcieli strzelać, lecz pan Pągowski zabronił, w obawie, aby strzały nie ściągnęły całej gromady.

Tymczasem konie, lubo zwyczajne wilków, poczęły wspierać się bokami i wykręcać w bok głowy z głośnem chrapaniem, a po chwili zaszedł gorszy wypadek, który stokrotnie powiększył niebezpieczeństwo. Oto młody podjezdek[3]), na którym siedział pachołek z kafarkiem, wspiął się nagle raz i drugi, a potem rzucił w bok.

[1]) Młode.

[2]) Tutaj: kłów.

[3]) Młody konik, koń włościański.

Czeladnik, rozumiejąc, że, gdyby spadł, zostanie natychmiast rozszarpany, chwycił się łęku, ale jednocześnie opuścił tyczkę z kafarkiem, który pogrążył się głęboko w śnieg.

Łuczywo zaiskrzyło się, poczem zgasło, i tylko światło księżyca zalewało teraz polanę. Woźnica, rodem Rusin z pod pomorzeńskiego zamku, począł się modlić, pachołcy-Mazurowie — kląć.

Ośmielone ciemnością wilki nacierały zuchwalej, a od strony walki z dzikami nadbiegały inne. Niektóre przypadały dość blisko, kłapiąc zębami, ze zjeżoną szczeciną na karkach. Ślepia ich połyskiwały krwawo i zielono.

Nastała chwila poprostu straszna.

— Strzelać, panie? — zapytał jeden z pachołków.

— Krzykiem straszyć — odrzekł pan Pągowski.

Rozległo się wnet przeraźliwe: „a hu! a hu!“ Koniom przybyło serca, a wilki, na których głos ludzki robi wrażenie, cofnęły się o kilkanaście kroków.

Ale stała się rzecz jeszcze dziwniejsza. Oto nagle echa leśne powtórzyły za karocą krzyk czeladzi, lecz z większą mocą, potężniej, rozległy się przytem jakby wybuchy dzikiego śmiechu, a w chwilę później gromada konnych zaczerniała po obu stronach bróżka i skoczyła całym pędem koni ku stadu dzików i otaczającym je wilkom. W mgnieniu oka i jedne i drugie, nie dotrzymawszy pola, rozproszyły się po polanie, jakby je wicher rozegnał. Rozległy się strzały, krzyk i znów owe dziwne wybuchy śmiechu. Pachołkowie pana Pągowskiego skoczyli także za jeźdźcami, tak że przy karocy został tylko woźnica i pachołek, siedzący na lejcowym koniu.

W karocy zapanowało tak wielkie zdumienie, że przez pewien czas nikt nie śmiał ust otworzyć.

— A słowo stało się ciałem! — zawołała wreszcie pani Winnicka — z nieba to chyba pomoc.

— Niech się święci, skądkolwiek jest — odrzekł pan Pągowski. — Źle już było z nami.

Panna Sienińska zaś, chcąc także wtrącić słówko, dodała:

— Bóg zesłał tych młodych rycerzy!

Z czego panna Sienińska mogła pomiarkować, że to byli rycerze, a do tego jeszcze młodzi, trudno było odgadnąć, gdyż jeźdźcy przesunęli się, jak wicher, koło sani; ale nikt jej o to nie zapytał, bo oboje starsi zbyt byli przejęci tem, co zaszło. Tymczasem na polanie brzmiały jeszcze przez kilka pacierzy odgłosy pościgu, a niezbyt daleko od karocy jeden wilk, mając widocznie złamany grzbiet od uderzenia kościenia[1]), siedział na

[1]) Laska kościana, kosztur.

zadzie i wył z bólu tak strasznym głosem, że aż mrowie przechodziło po skórze.

Foryś zeskoczył na ziemię i poszedł go dobić, bo konie poczęły się rzucać, tak że aż dyszel chrupnął. Ale po pewnym czasie oddział jezdnych zaczerniał znów na śnieżnej równinie.

H. Sienkiewicz.

79. W maju.

Szumią gaje dokoła,
szemrze strumyk w dolinie,
pachną kwiaty i zioła,
a piosenka mi płynie
na majowy świat!

Zaszło słonko za góry,
a miesiączek żegluje
poprzez nieba lazury
i promieniem całuje
nowy bzowy kwiat.

Z chatek wyszli wieśniacy,
kędy ścieżka się wije,
aby razem po pracy
chwalić świętą Maryję,
zgodny nucąc śpiew.

W wieńce strojny pachnące,
w białe skryty osłony,
nad ścieżyną na łące
stoi obraz święcony
pośród starych drzew.

Wkoło dziewcząt gromadki,
a parobcy za niemi;
u stóp świętej swej Matki
modlitwami wspólnemi
wyśpiewują wraz.

Wietrzyk niesie te śpiewy
ponad rzeczkę, nad siną;
przez ugory, zasiewy —
hen! — daleko gdzieś płyną
na zielony las!

Milkną śpiewy wieśniacze,
i znów cicho wśród wioski,
tylko wietrzyk gdzieś płacze,
potrącając gałązki,
chwiejąc listki drzew.

Wtem nad rzeczką, w łozinie,
wodzie wtórząc szemrzącej,
rozkochany w kalinie
słowik zawiódł swój drżący
o miłości śpiew...

Wyszło dziewczę od matki,
by śpiew słyszeć słowiczy,
rwało polne bławatki
na wianuszek dziewiczy,
na dziewiczą skroń.

Z ptaszęcemi wnet dźwięki
głos złączyło nieśmiały;
słowa tęsknej piosenki,
dzwoniąc, w światy leciały
na daleką błoń.

Razem z piosnką marzenia
popłynęły dziewczęce;
pełną w szczęścia rojenia
główkę wsparła na ręce,
złoty śniła sen!

Szumią gaje dokoła,
dźwięczy ptaszę w łozinie,
pachną kwiaty i zioła,
a dziewczęcia śpiew płynie
gdzieś za góry — hen!

J. Żuławski.

80. Dzień wiosenny.

Czas był wiosenny o świtaniu.

Kwietniowy dzień dźwigał się leniwie z legowisk mroków i mgieł, jako ten parob, któren legł spracowany, a nie wywczasowawszy się docna, zrywać się ano musi nade dniem, by wnetki imać się pługa i do orki się brać.

Poczynało dnieć.

Ale cichość była jeszcze całkiem drętwa, tyle jeno, co rosy kapały rzęsiście z drzew, pośpionych w mącie nieprzejrzanym.

Niebo, kiej ta płachta modrawa, przejęta wilgotnością i orosiała, przecierało się już ździebko nad ziemią czarną, głuchą i zgoła w mrokach zagubioną.

Mgły, niby mleko, wzburzone przy udoju, zalewały łęgi i pola nizinne. Kokoty zaczęły piać na wyprzódki gdziesik po wsiach jeszcze niewidnych.

Ostatnie gwiazdy gasły, kiej oczy, śpiączką morzone.

Na wschodzie zaś, jako zarzewie, roztlewające z pod ostygłych popiołów, jęły się rozżarzać zorze czerwone.

Mgły się zakolebały znagła, wzdęły i, ruchający ciężko, niby wody roztopów wiosennych, biły w czarne pola, albo zasie, kieby dymy kadzielne, wionęły sinem przędziwem ku niebu.

Dzień się już stawał i przepierał z blednącą nocą, która przywierała do ziem grubym, przemoczonym kożuchem.

Niebo się rozlewało zwolna światłościami, zniżając się coraz bardziej nad światem, że już kajś niekaj wydzierały się na jaśnie czuby drzew, oprzędzione mgłami, a gdzie znów, na wyżach, jakieś pola szare, przesiąkłe rosą, wyleniały się z nocy; to stawy zamigotały poślepłemi lustrami, albo strumienie, kiej długachne, orosiałe przędze, wlokły się wskróś mgieł rzednących i świtów.

Dzień się już czynił coraz większy, zorze rozsączały się w martwe siności, że na niebie poczynały gorzeć, jakoby krwawe łuny pożarów jeszcze niedojrzanych, i tak się galanto rozwidniało, iż ano bory wyrastały dokoła czarną obręczą, a wielka droga, obsiadła rzędami topoli pochylonych, utrudzonych jakoby w ciężkim chodzie pod wzgórze, dźwigała się coraz widniej na światłość, że wsie, potopione w mrokach przyziemnych, wyzierały z pod wody spienionej i niektóre już drzewa, co bliższe, srebrzyły się całe w rosach i brzaskach.

Słońca jeszcze nie było, czuło się jeno, że lada pacierz wyłupie się z tych zórz rozgorzałych i padnie na świat, któren dolegiwał ostatków, ozwierał ciężko mgławicami zasnute oczy, poruchiwał się ździebko, przecykał zwolna, ale jeszcze się lenił w słodkim, odpoczywającym dośpiku, bo cichość padła barzej w uszach dzwoniąca, jakoby ziemia dech przytaiła, jeno wiater, jako to dychanie dzieciątka, cichuśki, powiał od lasów, aż rosy potrzęsły się z drzew.

Aż z tej omdlałej szarości świtów, z tych sennych, jeszcze omroczałych pól, jakoby w kościele rozmodlonym i oniemiałym, kiedy dobrodziej ma wznieść na Podniesienie Hostję Przenajświętszą, wystrzelił znagła głos skowronkowy. Wyrwał się gdziesik z roli, zatrzepotał skrzydłami i jął świergotać, jako ta z czystego srebra sygnatura, jako ten wonny pęd wiośniany, tlił się w bladem niebie, bił w górę, głośniał, iż w onej świętej cichości wschodów rozdzwaniał się na świat cały.

Wraz i drugie jęły się zrywać, skrzydełkami bić, w niebo się drzeć i śpiewać zawzięcie, a poranek głosić wszemu stworzeniu czującemu.

A po nich wnet i czajki zakwiliły jękliwie na moczarach. Boćki też wzięły klekotać rozgłośnie gdziesik po wsiach, jeszcze nierozpoznanych w szarościach.

Słońce zaś było już ino, ino...

Aż i ono pokazało się z za lasów dalekich, wychylało się z przepaści i, kieby tę ogromną, złocistą i rozgorzałą ogniami patynę, wynosiły Boże, niewidzialne ręce nad sennemi ziemicami i, żegnając światłością świat, żywe i umarłe, rodzące się i struchlałe, rozpoczynało świętą ofiarę dnia, że wszystko jakby znagła padło w proch przed majestatem i zamilkło, przywierając oczy niegodne.

I oto dzień się stał, jako to nieobjęte morze weselnej światłości.

Mgły, kiej wonne dymy, biły z łąk ku rozzłoconemu niebu, a ptactwo i stworzenie wszelkie uderzyły w wielki krzyk śpiewań, jakoby w ten pacierz serdecznych dziękczynień.

Słońce zaś urastało wciąż, wynosiło się nad bory czarne, nad wsie nieprzeliczone, coraz wyżej i, wielkie, gorejące, ciepłe, kiej to święte oko miłosierdzia Pańskiego, brało we władną i słodką moc panowanie nad światem.

Wł. St. Reymont.

81. Wiosna wróciła.

Jaśniejsze słoneczko
Na niebie świeci,
Nad polem, nad rzeczką,
Wiatr ciepły leci;
Po śniegu, po grudzie,
Pogoda miła,
Radujcie się, ludzie:
Wiosna wróciła!

Wędruje przez łąki,
Z radosną skronią,
A nad nią skowronki
W błękicie dzwonią;
Gdzie spojrzy wiosenka
W blasków powodzi,
Tam ziarnko rozpęka,
Kwiatek się rodzi.

Zielenią się drzewa
Listki pierwszemi,
Coś pachnie, coś śpiewa
Na całej ziemi;
Zimowej omroczy [1])
Ni śladu zgoła,
Raźniejsze wkrąg oczy,
Weselsze czoła.

Nad starym kościołem
Klekocą bociany
I gwarzą coś społem
O wsi kochanej;
Tęskniły tak przecie
Do naszych majów,
W tułaczce po świecie
Z zamorskich krajów.

A w chatach ludziska
Modlą się szczerze,
Z lic radość rozbłyska,
Płyną pacierze,
Już nie drży pierś trwogą,
Bóg szczęście zsyła,
Tak lekko, tak błogo:
Wiosna wróciła!

Or-Ot.

82. Pierwszy śnieg.

W te wiejne i wrzaskliwe dnie Lipce były jakby wymarłe; wichura hulała po drogach z taką mocą, że, kto się ino wychylił z chałupy, wnet go przycapiała za łeb i waliła, gdzie popadło: w rowy, o drzewa, na płoty ciepała, a nawet Jaśka Przewrotnego zwiała z mostu do stawu, że ledwie się chłopak wygramolił, a dęła wciąż, sypała piaskiem i niosła gałęzie, wióry, snopki z dachów, czasem i wierzchół pomniejszy, że leciały w kurzawie, niby te ptaszyska rozgonione, i tłukły się o ściany, we świat gnały!

[1]) t. j. mroku, ciemności.

Najstarsi ludzie nie baczyli tak swarliwych i uprzykrzonych wiatrów.

Gnietli się też po zadymionych chałupach i swarzyli z ckności niemało, bo ciężko było nosa pokazać za węgieł, tyla, że co niecierpliwsze kobiety przebierały się raz wraz chylkiem pod płotami, niby to z kądzielą szły do kum, a głównie, bych pomleć ozorami a wyrzekać; chłopy zaś młóciły zawzięcie, z poza przywartych wrótni stodół biły cepy od rana do późnego wieczora, mróz owarzył zboże, to łacniej się łuszczyło, a ino na odwieczerzu, kiej wichura nieco folgowała, niejeden z parobków przemykał się z ćwiartką jaką do karczmy.

A wichry wciąż jednako wiały i gryzły mrozem coraz krzepciej, że już od tej wiejby pozamarzały rzeczki i strugi, bagna stężały, staw nawet pokrył się przejrzystym, modrym prawie lodem, tyle że ino przy moście, gdzie głębiej było, woda się jeszcze burzyła i nie dawała, ale brzegi leżały już skute na moc, że trzeba było przeręble ciąć dla wodopojów.

Dopiero przed samą św. Łucją przyszła odmiana!

Mróz sfolżał, i ociepliło się ździebko, wichry jakby ścichały, bo ino od czasu do czasu przedmuchnęły świat, ale już mętsze i nie tak swarliwe, niebo zaś się wyrównało, kieby to pole zbronowane a pokryte wielgachną siwą, zgrzebną płachtą, a tak nisko się opuściło, iż jakby się na przydrożnych topolach wsparło. Ale posępnie było, szaro i głucho.

A skoro jeno przedzwonili na południe, zmroczało się nieco i jął padać śnieg dużemi płatami, a sypał gęsty, bo wnet opierzył wszystkie drzewa i wyniosłości. Noc się rychlej zrobiła, ale śnieg nie przestawał, sypał coraz gęściej, suchszy nieco a sypki, i tak już przez całą noc padał. Na świtaniu było już śniegu na dobre trzy piędzie, docna przyokrył kożuchem ziemię i przesłonił świat cały modrawą białnością, a lecial wciąż, bez przestanku. Taka cichość padła na ziemię, że ani jeden powiew nie zadrgał, ani jeden dźwięk się nie przedzierał wśród tych spływających puchów, nic... zamilkło wszystko, ogłuchło, oniemiało, jakby przed cudem stanęło i, przychylone nieco, zasłuchało się uroczyście w tym ledwie wyczutym szeleście, w tym locie cichym, w tej białości martwej, rozdrganej i opadającej nieustannie.

Biała wa ćma się czyniła, rosła, stawała; biały, migotliwy, niepokalany brzask sypał się, by ta wełna najbielsza, najmiększa, najśliczniejsza; snuły się gęstwą nieprzeliczoną, by ta zamarzła poświata, jakoby wszystkie gwiezdne światłości zakrzepły w szron i, starte lotem podniebnym na proch, świat

zasypywały; przysłoniły się rychło bory, przepadły pola, że ani okiem uchwycił, zginęły drogi, roztopiła się wieś cała i wsiąknęła w tę białość, w ten oślepiający tuman, a wkońcu nie było już dla oczu nic widne, prócz tych strug śnieżystego pyłu, spływającego tak cicho, tak równo, tak słodko, kiej te wiśniowe okwiaty w noc miesięczną.

Na trzy kroki nie dostrzegł chałupy, ni drzewa, ni płotu, ni czyjej postawy, ino głosy ludzkie latały w tej bieli, kiej osłabłe motyle, a mylnie, bo niewiadomo skąd płynące, dokąd, a coraz słabiej się trzepotały, coraz ciszej...

I tak sypało dwa dni i dwie noce, że wkońcu zasypało chałupy, iż się wznosiły, jako te śniegowe kopice, buchające brudnemi kołtunami dymów, drogi się wyrównały z polami, sady były pełne po wręby płotów, staw całkiem zginął pod nawałą; biała równia, nieobjęta, chłodna, nieprzenikniona, puszysta i cudna, pokryła ziemię, a śnieg wciąż padał, tylko że już coraz suchszy i rzadszy, bo nocami przedzierały się gwiezdne migoty, a w dzień modrzało niebo gdzie niegdzie wskróś tych polatujących paździerzy białych, i powietrze stawało się słuchliwsze, głosy darły się ostro przez gęstwę, raźno, tukliwie. Wieś jakby się przebudziła, ruch powstał, kto niekto wyjeżdżał saniami, ale zawracał rychło, bo drogi były nie do przebycia; gdzie niegdzie przekopywali ścieżki między chałupami, odwalali śniegi z przed drzwi, wywierali naścieżaj obory, radość przejmowała wszystkich, a już dzieci to szalały z uciechy, psy naszczekiwały wszędzie, polizywały śniegi i ganiały wspólnie z chłopakami; zaroiło się na drogach, wrzaski się podniosły w opłotkach, krzyczeli a bili się śniegułkami, a tarzali się w miękkim, puszystym śniegu, a bałwany okrutne czynili, a saneczkami się ciągali, że te ich piski ucieszne i przegony zapełniły wieś całą, aż Rocho zaprzestał nauczania w ten dzień, bo nie mógł nikogoj utrzymać przy lementarzu.

Coś trzeciego dnia, o samym zmierzchu, śnieg przestał padać, prószyło jeszcze niekiedy, ale tak, jakby kto worek z mąki wytrzepywał nad światem, że i znać nie było, ale niebo spochmurniało, wrony tłukły się koło domów i przysiadały na drogach, a noc się zaciągnęła bezgwiezdna, ołowiana, temi śniegami omroczonemi rozbielona, a taka cicha, zakrzepła i martwa, jakby już całkiem z wszelkiej mocy wyzuta.

Wł. St. Reymont.

83. Dwa stawy w nocy.

Dwa stawy pochyliły ku sobie oblicza,
Jako para kochanków; prawy staw miał wody
Gładkie i czyste, jako dziewicze jagody.
Lewy — ciemniejszy nieco, jako twarz młodziana,
Smagława i już męskim puchem osypana.
Prawy złocistym piaskiem połyskał się wkoło,
Jak gdyby włosem jasnym; a lewego czoło
Najeżone łozami, wierzbami czubate;
Oba stawy ubrane w zieloności szatę.

Z nich dwa strugi, jak ręce, związane pospołu,
Ściskają się; strug dalej upada do dołu;
Upada, lecz nie ginie, bo w rowu ciemnotę
Unosi na swych falach księżyca pozłotę;
Woda warstwami spada, a na każdej warście
Połyskują się blasku miesięcznego garście,
Światło w rowie na drobne drzazgi się roztrąca,
Chwyta je i w głąb niesie toń uciekająca,
A z góry znów garściami spada blask miesiąca.
Myślałbyś, że u stawu siedzi Świtezianka[1]),
Jedną ręką zdrój leje z bezdennego dzbanka,
A drugą ręką w wodę dla zabawki miota
Brane z fartuszka garście zaklętego złota.

Dalej, z rowu wybiegłszy, strumień na równinie
Rozkręca się, ucisza, lecz widać, że płynie,
Bo na jego ruchomej, drgającej powłoce
Wzdłuż miesięczne światełko drgające migoce.
Jako piękny wąż żmujdzki, zwany giwojtosem,
Chociaż zdaje się drzemać, leżąc między wrzosem,
Pełznie, bo naprzemiany srebrzy się i złoci,
Aż nagle zniknie z oczu we mchu lub paproci:
Tak strumień kręcący się chował się w olszynach,
Które na widnokręgu czerniały kończynach,
Wznosząc swe kształty lekkie, niewyraźne oku,
Jak duchy nawpół widne, napoły w obłoku.

A. Mickiewicz.

[1]) Świtezianka — duch wody w postaci dziewicy.

84. Dąb Dewajtis.

Dąbrowa w widłach Dubissy i Ejni na Żmujdzi od niepamiętnych czasów była własnością Czertwanów.

Niegdyś, w czarnej wieków oddali, świątynia tam stała, zamek jej strzegł.

W świątyni bogini Aleksota była czczona, zamku bronili zajadli wojownicy, w skóry odziani, z toporem w garści, a fanatyzmem[1]) w sercu.

Dziś z zamku zostały zaledwie ślady okopów i wałów, zmurszała baszta pod siecią chmielu, studnia bezdenna wyschła, kurhan, pod którym złożono obrońców, i legendy. A po świątyni na polance zostały dwa głazy, poryte jakiemiś znakami, z wyżłobieniem w środku i Dewajtis.

Minęły wieki, zginęli Krzyżacy-apostołowie, ucichł Perkun[2]), pogasły święte ognie, mijały rządy, ludzie, szły wojny po wojnach, ruiny po ruinach, zmieniały się prawa i obyczaje — Dewajtis stał.

Stał wśród polanki, obok świętych kamieni; dęby-wnuki zdaleka otaczały go kołem; olbrzymi, dotąd krzepki, w koronie z zielonych liści, potężne konary, niby ramiona, wyciągał w górę, jak Kriwe Kriwejte[3]), i wyzywał, zda się, do walki żywioły i mówił: „Nie wy, ludzie, rzuciliście tu mnie, i nie wy, wichry i burze, stąd weźmiecie. Osadził tu mnie Bóg i zostanę, zostanę, zostanę!...“

Osłaniał sobą polanę, kamienie, ruiny zamczyska...

Czasem, cichy, słuchał wieści, co mu niosła rzeka, czasem z basztą wspominał stare boje i majestatycznie szumiał; to znów, gdy ludzie do niego przychodzili, po konarach jego szło potężne tchnienie: „Witajcie, witajcie! jedna ziemia nas zrodziła i wyhodowała! Korzeniami ją w uścisk objąłem, a wy ramionami i duszą!“

Tylko co jesień Dewajtis wspominał bohaterów, co pomarli, sławę, co minęła, ogień, co zagasł, i, żalem zdjęty, rozdzierał szaty i płakał. Ludzie obcy mówili: dąb traci liście. Żmujdzini szeptali: Dewajtis opłakuje stare czasy.

[1]) Fanatyzm — przesadna żarliwość w uczuciach religijnych albo narodowych, połączona z krańcową nienawiścią ludzi obcej wiary lub też obcej narodowości.

[2]) Bóg gromu u pogańskiej Litwy.

[3]) Tytuł najwyższego kapłana u dawnych pogańskich Litwinów, arcykapłan litewski.

I przez długie miesiące olbrzym stał oszroniony, ponury i milczał w ciężkiej żałobie, aż litowała się nad nim bogini, której kamieni pilnował tyle wieków, i odwiedzała go.

Wstępowała na ofiarne głazy, wstrząsała konary, pieściła gałązki, budziła, a z pod jej rąk i z białych szat leciały po polanie ciepłe tchnienia i jasne promyki i kwiaty.

A Dewajtis strząsał żal z siebie i, jak bohater, podnosił głowę, a tu rzeka witała go, a tam stara baszta znowu.

Takie baśnie chodziły z ust do ust po zaściankach[1]) i wsiach i temi baśniami usypiała matka Marka, gdy z pieluch wyrósł.

Kobieta to była prosta, zacofana, dziecko chaty szlacheckiej, nigdy nie oswoiła się z pozycją pani dworu i obywatelki. Za szeroko jej było w salonie, za zimno i zawsze cudzo!

Mąż dobijał się fortuny, pracował szalenie, zbierał, szczędził, rósł w możność i potęgę; ona schła, jak polny kwiat w cieplarni.

Cicha była, zalękła, bała się świata, w który weszła, płakała czasem żałośnie, a tak skrycie, jak dzwonki leśne w gęstwinie, żeby nie dokuczyć mężowi, którego ubóstwiała czcią jakąś niewolniczą.

Hardość w niej żyła i łagodność anielska. Gdy odwiedzała brata w Sandwilach, rzeźwiała i weselała: zostałaby tam chętnie, na progu ojcowskiej chaty, z synem na ręku; nie nęcił jej świetny los, którego zazdrościli ludzie, ale nie mówiła nigdy nic smutnego, wracała do Skomontów, śpiewając dziecku, i dalej znosiła bogactwo, jak dopust Boży.

Nie umiała wiele, lecz co mogła, dawała synowi. Religja jej składała się z gorącej wiary i tysiąca zabobonów. Uczyła go więc pacierza i mnóstwa formułek od czarów, uroków i djabelskich sztuk. Historja jej była długim szeregiem legend o smokach i bohaterach, dalej o Tatarach i Szwedach opowiadała mu, co zapamiętała. Kołysała go żmujdzką pieśnią o Birucie i Kiejstucie[2]); gdy podrósł, zabawiała legendami z bajecznych dziejów kraju.

Obyczajem zaścianka, przędła w długie wieczory zimowe i tkała wzorzyste samodziały, w ogrodzie sadziła nasturcje i nogietki, ubierała się chętnie w jaskrawą spódnicę i kolorowy czepiec, w święta po nabożeństwie lubiła gwarzyć ze szlachciankami na cmentarzu i chętnieby wracała piechotą, a nie porządną bryczką z mężem.

[1]) Zaścianek — wieś zamieszkała przez ubogą szlachtę zagonową.

[2]) Kiejstut, w. ks. litewski, porwał kaplankę Birutę i wziął ją za żonę.

Rozrywką jej było pójść na grzyby lub jagody samej z dzieckiem w bór ciemny, gdzieby jej nikt nie turbował nowinami, polityką, modami i plotkami.

Siadywała na mchu lub pniu i słuchała, co las gwarzy.

A chłopak o lnianych włosach i smętnej twarzyczce siadywał obok i w milczeniu słuchał jej mowy poważnej i tajemniczej.

Do dębu na polanie nabrał z owych czasów czci bałwochwalczej.

Matka nauczyła go że wódz to był tych, co polegli, broniąc bogini i zamku. Aleksota[1]) płakała po nim, więc go bogi w drzewo zaklęły, by żył na sławę owego boju, na pamiątkę aż po kres świata.

Tymczasem bogactwa Czertwana rosły, Skomonty stały się pierwszym w okolicy z dobrobytu i rozległości dworem. Codzień wyraźniej stawało w myśli pokornej Wojnatówny, że ona nie pani dla tych dóbr, nie żona dla takiego magnata, że ona jedna w jego doli jest szarą lampą, zawadą, dysonansem[2])! Czuła to i usuwała się w cień, schła, nikła, gryzła się, aż pewnej wiosny zmarła cichutko, jak żyła.

Marek miał wówczas osiem lat i cały skarbiec matczynych wiadomości, jako podkład do charakteru. Na pogrzebie zakończył epokę swego dzieciństwa; odtąd stracił opiekunkę i serce, wrócił do domu, obszedł kąty, i naraz i jemu zrobiło się w tym pięknym dworze i zimno, i cudzo, i za szeroko.

Nazajutrz uciekł do zaścianka, do wuja: chciał tam zostać. I Wojnat rad był sierocie, ale tegoż wieczora przyjechał Czertwan i, po ostrej rozmowie ze szwagrem, zabrał syna. Nie syn to był, ale niewolnik, jak nieboszczka niewolnicą była.

I popłynęły lata. W Skomontach nastała nowa pani, nowy porządek, inne życie. Wniosła ton i szyk, dała Czertwanowi dzieci troje, delikatnych paniątek, skoligaciła go z pięknemi rodami.

Wszystko się zmieniło, i Markowe wspomnienia się zatarły i obraz matki mu zbladł, tylko dąb na polanie pozostał mu niezmieniony, zrazu zaklętym bohaterem, potem powiernikiem, przyjacielem, nareszcie wcieleniem wielkiej myśli.

Dwadzieścia lat upłynęło od chwili jego sieroctwa, kawał czasu, co się wlókł powoli, ciężko, mozolnie, żłobiąc mu duszę w pewną twardą formę, aż zastygła zupełnie.

Marja Rodziewiczówna.

[1]) Aleksota — bogini miłości u pogańskich Litwinów.

[2]) Dysonans — rozdźwięk, ton niezgodny, tutaj: coś niezgodnego z ogólnym nastrojem.

85. Pogrzeb Mickiewicza na Wawelu.

Rozjaśnił się dzień żałoby
I dzień gorzkich prób...
Między nasze wielkie groby
Otworzył się grób
I na słońce wydał z siebie,
Co umarłe było,
I w mdlejącą pierś narodu
Życiem tchnął i siłą.

Rozjaśnił się dzień ucisku
I niedoli dzień,
W nagłym dusz miljona błysku
Stu lat pierzchnął cień...
Nad ziemicą czarnych smutków,
Od morza do morza,
Ogniem życia i nadziei
Zapłonęła zorza.

Przesilił się mrok zwątpienia,
Wypełnił się cud...
Oto ramię u ramienia
Cały stoi lud...
Rozwalonych świątyń ducha
Wznoszą się kolumny,
A z tułactwa powracają
Wielkie nasze trumny!

O, nie prochy martwych kości
Wnoszą do tych bram.
Ale życia i dzielności
Tchnienie dają nam...
Ale idą, jako wielka
Zapowiedź żywota,
Przed wolności idą świtem,
Jako jutrznia złota.

Między króle i hetmany
Nowy przybył król!
Cierniem był koronowany,
Namaścił go ból.

Rządy dusz sprawował wiernie
W nieśmiertelnej mocy,
Wieszczem słowem wskrzeszał ducha,
Jak dawni prorocy.

Niechaj zagrzmi Wawel stary
W zygmuntowski spiż!
Niech okwieci lud te mary,
Niech okwieci krzyż...
Niechaj wejdzie wieszcz narodu
W progi swojej ziemi,
Powitany, pozdrowiony
Głosami bratniemi!

...A zawitaj, hospodynie,
A zawitaj nasz!
Weź lud polski w tej krainie
W ducha twego straż...
Niech twe serce, wielkie serce,
Co dla braci biło,
Zjednoczeniem będzie naszem,
Naszych czynów siłą!

A, zawitaj, hospodynie,
A zawitaj nam!
Tu, gdzie stara Wisła płynie,
U Krakowa bram.
W chacie naszej cię przyjmujem,
Synowie boleśni,
Strojąc lutnię ku radosnej,
A łez pełnej pieśni!

Nowa tu dziś wielka Unja
Triumf święci swój...
Myśli, uczuć to komunja
Na żywota bój...
Kto dziś wierny, kto dziś ufa
W przyszłych dni zaranie,
Temu według wiary jego
Spełni się a stanie.

Bracia! w jednej wielkiej chwili
Snuć umiejmy czas...
Niech to, cośmy tu przeżyli,
Długo krzepi nas...

Niechaj ten, co nas miłował,
Cierpiał za miljony,
Życiem naszem, czynem naszym
Będzie uwielbiony!

Niech więc zagrzmi Wawel stary
W zygmuntowski spiż...
Niech okwieci lud te mary,
Niech okwieci krzyż...
Niechaj wejdzie wieszcz narodu
W progi swojej ziemi,
Powitany, ośpiewany
Pieśniami naszemi!

Marja Konopnicka.

86. Cicho!... sza!... nie wolno!...

Dobrze, miło, przytulnie bywało w „razurze“ pana Franciszka na Piwnej...

Już tej razury niema. Ubyło w Warszawie w ostatnich latach wiele miejsc dobrych i miłych. Wyrosły na ich miejscu nowe, równie może dobre i miłe... dla innych.

Razura pana Franciszka nie wyglądała na razurę. Gdyby nie blachy mosiężne nad drzwiami, niktby nie domyślił się, że tu golą, strzygą, krew puszczają, wyrywają zęby, przystawiają bańki i pijawki. Pomyślałby raczej, że to ptaszarnia, gabinet zoologiczny lub... muzeum osobliwości.

Przed dużem, szerokiem, „weneckiem“ oknem od ulicy nigdy nie brakowało gapiów. Przyglądali się słojom z pijawkami i żabkami zielonemi, małym żółwiom, pełzającym po mchu zwilżonym, jaszczurkom, zamkniętym w oszklonych pudełkach, białym myszom, owadom osobliwym... Cieszyła ich wiewiórka, obracająca wiatraczek; bawił tekturowy kapucyn, chowający się przed słotą do małej, również tekturowej budki.

W lecie drzwi stały zawsze otworem.

Nikt z idących od strony Rynku, Zapiecka, Gołębiej nie minął razury, żeby nie wstąpić, choćby na chwilkę, choćby dla powiedzenia gospodarzowi: „Dzień dobry, panie Franciszku!...“ „Jak się masz, Franek!...“ „Dobrze dziś sąsiad wygląda...“ „Jakże tam zdrowie?...“

Pan Franciszek, nie przestając ostrzyć brzytwy, rozrabiać mydła lub wygalać czyjegoś podbródka, odpowiadał wesoło:

— Dobry dzień panu radcy!...

— Daj pyska, chłopie!...

— Aha! dobrze wyglądam... lufcikiem!...

— Moje zdrowie: dziś nad rowem, jutro w rowie!...

Witaniom towarzyszyły ogłuszające wrzaski ptactwa...

Wnętrze wielkiej, niskiej izby, o sklepionym, szerokołukowym stropie, było zawieszone klatkami.

Kanarki, szczygły, kosy, trznadle przekrzykiwały się wzajem. Jęczała też przy samej ziemi para gołębi osobliwego kształtu i upierzenia, nieustannie komuś sprzedawana, zamieniana i zastępowana inną.

Ale pierwsze miejsce w tej ptaszarni trzymał — szpak. Był to stary, duży, częściowo już wypierzony ptak, „pamiętający ostatnie powstanie...“.

Pan Franciszek mawiał o nim:

— To mój kamrat. Razemeśmy się chowali, razem warjowali, razem cieszyli, razem też biedujemy...

Dziwne imię nosił stary szpak. Nazywał się „Rząd“.

Ludzie obcy, usłyszawszy tę nazwę, kręcili głowami, krzywili usta, czmychali...

— Co za rząd... jaki rząd?... czyj rząd?...

Pan Franciszek odprowadzał ich na stronę, do samego ucha mówił cicho, lecz dobitnie:

— „Na-ro-do-wy!“

Porozumiewali się oczyma, uśmiechali do pana Franciszka i jego ptaka.

Szpak był zawsze ponury, nastroszony, razem melancholijny i zły. Tylko swemu panu pozwalał zbliżać się do klatki; innych dziobał, skrzeczał na nich, jak baba gderliwa.

Śmiertelnie bał się... mundurów. Zaledwie wszedł do razury jaki pan mundurowany, z błyszczącemi guzami, „Rząd“ zeskakiwał natychmiast z prątka, wciskał się w najciaśniejszy kącik, dziób chował pod skrzydło, nastraszał pióra i drżał. Odzyskiwał rześkość dopiero po wyjściu strojnego pana.

Niegdyś podobno ten sam szpak był gadatliwy.

— Dziób mu się nie zamykał od rana do wieczora — upewniał pan Franciszek.

„Rząd“ otrzymywał od swego pana nieustanne pochwały.

— Inne szpaki — opowiadał felczer — nie rozumieją, co gadają, ale mój rozumie. Rozumie nie tylko, co sam gada, ale i co do niego mówią. Niech febry dostanę, jeśli kłamię.

W piwiarni „Pod Gwiazdą“ przyjaciel pana Franciszka, zakrystjan od Augustjanów, usłyszał raz od niego następujące zwierzenie:

— Kiedy mię wówczas... wiesz kiedy!... pochwycili i wywieźli, wyprosiłem sobie, żeby mi dali do kompanji mego „Rząda“.... Sumienie tknęło ich „starszego“ — pozwolił. No, i pojechał ze mną mój „szpakowski“ na kibitce — daleko, hej! Mrozy były siarczyste; nudy siarczystsze jeszcze. Ani gęby do kogo otworzyć!... Więc myślę sobie: uda się, nie uda... spróbuję. Toć szpaki gadają, więc chyba i do nich można... Spróbowałem, no — i udało się! Z początku szło trochę ciężko. „Szpaczyński“ ślepki wytrzeszczał, łebkiem kręcił, nie pojmował... Ale gdym mu wytłumaczył raz i drugi, o co idzie — zrozumiał. Odtąd już mi się tak nie ckniło, miałem przyjaciela, miałem przed kim serce otworzyć, wyspowiadać się, wywnętrzyć... „Szpaś“ słuchał mnie z uwagą, przytakiwał, dziwił się, czasem skrzeknął wesoło, jakby się roześmiał, czasem wrzasnął i pióra nastroszył, jakby chciał powiedzieć: „A psubraty! niech ich kule biją!...“ Powoli, powoli nauczył się i odpowiadać... Odpowiadał krótko, ale zawsze składnie, z sensem... No, i miałem odtąd uciechę i pociechę... Po całych długich wieczorach nic, tylko rum z czajem[1]), albo i bez czaju, i ze szpasiem rozmowa... Za oknem śnieg, wiatr, wilki wyją, dzikie koty miauczą i parskają, dokoła step, pustkowie, biała, okiem nieprzejrzana wydma, a my sobie, dwie sieroty, w ciepłej izbie, przed kominem gadamy a gadamy... Gadaliśmy tak o wszystkiem: o Warszawie, o Ojczyźnie, o braciach-powstańcach, o braciach-więźniach. Gadaliśmy, jak przyjaciel z przyjacielem — ot, jak ja z tobą w tej chwili... Może mi nie wierzysz? co?... Niech febry dostanę!...

Zakrystjan raz po raz nos wycierał i milczał. Było to już po piątym czy szóstym kufelku, przytem nie wypadało przecie sąsiada na febrę narażać...

Cokolwiekbądź, czasy, gdy „Rząd“ bywał rozmowny, bezpowrotnie minęły. Już on teraz ani słuchał, co do niego mówią, ani tem bardziej odpowiadał. Z gaduły stał się mrukiem. Po całych dniach siadywał na prątku, w zupełnej nieruchomości, osowiały i zły. Czynił wrażenie wypchanego.

Co prawda, i w panu Franciszku wiele się odmieniło. Ożeniwszy się z wdówką pieniężną, otworzywszy własny „zakład“, stawszy się małżonkiem, ojcem rodziny i „pryncypałem“, musiał z konieczności spoważnieć, uspokoić się, wystatecznieć. Wyłysiał przytem i potłuścial, co zawsze skutecznie poskramia młodzieńcze, idealne[2]) porywy.

[1]) Czaj — herbata (ros).
[2]) Szlachetne.

„Rząd“, wychowany w gorączkowej atmosferze powstania, odznaczał się wielką swobodą i niepowściągliwością języka. Bez uwagi na nic i na nikogo, wygadywał, naprzykład: „Na Starem Mieście, przy wodotrysku, jenerał... jakiś tam, dostał... po czemś tam“, albo: „Hej, kto Polak, na bagnety!...“ albo: „Boże daj, Boże daj, by nam wrócił Trzeci Maj!...“ i inne, tym podobne niecenzuralności o Kościuszce, Kilińskim, Sowińskim, Langiewiczu, pannie Pustowojtów...

A tu „interes“ świetnie się rozwija, na Piwną schodzą się coraz gęściej solidni[1]), tłuści panowie, których sama zewnętrzność okazuje, że realnie[2]) myślą, pozytywnie działają — figury ważne: z akcyzy, z cyrkułu, z ratusza... Niechże przy którym z tych gości szpak rozpaple się po swojemu!...

Pan Franciszek zbyt kochał towarzysza swych młodzieńczych przygód, żeby mu łebka nadkręcić; nieraz jednak w myśli niedobrze mu życzył. Ile razy też „Rząd“ odezwał się z czemś niewłaściwem, on mu natychmiast zarzucał chustkę na klatkę, dobitnie powtarzając:

— Cicho!... sza!... nie wolno!...

Ptak milknął i, dopóki klatki nie odsłoniono, siedział, jak trusia. Tracił też stopniowo humor i głos, odzywał się coraz rzadziej, wreszcie prawie zupełnie odzywać się przestał.

Ale raz, w majową niedzielę, gdy słońce, od murów augustyańskich odstrzelone, do razury ukosem wpadło, napełniając ją pyłem złotym, wirujących iskierek miljonami, wiosną, weselem, nadzieją, stała się rzecz niesłychana...

Ptak wskoczył rześko na najwyższy prątek, skrzydłami zatrzepotał i na cały głos wykrzyknął:

— „Jeszcze Polska nie!... nie... nie!...

W razurze byli sami swoi: klatki zakrywać nie potrzebowano. Zakrystjan, rzeźnik zprzeciwka, profesor-emeryt, młody malarz, stary aktor zwrócił się do ptaka z błyszczącemi radością i zapałem oczyma.

Czekano, dech wstrzymując, na ciąg dalszy.

Ale ptak nie chciał skończyć. Nastroszył się nagle, osowiał...

— Krrrrr!... — fałszywie zaskrzeczał i urwał.

Przez kilka chwil kręcił łebkiem czarnym w prawo i w lewo, podejrzliwe spojrzenia na wszystkich rzucał, wreszcie zawołał dobitnie, głosem strofującym i złym:

— „Cicho!... sza!... nie wolno!...“

[1]) Poważni.
[2]) Tutaj: spokojnie.

Zeskoczył z prątka, w kąt się wcisnął; już go tego dnia nie słyszano.

Pan Franciszek śmiał się i płakał; inni śmiali się i mądrość ptaka podziwiali. On sam i na śmiech, i na łzy, i na podziw był zupełnie obojętny.

Minęło kilka dni, minął tydzień jeden i drugi; wiosna coraz częściej i coraz złociściej wnętrze razury rozsłoneczniała, szpak wszakże ze swego odrętwienia nie wychodził.

Próbowano go rozruszać, dni lepszych wspomnienia w nim obudzić. Ten i ów z przyjaciół pana Franciszka podchodził niekiedy do klatki, nad samem uchem sennego ptaka wykrzykiwał:

— Jeszcze Polska nie zginęła!...

Budził się „Rząd“, łebkiem w prawo i w lewo kręcił, rozmyślał się, namyślał, wreszcie rzucał w odpowiedzi:

— Cicho!... sza!... nie wolno!...

I znów zasypiał.

Powtarzały się te próby kilkakrotnie, zawsze z tym samym wynikiem.

Ale potem już i to działać przestało. Można było przy ptaku wywoływać najgorętsze hasła, najnamiętniejsze okrzyki, a on nawet powiek zmrużonych nie odemknął.

Czasem tylko, gdy pan Franciszek, mając chwilę wolną, stanął przy klatce i dłużej do swego przyjaciela przemawiał, budziło się w „Rządzie“ trochę życia.

Pan Franciszek mówił:

— Pamiętasz, szpasiu, jakem to ja ciebie w te mrozy piekielne po całych dniach przy sobie trzymał i własną piersią ogrzewał, broniąc od zmarznięcia?

...A jak to ciebie pop za czarownika ogłosił i ludzie, w futra zaszyci, przyszli, żeby pałkami „czorta z ciebie wypędzić“, a ja musiałem kilku postrzelić, bo inaczej życie byłbyś postradał?...

...A jak to Nadieżda Pantielejewna ciebie wycałowywała, prosząc o namawianie mnie, żebym się z nią ożenił?

...A jak to raz, bez mojej wiedzy, do puszczy pofrunąłeś i ja już po tobie rozpaczałem, a tyś potem wrócił, wiodąc za sobą wielką chmarę ptactwa, które mi cały domek obsiadło i do izby za tobą wlatywało?...

...Pamiętasz?...

...Obudźże się więc, mój szpasiu, i zagadaj do swego pana i przyjaciela, jak to umiesz, jak dawniej gadałeś: po naszemu, po powstańczemu!

Ptak szyję wyciągał i mądremi ślepkami wpatrywał się w pana Franciszka, jakby wszystko rozumiał. Nagle otrząsnął się, dziób szeroko otworzył... Ale z dzioba wybiegły tylko słowa skrzekliwe:

— „Nie wolno!... nie wolno!...“

Ślepki przymknął — zasnął.

Odtąd już tylko drzemał a drzemał, nic prawie nie jedząc i nie pijąc.

Jednego dnia, o samem świtaniu, panu Franciszkowi, sypiającemu w razurze, wydało się, że ktoś woła. Usiadł na pościeli, oczy przetarł, słuch wytężył...

Z dużej klatki, zajmowanej przez „Rząda“, dobywało się głośne, przeraźliwe, nieprzerwane skrzeczenie. Można było myśleć, że ptak wzywa pomocy.

Za chwilę pan Franciszek stał już przy klatce.

Szpak był jak pijany: z prątka na prątek przeskakiwał, zataczał się, drżał... Mimo to, pana swego poznał, a poznawszy, natychmiast skrzeczeć przestał. Przez szparę między szczebelkami główkę wytknął, pochwycił dziobkiem jego palec i lekko szczypał...

Dawno już pan Franciszek nie otrzymywał od swego przyjaciela tej pieszczoty.

Napełniło go to otuchą.

— Ej, szpasiu! — wesoło zawołał. — Jeszcze Polska nie zginęła!...

Szpak puścił jego rękę, wszystkie pióra najeżył, podniósł się wysoko na łapkach i stał tak przez chwilę w zupełnej nieruchomości.

Nagle krzyknął głosem, przerażenia pełnym:

— „Nie wolno!...“

I na spód klatki runął nieżywy.

...Tego dnia razura była do południa zamknięta. Pan Franciszek, nikogo do siebie nie puszczając, opłakiwał swego przyjaciela i swoją młodość — górną.

Wiktor Gomulicki.

87. Przegląd wojska.

Tu mi daj, muzo, usta stu Homerów,
W każde wsadź ze sto paryskich języków
I daj mi pióra wszystkich buchalterów,
Bym mógł wymienić owych pułkowników
I oficerów, i podoficerów,
I szeregowych zliczyć bohaterów.

Lecz bohatery tak podobne sobie,
Tak jednostajne! stoi chłop przy chłopie,
Jako rząd koni, żujących przy żłobie,
Jak kłosy, w jednym uwiązane snopie;
Jako zielone na polu konopie,
Jak wiersze książki, jak skiby zagonów,
Jak petersburskich rozmowy salonów.
Tyle dostrzegłem, że jedni z Moskalów,
Wyżsi od drugich na pięć lub sześć calów,
Mieli na czapkach mosiężne litery,
Jakby łysinki — to grenadyjery:
I było takich trzy zgraje wąsalów.
Za nimi niżsi stali w mnogich rzędach,
Jak pod liściami ogórki na grzędach.
Żeby rozróżnić pułki w tej piechocie,
Trzeba mieć bystry wzrok naturalisty,
Który przegląda wykopane w błocie
I gatunkuje i nazywa glisty.
Zagrzmiały trąby — to konne orszaki,
I rozmaitsze, ułanów, huzarów,
Dragonów: czapki, kirysy, kołpaki,
Myślałbyś, że to kapelusznik jaki
Rozłożył składy swych różnych towarów;
Wkońcu pułk wjechał: chłopy, gdyby hlaki[1]),
Okute miedzią, jak rząd samowarów,
A spodem pyski końskie, jako haki.
Pułki w tak różnych ubiorach i broniach
Najlepiej będzie rozróżnić po koniach;
Bo tak i nowa taktyka doradza,
I z obyczajem ruskim to się zgadza,
Napisał wielki generał Żomini,
Że koń, nie człowiek, dobrą jazdę czyni.
Dawno już o tem wiedzieli Rusini:
Bo za dobrego konia gwardyjaka
Zakupisz u nich dobrych trzech żołnierzy;
Oficerskiego cena jest czworaka,
I za takiego konia dać należy
Lutnistę, skoczka, albo też pisarza,
A w czasach drogich nawet i kucharza...
Wróćmy do pułków. Pierwszy wjechał kary,
Drugi też kary, lecz anglizowany[2]),
Dwa były gniade, a piąty bułany,

[1]) Dzbany gliniane z wąską szyją.
[2]) Z podciętym ogonem.

Siódmy znów gniady, ósmy, jak mysz, szary,
Dziewiąty rosły, dziesiąty mierzyna,
A potem znowu kary bez ogona,
U dwunastego na czole łysina,
A zaś ostatni wyglądał, jak wrona.
Harmat wjechało czterdzieści i osiem,
Jaszczyków więcej niźli drugie tyle;
Wszystkiego dwieście, jak po wierzchu wnosim:
Bo żeby dobrze zliczyć w jedną chwilę
Śród mnóstwa koni i ludzi motłochu,
Trzeba mieć oko twe, Napoleonie,
Lub twoje, ruski intendencie prochu;
Ty, nie zważając na ludzi i konie
Jaszczyków[1]) patrzysz, wnet liczbę ich zgadłeś,
Wiesz, ile w każdym ładunków ukradłeś.
Już plac okryły zielone mundury,
Jak trawy, w które ubiera się łąka,
Gdzie niegdzie tylko wznosi się do góry
Jaszczyk, podobny do błotnego bąka,
Lub polnej pluskwy z zielonawym grzbietem,
A przy nim działo ze swoim lawetem
Usiadło nakształt czarnego pająka.
Każdy ten pająk ma nóg przednich cztery
I cztery tylnych: zowią się te nogi
Kanonijery i bombardyjery.
Jeżeli siedzi spokojnie śród drogi,
Noga się każda gdzieś daleko rucha;
Myślisz, że całkiem oddzielne od brzucha,
I brzuch, jak balon, w powietrzu ulata.
Lecz skoro cicha, drzemiąca harmata
Nagle się zbudzi, rozkazem wyzwana,
Jak tarantula[2]), gdy jej kto w nos dmuchnie,
Wnet ściągnie nogi, podchyla kolana
I, nim się nadmie, nim jady wybuchnie,
Zrazu przednimi kanonijerami,
Około pyska długo, szybko wije,
Jak mucha, co się w arszeniku splami,
Siadłszy, swój czarny pyszczek długo myje;
Potem dwie przednie nogi w tył wywróci,
Tylnemi kręci, potem kiwa zadem,
Nareszcie wszystkie nogi w bok rozrzuci,
Chwilę spoczywa, wkońcu buchnie jadem.

Adam Mickiewicz.

[1]) Wozów z amunicją.
[2]) Gatunek pająka.

88. W winiarskim forcie.

Ranek był świeży, wiosenny, słoneczny.

W winiarskim forcie, w Poznaniu, piał grubym, chrypliwym głosem wielki kałakucki[1]) kogut. Piew to był głuchy, jakby ze ściśniętej gardzieli idący, zakończony charczeniem dwóch kłócących się z sobą falsetowych[2]) tonów, urwanych na jakiejś niesfornej, czkawkę przypominającej nucie.

Sam kogut wszakże wiele o głosie swoim rozumieć musiał, gdyż po każdem zapianiu stawał, jak wryty i, wysuwając coraz wyżej z barków grubą, włochato obrosłą szyję, szybko, jak gdyby w podziwie, obracał na wszystkie strony łeb ciężki, nakryty wielkim, aż na oczy spadającym pierzastym szyszakiem.

W zdumieniu swojem zapominał nawet na chwilę o rozgrzebywaniu śmietnika, stojąc tak na jednej z silnych, aż do ostrogi kępami pierza obrosłych nóg czarnych, podczas gdy druga, wyciągnięta w tył, ze skulonemi pazurami, zbierała się niezgrabnie do postawienia następnego kroku.

Nim go wszakże postawić zdążył, już ze wszystkich przedmieść pobliskich, z Waliszewa, z Nowej-Grobli, ze Środki — rozlegało się jasne, szerokie, donośne pianie zwykłych polskich kurów, to pojedynczo, to razem po dwóch, po trzech, jak tam którego chwyciła myśl dobra. Pomiędzy temi wyrobionemi i w doskonałą muzyczną frazę[3]) zaokrąglonemi głosami słychać było piskliwe, zupełnie jeszcze pozbawione szkoły wyrwasy młodych kogutków, które zaraz wszakże zagłuszał jeden lub drugi wyborny solista[4]).

Wielki kałakut słuchał, przechylał na obie strony obciążoną ogromnym czubem i nabrzmiałemi koralami głowę, sinawą błonką zakrywał na jedno mgnienie oka okrągłe, rubinowe źrenice, ale się zwyciężonym nie uznawał i, skoro tylko nieco po przedmieściach ucichło, bił po sobie ciężkiemi lotami i zanosił się grubem, chrapliwem pianiem.

Natychmiast czyste, metaliczne głosy jego adwersarzy[5]) uderzały w powietrze ze zdwojoną siłą. Czuć w nich było rozdrażnienie niezwykłe.

[1]) Kałakucki — pochodzący z Indji Wschodnich, z miasta Kalkuty.
[2]) Falset — głos męski, zakrawający na żeński.
[3]) Fraza — zaokrąglony ustęp melodji.
[4]) Solista — śpiewak, który sam występuje.
[5]) Przeciwników.

Sąsiad z winiarskiego fortu świeżym był przybyszem; przedmiejskie koguty nie nawykły jeszcze do jego tubalnego[1]) głosu. Wiadomo było, iż uważają go wprost za szykanę[2]).

Kałakut nie mniej czuł się podrażnionym.

Nie umiał nawet zgoła wytłumaczyć sobie, dlaczego właściwie ksiądz Johann Wurst, pan jego, przeniósł się tu z Westfalji, z miasteczka, gdzie wszystkie koguty tak samo basem piały i gdzie żaden kur nie robił skandalu[3]) jakiemiś wykrzykami z za płota.

Było to wprost nie do pojęcia.

I znów się ciężkiemi skrzydłami po żebrach tłukł i zanosił przeraźliwem pianiem.

— Szwabska — krew! — zaklął wachmistrz Dzieszuk, czyszcząc odświętny mundur przy otwartem oknie. — Drze się, jakby kto barana rznął. Że też to choć i pianie, to insze katolickie, a insze znów szwabskie...

Wachmistrz Dzieszuk, chłop ogromny, a suchy, jak chmielowa tyka, dawno już w wojsku służył, a z żołnierzy Polaków był w forcie najstarszym. Tutaj ostry jego wąs poszroniał, tu mu twarz zwiędła i wyschła, tu się w ptasi dziób zaostrzył nos jego kościsty, tu mu się nieco pochyliły bary, tutaj ociężały nogi.

Ale, chociaż tak dawno karabin pruski dźwigał, ze „szwabami“ nigdy jakoś pogodzić się nie mógł.

Dwa też były u niego gatunki ludzi i rzeczy: „Szwabska — krew“ i „Polska — krew“. Wszystkie nawet wypadki życia swojego do tych dwu kategorji odnosił. Dwa razy był na przykład „szwabska — krew“ raniony: w szlezwiskiej[4]) i francuskiej[5]) wojnie; a raz mu ksiądz Cydzik, proboszcz dywizyjny[6]), podarował „polska — krew“, książkę od pacierza ze złoconemi brzegami i pięknym futerałem.

Jeden tylko odolanowski i koźmiński atak[7]) kwietniowy wspominając, mieszał te obie kategorje tak, że sam już nie wiedział, gdzie tam w tej zawierusze była krew polska, a gdzie znowu szwabska, i dopiero kiedy w opowiadaniu do bicia słupów

[1]) Głośny, grzmiący, podobny do głosu trąby.
[2]) Wydrwiwanie, dokuczanie.
[3]) Awantury.
[4]) Wojna Prus z Danią w r. 1864.
[5]) Wojna Prus z Francyą w r. 1870—71.
[6]) Dywizja — oddział wojska z 6 pułków.
[7]) Mowa tu o ataku Prusaków na rozdzielone i osłabione podstępnie oddziałki wojska polskiego w Odolanowie i Koźminie dnia 19 kwietnia 1848 r.

granicznych przez generała Willisena przychodziło[1]) — ostygał, prostował się, a rozłożywszy suche i długie ramiona, jak męka Pańska na rozdrożu, milcząc stał i gestem pokazywał, że z jednej strony była wówczas „polska", a z drugiej „szwabska" krew.

Wąs mu wtedy szroniasty drżał nad niemą wargą, a zresztą żaden z willisenowskich słupów nie był bardziej nieruchomy i więcej milczący.

Co niedziela paradował Dzieszuk ze swoją książką od pacierza na mszy żołnierskiej, którą proboszcz dywizyjny wczesnym rankiem u Fary miewał.

Piękna to rzecz była widzieć, kiedy w długiej, po-jezuickiej nawie parami się ustawiła wiara z winiarskiego fortu, mając nad sobą, jak sztandar, krótko strzyżony łeb Dzieszuka, który wzrostem nad wszystkimi górował. Czasami łeb ten, szronem pokryty, zdawał się być tak wysoko, jakby nim Dzieszuk chciał dostać tych gwoździ, któremi przybite były nogi ukrzyżowanego w ołtarzu Chrystusa i bić o nie czołem.

Patrzyli też w niego młodsi, jakby w tęczę, a niejeden, co księdza nie dojrzał i dzwonka nie pojął, ruchami owego łba Dzieszukowego w słuchaniu mszy się rządził.

Stał Dzieszuk, stali wszyscy, jakby w ziemię wrośli; klękał — klękali, niby las podcięty; bił się w piersi — głuchy łomot setek rąk, w kułak złożonych, rozlegał się, jak stłumione uderzenia młotem.

W jednem tylko nie mogli podkomendni naśladować wachmistrza swojego, a mianowicie w tym wspaniałym geście, jakim Dzieszuk książkę swoją z futerała wyciągał, złocone jej karty otwierał, a podniósłszy do wysokości uzbrojonego w okulary potężnego nosa, na całą długość ramion wyciągniętą przed nim trzymał. Tego stanowczo nie mógł naśladować nikt, i na tym punkcie pozostał Dzieszuk niedościgłym wzorem.

Niemniej wszakże czuła się wiara dumną z posiadania wachmistrza, który ma tak piękną książkę, a co niedziela ścisk był koło Dzieszuka, bo każdy rad był choć futerał od niej podczas nabożeństwa trzymać.

Nie byle komu powierzał go Dzieszuk i nie wpierw w ręce dał, aż, ostrym swoim wzrokiem na wylot kandydata do trzymania przebrawszy, uprzytomnił sobie jego całotygodniowe

[1]) Dnia 20 kwietnia 1848 r. wyszedł dekret króla pruskiego, dzielący Wielkie Księstwo Poznańskie na część polską i niemiecką; generał Willisen, przysłany wówczas do Księstwa z ramienia rządu berlińskiego, pełnił obowiązki organizatora nowego porządku w kraju.

sprawki. Boże broń „makuły"[1]) jakiej i „zatrząśnienia oczu"[2]), jak mawiał. Uważano też niemal owo trzymanie futerała za niższy jakby stopień służenia do mszy, a Dzieszukowe czytanie z książki jakby za celebrę[3]).

Umiał wszelako Dzieszuk być wspaniałomyślnym, a kiedy wiara dobrze się sprawiała, to półgłosem modlitwy zwolna czytał, aby je najbliżsi słyszeć mogli. Pomdlały mu nieraz srodze od trzymania książki onej ręce; ale nie wpierw ją składał, aż ksiądz Cydzik, zrzuciwszy ornat po mszy, w albie[4]) tylko u ołtarza stawał i, obróciwszy na kościół twarz szczupłą, bladą i przezroczystą niemal, znakiem krzyża szeroko zakreślonym w powietrzu nad pochylonemi głowami żołnierzy, zaczynał naukę niedzielną: „W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego".

Żegnał się wtedy Dzieszuk, żegnała za Dzieszukiem wiara, a po całej nawie szedł szmer jednostajny, aż ucichł gdzieś u drzwi, u kruchty.

Proste były nauki ks. Cydzika, ale i Dzieszukowi i podkomendnym jego niezwykle trafiały do serca. Cichy, delikatny głos mówcy przejmował serca te nawskróś już dźwiękiem samym; tak, że ledwo ksiądz usta otworzył, już się dawało słyszeć w szeregach powstrzymywane sapanie.

Dzieszuk i w tem przecież karność utrzymać potrafił. Jakże to? To jeden będzie sobie w wąsy dmuchał, a drugi nie będzie słyszał nauki przez niego? Jeszcze co!... Oglądał się tedy marsem[5]), chrząkał, a sapanie wnet cichło po kątach.

Dopiero kiedy wachmistrz dobył czerwonej bawełnianej chustki i nos potężny nią utarł, a westchnął sobie z głębi, wolno było pofolgować[6]) wezbranemu sercu.

Wtedy to, jak na komendę, ucierała wiara nosy, a strzeliste westchnienia unosiły się, jak wiatr, aż pod wielki, kryształkami obwieszony świecznik, którego płomyki też zaczynały migotać i mrugać, jak oczy, do płaczu gotowe.

Płakano wszakże przy większych tylko okazjach. Ot, kiedy na ten przykład Dzieszuk z książki swojej zagrzmiał na mszy pasterskiej: „Bóg się rodzi, moc truchleje"; albo kiedy na wielkopiątkowej pasji[7]) ryknął wielkim głosem: „Jezu

[1]) Plamki.
[2]) t. j. przewinienia.
[3]) Odprawianie nabożeństwa.
[4]) Alba — długa, biała szata, którą ksiądz kładzie pod ornat.
[5]) t. j. surowo, zmarszczywszy się.
[6]) Dać swobodę, ulżyć.
[7]) Pasja — nabożeństwo na pamiątkę męki Pana Jezusa, odprawiane w Wielkim Poście po południu.

Chryste, Panie miły, Baranku bardzo cierpliwy!“ — lub kiedy wreszcie, podczas rezurekcji[1]), jak z moździerza, huknął: „Wesoły nam dziś dzień nastał!“ Tę pieśń lubił szczególniej, a w miarę, jak ją śpiewał, głos jego młodniał i nabierał słodyczy, tak, że przy słowach: „Witajże, Jezu najsłodszy, Synaczku mój najmilszy“, podobny był gruchaniu gołębia, który, lubo przytwardy już nieco na pieczeń, tokować[2]) przecież nie zapomniał jeszcze.

Słodycz ta pozostawała mu w głosie i w spojrzeniu na cały ten dzień, który raz na zawsze spędzał u kuma swego, strażnika trzeciej bramy w winiarskim forcie, Wojciecha Kociały, igrając z dziatkami jego i pożywając dar Boży, iż to sam, sierota stary, domu swego i ogniska nie miał, odkąd syn jego jedyny pod Odolanowem... szwabska krew!

Nie kończył tego wachmistrz Dzieszuk nigdy; ale się przy tych słowach znów stawał podobny do willisenowskich słupów.

A ot i dziś, wielkiego dnia po wielkiej nocy i święconego jajka Bóg doczekać dał. Od wczoraj już fort cały pełen był zapachów gorącego ciasta i mięsiwa, które zagłuszała nieco czeremcha, kwitnąca bujnie i rozgrzana słońcem kwietniowem.

Dzwony u Fary biją a biją, jakby pęknąć miały, a Dzieszuk nie śpieszy się jakoś. A czego się śpieszyć?

To nie ksiądz Cydzik będzie dzisiaj mszę żołnierską odprawiał. Złe jakieś szepty chodziły już oddawna po winiarskim forcie, ba, po mieście całem. Gadali ludzie, że nowy proboszcz przybywał zdaleka; gadali, że nawet po polsku nie umie...

Nie umie? Jakżeby to? Po jakiemużby się tu z ludźmi dogadał?

Tak sobie rozumował Dzieszuk, ale jakby mu mrówki po sercu lazły.

Ksiądz Cydzik od kilku dni nie wychodzi z domu. Powiadają, że chory. Może chory, a może i nie chory. Może to tylko polityka taka. Jak politykować nie ma, kiedy od piątku na cudzych jakby śmieciach siedzi, bo się już nowy proboszcz sprowadził z betami, z gratami, z kurami, ot i z tym kałakutem przeklętym, a dziś pierwszą mszę żołnierską ma mieć...

Ano, da się to widzieć! Przestał mundur czyścić; wdział go na siebie i ruszył naprzód.

Wchodzi wiara, jak zawsze, dwójkami do Fary, a łeb Dzieszuka wyżej jeszcze, niż zwykle nad wszystkiemi sterczy.

Na prawo przed ołtarzem klęczy w ławeczce ksiądz Cydzik, w starej swojej, znoszonej sutannie. Obie ręce złożone na wytartym brewjarzu[1]), na rękach oparte czoło; z boku tylko widać nieco twarz jego zmizerowaną i żółtą, jak wosk.

[1]) Nabożeństwo na Wielkanoc.
[2]) Głos wydawać, którym się wabią (niektóre ptaki).

Zaruszał się wąs szroniasty nad wargą Dzieszuka, ale nic. A tuż zaraz i dzwonek brzęczy u drzwi zakrystji.

Wszedł nowy proboszcz — wspaniała osoba — i tubalnym głosem zaintonował „Asperges“[2]). Rozstąpiły się dwójki na obie strony nawy, a celebrant ruszył środkiem, poprzedzony przez wylękłego i plączącego nogami chłopaka z kubełkiem wody, w komeżce.

Niema co, wspaniała osoba! Gdzie tam do niego księdzu Cydzikowi! Czarna, kędzierzawa głowa, twarz mięsista, rumiana, świecące oczy; ręce białe i tłuste, ruchy zamaszyste. A buty skrzypią, jak u pana komendanta; a z pod kapy[3]) widać nową, błyszczącą sutannę. Kropidłem macha, jakby kij w ręku trzymał; po ludziach bystro pogląda, jakby ich odrazu przeczuć chciał. Jaki taki oczy spuścić musiał.

Zaczęła się msza.

Ksiądz Cydzik nie podnosił głowy.

Zdawało się Dzieszukowi, że przez blade, cienkie palce klęczącego przesączyło się na brewiarz jakby kropel parę... i nagle go coś przy sercu ścisnęło. Żeby sobie wybić próżne myśli z głowy, dobył książkę i modlić się z niej zaczął. Ale modlitwa mu nie szła. Szczególniej to go stropiło, że nowy organista, który razem z nowym proboszczem nastał, trele jakieś wywodzi, a zwykłych pieśni wcale nie zaczyna.

I msza odprawiała się jakoś dziwnie krótko, węzłowato. Nie było w niej tych długich modłów, tych cichych zachwyceń dawnego proboszcza. Od „Introit“[4]) do „Ewangelji“ — jakby z bicza trzasł. Połowy, gdzie! ćwierci zwykłych modlitw swoich nie zdążył Dzieszuk odczytać, kiedy już ksiądz „Credo“[5]) śpiewał. Przed podniesieniem znów oczy od książki oderwać musiał wachmistrz, bo mu się zdało, że świece ciemniej się jakoś u ołtarza palą, i że chyba połowa pogasła. Ale nie. Paliły się wszystkie. Tylko czemu ten organista nie zaczyna pieśni?

Ta pieśń doroczna, ta pieśń nie śpiewana tak mu wierciła w głowie, że, padłszy na kolana przy podniesieniu, bił się

[1]) Zbiór wszystkich modlitw codziennych dla księży.
[2]) Pierwsza część mszy, zaczynająca się od wyrazu Asperges — pokrop.
[3]) Kapa — zwierzchnia szata kapłańska.
[4]) Wchodzi (łac.).
[5]) Wierzę (łac.).

w piersi, jak na „Agnus“[1]), a za nim wiara grzmociła się tak samo, aż do ostatniego.

Ksiądz Cydzik klęczał nieporuszony. Zdawało się, iż to jest figura kamienna, której nadano twarz ludzką, bardzo bladą.

Po „Podniesieniu“ szronowaty łeb Dzieszuka obrócił się ku chórowi. Natychmiast wiara uczyniła toż samo. Na chórze wszakże nie odezwała się pieśń oczekiwana.

Dzieszuk zupełnie modlić się nie mógł. Trzymał wprawdzie książkę swoją na wysokości nosa, ale litery i wiersze migały mu przed oczyma, jak czarne punkty i wężyki. Wydłużał i przyciągał ręce, ale to nie pomagało.

Westchnął nareszcie z uczuciem ulgi, kiedy ksiądz wysokim tonem zaśpiewał: „Ite missa est[2]) — Alleluja!“

Ano, kiedy „Alleluja“, to już dobrze. Przynajmniej się wie, że to po polsku. Już chrząknął, już wydął piersi, już nogi dla pewniejszego dobycia głosu rozstawił, kiedy nowy proboszcz, zrzuciwszy ornat, przed ołtarzem, w albie, z sutą u szyi wstęgą żółtą, do nauki stanął i, zakreślając szeroko w powietrzu nad zebranymi znak krzyża, donośnym odezwał się głosem:

„Im Namen des Vaters, des Sohnes, und des heiligen Geistes[3]). — Amen!“

Dzieszuk, który już do czoła rękę był podniósł, spuścił ją, jak paraliżem tknięty.

Co to? Co to jest? Co to ma znaczyć?

— „Meine teuren Brüder!“[4]) — zaczął ksiądz swoją przemowę.

— Chryste! To naprawdę?... Chryste! Chryste! Chryste!...

Wypadła z głuchym łoskotem książka z rąk Dzieszuka, a ręce te, drżące i kościste ręce podnosiły się zwolna coraz wyżej ku krzyżowi.

Wiara patrzyła w niego, jak w obraz cudowny. A łeb Dzieszuka razem z rękoma podnosić się zdawał tuż, tuż do nóg Ukrzyżowanego. Jeszcze chwila, a dostanie on nóg tych rękoma, oplecie je, uściśnie i włóczyć się będzie u tych stóp przebitych i nie puści, póki go tu zaraz nie przeżegna po polsku ksiądz Cydzik, póki Mateusz, stary organista, nie zagrzmi: „Wesoły nam dziś dzień nastał“.

Wesoły... Chryste! Chryste! Toż dzień sądu, a nie dzień wesela. Chryste! to takie zmartwychwstanie Twoje? To nie zmartwychwstanie, ale męka! Męka, i krew, i żółć, i prze-

[1]) Baranek (łac.).
[2]) Idźcie — posłano (ostatnie wyrazy mszy).
[3]) W Imię Ojca, i Syna, i Ducha Św. (niem.).
[4]) Moi kochani bracia (niem.).

bicie boku włócznią!... Słońce i gwiazdy się zaćmiły, ziemia się wstrzęsła, powstawali z grobu umarli!.. Boże, Boże! czemuś mnie opuścił? Boże, Boże! czemuś mnie opuścił?...

I ryknął stary Dzieszuk nagłym płaczem, i padł na kolana, i, wpatrzony w Chrystusa ukrzyżowanego, wielkim głosem zaczął śpiewać:

„Któryś za nas cierpiał rany,
Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami!“

A za nim wiara tuż na kolana i w szloch, i w ono błaganie żałosne...

Stropił się nowy proboszcz u ołtarza, pomylił, z drugiego końca zaczął i znów się pomylił, ale nauki nie przerwał. Chłopaka tylko w komeżce w bok szturchnął, wskazując mu palcem Dzieszuka.

Chłopak podszedł do wachmistrza i trącił go w ramię. Nic. Trącił go tedy powtórnie. Ale Dzieszuk nie czuł tego nawet. Zdawało mu się, że słyszy wbijanie nowych słupów willisenowskich... Wszakże on je pamięta dobrze. Od Noteci stały, od Krotoszyna, od Międzychodza, od Kępna, ale nie tu, nie tu, nie tu! Tu nie było ani jednego! On wie, że nie było, on przysiąc gotów!

I rozpostarł ręce, i, twarzą na ziemię ległszy, rozkrzyżował się szeroko na kamiennych taflach, jakby broniąc przystępu tym słupom, które się same poruszały i coraz dalej szły, szły...

Ksiądz Cydzik klęczał nieruchomy z pochyloną na ręce twarzą, a jego wątłą postacią wstrząsało wewnętrzne łkanie.

Dawno już się nauka skończyła, a ksiądz Johann Wurst przez zakrystję na plebanję wracał, kiedy Dzieszuk oderwał swój łeb siwy od kamiennych tafli podłogi, podniósł się, zatoczył i, jak pijany ku drzwiom iść zaczął, zapomniawszy po raz pierwszy zabrać książkę swoją.

Przy drzwiach trącił go Kociała.

— Ej, co tam, kumie! Dajcie spokój! Czekamy ze święconem jajkiem...

— Kto święcił? — zapytał głuchym głosem Dzieszuk.

— A któżby?... Nowotny[1])...

— Pożywajcie z Panem Jezusem — odparł Dzieszuk i powlókł się na kwaterę.

Tu zrzucił mundur, padł na tapczan, ukrył głowę w ręce, i długo widać było, jak się wstrząsa jego grzbiet kościsty.

[1]) Nowy (proboszcz).

Nad wieczorem rozbudził się, zjadł kawał czarnego żołnierskiego chleba i, zapaliwszy fajkę, zaczął chodzić po szczupłej stancyjce.

Chodził długo. Już w forcie winiarskim wszystkie światła zgasły, a jeszcze jego ciężkie kroki rozlegały się wśród cichej nocy.

Niebo tymczasem zaciągnęło się lekkiemi chmurkami, a ciepły, rzęsny deszcz wiosenny uderzył z pluskiem grubych kropli w ziemię.

Zatrzepotał się wtedy na grzędzie olbrzymi kalakut i zapiał na tę zmianę swym grobowym głosem.

Dzieszuk drgnął i nagle stanął. Stał przez chwilę, potem zarzucił stary lejbik[1]), czapkę nacisnął na uszy i wyszedł, przyciszając kroku.

Nazajutrz kucharka księdza Wursta podniosła okrutny lament. Ulubiony kalakut nowego proboszcza leżał wyciągnięty tuż pod żerdzią, która mu za grzędę służyła. Grube jego, pierzem obrosłe nogi sterczały skulonemi pazurami wysoko do góry, szyja była skręcona, przy silnym dziobie nieco krwi zaschłej.

Była to zapewne „szwabska krew".

Marja Konopnicka.

89. Pożegnanie.

Panna młoda, jak jagoda,
Stojąc we drzwiach, płacze:
„Kiedyż ja cię
W naszej chacie
Tu znowu obaczę?"
Przed dziewczyną, przed maliną,
Stoi chłopak zbrojny;
A koń wrony
Kulbaczony
Rwie się niespokojny.
„Ciężka droga, bo na wroga —
Nie rwij się, koniku!
W krwawem polu,
W srogim bolu
Legnie was bez liku."

[1]) Lejbik, lajbik — kaftan wojskowy.

„Idź, gdy trzeba! Niech cię nieba,
Niech cię Bóg prowadzi!
Lecz ten krzyżyk
I szkaplerzyk
W boju nie zawadzi.
„Za wygraną zmów co rano:
Trzy Zdrowaś i Wierzę;
Kto pobożny
I ostrożny,
Tego i Bóg strzeże."
Rzekła — płacze — wrona kracze,
A to wrzask złowrogi.
Nie pomoże:
Święty Boże!
Kraj nad wszystko drogi.
Przyjął krzyżyk i szkaplerzyk,
Westchnął — dosiadł konia —
Skinął głową:
„Bądź mi zdrową!"
I ruszył wzdłuż błonia.
Ale prędzej z szarej przędzy
Srebrna nić wypłynie,
Niż we swaty
Do jej chaty
Staś kiedy zawinie.

W. Pol.

90. Przykładna kara.

— Ażeby on miljon fur beczek zjadł! Popamięta mnie teraz! Czy to nie istne skaranie boskie z tym człowiekiem! Mówił major, że to potulne, stare, dobre. Ślicznie potulne; całe miasto chce do góry nogami przewrócić! No, już ja mu się dam we znaki!

— Ale zreflektujże[1]), mój mężu, nie furbeczkuj tak głośno; wiesz przecie, że ja tych wyrażeń znieść nie mogę — ozwała się krzątająca po izbie kobieta.

— E! co tam asani wtrącasz się w nie swoje rzeczy! Ciągle mi kładziesz w uszy: a daj im pokój, to stare graty, a nie męcz ich, nie mustruj, niech sobie wypoczną. Otóż masz owoce tych wypoczynków: ciągle się kłócą i biją z mieszczanami,

[1]) Uspokój się.

a mnie tu u drzwi piszczą pokrzywdzeni: „Panie kapitanie! Kownacki brewerje dokazuje, wąsy mieszczanom chce golić; a tu Gawlik w karczmie z parobkami się pobił.“ Tfu! do kroć djasków, a ja sobie z nimi rady dać nie mogę, jakbym jaką dywizją dowodził! Dziesięciu ludzi, i to zbieranina z różnych stron świata, ciury istne, i tyle kłopotów, jakich nigdy w życiu nie doświadczałem! Dwa lata, jak jestem tym malowanym komendantem, a już mi to kością w gardle stoi. Nie chciałem, Bóg widzi, nie chciałem tego przyjąć, lecz major dowodzi: „To dla ciebie na stare lata odpoczynek: będziesz sobie siedział, jak u Pana Boga za piecem, bez kłopotów, bez tych prezentacji.“ I byłoby może spokojnie, ale ni stąd, ni zowąd djabli tu nanieśli tego Kownackiego. Dziad stary, a ciągle awantury wyprawia... Hm! co mu się zachciewa: wąsy mieszczanom golić! Jaki mi balwierz! Oj, poczekaj, Kownasiu, odpłacę ci to sowicie!

Tak wykrzykiwał stary porucznik, którego tytułowano kapitanem, obecnie komendant inwalidów, a mój ojciec, chodząc szybko po pokoju. Siwe oczy, choć bez blasku, sypały iskrami gniewu; na czoło występowały zmarszczki i przebiegały po niem, jak chmury po niebie, grożącem burzą. Ja z siostrą, przytuliwszy się do siebie, nie śmiąc i słowa przemówić, siedzieliśmy spokojnie w kąciku; nie widzieliśmy bowiem nigdy podobnego gniewu ojca.

Tymczasem przyszedł Duszak, stary żołnierz, niski, zgarbiony, lecz krzepki jeszcze. Ubrany był w tak obszerny płaszcz, że w każdy rękaw jego mógłbym się podówczas swobodnie schować, a w garbie, na plecach wydętym, pomieściłyby się ze trzy bochenki chleba; przynajmniej takie sobie wtedy dziecięca wyobraźnia robiła porównania. Był to jeden z najpilniejszych w obowiązkach służby i zarazem najtrzeźwiejszy, więc też i faworyt ojca, który go perłą komendy nazywał. Może też i to przyczyniało mu względów ojca, że mi zawsze drewniane szabelki strugał, matce w rozmaitych gospodarskich zajęciach pomagał, najlepiej cybuchy czyścił i fiksatuar na wąsy przyrządzał.

Zaledwie stary próg przestąpił i swojem zwyczajnem wyrażeniem: „Jestem na rozkazy, panie kapitanie,“ oznajmił się, już ojciec wydał rozkaz pójścia na strych i zdjęcia dwóch karabinów, oddawna tam leżących, z zaleceniem pośpiechu i ze zwykłem zakończeniem: „Rozumiesz!“

— Rozumiem, panie kapitanie — odrzekł niespokojny żołnierz; że zaś nie rozumiał, widocznem było z całej jego postawy, bo chciał z jakiemś „ale“ wystąpić i już usta otwierał.

gdy ojciec powtórzył rozkaz, i starowina rad nierad potoczył się do sieni.

W kwadrans może powrócił, niosąc z wielką trudnością dwa karabiny zakurzone, w części zardzewiałe. Postawił je przy murze i znowu: „Czekam rozkazów pana kapitana,“ wymówił.

Ojciec spojrzał na karabiny, gorzko się uśmiechnął, jakby chciał powiedzieć: „To mi porządek,“ i wyrzekł prędko:

— Weźmiesz z sobą Włodarczyka, pałasze przypasać i z temi oto karabinami pójdziecie i przyprowadzicie natychmiast tego opoja Kownackiego, żywego lub umarłego, i wsadzicie go do aresztu. — I znowu na wspomnienie Kownackiego czoło zmarszczył i potarł czuprynę.

— Stanie się według rozkazu, panie kapitanie — bąknął Duszak, ale z miejsca się nie ruszył; snadź nie był mu po myśli ten tajemniczy rozkaz. Lecz gest ojca i wyrazy: „Na lewo w tył, marsz!“ wywołały go z osłupienia; podjął więc karabiny i wyszedł, potrząsając głową.

Nazajutrz, ledwo świtać poczęło, byłem już na nogach. Uwijania się żołnierzy, rozmowy, półgłosem prowadzone, i wreszcie ta posępność ich oblicza w mojem dziecięcem wyobrażeniu przybierały jakąś barwę niezwykłą, tajemniczą i uroczystą. Ósma wybiła na domowym zegarze, a ojciec się nie pokazywał. W tem oczekiwaniu każda godzina dniem mi się wydawała. Zniecierpliwiony, tom podchodził pode drzwi ojca, słuchając, czy nie wstał, tom do okna zaglądał, nie zważając na przestrogi matki, krzątającej się około gospodarstwa.

Nareszcie około dziewiątej, ubrany w paradny mundur, wyszedł ojciec z pokoju i skierował się wprost do izby odwachowej. Przywitał uprzejmie zgromadzonych i kazał przywołać Kownackiego.

Na jego widok żal ścisnął mi serce; chciałem już rzucić się na szyję ojcu i błagać przebaczenia, lecz marsowata twarz porucznika i nastrzępione od gniewu wąsy wstrzymywały zapał dziecięcej litości. Bo proszę wystawić sobie zgarbionego staruszka, ze śladami na twarzy wczorajszej uczty, wchodzącego wolnym krokiem i z pochyloną głową, przygnębionego wstydem pośród zgromadzonych na odwachu kolegów! Cały ubiór jego w nieładzie dodawał jeszcze więcej okropności temu obrazowi, a zarazem wzbudzał w przytomnych litość i zjednywał prawdziwe współczucie.

Ojciec z wyrazem największej spokojności, a może i żalu spojrzał na niego i szyderczo się uśmiechnął; potem, odwraca-

jąc się do zgromadzonych podwładnych, krótkim, lecz dobrotliwym głosem przemówił:

— Oto wasz kolega Kownacki, wstyd i zakała komendy; mimo tylokrotnych napomnień, próśb nawet, nie może porzucić obrzydliwego nałogu pijaństwa. Miarka się przebrała, już dalej łagodnością nic wskórać nie mogę, już wreszcie uszy mnie bolą słuchać ciągłych na niego zażaleń, więc raz skończyć trzeba. Włodarczyk! pal mu dwadzieścia!

Te ostatnie wyrazy tak mówił głośno i z takim gniewem, że wszyscy żołnierze zadrżeli, a żaden z nich ruszyć się nie śmiał, aby wykonać wyrok.

— Czy słyszałeś? — powtórzył ojciec, targnąwszy Włodarczyka za ramię — pal mu dwadzieścia!

Rad nierad, Włodarczyk, z komicznie wykrzywioną twarzą zbliżył się do delikwenta. Ten nie rzekł ani słowa na swoje usprawiedliwienie, nie prosił, nie płakał, nie podniósł nawet oczu, ale z pochyloną głową i przygnębioną uległością zdjął mundur, obnażył plecy i pod uderzenia je nadstawiał.

Wszystko to odbyło się w największem milczeniu. Spojrzałem na ojca; twarz jego, dotąd chmurna, przybrała właściwej łagodności wyraz: oko łzą zabiegło, widocznie więc litość obudziła się w sercu. Żołnierze kolejno spoglądali to na delikwenta, to na ojca; lecz żaden nie śmiał i słowa przemówić. Rozdrażnienie umysłów doszło do najwyższego stopnia rzewności.

Wiedziałem, że, gdyby który z nich odezwał się, nastąpiłoby przebaczenie. Ja, jako tam wcale niepotrzebny spostrzegacz, nie mogłem się odważyć prosić, a żołnierze, jako znający karność; tymczasem ojciec, nie mogąc nagle spaść z tonu rozkazującego, z jakim wykrzyknął: „Pal mu dwadzieścia“, do przebaczenia, płakał doskonale i, również, mając wlepione oczy na obnażone plecy Kownackiego, stał milczący.

Nareszcie, widząc zapewne, że już nikt z prośbami się nie odezwie, a nie chcąc tracić na swojej powadze komendanta, szepnął do najbliżej stojącego Duszaka, ale tak głośno, żem mógł dosłyszeć: „A proścież mnie, gamonie, za nim!“

Ledwo domówił tych słów, aż ruszą się wszyscy ku ojcu z jaśniejącym wzrokiem i pomieszanemi wyrazami; nuż prosić, nuż całować po rękach: „Daruj, przebacz, kapitanie!“ Tu i jam sobie już pozwolił, ojca uściskał i prośbę ponowił.

Ojciec przez chwilę niby wahał się, niby namyślał; nareszcie, udobruchawszy się zupełnie, przemówił:

— No, przybliż się, pijanico, i wstydź się, żeś niegodzien tak poczciwych kolegów. Widzisz, oni płaczą, jak dzieci, te wiarusy z pod Kairu, Marengo i Berezyny, a tyś powodem ich

płaczu! Pamiętaj, że, jeżeli jeszcze raz coś podobnego wczorajszej awanturze zrobisz, daję ci najświętsze słowo, że sam pojadę do majora i tyle dołożę starań, żeby cię, jako kąkol niegodny z pszenicy, z naszej komendy oddalono.

— Kapitanie, kapitanie! — zawołał, uklęknąwszy przed ojcem, Kownacki, zakładając palec na palec — kapitanie! przysięgam na wszystko, na Boga jedynego w niebie, już nigdy a nigdy wódki do ust nie wezmę, a tylko daruj raz ostatni i przyjm do swojej łaski!

— Daruję, daruję — wymówił drżącym od wzruszenia głosem ojciec i podniósł klęczącego. — Bóg widzi, że was, jak braci, kocham i chciałbym wam nieba przychylić. Wy stare graty, i ja z wami. Kochajmyż się więc wspólnie, a Bóg nas nie opuści w tem życiu, da spokojność i to błogie przekonanie, żeśmy Jego wolę spełnili!

Tu dopiero nastąpił gwar nie do opisania, ściskania, łzy, urywane słowa: „Poczciwy, dobry kapitan, niech mu Bóg błogosławi,“ zlały się razem w jedno uczucie miłości, wdzięczności i rozrzewnienia. Weszła na to matka, a widząc tak pomyślnie zakończoną katastrofę, uściskała męża, pogroziła łagodnie Kownackiemu, i wszyscy, uszczęśliwieni tą sceną, wrócili do siebie.

Albert Wilczyński.

91. Było to w dzień wigilji...

(1863.)

Było to w dzień Wigilji...
Dawne, dawne czasy!
Rówieśne mej choince już wyrosły w lasy,
A te, co wtedy starym rozbrzmiewały borem,
Już może legły w próchnie, może pod toporem, —
Została jeno pamięć, jak pień po trzebieży,
Na ślad o tem minionem dla nowych pacierzy,
Co, jeśli mają w sobie nieść serdeczne tchnienie,
Muszą o jakieś stare oprzeć się wspomnienie,
Wystrzelić, by latorośl, wyróść na karczunku,
Z podobnej barwy liściem, w tym samym rynsztunku —
Inaczej nic z pacierzy...

Dzień był po ponowie
Mroźny; więc suty ogień palił się w alkowie
Na kominku, przy którym zwykle dziadek siadał,
Prawił o Bonapartem, bitwy opowiadał

Lub nam, wnuczętom, zbrojne udającym szyki,
Kazał na cześć cesarza wydawać okrzyki,
Sam „Vive l'empereur!“ wołał, zacierając ręce,
Nim się przy Dąbrowskiego roztkliwił piosence
I, odprawiwszy malce, klęknął do pacierza...

Tego dnia jakiś smutek spłynął na żołnierza:
Siedział chmurny, milczący, w głuchem zamyśleniu,
Bujając się na krześle, jak jeździec w strzemieniu,
Który, gdzieś na straconej stawiony pikiecie,
Unosi się na siodle, rozgląda po świecie,
Nasłuchuje, od której strony wróg uderzy...

Nam, malcom, pilno było zasiąść do wieczerzy,
Więc, zaniechawszy z dziadem codziennej gawędy,
Biegliśmy wigilijne podziwiać obrzędy:
Choinkę, stoły, lnianym nakryte obrusem,
Z małą szopką i małym na sianku Jezusem,
Z pastuszkami, Melchiorem, Kacprem, Baltazarem.
Raz po raz poglądamy ku ścianie z zegarem:
Rychło li pożądaną wydzwoni godzinę?
Raz po raz wznosim oczy na przestworze sine,
Szukając wśród tumanów śnieżystej zamieci
Tej gwiazdy betleemskiej, co dzieciątku świeci.
Wreszcie błysnęła, złota, nad pobliskim borem...
„Bóg się rodzi“ zabrzmiało staroświeckim dworem,
I wnet dziadek i matka, my, dzieci, pospołu
Zasiedliśmy do hojnie nakrytego stołu,
Prześpiewawszy kolędę, uprzednio zaczętą...
Dziad wziął opłatki.

Właśnie z ręką wysuniętą
Zaczął zwykłe życzenia drżącym głosem składać,
Przyjmować wzajem i znów wzajem odpowiadać,
Chlipiąc i mokre oczy przecierając ręką,
Gdy nagle... ktoś w zamarzłe zapukał okienko,
I po chwili gajowy, chłop z uciętą dłonią,
Wpadł do pokoju, szepcąc: — Panie! naszych gonią.
Była bitwa za borem... tamci przyszli w kupie...
Rozbili... Kilku rannych skryłem w swej chałupie!
Inni jadą do dworu, trza ich schować duchem...
Śnieg leci, to i ślady zasypie, kiej puchem!...
Trza schować, jaśnie panie! Już ich patrzeć ino...
Zgiął się do kolan, płową potrząsnął czupryną
I, choć bez słów, oczyma w dalszym ciągu prosił.

A już przed domem tętent kopyt się roznosił,
Już coraz bliżej głosy dobiegały echem...
Dziad zerwał się na nogi z zapartym oddechem,
Skoczył rześko, jak ongi z faszyn wolskich szańców,
Roztworzył drzwi ścieżajem.
Ujrzałem powstańców!

. . . . . .

Nie jedliśmy wieczerzy, nie palili drzewka,
Zamarła w ciszy nawet kolędowa śpiewka.
Dziadek nakazał milczeć o tem, co się stało.
Śnieg padał, całą ziemię okrył płachtą białą,
Zasypał wszystkie ślady, prócz ran i cierpienia...

. . . . . .

Tyle zim przeminęło! tyle lat milczenia!
Tyle różnych nadziei zapalało zorze!
A jednakże o każdej wigilijnej porze
Widzę ich, jak na jawie, na dziadowskim progu...

. . . . . .

Dziś mówię o tem ludziom, co mówiłem Bogu —
Gdy wreszcie mówić mogę, gdy za wiek cierpienia
Mam chociaż jedno prawo: prawo niemilczenia!

K. Laskowski.

92. Na mogile.

Stopy Justyny pogrążały się w miałkiej, suchej, gorącej topieli. Wzrok jej ze zdziwieniem przesuwał się po tej pustyni, której nigdy nie widziała, na którą też prawie nigdy nie patrzyło żadne ludzkie oko, bo żadna praca, żaden plon i żadna, dokądkolwiek prowadząca droga nie przywodziła tu ludzkich kroków i zamiarów. Ale gdy spojrzała na towarzysza, jeszcze większe uczuła zdziwienie.

Jan zdjął czapkę i zamyślonemi oczami wodził po nagich szczytach pagórków. Miał postawę człowieka, który stanął w progu kościoła i wpatruje się w ołtarz. Możnaby myśleć, że nigdzie tyle, ile w tem miejscu, nie czuł się człowiekiem i nigdzie tyle nie doznawał ludzkich, wyższych, od codziennego życia dalekich uczuć i myśli.

— Dawno tu nie byłem — zaczął też takim głosem, jakim człowiek w progu świątyni przemawia. — Może pięć, może sześć

lat nie byłem. Stryj woli na mogiłę tamtą drogą chodzić, bo raz, jak przez te piaski szedł, twarzą wprost na ziemię upadł i z godzinę od płaczu ryczał...

— Czegoż tak płakał? — ze wzruszeniem, z którego przyczyn jeszcze sobie jasno sprawy nie zdawała, spytała Justyna.

— Bo, długo chorym będąc, z chaty prawie nie wychodził i pierwszy raz wtedy po swojem wskrzeszeniu to miejsce zobaczył, przez które niegdyś z wielką kompanją jechał...

Zrozumiała i więcej o nic nie pytała.

Jan, ciągle na wzgórza patrząc, mówił dalej:

— Dla mojej pamięci to miejsce jest bardzo ważne, bo ja tu, z tego pagórka, ostatni raz ojca widziałem.

Wskazujący palec ku jednemu z pagórków wyciągnął.

— Widzi pani, tam, ten trzeci od boru pagórek? Dniem i nocą, latem i zimą pusty on stoi, i żadne nawet ziółko uczepić się go nie chce. A jednakże był niegdyś taki wieczór, że od góry do dołu zdeptały go ludzie i końskie nogi, i łez nie mało na niego spadło.

— Pan to wszystko dobrze pamiętasz?

— A jakże! Pani i wiary dać nie może, jak pamiętam. Siedm lat pod ten czas skończyłem, ósmy mi szedł; to może i nie dziwno, że pamiętam.

Uszli już byli kilkadziesiąt kroków naprzód. Jan znowu twarzą zwrócił się ku pagórkowi i stanął.

— Stąd Niemna nie widać — zaczął — ale my wtedy z tego pagórka dwie godziny, albo może i trzy, patrzyli na rzekę, którą przepływały czółna i łodzie, z jednej strony i z drugiej ludzi przewożąc. Od brzegu do brzegu zaś szedł i powracał promek na łodziach nieduży. Wszyscy przez te piaski przeszli, przejechali, i już ich widać nie było. Wieczór zrobił się majowy. Jak dziś pamiętam, księżyc dobrze już posunął się był do środka nieba i tkwił nad samemi piaskami. Cichość panowała na rzece, na brzegach, tylko w borze słowik śpiewał. Wtenczas ojciec pocałował matkę, coś jej poszeptał, a potem mnie z ziemi na rękach podniósł i całować zaczął. Wprzód nigdy mnie tak nie całował, bo człowiekiem był więcej pochmurnym, niżeli wesołym i częściej w milczącem zamyśleniu pogrążał się, niż okazywał to, co miał w sobie, nie tak jak stryj Anzelm, który wesoły był, gadatliwy i cały na wierzchu. Podobno też za tę pochmurność i za to utapianie się w myślach tak nadmiar ojca mego polubił pan Andrzej. Ale wtenczas ojciec, dziecko swe żegnający, w zamkniętości swojej nie wytrzymał; cisnął mnie do siebie tak mocno, że aż

bolało, i mało nie tysiąc razy mnie pocałował. W tej samej minucie pan Andrzej żegnał się ze swoją żoną i ze swoim synkiem.

Stała też tam panna Marta, która w tę porę młodą jeszcze była i, kiedy stryja żegnała, troszkę wprzódy święcony medalik jakiś na szyję mu powiesiła; stało i więcej ludzi różnych ze dworu i z okolicy, może wszystkich osób ze dwadzieścia. Nikt tam bardzo głośno nie mówił, ale wszyscy rozmawiali, i zrobił się z tego taki gwar, jak kiedy wiele razem rojów brzęczy. Do tego dwa konie, osiodłane i pod pagórkiem tym stojące, z niecierpliwości parskały, kopytami piasek grzebiąc. Kiedy mnie ojciec całować przestał i z rąk na ziemię wypuścił, tego momentu już nie pamiętam; to tylko pamiętam, że zobaczyłem go jeszcze, jak obok pana Andrzeja przez te piaski jechał.

Widać bardzo płakałem i ze łzami wprzódy zobaczyć go nie mogłem, bo wtenczas dopiero zobaczyłem, kiedy już znajdował się na połowie drogi, pomiędzy pagórkami a borem. Księżyc wprost nad piaskami świecił, a w jego światłości ojciec i pan Andrzej, jeden przy drugim, na koniach równej piękności, jechali. Jechali oni ani bardzo prędko, ani bardzo powoli; konie pod nimi podnosiły się równo, równo, jak przy muzyce... Nie obejrzawszy się ani razu, piaski na ukos tędy przejechali i tam... widzi pani to miejsce? z oczu naszych znikli... Słowik w borze śpiewał...

Wyciągniętem ramieniem wskazywał punkt boru, ku któremu właśnie zbliżali się powoli; w miarę zbliżania się do lasu piasek twardniał pod ich stopami; szli teraz po szeroko rozpościerających się, różowawych girlandach wrzosów. Milczeli chwilę.

— I więcej nigdy już pan ojca swego nie widziałeś?

— Raz już tylko, po tem ostatniem rozstaniu, o nim usłyszałem. Pewno dobrze po świętym Janie, a może i około świętej Anny, bo zboże już na polu prawie dojrzewało i gdzie niegdzie żąć je zaczynali, staliśmy w okolicy, nad samym brzegiem, gdzie... pani wie? na naszem podwórku lipy rosną. Niedużo nas było, może osób kilka, bo inni ludzie na swoich podwórkach zgromadzili się i, tak samo kupkami stojąc, wszyscy ku stronie piasków obróceni, stuków i grzmotów słuchali, co tam toczyły się i turkotały, to dłużej, to krócej, to prędko, to pomaleńku, jakby z całego nieba pioruny zebrały się i w to miejsce biły. Słowik już wtenczas nie śpiewał; zato gdzie niegdzie podejmowały się z nad boru chmury wszelakiego ptactwa i, jak zwarjowane, z przeraźliwemi krzy-

kami latały nad borem, nad rzeką, na drugi brzeg uciekając, albo też lecąc jak najdalej, zdaje się, na oślep...

Nad piaskami zaś ciągle grzmiało a grzmiało, i dopiero przed samym wieczorem grzmoty zaczęły pomału ustawać, aż i zupełnie ustały, a po całym borze podniosły się wielkie ludzkie krzyki i zgiełki. Ja wtedy tak przeląkłem się, że całego mnie trząść zaczęło, i mocno uczepiłem się matki, która fartuch przy oczach trzymała i przed sąsiadkami, co do niej z szeptaniem przybiegały, pocichu lamentowała. Potem jednakowoż i krzyki zamilkły... Noc nastała... Widać, że niebo chmury zaległy, bo zrobiło się bardzo ciemno...

Ale pomimo nocy ludzie wciąż kupkami na swoich podwórkach stali, albo siedzieli, ku piaskom patrząc, a na miejsce tych ptasich wrzasków, które rozlegały się we dnie, po całej okolicy w ciemności nocnej rozeszły się szepty ludzkie, szumienie wiatru naśladujące. W tej cichości i w tem szumieniu posłyszeliśmy jednakże na przeciwnym brzegu rzeki wielkie pluśnięcie wody, a potem już ciche, ale ciągle jednostajne, pluskanie. Ktościć do wody skoczył, płynął, rzekę przepłynął, i z pod lip naszych widać było cień jakiś, wstępujący pod górę to prędko, to pomału, aż ostatni raz skoczył i wprost przed nami stanął.

Matka przeżegnała się, krzyknęła: „Anzelm!“ i zakręciła się na miejscu, jak nieprzytomna. Ale stary Jakób, który jeszcze wtenczas niezupełnie był warjatem, wziął stryja za rękę, do chaty go zawiódł i światło rozniecił. Kupka też ludzi wcisnęła się do chaty. Mnie znowu trząść zaczęło, kiedy na stryja spojrzałem. Jezu drogi! jak on wyglądał! Twarz miał czarną, jak u Murzyna, i tylko oczami wilczemi błyszczącą, odzież całutką w dziurach; rękę jedną opuszczoną i bezwładną, a z włosów i odzienia woda mu potokami ciekła. Dyszał tak, że słowa wymówić nie mógł i tylko kiedy niekiedy stękał, jakby w nim co pękało. Ludzie koło niego szeptali, pytali, nawet go za ręce i odzież targali: on nic! Raz tylko na mnie spojrzał, i łzy potokiem ciekły mu po uczernionej twarzy. Za kołnierz od koszuli mnie schwycił i tak nagle do siebie przysunął, że aż krzyknąłem ze strachu.

A potem zaczął do mnie mówić...

Z początku niewyraźnie mówił, i zrozumieć nie mogłem; ale potem, nie wiem czemu zrozumiałem, że on mnie każe do dworu korczyńskiego lecieć do pana Benedykta, który teraz w domu siedzi, i powiedzieć jemu... „O, Jezu drogi... powiedz ty jemu, że pan Andrzej tu!...“ i na czoło sobie pokazał... „A twój ojciec tu!...“ I na piersi sobie pokazał...

A potem jeszcze dołożył: „Obydwóch niema!“ i spytał się mnie: „Zrozumiałeś?“ Zrozumiałem... Zrozumiałem tak dobrze, że do dziś dnia...

Do dziś to wspomnienie rwało mu głos w piersi, która przecież innym razem tak rozgłośne pieśni na pola rzucała.

Oboje nie spostrzegli, że już znajdują się w lesie; nie widzieli dokoła siebie drzew, świateł i cieni; nie słyszeli szczebiotu ptactwa, który nad nimi rozlegał się coraz głośniej.

On szedł z nisko pochyloną głową, w ziemię patrzał i o towarzyszce swej całkiem w tej chwili zapominać się zdawał. Ona, przeciwnie, ku niemu zwrócona, ani na chwilę nie spuszczała z twarzy jego swych szarych źrenic, które z pod czarnych rzęs i brwi gorzały ciekawie i chmurnie.

— Żałość mnie wtenczas ogarnęła taka, że o strachu zapomniałem. Do dworu drogę znałem dobrze, ojciec mnie tam z sobą brał i panna Marta często po mnie przysyłała; niedługa droga. Do dworu tedy leciałem w ciemności i od płaczu zataczałem się, ale leciałem, aż do sieni wpadłem, gdzie lokaj stał i z początku puszczać mnie dalej nie chciał; ale, dziecko całe we łzach obaczywszy, puścił je; przez salę stołową i drugi jakiś pokój do gabinetu pana Benedykta wleciałem i, wprost przed jego nogami na ziemię padłszy, głośno zawyłem. On stał pomiędzy kominem, na którym ogień palił się, i biurkiem, którego wszystkie szuflady powysuwane były.

Więcej ja cień jego na ścianie, niż jego samego, zobaczyłem, i zdało się, że na tym cieniu wszystkie włosy, jakby rozrzucony snop zboża, zjeżone stały. Nachylił się, poznał mnie i na nogi postawił. „A co?“ zapytał. Ja jemu, tchu od płaczu nie mając, tyle tylko: „Stryj powiedzieć kazał, że pan Andrzej tu!“... i na czoło sobie pokazałem! „a mój ojciec tu“... i na piersi sobie pokazałem... I dołożyłem jeszcze: „Obydwóch niema!“

Tylko co te słowa wymówiłem, jak rozejdzie się po pokoju jakiś krzyk okropny, ni to ludzki, ni to zwierzęcy, i wtenczas dopiero zobaczyłem, że w kąteczku pokoju pani Andrzejowa, jak martwa kłoda, zwaliła się z kanapy, czy z krzesła, na ziemię... zwaliła się i leżała z twarzą do sufitu obróconą, a taką białą, jak kreda, z oczami zamkniętemi. Pan Benedykt tylko obiedwiema rękami za głowę złapał się, tasiemkę od dzwonka tak mocno targnął, że mu w rękach została, a jak tylko do pokoju panna Marta wbiegła, panią Andrzejową jej pokazał, a sam pędem z domu wypadł i prosto do okolicy biegł.

Ja też za nim biegłem, ale dopędzić go nie mogłem, bo już i zmęczony byłem... więc, kiedy do chaty naszej wszedłem, pan Benedykt i stryj z sobą rozmawiali, a tego, co mówili, nie słyszałem. Jednom tylko to posłyszał, że pan Benedykt zapytał się: „A Dominik?“ Stryj zaś znak taki około nóg i rąk zrobił, jakby je czemś wiązał, i stał ciągle plecami do ściany przyparty, z jedną ręką bezwładną, a drugą sobie po uczernionej twarzy, jakby w nieprzytomności, wodząc. Nogi pod nim trzęsły się i z włosów jeszcze po kropelce woda ściekała. Pan Benedykt nie krzyknął, nie zapłakał, tylko do okna poszedł i, w nocne ciemności patrząc, kilka razy takim głosem, jak człowiek, w momencie konania będący, imienia Boskiego wezwał...

— Straszne historje! — szepnęła Justyna.

Jan, jakby obecność jej w tej chwili sobie przypominając, nagle zwrócił się ku niej i długo patrzał na kilka łez, które, jedna za drugą, cicho i powoli, z pod rzęs jej spuszczonych stoczyły się na policzki. Przed siebie potem spojrzał i żywym ruchem ramienia jej dotknął:

— Niech pani stanie i popatrzy!

Stanęła i w tej chwili dopiero spostrzegła, że znajduje się w głębi boru. W tej chwili też po raz pierwszy do słuchu jej dostał się ogromny gwar ptactwa, który od początku lasu rósł, wzbierał, a tu wybuchnął niepodobnym do rozplątania chaosem dźwięków. Zarazem ogarnęły ją mocne wonie smoły, jałowców, cząbrów, zmieszane z wilgotnym i cmentarze przywodzącym na pamięć zapachem, który wydaje z siebie wiecznym cieniem osłoniona, białą pleśnią kwitnąca ziemia.

— Niech pani przed siebie patrzy — powtórzył Jan.

To, co jej ukazywał, było rozległą polaną, czy łąką leśną, objętą regularnem i ściśle zamkniętem kołem falistych wzgórzystości, po których pięły się i spływały coraz gęściej tłoczące się i plączące z sobą stare sosny, jodły i młode zarośla. Miejscami szerokie, aż do ziemi opuszczające się gałęzie jodeł i bujające dokoła nich, mnóstwem sęków zjeżone i girlandami szorstkich widłaków oplątane młode zarośla jodłowe tworzyły długie ściany i grube kolumny zieloności, tak ciemnej, że prawie czarnej.

Gdzie indziej sosny wysmukłe, proste, gładkie, u szczytów swych dopiero korony gałęzi rozpościerające, podnosiły się z nad kobierca, wyhaftowanego w przedziwne wachlarze paproci i przedziwniejsze puchy mchów różnobarwnych. Te paprociowe linje strzępiaste, wzajem na sobie spoczywające, lekkie, choć ogromne, wszystkiemi odcieniami zieloności umalowane, i te, wyglądające z pod nich, lub całkiem je zastępujące mchy seledynowe, brunatne, siwe, z niepojętą delikatnością w mirjady drobniuchnych gałązek wyrzeźbione, stały się daleko, jakby w nieskończoność, znikając pod gęstwinami, odrodzonem morzem wypływając znowu na przezroczyste przestrzenie boru.

Na pniach sosen, po mchach i paprociach, w górze, u dołu, wszędzie, biegały, goniły się, ślizgały, tu pożarem wybuchały, tam rozbijały się w roje iskier, smugi, potoki, strzały światłości słonecznych. Wydawało się to świetną, zawrotną, w tajemnicy i milczeniu odbywającą się grą jasnych i mrocznych genjuszów lasu.

Ale na otoczonej lasem polanie gier tych nie było. W górze zaokrąglał się nad nią błękit nieba, nieustannie przysłaniany sunącemi pod nim chmurami; w dole okrywała ją przyćmiona płachta słonecznego blasku, przerywana długiemi, nieruchomemi słupami cieniów, padających od jodłowych gęstwin. Wysłaniem jej była trawa niska i nierówna, którą zrzadka usiewały liljowe cząbry i brunelki[1]), białe krwawniki, drobne pączki dzięcieliny i nieśmiertelników. Brzegiem rosły i ku środkowi wybiegały krzaki jałowców, twardemi jagodami, niby czarną, połyskliwą rosą osypane, albo czerwonawą rdzawością, tu i owdzie od ciemnej zieleni, nakształt krwistych plam, odbijające. Z suchych, kolczastych gałęzi jałowcu wychylały się żółte kwiaty wilczej paszczy i wypełzały daleko po ziemi ciągnące się girlandy mnóstwa odmian powojów, bluszczów i widłaków. Tu i owdzie pod krzakami i śród niskiej trawy czerwieniły się i żółciły grzyby najszczególniejszych kształtów, lub, woń stęchlizny z siebie wydając, bielała pleśń ziemi.

W głębi, pod ciemną kolumną kilku splecionych z sobą jodeł, słupem padającego od nich cienia okryty, wznosił się niewysoki pagórek, mający kształt podługowaty i łagodne stoki, niby wał, niby kurhan, widocznie rękami ludzkiemi usypany i, jak cała ta polana, niską, w nierówne kępy pogarbioną trawą obrosły.

Jan w milczeniu pagórek ten Justynie pokazał; ona też, milcząc, skinęła głową: wiedziała, że to zbiorowa mogiła.

— Ilu? — zapytała zcicha.

— Czterdziestu — odpowiedział i kroku przyśpieszył.

Suche, czarne szyszki pod stopami im zatrzeszczały, kiciasty ogon uciekającej wiewiórki zaszeleścił w jodłach, kos

[1]) Brunelka, czyli główienka — roślina z rodziny wargowych (prunella vulgaris).

gwizdał donośnie, trochę dalej szczygły zanosiły się od śpiewu, jeszcze dalej gruchały gołębie i tętniały we wszystkich stronach rytmiczne stukania żoln i dzięciołów. Skądciś z wielkim szelestem skrzydeł i przeraźliwem ćwierkaniem wzniosła się chmura drobnych leśnych wróbli; krasnoskrzydła sójka błysnęła błękitem i na gałęzi sosny usiadła; w powietrzu, jak w kadzielnicy olbrzymiej, głuszone zapachem pleśni, kipiały wonie jałowcu, smoły i cząbru.

Eliza Orzeszkowa.

93. W stepie.

Wiatr wionął do mnie po pustym stepie
I czarną ziemię w obłoki wzbił,
Tam śnieżny tuman rwie się i trzepie,
Jak huraganu rzęsisty pył.

Wśród tego stepu, wiatrami gnana,
Pędzi kibitka w zawiei szlak,
I smutnie dźwięczy dzwonek od rana,
Jakby umarłym grobowy znak.

W kibitce widać postać młodzieńca,
Dumne, choć smutne spojrzenie miał,
Na twarzy widać ślady rumieńca,
Lecz i ten wkrótce już zginąć miał.

Wyjrzał z kibitki, potrząsnął głową,
Nie dbał, że wzbudzi w dozorcy gniew;
Oczy swe zwrócił w stronę stepową,
A pierś — tęsknoty jęknęła śpiew:

„Darmo, ach, darmo zwracam swe oczy,
Próżną nadzieją łudzę się sam,
Gdzie kraj mój ginie w czarnej pomroce,
Już go na zawsze utracić mam.

Nigdy nie ujrzę mojej rodziny,
Ni ojca mego, ni matki mej,
Ani mej drogiej, lubej dziewczyny,
Nigdy, ach, nigdy nie ujrzę jej!

Bywaj zdrów, kraju, ojczyzno droga!
Ach! gdzież twa wolność, gdzie twa swoboda?
Wszystko zostało... dola ma sroga,
Bratniej mi ręki tu nikt nie poda!“

T. Lenartowicz.

94. Maciek bohater.

(1863.)

W samo południe wyłoniła się na główną drogę czarna, jak chmura, kolumna nieprzyjacielska. Wspierana artylerją i podwójnym łańcuchem tyraljerów posuwała się naprzód.

Z naszej strony zatrąbiono do ataku.

— Kto żyje, naprzód! — wołał major, przelatując szeregi konno.

Dzieci warszawskie, ruszyły jak do tańca. Dowódca wyprowadził strzelców z budynków, a za niemi kosynierów. Maciek ze swym plutonem dopadł do lewego skrzydła warszawskich dzieci.

Po trzech strzałach odepchnięto tyraljerów. Ciemna kolumna stanęła. Rzucono na nas dwa szwadrony dragonów, aby prawe nasze skrzydło wpakować do palącego się miasta. Z początku dragoni jechali wolno, strzelając z koni. Na dany znak skupili się, przyśpieszając kroku; trąbka zagrała, sformowali plutonowe kolumny i kłusem lecieli na nas, że aż ziemia jęczała. Kłus zmienił się w galop. Major konno przypadł do warszawskich dzieci. Nie było czasu sformować czworoboku. Wyciągnął front z trzech szeregów. Maciek stał ze swemi na lewem skrzydle.

— Pierwszy szereg na kolana! — zakomenderował.

Tamci, wrzeszcząc, gnali jak wściekli, ziemia jęczała, wielkie ich hełmy błyszczały, szable, długie, migotały...

— Cel!

Wytrzymał na sto kroków.

— Trzeci szereg pal!

Błysnęło ze stu karabinów, kule świsnęły, za niemi rozległ się huk i dym. Pierwszy szereg dragonów zakotłował się, drugi rozbiegł. Następny pluton leciał wściekle.

— Drugi szereg pal! — zawołał major.

I drugi szereg w puch rozbity porwał resztę za sobą... Uciekli, nikt ich nie ścigał, nie było pod ręką krakusów...

Na wielkim gościńcu czarna masa rosła wciąż, rozwijając się po obu bokach w kolumny.

Major patrzył przez szkła, przypadł do niego Maciek.

— Panie! — wołał zdyszany — nie damy rady, oni wciąż rosną i rosną, zaleją nas, jak woda ziemię zalewa... Ale jest sposób!

— Jest sposób? — powtórzył major — mów!

— Oblecieć staw, bokami woda zamarzła, na tamtym jego

końcu gęste krzaki sosnowe i olszyna. Zaczniemy ich prażyć z boku i z tyłu, pomyślą se, że nowa siła przyszła nam w pomoc. Nim się opatrzą, przyjdzie noc. Warszawskie dzieci, połowa strzelców z Bodzentyna i kosynierzy z Mirca wystarczą, chłopy setne. Byle prędko...

Major patrzył przez lornetę.

— A nie zobaczą nas?

— Skąd? za miastem skryje nas wąwóz. Z wąwozu wpadniemy w trzcinę, i ludzkie nas oko nie dojrzy.

— Jak się nazywasz?

— Maciek z Mirca, podoficer pierwszego plutonu strzelców.

— Dobry z ciebie taktyk.

— Spekuluję, jak mogę.

— Trzeba zaryzykować — rzekł do siebie major — bo inaczej za trzy godziny wezmą miasto i zniszczą nas.

Zawrócił z linji bojowej warszawskie dzieci i bodzentyńskich strzelców, dopadł do dowódcy prawego skrzydła, po krótkiej naradzie zabrał chłopców z Mirca. Poszli.

Czarna chmura rozwinięta w trzech bataljonowych kolumnach, rzuciwszy gęsto tyraljerów naprzód, posuwała się wolno. Działa ze wzgórz rzucały nieustannie granaty. Drewniane domki miasta, czekały; za niemi na dole w odwodzie czekali kosynierzy ogień huczał, nikt nie gasił, ludność uciekła. Cztery działka nasze z kartaczami, ukryte za wzgórzem, prowadzącem do miasta, czekały; za niemi na dole w odwodzie czekali kosynierzy i krakusi.

Kosynierom szczęki latały, krakusi nadrabiali minami, stali jednak w milczącej powadze. Wszyscy, co mieli karabiny lub dubeltówki — naboi nie brakowało — poszli na front w tyraljerkę. Ogień szedł gęsto, z poza niego wychylały się trzy czarne kolumny, mając na skrzydłach dragonów.

Tyraljerzy nieprzyjacielscy, trzykroć silniejsi, nacierali energicznie, usiłując naszych oskrzydlić. Kilkunastu strzelców, przyczajonych w lesie, odpędziło ich.

Kolumny zbliżały się, tyraljerzy następowali krok za krokiem naprzód, nasi musieli się cofać, padło ich kilkudziesięciu, ogień słabł.

Zatrąbiono raz, drugi, trzeci — i jakby z pod ziemi wyrósł z rozrzuconych tyraljerów bataljon, stanął na pięćset kroków przed miastem, sformował się do ataku, i leciał krzycząc: hura! Nasze armatki wychyliły się na wzgórze, stary artylerzysta z trzydziestego pierwszego roku wycelował, przyłożono lonty, plunęły! Huk rozdarł powietrze, bataljon się zakotłował i zwinął...

— Kosynierzy naprzód, ile nogi starczą! krakusy za niemi, dalej!

Oficerowie rzucili się naprzód.

— Dalej! dziś albo nigdy! naprzód wiara! niech żyje ojczyzna!

Z początku kosynierzy nieśmiało szli pod górę, konnica nasza napierała ich, jedni drugich popychali. Dopiero, gdy zobaczyli rozbitych tyraljerów, jak nie wrzasną i nie pójdą...

Dopadli — i zrobiła się rzeź, że niech ręka Boska obrania!

Na odsiecz swoich rzucili się szosą dragoni co koń wyskoczy — chłopi nasi w nogi, z gościńca dwie armatki znowu plunęły, dragoni stanęli, strzelcy nasi, na nowo sformowani, przywitali ich rotowym ogniem. Uciekli... Kolumny nieprzyjacielskie, pod osłoną swych dział i gęstą linją tyraljerów, posuwały się zwolna, podobne do czarnej gradowej chmury. Raptownie zachwiały się i stanęły. Woda i stoki gór przyniosły nam odgłosy gęstych strzałów.

— Słyszycie? to dzieci warszawskie! — zawołał dowódca — już są, już prażą! naprzód, kto żyje!

Nikt z żołnierzy nie został w mieście.

Kosynierzy zbitą kolumną maszerowali szosą. Wspomagali ich z boku strzelcy. Cztery armatki zmieniały pozycję po pozycji, plując. Baterja nieprzyjacielska cofnęła się, trzy czarne kolumny zmieniły front, maszerując na zachodzie wzgórza, aby się nie dać wziąć we dwa ognie.

Gnane wiatrem chmury na nie przyszły i raptownie zapadła noc ciemna, rozświecona łuną palącego się miasta.

Walka ustała. Kosynierzy rzucili się na plac boju po karabiny i ładownice. Ze słomy oblanej smołą porobiono pochodnie. Konnica z niemi rozbiegła się po polach. Przy ich świetle szukano naszych rannych i zabitych. Zebrano wszystkich. Zabitych ułożono na cmentarzu, rannych na wozach odesłano w głąb kraju, do dworów i miasteczek.

Dzieci warszawskie wróciły zmęczone, lecz pełne dumy i radości. Oświecały im drogę palące się zgliszcza.

— Dzieci! uratowaliście nas! — wołali wąchoccy żołnierze.

— Gdyby nie twój pomysł, majorze, szybko i dzielnie wykonany, rozbiliby nas przed zachodem słońca! — zawołał dowódca, wyciągając rękę do majora.

— Nie mój to pomysł, lecz Maćka, podoficera z pierwszego plutonu strzelców.

Dzieci warszawskie i strzelcy bodzentyńscy sformowali się na rynku.

— Maciek, podoficer z pierwszego plutonu przed front!

— Maciek ranny — odparł kapitan.

Pod komendą podoficera Bartka niosą kosynierzy mirzeccy wszystkich padłych na placu.

— Idą! — zawołano z tłumu.

Ludzie się rozstąpili, warszawskie dzieci sprezentowały broń, dowódca zdjął kaszkiet, tłum odkrył głowy, kosynierzy, niosąc rannych, zatrzymali się. Pierwszy Maciek leżał na noszach, zrobionych z drzewców kos, zasłanych gałązkami jedliny.

— Maciek do apelu! — odezwał się, podchodząc kapitan.

Maciek powstał i powoli podszedł do dowódcy.

— Oto bohater dzisiejszego dnia! — rzekł major, wskazując na Maćka.

— Uratowałeś nas — zawołał dowódca, ściskając mu rękę.

Maciek stał poważny, zasłuchany w wyrazy dowódcy.

— Gdyby nie wasz napad na tyły nieprzyjacielskie, nogaby nasza nie wyszła z Wąchocka.

Chłop milczał, lecz oczy zachodziły mu ciemnicą.

— Maciek, dziękuję ci w imieniu ojczyzny! Biedna! cóż ci dać może?!

— Oj, ja ta przecie o nic nie wołam i niczego nie chcę, tylko proszę pana generała o paśport.

— O urlop — poprawił go major.

— Niech będzie o urlop. Kula przejechała mi po ziobrach, nie będzie ze mnie pociechy.

— Wrócisz?

— Gdy się wyliżę, to, jak mi ino Bóg i Najświętsza pozwolą! Już ja w chałupie teraz nie usiedzę, kiej ci raz powąchałem prochu i wiem, co to wojna.

— Czekam cię, wracaj, a nie daj się wziąć!

— Ho, ho! umiem ja se radzić!

Zniżył głos.

— Kłaniam się i proszę nie odbierać mi karabina i ładownicy. Z czymże wrócę?... z gołemi rękami?...

— Bierz go, nie da ci on w chacie usiedzieć.

Dzieci warszawskie i strzelców bodzentyńskich zatrzymano w mieście jako arjergardę pod komendą majora. Zmęczonym oddano na nocleg magazyn. Wiara padała, jak kłody, bez czucia i świadomości na sześć godzin snu, aby od świtania zasłaniać odwrót naszych szeregów pod Święty Krzyż.

Ignacy Maciejowski (Sewer).

95. Rok 1812.

O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!
Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
A żołnierz rokiem wojny; dotąd lubią starzy
O tobie bajać, dotąd pieśń o tobie marzy.
Zdawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem[1])
I poprzedzony głuchą wieścią między ludem;
Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem
Jakieś dziwne przeczucie, jak przed świata końcem,
Jakieś oczekiwanie tęskne i radosne.

Kiedy pierwszy raz bydło wygnano na wiosnę,
Uważano, że, chociaż zgłodniałe i chude,
Nie biegło na ruń, co już umaiła grudę,
Lecz kładło się na rolę i, schyliwszy głowy,
Ryczało, albo żuło swój pokarm zimowy.

I wieśniacy, ciągnący na jarzynę pługi,
Nie cieszą się, jak zwykle, z końca zimy długiej,
Nie śpiewają piosenek, pracują leniwo,
Jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo.
Co krok wstrzymują woły i podjezdki w bronie
I poglądają z trwogą ku zachodniej stronie,
Jakby z tej strony miał się objawić cud jaki,
I uważają z trwogą wracające ptaki.
Bo już bocian przyleciał do rodzinnej sosny
I rozpiął skrzydła białe, wczesny sztandar wiosny;
A za nim, krzykliwemi nadciągnąwszy pułki,
Gromadziły się ponad wodami jaskółki
I z ziemi zmarzłej brały błoto na swe domki.
W wieczór słychać w zaroślach szept ciągnącej słomki,
I stada dzikich gęsi szumią ponad lasem
I znużone na popas spadają z hałasem,
A w głębi ciemnej nieba wciąż jęczą żórawie.
Słysząc to, nocni stróże pytają w obawie,
Skąd w królestwie skrzydlatem tyle zamieszania,
Jaka burza te ptaki tak wcześnie wygania?

Aż oto nowe stada: jakby gilów, siewek
I szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek
Zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie.
Konnica! dziwne stroje, niewidziane bronie,

[1]) Przed wojną 1812 r. ukazała się kometa

Pułk za pułkiem, a środkiem, jak stopione śniegi,
Płyną drogami kute żelazem szeregi;
Z lasów czernią się czapki, rząd bagnetów błyska,
Roją się niezliczone piechoty mrowiska.

Wszyscy na północ: rzekłbyś, że wonczas z wyraju
Za ptactwem i lud ruszył do naszego kraju,
Pędzony niepojętą, instynktową mocą.

Konie, ludzie, armaty, orły dniem i nocą
Płyną; na niebie gorą tu i owdzie łuny,
Ziemia drży, słychać, biją stronami pioruny.

Wojna! wojna! Nie było w Litwie kąta ziemi,
Gdzieby jej huk nie doszedł; pomiędzy ciemnemi
Puszczami chłop, którego dziady i rodzice
Pomarli, nie wyjrzawszy za lasu granice,
Który innych na niebie nie rozumiał krzyków,
Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,
Gości innych nie widział oprócz spółleśników,
Teraz widzi: na niebie dziwna łuna pała,
W puszczy łoskot: to kula od jakiegoś działa,
Zbłądziwszy z pola bitwy, dróg w lesie szukała,
Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr, brodacz sędziwy,
Zadrżał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,
Wstaje nawpół, na przednich nogach się opiera
I, potrząsając brodą, zdziwiony spoziera
Na błyskające nagle między łomem zgliszcze:
Był to zbłąkany granat, kręci się, wre, świszcze,
Pękł z hukiem, jakby piorun; żubr pierwszy raz w życiu
Zląkł się i uciekł w głębszem schować się ukryciu.

Bitwa! gdzie? w której stronie? pytają młodzieńce,
Chwytają broń, kobiety wznoszą w niebo ręce;
Wszyscy, pewni zwycięstwa, wołają ze łzami:
— Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!

O wiosno! kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju!
O wiosno, kto cię widział, jak byłaś kwitnąca
Zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!
Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu.

A. Mickiewicz.

96. Mickiewicz w szkole w Nowogródku.

Szkoła powiatowa zakonna była w Nowogródku. Utrzymywali ją Dominikanie oddawna, od czasu zniesienia zakonu Jezuitów. Naukowa strona wychowania, jakie tu odbierał Mickiewicz, nie mogła być świetną, ale zato stroną moralną celowały te szkoły. Pomiędzy przełożonymi nauczycielami a uczniami istniał serdeczny, jakby rodzinny węzeł. W atmosferze religijnej, otaczającej uczniów, kwitła prawdziwa, nie na oko tylko obliczona czystość obyczaju. Prawie wszyscy, którzy z podobnych szkół wyszli, z miłością wspominali swoich nauczycieli i czasy swojej nauki szkolnej.

Bo też nauczyciele dokładali wszelkich starań, aby uprzyjemnić uczniom chwile wolne od nauki; organizowali majówki, dopomagali w rozmaitych zabawach. Z dawnej jeszcze tradycji szkolnej przechował się był zwyczaj urządzania sądów studenckich. Zwyczaj ten odpowiadał niegdyś duchowi czasu, kiedy pieniactwo[1]) w najwyższym stopniu było rozwinięte, kiedy, rzecby można, cała energja narodu w tym się kierunku wytężała i kiedy wskutek tego sądownictwo było głównem polem popisu dla zdolności umysłowych. Nałóg przytępił się trochę ze zmianą warunków politycznych, ale nie wygasł, a i w szkole zwyczaj, odpowiadający temu nałogowi, dobrze był widziany przez starszyznę. Sam ksiądz rektor podawał celujących w nauce uczniów, jako kandydatów na prezesa studenckiego trybunału. Obrany przez uczniów prezes, wespół z trzema radcami, pisarzem, rejentem i archiwistą, w dni wolne od nauk sądził rozmaite sprawy studenckie: więc kłótnie, bijatyki, spory, nawet zatargi z Żydami, którzy chętnie uznawali prawomocność tych sądów, i skazywał winnych na naganę, areszt, klęczenie, lub wynagrodzenie pokrzywdzonych, a tem wynagrodzeniem bywał arkusz papieru, kolorowy ołówek, farby lub książka elementarna. „Była to formalna jurysdykcja, powiada Franciszek Mickiewicz[2]) w swoim pamiętniku, do której każdy do szkoły należący, przez woźnego wezwany w dzień naznaczony, musiał stawać pod karą i składać obronę na piśmie wraz z dowodami; a byli i adwokaci, co bronili swoich klientów mniej wymownych, albo jeszcze prawa nie znających. Trzymano się porządku statutu Wielkiego Księstwa Litewskiego. Do sali posiedzeń cisnęli się widzowie, ciekawi tej zabawy młodzieńców.“

[1]) Namiętność do procesowania się.
[2]) Brat Adama.

Brał udział w tych zabawach i Adam Mickiewicz. Był raz nawet prezesem trybunału, zwykle jednak na sejmiku studenckim dawał głos za Janem Czeczotem, kolegą swoim, z którym zasiadał w jednej klasie i z którym go już od tych czasów łączyła długa i serdeczna przyjaźń. Tak więc tradycja sejmikowa i palestrancka żyła pełnem życiem w szkole, i Mickiewicz nieświadomie zbierał barwy, rysy i tony, które mu się miały przydać do odtworzenia szlacheckiej przeszłości.

Innym rodzajem zabaw, które mogły mieć wielkie znaczenie w tym właśnie kierunku, były zabawy, naśladujące wojnę. Wspomina o nich sam poeta w dobrze znanym ustępie z czwartej części Dziadów:

Wnet zwoływam spółuczniów, szykuję pod lasem;
Tu krwawe z chmur pohańskich świecą się księżyce,
Tam Niemców potrwożonych następują roty;
Każę wodze ukrócić, w toku złożyć groty,
Wpadam, a za mną szabel polskich błyskawice i t. d.

Były to czasy, kiedy na dalekim świecie działy się cuda wojenne, kiedy grom po gromie wypadał z dłoni małego Korsykanina o wielkiej głowie i kiedy wszyscy zapatrzeni byli w tę postać nadzwyczajną, która podobnej sobie w dziejach nie miała. Żywem echem te gromy, te cuda wojenne odbijały się i na Litwie, i więcej niż co innego zachęcały młodzież do zabaw wojennych. W mieście stał garnizonem konny pułk moskiewski i odbywał ćwiczenia. Uczniowie, mając przed oczyma wzory tych ćwiczeń, starali się je naśladować po swojemu. We wtorki lub czwartki, po południu w czas rekreacji, zbierali się na zabawę, zaopatrzeni w kije, i urządzali ataki, rejterady i bitwy: profesorowie pozwalali na nią; ani wojsko, ani policja, ani inni urzędnicy nie przeszkadzali tej zabawie, tak, że mogła się ona odbywać co tydzień, a odbywała się zwyczajnie w polu pod górą Mendoga. Tworzono rozmaite pułki: grenadjerów, fizyljerów, jegrów i wieczorem po zabawie, ordynkiem [1]), niby to pułkami, wracano do klasztoru Dominikanów.

Ksiądz Rokicki, prefekt szkoły, widząc, jaką ta zabawa sprawia radość uczniom, naradziwszy się z profesorami i obywatelstwem, za pozwoleniem ks. przeora postanowił temu wojsku studenckiemu dać lepsze uzbrojenie i umundurowanie. „Introligatorowie — powiada Franciszek Mickiewicz, z którego pamiętnika te szczegóły wyjęte — dostarczali papieru do rogatych czapek, szabel, pochew, tornistrów; stolarze — lanc, pałaszów i karabinów drewnianych z bagnetami; blacharze — blaszanych ozdób białych do rynsztunków. Matki, siostry, krewne z niewymowną ochotą szyły mundury dla żołnierzy swej rodziny. Ponieważ sześć było klas, przeto tyleż sztandarów na bławatach [1]) jedwabiami, srebrem i złotem wyhaftowały.“ 3-go maja 1810 r. był pierwszy przegląd tych świetnie już wystrojonych bataljonów. Wszystko szło jak najlepiej. Arsenał był w szkole, sztandary składano w kościele, młodzież, niezmiernie zajęta swoją służbą wojenną, rosnąc we własnem przekonaniu, poważniała; wojskowi rosyjscy, przypatrując się obrotom uczniowskim, nie tylko się nimi nie gorszyli, ale nawet chwalili zręczność uczniów.

[1]) Porządkiem.

Zaszedł jednak wypadek, który w jednym dniu unicestwił całą armję studencką. Pewnego razu wybrała się armja do Horodziłówki, majątku Kiersnowskiego. Tam był odpoczynek i posiłek. Wieczorem, w uroczystym marszu, z rozwiniętemi sztandarami, przy odgłosie bębna wracali uczniowie do Nowogródka, zapewne z wysoko podniesionym animuszem wojennym. Przez Nowogródek przechodził wówczas jakiś pułk dragonów i, zatrzymując się tam przez dni kilka, pełnił służbę garnizonową. Jednym z poruczników tego pułku był niejaki Siemihradzki, Małorosjanin, dla Polaków wrogo usposobiony. W chwili, gdy uczniowie zbliżali się do ratusza, on z oddziałem żołnierzy wychodził z odwachu dla zmiany wart.

Niewiadomo, co było przyczyną, że pomiędzy nim a uczniem Głowackim, który szedł na czele swego plutonu, wszczęła się zwada i w jednej chwili zamieniła się w bójkę. Dragoni pośpieszyli na pomoc porucznikowi, który dostał policzek, obili Głowackiego, a pluton jego rozproszyli. Wnet rozniosła się wieść o porażce między innemi oddziałami młodzieży: honor wojskowy był znieważony! Drewniane karabiny i papierowe hełmy uczuły nieprzepartą chęć zemsty natychmiastowej. Przed ratuszem stoi warta, ani przypuszczająca, że ją ktoś może atakować. Na tę wartę uderzają tłumnie, wyrywają broń żołnierzom, ciągną niektórych, jako jeńców, do klasztoru i bramę za sobą zatrzaskują. Triumf! Ale natychmiast po triumfie rodzi się straszne pytanie: a co teraz? gdzie triumf ukryć i jak się pozbyć jeńców? Na szczęście, są w klasztorze każdym furtki; furtkami wymknęli się zwycięzcy i jeńców tędy wypuścili, i kiedy wojsko niebawem wywaliło zatarasowaną bramę klasztorną, nie było już nikogo na dziedzińcu.

[1]) Na jedwabnej materji.

Kiedy się to działo, u jenerał-majora, który w tym dniu święcił świeże otrzymanie jenerał-majorskiej godności, goście bawili się w najlepsze. Pomiędzy gośćmi był ksiądz rektor, był pan Mikołaj Mickiewicz. Nagle wpada synowiec rektora i przynosi wiadomość o bójce! Sprawa fatalna! Wprawdzie, jak się zdaje, jeszcze wówczas nie była na Litwie obowiązująca owa „Księga żółta“, którą major Płut straszył sędziego Soplicę, a w której co słowo stały: „stryczek, Sibir, knuty“, ale jenerał-major wiedział, że to pachnie kryminałem. Wszakże był to człowiek podobniejszy do Rykowa, niż do Płuta i, zgodnie z pierwszym, sądził, że: „Lepsza zgoda od niezgody — zaplątaj dobrze węzeł, końce wsadź do wody.“ Postąpił też stosownie do tej recepty. Zaraz do osobnego pokoju zaprosił rektora, pana Mikołaja i kilku urzędników, i tam na tajemnej naradzie postanowiono sprawę załatwić pocichu, nie wynosząc jej na jaw, nie pisząc raportu do władz wyższych. Porucznika, który dostał policzek, zmuszono wystąpić ze służby wojennej i dano mu jakiś urząd cywilny. Głowackiemu własny ojciec w pokoju rektora, a w obecności delegowanego od pułku, wymierzył plagi za nadmierny animusz wojenny. Chłopców z jego plutonu skazano na trzy dni kozy o chlebie i wodzie, a kilku uczniów z szóstej klasy na wydalenie ze szkoły; dla żołnierzy zaś, których skóry i mundury ucierpiały od uczniów, rodzice tych ostatnich złożyli się na pieniężne wynagrodzenie.

Po tem wszystkiem zgromadzonym uczniom całej szkoły profesor Lutostański piorunującą wyciął perorę, a pan Mikołaj Mickiewicz zaprosił do siebie pana jenerała z licznym sztabem. Pułk dragonów wkrótce odszedł, nadeszły inne, sprawa się zatarła; było sza! cicho! Ale już wojsko studenckie rozwiązano i więcej zabaw wojennych nie było.

Józef Tretiak.

97. Krakusy.

Grzmią pod Stoczkiem armaty,
Błyszczą białe rabaty,
A Dwernicki na przedzie,
Na Moskala sam jedzie.

„Hej za lance, chłopacy!
Czego będziem tu stali?
Tam się biją rodacy,
A myż będziem słuchali?

Chodźwa trzepać Moskala.
Bo dziś Polska powstała!
Niech nam Polski nie kala —
Hej, zabierzwa mu działa!“

I zerwali się razem,
Posterunek rzucili,
Nie wołani rozkazem
Na batalję przybyli.

„Cóż tu słychać, ułanie?“
Pyta jeden z nich żwawo.
„Kropią naszych, Mospanie,
Słońce zeszło dziś krwawo!“

„Ejże? kropią, mówicie?!
Jakże kropić nie mają,
Kiedy wy tu stoicie,
A wej oni strzelają?!

Wszak to działa, nie dziwo —
Wszak to blisko, wiarusy!
Hej, na działa — a żywo!
Dalej naprzód, Krakusy! —“

I krzyknęli wraz „Hurra!!!“
Właśnie gdy wróg nacierał:
„Co tam leci za chmura?“
Pyta sztabu jenerał.

„Jenerale! Krakusy
Znać swą pocztę rzucili —
Oszaleli wiarusy,
Bez rozkazu ruszyli!“

„A to czyste warjaty!
Patrz, jak lecą po roli —
Patrz, jak wiercą granaty!
Nie daruję swawoli!“

Lecz gdy wódz się tak gniewa,
Groźnie patrzy dokoła,
Ktoś od walki przybywa
I zdaleka już woła:

„Jenerale! to chwaty!
Od lewego tam skrzydła
Wiodą cztery armaty,
I Moskali, jak bydła!“

Lecą, lecą wzdłuż błonia.
Grzmią krakowskie kopyta,
A Dwernicki spiął konia
I okrzykiem ich wita:

„Dzielnieście się spisali!
Zawsze Polak tak bije!“
A Krakusy wołali:
„Nasza Polska niech żyje!!!“

Wincenty Pol.

98. Pieśń ułanów.

Niemasz pana nad ułana,
A nad lancę niemasz broni.
Gdzie uderzy,
Moskal leży,
Albo wilkiem w stepy goni:
Od tej dłoni, od tej broni.

Gdzie my bijem, gdzie my pijem,
Tam mogiły i posucha;
Byle przodem,
Chrobrych chodem,
Koń i ramię to posłucha:
Koń i ramię — oj, nie kłamię —
Nawet pułki djabłów złamie!

Boć też żwawo — w lewo, w prawo,
I nieblisko ruszać trzeba;

Rąk niewiele,
Przyjaciele!
Lecz kraj wielki dały nieba:
Ach, kraj żyzny dały nieba,
Więcej chleba, niż potrzeba!

Rżą rumaki, znane szlaki,
— I jeżeli Bóg da zdrowie,
O niemylnie
Będziem w Wilnie,
Będziem hulać po Kijowie!
Hej, panowie, po Kijowie!
Jeśli Pan Bóg da nam zdrowie —

Na Moskala pierwsza fala!
A jak nad nim kruk zakraka,
Nie zabawim
I oprawim
Naszą lancą i Prusaka:
Hej, Prusaka nieboraka
Spławim Wisłą bez flisaka!

Czy już basta, dziatwo Piasta?
O! nie basta! Praca taka
Nie postoi,
Lecz pokroi
Czarapachę Austryjaka
Hej, Austryjak nasz pokraka
Za drugimi da szczupaka.

Wincenty Pol.

99. Stary ułan pod Brodnicą.[1])

Pod Brodnicą, jak woda,
Stoi wojsko na błoni;
Szkoda, Polsko, oj, szkoda,
Takiej dziatwy i broni!
Jak ją ludzie zobaczą,
To w Poznańskiem zapłaczą!
Będzie klątwy i żalu
Tam na ciebie, Moskalu!

Nad granicą tuż droga;
Bieży młoda kobieta,
Zapłakana nieboga,
I ułana zapyta:
„A cóżeście, panowie,
Najlepszego zrobili?
A cóż na to Bóg powie,
Żeście Polskę rzucili?“

[1]) Pod Brodnicą wojsko polskie pod wodzą Rybińskiego w r. 1831 do Prus wkroczyło.

Ale ułan nie słucha,
Krew zapiekła się w oku,
I źrenica tak sucha,
Jak broń jego przy boku.
Cisnął kaszkiet pod nogi,
Wicher rozwiał włos siwy;
„Bądź zdrów, koniu poczciwy!
Tu się dzielą już drogi...

Odkąd słońce mi świeci,
Kraj raz trzeci upada
I ta ręka raz trzeci
Oszczerbioną broń składa!

Nie dostali my kroku,
Źle też płacą nam obu:
Dla cię niema obroku,
Dla mnie niema i grobu!“...

I zapłakał na boje
I o lancę tłukł głową;
Chorągiewkę zdarł w dwoje
I łzy otarł połową...
I zawiązał garść ziemi,
Drugą ranę obwinął,
I w świat ruszył z młodszymi,
I, jak wszyscy, gdzieś zginął.

W. Pol.

100. Śmierć księcia Poniatowskiego.

Nazajutrz nastąpił dzień bitwy krytyczny, dla korpusu polskiego najgorętszy. Znów walka zawrzała od samego świtu. Tym razem atakowały z tej strony głównie kolumny związkowe pruskie. Poniatowski, przeciw dziesięciokrotnej przewadze, broniąc klucza swojej pozycji, wsi Probstheidy, swoim zwyczajem prowadził osobiście w ogień po kolei bataljony dywizji Izydora Krasińskiego.

Cesarz Aleksander z sąsiedniego pagórka przyglądał się tym nadludzkim wysiłkom i widokiem naocznym utwierdził w sobie szacunek dla takiego przeciwnika i sprawy, przez niego wyobrażanej. Ale bo też, w rzeczy samej, nie Probstheidę saską zdobywał tutaj krwią swoją ks. Józef: zdobywał Warszawę przyszłego Królestwa Polskiego w obliczu przyszłego jej monarchy. Utrzymywał się raz jeszcze na wysuniętem niezmiernie stanowisku, ale ze stratą ogromną, niepowetowaną w ludziach i ładunkach. A tu tymczasem tego samego dnia na polu bitwy przeszli do nieprzyjaciela Sasi; a tu nadciągnęły świeże nieprzyjacielskie rezerwy Blüchera i Bernadotta. Szale przechyliły się ostatecznie na stronę koalicji[1]). Dalsza walka stawała się beznadziejną. Wieczorem wydał Napoleon rozkaz do odwrotu. Rozpoczął się tejże nocy ten odwrót fatalny, utrudniany nadzwyczajnie przez sam charakter okolicy. Prowadził przez groblę długą, półmilową, wąską, poprzez ośm mostów, rzuconych na błotniste koryto Pleissy, Elstery i ich odnóg, których płytkie zwykle wody, teraz, podniesione jesienną powodzią, wystąpiły z brzegów, tocząc się brudnym, spienionym i rwistym nurtem.

[1]) Koalicja — związek monarchów.

Cisnęła się tą groblą, niby przez drugą Berezynę, zwarta masa cofającej się armji, artylerja, piechota, bagaże, ambulanse, jazda; po drugiej stronie, jak zwykle, straż tylną, pod czuwającym noc całą Poniatowskim, trzymali Polacy.

Wstał zimny, wietrzny, pochmurny ranek 19 października. Siwa, ciężka mgła podnosiła się z bagnistego nadrzecza, rozkładała po ogromnej równinie, przesycała oparami świeżej krwi, łączyła z mżącym gdzie niegdzie, przejmującym do szpiku jesiennym deszczem, z dymem palących się przedmieść lipskich i nieustających salw armatnich i karabinowych, tak gęsta, że o kilkadziesiąt kroków trudno było widzieć. Już cała prawie armja na drugą stronę przeszła, kiedy wtem, po 11-tej zrana, przedwcześnie wysadzony został w powietrze przez saperów francuskich most na Pleissie. Ks. Józef, mając przy sobie kilkuset ludzi, nagle został odcięty. Wycofywał się on właśnie z zachodniego przedmieścia lipskiego, Borny, na czele szczupłej eskorty kirasjerów i krakusów, szarżując raz po razie nacierających rojami tyraljerów nieprzyjacielskich. Wtedy po raz trzeci otrzymał postrzał w rękę, lecz, owinąwszy ją chustką, na koniu pozostał. Otaczający go sztab, generałowie: Małachowski, Grabowski i inni, wobec odwrotu i niemożności dłuższej obrony, błagali go, aby się poddał, osobę swoją dla kraju zachował. On nie słuchał. Oczy miał krwią nabiegłe, twarz nienaturalnym pałającą rumieńcem, znużony był, wyczerpany śmiertelnie, osłabiony od ran, zgorączkowany, nawpół przytomny; odpowiadał na wszystko: „Trzeba umrzeć mężnie“ (il faut mourir en brave). Rzucił się wpław do Pleissy, ale już koniem kierować niezdolny, porwany był siłą prądu. Wpadł za nim do rzeki młody kapitan francuski, Bléchamp, w chwili, gdy uwalniał się od tonącego konia, i wydobył na brzeg przeciwny. Ruszył książę dalej pieszo do Elstery przez błotniste ogrody, już wszędy napełnione tyraljerką nieprzyjacielską; tutaj po raz czwarty odebrał kulę w bok; słaniając się, padł w objęcia paru dotrzymujących mu jeszcze kroku oficerów; po chwili odzyskał przytomność, dosiadł z trudnością podanego świeżego konia, ale chwiał się na siodle. Ociekał krwią, był już zapewne ranny śmiertelnie, śmierć miał w spojrzeniu i wyrazie; ale na ponawiane błagania towarzyszów nie odpowiadał już wcale, tylko coś z gniewnem uniesieniem mówił bez związku o Polsce i o honorze. Wtem na widok nadbiegającej nieprzyjacielskiej piechoty, porwał się raptem sił ostatkiem i skoczył z koniem do Elstery. Tu ostatnią kulę odbiera w lewą pierś, przeszyty na wylot, osuwa się z konia i po krótkiem pasowaniu się — znika pod wodą.

Tak umarł książę Józef Poniatowski. *Sz. Askenazy.*

101. Bój pod Lipskiem.

Poczerniały orły złote,
Orły Francji poczerniały;
Skrwawił jasne swoje pióra
I nasz srebrny orzeł biały!

— Dalej, dalej, orły moje,
W nowe trudy, w nowe boje!
W słońcu chwały wam wyzłocić,
Wysłonecznić pióra swoje!

Rzekł Napoljon, ręką skinął,
Resztę armji swej rozwinął;
A z nim losy swoje wiąże
Poniatowski Józef książę.

Pod Lipskiem się Sasy bronią
Nad Elstery modrą tonią,
Nad Elstery modre wody
Ciągnie nasz bohater młody.

Już jesienne słońce wstało,
W nurtach rzeki się przejrzało.
Poniatowski się tam bije
I Francuzów odwrót kryje.

Napoljońskie sławne roty
I konnice, i piechoty
Cofają się w głuchej ciszy,
Nikt tam strzału nie dosłyszy.

Wyczerpany w głodzie, w znoju,
Nie ma Francuz już naboju,
Tylko piersi i palasze
Zasłaniają go tam nasze.

Tak z pod Lipska uszli cało;
Tak ich nakrył swoją chwałą,
Swojej szabli błyskawicą
Książę Józef z swą konnicą.

Przez Elsterę idą nasi,
A wtem most zapalą Sasi.
Już odcięta dla nas droga,
Hufce polskie w mocy wroga.

Książę Józef w nurty spojrzał,
W bok rumaka wbił ostrogę.
— Bóg mi honor dał Polaków,
Bogu tylko zdać go mogę!

Ściągnął uzdę, szablą błysnął,
Wzniósł ku niebu modre oczy,
— Za mną, wiaro moja! — krzyknie
I w spienione nurty skoczy.

Poniosły go wody sine,
W głąb śmiertelną go poniosły,
A gdzie zginął nasz bohater,
Smutne wierzby tam wyrosły.

Marja Konopnicka.

102. Bitwa pod Raszynem.

Franc, zobaczywszy upadającego z konia Janka, mruknął do siebie po niemiecku:

— Nu, nu, mógłbym teraz uciec i zostawić tutaj tego małego Polaka; panowie ułani są daleko, gonią naszych i biją, przeklęte Polaki. Nu, stary Franc, jakże, uciekniesz czy nie?

Stanął, podparł ręką brodę i, patrząc na bladego, zlanego krwią Janka, prawił do siebie:

— Uciec, byłoby to dobrze, ale co mi z tego przyjdzie! Czy nie lepiej jest w niewoli? To będzie wojna długa, uparta i krwawa, ci Polacy biją się, jak szatany, jeszcze mię gdzie zarąbią, a chociem stary, miłe mi jeszcze życie! Nu, a w niewoli? w niewoli będę sobie siedział spokojnie, jak u Pana Boga za piecem: dadzą jeść, dadzą mieszkanie; wyśpię się, wyleżę, a przytem ten mały Polak darował mi życie, trzeba, żeby go jenerałowie wynagrodzili za to, że mnie wziął do niewoli. Nu, niema co, trzeba go otrzeźwić, ranę mu opatrzyć.

Wyrzekłszy to, Franc, mrucząc i ruszając strasznemi wąsami, podniósł Janka, wsadził na konia i ostrożnie podwiózł w gęste krzaki nad brzegiem rzeki. Było tu spokojnie i bezpiecznie. Bitwa po utarczce kawaleryjskiej przeniosła się stąd na środek i na lewe skrzydło, tutaj zaś zupełnie ucichła.

Spokojny więc pod tym względem, Franc zdjął z siebie dolman, rozesłał go na ziemi, ułożył na nim wygodnie zemdlonego Janka, rozpiął mu ubranie i obnażył zupełnie dość głęboko i w paru miejscach poranioną lewą rękę. Potem od kulbaki swego konia odpiął blaszany kociołek, zaczerpnął wody, obmył

rany, wyjął z kulbaki jakieś gotowe plastry i przyłożył do ran, tak że krew przestała się sączyć. Dokonawszy tego, otrzeźwił Janka, pryskając nań wodą.

Chłopiec otworzył oczy i, ujrzawszy nad sobą pochylone groźne oblicze Franca, przestraszył się.

— Gdzie jestem?... co pan ze mną robisz, panie Franc? — zawołał, siadając.

— He! he! he! — zaśmiał się stary huzar — mala Polak już zdrofa, to jest dobrze, bardzo dobrze. Franc kontenta, bardzo kontenta. Niech się mala Polak nie stracha, Franc dobra czlofik... Mala Polak darowala mu życie, nu to i Franc mu darowala. Czy mala Polak jest już zdrofa?... He! he! he! — śmiał się, widząc, że Janek zerwał się na równe nogi, a rumieniec poczynał mu występować na bladą przed chwilą twarzyczkę.

— Zdrów jestem — mówił Janek, oglądając się, czy ma broń przy sobie, bo ciągle niedowierzał Francowi — ale gdzież ja jestem?

— Nu, gdzie jestem? Na polu... Czy mala Polak słychala, jak tam pif, paf!... bitwa, to fielka bitwa. Nu, niech mala Polak siada na koń i marsz!

Janek, czując się dość silnym, jednym skokiem siadł na konia i, osadziwszy się dobrze w siodle, najprzód chwycił za karabinek, gdyż ciągle niedowierzał huzarowi i w razie niebezpieczeństwa postanowił drogo sprzedać swoje życie. Nie uważał jednak tego, że Franc był bezbronny.

— Iii — syknął huzar — po co mala Polaka bierze ten paskudny rusznica. Franc jest bezbronna, o! bez szabli nawet. Franc chce jechać do niewoli i niech go mala Polaka profadzi.

Janek istotnie spostrzegł, że niema się czego obawiać, rzekł więc:

— Dobrze, jedźmy, ale jeżeli Franc mię zdradzi, to mu kulkę poślę...

— Zdradzi? fi! Franc nikogo nie zdradzila, jak żyje. Franc mogla zabić mala Polaka, kiedy spadla z konia, a nie zabila. Franc zawiozla go tu na trawę, opatrzyla mu rana, wodą zlala gębę... nu?

— Tak uczyniłeś, poczciwy Francu? — zawołał Janek — dzielny z ciebie człowiek! podaj mi twą rękę, niech ją uścisnę.

Ale Franc, zamiast podać jedną rękę Jankowi, roztworzył szeroko ramiona, w które gdy się rozrzewniony Janek rzucił, stary huzar o mało go nie udusił, tak go ściskał, tak całował. Popłakali się obydwa.

— Franc kocha mala Polaka — mówił huzar, ocierając łzy — bardzo kocha taka dzielna chłopaka. Franc już za żadna pieniądza nie wróci, ja sem jestem Slowak! Franc nie opuści teraz mala Polaka, będzie jego sługa wierna, jak pies. Franc ma w trzosie trzy tysiące reńskich i odda to mala Polaka, szeby używal. Tak, ja kochać mala Polaka.

I znowu się bił potężnie w piersi i ruszał groźnie wielkiemi wąsiskami, a Janek ściskał go i całował.

Puścili się nakoniec naprzód, ominęli wojska i na tyłach spotkali się z pułkiem szaserów, który niedawno rozbił huzarów węgierskich. Dzielni żołnierze stali w wyciągniętym froncie, obryzgani krwią, zmęczeni, osypani pyłem i błotem, ale z postawą tak dzielną, tak waleczną, że aż dusza rosła, patrząc na nich. Przed frontem, na świetnym karym koniu stał książę Józef, otoczony błyszczącym od srebra sztabem, i przemawiał coś do wiarusów. Donośnemu, czystemu, jak dźwięk srebra, jego głosowi towarzyszył ponury ryk dział i grzechot karabinowego ognia, błyszczącą jego ułankę z amarantowo-białemi piórkami otulał dym prochowy i całował wietrzyk wiosenny.

Kiedy wyciągnięta linja szaserów, rozgrzana jeszcze świeżym bojem i słowami wodza, zobaczyła Janka, cała jednomyślnym zabrzmiała okrzykiem:

— Niech żyje młody bohater! niech żyje! niech żyje!

I, jak gdyby na dane hasło, szeregi poczęły potrząsać szablami i bermycami w najwyższem ożywieniu i zapale.

Janek, zdumiony tem przyjęciem, onieśmielony, z palącym rumieńcem na twarzy, zatrzymał się i nie wiedział, co ze sobą zrobić. Widząc zwrócone na siebie wszystkich oczy, radby był pod ziemię się zapaść. Zato Franc zdjął z głowy swój kołpak huzarski, wstrząsał nim, kłaniał się dokoła i krzyczał na całe gardło:

— Slawa mala Polaka! slawa! slawa!

Nakoniec książę Józef spiął konia i w szczupakach przypadł do Janka i rzekł, wpatrując się w niego swemi wielkiemi, jak brylanty, błyszczącemi oczami:

Wiem o wszystkiem, widziałem cię, dzielny, bohaterski chłopcze!... Po raz to wtóry ojczyzna zaciągnęła u ciebie dług wdzięczności.

W tejże chwili spostrzegł Franca i zapytał:

— A to kto jest?

Franc wyprostował się, jak struna, włożył kołpak na głowę i salutując ręką, rzekł:

— Ja Franc Sloboda, wachmistrz trzeciego huzarenregiment princa Ferdynanda von Este.

— Ale co tu robisz?

— Ten mala Polak wziela mnie do niewoli... ja sem jeniec.

Kiedy to nie usłyszą szaserzy, miły Boże, jak znów krzykną:

— Niech żyje! niech żyje! krzyż mu dać, prosimy o krzyż! on będzie synem pułku! wiwat!

Janek uczuł ból w ramieniu, znowu mu przed oczami poczęły latać czarne płatki, osłabł i, gdyby go nie powstrzymał Franc, byłby upadł z konia. Wszakże chłopiec i tym razem stracił przytomność.

W. Przyborowski.

103. Pole Raszyńskie.

Noc cicha, wonny wietrzyk powiewa przez błonie,
Rżą na wilgotnej łące popętane konie,
Smutno szumią nad zdrojem gałązki olszyny,
Potok ucieka, płacząc, na zastępne trzciny.

Głuche pole, przy koniach tylko pastuch czasem
Brzmiący rozgłos sosnowym puści z bicza lasem;
Księżyc, którego chmurka, igrając, omija,
Gdzie niegdzie złote strzały w strumyku odbija.

Księżycu! stróżu Boga na nieba sklepieniu!
Nie tak się przeglądałeś ongi w tym strumieniu,
Dym wojny cię ogarnął, a grzmotne wystrzały
Echa szczernionych gajów stronom podawały.

Kmiotki ojczystych w ogniu odbiegali chatek,
W lochach dzieci do drżących tuliły się matek,
Łoskot bębnów, huk strzelby, głos trąby chrapliwy,
Tętent koni, jęk rannych słyszały te niwy.

Gdzie się krew rumieniła, teraz błyszczy rosa,
Wonną trawkę na siano pościnała kosa.
Dziś wołków tylko widać wytłoczone stopy
W miedzach, któremi wiozły do stodoły snopy.

Tam zielone mogiły nad pola się wzniosły,
Na nich smutno wiatr, świszcząc, chwieje chwast przerosły.
Konik polny, z sieczonej łąki wypłoszony,
Śpiewa swoje wygnanie żałosnemi tony.

Ach! cóż mi smutne widzieć przypomnienie daje!
Tu się duchy rycerzów przechodzą przez gaje,
Po kłosistych zagonach cień za cieniem goni,
Tam trup leży, tu łyska miecz w żylastej dłoni.

A tam, gdzie z nad ponika[1]), z olszowego brzega
Serdeczny głos słowika w polu się rozlega,
Czyj to cień? — to Godebski[2]) przechodzi się smutnie;
Nad stosami rynsztunków wiatry wieją w lutnie.

O, cienie braci moich, pókiż po tej ziemi
Będziecie się błąkali z rany nieoschłemi,
Po grobie matki w krwawej przechodząc się szacie?
O waszych ran owoce na braci wołacie. —

K. Brodziński.

104. Opowiadanie legjonisty.

— Wojna jest wojna — rzekł Ojrzyński — Bóg nasz sędzia, nie waszmość. W parę tygodni czasu z naszego bataljonu, który tysiąc miał ludzi, zostało nas stu kilkunastu. Żółta febra... Och, złe to czasy! Tam my w gorącej ziemi złożyli starszego, Bolestę, kapitanów: Osękowskiego i Rembowskiego... Złe to czasy!

Trzeci bataljon 113-ej półbrygady wylądował był w Port au Prince[3]). W ciągłych marszach, utarczkach, walkach, znojach, gdy dzień i noc trza było z wrogiem brać się za orzydle[4]), z chorób samych utracił sześciuset ludzi. Tak to, panowie bracia: z 3700 chłopa, jak dzwona bukowego, którzy wysiedli na ląd w San Domingo, zostało nas żywych trzystu, a oficerów naszych kilkunastu.

Po śmierci Leklerka przyszedł nad nami przewodzić Roszambo. Ten powziął myśl psy rozjuszone, ćwiczone głodem i chłostą, puszczać na Murzynów.

Wtedy już druga nasza legja, czyli 114 półbrygada, wsiadłszy na statki w Genui, przypłynęła do Antylów.

Pamiętam, jak zawijały z oceanu do zatoki wolno idące okręty: le Fougueux, Héros, la Vertu, la Serpente, l'Argonaute i inne. Stała nas garsteczka na brzegu, żeby przybywającym oddać honory i przywitać ich w progu wyspy. Ujrzawszy nas,

[1]) Ponik — strumyk.
[2]) Cyprjan Godebski, pułkownik, zginął pod Raszynem.
[3]) Na San Domingo.
[4]) Orzydle — część ubrania na piersiach.

zadrżeli. Cóż dopiero, gdy posłyszeli z ust kapitana Przebendowskiego, który był osobistym adjutantem generała Roszambo, że przed nimi stoi połowa pierwszej legji.

Wkrótce nowi przybysze wyruszyli przeciwko Murzynom. Rozdzieliły się nasze drogi. Wnet usłyszeliśmy o śmierci porucznika Weigla i dzielnego adjutanta-majora Królikiewicza w bitwie u redut Carvahanac...

W tym to czasie ja sam przebyłem żółtą febrę, alem się z niej wylizał. Leżałem w barłogu długi czas między życiem a śmiercią. Nie wiem, co się działo z braćmi na przeklętym lądzie. Dusza moja szczerstwiała wtedy i uczynił się z niej jakoby płytki brzeszczot, co krwią ocieka. Udało mi się wreszcie dostać z kilku towarzyszami zwolnienie i wrócić do Europy.

Wsiedliśmy na fregatę, idącą do Brestu, i dopiero na morzach człowiek westchnął. Szczęśliwie przybyłem do Francji. Wyznaczono nam na mieszkanie Chalons-sur-Marne[1]), dano pół żołdu. Ale skoro człowiek przyszedł do siebie, natura pociągnęła w szeregi. Obwieścili nową kampanję. Wciągnęliśmy się w kilku do szeregów francuskich — znowu marsz — marsz!

Zabiło serce, boć my szli wprost na Wiedeń. I weszliśmy w otwarte jego bramy. Austerlitz! Oto ja ujrzał te czeskie i morawskie wzgórza, com je, jako piechur austrjacki, przemierzył.

Wdali siniały nasze wysokie góry. Ale nie sądzono mi było wstąpić na swoją ziemię. U samych jej drzwi musiałem przyklęknąć i czekać: strzaskało mi nogę, urznęli...

— Sprawiedliwie mówisz — rzekł twardo Trepka — niegodne były wasze nogi, żeby na ziemię tę wstąpiły. Bóg pewnie karze za takie czyny, jak wasze na wyspie.

— Zemsta jest moją, mówił Pan... — głucho odparł żołnierz.

— Na skinienie uzurpatora[2]), wskutek intrygi jego współszalbierzów, deptać wolne ludy, dusić plemiona...

— Zemsta jest moją, mówił Pan. Nic waszmość nie wyrokuj! Spojrzyj-no, co się stało... Dwanaście lat my przelewali krew w zawrociach świata. Bracia moi co do jednego prawie wwalili się w mogiły z głuchą rozpaczą. A teraz... Rakuskie mocarstwo roztrącone, jak kupa zgonin. Dodał ramienia pod Jeną, pod Auerstädt — i pruskie państwo roztrącone! Uzurpator! Ten sam uzurpator jest panem Berlina i panem Wiednia. Nie wiesz waszmość owo zgoła, co mówisz... Niech żyje cesarz! Po stokroć! Po tysiąckroć! Chwała mu wieczna! A teraz,

[1]) Miasto we Francji.
[2]) Przywłaszczyciel; tak nazywano w Europie Napoleona.

słyszysz waszmość, dopadła mię tu wieść w jednem miasteczku: idzie w Poznańskie, w Mazowsze... Do Warszawy! Przez żywy Bóg, tak będzie. Armje przemierzają równiny moje, gdzie rządził Prusak. Obok nich wstają ze snu powiaty, miasta, wsie. I teraz dopiero pójdą w bary! Niemca tam już jednego człowieka niemasz! Ja tylko jeden, jedyny, com obszedł świat, czekając na tę chwilę, nie pójdę z nimi. Ale nim piach mi oczy zasypie, dowiem się reszty. Niech żyje cesarz!

Rzekłszy te słowa, żołnierz wsunął głowę w ramiona i cały się zgarbił, jak gdyby w sobie samym ukryć chciał resztę myśli. Już ranny świt przeciekać zaczął przez szpary okiennic. Woskowe świece dawno pogasły. Trepka pchnął okno jedno i drugie. Mokry, rezedą pachnący chłód ciemnego rana jesieni buchnął do dusznego pokoju.

St. Żeromski.

105. Napoleonista.

Honorowy krzyż na fraku,
Wąsy zawiesiste,
Jedna ręka na temblaku,
Masz Napoljonistę.

Babia czułość nieraz błyśnie
Przez rysy junacze,
Nieraz marsem brwi zaciśnie,
By ukryć, że płacze.

Nie powie, że bił się tęgo,
Że lał krew szeroko,
Ale wspomnij Lipsk, Marengo [1])
I spojrzyj mu w oko!

Dziś, gdy jego przeszłość cała
W grobie pochowana,
Bywa zimny, gdyby skała,
Milczący, jak ściana.

Ale przed nim niespodzianie
Wyrzecz imię Jego,
On się zerwie, frontem stanie
I łzy mu pobiegą.

[1]) Miejscowości, wsławione bitwami Napoleona.

Krzyż na piersiach, lecz ma drugi
Pod suknią znak Boski:
Obok krzyża za zasługi
Medal częstochowski.

Krzyż i medal miał na łonie
W dni bitew, jak zbroją;
Pierś wojaka i po zgonie
W krzyż, w medal ustroją.

Z medalikiem zda rachunek
Przed Najwyższym Panem;
Z krzyżem — stanie na meldunek
Przed wodzem kochanym.

L. Kondratowicz.

106. Czworobok.

Napoleonowi lada chwila groziło otoczenie. Bonaparte mimo to chciał szukać schronienia pod armatami. Lecz Dejean, mający dowództwo baterji, widząc klęskę, bez wahania dał ognia, nie bacząc, że Francuzów razi. Grad kul wzmógł jeszcze zamieszanie. Kawalerja zamieniła się w jedno wielkie, tarzające się, a miażdżące się i plujące krwią ciało.

Napoleon zdarł konia i rzucił się ku Torcy, pod grad kul nieprzyjacielskich i zabójczych pocisków Drouota, który już także zaczął grać pełnemi baterjami. Dragoni austrjaccy poznali tymczasem Bonapartego i szli za nim zwartą gromadą, pociągając za sobą całe pułki kawalerji i przenosząc ciężar natarcia na tyły pozycji Neya.

Napoleon pędził, co koń wyskoczy, otoczony już ledwie pięciu oficerami sztabu: pędził, nie mogąc zorjentować się wśród piekielnego dymu, łomotu i wrzasku galopujących nieprzyjaciół, gdzie znajdzie ukrycie. Nagle jeden z adjutantów huknął za nim:

— Sire [1])! Na lewo nasza piechota!

Cesarz zwrócił się wprost ku stojącym dwu bataljonom. Bataljony na widok cesarza zakołysały się, a ofuknięte surowem wezwaniem: „Baczność“ — zapadły w milczenie.

Napoleon osadził konia przed frontem, zmierzył prężącego się przed nim Skrzyneckiego i zawołał do przerażonych nadbiegającą kawalerją sztabowców:

[1]) Najjaśniejszy panie.

— Tu jestem bezpieczny, bo między Polakami!

Potem wjechał w środek bataljonów.

Bataljon przez chwilę stał oniemiały, jakby w ziemię wrosły, skamieniały.

Naraz Skrzyneckiemu twarz rozgorzała, oczy jego sypnęły skrami, a głos młodego szefa bataljonu rozległ się, jak grom mocny, i wskróś przejął żołnierzy, bębny napełnił zajadłym dygotem, trąbki napoił czystością dźwięków i jął bataljony łamać, zwijać szeregi, rozsuwać, odwracać fronty, a budować mury bagnetów, żywy wał stawiać, redutę z otwartych piersi, pancerz, czworobok...

Aż czworobok stanął!

Skrzynecki zatoczył koniem dokoła czworoboku i huknął groźnie:

— Tu będziemy zdychali! Słyszycie!?...

Czworobok poruszył się i odpowiedział niby stutysiączne echo górskie:

— Będziemy zdychali! Niech żyje cesarz!

Skrzynecki zeskoczył z konia, wyrwał karabin najbliższemu żołnierzowi i stanął w szeregu, mając za sobą sygnalistów.

Tymczasem chmara jazdy nieprzyjacielskiej, która się była zatrzymała na widok piechoty, zachęcona komendą, pędziła pod armatami Drouota ku czworobokowi.

Czworobok stał z bronią do nogi, dopuszczając jazdę do siebie na kilkaset kroków, aż wreszcie plunął ołowiem po koniach. Kawalerja cofnęła się nieco, a szerszą rozwinąwszy wstęgę, natarła z trzech stron: czworobok powitał ją trzema pasmami ognia.

Würtemberg się zawziął. Wrede dostrzegł przez lunetę Napoleona!...

Czworobok był skazany na śmierć.

Dwie baterje armat wymierzone ku niemu, dwa pułki gwardji austrjackiej rzucono na brzeg Auby, poza pozycją Neya, dywizję kirasjerów gotował Würtemberg.

Nastała chwila ciszy; na stanowiskach austrjackich walka z Neyem nawet osłabła.

Czworobok stał i czekał znów z bronią do nogi.

Czekał niedługo; granaty rozpryskiwać zaczęły swoje skorupy, a w konwulsyjnych rykoszetach[1]) wpadać między szeregi i rwać je, a krwią zalewać.

Czworobok kurczył się, zwierał plutony i stał.

[1]) Strzały z odbicia.

Napoleon zsiadł z konia i, założywszy ręce, poglądał przez ruchomy wał ludzi. Naraz granat padł tuż u nóg cesarza i jął kotłować się, dymić a syczeć, jakby gotując się do wybuchu.

Dwunastoletni dobosz pochylił się odruchowo.

Cesarz roześmiał się.

— Boisz się? Niema czego!

Dobosz spojrzał pytająco na cesarza, poczem skoczył ku granatowi, podniósł go i połą płaszcza lont dopalający się zgasił.

Cesarz chciał zagadnąć o coś malca, gdy wtem rozległa się komenda Skrzyneckiego. Bębny jęły wybijać pobudkę.

Dywizja kirasjerów następowała, białe mundury gwardji szły zwartemi kolumnami do Auby.

Czworobok podniósł broń do oka, zmierzył i wstęgą ołowiu się okrył.

Gwardja idzie z pochylonemi bagnetami, kirasjerzy mierzą przestrzeń do rozpędu.

Czworobok szarpnął zębami ładunki, zadzwonił stemplami, zmierzył i znów wstęgą ołowiu się okrył.

Gwardja runęła, ziemia jęczy, a drży od tupotu końskiego.

Czworobok stoi, wyrzucił z siebie dwa ciała bezwładne, dwa serca zastygłe, dwa karabiny zbyteczne i rwie zębami ładunki, dzwoni stemplami i pali. Cel bliski!

— Na bagnety! — huczy głos Skrzyneckiego.

— Na bagnety! — wtóruje Muchowski.

— Zdychać! — ryczy sierżant Dudziński.

Czworobok odpowiada łomotem dwóch walących w niego mas, dwóch hydr, dwóch rozszalałych tłumów ludzi i koni...

Kirasjerzy lada chwila mają runąć do środka, konie ich sadzą prawie ponad bagnetami, szeregi czworoboku giną tu wobec tych olbrzymów koni, wobec tych olbrzymów ludzi. Grenadjerzy następują z impetem, całym ciężarem kolumny prą. I tu czworobok już chwieje się, grozi rozerwaniem.

Naraz, niby dwie cięciwy łuku, napięte za mocno, tak ściany czworoboku wyrywają się i prężą, i wałami trupów znaczą miejsce walki i cofających się w pomieszaniu ścigają znów ołowiem.

Dwie godziny stał czworobok, dwie godziny odpierał wszystkie pociski, wymierzone za Arcole, za Jenę, za Austerlitz, za Friedland, za Wagram! Dwie godziny wytrzymywał atak za atakiem, zalewał się krwią, bluzgał mózgiem. Dwie godziny rwał ładunki, podtulał pod rozpalone lufy rękawy płaszczy, omdlewał, kołysał się, chwiał i znów jakąś siłą

tajemniczą się wypełniał. Dwie godziny grodził dokoła siebie zawały trupów, dwie godziny łamał szturm po szturmie, dwie godziny padał, konał.

Czworobok nikł w oczach i chwilami stygł, kostniał...

Ale nieprzyjaciel znów natarł.

Czworobok jęknął, zaparł się plecami i bronił się bagnetami, bronił kolbami, dragońskiemi pałaszami, bronił pięściami, uchwytem żylastych rąk, poczerniałemi od ładunków zębami.

— Zdychać! — ryczał Skrzynecki.

— Stać, niedołęgi! — strofował Muchowski.

— Cesarz między nami!

— Niech żyje cesarz!

Czworobok zatoczył się, wpił w następujące szeregi i targnął niemi.

Nieprzyjaciel uchodzi. Czworobok dyszy ostatkiem sił.

Od strony Arcis słychać łoskot bębnów. Sześć tysięcy starej gwardji Frianta rzuca się ku swojemu cesarzowi i unosi go...

Czworobok na tem miejscu, gdzie stał, gdzie walczył, gdzie zniósł piekielne natarcie, gdzie stokroć większej oparł się sile, wali się w gruzy, nurza się we własnej krwi i już milczy znów, niczego nie żąda, niczego się nie spodziewa.

. . . . . .

Napoleon był w humorze. Marszałkowie i jenerałowie dawali skwapliwie wyjaśnienia.

Cesarz chwalił postawę wojska. Kazał sobie wymieniać odznaczonych, rozdawał obficie awanse, a kreślił plany dalszej kampanji.

Ney, który nie brał udziału w rozmowie, wysunął się nagle przed cesarza.

— Sire! Zapomniałeś o bataljonach polskich!

— Nie! — dwadzieścia krzyży!

Ney głowę zwiesił.

— Prawda, że dla nich nic innego nie masz i nie miałeś!

W. Gąsiorowski.

107. Bonaparte.

I.

Usiadł dziaduś przy kominie,
Złożył na krzyż zeschłe ręce,
Młodym chłopcom opowiada,
Jak to było na wojence.

Młodym chłopcom opowiada
Napoljoński rapsod stary,
Dawne dzieje, dawnych ludzi,
Innej siły, innej wiary!

— Hej! minęły tamte lata,
Ani wiatrem ich dogoni,
Kiedy parskał koń bojowy,
Kiedy szabla lśniła w dłoni.

Postarzała dawna młodzież,
A dzisiejsza licha warta!
Nie tak, panie, było niegdyś
Za cesarza Bonaparta!

II.

Tam, gdzie srebrne leżą śniegi,
Tam, gdzie płynie Nil zielony,
Z orłowemi sztandarami
Napoljońskie szły legjony.

Szły legjony napoljońskie,
Gdzie je wodził „kapral mały“,
Aż się niebo uśmiechało,
Aż się ludy dziwowały!

Toż batalje były dzielne,
Częstochowska Panno Święta!
Płakiwała matka-ziemia,
Krwawą rosą przesiąknięta.

Do ataku, jak na gody,
Szła francuska gwardja stara:
„Wiw la Franse! Wiw lemperer!
W imię Ojca... Naprzód, wiara!“

III.

Nie zdobiły Napoljona
Złota, hafty, srebrne chwasty,
Nosił surdut na mundurze
I kapelusz trójgraniasty.

Postać, panie, niby licha,
Jakaś kusa, jakaś drobna!
Do zdobywcy Europy
Ani za grosz niepodobna.

Ale spojrzyj w jego oczy,
Pod czarnemi lśniące brwiami.
Gdy przed bitwą front objeżdża,
Otoczony marszałkami.

Ale spojrzyj na twarz bladą,
Co zachwyca, to przeraża.
Wtedy pójdziesz choć do piekła,
Byle walczyć za cesarza!

IV.

Przy ognisku biwakowem,
Gdy wojenne ścichły gwary,
Siadywały grenadjery
I hułani i huzary.

Lśniły czaka[1]) i bermyce,
Kirasjerów lśniły zbroje,
Wspominała stara gwardja
Napoljońskie dawne boje.

Wtedy stawał przed źrenicą
Kraj daleki, kraj rodzony:
Mazowieckie nasze piaski,
Nadwiślańskie nasze strony.

Wtedy oczy wilgotniały,
Wtedy serce biło młotem,
I szwoleżer płakać może,
Ale wara wspomnieć o tem!

V.

Hej! chadzało się, chadzało
Po szerokim Bożym świecie,
W dzień na koniu, z szablą w garści,
A zaś nocą — na lawecie!

Hej! śpią starzy towarzysze
Pod palmami, pod brzozami,
Wieją po nich skwarne piaski,
Wieją śniegi tumanami.

Była Jena i Austerlitz,
Eylau, Wagram i Arcole,
Zda się, nosił „mały kapral“
Nieśmiertelność na swem czole!

[1]) Czako — czapka ułańska.

Zda się, ziemię zawojuje
Rzesza męstwem uskrzydlona,
Aż pod Lipskiem i Waterloo
Zgasła gwiazda Napoljona!

VI.

Gorącemi strumieniami
Pod Waterloo krew się lała,
Jakby ziemia nad cesarzem
Krwawą rosą zapłakała.

Jakby ziemia zapłakała
Nad cesarzem Napoljonem,
Co na bitwę patrzył zdala
Okiem, łzami osrebrzonem.

I wydarli nam cesarza!
I wydarli go na wieki!
Pod wierzbami płaczącemi
W obcej ziemi śpi daleki!

Śpi wygnaniec w obcej ziemi,
Gdzie go duchów strzeże warta!
Choć umiała konać gwardja
Za cesarza Bonaparta!

VII.

Smolne szczapy na kominie
To zapłoną, to przygasną,
W starych piersiach szwoleżera
Dziwnie błogo, dziwnie jasno.

Smolne szczapy na kominie
Ozłacają brudną ścianę
I słuchaczy młode twarze
Jakoś tęsknie zadumane.

Głowa starca na pierś spada,
Osrebrzona, jasna, cicha,
Twarz zmarszczkami poorana
Do przeszłości się uśmiecha.

Snadź obrazy widzi wojak,
Aż do grobu niezatarte,
O minionych marzy bojach!...
O cesarzu Bonaparte.

108. Łostaje.

Jużem się pod Krewo podbierał i wyjechałem w leśne i pagórkowate okolice, między któremi i samo Krewo sytuowane [1]), gdy spostrzegłem po wzgórkach i dolinach narzucone gęsto dworki, przy niektórych ogródki, przed niektóremi sadzawki, niektóre nawet z ganeczkami, a przy każdym zabudowania gospodarskie, mniejsze od pańskich, większe od okolicznej szlachty, z którą znam się od dawna. W pośrodku nad strumieniem kapliczka z kulistym dachem i jedną z boku wieżyczką cienką. Zdziwiłem się jednak: i kapliczka, i wieżyczka bez krzyża.

— Już blisko Bienica — rzekł Jaś, wiozący mnie — tylko półtorej mili. To Łostaje.

A cóż to Łostaje?

— Tu na Łostai mieszkają Tatary. Oto dworek pana rotmistrza Ułana, tamten pana porucznika Baranowskiego, tamten, przy meczecie, to ich Mołny [2]), a ten, przy naszej drodze, to największego ich murzy, majora Amurata-Bielaka. My tu często z tatulą na robocie rymarskiej bywaliśmy, nim mnie on do klasztoru nie oddał.

— Ha — pomyślałem sobie — więc niema po co do muzułmanów zajeżdżać. — Mijaj — rzekłem do Jasia.

Mijaliśmy więc dworek pana Amurata, gdy on sam, powracając z pola, spotkał nas przed swojemi wrotami i: — Stój! — zawołał.

— Niech będzie... — zacząłem z nałogu — upadam do nóg! — dokończyłem, postrzegłszy się.

— Na wieki wieków... kłaniam uniżenie! — odpowiedział, uśmiechając się. — A dlaczegóż to mijasz poczciwych ludzi i sąsiadów? Boś pewnie z Bienicy.

— Śpieszę — rzekłem — do klasztoru.

— Kłamiesz, księżulu! Widzę, żeś nowicjusz w tych stronach, bo cię nie znam; a nie zajeżdżasz do Tatarów, bo myślisz, że muzułman zamknie ci wrota, albo powie: fora ze dwora! A mylisz się. Twoi poprzednicy nie mijali nas, a my też nie mijamy waszego klasztoru. Na tamtym świecie rozsądzim się o wiarę, a na tym żyjemy w sąsiedztwie po przyjacielsku. Wstąp więc do mojej Witołdówki, a obaczysz, że kołdun tatarski wart bernardyńskiego brzucha.

[1]) Położone.
[2]) Mołna — duchowny muzułmański.

„Hora canonica“ [1]) zbliżała się, wzmógł się apetyt, a jak na licho, lubię kołduny. Przyszło mi wprawdzie na myśl, że to tam u nich i młoda źrebięcina uchodzi podobno; ale jednak, niebardzo temu wierząc i szczeremu zaproszeniu odmówić nie mogąc, zawróciłem we wrota.

Sam pan Amurat, lat z górą pięćdziesiąt mieć mogący, łysy jest, ale wąs ma zawiesisty i nie po dworsku zakręcony i gumowany, ale suty i siwy i obwisły, że mu aż gębę zakrywa. Facies [2]) przystojna, chociaż nieco śniada i za szeroka. wydaje jego progeniturę [3]). Na nim kurtka i szarawary płócienne, szyja i łeb nagie, a w ręku harap myśliwski.

— Hej, Ajeszko! — zawołał, wchodząc do sieni, a na to wybiegła w jupce tarletanowej młoda et quidem [4]), jak na Tatarkę, ładna dziewczyna. Stropiła się nieco, spostrzegłszy mnie.

— Oto moja jedynaczka — rzekł pan major. — Nie lękaj się, córko! Mamy, widzisz, gościa, więc drugą kopę kołdunów wsyp do rondla. A tymczasem napijemy się wódki. Mahomet zabronił nam wina, miłościwy księżulu! Ale o wódeczce w Alkoranie cyt! A zatem my winu dajemy kwit, a wódeczkę i luleczkę ciągniem sobie po troszeczkę. Proszę do izby.

Weszliśmy więc do izby pana Amurata. Pierwsza obszerna; stół dębowy na środku, zydle naokoło. Druga maleńka, tam łóżko i na ścianie wojenny rynsztunek pana majora. Między tem zdziwił mnie łuk jakiś starodawny, więc zacząłem go rozpatrywać.

— A co? kwestarzu! dziwisz się broni, którą przodkowie moi wojowali? Tak, tak, jest to najdroższa nasza pamiątka, jest to łuk naszego przodka, Kara Mirzy, który, długo wojując z Litwą, nakoniec, gdy w bitwie jednej dowodził przeciw księciu Witołdowi, okryty ranami, dostał się z wielką częścią swej ordy w niewolę. Poosadzał ich miłościwy ten książę a waleczny rycerz w różnych miejscach swojego kraju: w Nieświeży, w Wace, a Kara Mirza, nasz przodek, dostał tu na Łostai ziemię. I książę nazywał go Bielakiem naprzeciw imienia Kara, co znaczy w naszym języku Czarny. Służył mu potem Bielak w wielu różnych wyprawach, wszędzie mężnie i wiernie stawając, a skarbiąc sobie coraz większe łaski księcia.

Dawno temu już było, panie bracie, bo przed laty czterystu, a może i więcej, plemię tatarskie rozmnożyło się na

[1]) Tu: stała godzina posiłku.
[2]) Twarz.
[3]) Pochodzenie.
[4]) A przytem.

Litwie i zawsze poczciwie krajowi służyło. A po naszym walecznym przodku dochowujemy razem z ziemią, jemu nadaną, i ten łuk jego. Z głowy na głowę dziedzictwo to przechodzi. Ani ziemi, ani łuku żaden Bielak za miljony nie odda; a choć który zholeje[1]), to składamy z ostatniego na zapomogę brata, byle nie wpuścić cudzego intruza między nas. Gospodarstwo u nas niewielkie; często na Bejram[2]) ostatnia idzie pod nóż krowa; ale zato do korda każdy gracz, do trzeciego Tatarowi nie gadaj; każdy od młodości prochu powąchał, a tchórza i piecucha z tureckim abszytem[3]) wypędziliśmy z Łostai.

Przy tym rozhoworze[4]) pan major dostał flaszkę z policy. — „Do wasana!“ — rzekł, nalewając sobie spory kieliszek; a wychyliwszy do dna i ocierając sobie wąsy, rzekł: — Tacto pectore[5]) upewniam cię, że wyśmienita!

— Tacto pectore! a to co? — rzekłem zdziwiony — skąd ta łacina?

— Z ust szlacheckich, mospanie! bo, chociaż w szkole nie bywałem, rózgi nie widziałem, ale przysłów poczciwych szlacheckich od dziadów i ojców uczymy się; a choć i z nich żaden łaciny nie umiał, ale kiedy, położywszy rękę na sercu, powiedział Tatar litewski: tacto pectore! to jakby na głowę Mahometa przysiągł! Nie chlubiąc się, krew ich i we mnie płynie. Jestem synem jenerała Bielaka, którego znała cała Litwa... Dżgnij zatem, bracie kwestarzu! bo przez ścianę słyszę, że wrą kołduny w ukropie.

Jakoż wnet weszła panna Ajesza z przyborem stołowym, a za nią służąca wniosła runtową[6]) misę kołdunów. Smakowita woń rozeszła się po izbie. Zasiedliśmy we dwóch tylko, bo ze zwyczaju tatarskiego rodzaj żeński osobno stołuje się, a służy do stołu mężczyznom, jakoby panom swoim.

Wyśmienite! magni saporis[7]) kołduny! Odjeść się, odchwalić nie mogłem, a gospodarz prośbą i przykładem zachęcał. Jakoż misa się wypróżniła i popiliśmy dla konkokcji[8]) wódeczką.

Wstawszy od stołu, podziękowałem Bogu po swojemu (pan major jakby tego nie widział), potem i jemu samemu, a po takim bankiecie niedługo czekając, poszliśmy obaj spać do

[1]) t. j. zubożeje.
[2]) Święto u muzułman.
[3]) Dawszy mu kije na odprawę.
[4]) Rozmowie.
[5]) Uderzywszy się w piersi (rodzaj zaklęcia).
[6]) Okrągłą.
[7]) Wspaniałej woni.
[8]) Strawności.

odryny[1]), i już słońce dobrze za południe przeszło, gdyśmy się ze smacznego spoczynku obudzili.

— No, teraz, księżulu, dam ci barana pięknego na pierwszą znajomość.

— A więc tu na Łostajach nie widzieliście maruderów francuskich, kiedy jeszcze są barany?

— Oho! jakto? tak blisko traktu żyjemy, a więc zawitali oni i do nas. Doczekałem się w Witołdówce dawnych znajomych, bo poznałem się z Francuzami na przeszłych wojnach. Ale przyjęliśmy tu ich po tatarsku i po żołniersku. Trafiła kosa na kamień, to jest trafiły karabiny i bagnety na dubeltówki, pałasze i pistolety. Widzieliśmy już z sąsiedztwa, co dokazują ci nieproszeni goście; codzień więc byliśmy gotowi na przyjęcie. Gdy się nakoniec pokazali, wystąpiliśmy wszyscy w mundurach naszych oficerskich. Było ich kilkudziesięciu, ale i nas było ze trzydziestu! w odwodzie zaś ukryłem w życie drugie tyle chłopków, z czem kto miał: z fuzją, z siekierą, choćby z dobrym kijem.

Szli rabusie długim obozem. Kilkanaście fur ciągnęło wśród nich z narabowanemi rzeczami i z ich cielęcinkami. Gdy weszli w ulicę, spostrzegli nas na dziedzińcu, zastanowili się. Patrzyliśmy na siebie zdaleka. Oni się naradzali, a my nie ruszaliśmy się z miejsca, czekając, aż z całym taborem wejdą w ciasną tę, co widzisz, wygrodzoną ulicę i pominą moją zasadzkę w życie, za płotem ukrytą. Po naradzie nabili broń i kupno ruszyli ku nam.

Wzajemnie zakomenderowałem: — Dubeltówki z ramienia! — i maszerowałem ku nim.

— Russ? — zawołali, podnosząc karabiny.

— Tatar! — odpowiedziałem, podnosząc dubeltówki, a pałasze gołe wisiały u nas na temblakach na rękach.

Opuścili karabiny, patrząc to na siebie, to na nas. My natenczas, nie dając czasu do opamiętania się, fuzję na plecy, pistolety z za pasa i hajże ku nim! Razem gwiznąłem przeraźliwie, rezerwa moja wypadła z krzykiem z za płotu. Nie było im czasu do karabinów, albo do nasadzenia bagnetów, bo każdy prawie miał pistolet u piersi. Wrzasnąłem więc: — Pardon! albo kaput, a gdyby który palcem tylko kiwnął, kula byłaby mu w sercu... Przerażeni, w mgnieniu oka pardonowali się[2]) i batalja wygrana. Zabraliśmy cały obóz i broń, i samych rycerzy dostawiłem do Oszmiany. Rabowane rzeczy porozbierali sąsiedzi, każdy swoje. Było i potem jeszcze kilka

[1]) Szopa na siano.
[2]) t. j. poddali się.

harców, z których zawsze zwycięsko wyszliśmy. W jednym z nich moją damascenką uciąłem dwa bagnety, jakby świeczki łojowe, co niezmiernie zadziwiło Francuzów. Nakoniec zaniechali nas, co dla obu stron szczęśliwie, i dla waści, księżulu, bo ci barana dać mogę.

Jakoż i dał.

— A pokaż-no, dobrodzieju — rzekłem, wróciwszy do izby, gdy nam panna Ajesza kawę podała — ową damascenkę, którą bagnety jak świeczki rozcinasz.

— Skądże to Bernardynowi sympatja do pałasza?

— Aj, bo go niegdyś, jako szlachcic, przy boku nosiłem.

— Oto go masz — rzekł, zdejmując z kółka i obnażając z pochwy. — To moja sukcesja po ojcu, generale Bielaku. Wart być obok łuku Kara Mirzy, bo był w ręku nieodrodzonego odeń potomka.

— Prawda — rzekłem — klinga prawdziwa turecka, ale osada i furdyment[1]) nasz.

— Tak, bracie! — odpowiedział Amurat — takie pałasze nosim przy boku i sami takimi jesteśmy. Rozumiesz?

Patrzałem mu w oczy, które się nagle zapłomieniły i rzekł dobitnie:

— Tak! Tatarskie prawe i ogniste serce — to klinga. Szlachecka mowa i głowa — furdyment!

Wtem Mołna zaryczał na meczecie; pan Amurat szedł na modlitwę: i pożegnaliśmy się ad felix videndum[2])!

Ignacy Chodźko.

109. Bitwa Racławicka.

Zaparskały wszystkie konie,
Zabrzękły pałasze;
Maszeruje oplotkami
Polskie wojsko nasze!

Maszeruje, nie żartuje...
Kraj, jak malowany,
Idą nasi, w trąbki grają,
Biją w tarabany.

Oplotkami, szeregami
Konnica, piechota;
Małe dzieci zadziwione
Patrzały z za płota;

[1]) Rękojeść.

[2]) Do szczęśliwego zobaczenia.

Powłaziły na gałęzie,
W te zielone gąszcze,
I na wierzbach i topolach
Siedziały, jak chrząszcze.

Tyle naszych idzie, jedzie,
Jak gościniec długi;
Lecz Kościuszki nie poznali,
Bo był, jak i drugi.

A ci ludzie, co poznali,
To mówili sobie:
Że też taka wielka dusza
W tak małej osobie.

Kołem, kołem, ponad siołem
Krąży sokół siwy;
Pochował się przed sokołem
Wszelki ptaszek żywy.

Wyciągnięty już rozpięty,
To skrzydłami wzruszy...
Popatrzał się nasz Kościuszko:
Niema żywej duszy.

„Chociaż niema żywej duszy,
Ani żadnej trwogi,
Sprowadźcież mi przewodnika,
Co zna wszelkie drogi.

Trza mi człeka nie zdaleka,
A z tej samej wioski,
By prowadził, a nie zdradził
Ten naród krakowski".

Więc się skłonił przed Kościuszką
Wójt, gospodarz setny[1]),
Z pod kościoła sprowadzony
Staruszek stuletny.

Ten, choć oczy dawno stradał
W okrutnym pożarze,
Gdzie co leży, jak należy,
Dokładnie pokaże.

Krzywym wężem się podpiera,
Ręką na wiatr maca
I przez ścieżki nieznajome
Drogę sobie skraca.

[1]) Dzielny, wybrany, jeden z wielu.

„Jużem dawno słyszał o tem —
Rzekł, ściągnąwszy ręką —
Żeście, ojcze, pokarali
Moskwę pod Dubienką.

A wpierw jeszcze powiadali,
Jak to po zwyczaju,
Żeście kędyś wojowali
Aż w murzyńskim kraju.

Że wam pereł uryjańskich[1])
W podarunku dano,
Jakby grochu łuszczonego
Węborek[2]) w kolano.

I że za te perły drogie,
W morzu wyzbierane,
Przyjechaliście wykupić
Ojczyznę kochaną".

A Kościuszko z wdzięcznym śmiechem:
„Serdeczny ojczulu,
Gdybyć można garścią pereł
Ująć Polsce bólu"...

„Prawda, prawda, Naczelniku,
Na mój rozum kmiecy,
Kto chce na chleb zapracować,
Musi zgarbić plecy.

Niechże tedy Bóg pomaga
I Matka Gidelska,
W polskiej roli wyorana
Królowa anielska;

Niechże tedy..." — i przycichnął
Starzec siwowłosy.
Wbił kolano w grządką ziemię,
Ręce wzniósł w niebiosy;

I na oczy pociemniałe,
Co nie widzą słońca,
Na te smutne oczy białe
Wyszła łza gorąca...

Dwu ramiony podniesiony,
Jakby skrzydły dwiema,
Zdał się białym orłem polskim,
Co dziś mocy nie ma.

[1]) Prawdziwych.
[2]) Rodzaj beczułki, sądek.

I przygarniał pożółkłemi
Dłońmi wietrzyk polny
I brzęk szabli narodowej,
I głos pieśni wolnej.

Madaliński i Kościuszko,
Piechota, ułani
Stali nawpół rozrzewnieni,
Nawpół zadumani.

„Dziadku, dziadku, wstańcie z ziemi!"
Lecz starzec nie wstaje,
Tylko ręką na powietrze
Nieme znaki daje.

„Idźcie, idźcie prostą drogą,
Idzie z wami taki,
Co z rozkazu Matki Bożej
Prowadzi Polaki.

Idzie, idzie po powietrzu,
Ziemi nie dotyka...
A mnie dajcie ucałować
Ręce Naczelnika"...

. . . . . .

I odwiedli na bok dziada.
Dziatwa na koń siada;
Mgła w dolinach się rozrzedza,
Opada, opada.

A z pode mgły rozpędzonej,
Jakby skrzydłem ptaszem,
Kraj szeroko się wynurza
Siwem polem naszem:

Krzemienisty, kamienisty,
Pełen traw i wzgórzy;
Przecinany, poszarpany,
Jak po wielkiej burzy.

A gdzie niegdzie w ciszy złotej,
Której nic nie budzi,
Stoją brzozy, jak sieroty,
Po odejściu ludzi.

Mgła opada po nizinach,
Leci za kraj świata.
Anioł Boży z dolin, wzgórzy
Siwe mgły zamiata.

T. Lenartowicz

110. Ostatnia nobilitacja.

Było to w kwietniu 1794 r., w śliczny dzień wiosenny. Rozświegotały się skowronki, a trawa rozzieleniała pod promieniami słońca w szmaragdową barwę, białe chmurki pędziły stadami po niebie na przywitanie białych rycerzy Kościuszki.

Chociaż to był przecudny czas do roboty, w Rzędowicach żaden pług nie wyjechał w pole, bo ten dzień był uroczystą, narodową niedzielą dla Rzędowiczan. Jakoż ruch niezwykły panował we wsi: kobiety serdecznie pomagały starościnie gotować obiad dla bohaterów, a starsi chłopcy przyrządzać ławki i stoły, ba, nawet pacholęta i dziewczątka wiejskie stawiały z gorączkowym pośpiechem triumfalną bramę z świeżo rozpęklych wiklin i wiecznie zielonej choiny, opartą z jednej strony o chałupę Bartłomieja Głowackiego, a z drugiej starego Mateusza, skrzypka, który pomimo podeszłych lat poszedł, jak powiadał, na wojnę.

Ten łuk triumfalny niezawodnie milszy był bohaterowi Racławic od murowanego łuku, jaki stawiano imperatorom rzymskim, wracającym z podbojów ludów, bo na świeżych konarach wonnej jedliny ważył się na nim anioł, najpiękniejszy z aniołów niebios, anioł wolności.

Przez tę to triumfalną bramę przeciągnęła tęgim kłusem straż przednia wojska polskiego, salutując przyjaźnie zgromadzony lud i oznajmiając szybkie Kościuszki przybycie. Przeciągnął regiment Wodzickiego, który sam z kilkoma oficerami sztabu pierwszy zawitał do dworu.

Starosta, skoro doniesiono, że Kościuszko nadjeżdża, przywdział śpiesznie kontusz i żupan swego województwa (zwykle nosił się po francusku), przypiął karabelę i, podając rękę starościnie, ubranej w grodeturową[1]) suknię po babce, rzekł uroczyście:

— Chodźmy, chodźmy, serce moje, przywitać go chlebem i solą.

Wszystko, co żyło, pośpieszyło ku bramie.

Z kościoła parafjalnego ozwały się dzwony, uderzone zamaszystą ręką organisty.

Starosta, ujrzawszy gromadę rzędowicką, zawołał:

— Chodźcie! chodźcie! Chodźmy wszyscy razem powitać naszych zwycięzców.

Na czele kosynierów w białe sukmany odzianych, jechał na siwej klaczy pan Tadeusz Kościuszko w stroju tychże

[1]) Grodetur — ciężka tkanina jedwabna.

kosynierów, w czerwonej rogatywce na głowie. Anielski miał spokój na twarzy, dziwną, rzewną łagodność w oku. Koło ust igrał mu uśmiech radości wielkiej, radości niesamolubnej, radości, jaką tylko niebianie czuć potrafią.

Potrójne: „Niech żyje!“ ozwało się po obu stronach bramy, deszcz kwiatów lunął pod kopyta siwoszki, a pan Kościuszko zsiadł z konia i, zdjąwszy czapkę, zbliżył się do starostwa, podających mu na srebrnym półmisku chleb i sól. Był to moment milczenia, moment nieopisanego uroku. Starosta ujął Kościuszkę w długi, serdeczny uścisk i płakał, jak bóbr.

Równocześnie ozwała się muzyka wiejskich skrzypków i basów. Była to niespodzianka, zgotowana przez organistę miejscowego, znakomitego wiejskiego muzyka. Oddzwoniwszy powitanie, pośpieszył zadyrygować mazurkiem „Trzeciego maja“, którego wdzięczne tony weselnie drgały nad łąką różnobarwnych głów, niby śpiew skowronka nad urodzajną glebą. A maków było coniemiara na tej łące, między któremi szafirowy kołpak starosty unosił się, jak bławat, a siwe magierki starców wydały się kłosami zboża. Rozpoczęła się wnet podwójna biesiada, we dworze i na dziedzińcu. Jak bohaterem pierwszego koła był Kościuszko, tak w drugiej rej wodził Głowacki. Był on już oficerem i nosił pałasz przy boku, pałasz, ofiarowany mu przez samego wodza, ale mimo zaprosin starosty nie mógł się namyślić, aby siąść między nowymi swymi kolegami. Przez zapomnienie skłonił się chłop-oficer do nóg pana starosty i rzekł z pokorą, pod którą przecież tkwił rodzaj dumy osobistej:

— Jaśnie Wielmożny Starosto, nie mieszać się tam chłopu między panów. A chciałbym się też nagadać ze swoimi.

Podczas gdy Bartosz używał miru między swymi, którym lud nasz tak chętnie obdarza, przy stole biesiadnym we dworze toczyły się wielkie kwestje narodowe. Kościuszko nad swój zwyczaj był rozmowny, a nawet wymowny, spokojna twarz jego błyszczała rumieńcem zapału, a natchnienie w oczach świeciło.

Wreszcie wstano od stołu, a Kościuszko, podając rękę starościnie, szepnął adjutantowi rozkaz zebrania wojska, stojącego w Rzędowicach.

Zwróciwszy się potem do patrjotycznej niewiasty, wyrzekł, całując ją w rękę:

— „Moje najserdeczniejsze podziękowanie w imieniu sprawy narodowej za szlachetną pomoc, przysłaną mi przez Głowackiego. Odebrałem cztery tysiące pięćdziesiąt dukatów.

— Cztery tysiące pięćdziesiąt? Ja posłałam tylko cztery tysiące. Rozumiem, to dar świętszy i szlachetniejszy stokroć, to dar z dymnej chaty włościańskiej, to dar Bartłomieja Głowackiego, praca kilku lat może, może kilkunastu.

Kościuszki oko zabłysło łzą.

W tej chwili ozwały się bębny pułku Wodzickiego. Wojsko ustawiło się w jedno wielkie półkole, którego boki obległa gromada rzędowicka.

W środku powiewał sztandar z orłem białym i godłem:

„Za wolność, całość i niepodległość".

Obok bagnetów pułku Wodzickiego iskrzyły się wokoło godła kosy krakusów i czerwieniały rogate ich czapki.

Oficerowie sztabowi, starostwo oboje i Naczelnik wyszli przed front wojska. Adjutant naczelnego wodza donośnym głosem wezwał Bartłomieja Głowackiego. Oficer kosynierski wystąpił pewnym krokiem przed front, nie mogąc się atoli pozbyć pewnej układności chłopa, zbliżającego się do pana.

Starosta zbliżył się do Bartosza, a złożywszy rękę przychylnie na jego ramieniu, rzekł głośno i uroczyście:

— Mój kochany Bartłomieju, dumny jestem, żeś się w mojej wsi urodził. Daję ci świadectwo, jakoś był zawsze dobrym poddanym i pracowitym a poczciwym rolnikiem, a pan Naczelnik powiedział mi, jak dzielnym czynem przyczyniłeś się do zwycięstwa. Ten czyn rycerski podniósł cię nad stan, w którym się urodziłeś, ten czyn każe mi odstąpić cię ojczyźnie: a więc ogłaszam, że odtąd jesteś wolnym człowiekiem, wolnym od wszelkich obowiązków poddańczych. Kmieca rola twoją jest odtąd, a to prawo własności i wolności przechodzi na twoje dzieci. Niech ci Bóg błogosławi, mój Bartłomieju.

Bartosz w niemej radości skłonił się do stóp starostwa. Ale starosta podniósł go, uściskał i rzekł:

— Nie tobie już czołobitność, Bartłomieju. Jesteś wolnym człowiekiem, a i na tem nie koniec. Ale teraz kolej na pana Naczelnika.

Naczelnik ozwał się w te słowa:

— Żołnierze! Widzieliście wszyscy waleczny czyn obecnego tutaj włościanina, Bartłomieja Głowackiego. Starodawny zwyczaj naszej ojczyzny nakazuje, aby odszczególniający się w boju i dobrze zasłużony Polsce ozdobiony był zaszczytem szlachectwa na znak, że szlachetnie służył krajowi; aby pieczętował się herbem, przypominającym potomkom obowiązek podobnej służby. Stosując się do tego starożytnego zwyczaju, ja, Naczelnik siły zbrojnej narodowej, najwyższą władzę w Polsce

dziś piastujący, czynię cię, Bartłomieju, wraz z potomkami twymi szlachcicem i nadaję ci herb mój własny, herb Korczak. Niech żyje nowy szlachcic polski, dzielny mój porucznik: Bartłomiej Głowacki, herbu Korczak!

Głośne: „Niech żyje!" rozległo się w powietrzu.

— A wy — mówił dalej Kościuszko — sąsiedzi i towarzysze jego, wiedzcie, że, powołani do oswobodzenia ojczyzny, macie otwartą drogę do serca tej matki, która każdemu wedle jego zasług wynagrodzi. Górą wolność, całość i niepodległość Polski!

Kosynierowie z krzykiem pogarnęli się ku Kościuszce, całując jego ręce i szaty. Bartłomiej, ocierając oczy sukmaną, chciał wodza ująć za kolana, ale Kościuszko podjął go i uściskał. Stary zaś wójt gromady odezwał się do wodza:

— Jaśnie Wielmożny Naczelniku! Niech Wam Bóg wynagrodzi, żeście nas oto uczcili w Bartoszu Głowackim. Żałujemyć, żeśmy stracili najtęższego chłopa ze wsi, aleć się wszyscy cieszymy, że on z naszej wsi i chudoby wyszedł na szlachcica.

— O ba! panie wójcie, albo myślicie, że zhardzieję! Niechże Bóg broni, żeby mnie taki djabeł opętał. Oj! nie zaprę się ja nigdy mojej chłopskiej doli, tak niech mi Pan Jezus dopomoże!...

Wieczorem Bartłomiej Głowacki siedział z żoną wśród gości dystyngowanych [1]).

Trudnoć go było nakłonić do tego, ale nareszcie ustąpił naleganiom starosty. Kościuszko, siedząc obok niego, szepnął mu z uśmiechem:

— A co! mości poruczniku, skądże to do czterech tysięcy dorosło pięćdziesiąt?

Bartłomiej zaczerwienił się, jak dziewczyna.

— Stąd, mój Bartłomieju — dodał Kościuszko — żeś był szlachcicem pierwej, nimeś nim został ogłoszony.

Józef Szujski.

111. Śmierć Kościuszki.

Tam, w Szwajcarów wolnej ziemi,
Żył Kościuszko długie lata
I obracał tęskne oczy,
Gdzie rodzinna jego chata.

[1]) Dostojniej zych.

Z Maciejowic w ranach wzięty,
Ciężką przetrwał on niewolę,
Nim, wygnaniec, poszedł we świat
Na tułactwo, na niedolę!

Aż gdy poczuł, że śmierć blisko,
Ujął w ręce miecz swój dumny
I rzekł: — Walczył w świętej sprawie,
Włóżcież ze mną go do trumny!

I na północ spojrzał rzewnie,
Twarz mu blaskiem się zajęła,
I, konając, wyrzekł z mocą:
— Jeszcze Polska nie zginęła!

Marja Konopnicka.

112. Wigilja.

Było to w przededniu wigilji Bożego Narodzenia (1777 r.), tego narodowego święta, o którem żaden Polak nie zapomina.

Pułaski ze swoim oddziałem stał naówczas w Trenton, małem miasteczku, które od Pensylwanji dzielił tylko most, rzucony przez rzekę, amerykański most owych czasów: budowa z ogromnych kloców drzewa, chwiejąca się, pełna szczerb, a mimo to przeskakująca przeszło tysiąc stóp szerokie wody.

Nadchodzące dni świąteczne podały Karolowi, adjutantowi Pułaskiego, myśl urządzenia polskiej wilji. Taił się z tem w początkach, ale naostatek musiał zwierzyć się towarzyszowi Pułaskiego, Maciejowi, bo bez jego pomocy wykonać się to nie dawało

— Panie Macieju — rzekł — mam do was prośbę, gdybyście mi trochę pomóc chcieli, zrobilibyśmy coś, spodziewam się, miłego generałowi.

— Z duszy, serca, wszak wiesz, że ja dla niego dałbym się w kawałki posiekać; tylko mów.

— Jutro wigilja Bożego Narodzenia. Ja wszystko urządzę: mam już zamówione ryby morskie, jaja żółwie. Murzyn nasz ugotuje. Będzie to piąte przez dziesiąte, ale zjemy po polsku, na sianie i przy gwiazdach... kraj nam się przypomni...

— A niech ci Bóg płaci! myśl złota... Ale skądże ty opłatka weźmiasz? Ale bez opłatka co to będzie za wilja. Niema wilji bez niego, to darmo!

Naprożno łamali głowę... zgodzono się jednak bądź co bądź zastawić wieczerzę z ryb na sianie, a w kącie snop polski...

Snop!... Miły Boże... skąd tu wziąć w Ameryce ów snop polskiego zboża? Gdzie żyto, pszenica, jęczmień, owies, wszystko, aż do lnu i tatarki?... bo w snopie na wilję nic nie powinno brakować.

A im tego wszystkiego potrzeba było, by polską macierz przypominało...

Maciej Rogowski nie śmiał się spytać, skąd się wezmą pieniądze na ucztę, wiedział bowiem, że żaden ich nie miał.

Karol miał od ojca zegarek złoty z łańcuchem, długo oszczędzał go, wahał się, żałował, ale dla wodza ukochanego możnaż było poskąpić ofiary? Poszedł i sprzedał go pocichu... Z tego grosza miała się wilja odprawić...

Szło tylko o opłatek.

Wszystko się dawało albo czemś zastąpić lub ominąć, niedostatek opłatka był niewynagrodzony... On jeden starczyłby za wszystko... on mógł być wilją całą, bez niego wieczerza na sianie tą uroczystą ucztą naszą nazwać się nie mogła.

Już Karol rozmyślał o upieczeniu opłatka, gdy dowiedział się, że w niedalekiej osadzie mieszkał ksiądz, Francuz, który tam w kapliczce mszę dla szczupłej liczby katolików odprawiał.

Karol siadł na koń, aby pobiec do księdza. Już minął ostatnie domki osadników, gdy na drodze zjechał się z obcym, widocznie podróżującym mężczyzną. Rysy jego niepiękne, ale miłe i łagodne, miały w sobie coś tak polskiego, że Karol, uderzony i strojem i twarzą, natychmiast konia powstrzymał. Podróżny siedział na koniu objuczonym i miał przewodnika. Wszystkich już w okolicy znał Karol, ten widocznie był gościem zdaleka.

Przyłożywszy rękę do czapki, podróżny odezwał się po angielsku:

— Czy znajdę w Trenton brygadjera Pułaskiego? Pan pewnie należysz do jego oddziału; lękam się, by nie był na wyprawie jakiej.

Karol po wymowie pytającego poznał w nim cudzoziemca, serce mu uderzyło do tego człowieka i sam nie wiedział, jak wyrwało mu się słowo polskie.

— A! Polak! brat! — zawołał ochoczo podróżny i obaj skoczyli z koni, aby uściskać się, jak bracia rodzeni.

— Jadę od granic Kanady — rzekł podróżny — umyślnie tu do was, do Pułaskiego, którego poznać pragnąłem. Nazywam się Tadeusz Kościuszko...

— O, słyszeliśmy już o was. Jakże generał rad wam będzie... Ja jestem adjutantem Pułaskiego, nazywam się Karol Pluta...

— Ach, nie wiesz — przerwał rozrzewniony Kościuszko — co to jest po długim poście posłyszeć mowę swoją, zobaczyć brata!...

Spotkanie w kraju najbliższego przyjaciela nie uczyniłoby na nich obu takiego wrażenia, jak to zetknięcie się niespodziane dwóch nieznajomych, ale krwią i duchem braci... Stali dosyć długo, ściskali dłonie, nie mogąc się napatrzeć sobie.

Tak owa wilja Bożego Narodzenia stała się podwójnie dniem uroczystym. Pułaski był szczęśliwy z przybycia ziomka, którego nie wiedział jak ugaszczać i przyjmować.

Całą resztę dnia tego spędzili jakby w gorączce, mówiąc o kraju, o dziejach konfederacji, o starych i nowych sprawach.

— Słuchaj, mój Rogowski — rzekł Pułaski wieczorem, odwiódłszy go na stronę — nasz święty ojcowski obyczaj gościa pobożnie przyjmować... a jeszcze taki gość! nasz! Polak! Sprzedaj, co chcesz, zastaw, pożycz, a trzeba, żeby wiedział, żeśmy mu radzi.

— Panie generale — rzekł Rogowski — proszę być spokojnym, ja z Karolem obmyślimy środki... jakoś to będzie... Tylko co się tyczy jutra... to post i wilja.

— Wilja! a prawda — rzekł smutnie Pułaski.

Cała noc niemal zeszła na gawędzie przerywanej i wiązanej na nowo. Rozchodzono się i, pożegnawszy, wracano znów. Mówili o Polsce, nagadać się nie mogli. Każdy z nich był rodem z innego kąta szerokiej ziemi polskiej, ale uczucia i wspomnienia ich łączyły. Kościuszko, Litwin z Brzeskiego, długo żył w Warszawie i na Mazurach, znał dwór, króla, Czartoryskich i wielu znakomitych ludzi owego wieku.

Rogowski namówił z łatwością Pułaskiego i Kościuszkę, aby się z obiadem do gwiazd wstrzymali i zmienili go zwyczajem polskim na wieczerzę. Obaj przyklasnęli tej myśli. Dzień zeszedł szybko, poszli oglądać okolicę, potem wrócili, nic nie zobaczywszy, bo mówili o Wiśle i Bugu.

Nareszcie przyszedł wieczór... Karol już tylko oczekiwał na ukazanie się gwiazd... był w gotowości.

Serce mu biło, jak swawolnemu studentowi, który zamierza spłatać figla... wbiegł do ogródka, po którym przechadzali się wodzowie, i, uśmiechając się, rzekł do Pułaskiego:

— Panie generale, wieczerza na stole.

— A! wieczerza! Tak! — podchwycił gospodarz — żartuj zdrów, co mi to za wieczerza w Ameryce. Nie polska to nasza, owa wigilja braterska, uczta święta, ale... co Bóg dał... chodźmy.

Ująwszy pod rękę Kościuszkę, zmierzał, jak zwykle, na górę. Karol wskazał mu drzwi na dole.

— To tu — rzekł.

— Tu? — spytał Pułaski. — Cóż to jest?

— Tak nam wypadło — odpowiedział Karol.

Wtem murzyn otworzył drzwi.

Salka przedstawiała widok niezwyczajny i niespodziany. Naga izba ubrała się świątecznie: ściany zawieszone były zielonemi gałęźmi cedrów, jodły i cisów, stół świecił rzęsisto, okryty białym obrusem, pod którym siana domyśleć się było można. W kącie stał ogromny snop zboża, jeśli nie gatunkiem, to formą przypominający nasze godło pracy rolniczej.

Pułaski, jak olśniony, stanął w progu, zobaczył naprzód na talerzu opłatki, odwrócił się więc do Karola i ze łzami prawie porwał go za szyję, całując.

— Poczciwy, kochany przyjacielu — zawołał rozrzewniony — chyba twe złote serce dokazać tego mogło.

Drżącą ręką chwycił opłatek i podał go pierwszemu Kościuszce.

— Gdy w Polsce rozłamiesz go kiedyś z braćmi, przypomnij mnie i Trenton — rzekł cicho.

Milczący, uroczyście, jak w świątyni, z myślą do Boga wzniesioną, łamali się tułacze chlebem życia, a myśl ich i serce biegły tam, gdzie do nich także biły piersi stęsknione rodziny, braci, przyjaciół.

Z rozweselonem czołem zasiedli do stołu. Niestety, murzyn barszczu z uszkami zrobić nie umiał, zastępowała go polewka. Inne potrawy, jeśli nie miały smaku naszych, przypominały je przynajmniej z pozoru; murzyn ów, czego nie mógł dobrze wyrozumieć, w to kładł jak najwięcej pieprzu, który w jego przekonaniu zdolny był zastąpić wszystko i omylić podniebienie. Ryby wszakże z szafranem, po żydowsku z patatami [1]) i smażone z kapustą palmową, wybornie się udały.

Biesiadnicy pozostali długo w noc przy tym stole, pito [illegible]ele, powoli, ale mówiono dużo.

[illegible]o już ktoś przypomniał obyczaj wigilji naszej wyciąga[illegible] obrusa siana; miało to podobno znaczenie, iż kto trawę wysunął, u tego najpiękniejszy len miał

Ciągnijmy więc — dodał, śmiejąc się, Pułaski — i będziemy sobie z tych roślin nowego świata prorokowali o żniwie.

[1]) Pataty — roślina amerykańska, z bulwami podziemnemi, podobnemi do kartofli.

W tem sianie amerykańskiem były, prawdę rzekłszy, przeróżne rośliny, nie wszystkie do trawiastej rodziny należące. Każdy rękę włożył pod obrus, a co pochwycił, wyciągnął i podniósł do góry.

Pułaskiemu dostał się kwiat jakiś nieznany, zeschły już, na którego łodydze parę tylko listków zielonych zostało.

Rogowski dobył kiść bardzo długą, na końcu jej grono nasionek przypominało naszą hreczkę.

Karol wyciągnął łodygę zieloną, z kwiatami jeszcze niezupełnie zwiędłemi.

A pan Tadeusz zdziwił się, znajdując uciętą młodą gałązkę o liściach laurowych.

Śmiali się wszyscy, niewiele do tego przywiązując znaczenia, a pan Pułaski rzekł:

— Wam laury, panie Tadeuszu! Daj Bóg, byś je zbierał. Mnie się dostało coś zeschłego, czarnego, jak ja... i bez życia... taką może pamięć zostawię po sobie...

Wstali wszyscy.

Jeszcze raz ścisnęły się dłonie, ucałowały usta, i każdy poszedł nie zasnąć, ale myślą poleciał ku domowi.

J. I. Kraszewski.

113. Pan porucznik Mohort.

Nie tyle grozą, jak raczej dozorem
Stała chorągiew, bo Mohort był wzorem
Wojskowej służby, i kto pod nim służył,
Służbę pokochał i nią się nie nużył
I mimo wiedzy nabierał spokoju,
Powagi, hartu i serca do boju.
Lubił odwagę w towarzystwie naszem,
Lubił i zręczność i dzielność na koniu;
Ale broń Boże, brzęknąć tam pałaszem
Lub dla pustoty harcować po błoniu,
Zawsze ukarał za takie junactwo.
To się też strzegło i wybryków bractwo.

W samych początkach nie wiedziałem o tem
I nabawiłem się trochę kłopotem:
Nad brzegiem Dniepru leżały tam kłody,
Kiedy chorągiew z końmi szła do wody,

Chętka mnie wzięła, ano czy koń skoczy,
I nuż harcować przez kłody i łodzie,
A w towarzystwie rozległ się ochoczy
Okrzyk, a Mohort spuszczał się ku wodzie
Z góry wąwozem; ja go nie dojrzałem,
Ale, jak zwykle, w towarzystwie całem
Chciano koniecznie, bym wpadł w samołówkę
I, jak nowicjusz, opłacił frycówkę.
Więc nikt nie ostrzegł, że porucznik jedzie,
Aż sam już krzyknął: — Będzie tego! będzie!
A jakiż junak! jaki rycerz srogi!
Ot z pozwoleniem... Ot powiem ja waści:
Niewielka sprawa, że szkapa ma nogi,
Kto chce być dzielnym, niechaj sobą płaci!
A gdy się stawisz do skoku ochoczym,
To dla junaków są tu inne skoki;
Kłody wysokie, a Dniepr niewysoki,
Więc proszę za mną: na tamten brzeg skoczym

I puścił konia, koń był dzielny, śmiały...
Spłynął... a płynie, że widno grzbiet cały.
Zrazu pół biedy, lecz gdy w środku rzeki
Przed się spojrzałem, a tu brzeg daleki,
A woda zniosła, a strach mnie opłynął,
To byłbym może wówczas tam i zginął.

Ale mój Mohort jak na szpaka bryźnie,
Jak mnie nie poprze swoim koniem z boku,
Jak nie pochwyci, to już w jednym skoku
Wyrwany z toni stałem na mieliźnie.

Wir nie szeroki, lecz był bardzo rwący,
Dalej nie było koniom, jak do brzucha,
„A co?“, powiada, „a gdzieś podział zucha?
Kipi Dniepr, bratku, chociaż nie gorący“!
Ale z powrotem to już czajka w biegu
Zniosła nas lekko do drugiego brzegu.

W. Pol.

114. Mniemany upiór.

Miałem siostrę, rokiem starszą ode mnie. Jadwiga jej było na imię, i było nas tylko dwoje u ojca. Matka nasza, Zakliczanka z domu, a wdowa po Godlewskim, jeszcze w Sando-

mierskiem umarła; nie pamiętam jej, grobu jej nawet nie widziałem na oczy, bo zgruntu zniszczony i ślad jego zatarty został podczas wojen konfederackich. Moja siostra chowała się pod opieką krewnej naszej, starej panny Barszczewskiej, która, o ile pamiętam, zawsze w pomidorowym chodziła robronie[1]), żółtą chusteczką podwiązywała brodę, czytywała francuskie książki, zażywała tabakę St. Omer z blaszanej, na czerwono lakierowanej tabakierki, ze starym Gumowskim grywała w marjasza i wiecznie czarnego kota, z czerwoną wstążeczką i dzwoneczkiem na szyi, pieściła na swoich rękach. Panna Barszczewska wielkie miała zachowanie u mego ojca, a Boże, uchowaj tego, ktoby jej był w czemkolwiek dokuczył, nigdyby mu był ojciec tego płazem nie puścił, mówiąc:

— Ubogą jest sierotą i starą panną: całem szczęściem jej życia jest spokój, a kto jej i tę jedyną osłodę zamąca, ten ciężko grzeszy przed Panem Bogiem.

Otóż raz w jesieni po owej mojej siedmioletniej nauce tak się zdarzyło, że ks. Dutkiewicz, który pomimo swego wystąpienia z zakonu jeszcze zawsze rad z Jezuitami utrzymywał relację[2]), wyprosiwszy się u mego ojca, wyjechał był na kilka tygodni do Nowego Sącza, gdzie się klasztor tego zakonu znajdował. Ja nie chciałem sam spać w moim pokoju, bo, chociaż wcale nie byłem bojaźliwy, jednak ile do samotności nieprzyzwyczajonemu chłopięciu, markotno mi było. Mój ojciec zrazu nie chciał pozwolić na to, abym się gdzie indziej przenosił, rozkazując, abym się już zmłodu przyzwyczajał do tego, co mnie w wieku późniejszym przyjdzie nieraz praktykować z potrzeby; zreflektował się jednak za chwilę i przez wzgląd na to, że mógłbym zachorować w nocy, pozwolił, abym się przeniósł do pokoju, graniczącego z jednej strony o salę, z drugiej zaś o sypialnię panny Barszczewskiej.

W kilka dni po wyjeździe mojego mentora nadszedł dzień ważny dla panny Barszczewskiej, et quidem[3]) wigilja śmierci niegdyś jej konkurenta, oficera czy towarzysza chorągwi husarskiej. W dniu tym zwykła ona była spowiadać się, przyjmować Przenajświętszy Sakrament, cały dzień suszyć, a wieczorem do godziny dwunastej czytać modlitwy za umarłych, a to z tej przyczyny. Kiedy była młoda i mieszkała gdzieś na głębokiem Podolu, starał się o nią ów towarzysz, lecz nadaremnie; wszystkie jego usiłowania rozbijały się o niewzruszone serce tej panny i nie wzbudzały w niej ani nawet

[1]) Robron — suknia kobieca.
[2]) Stosunek.
[3]) A mianowicie (łac.)

litości. Husarz desperował, jakby za rajem utraconym, a kiedy mu się przy owem opędzaniu granic, dla którego stał tam na konsystencji[1]), trafiło przyjść do potyczki, rzucił się z takim ferworem[2]) na nieprzyjaciela, że rozsiekany został odrazu. Wieść o desperackiej śmierci husarza tak głęboko dotknęła pannę Barszczewską, że nie miała ani chwili pogody w duszy, a kiedy zaraz w pierwszą rocznicę o samej północy tenże sam husarz ze skrzydłami i kopją pokazał się w jej sypialni, to jej strach i niepokój nie miały już granic. Poczęła więc dawać na msze święte za jego duszę, na jego grobie kazała ciężki monument wystawić, grób święcić, i Bóg nie wie co jeszcze, ale nic nie pomagało; husarz jawił się przez lat kilka o samej północy. Aż, przyjechawszy, brat jej, który z żołnierza stał się misjonarzem i sławnym kaznodzieją, doradził, ażeby odtąd w każdą rocznicę śmierci owego husarza, dawszy na mszę świętą, sama dzień cały na spowiedzi, modlitwie i suchotach, a wieczorne godziny na modlitwie za umarłych trawiła; dopiero duch przestał się pokazywać.

Od owego czasu minęło lat już pewnie trzydzieści, a chociaż husarz już się nie jawił, jednak panna Barszczewska zawsze rozkaz swojego brata wypełniała sumiennie i utrzymywała, że, gdyby jej się jeszcze raz duch ów pojawił, toby zaraz umarła.

Strawiwszy tedy dzień cały na modlitwie i z suchotami, wieczorem, kiedy miała zasiadać do czytania modlitwy za umarłych, kotka swojego, aby jej nie przeszkadzał, mnie oddała w opiekę.

Panna Barszczewska była to bardzo dobra osoba, ale że była gderliwa i we wszystko się wścibić lubiąca, nie miała jakoś wiele u nikogo afektu. Ja, Panie mi odpuść, nie lubiłem jej także, a Hawryłko, że za swoje swawole zawsze był od niej karcony, od serca jej nienawidził. Chcąc się tedy pomścić na niej, ladaco wmówił we mnie, że to nieprawda, że ona się tak boi owego ducha, że to tylko tak z kaprysu udaje i że trzeba się o tem przekonać. Poddał mi tedy, ażebym owego kotka zaraz z północy, jak tylko panna Barszczewska światła pogasi, wypuścił z pod kołdry do jej pokoju. Ażeby kotek mógł snadniej husarza udawać, podjął się sam Hawryłko obuć go na wszystkie cztery łapki w buty, porobione z łupek włoskich orzechów.

I tak się też stało. Kiedy panna Barszczewska siedziała przy stoliku i przy olejnym kagańcu, który ubywaniem oleju zwykle pokazywał godziny, odczytywała swoje pacierze, to

[1]) Miejsce postoju, kwatera.
[2]) Zapałem.

kotek, obuty w łupki z orzechów, na smole mu do wszystkich czterech łapek poprzylepiane, spał już w mojem łóżku, a skoro tylko zagasł kaganiec i panna Barszczewska układła się na swojem wysokiem łóżku, zielonym pawilonem okrytem, tedy zaraz wypuściłem kotka z pod kołdry.

Cisza była, jak w grobie... z lewego skrzydła tylko dochodziły głuche, charczące tony mojego ojca, który tak chrapał głośno i w tem chrapaniu tak przeróżne tony wydobywał z gęby i nosa, że się wyraźnie zdawało słyszeć jakąś wdali na rozstrojonych instrumentach i piszczałkach grającą kapelę; z prawego boku dochodziły mnie tylko westchnienia panny Barszczewskiej, częstem zażywaniem St. Omeru przerywane.

W takiej więc ciszy i ciemni kotek, wypuszczony na ziemię i pukający swemi butami, a nie wiedzący sam, co się z nim dzieje, zrazu powoli, potem zaś coraz prędzej począł biec do pokoju swej pani. Panna Barszczewska, mając głowę nabitą owym duchem husarskim i nasłuchująca tylko, zali się już gdzie z kąta nie jawi, skoro usłyszała to niezwyczajne pukanie z podźwiękiem dzwoneczka zmieszane, była pewna, że husarz, i, przelękłszy się srodze, wykrzyknęła na całą gębę. Na ten krzyk śmiech mnie porwał pusty, że aż głowę schowałem pod kołdrę; służebne w antykamerze [1]) także go dosłyszały, ale, będąc uprzedzone przez zdrajcę Hawryłka, że to kotek tak straszy, chichotały się między sobą, radując się swawolą, wypłataną gderliwej pani. Jednak krzyk ten nie tylko nie ustawał, ale coraz bardziej się wzmagał, że aż w chrypliwe tony przechodził, bo czworonożny husarzyk, będąc przyzwyczajony do sypiania ze swą panią, całe po husarsku nacierał, usiłując koniecznie wskoczyć na łóżko, co mu się wszakże w żaden sposób udać nie mogło, bo ile, że nie mogąc się dobrze zaczepić, nie mógł też i dobrze podskoczyć, pukając tylko za każdym razem o krawędź łóżka i po kitajkowym pawilonie [2]) napowrót się zesuwając. Nareszcie panna Barszczewska szamotnęła się mocno i zakrzyknęła tak gwałtownie, że aż moja siostra się obudziła, która, będąc przekonaną, że duch husarski przyszedł straszyć swoją nielitościwą oblubienicę, przytuliła się do ściany, drżąc cała od trwogi.

Służebne, także nakoniec myśląc, że udany husarz nie byłby w stanie tak dobrze straszyć, otworzyły drzwi od antykamery, ale, bojąc się wejść do ciemnego pokoju, cofnęły się nazad. Aż ojciec mój, zawiadomiony przez franta Hawryłka, przybiegł

[1]) Antykamera — przedpokój.
[2]) Pawilon — firanka.

z gołym pałaszem w jednej, a z poświęcanym stoczkiem w drugiej ręce.

— Panno Agato! co to jest?! — zawołał mój ojciec.

Ale panna Agata nic nie odpowiada.

— Jadwisiu, co się tu stało?

— Ja nie wiem — odpowiedziała siostra moja.

Wtedy ojciec, przyświeciwszy sobie stoczkiem, odsunął firanki pawilonu. Kotek leżał przytulony do poduszki, a panna Barszczewska bez duszy. W samej rzeczy pokazało się, że ta pobożna i lękliwa niewiasta, pewną będąc, że znajomy jej duch zagrobowy taki szturm przypuścił do jej pawilonu, apopleksją została tknięta i Bogu duszę oddała.

Na drugi dzień zaraz cała zdrada nasza wyszła na wierzch, jak oliwa. Sąd Boży zrobił się w Bóbrce, osobliwie też na Hawryłka krzyk wielki, rózgami go ociąć, zabić, wypędzić. Jednak przez rozum i zastanowienie mojego ojca jakoś się ten bunt dworski uśmierzył, a wszystko skończyło się na tem, że Hawryłkowi pięćdziesiąt bockowskich odliczono na progu, przy której to egzekucji i ja musiałem być przytomny.

Więc kiedy tak lecą na nieboraka owe bizuny, a on woła wniebogłosy i przysięga, na czem świat stoi, że już drugi raz do niczego podobnego mnie namawiać nie będzie, żal mi się go zrobiło i, chociaż widziałem ojca chmurnego i wiedziałem, że wtedy trzeba od niego zdaleka, przystąpiłem i rzekłem:

— Daruj mu, ojcze!

— Poczekajno, wasze! — krzyknie ojciec na mnie — będziesz prosił za sobą.

To rzekłszy, wziął mnie za rękę i, wyczekawszy, aż dyspozytor, plagi liczący, po łacinie quinquaginta [1]) wymówił, rzecze znowu:

— Teraz my pogadamy ze sobą.

Nie mogłem przypuścić tego, ażeby i mnie tymże samym sposobem, co Hawryłka, karano, bo już mnie się jakieś różne filantropje [2]) roiły po głowie, ale że to kto z chłopem pije, ten też z nim pod płotem leży, więc i moja filantropja na nic się przydać nie mogła. I zaprowadził mnie ojciec do swojej sypialni, a rozkazawszy mi rozścielić kilimek i położyć się na nim, pomimo moich łez i zaklęć, takich mnie piętnaście dyscyplin odliczył, że ich do samej śmierci nie zapomnę. Wstawszy i ucałowawszy ojcowskie ręce za taką troskliwość o mnie, stanąłem przy łóżku, a on rzekł:

[1]) = 50.
[2]) Tu: litość, miłosierdzie.

— Hawryłko pójdzie paść trzodę, tak jako ją pasał dawniej, bo jak się pokazuje, nigdy nie warto chłopa smarować miodem, a waszeć, kiedy nie umiesz szanować tego dobrodziejstwa, że ci się nie daje cudzych kątów wycierać i o najętym wikcie żyć w szkołach, jak tylko ks. Dutkiewicz powróci, do szkół pojedziesz do Lwowa. Niech ci tam mieszczańscy synkowie skóry nagarbują potrochę, pewno ci to prędzej rozumu napędzi do głowy, niż wszystkie moje i księdza doktora perswazje.

Przeciwko takiemu dekretowi już żadnej apelacji nie było; a luboć Hawryłko, zabrawszy swoje bizuny, zaraz nazajutrz na wieczne czasy umknął z Bóbrki i, jako się później dowiedziałem, podobno z czartami wdawszy się w pakta, na niemałego pana się wykierował, jednak ja już we trzy tygodnie po owych dyscyplinach wraz z ks. Dutkiewiczem siedziałem na wozie i byłem wieziony do szkół jezuickich do Lwowa.

Z. Kaczkowski.

115. Husarze.

Szły te mary, z przeszłości wywołane duchem,
Jak żórawie, płynące w mglistym nieboskłonie:
Jadą cali w żelazie i w żelazie konie,
Zbrojni kopją, koncerzem, tarczą i obuchem.

Na ramionach ich skrzydła szeleszczą z podmuchem
Wiatru, w hełmy stalowe zakute ich skronie,
Na sztandarze przed nimi imię Marji płonie...
„Boga Rodzico“... płynie wdal po polu głuchem.

Tętent kopyt, schylają się na końskie karki;
Kopii las się pochylił: Turka czy Tatara
Lecą roznieść... W żelazię pierś, a w skrzydłach barki.

„Święta Boga Rodzico“... Ziemia drży i tętni,
Grzmi żelazo. — „Niech żyje ojczyzna i wiara!“
Lecą, pędzą, jak burza, czyści, wielcy, smętni.

J. Żuławski.

116. Savannah.

Obozem hufce stanęły na błoniach
Spocząć. Pułaski poglądał na morze;
Złote się gwiazdy migotały w toniach
I rubinowe kąpało się zorze;

Fala za falą wstawała z zwierciadła
I szła i do nóg wodzowi się kładła.

Koń jego trawę pasł nad morskim brzegiem
I strzemionami dzwonił, idąc błonią:
Tak mu bywało, gdy stawał noclegiem
W Polsce; po siołach na pacierze dzwonią,
A z pól wracali do chat robotnicy
Na sen, pod skrzydła Maryi Dziewicy.

We dworach ołów topiono w kominach
Lub spisywano gwałtów protestacje;
Matki w ukryciu płakały po synach,
Co poszli ginąć za konfederację.
Na przyzbach dumy śpiewali kozacy.
Po lipach na noc zasiadali ptacy.

Czy wy od Polski, fale? Czy wam znany
Dniepr i zielone ponad Wisłą pola?...
Ósmy rok zdala od ziemi kochanej
Po obcych błoniach goni go niedola,
A jeśli spocznie, jak żóraw na straży,
Za Polską wodzi oczyma — lub marzy.

Mógł on na Moskwę Częstochowę zwalić,
I paść, jak Samson, pod gruzem kościoła,
Lecz wolał Polsce palladjum[1]) ocalić;
Poszedł i czekał, aż go znów powoła...
I ofiarował Bogu dumną sławę,
Obcej wolności bronić wsiadł na nawę.

Jeden z nim tylko druh konfederacki
Poszedł za morza na wspomnienia smętne.
Na bojach żywot leci mu tułacki;
Szkaplerz położył na serce namiętne,
A w ręku szabla, grom na wrogów głowy,
Szabla z Najświętszą Panną z Częstochowy.

I pozostały mu dotąd z pól carskich:
Ten sam wzrok orli, ten sam duch marsowy,
Z któremi padał na służalców carskich
Lub stał na murach świętej Częstochowy;
Blask mu na czole bije od oręża,
A kędy oręż obróci — zwycięża.

[1]) Świętość, chroniąca od nieszczęść.

I krwią przed Nowym opisał się Światem,
Jak stawa Polak za zgnębionych zdrowie!
Toż bohaterskim nazwali go bratem
Amerykańskich pokoleń wodzowie.
Na dumę świata szlachetną miał duszę,
A pod laurami krył serca katusze.

Ty jedna, święta Rodzicielko Boża,
Znałaś to serce wielkie — skołatane!
Tobie on tylko, jasna Gwiazdo morza,
Każdą śmiertelną pokazywał ranę.
Skrzydłem Ty orlem byłaś jemu w bitwie,
A prowadziłaś przed Boga w modlitwie.

O, ucisz, Panno, to serce spokojem,
Miłości jego daj rzeźwiącą wiarę!
Na morskim brzegu usnął wódz przed bojem,
Po niebie cicho szły obłoki szare,
Duch jego smętny odmawiał różaniec,
Gwiazdy szły, gasnąc, na zachodni kraniec...

Już świt. Już wrzasły trąby ostre głosy,
Słońce wnet błysło na morze i błonia;
Pułaski szablę otarł z rannej rosy,
Przeżegnał piersi i wskoczył na konia;
Mgła się po ziemi rozścieliła ranna,
Wódz pomknął, za nim grzmiało: „Na Savannah!"

Niegdyś mu grzmiała pieśń konfederacka,
Orły mu siwe wskazywały drogi,
Kiedy na wrogów rankiem szedł znienacka,
Wpadał na działa i siekł co do nogi.
Takiej tu pieśni nikt mu nie zanuci;
Orły czekają w Polsce — czy nie wróci?

Smutny więc jechał i do towarzysza
Mówił o swoim zgubionym szkaplerzu:
„Wkrótce, mój bracie, będzie w sercu cisza
I drobna prochu garść po twym Kaźmierzu;
Zły znak! Duch czuje drogę, bracie miły!
Jam się spodziewał w ojczyźnie mogiły.

„Na naszych błoniach mijały mię groty;
Nie było dane dłoni mej kraj zbawić!...
Inny się zjawi jakiś anioł złoty
W rycerskiej piersi, by ten ród naprawić.
Nieszczęście wielkie — wielkich dusz kołyską;
Kto wie — ten anioł może jest już blisko."

„Bez sakramentów zginę!... Bądź Twa wola!"
Rzekł, a Savannah już mu widne zdali;
Czwałem więc z jazdą kopnął się na pola,
Kędy Anglicy szeregami stali,
I usypaną reduty ze szańców
Siały kartaczów gradem na powstańców.

I w porę przypadł, bo pod jego wzrokiem
Wrzała już bitwa zacięta wśród łanów.
Już szli Anglicy wyciągniętym krokiem
Z bagnetem w ręku na Amerykanów;
Wnet jedna chwila los bitwy przeważy...
A jemu zapał zajaśniał na twarzy.

„Naprzód!" — i w dwieście poskoczyli koni,
Za bohaterem lecieli na działa;
Wiatr ich zaledwie dościgał na błoni.
Szable migały w słońcu — ziemia drżała,
I przełamali Anglików dwa fronty,
A wtem błysnęły na okopach lonty.

Zagrzmiało... „Jezus Maryja" wódz krzyknął,
I padł — zwycięzca padł na polu chwały
I skonał śmiercią, do której przywyknął,
I leżał z szablą swą, jak posąg biały,
I Bóg mu rozlał na obliczu ciszę...
Wkoło płakali druh i towarzysze.

I usypali mu grób pod Savannah
I krzyż na grobie zatknęli brzozowy.
Niech cię przed Boga wiedzie Święta Panna
Tak, jak ty w taniec wodziłeś bojowy!
A módl się za nas, niech nam Bóg obudzi
Takiego, jak ty, pośród wiernych ludzi!

M. Romanowski.

117. Uroczystość weselna.

W roku 1780 książę Radziwiłł, wojewoda wileński, wyprawiał w Białej wesele przyrodniej swej siostrze, idącej za mąż, za młodego Massalskiego, synowca biskupa wileńskiego. Zjazd był niezmierny.

Przybył też i hetman Ogiński i wielu litewskich panów. Oddawna obronny zamek bielski podobnego zjazdu nie widział. Lubo pośledniejszy od Nieświeża, w bogatych sprzętach i ozdobach przedstawiał przecież dawny przepych polski. Sale ob-

szerne, jak stodoły, ozdobione portretami familji Radziwiłłowskiej. Bogaty gabinet, w którym wszystkie ściany, posadzka i sufit były ze zwierciadeł. Zamek otoczony wałem, przekopem, z obronną bramą, z której boku były więzienia; panowie bowiem sami sądzili sługi i włościan swoich, a nieraz i ubogą szlachtę.

Na uroczystość weselną sprowadził wojewoda trzy tysiące nadwornego wojska.

Długie były z biskupem spory około intercyzy[1]). Dom Radziwiłłowski miał swoją osobną pragmatykę[2]), mocą której kobiety domu tego nie miały więcej posagu, jak dwadzieścia tysięcy złotych polskich. Biskup Massalski domagał się więcej; hojny, lecz uparty Radziwiłł obstawał przy prawach i zwyczajach familji. Nikt nie chciał ustąpić. Schodziły dni, nakoniec książę wojewoda wyznaczył godzinę ślubu.

Ubieranie panny młodej odprawiało się publicznie; fryzował perukarz, na kilka pięter wynosząc tupet[3]), na nim pukle, z których dwa, wijąc się z góry, spadały aż na piersi. Ileż gaz, blondyn, koronek! Panny, będące na respekcie, stały wokoło, trzymając nalewki[4]), miednice, haftowane tureckie ręczniki i części ubiorów żeńskich; my, kawalerowie, staliśmy zdaleka i patrzyliśmy na te obrzędy.

Księżniczka oblubienica nie była ładna, lecz słodka i uprzejma. Cóż powiem o mężu jej, Massalskim? Nikczemna, drobna, słabowita figurka, tyle tylko mająca rozpoznania, że się od zwierzęcia różniła; był w niej nawet dobry zapas warjacji, raczej śmiesznej, niż szkodliwej, długoby było wyliczać...

Massalski, powróciwszy z zagranicy, udał się do dóbr swoich, Olekszyc, jeżeli się nie mylę. W kilka dni urzędnicy powiatowi przyjechali, jak się mówiło wówczas, z rekognicją[5]) do księcia pana. Cóż robi książę pan? Wylatuje tyłem domu, uchodzi po drabinie, aż na szczyt drapiąc się, i tam, tlejący węgiel wziąwszy w zęby, iskrzy nim na stojących gości na dole. „A to afrykańska małpa!", rzekł pisarz Szwejkowski, „niema tu co robić". I odjechał.

Massalski był szefem, jakem już wspomniał, maleńkiego pułku. Osobliwe miał on wyobrażenie o służbie wojskowej; rozumiał, że każdy wyższego stopnia mógł żołnierza niższego stopnia bić kijem, i tak: porucznik chorążego, kapitan porucznika swego, a książę Czartoryski, dowódca całego wojska litewskiego, i jego kijem wytrzepać. Na tych zasadach wsparty, rozgniewawszy się raz na pułkownika swego, Belcourt'a, brał się już na niego do kija, gdy obrażony Francuz, porwawszy go za piersi i z łatwością podnosząc do góry, zawołał: „Voulez-vous, mon prince, que je vous jette par la fenêtre?"[1]). I już go niósł do okna, ale nędzne stworzenie zaczęło przepraszać, i skończyło się na tem.

[1]) Umowa przedślubna.
[2]) Zwyczaj prawny.
[3]) Peruczka, przykrywająca część głowy.
[4]) Dżbanki.
[5]) Z przedstawieniem się, z przypomnieniem się.

Nie skończyłbym, gdybym wszystkie szały biedaka chciał wyliczać; wracam tedy do wesela.

Gdy się gotowalnia księżniczki skończyła i już w wielkiej sali zebrani czekali, by do kościoła wyjeżdżać, nie zjawiał się chudy, maleńki pan młody. Zaczęto go wszędzie szukać, obleciano cały zamek, znaleziono go nakoniec w małej izdebce służącego, ubranego już do ślubu, w białej, lamowanej srebrem sukni, leżącego, jak długi.

„Cóż tu, książę, robisz?" — zapytał podpułkownik jego, Frankowski.

„Chcę jeszcze cokolwiek utyć" — odpowiedziało książątko.

Przywiedziono go na dół do sali, gdzie cała familja i goście byli zgromadzeni. Zaczęto czytać intercyzę. Tu znów biskup wileński, stryj pana młodego, z przyczyny szczupłości posagu zaczął się przeciwiać.

„Księże biskupie! — zawołał stary Radziwiłł, rozdąsany i czerwony — synowiec waszmości ma już lata dojrzałe: może sam sobą się rządzić. Panie szwagrze — rzekł, obracając się do Massalskiego — czy chcesz pojąć in sociam vitae[2]) siostrę moją"?

„Proszę bardzo" — odpowiedział Massalski.

„Czytaj wasze dalej" — odezwał się Radziwiłł, obracając się do mecenasa.

Gdy mecenas skończył i już się jechać do kościoła zbierano, znów wysunął się biskup.

„Z pasterskiej powinności mojej — rzecze — powinienem jeszcze zapytać młodzieńca, czy, wstępując w stan święty małżeński, wyuczony jest w artykułach wiary świętej. Któż świat ten stworzył?"

„Pan Jezus" — odpowie półgłówek.

„Pan Bóg" — odpowie biskup. — „Ile jest Bogów?"

„A trzy" — odezwie się, szepleniąc, Massalski.

„Nie, nie, jeden we trzech osobach".

[1]) Czy chcecie, książę, bym was wyrzucił za okno (franc.).
[2]) Na towarzyszkę życia.

„Książę biskupie — zawołał książę Radziwiłł — to niepotrzebne mitręgi. Jedźmy do kościoła".

To mówiąc, ruszył z miejsca i wszyscy za nim.

Gdy wsiadł do karety i my wszyscy za nim, stojące wojsko na obszernym dziedzińcu zaczęło ognia dawać i strzelało do końca obrządku ślubnego. Kościół gorzał lampami. Stanęli państwo młodzi przy ołtarzu, gdy trzy guwernantki księżniczki, panie: Tipelskirch, Sason i Borucka, rozrzewnione tym widokiem, zemdlały i przewróciły się, czem tknięty książę Radziwiłł natychmiast każdej po 6000 złotych polskich dożywotniej pensji wyznaczył.

Wróciliśmy wśród huku armat do ślubnej wieczerzy. Hetman Ogiński wzniósł zdrowie familji. Gdy przyszła kolej na Massalskiego, powstał z kielichem w ręku i zawołał, jak mógł najgłośniej: „Zdrowie familji dobrodziejki!" Powstał śmiech powszechny i długo uspokoić się nie mógł.

Przesadzonemi niejednemu zdadzą się może te anegdoty o biednym Massalskim, lecz ręczę za ich prawdę.

Rozgniewany biskup wyjechał i zaraz zaczęła się dawna polska, huczna, serdeczna wesołość. Pito porządnie, a potem zaczęły się tańce, które szły zamaszysto, przeważnie polskie tańce, stworzone do ubioru polskiego. Gdy nie tańczono, bywały koncerty najpocieszniejsze w świecie. Któż na nich grał? Oto stary Radziwiłł i hetman Ogiński, umiejący muzykę a nawet kompozytor, grał gładko; lecz przebóg! jakież było kwiczenie księcia Karola Radziwiłła! Lubił on też opowiadać historję dzieciństwa i młodości swojej, a raczej wymyślone przez siebie dzikie duby; trwa ich jeszcze tradycja po Litwie. Pamiętają starzy ludzie różne historje, które Radziwiłł lubił opowiadać: jak w pierwszej młodości swojej służył za chłopca u księdza, jak mu usługiwał do mszy, czyścił sutannę, opatrywał konia jego, jak często był bity... jak w drodze z Triestu do Wenecji spotkała go burza, a gdy okręt całkiem na jedną stronę się przewalił, on skoczył w morze i, jak hajduk wywracającą się karetę, tak on okręt barkami swemi wsparł i ocalił...

Raz opowiadał królowi, że przewodził baterjom, szturmującym do Gibraltaru, a gdy się w opowiadaniu do najwyższego stopnia zmyślania posuwał, zaczęto się uśmiechać. „Nieprawdaż, panie Michale?" — obróciwszy się do Morawskiego, zapytał — „wszak byłeś ze mną?" — „Mości książę" — odpowie Morawski — „nie mogę przyświadczyć, gdyż w pierwszym szturmie zabity zostałem".

Nie trzeba rozumieć, żeby Radziwiłł sam wierzył tym wszystkim baśniom. Opowiadał je przez jakąś prostotę; wreszcie nieuczony, nic nigdy nie czytający, o nic nie pytający, lubiący mówić, o czemże miał gadać? Lecz nieokrzesany ten człowiek posiadał najlepsze serce, hojny, popularny, bez najmniejszej pychy, uważał on w samej rzeczy wszystką szlachtę za rodzonych braci swoich; w przywiązaniu do ojczyzny nikt go nie przewyższał.

Zbyt długo może rozciągnąłem się nad księciem Karolem Radziwiłłem i opisem weselnej w domu jego uroczystości, lecz miałem na uwadze, że to było ostatnie w Polsce podobne wesele i że drugiej takiej uroczystości następne pokolenia nie ujrzą. Podaję ją raczej jako ciekawość, a nie do naśladowania przykład.

J. U. Niemcewicz.

118. Arcy-serwis Wojskiego.

Serwis ten był nalany ode dna po brzegi
Piankami i cukrami białemi, jak śniegi,
Udawał przewybornie krajobraz zimowy;
W środku czerniał ogromny bór konfiturowy,
Stronami domy, niby wioski i zaścianki,
Okryte zamiast szronu, cukrowemi pianki;
Na krawędziach naczynia stoją dla ozdoby
Niewielkie z porcelany wydęte osoby
W polskich strojach; jakoby aktory na scenie,
Zdawały się przedstawiać jakoweś zdarzenie;
Gest ich sztucznie wydany, farby osobliwe,
Tylko głosu im braknie, zresztą gdyby żywe.

„Cóż przedstawiają?", goście pytali ciekawi.
Zaczem Wojski podnosi laskę i tak prawi
(Tymczasem podawano wódkę przed jedzeniem):
„Za mych wielce mościwych panów pozwoleniem,
Te persony[1]), których tu widzicie bez liku,
Przedstawiają polskiego historję sejmiku,
Narady, wotowanie, triumfy i waśnie;
Sam tę scenę odgadłem i państwu objaśnię.

„Oto na prawo widać liczne szlachty grono:
Pewnie ich przed sejmikiem na ucztę sproszono;
Czeka nakryty stolik, nikt gości nie sadza,
Stoją kupkami, każda kupka się naradza.

[1]) Persona — osoba.

Patrzcie, iż w każdej kupce stoi w środku człowiek,
Z którego ust otwartych, z podniesionych powiek,
Rąk niespokojnych widać: mówca, coś tłumaczy
I palcem eksplikuje[1]) i na dłoni znaczy.
Ci mówcy zalecają swoich kandydatów
Z różnym skutkiem, jak widać z miny szlachty — bratów.

„Wprawdzie tam, w drugiej kupie szlachta pilnie słucha:
Ten ręce za pas zatknął i przyłożył ucha,
Ów dłoń przy uchu trzyma i milczkiem wąs kręci,
Zapewne słowa zbiera i niże w pamięci;
Cieszy się mówca, widząc, że są nawróceni,
Gładzi kieszeń, bo kreski ich już ma w kieszeni.

„Lecz zato w trzeciem gronie dzieje się inaczej:
Tu mówca musi łowić za pasy słuchaczy.
Patrzcie, wyrywają się i cofają uszy;
Patrzcie, jako ten słuchacz od gniewu się puszy,
Wzniósł ręce, grozi mówcy, usta mu zatyka;
Pewnie słyszał pochwały swego przeciwnika.
Ten drugi, pochyliwszy czoło, nakształt byka,
Powiedziałbyś, że mówcę pochwyci na rogi;
Ci biorą się do szabel, tamci poszli w nogi.

„Jeden między kupkami szlachcic cichy stoi,
Widać, że człek bezstronny, waha się i boi.
Za kim dać kreskę, nie wie i sam z sobą w walce,
Pyta losu, wzniósł ręce, wytknął wielkie palce,
Zmrużył oczy, paznokciem do paznokcia mierzy;
Widać, że kreskę swoją kabale powierzy;
Jeśli palce trafią się, da affirmatiwę[2]),
A jeżeli się chybią, rzuci negatiwę[3]).

„Na lewej druga scena: refektarz klasztoru,
Obrócony na salę szlacheckiego zboru.
Starsi rzędem na ławach siedzą, młodzi stają
I ciekawi przez głowy w środek zaglądają;
W środku marszałek stoi, wazon w ręku trzyma,
Liczy gałki, szlachta je pożera oczyma.
Właśnie wstrząsnął ostatnią; woźni ręce wznoszą
I imię obranego urzędnika głoszą.

„Jeden szlachcic na zgodę powszechną nie zważa.
Patrz, wytknął głowę oknem z kuchni refektarza,
Patrz, jak oczy wytrzeszczył, jak pogląda śmiało,

[1]) Tłumaczy.
[2]) Głos za kandydatem.
[3]) Głos przeciw kandydatowi.

Usta otworzył, jakby chciał zjeść izbę całą;
Łatwo zgadnąć, że szlachcic ten zawołał: veto!
Patrzcie, jak za tą nagłą do kłótni podnietą
Tłoczy się do drzwi ciżba, pewnie idą w kuchnię,
Dostali szable, pewnie krwawy bój wybuchnie.

„Lecz tam na korytarzu, państwo uważacie
Tego starego księdza, co idzie w ornacie?
To przeor; Sanctissimum z ołtarza wynosi,
A chłopiec w komży dzwoni i na ustęp prosi.
Szlachta wnet szable chowa, żegna się i klęka,
A ksiądz tam się obraca, gdzie jeszcze broń szczęka;
Skoro przyjdzie, wnet wszystkich uciszy i zgodzi.

„Ach! wy nie pamiętacie tego, państwo młodzi!
Jak wśród naszej burzliwej szlachty samowładnej,
Zbrojnej, nie trzeba było policyi żadnej.
Dopóki wiara kwitła, szanowano prawa,
Była wolność z porządkiem i z dostatkiem sława!
W innych krajach, jak słyszę, trzyma urząd drabów,
Policyjantów różnych, żandarmów, konstabów;
Ale jeśli miecz tylko bezpieczeństwa strzeże,
Żeby w tych krajach była wolność, nie uwierzę.“

Wtem, dzwoniąc w tabakierę, rzekł pan Podkomorzy:
„Panie Wojski, niech wasze na potem odłoży
Te historyje. Prawda, że sejmik ciekawy,
Ale my głodni, każ waść przynosić potrawy.“

Na to Wojski, skłaniając aż do ziemi laskę:
„Jaśnie wielmożny panie, zróbże mi tę łaskę,
Zaraz dokończę scenę ostatnią sejmików.
Oto nowy marszałek na ręku stronników
Wyniesion z refektarza. Patrz, jak szlachta braty
Rzucają czapki, usta otwarli, wiwaty!
A tam po drugiej stronie pan przekreskowany,
Sam jeden, czapkę wcisnął na łeb zadumany,
Żona przed domem czeka: zgadła, co się dzieje,
Biedna! oto na ręku pokojowej mdleje.
Biedna! jaśnie wielmożnej tytuł przybrać miała,
A znów tylko wielmożną na lat trzy została!“

A. Mickiewicz.

119. Poranek króla Stanisława Augusta.

Około jedenastej przed południem był wielki zgiełk przed Farą. Każdy chciał oglądać króla, wracającego ze mszy do

swoich komnat. Wielu było widać ze szlachty, u niektórych wyglądały rogi od suplik z poza kontusza; wielu było rzemieślników, między nimi i artyści, a najwięcej było tych brukowych próżniaków, zawsze i wszędzie wciskających się, gdzie tylko spostrzegać się daje tłum ludzi. Stanisław lubił przyjmować supliki publicznie; tem wygrywał rolę panującego, bo prośby, podane jemu, były wyznaniem jego panowania nad tymi, których niedawno był równym. A lubo proszący rzadko kiedy otrzymywał skutek w żądaniu swojem, król każdego tak umiał pocieszyć jedwabnemi słowy, że się opędzić nie mógł od suplik.

Wtem okrzyki: „Niech żyje król!“, wznoszące się z całego tłumu, oznajmiły ukazanie się królewskie.

Król stanął na krużganku, a za nim szambelani, adjutanci bokowi, dworzanie i niektórych dworów posłowie.

Zbliżyła się naprzód do niego jakaś młoda i przystojna kobieta, a do nóg mu padłszy, oddała suplikę. Uważano, że król, papier szybko przebiegłszy oczyma, pocieszał ją łagodnemi słowy i ten papier wręczył stojącemu za sobą szambelanowi Gintowtowi, w dniu tym będącemu na służbie.

Wielu innych z kolei podawało mu supliki. Niektóre odczytywał, inne, nie czytając ich, oddawał szambelanowi, ale z każdym mniej więcej rozmawiał, nikogo bez jakiejś nadziei nie zbywając. Wszakże widać było, że już nieco był zmęczony, jedno a jedno powtarzając, kiedy Wojski, przybliżywszy się, klęknął przed królem, oddając mu papier.

Król go zapytał łagodnie, co on za jeden i czego żąda.

— Szlachcic, poddany i sługa Waszej Królewskiej Mości — odpowiedział Wojski. — Nazywam się Poraj i, tuzin lat służąc za gajowego w Białowieskiej puszczy, od lat trzech dosłużyłem się podleśnictwa; teraz nie wiem, z jakiego powodu oddalił mię dyrektor ekonomji Białowieskiej. O nic nie proszę, tylko o zrobienie indagacji, bo siebie nie mogę obwinić; wiem, że indagacja przekona o mojej niewinności, i mam nadzieję, że i nadal jeść będę smaczny chleb mojego Miłościwego Pana.

Król, z Wojskim mówiąc, suplikę w ręku obracał, a nie otwierając, wręczył ją szambelanowi, róg w niej zagiąwszy.

Wojski natychmiast utonął w pospólstwie, by stamtąd dostać się do plebanji Falentowskiej, gdzie towarzysze jego mieli z nim się połączyć.

Król, dawszy posłuchanie przed domem Pana nad Pany, gdzie, wedle zwyczaju swojego, szczególną uprzejmość okazywał dla kobiet i był równie przystępny dla mieszczan, jak i dla braci szlachty, poważnie z orszakiem go otaczającym po-

wrócił do swego pomieszkania. Po mszy zawsze się przebierał. Przechodził przez obszerny pokój, garderobą nazwany, gdzie zastawał pełno domowników i obywateli, radych codziennie ukłonem powitać Najjaśniejszego Pana.

Było we zwyczaju, że każdy obywatel z prowincji po przyjeździe szedł do garderoby, pewnym będąc, że tam znajdzie znajomych i zasięgnie wiadomości mu potrzebnych.

Gabinet, gdzie król się przebierał, był przedzielony od garderoby małym pokojem; ale kiedy szlachta w garderobie się rozgada, czasem taki szmer powstaje, że w gabinecie królewskim słyszeć siebie nie można. Natenczas szambelan dzienny wychodzi do garderoby i zaczyna potrząsać chustką nad klatką z kanarkami, przy oknie wiszącą, mówiąc: — A cicho, kanarki! Tak hałasujecie, że królowi przeszkadzacie czytać supliki, jemu podane! — Szlachta na jakiś czas ucichnie, ale nie na długo. Czasem szambelan w jednym poranku pięć i sześć razy wychodzi z admonicją do kanarków.

Kiedy król przechodził przez garderobę, wszystkie głowy, czy ogolone, czy ufryzowane, ledwo że nie do samej ziemi się pochyliły. Każdy z upragnieniem oczekiwał z ust jego chociażby jednego słówka, a to słówko, jakkolwiek obojętne, z niekończącemi się komentarzami rozchodziło się po familji i przyjaciołach szczęśliwego męża, który je otrzymał.

W dniu tym król był nadzwyczaj wesoły, bo kurjer z zagranicy przywiózł mu listy, których z niecierpliwością oczekiwał.

Król był promienisty, kiedy do gabinetu przechodził przez garderobę. Kilka figur, przybyłych z prowincji, powitał najuprzejmiej, każdej z nich rzucając słowa, za serce chwytające.

Gdy przez garderobę przechodził do gabinetu, tam go oczekiwał fryzjer Angielczyk, Philipsborn nazwany, który obok rodowitego żadnego języka nie umiał. Król go lubił, raz, że był doskonały w swojem rzemiośle, powtóre, że z nim rozmawiał po angielsku, językiem najwięcej ulubionym, między tyloma innymi, które posiadał.

Ryx, kamerdyner królewski, a razem starosta krasnostawski, z niemałem zgorszeniem zakutej szlachty rozebrał króla, i gdy nałożył na niego pudermantel, nic nie przeszkadzało Philipsbornowi rozpocząć pracowitego ubierania królewskiej głowy.

Było wielu dworzan w gabinecie, bo król zwyczajnie fryzował się w asystencji, a obracając na to około dwóch godzin, te godziny przepędzał często w uczonych rozmowach, nawet kazał sobie czytać coś z nowości, przysłanych z Paryża.

Król siedział w krześle, trzymając ręczne zwierciadło, w którem często się przeglądał. Szambelan Gintowt rozkładał z chustki pliki suplik, w dniu tym podanych królowi, na stolik, opodal od królewskiego krzesła postawiony, przy którym usiadłszy, starannie wypisywał treść odebranych suplik, by je potem przełożył królowi.

Król najpierwej do pana Branickiego się odezwał: — Przecie, mości łowczy, wyleczyłeś się zupełnie z tej rany, co ci ją Casanova zadał; daj Boże, byś równie szczęśliwie przebył i te nowe niebezpieczeństwa, na które masz się narażać; bo na Ukrainie masz się spotykać z morowem powietrzem i ze zbuntowanem chłopstwem.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie, wczoraj wyprawiłem tam Stempkowskiego, a dziś wieczór sam wyjeżdżam. Przyszedłem pożegnać Waszą Królewską Mość i ją o błogosławieństwo prosić.

— I rana już się czuć nie daje?

— Najmniejszej rzeczy, Najjaśniejszy Panie. Pernet, doktor Waszej Królewskiej Mości, moim kosztem sławę sobie zjednał, ale kłamie Francuz, bo wszystkie jego lekarstwa przez okno kazałem wyrzucić, a po swojemu się kurowałem.

— Sam byłem tego świadkiem — odezwał się ksiądz Krasicki — jak pan łowczy, zaledwie go opuściła gorączka, zamiast kleiku, na którym Pernet chciał go trzymać, zjadł całego kapłona.

— Ale dodaj waszeć, mości książę, że tego kapłona popiłem dwiema kwartami mojego dekoktu.

— Jakiż to dekokt? — zapytał król.

— Dekokt węgierski — odrzekł pan łowczy. — Pernet chciał mnie zapajać percem[1]), ale ja jemu parsknąłem w żywe oczy, jak mi wspomniał o tym studenckim napoju. Niech mnie djabli wezmą, Najjaśniejszy Panie, jeżeli tym doktorom piątej klepki dostaje. Gdybym nie miał tyle doświadczenia, a ich posłuchał, nie wystarczyłoby mi pojazdów na przewiezienie tych prezerwatyw[2]) od morowego powietrza, któremi chcieli mnie obdarzyć; ale już ja od dwóch tygodni wyprawiłem na Ukrainę moją prezerwatywę od wszystkich chorób: kilka beczek maślaczu. Stempkowski, tak jak ja, wierzy w moją medycynę: niczego się nie bój, niczem się nie martw, a dobrze pij, będziesz żył, póki zechcesz.

— Szczęśliwy — odezwał się król, westchnąwszy — kto ma tak wesoły humor, jak waćpan, mości panie łowczy. Jednak

[1]) Nalewka na pieprzu.
[2]) Środek ochronny przeciw chorobie.

nie nadużywaj pan odwagi; śmierć niespodzianie przychodzi. Niema sześciu tygodni, jak sam omal życia nie straciłeś...

Podczas, kiedy tak wesoło rozmawiali, pan szambelan Gintowt raptownie zerwał się ze stołka, a w ręku trzymając jakiś papier, przybliżył się do króla w największem pomieszaniu, tak, że król mu powiedział:

— A co to się stało z waćpanem, mości szambelanie, że jesteś jakby zdjęty z krzyża?

— Okropność, Najjaśniejszy Panie, zgroza! Między suplikami jakiś bezecnik, jakiś potwór śmiał wcisnąć paszkwil przeciw Waszej Królewskiej Mości.

— Czy wierszami? — rzekł król, uśmiechając się — jeżeli paszkwil dowcipny, nabawimy się nim; jeżeli sprawiedliwy, będziemy się starali z niego korzystać.

— Gdzie tam wierszami! — odrzekł szambelan — nie mniej, nie więcej, tylko pozew, we wszelkiej formie położony Waszej Królewskiej Mości, żebyś się stawił osobiście przed konfederacją.

Król porwał papier z rąk pana Gintowta i zaczął go czytać cicho. Spostrzegli, że pobladł. Nie skończywszy czytania, wstał, silnie poruszony, i zaczął się przechadzać po gabinecie, potem stanął i do otaczających tak przemówił:

— Patrzcie, mości panowie, na zniewagę, wyrządzoną waszemu królowi; cierniową koronę nałożyliście mi na głowę. Nad sobą kazaliście mi panować na to tylko, żebym nawet tego pokoju nie miał, jaki najuboższemu obywatelowi prawem jest zabezpieczony. Moja krzywda jest waszą krzywdą, do was się więc odwołuję. Mości szambelanie Gintowt, odczytaj waćpan głośno przed ichmościami ten mniemany pozew; niech ichmościowie wiedzą, jakie potwarze znoszę.

Pan Gintowt zaczął czytać ten cierpki i obelżywy pozew, ale co okres przerywanym był przez okrzyki przytomnych, okrzyki zgrozy i czułości za cześć monarchy.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się Poniński, kuchmistrz koronny — żadnego między nami niema tak wyrodnego Polaka, żeby nie umiał czuć krzywdy, całemu narodowi wyrządzonej w osobie jego pomazańca! Gdyby jakikolwiek ślad powziąć o tym, który się targnął na majestat naszego pana!

Pozew, położony królowi, nie otrzymał tych skutków, jakich się po nim spodziewało stronnictwo. Król odebrał z prowincji mnóstwo adresów, oświadczających niezłomną wierność obywatelów i ich współczucie.

Henryk Rzewuski.

120. Kazanie konfederackie.

Było to w roku 1769, czwartego listopada, w sam dzień świętego Karola, a tak pamiętam, jakby to się działo onegdaj. Słuchaliśmy mszy świętej w kościele OO. Bernardynów w Kalwarji; kościół był jak nabity szlachtą, której mnóstwo panów przewodniczyło. Siedzieli w ławach: książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, solenizant, i Potocki, podczaszy litewski, i Potocki, wojewoda kijowski, i Pac, starosta ziołowski, marszałek jeneralny Konfederacji, i Rzewuski, chorąży litewski; a któż wymieni wszystkich tych panów? I na sejmach więcej ich nie widać; oni siedzieli w ławach, a my stali, ba! nie tylko my, ale i urzędnicy nawet stali, bo do ławek niełatwo się było docisnąć. Po mszy świętej ksiądz Marek Karmelita, na którego cuda zacni ludzie patrzali, zaintonował: Te Deum laudamus[1]), a my szlachta śpiewali wtór i niektórzy panowie nawet: jako JW. chorąży litewski, Panie daj mu wieczny odpoczynek, bo to zacny był pan, i dziwnie basem śpiewał, choć, jak starzy mówili, trybem światowym. Śpiewał i JO. wojewoda wileński, ale już nie tak dobrze; ale wszyscy śpiewaliśmy ochoczo, bo też było za co Panu Bogu dziękować. Przed czterema dniami, w sam dzień Wszystkich Świętych, jak na wiązanie JJ. OO. i JJ. WW. Panom, nie zapominając i o nas szlachcie, pan Kazimierz Puławski, starosta warecki, porządnie był wytłukł Moskwę pod Lanckoroną i aż do Myślenic gnał Suwarowa; a i ja tam swoim nie szkodził, co mi trochę zaszczytu i nieco nieprzyjemności przyniosło, jak się o tem powie. Po hymnie wstąpił ojciec Marek na ambonę; my wszyscy natężali uszów: raz, że i łaknąć trzeba za słowem Bożem, powtóre byliśmy ciekawi, co też powie z powodu rocznicy urodzin JO. księcia Karola Radziwiłła, co był pan wielki, pobożny, dobrodziej szlachty i filar naszej barskiej Konfederacji, a którego w dniu tym przepomnieć nie zdawało się nam, aby było do rzeczy. Przeżegnał się ojciec Marek — jeszcze dziś patrzę na niego — i tak powiedział: „Święty Jan Ewangelista mawiał: Dziateczki! kochajcie jedni drugich; i ja wam to mówię, a raczej wymówię, że tak nie robicie. Kochamy ojczyznę! mówicie, a między sobą żyjecie w ciągłych swarach! Piękna to miłość, ziemię kochać, a z ziemianami się wadzić. A wy, panowie naczelnicy tej Konfederacji, pod hasłem wiary i wolności zawiązanej! Zamiast cobyście mieli dobry przykład dawać szlachcie, to albo sami ogień tworzycie, albo do gotowego drewka przykładacie. Czyż wy usadziliście się znękać cierpliwość i miłosierdzie Boże, aby inne narody nauczyć, ile to trzeba grzechów, żeby aż ojczyznę zatracić? Wy się cieszycie wygraną pod Lanckoroną, a ja się smucę, bo ten dar Boży będzie wam powodem nowej Boga obrazy; powiększy waszą pychę, swawolę, waszą rozpustę! A kiedy bieda was nie poprawi, cóż to będzie z pomyślnością? Lękamy się Boga, mówicie; za wiarę, za biskupów wziętych walczymy i krew przelewamy. Bodajby tak. A to co się u Waszmości zrobiło na obiedzie, szósty dzień temu, JW. marszałku lubelski? Jak dwóch rotmistrzów związku twojego powadziło się, kiedy zapomniawszy o Bogu, z cierpkich przymówek przyszło do odgrażania się, do korda: to ty, marszałku, cobyś miał mitygować, godzić, bronić, nareszcie już nie jako wierny katolik, ale przynajmniej poczciwy gospodarz, cóżeś uczynił najlepszego? Toś sobie z tego zabawkę robił! toś drugich panów zapraszał, żeby byli świadkami, jak się Lubelczycy tęgo w kordy biją. A o cóż to się bili? O honor Najświętszej Panny, o wypędzenie intruza[1]), którego schyzma[2]) na stolicy naszej przemocą usadowiła? Nie, o głupstwo, aby wam, panowie, czas przyjemnie schodził. Niech się świat poleruje. Krew szlachecka dla pańskiej zabawy niech płynie! Takto niegdyś w Rzymie, nim papieże nastali, bawili się pogańscy panowie, patrząc, jak gladjatory się zabijali. A i ci przecie krew szlachecką szanowali: bo gladjatory byli brańcy narodów Rzymowi obrzydłych, ale nie szlachtą rzymską. Otóż to wasza wolność! wasza równość, wasza wiara! Tacy to wy ojcowie ojczyzny! Niemasz ratunku dla was! Wkrótce ja pożegnam was; powrócę do klasztoru berdyczowskiego, z którego bogdajbym nigdy był nie wyszedł! a tam będę błagał Najświętszą Pannę za sobą: tak, za sobą, bo samo patrzanie na wasze grzechy zmazało duszę moją. To wy ją nazywacie Królową!... Pięknych Ona ma z was poddanych! Dziewica czysta i panieńskiego serca ma panować nad wszetecznikami i burdami? Złoży Ona wkrótce niegodną koronę, a wy raczej Lutra królem, a schyzmę królową ogłoście. To będą godni was panowie; jacy poddani, tacy monarchowie! A więcej nie powiem wam, bo nareszcie i duch Boży znużył się w piersiach moich.“

To wyrzekłszy, zszedł z ambony, i przed wielkim ołtarzem uklęknąwszy, zaczął śpiewać: „Przed oczy Twoje, Panie“. Wszyscy stali, jak wryci; nie mogłem widzieć, co się natenczas działo z JW. Granowskim, marszałkiem lubelskim, ale jak mi później mawiał pan Mikołaj Morawski, natenczas

[1]) Ciebie, Boże, chwalimy (łac.)

[1]) t. j. Stanisława Augusta Poniatowskiego.
[2]) Moskalę.

porucznik pancerny księcia Karola Radziwiłła, który, lubo dworzanin jego, miał do niego dziwną poufałość i stał przy jego ławce, co ludzie pewnej okoliczności przypisywali, która, lubo o niej przemilczę, jemu samemu krzywdy nie przynosiła. Otóż ten pan Mikołaj, więcej trzydziestu lat sąsiadując ze mną, nieraz powtarzał, że JW. Granowski tak się pocił, jak gdyby w łaźni siedział, a przecie to był czwarty listopad i dobry przymrozek na dworze: taki mu był wstyd. A nie bez słuszności; bośmy wszyscy wiedzieli, o co idzie. W sam dzień zaduszny zaprosił był na obiad obozowy panów i urzędników i tych, co dnia poprzedniego popisali się pod Lanckoroną, co i mnie dało wstęp do jego stołu, a swoich Lubelczyków wszystkich. Otóż między nimi był pan Snarski, tęgi jeździec, niema co mówić, i łebski w potyczce, ale zwłaszcza przy kielichu wielki kłótnik. Jużto i on do mnie u stołu strzelał przymówkami, ale ja, szanując gospodarza i dostojnych gości, wszystko mimo siebie puszczałem, raczej przysłuchując się dyskursom zacnych, niżbym się miał oglądać na jaką siaką przymówkę. Tak tedy, nie doczekawszy się ze mną zwady i innych napróżno tentując, aż nakoniec dostał, czego żądał, od jednego ze swoich. Pan Bolesta, którego Mańkutem nazywali, lubo opodal od Snarskiego siedział, usłyszał, iż ten się odezwał: „Wiwat powiat urzędowski! czoło województwa lubelskiego!“ A że był ziemianinem łukowskim, markotno mu się zrobiło i to mu wymówił. Od przymówek do wymówek. Jak zaczął ich podjudzać JW. marszałek i JO. książę wojewoda, przyszło do tak grubych wyrazów, że zgroza było słuchać: a z tego gospodarzowi jeszcze większy śmiech. Wyszli z izby, a porwawszy się do szabel, przy nas bić się zaczęli. Urzędowczycy swego, Łukowczanie swego, a JW. marszałek obudwóch zagrzewał. Ślicznie się obadwa składali; Panie Boże, przyjm to za żart! aż miło było patrzeć. Aż nakoniec silnie po łbie dostał Snarski; jak długi, padł krwią oblany. Myśleliśmy, że już po nim, ale jakoś przyszedł do siebie; a potem cyrulik tameczny jak zaczął mu chleb z solą do rany przykładać, a krew puszczać z ręki, cierpiał ci on, jak w czyścu; alem go jeszcze kilkanaście lat potem widział na kontraktach dubieńskich wojskim urzędowskim, z głęboką kresą, ale zdrowego i opamiętałego. Jak ludzie mówili, bardzo był szanowanym w swoim powiecie; a co się zrobiło z Bolestą, prawdziwie do dziś dnia nie wiem; ale dawno miał umrzeć.

Wracam do swego. Ksiądz Marek śpiewał, ale sam jeden; bo my wszyscy tak się zadumali, że muchęby można usłyszeć, lubo nas było ćma, bo żaden z kościoła nie wyszedł. Ksiądz

Marek po odśpiewaniu pieśni znowu na ambonę powrócił: co nawet starych zadziwiło, bo nikt nie słyszał, aby kiedykolwiek ksiądz lub zakonnik jednego poranku dwa razy kazał; ale my wszyscy ciekawi byli słuchać, raz że to był święty człowiek, powtóre, że do przekonania mówił, a nakoniec, prawdę powiedziawszy, choć my szczerze do panów byli przywiązani, nie byliśmy od tego, żeby nie słuchać, jak też i im verba veritatis[1]) prawią. Dosyć, że ksiądz Marek, powróciwszy na ambonę, tak mówił: „W piersi uderzyć się muszę, że w dniu urodzin i imienin twoich, JO. książę wojewodo wileński, dostojny wodzu naszego związku! zdawałem się na chwilę o tobie zapomnieć. Twoje i twoich przodków zasługi, poświęcenie się twoje dla ojczyzny, miłość szlachty i ta żywa wiara, którą ci Bóg, pomimo twoich błędów, zostawuje, warte, ażebym się z tego przed obliczem was wszystkich skruszył. Dam ci więc w dniu, tak dla ciebie, a więcej jeszcze dla nas uroczystym, wiązanie najdroższe: bo go nigdzie nie otrzymasz, jeno w domu Bożym! To jest prawda, że, jako prawy Polak, gościnne i uczynne twoje serce żadnej korzyści mieć nie chce, którejbyś drugim udzielić mógł. Wielce mnie pochwalisz, że w tej prawdzie, w tem wiązaniu, tobie ofiarowanem, inni dostojni koledzy twoi swój także udział otrzymają. A jeżeli ciebie i kolegów twoich nie przekonam, że to, co mówię, jest prawdą: każdemu z was wolno mię zawstydzić, mieniąc mnie kłamcą. Bóg często, dla korzyści drugich niegodnym sługom swoim wielkie rzeczy objawia. W tym względzie doświadczałem i ja Jego łaski. Oto rok siódmy temu, gdy, w celi mojej gorzko płacząc nad ojczyzną, modliłem się, ujrzałem Anioła Polski. Widziałem go tak, jak na was przytomnych patrzę; a Bóg raczył udzielić siły, żem mógł znieść oblicze tego mocarza niebieskiego. Wiele on rzeczy mi powiedział, których objawiać mi nie wolno; ale to, co mi się godzi, to wam powiem bez ogródki: bo anioła rzecz ani szlachcica, ani pana, ani króla nawet obrazić nie może; wszak każdy jest kmieciem przed nim. — Marku, powiedział mi anioł, źle się dzieje z ojczyzną twoją. Nierząd ją zgubił. Wszyscy pragną rządu, a żaden z poczciwszych rządzić nie zechce. Król Sas, którego wszyscy kochają, a nikt mu nie pomaga, lada dzień zamieni koronę doczesną na wieczną, i będzie to, co jest; rząd leży na ziemi, a nikt się schylić nie chce, aby go podjął. Pod różnemi postaciami do wszystkich waszych panów udawałem się: zawsze ta sama odpowiedź; przebrzydłe domatorstwo, nałogowe lenistwo. Byłem u Radziwiłła, wojewody wileńskiego; mówiłem, błagałem: jedź do Warszawy! zajmij się rządem!

[1]) Słowa prawdy (łac.).

Cała Litwa twoja! ratuj ojczyznę!... Aż płakał, tak się rozczulił: ja z tobą pójdę, powiedział, a niech ojczyzna będzie cała. — Ale tu nie idzie o ofiary z majątku, lub narażania życia; siedź w Warszawie i zajmuj się rządem. Oto wiesz, com wycisnął nakoniec? — Panie kochanku, ja będę w Warszawie rządził, a mnie P. Michał Rejten w Nalibokach wszystkie moje niedźwiedzie wybije? — Udałem się do wojewody kijowskiego. Pan obszernych włości i coby je chętnie dla ojczyzny poświęcił; ale, uczciwszy uszy, jakże tu siedzieć w Warszawie, kiedy to człowiek przywykł po kilka dni ciągle z panem miecznikiem ciesielskim pić w Szorstynie, kiedy pani wojewodzina, siedząc w Krystynopolu, myśli, że mąż folwarki objeżdża? — Byłem u Sapiehy kanclerza. Nie może! Kocha ojczyznę, ale rządząc nie można mieć procesorów, a jakże żyć bez konferencji[1]) codziennych prawie z jurystami[2])? — A pan Mniszek, marszałek wielki koronny, kocha ojczyznę, ale bała, bała, jak zasiądę w Warszawie, kto będzie w Dukli dyspozytorów[3]) uczył gospodarstwa i co sesji[4]) do roboty napędzał? — A pan krakowski? Tego to Panie Boże jedyny! niechno się obmuruję w Białymstoku, to i o ojczyźnie pomyślę. — A książę Sanguszko, wojewoda wołyński? — Mospanie, ja będę siedział w Warszawie, a moje stado w Sławucie sparszywieje? — Otóż taka wasza miłość ojczyzny, i dlatego tułacie się, żeby odzyskać, coście dobrowolnie utracili. Niechże to za naukę wam posłuży nadal i waszym potomkom; płyńcie na desce, kiedy już wygodny okręt przez niedbalstwo wasze odbiegł od lądu. A przynajmniej teraz, zaklinam was w imię Chrystusa, nie ustawajcie w przedsięwzięciach waszych; może wam Bóg pobłogosławi jednomyślnością; a w przeciwnym nawet razie, żadna wasza usilność dla ojczyzny straconą nie będzie. Myślcie w Bogu o ojczyźnie, ale tak czyńcie, jakby ona jedynie od was zależała."

Mówił ów ksiądz Marek wiele jeszcze innych rzeczy pięknych. Płakaliśmy, a razem pocieszaliśmy się. Myślałem, że panowie, których wytknął, rozsierdzą się na niego; ale nie. Owszem, każdy z nich wychodzącego uprzejmie powitał i w rękę pocałował, a solenizant na obiad zaprosił, gdzie, jakem się później od pokojowych dowiedział, kolejnym kielichem wszyscy panowie zdrowie księdza Marka spełnili.

Henryk Rzewuski.

[1]) Konferencja — narada, posiedzenie.
[2]) Jurysta — prawnik.
[3]) Dyspozytor — oficjalista w majątku.
[4]) Sesja — narada, posiedzenie.

121. Przegląd wojsk przed wyprawą wiedeńską.

(1683.)

Dwudziestego drugiego sierpnia król pożegnał się uroczyście ze swą ukochaną „Marysieńką" i wczesnym rankiem wsiadł na konia, aby przed jej oczyma sprawić wojsko, a następnie ruszyć na jego czele do Gliwic.

Zauważono, że, jakkolwiek rozstawał się z nią zawsze z największą przykrością, miłując ją bowiem, jak źrenicę oczu, bolał nawet nad krótkiem rozstaniem, tym razem miał twarz promienną. Więc świeckim i duchownym dygnitarzom, którzy wiedzieli, jak straszna jest wojna z tym nieprzyjacielem, który przytem nigdy dotychczas nie wystąpił z taką potęgą, przybyło zaraz serca. „Poruszyli wprawdzie Turcy (mówiono sobie) trzy części świata, ale jeśli pan nasz, największy ich pogromca i niszczyciel, z taką radością idzie na tę wojnę, to już i my nie mamy się o co troszczyć."

I otucha napełniła piersi, a widok wojsk powiększał ją jeszcze bardziej i zmieniał w zupełną pewność zwycięstwa. Wojska wraz z taborem pełnym czeladzi wydawały się bardzo znaczne. Jak wzrok mógł sięgnąć, widać było rozbłyski słońca na hełmach, na pancerzach, szablach, na lufach muszkietów i dział. Blask był tak mocny, że oczy mrużyły się pod jego nadmiarem. Nad wojskiem grała w błękitnem powietrzu tęcza chorągwi i chorągiewek. Warczenie bębnów po pułkach pieszych mieszało się z odgłosem trąb, kotłów, krzywuł[1]), z piekielnym hałasem kapeli janczarskich i ze rżeniem koni.

Zaraz z początku rewji ruszył bokiem sam tabor, by nie tamować ruchów wojsk, i dopiero potem rozpoczął się właściwy przegląd. Powozy królewskie stały na niezbyt wyniosłej równinie, nieco w prawo od drogi, którą miały przechodzić pułki. W pierwszym siedziała królowa, przybrana w pióra, koronki i aksamity, błyszcząca od klejnotów, piękna i okazała, z pełną majestatu twarzą kobiety, która posiadała w życiu wszystko, czego tylko w najśmielszych zamysłach mogła pożądać, bo koronę i niewypowiedzianą miłość najsławniejszego ze spółczesnych monarchów. Równie, jak dygnitarze z najbliższego otoczenia królewskiego, była i ona pewna, że gdy król, jej małżonek, raz siądzie na konia, to w ślad za nim pójdzie, jak dotychczas zawsze szło, zwycięstwo i pogrom. I czuła, że w tej chwili oczy całego świata, począwszy od Carogrodu aż do Rzymu, Madrytu i Paryża, są na niego zwrócone, że całe chrześcijań-

[1]) Rodzaj trąby.

stwo wyciąga do niego ręce i w nim jeno i w tych żelaznych jego wojskach widzi ratunek, więc serce jej wzbierało dumą niewieścią. „Potęga nasza wzrośnie, a sława wyniesie nas nad wszystkie inne króle“ — mówiła sobie w duszy, i dlatego, choć ów małżonek prowadził zaledwie dwadzieścia kilka tysięcy ludzi przeciw nieprzeliczonym zastępom tureckim, pierś jej zalewała radość, i żadna chmura obawy lub niepokoju nie zasępiała jej białego czoła. „Patrzcie na zwycięzcę, patrzcie na króla ojca — mówiła do dzieci, wypełniające tak powóz, jak pisklęta wypełniają gniazdo — gdy wróci, świat ukląknie przed nim w podzięce.“

W samych powozach widać było to wdzięczne twarze panien dworskich, to infuły biskupie, to poważne i surowe oblicza senatorów, którzy zostawali w domu, by sprawować rządy w zastępstwie pana. Sam król był już przy wojsku, ale widać go było dobrze, opodal na wzgórzu, śród hetmanów i jenerałów, między którymi czynił wrażenie siedzącego na koniu olbrzyma. Wojska miały przechodzić poniżej, jakby u jego stóp.

Więc przetoczyła się naprzód z głuchym turkotem i ze zgrzytem łańcuchów artylerja pana Marcina Kątskiego; po niej szły regimenty piesze z muszkietami na ramionach, pod wodzą oficerów, zbrojnych w szable, w bandolety[1]) i w długie trzciny, któremi ład czyńili śród szeregów. Szły te pułki w czworobokach, do ruchomych fortec podobne, krokiem pod miarę, równym i grzmiącym. Każdy, przechodząc wedle powozu królowej, witał ją gromkim okrzykiem i zniżał chorągiew na znak czci. Były między niemi niektóre, lepiej od innych przybrane i dość okazałą czyniące postać; lecz najokazalej przedstawił się regiment kaszubski, w błękitnych koletach[2]) z żółtemi ładownicami, złożony z tęgich naschwał chłopów, rosłych i tak dobranych, że jeden wydawał się być drugiemu bratem, ciężkie muszkiety poruszały się w ich potężnych dłoniach, jak trzciny. Na głos piszczałki stanęli przed królem, jak jeden mąż, i sprezentowali broń tak sprawnie, że król uśmiechnął się z zadowoleniem, a dygnitarze poczęli do się mówić: „Ej! z tymi to i gwardji sułtańskiej niezdrowo się będzie spotkać! lwy to prawdziwe, nie ludzie!“

Lecz zaraz za nimi poczęły przeciągać chorągwie lekkiej jazdy polskiej. Rzekłbyś, hipocentaury[3]), tak każdy człowiek

[1]) Rodzaj dawnej broni palnej.
[2]) Kolet — kurta żołnierska.
[3]) Mitologiczna postać, pół-człowieka, pół-konia.

i koń jedną stanowili całość: nieodrodni synowie owych eleárów[1]), którzy swego czasu stratowali całe Niemcy, roznosząc na szablach i kopytach pułki, ba! nawet i całe armje wyznawców Lutra. Najcięższa obca jazda nie mogła się im w równej sile oprzeć, najlżejsza — uciec przed nimi. O nich to po Chocimiu mówił sam król: „Byle doprowadzić, to wytną wszystko, jako kosiarze trawę.“ I choć w tej chwili przeciągali wolno przed powozami, każdy, nawet wcale nieobyty z wojną człowiek, łacnie odgadywał, że w danym razie chyba wicher jeden mógł szybciej od nich pędzić, zwracać się i uderzać. Krzywuły i kotły grzmiały przed nimi, a oni szli, chorągiew za chorągwią, z gołemi szablami, które w drgającym blasku słonecznym wydawały się, jak miecze ogniste. Minąwszy powozy dworskie, zakołysali się nagle, jak fala, i ruszyli rysią[2]), potem cwałem i, zatoczywszy olbrzymie koło, przeszli znów, ale już, jak huragan, koło królowej z przeraźliwym okrzykiem: „Bij, morduj!“ z szablami w wyciągniętych prawicach, jak do ataku, na koniach, o rozdętych chrapach, rozwianych grzywach i jakby oszalałych od pędu. I przeszli tak jeszcze raz, drugi, a dopiero za trzecim nawrotem zatrzymali się prawie nagle, nie łamiąc szeregów, tak równo, zgodnie i dokładnie, że cudzoziemcy, których wielu było przy dworze, a zwłaszcza ci, którzy po raz pierwszy widzieli w polu jazdę polską, poczęli spoglądać na się ze zdumieniem, jakby oczom własnym nie wierząc.

Poczem zamigotało i zakwitło, jakby kwieciem, całe pole od dragonów. Niektóre ich pułki przyszły pod panem Jabłonowskim z pod Trębowli, niektóre wystawili magnaci, a jeden — sam król z własnej szkatuły, którym pan de Maligny, brat królowej, dowodził. Służył w dragonach po większej części lud prosty, ale do konia od dziecka zaprawny, ćwiczony w różnych bojach, w ogniu uporczywy, wręcz mniej od szlachty straszny, ale karny i na trudy wojenne najwytrzymalszy.

Lecz największa rozkosz dla dusz i oczu poczęła się dopiero wówczas, gdy ruszyły się chorągwie usarskie. Posuwały się one spokojnie, jak na tak górne pułki przystało. Trzymane w górę kopje sterczały nad nimi, jak las, a w górze drgała, poruszana lekkim powiewem, tęczowa chmura proporców[3]). Konie ich większe, niż w innych chorągwiach, zbroje stalowe, nabijane złotem, na plecach skrzydła, w których pióra czyniły

[1]) Eleary, czyli lisowczycy, ochotniczy oddział polski; walczył po stronie katolików w wojnie 30-letniej (1618—1648).
[2]) Kłus, trucht.
[3]) Chorągiewka u kopji.

nawet w spokojnym pochodzie taki szum, jaki słyszeć można między gałęźmi w głębi boru, wielka bijąca od nich powaga i jakby duma; wszystko to czyniło takie wrażenie, że królowa, damy dworskie, senatorowie, a zwłaszcza zagraniczni goście aż powstali w powozach, by im się lepiej przypatrzyć. Było coś groźnego w tym pochodzie, mimowoli bowiem przychodziło każdemu na myśl, że, gdy taka ławica żelazna runie przed siebie, wówczas zmiażdży, rozniesie, zetrze wszystko przed sobą i że niemasz siły ludzkiej, którąby się jej oprzeć mogła. Nie tak to dawne były czasy, gdy trzy tysiące takiej jazdy starły na proch pięć razy liczniejsze zastępy szwedzkie; jeszcze mniej dawne, gdy jedna taka chorągiew przeszła, jak duch zniszczenia, przez całą armję Karola Gustawa; a całkiem świeże, gdy pod Chocimiem ta sama husarja, pod wodzą tegoż samego króla, stratowała gwardję janczarską tak łatwo, jak łan zboża. Wielu z tych, którzy brali udział w owym pogromie chocimskim, służyło dotychczas pod dawnemi znakami, i ci szli teraz pod mury obcej stolicy, dumni, pewni siebie, spokojni — na nowe żniwo.

Siła i groza zdawała się być duszą tych chorągwi. Wstał nagle za nimi południowy wiatr, zafurkotał w proporce, zwiał ku przodowi trefione grzywy końskie i uczynił szum tak mocny w skrzydłach, że aż andaluzy[1]) w powozach poczęły przysiadać za zadach.

Chorągwie zbliżyły się na kroków dwadzieścia do karoc, poczem zwróciły się w bok i szwadronami poczęły przechodzić mimo.

Za chorągwią królewicza Aleksandra nadciągnęły i przeszły inne, równie świetne i równie straszne, poczem, śladem innych pułków, zatoczywszy wielki krąg, ustawiły się na równinie prawie na tych samych miejscach, z których wyruszyły w czasie rewji, ale już w szyku pochodowym.

Z powozów, stojących na wyniesieniu, wzrok mógł ogarnąć całe niemal wojsko. W pobliżu i w dali widać było błyszczące zbroje, krasne mundury, błyskania mieczów, sterczące lasy dzid, chmury proporców, a nad niemi wielkie chorągwie, nakształt olbrzymich kwiatów; od stojących bliżej pułków powiew donosił zapach potu końskiego, i dochodziły krzyki komendantów, głuche odgłosy kotłów i świst piszczałek. A w tych odgłosach, w tych okrzykach, w tej radości i ochocie bojowej było coś zwycięskiego. Zupełna pewność zwycięstwa Krzyża nad półksiężycem spłynęła na wszystkie serca.

Król zabawił jeszcze przez mgnienie oka przy powozie królowej, poczem ruszył wskok do wojska, żegnany krzyżem

[1]) Gatunek koni hiszpańskich.

z relikwjami przez biskupa krakowskiego. Po chwili przeraźliwy dźwięk trąb targnął powietrzem, i masy ludzi i koni zakolebały się i poczęły zwolna wydłużać, a wreszcie ruszyły przed się ku zachodowi. Na przodzie widać było znaki lekkich chorągwi, za niemi szły husarje, pochód zamykali dragoni.

Ksiądz biskup krakowski podniósł obiema rękoma krzyż z relikwjami jak najwyżej nad głową.

— Boże Abrahamów, Boże Izaaków, Boże Jakóbów, zmiłuj się nad ludem Twoim!

A w tej chwili przeszło z dwudziestu tysięcy piersi zabrzmiała pieśń, którą podobno pan Kochowski umyślnie na tę wyprawę ułożył:

Dla Ciebie, Panno czysta,
Matko Niepokalana,
Idziemy bronić Chrysta,
Naszego Pana.
Dla cię, Ojczyzno droga,
I dla cię, Orle biały,
Idziemy gromić wroga
Na polu chwały.

H. Sienkiewicz.

122. Opowieść Wojskiego o Domejce i Dowejce.

Domejki i Dowejki wszystkie sprzeciwieństwa
Pochodziły, rzecz dziwna, z nazwisk podobieństwa
Bardzo niewygodnego. Bo gdy w czas sejmików
Przyjaciele Dowejki skarbili stronników,
Szepnął ktoś do szlachcica: „Daj kreskę Dowejce“;
A ten, nie dosłyszawszy, dał kreskę Domejce.
Gdy na uczcie wniósł zdrowie marszałek Rupejko:
„Wiwat Dowejko“, drudzy krzyknęli: „Domejko“;
A kto siedział w pośrodku, nie trafił do ładu,
Zwłaszcza przy niewyraźnej mowie w czas obiadu.

Gorzej było. Raz w Wilnie jakiś szlachcic pjany
Bił się w szable z Domejką i dostał dwie rany;
Potem ów szlachcic, z Wilna wracając do domu,
Dziwnym trafem z Dowejką zjechał się u promu.
Gdy więc na jednym promie płynęli Wilejką,
Pyta sąsiada: kto on? odpowie „Dowejko“;
Nie czekając, dobywa rapier z pod kirejki[1]):
Czach, czach, i za Domejkę podciął wąs Dowejki.

[1]) Odzienie w kształcie surduta, podszytego futem.

Wreszcie, jak na dobitkę, trzeba jeszcze było,
Żeby na polowaniu tak się wydarzyło,
Że stali blisko siebie oba imiennicy
I do jednej strzelili razem niedźwiedzicy.
Prawda, że po ich strzale upadła bez duchu,
Ale już pierwej niosła z dziesiątek kul w brzuchu:
Strzelby z jednym kalibrem miało wiele osób!
Kto zabił niedźwiedzicę? Dojdźże! jaki sposób?

Tu już krzyknęli: „Dosyć! trzeba raz rzecz skończyć,
Bóg nas, czy djabeł złączył, trzeba się rozłączyć;
Dwóch nas, jak dwóch słońc, pono zanadto na świecie“,
A więc do szerpentynek[1]) i stają na mecie.
Oba szanowni ludzie; co ich szlachta godzą,
To oni na się jeszcze zapalczywiej godzą.
Zmienili broń; od szabel szło na pistolety.
Stają, krzyczym, że nadto przybliżyli mety;
Oni na złość, przysięgli przez niedźwiedzią skórę
Strzelać się, śmierć niechybna! prawie rura w rurę;
Oba tęgo strzelalli. — „Sekunduj, Hreczecha!“
Zgoda, rzekłem, niech zaraz dół wykopie klecha:
Bo taki spór nie może skończyć się na niczym;
Lecz bijcie się szlacheckim trybem, nie rzeźniczym,
Dosyć już mety zbliżać, widzę, żeście zuchy;
Chcecie strzelać się, rury oparłszy na brzuchy?
Ja nie pozwolę; zgoda, że na pistolety,
Lecz strzelać się nie z dalszej, ani z bliższej mety,
Jak przez skórę niedźwiedzią. Ja rękami memi,
Jako sekundant, skórę rozciągnę na ziemi
I ja sam was ustawię. Waść po jednej stronie
Stanie na końcu pyska, a waść na ogonie.
„Zgoda!“ wrzaśli; czas? — Jutro — miejsce? Karczma Usza.
Rozjechali się. Ja zaś do Wirgilijusza[2]).
Wszak wiecie, waćpanowie, jak królowa Dydo
Przypłynęła do Libów i tam z wielką biedą
Wytargowała sobie taki ziemi kawał,
Któryby się wołową skórą nakryć dawał;
Na tym kawałku ziemi stanęła Kartago[3])!
Więc ja to sobie w nocy rozbieram z uwagą.

Ledwie dniało, już z jednej strony taradejką
Jedzie Dowejko, z drugiej na koniu Domejko.

[1]) Szerpentyna — szabla.
[2]) Poeta rzymski, autor poematu Eneida.
[3]) Opowiadanie o Dydonie i założeniu Kartaginy znajduje sie w Eneidzie.

Patrzą, aż tu przez rzekę leży most kosmaty,
Pas ze skóry niedźwiedziej, porzniętej na szmaty.
Postawiłem Dowejkę na zwierza ogonie
Z jednej strony, Domejkę zaś po drugiej stronie.
Pukajcie teraz, rzekłem, choć przez całe życie,
Lecz póty was nie spuszczę, aż się pogodzicie.
Oni w złość; a tu szlachta kładnie się na ziemi
Od śmiechu, a ja z księdzem słowy poważnemi
Nuż im z Ewanielii, z Statutów dowodzić;
Niema rady: śmieli się i musieli zgodzić.

Spór ich potem w dozgonną przyjaźń się zamienił,
I Dowejko się z siostrą Domejki ożenił,
Domejko pojął siostrę szwagra, Dowejkównę,
Podzielili majątek na dwie części równe,
A w miejscu, gdzie się zdarzył tak dziwny przypadek,
Pobudowawszy karczmę, nazwali „Niedźwiadek“.

A. Mickiewicz.

123. Sobieski pod Chocimiem.

Noc była dżdżysta, zimna i długa, listopadowa; ale wszystkie pułki stały w sprawie mimo głodu i niewczasu. Artylerzyści i piechota ciągnęli armaty po przepaścistych parowach i lepkiem błocie na nowe pozycje i kopali ziemię pod baterje, które urządzono już w odległości muszkietowego strzału pod wałami nieprzyjacielskiemi, a jak tylko ukończono ustawianie dział, zaraz zaczynała się kanonada. Strzelali i Turcy naoślep. Huku było dosyć. Sobieski przysiadał się na lawecie lub chodził dla rozgrzania się.

Nareszcie zawitał dzień św. Marcina, 11. listopada, sobota. Przy bladem jego świetle oglądał Sobieski fortyfikacje i stanowiska tureckie, obchodząc je pieszo. Dostrzegł, czego się zapewne spodziewał, że na wałach przerzedziła się piechota, chociaż powiewała ta sama liczba chorągwi. Rzekł więc do swojej świty: „Turcy są wrażliwsi na zimno i niewczasy wojenne, aniżeli Polacy. Teraz czas uderzyć.“ I rozesłał rozkazy „na wszystkie poczty“, do wszystkich pułków. Był pewien, że się żaden nie spóźni. Umilkły armaty Kątskiego, żeby swoich nie razić.

Sobieski dobył szabli i przemówił w krótkich, lecz dosadnych słowach o pomszczeniu zbezczeszczonych świątnic Pańskich i podźwignieniu osłabionej Ojczyzny: „A więc, żołnierzu, bij poganina i zwyciężaj. Przepowiada mi dusza, że

krótka chwila wystarczy do zwycięstwa. Szyję mi uciąć, jeśli ich za kwaterę (to jest za kwadrans) nie wezmę.“ I, stanąwszy na czele swego regimentu dragonów, poprowadził go do fosy. Ale podbiegli do niego oficerowie i zaklinali, aby nie narażał swojej osoby przez wzgląd na los wojska, stojącego na obcej ziemi przed obliczem potężnego nieprzyjaciela. Zapewniali, że każdy z nich gotów jest umrzeć, lecz wódz powinien dbać o ratowanie ich wszystkich i o dobro powszechne. Usłuchał ich, wsiadł na konia „na strzelanie z pistoletu od wałów“ i wrócił do swej czynności hetmańskiej.

Bo jego brawura żołnierska już wywarła pożądane wrażenie. „Niesłychanie ochotnie i odważnie skoczyły regimenty“ Koryckiego i Żebrowskiego od prawego skrzydła, Denhoffa, Tetwina, Assuerusa, Heydepola od lewego, a Hieronim Petrykowski z regimentem Marcina Kątskiego stanął na wale. Nadbiegły tuż z drugiej linji regimenty poległego wczoraj Danemarka, Krzysztofa de Rohan, J. Grebena, St. Piotrkowczyka, Fr. Gałeckiego. Z dywizji hetmana polnego Stefan Czarniecki, pisarz polny koronny, pieszo przewodził piechocie i stawał, „jako kawaler“. Ruszył też Pac, „młódź litewska“ obok polskiej darła się na stoki. W kwadrans czy w pół kwadransa, t. j. prawie „w mgnieniu oka“, ukazały się sztandary polskie na szczycie wałów.

Ośm tysięcy janczarów legło pod ciosami bardyszów[1]) i pik lub od ognia muszkietów. Rzeczycki, zdobywszy baterję, obrócił działa tureckie na Turków.

Był to pomyślny początek, ale jeszcze nie zwycięstwo.

Sobieski kazał rozkopywać wał i zapełnić fosę ziemią oraz układaniem pomostu z wywracanych pali, aby utorować drogę dla jazdy. Ale wpierw wyleciała jazda turecka przez bramę południową z okrzykiem: „Ałłach! Ałłach!“ Przepuściła ją piechota, ponieważ wielu żołnierzy rozbiegło się na łupy i chorągwie bardzo zeszczuplały. Szczęściem, zatrzymali Turków strażnik Bidziński i dzielny chorąży Skoraszewski, a Jabłonowski, uderzywszy swoją husarją, wparł ich napowrót i na ich karkach wjechał do obozu. Za nim pośpieszył Sobieski.

Zdawało się, że teraz nieprzyjaciel już został złamany, gdy gromili go z drugiej strony litewscy hetmani. Z wielką zapalczywością rzucał się Radziwiłł, bo stoczył walkę pojedynkową z jakimś baszą i zabił go własną ręką. Sobieskiemu składano powinszowania: Potocki, wojewoda kijowski, hrabia Maligny, liczni oficerowie. Hussein basza z kilku odami[2])

[1]) Kij z siekierką nakształt halabardy.

[2]) Oddział wojska tureckiego.

opuścił plac boju i uchodził przez most ku Kamieńcowi. Lecz basza Bośni, Soliman, zgromadził kilka tysięcy koni i rzucił się ku bramie cecorskiej. Odparty przez pułki ks. Dymitra Wiśniowieckiego i wojewody kijowskiego, zawrócił nagle i leciał na orszak hetmański z tyłu. Był już o pół strzelenia z pistoletu od Sobieskiego. I tu wszakże znalazły się w krótkiej chwili cztery chorągwie husarji, którym na pomoc nadbiegła chorągiew pancerna Ludwika Niezabitowskiego. Po zaciętym boju Bośniacy zostali zepchnięci do fosy, która wkrótce zapełniła się ich trupami.

Teraz dopiero nastąpił pogrom zupełny. Reszta jazdy bośniackiej, po ciałach towarzyszy swoich przebywszy fosę, leciała ku Dniestrowi; nieprzytomna ze strachu, czy ogarniona rozpaczą, wpadła na skaliste urwisko i skakała w jar na złamanie karku. Domyślano się, że wolała ginąć w ten sposób, niż z ręki giaurów. Tej myśli nie miał Bidziński, który, zapędziwszy się w pościgu, podobnież skoczył ze skały, ale już na kupę ludzi i koni: więc nie zabił się, tylko się potłukł mocno. Największa masa uciekała na most, który się rozerwał: więc tysiące utonęło w Dniestrze. A Miączyński z Wołoszą od hospodara Giki i Ruszczyc przeprawili się wpław i bili ocalonych, zaścielając trupem gościniec kamieniecki. Ale Husseina-baszy nie dogonili: dopadł on do Kamieńca, a z nim trzy do 4-ch tysięcy. Tych jednak Halil-basza dla niedostatku żywności nie wpuścił, więc uchodzących ku Dunajowi chłopi i opryszkowie, zebrawszy się około Chreptiowa, „na głowę“ znieśli.

T. Korzon.

124. Pogrzeb Wołodyjowskiego.

W kolegjacie stanisławowskiej stał na środku kościoła wysoki katafalk, rzęsiście obstawiony świecami, a na nim leżał w dwóch trumnach, ołowianej i drewnianej, pan Wołodyjowski. Wieka były już zabite i właśnie odprawiano pogrzeb. Życzeniem serdecznem wdowy było, by ciało spoczęło w Chreptiowie, lecz, że całe Podole było w rękach nieprzyjacielskich, więc tymczasowo miano je pochować w Stanisławowie, do tego bowiem miasta odesłani zostali pod konwojem tureckim kamieniecey „exules“[1]) i tu wydani w ręce wojsk hetmańskich.

Wszystkie dzwony biły w kolegjacie. Kościół zapełniony był tłumem szlachty i żołnierzy, którzy ostatni raz chcieli rzucić okiem na trumnę „Hektora kamienieckiego“ i pierwszego

[1]) Wygnańcy.

Rzeczypospolitej kawalera. Szeptano, że sam hetman ma na pogrzeb przyjechać, że jednak nie było go dotąd widać, a lada chwila mogli nadejść czambułem Tatarzy, przeto postanowiono nie odkładać ceremonji.

Starzy żołnierze, przyjaciele lub podkomendni nieboszczyka, stanęli wieńcem koło katafalka. Byli między innymi obecni: pan Muszalski łucznik, i pan Motowidło i pan Snitko, i pan Hromyka i pan Nienaszyniec, i pan Nowowiejski, i wielu innych, dawnych oficerów ze stannicy.

Dziwnym trafem nie brakło prawie nikogo z tych, którzy niegdyś zasiadali wieczorami ławy przy ognisku chreptiowskiem; wszyscy wynieśli cało głowy z tej wojny; tylko ów, który im był wodzem i wzorem, ów rycerz dobry i sprawiedliwy, straszny dla nieprzyjaciół, słodki dla swoich, tylko ów szermierz nad szermierze, z sercem gołębia leżał oto wysoko, wśród światła, w chwale niezmiernej, ale w ciszy śmierci.

Zatwardziałe przez wojnę serca kruszyły się z żalu na ów widok; żółte błyski od świec oświecały srogie, strapione twarze wojowników i odbijały się błyszczącemi skrami we łzach, płynących z oczu.

W środku żołnierskiego koła leżała krzyżem na podłodze Basia, a obok niej stary, zniedołężniały, złamany i trzęsący się pan Zagłoba. Ona przybyła tu piechotą z Kamieńca, za wozem, wiozącym najdroższą trumnę, a teraz właśnie przyszła chwila, że trzeba było tę trumnę oddać ziemi. Przez całą drogę, idąc nieprzytomna, jakby nie do tego świata należąca, i teraz przy tym katafalku powtarzała bezświadomemi usty: „Nic to!“ — powtarzała, bo tak jej kazał ten ukochany, bo to były ostatnie wyrazy, które jej przesłał; ale w tem powtarzaniu i w tych wyrazach były tylko dźwięki bez treści, bez prawdy, bez znaczenia i otuchy. Nie „nic to“ było, jeno żal, ciemność, rozpacz, martwota, jeno nieszczęście niepowrotne, jeno życie zabite i złamane, jeno błędna świadomość, że już niema nad nią ni miłosierdzia, ni nadziei, a jest tylko pustka i będzie pustka, którą wypełnić może jeden Bóg, kiedy śmierć ześle.

Dzwony biły, u wielkiego ołtarza kończyła się msza.

Nakoniec zabrzmiał wysoki, jakby z otchłani wołający głos księdza: „Requiescat in pace!“ Drgania febryczne wstrząsnęły Basią, a w nieprzytomnej głowie zerwała się tylko jedna myśl: „Już mi go zabiorą!“

Lecz nie był to jeszcze koniec ceremonji.

Rycerstwo przygotowało liczne mowy, które miały być wypowiedziane przy spuszczaniu trumny w dół, tymczasem zaś wyszedł na ambonę ksiądz Kamiński, ten sam, który dawniej w Chreptiowie często przesiadywał i który w czasie choroby Basi na śmierć ją dysponował.

W kościele poczęli ludzie chrząkać i kaszlać, jako zwykle przed kazaniem, poczem ucichli i wszystkie oczy zwróciły się na ambonę.

Wtem z ambony ozwało się warczenie bębna. Zdumieli się słuchacze.

Ksiądz Kamiński zaś bił w bęben, jakby na trwogę; nagle urwał i nastała cisza śmiertelna. Poczem warczenie ozwało się po raz drugi, trzeci; nagle ksiądz Kamiński cisnął pałeczki na podłogę kościelną, podniósł obie ręce w górę i zawołał:

— Panie pułkowniku Wołodyjowski!

Odpowiedział mu krzyk spazmatyczny Basi. W kościele uczyniło się poprostu straszno. Pan Zagłoba podniósł się i na spółkę z panem Muszalskim wynieśli omdlałą niewiastę z kościoła.

Tymczasem ksiądz wołał dalej:

— Dla Boga, panie Wołodyjowski! Larum grają! wojna, nieprzyjaciel w granicach! a ty się nie zrywasz? szabli nie chwytasz? na koń nie siadasz? Co się stało z tobą, żołnierzu? Żaliś swej dawnej przepomniał cnoty, że nas samych w żalu jeno i trwodze zostawiasz?

Wezbrały rycerskie piersi i płacz powszechny zerwał się w kościele, i zrywał się jeszcze kilkakrotnie, gdy ksiądz cnotę, miłość ojczyzny i męstwo zmarłego wystawiał, a i kaznodzieję porwały własne słowa. Twarz mu pobladła, czoło okryło się potem, głos drżał. Uniósł go żal nad małym rycerzem, żal nad Kamieńcem, żal nad zgubioną rękoma wyznawców księżyca Rzeczpospolitą, i taką wreszcie kończył swoją mowę modlitwą:

— Kościoły, o Panie, zmienią na meczety i koran śpiewać będą tam, gdzieśmy dotychczas Ewangelję śpiewali.

— Pogrążyłeś nas, Panie, odwróciłeś od nas oblicze Twoje i w moc sprośnemu Turczynowi nas podałeś. Niezbadane Twoje wyroki, lecz kto, o Panie, teraz opór mu stawi? jakie wojska na kresach wojować go będą? Ty, dla którego nic nie jest w świecie zakryte, Ty wiesz najlepiej, że niemasz nad naszą jazdę! która Ci, Panie, tak skoczy, jako nasza skoczyć potrafi? Takichże obrońców się pozbywasz, za których plecami całe chrześcijaństwo mogło wysławiać imię Twoje? Ojcze dobrotliwy! nie opuszczaj nas! okaż miłosierdzie Twoje! ześlij nam obrońcę, ześlij sprośnego Mahometa pogromcę, niech tu przyjdzie, niech stanie między nami, niech podniesie upadłe serca nasze, ześlij go, Panie!...

W tej chwili rum uczynił się przy drzwiach i do kościoła wszedł pan hetman Sobieski. Oczy wszystkich zwróciły się na niego, dreszcz wstrząsnął ludźmi, a on szedł z brzękiem ostróg ku katafalkowi, wspaniały, z twarzą Cezara, ogromny...

Zastęp żelaznego rycerstwa szedł za nim.

— Salvator[1]) — krzyknął ksiądz w proroczem uniesieniu.

A on klęknął przy katafalku i począł się modlić za duszę Wołodyjowskiego *H. Sienkiewicz.*

125. Giermek.

Był czas, gdyśmy za przedmurze,
Za tarcz ludom świata stali,
Był czas, gdyśmy wschodnie burze
Piersią naszą odpierali.
Lasem polskich dzid narody
Zasłaniane od podboju,
Wynuciły pieśń swobody,
Pieśń miłości, pieśń pokoju!
Naszym hymnem był szczęk broni,
Trąb wojennych dzikie dźwięki,
Wrzawa bitew, wrzask pogoni
I rozległe rannych jęki.
Złoci wieczór łan Podola,
Ciągną wojska, tabor, wozy;
Tętnią całe lasy, pola,
Stoją groźne dwa obozy:
Z jednej strony sztandar wiary,
Siwy hetman, młodzież dziarska;
Z drugiej wściekłość, krew, pożary
I straszliwa czerń tatarska.
Jutro, jutro z rannym brzaskiem
Dzień gonitwy, dzień rozprawy...
Słońce krwawym zaszło blaskiem;
Bój to będzie straszny, krwawy.
Ledwie pierwszy zmrok zapada,
Polski hetman kord przypasze,
Z młodym giermkiem na koń siada
I objeżdża czaty nasze.
Jedzie, patrzy w obóz dziczy,
Słucha gwaru, rżenia koni,
Pyta, zważa, ognie liczy
I już w myśli łamie, goni.

[1]) Obrońca, zbawca (łac.).

O! nie ciesz się, wodzu stary:
Zmienne wojny są koleje,
Nie tak łatwo to z Tatary:
Słuchaj, patrzaj, co się dzieje.
— Hura! hura! — pędzi horda,
Nocny napad w obóz leci.
Giermek za broń, wódz do korda;
— Na koń! woła, na koń, dzieci!
Śpieszą, biegną do swych szyków,
Wpośród nocnych pędzą cieni,
Gdy wtem z grzmotem nowych krzyków
Zewsząd czernią otoczeni.
Tną i walczą na przebicie:
Rąbie hetman, giermek łamie,
Całą młodość, ogień, życie
W wojujące przelał ramię.
I już słyszą, słyszą wdali,
Jak nadbiega polska wiara...
Ale już ich nie ocali,
Już nie wyrwie z rąk Tatara.
Wzięty giermek, hetman wzięty:
Krzyczy, huczy motłoch dziki,
Bucha gniewem chan zacięty,
Patrząc na swe niewolniki,
Wre i zemstą ryczy srogą;
Każe jednem skuć żelazem
Nogę giermka z wodza nogą
I tak obu więzić razem.
Smutnie wzrok ich wzniósł się, zwrócił
Na wysokie gwiazd sklepienia;
Ale nacóżbym wam nucił
Ich boleści, ich marzenia?
O! kto nigdy pęt nie nosił,
Kto nie jęczał w wrogów mocy,
Strawy swojej łzą nie rosił,
Nie przetęsknił długich nocy,
Kto w półdzikim, podłym tłumie
Nie wlókł ciężkich lat niedoli,
Nie, nie pojmie, nie zrozumie,
Jak jest gorzkim chleb niewoli!
Zasnął hetman siwobrody,
Zasnął, jakby między swemi;
Nie śpi, czuwa giermek młody,
Długo o swej duma ziemi.

I łza tryska mu z źrenicy,
Żal i rozpacz serce tłoczy,
Gdy wtem nagle w swej ciemnicy
Zapomniany topór zoczy.
Patrzy, duma, drży i marzy,
Serce szczytnym ogniem płonie,
Wielki zamiar w duszy waży,
Topór w obie chwyta dłonie,
I podnosi ręką śmiałą,
Mężnie ku swym pętom zwróci,
Tnie, odcina nogę całą
I hetmana swego cuci!
— Wolnyś — rzecze — straż zaspana.
Uchodź, ocal twą krainę,
Śpiesz i pobij wojsko chana!
Ja z radością tutaj zginę. —
Powstał hetman i wzniósł dłonie,
Rzewnemi się łzami zalał,
Żegnał, Boskiej zdał obronie,
Ścisnął, uszedł i ocalał.
I straż nagle z snu się zrywa,
Wieść ucieczki wodza szerzy,
I sam wreszcie chan przybywa
I zaledwie oczom wierzy.
Długo, długo wzrok swój wryty
W śmiałych topi mu źrenicach,
Stoi, jakby gromem zbity,
Po dostojnych czyta licach...
I odpycha wszystkie straże...
Cnota dzikość zwyciężyła!...
Każe leczyć, darzyć, każe
I do Lachów go odsyła.

. . . . . .

W świetnym dworzan, wodzów gronie,
Szkarłatnemi szaty odzian,
Siadł król polski na swym tronie,
Wdzięczny przy nim stanął młodzian.
W miejscu nogi prosta kula
Ujmującą postać wspiera,
I dwór cały się rozczula,
Z szmerem dziwu nań spoziera.
I dwaj wiodą go rycerze,
Kornie przed tron przystępuje:

Król z wezgłowia Szczerbiec bierze
I rycerzem go pasuje.
Gdy wtem z pośród wodzów koła
Hetman nogę niesie złotą:
— Oto herb twój! — król zawoła —
Wysłużony twoją cnotą.
I porywa dłoń rycerza,
Wśród okrzyków ludu wiedzie,
I przed ołtarz Pański zmierza
I sam klęka z nim na przedzie.
O blask, chwałę swych orężów
Kornie w niebo dłonie wznosił,
I o więcej takich mężów
Dla ojczyzny swojej prosił. *Fr. Morawski.*

126. Kmicic porywa Bogusława Radziwiłła.

— Służę waszej książęcej mości.

Książę wziął kapelusz i wyszli.

Przed kołowrotem ludzie kmicicowi trzymali dwa zapasowe, całkiem osiodłane konie, z których jeden, istotnie bardzo rasowy, czarny, jak kruk, ze strzałką na czole i białą pęciną u nogi, zarżał lekko na widok swego pana.

— To ten! zgaduję! — rzekł książę Bogusław. — Nie wiem, czy takie dziwo, jakeś mówił, ale istotnie zacny koń.

— A przeprowadzić-no go! — krzyknął Kmicic. — Albo nie! czekaj, ja sam siądę!

Żołnierze podali konia, i pan Andrzej, siadłszy, począł go objeżdżać wedle kołowrotu. Pod biegłym jeźdźcem koń wydał się jeszcze dwakroć piękniejszy. Śledziona grała w nim, gdy szedł rysią, oczy wypukłe nabrały blasku i zdawało się, że chrapami wyrzuca ogień wewnętrzny, a grzywę wiatr mu rozwiał. Pan Kmicic zataczał koła, zmieniał chody, nakoniec najechał tuż na księcia, tak, że chrapy konia nie były dalej jak o krok od jego twarzy, i krzyknął:

— Alt!

Koń wsparł się czterema nogami i stanął, jak wryty.

— A co? — rzekł Kmicic.

— Jakto powiadają: oczy i nogi jelenia, chód wilka, chrapy łosia, a pierś niewiasty! — rzekł książę Bogusław. — Jest wszystko, co potrzeba. I komendę rozumie niemiecką?

— Bo go objeżdżał mój kawalkator[1]), Zend, który był Kurlandczyk.

[1]) Koniuszy.

— A ścigła szkapa?

— Wiatr w. ks. mości na nim nie dogoni. Tatarzyn przed nim nie ujdzie!

— Grzeczny musiał być kawalkator, bo widzę, że i wyjeżdżony koń bardzo.

— Czy wyjeżdżony? W. ks. mość nie uwierzy! Tak on chodzi w szeregu, że, gdy szereg idzie skokiem, możesz w. ks. mość cugle popuścić, a on się o pół chrapów z szeregu nie wysunie. Jeśli w. ks. mość raczy spróbować i jeśli się na dwóch stajach choć o pół łba wysunie, to darmo oddam.

— To byłoby największe dziwo, żeby się ze spuszczonemi cuglami nie wysunął.

— I dziwo, i wygoda, bo obie ręce wolne. Nieraz tak było, żem w jednej miał szablę, w drugiej pistolet, a koń szedł wolno.

— Ba, a jeśli szereg zawraca?

— Tedy zawróci i on, nie popsowawszy linji.

— Nie może być! — rzekł książę — tego żaden koń nie uczyni. Widziałem we Francji konie muszkieterów królewskich: nie psowały, ale przecie trzeba je cuglami prowadzić.

— W tym koniu człowieczy dowcip... Niechże w. ks. mość sam spróbuje.

— Dawaj! — rzekł po chwili namysłu książę.

Sam Kmicic podtrzymał konia do wsiadania, a książę skoczył lekko na kulbakę i począł klepać rumaka dłonią po lśniącym karku.

— Dziwna rzecz — rzekł — najlepsze szkapy na jesień szerszenieją, ten zaś jakoby z wody wyszedł. W którą stronę ruszymy?

— Ruszymy naprzód szeregiem, i jeśli wasza książęca mość pozwoli, to w drugą stronę ku lasowi. Droga tam równa i szeroka, a ku miastu mogłyby nam jakowe wozy przeszkodzić.

— Niechże będzie ku lasowi.

— Ze dwie staje równo! Puść w. ks. mość cugle z miejsca i skokiem. Dwóch ludzi z każdej strony, ja trochę z tyłu pojadę.

— Stawać! — rzekł książę.

Szereg stanął i zwrócił się głowami końskiemi ku drodze od miasta. Książę stał w środku.

— Ruszaj! — rzekł. — Z miejsca wskok!... Marsz!...

Szereg pomknął i po pewnej chwili szedł, jak wicher. Tuman kurzu zasłonił ich przed oczyma dworzan i masztalerzy, którzy, zebrawszy się gromadką przed kołowrotem, przyglądali się z ciekawością biegowi. Ćwiczone konie w największym pędzie, chrapiąc z wysilenia, przebiegły już staję lub więcej, i rumak książęcy, lubo nie trzymany cuglami, nie wysunął się istotnie ani na cal. Przebiegli drugą staję. Nagle Kmicic zwrócił się, a widząc za sobą jeno tumany kurzu, przez które zaledwie widać było dwór starościński, a wcale stojących przed nimi ludzi, krzyknął straszliwym głosem:

— Bierz go!

W tej chwili Biłous i olbrzym Zawratyński chwycili księcia za oba ramiona, aż kości zatrzeszczały mu w stawach, i, trzymając w żelaznych pięściach, poczęli bóść ostrogami własne konie.

Książęcy w środku trzymał się ciągle w szeregu, nie zostając, ani wysuwając się na cal naprzód. Zdumienie, przerażenie, wicher, bijący w twarz księcia Bogusława, odebrały mu w pierwszej chwili mowę. Szarpnął się jeno raz i drugi, lecz bez skutku, bo tylko ból od wykręconych ramion przeszył go na wylot.

— Co to jest? łotry!... Nie wiecie, ktom jest? — krzyknął wreszcie.

Wtem Kmicic trącił go lufą od krócicy między łopatki.

— Na nic opór, bo kula w krzyż! — zakrzyknął.

— Zdrajco! — rzekł książę.

— A ty kto? — odparł Kmicic.

I mknęli dalej.

H. Sienkiewicz.

127. Odbicie jasyru.

Czambuł posuwał się powoli i spokojnie, przechodząc kolejno z noclegu na nocleg. Z Popieluch ruszył, gdy już dzień był dobry; nic nie zapowiadało zmiany żadnej. Dzikie Pola znajdowały się niedaleko; jeńcy szli smutni wpośród wozów, okryci tumanami kurzawy.

Salwa broni ognistej, jaka się obiła o uszy ich nagle i niespodzianie, gdy tabor parów przebywał, stała się dla zrezygnowanych o ile nagłem, o tyle potężnem rozbudzeniem nadziei. Na salwę odpowiedzieli jeńcy okrzykiem radosnym.

Do wyzwolenia jasyru nie można było ani wybrać punktu sposobniejszego, ani zarządzić ataku stosowniej. Wyzwolenie nastąpiło wnet. Strzały dosięgły tatarskich woźniców i koni u wozów, skutkiem czego powstało zamieszanie, szereg się rozerwał i jeńcy rzucili się hurmem w lukę, która się otworzyła nawprost parowu, gdzie ich jazda tatarska ścigać nie

mogła. Tłocząc się jedni przez drugich i wywracając, jedni biegli, drudzy się staczali w dół, podczas kiedy śpieszące szwadrony wybiegały z zarośli, szykowały się, broń nabijały i w linji stawały. Demonstracja ta dostateczna była do odpędzenia eskorty od wozów. Jazda tatarska uniosła się w pole. Piechota kozacza opanowała tabor i urządziła się wnet w nim do dania odporu na wypadek zwrotu zaczepnego ze strony rabusiów. W tejże samej chwili szwadrony, stanowiące skrzydła prawe i lewe, wynurzyły się z lasu i, stosownie do rozkazów, bez oglądania się na nic, skoczyły naprzód z pochylonemi spisami. Skrzydłu lewemu, to jest szwadronom, którym za przewodnika służył Ostap, powiodło się lepiej. Miały metę krótszą, zachwyciły ordę z boku, i nie było dzidy, któraby Tatara nie nadziała.

Paręset trupów zwaliło się na ziemię; paręset koni pozostało bez jeźdźców. Reszta w dzikiej rozsypce poszła światami. Ścigać ich było to samo, co ścigać wiatr w polu. Dlatego też rotmistrz zatrzymał szwadrony i, zostawiając jeden na pobojowisku, posłał drugi w kierunku do linji bojowej równoległym, a to w tym celu, ażeby nieść pomoc, jeżeliby gdzie ona okazała się potrzebną.

Rozporządzenie to było jednem z tych, które chlubnie świadczą o przezorności wodzów. Pomoc okazała się potrzebną na prawem skrzydle, gdzie jeźdźców tysiąc godziło na dwieście. Szwadrony, które na stanowisko prowadził Jurek, nie mogły się dostać do hrybeckiego kopca bez zwrócenia na siebie uwagi nieprzyjaciela. Tatarzy, zaalarmowani wystrzałami, zoczyli je i mieli czas siłę ich rozpoznać. Zajmowali stanowisko dogodne, wnet przeto uszykowali się do boju w sławny półksiężyc i szykowanie się właśnie kończyli, kiedy szwadron lewego przechodził mimo zdobytego przez pułkownika taboru. Pułkownik, poznawszy, co się święci, wyprawił w tejże chwili jedną z setni po konie i sam z nią pośpieszył. Przygotowywała się rozprawa, mogąca jeszcze Polakom zwycięstwo wydrzeć. Szwadrony prawoskrzydłowe widziały wyraźnie szanse przeciwko sobie. Wyraźny jednak był rozkaz. Wahać się nie było można. Rotmistrz, Kozak, siwym ozdobion wąsem, uszykowawszy oddział, prowadził go przez burzany kłusem wyciągniętym, kierując się na środek szyku tatarskiego. Prowadząc, wstrząsał szablą w powietrzu i odzywał się od czasu do czasu głosem donośnym.

— Będzie taniec!... Trzymajcie się jeno, mołojce!...

Sadził przodem, spoglądając zpodełba na mające się zbiegnąć z tyłu skrzydło tatarskie ze skrzydłem polskiem.

— Trzymajcie się jeno! — hukał.

I setnik ów i z szeregowych każdy widział przed sobą na szans dziesięć dziewięć po stronie śmierci, jedną po stronie wyjścia obronną ręką. Każdy, zastanowiwszy się, powiedziałby: szaleństwo! Niejeden zastanawiał się zapewne. W niejednym odezwać się musiało uczucie przywiązania do bytu. Było na to czasu dosyć: staja drogi i przebieranie się przez burzany dawały sposobność nie tylko do zastanowienia się, ale i do pomyślenia o bezpieczeństwie własnem. Nie znalazł się jednak ani jeden, coby się dopuścił kroku, doradzanego przez instynkt samozachowawczy. Są bowiem chwile, są potrzeby, w których wzgląd na osobistość własną ustępuje względom ważniejszym, względom na osobistość zbiorową. Bezpieczeństwo a bezpieczeństwo, pożytek a pożytek, honor nawet a honor idą w tym razie w porównanie, i człek się rzuca naoślep w objęcia śmierci.

Kozacy i Piatyhorce, o których mowa, nie inaczej jak w poczuciu powinności szli na śmierć pewną. Wiedzieli, że, zatrzymując tę ordę, co groźne przed nimi rozwinęła siły, ułatwiają pułkownikowi zadanie odbicia jasyru.

Szli więc kłusem i, dochodząc na odległość właściwą, na znak starego setnika, kopnęli się w cwał.

Tatarzy wypuścili na nich najprzód chmurę strzał, następnie z krzykiem wielkim rzucili się naprzód. Okrzyk z piersi tysiąca: „Ałła“ — zlał się w jedno z okrzykiem „Hurra!“

Hufiec polski wnet otoczon został, i nastąpiło łamanie się jeźdźców pojedyńczych z obskakującymi ich napastnikami. Jeden rąbał się z kilkoma naraz. Trudność położenia dodawała i sił, i odwagi, i zręczności. Konie się tłoczyły, wspinały i wierzgały. Ludzie wściekle miotali się jeden na drugiego.

W największym nierównej tej walki wirze szwadron lewoskrzydłowy nadbiegł z pomocą. Wichrem sunął traktem i wpadł w tłum. Wmieszanie się jego było rozstrzygającem. Tatarzy wnet uciekać zaczęli.

Niebawem pokazał się szwadron, przez pułkownika prowadzony. Ten, poznawszy zdaleka, co się dzieje, zajechał w taki sposób, ażeby wpędzić niedobitków tatarskich na trzęsawisko, w rozlegającej się poniżej nieco dolinie, przez którą oni umknąć się starali. Manewr ten powiódł się w zupełności. Część znaczna najezdników wytonęła w błocie. Zwycięstwo odniesione było zupełne. Rozprawa ostatnia dała korzyści ze trzech setek jeńców, do ogólnego zaś bitwy rezultatu zaliczały się łupy i jasyr wyswobodzony. Trupów i rannych liczba ogromna zalegała pobojowisko. Pułkownik zarządził natychmiast ściganie niedobitków, zbieranie rannych i grzebanie zabitych. Do ścigania wyznaczył szwadronów cztery, które, wypocząwszy, pociągnęły

dalej traktem ku Dzikim Polom. Zadaniem ich było nie dopuścić zebrać się pobitym Tatarom i wystraszyć ich z granic Polski. Do zbierania rannych i grzebania trupów pomoc podali mieszkańcy okoliczni. Odgłos zwycięstwa rozszedł się wnet po lesie i wywabił z futorów[1]) i kryjówek ludzi dużo, którzy się chętnie do roboty wzięli. Wyzwoleni jeńcy, rzuciwszy się z taboru w zarośla, zbiegli naprzód w jar i następnie jarem dostali się w parów, w głębi którego sączy się Sawranka. Widok wody zatrzymał ich. Pragnienie było dolegliwością, co im najbardziej dokuczała. Zasiedli wzdłuż strumienia, jedni czerpali wodę dłońmi i do ust nieśli, drudzy kładli się i ciągnęli ją w siebie. Po zaspokojeniu pragnienia wszyscy prawie ablucje[2]) czynili, nie dlatego, ażeby przejąć się mieli zwyczajem tym od Tatarów, u których stanowi on część praktyk religijnych, przez proroka przepisanych, ale dlatego, żeby zdjąć z liców skorupę, powstałą z kurzawy. Jaki taki głośno dzięki do Boga nosił. Wkońcu sformowały się dwa szeregi ludzi, obojga płci, z różnych stanów, siedzących na obu brzegach strumienia i czekających na dalsze następstwa. Byli tam: szlachta, mieszczanie i chłopi, chrześcijanie i Żydzi, razem pomieszani. Spólność losu zatarła różnice wszelkie. Byli tam dorośli i małoletni. Dzieci trzymały się matek, te zaś, które od matek oderwano, garnęły się do kobiet. Na wszystkich znać było znękanie wielkie, połączone z wyrazem zadowolenia, jakie sprawiło odzyskanie wolności.

T. T. Jeż.

128. Pobudka.

Do czynu, hej, do czynu!
Pobudkę miłość gra...
Wstań, nowych haseł synu,
Niech pierzcha fałszu ćma!

Skalpel chwytaj, lekarzu!
Mędrcze, za pióro bierz!
Z krzyżem, co lśni w ołtarzu,
Na bój, kapłanie, śpiesz!

Nikt broni nie odpasze,
Aż ofiar padnie dość,
Niech giną wrogi nasze:
Nędza, choroba, złość!

Ławą na tego smoka,
Co się ciemnotą zwie,
Choć popłynie posoka,
Niech każdy żga i rwie!

Skruszmy bałwana z lodu,
Co drży u naszych bram:
Niech sczeźnie widmo głodu,
Niech nie wygraża nam!

Tu epidemja blada
Przyczaja się, jak zbój:
W łeb ją! niechaj przepada,
A z nią mar czarnych rój!

[1]) Zagroda na Ukrainie.
[2]) Omywani.

O pokoju marzenie,
Nim wyśni się, jak sen,
Przedtem przez walk płomienie
Przebrnąć świat musi ten.

Lecz walka nowa, śmiała
Z innych się toczy kart,
Tu armją — ludzkość cała,
Wrogami — noc i czart.

Wszyscy, ilu nas w świecie,
Huf złóżmy z dusz i ciał,
A wroga huf ten zgniecie
Bez mieczów, spis i dział!

Wieszczu! mędrcze! kapłanie!
Za pióro, skalpel, krzyż!
Niech armja murem stanie,
Ducha wzniesie na wyż!

Wstań, nowych haseł synu;
Niech pierzcha fałszu ćma...
Do czynu! hej, do czynu!
Pobudkę miłość gra

Wiktor Gomulicki.

129. Djabeł Wenecki.

Niedostateczne rozpoznanie przeszłości naszej sprawiało, że wiele czysto narodowych pojęć z obcego wyprowadzono źródła. Ten smutny proceder, praktykowany w rzeczach języka, obyczajów, ustaw publicznych, spotkał podobnież i Djabła Weneckiego. Niemasz zapewne nikogo, ktoby bogdaj raz w życiu nie usłyszał jego nazwiska. Osobliwie po wsiach, w uściech niewiast gderliwych, starych szlachcianek zagrodowych, tych chodzących zbiorów przysłów i przypowieści, brzmi ono częstym nawrotem. Każde dziecko niesforne, każdy dziwacznie wyglądający przechodzień, każdy wreszcie przedmiot łatwo rozniecenego ich gniewu bywa Djabłem Weneckim! Co to przecież za djabeł? żadna właściwie nie wie. Jakiś stary, przysłowiowy, to pewna; ale zresztą próżne pytania! I niema się czemu dziwić, zważywszy, że w gorącej emocji[1]), w jakiej ten gość piekielny wybucha zwyczajnie z ust naszych matron czcigodnych, nie dozwalała im zastanowić się trzeźwo nad jego znaczeniem historycznem. Słuszniejsze w tym względzie żądania moglibyśmy mieć do flegmatycznych uczonych, do chłodnych badaczy starożytności w mowie i obyczaju, zbieranych tak skrzętnie w ostatnich czasach. Atoli i uczeni niewiele o Djable Weneckim wiedzą. Linde w swoim słowniku objaśnia go temi słowy: „Djabeł Wenecki — bądź od maszkar zapustnych weneckich, bądź to, co kartezjańskie djabły (zabawki fizykalne, osóbki szklane, zanurzające się w wodę), że po wsiach kupują się od włoskich kramarzy.“ K. W. Wójcicki w swoich przy-

[1]) Wzruszeniu.

słowiach powtarza tylko słowa Lindego. Więcej nie przypominamy sobie żadnego wyjaśnienia. Kończy się wszystko na włoskiej Wenecji i włoskich kupcach.

Tymczasem grunt rzeczy wcale inny. Djabeł Wenecki nie był nigdy maszkarą zapustną, albo figurką szklaną, lecz herbowym szlachcicem polskim. Karcąc jego nazwiskiem dzieci krnąbrne, dziwiąc się niem dziwactwu, wznawiamy bezświadomie zamierzchłą już pamięć odwiecznych zdarzeń krajowych.

Jest w dawnej Wielkopolsce, w byłem województwie gnieźnieńskiem, jezioro, zwane Wenecją. Nad tem jeziorem wznosił się niegdyś zamek warowny, którego starożytne zwaliska możesz widzieć odrysowane w Raczyńskiego „Wspomnieniach wielkopolskich“, mówiących także w tekście o starym grodzie Wenecji. Kiedy ten gród był młody i jeszcze daleko mniej rozbudowany, niż go ruina przedstawia, za dni króla Ludwika, następcy Kazimierza Wielkiego, mieszkał tu potomek hardego rodu Nałęczów, imieniem Jan, dziedzic Wenecji, Wenecki. Piastował on urząd sędzi ziemskiego i miał stąd wielką władzę nad szlachtą, zwłaszcza uboższą, licznie w tych stronach rozrodzoną. Surowy bowiem obyczaj onego czasu nakazywał ulegać pokornie wyrokom sprawiedliwości, których słuszność, albo niesłuszność sam tylko król mocen był ważyć.

Jeśli zaś król, jak Kazimierzów następca, Ludwik, przebywał daleko za górami, a pokrzywdzony w sądzie chudzina nie mógł snadnie dostać się do stóp tronu, musiano na niesprawiedliwym poprzestać sądzie. Wielkie z tej przyczyny działy się uciemiężenia. Świadkowie onych czasów nie mogą dość nabiadać się na tę niedolę. „Nikt wówczas“ — pisze spółczesny archidjakon gnieźnieński, Jan z Czarnkowa — „nie zdołał uzyskać sprawiedliwości. Jeśli bowiem kto odwoływał się do króla, tedy jego zastępczyni w Polsce, matka królewska, odsyłała go do syna na Węgrzech, a ten wzajem do królowej matki w Krakowie. Aż wreszcie, znużeni temi zwłokami ludzie zaprzestawali zgoła dalszego poszukiwania sprawiedliwości, opiece i miłosierdziu Bożemu sprawy swe poruczając... Wtedy to dopiero słyszałeś płacz i żałość, i lament, i niewysłowione narzekania po stracie sprawiedliwego króla Kazimierza!“... W takim nierządzie mógł sędzia niesprawiedliwy dopuszczać się bezkarnie wszelkich onych gwałtów sądowych, które starał się wytępić statut Kazimierza Wielkiego, głównie przeciwko takiemuż złemu szafunkowi sprawiedliwości wymierzony.

Ze wszystkich jednak sędziów niesprawiedliwych nie dopuszczał się nikt tylu krzywd i nadużyć, co sędzia Jan z Wenecji. Zwykłem w ówczesnej procedurze[1]) grabieniem czyli ciążaniem, wykonywanem przez całe czeredy drapieżnych woźnych i pachołków sądowych; nielitościwem zdzierstwem za każde odczytanie dokumentu, za każde uchybienie sądowi, za każde zająknięcie się przy składaniu przysięgi, za każde wreszcie niestanne[2]); osobliwie zaś stronniczością wyroków, zwyczajnie na korzyść strony możniejszej wydawanych, przywiódł pan Wenecki bardzo wiele ubogiej szlachty do nędzy. Uciskał wszystkich do krwi. W śmiertelnej za to nienawiści dał mu dręczony przezeń ubogi lud szlachecki przydomek krwawy djabeł. I mówiono o nim zwyczajnie: Krwawy Djabeł Wenecki, lub zkrótka: Djabeł Wenecki.

Upewniają nas o tem słowa dziejopisarza Długosza, zawierające oraz wiadomość o ostatecznym losie Jana z Wenecji. „W połowie postu roku pańskiego 1386“ — pisze Długosz w swojej historji — „przybył król Władysław Jagiełło z królową Jadwigą do Wielkopolski, aby uśmierzyć grasujące tam rozruchy domowe... A pogodziwszy zwaśnionych, ukarał król Jana, Krwawego Djabła, dziedzica Wenecji (Joannem Krwawy Djabeł heredem de Venetiis), sędziego poznańskiego, który dla swoich bezbożnych postępków i złoczyństw Krwawym Djabłem był zwany. Wyroki i uchwały, któremi on wielu sprawiedliwych i niewinnych wyzuł z posiadłości dziedzicznych, zostały unieważnione, a on sam, mnogiemi okrucieństwami skalawszy się, utracił za karę wszystkie dobra dziedziczne i wsadzony był do więzienia, w którem niemało lat przesiedział.“ Następca Długoszów, Kromer, zwie go zprosta Janem Weneckim (Joannem Venetium).

Pół tysiąca lat mija od czasów Jana z Wenecji, stary zamek w Wenecji legł w gruzach, nazwisko jej pana stało się ciemną zagadką, ale żal uciśnionej niewinności przechodzi przysłowiem z stulecia do stulecia i jeszcze po dziś dzień, jak blade, bezkształtne widmo, błąka się pomiędzy nami potępiona pamięć sędzi niesprawiedliwego

K. Szajnocha.

130. Zagłoba zdobywa sztandar.

Gdy husarja ruszyła naprzód, pan Zagłoba, choć oddech miał krótki i tłoku nie lubił, skoczył przecie z innymi, bo zresztą i nie mógł inaczej uczynić, bez narażenia się na stratowanie. Leciał tedy, przymknąwszy oczy, a w głowie latały

[1]) Sądownictwie.

[2]) Niestawienie się na oznaczony termin.

mu z błyskawicową szybkością myśli: „Na nic fortele! na nic fortele! głupi wygrywa, mądry ginie!“ Potem ogarnęła go złość na wojnę, na Kozaków, na husarzy i na wszystkich w świecie. Zaczął kląć — i modlić się. Powietrze świszczało mu w uszach, tamowało oddech w piersi, nagle uderzył się o coś koniem, poczuł opór, więc otworzył oczy — i cóż ujrzał: oto, kosy, szable, cepy, mnóstwo rozpalonych twarzy, oczu, wąsów, a wszystko to niewyraźne, niewiadomo czyje, wszystko drgające, skaczące, wściekłe. Wtedy porwała go ostatnia pasja na tych nieprzyjaciół, że nie uciekli do djabła, lecz leźli w oczy i że zmuszali go do bitwy. „Chcecie, to macie!“ — pomyślał — i począł ciąć ślepo na wszystkie strony. Czasem przecinał powietrze, a czasem czuł, iż ostrze mu grzęźnie w coś miękkiego. Jednocześnie czuł, że jeszcze żyje, i to dodawało mu nadzwyczajnej otuchy.

— Bij! zabij! — ryczał, jak bawół.

Nakoniec owe wściekłe twarze znikły mu z oczu, a natomiast ujrzał mnóstwo pleców, wierzchów od czapek, a krzyki mało mu uszu nie rozdarły.

— Zmykają — przemknęło mu przez głowę. — Tak jest!

Wtedy odwaga w nim wezbrała bez miary.

— Złodzieje! — krzyknął. — Tak to Polakom stawacie!

I skoczył między uciekających, minął wielu i, zamieszawszy się w gęstwinę, z większą już przytomnością pracować począł. Tymczasem towarzysze jego przyparli Niżowców do brzegów Słuczy, porosłych dość gęsto drzewami, i gnali ich wzdłuż brzegu do grobli, nikogo żywcem nie biorąc, bo czasu nie stawało.

Nagle pan Zagłoba poczuł, że koń poczyna się pod nim rozpierać, a jednocześnie spadło nań coś ciężkiego i obwinęło mu całą głowę, tak, iż otoczyła go ciemność zupełna.

— Mości panowie! ratujcie! — krzyknął, bijąc piętami konia.

Rumak jednak, widocznie znużony ciężarem jeźdźca, jęczał tylko i stał w miejscu.

Pan Zagłoba słyszał wrzask, krzyki przelatujących koło siebie jeźdźców, potem cały ten huragan przeleciał i naokół nastała względna cisza. Znowu myśli tak szybkie, jak strzały tatarskie, poczęły mknąć przez jego głowę.

— Co to jest? co się stało? Jezus Marja, wzięto mnie w niewolę!

I na czoło wystąpiły mu krople zimnego potu. Widocznie owinięto mu głowę, tak samo jak on niegdyś Bohunowi. Ten ciężar, który czuje na ramieniu, to dłoń hajdamacka. Ale czegoż go nie prowadzą, lub nie zabijają? czemu stoi w miejscu?

— Puszczaj! — krzyknął wreszcie przyduszonym głosem.

Milczenie.

— Puszczaj! Daruję cię zdrowiem.

Żadnej odpowiedzi.

Pan Zagłoba raz jeszcze uderzył piętami w boki konia, ale znowu bez skutku.

Zatknięte bydlę rozkraczyło się jeszcze szerzej i stało w miejscu.

Wówczas ostatnia pasja pochwyciła nieszczęsnego jeńca i, dobywszy noża z pochwy, wiszącej mu na brzuchu, dał straszne pchnięcie w tył za siebie.

Ale nóż przeciął tylko powietrze.

Wtedy Zagłoba porwał obu rękoma za ową zasłonę, obwijającą mu głowę, i zerwał ją w mgnieniu oka.

— Co to jest?

Hajdamaków niema. Naokół pusto. Zdala tylko widać w dymie przelatujących kraśnych dragonów Wołodyjowskiego, a o kilkanaście staj dalej migocą zbroje husarzy, którzy gnają resztki niedobitków, zawracając je z pola ku wodzie.

Natomiast u nóg pana Zagłoby leży pułkowa chorągiew zaporoska. Widocznie uciekający Kozak cisnął ją tak, że drzewcem wsparła się na ramieniu pana Zagłoby, a płachtą pokryła mu głowę.

Henryk Sienkiewicz.

131. Czertomelik.

Piękny to widok Czertomeliku,
Sto wysp przerznęły Dniepru strumienie,
Brzoza się kąpie w każdym strumyku,
Słychać szum trzciny, słowika pienie.
A kiedy wiosną wezbrane wody
Zaleją wszystkie wyspy dokoła,
Jeszcze nad wodą widać drzew czoła,
Jakby rusałek cudne ogrody.
Gałązką mącą wodne błękity,
I jeszcze słowik w gałązkach śpiewa,
I szumią brzozy, lecz nad ich szczyty
Wznosi się fala i nikną drzewa.
Dziko Dniepr szumi, gdy w jego łonie
Sto wysp zielonych wiosną zatonie.

Piękny to widok stu wysep pana,
Woda mu ziemię z pod stóp wykradła:
Zamek się patrzy w fali zwierciadła,
Co mu przy stopach szumi wezbrana.

A gdy nań patrzysz, dziwnym pozorem
Rzekłbyś, że zamek wstecz rzeki płynie.
Cegła koralów świeci kolorem,
Lekkie filary podobne trzcinie;
Kilka ogromnych paszcz samostrzału
Patrzy strzelnicą na Czarne morze:
A górą zamku okna z kryształu
Świecą się, palą, jak ranne zorze;
I tysiąc barwy w każdym promyku,
Co się z tych okien nazad odkradnie.
W zamku pan mieszka Czertomeliku,
Dumny Ataman, co Siczą władnie.
Lecz czy sam mieszka? Któż to odgadnie?
Nikt nie był w zamku. Mówią, że czary
Mieszkają w gmachu, że dłoń zaklęta
Nadludzką sztuką wzniosła filary;
Lecz kiedy wzniosła? Nikt nie pamięta.

Niejeden rybak wieczorną dobą
W Czertomeliku płynąc ostrowy,
Słyszał przed sobą, słyszał za sobą
Śpiew słodszy, milszy, niż szum dnieprowy.
A rybak milczał, płynął pomału.
Kiedy wieczorne zorze zapadły,
Widział, jak w zamku okna z kryształu
To się paliły, to znowu bladły;
A z okien blaskiem konały pieśni.
Znów cicho, głucho, a rybak stary
Żegnał się drżący — to czary, czary!
Wszak rybak czuwa? wszak rybak nie śni?

Już to noc trzecia, gdy gasną zorze,
Błyska na zamku ogień jaskrawy;
Ho! to kaganiec, to znak wyprawy,
Popłyną czajki na Czarne morze.
Kozaków obóz zalega brzegi,
Pośród czaharów[1]) spisa połyska;
A ponad Dnieprem, w długie szeregi
Gęsto strażnicze płoną ogniska.
Tam na mogiłę wstąpił wysoką
Gęślarz i śpiewa pieśni z mogiły;
Jeśli w tych grobach nie śpią głęboko,
Może ich dzikie pieśni zbudziły?

[1]) Czahary — zarośla nadbrzeżne.

O, śpijcie! śpijcie! przeszła wam pora,
I wyście żyli — tu — w Ukrainie,
I wyście żyli — to było wczora!
My dziś żyjemy, czas szybko płynie.
Pocóż tu wracać z licem upiora,
Gdzie nikt nie chodzi po nas w żałobie?
Jutro na naszym powiedzą grobie:
I wyście żyli! to było wczora.

J. Słowacki.

132. Śluby królewskie.

Dzień był mroźny, jasny, drobniuchne źdźbła śniegu latały po powietrzu, błyszcząc nakształt iskier. Piechota łanowa lwowska i powiatu żydaczowskiego, w półszubkach błękitnych, bramowanych złotem i pół regimentu węgierskiego, wyciągnęła się w długi szereg przed katedrą, trzymając muszkiety przy nogach; przed nimi, nakształt pasterzy, przechodzili wzdłuż i wpoprzek oficerowie z trzcinami w ręku. Pomiędzy dwoma szpalerami płynął, jak rzeka, do kościoła tłum różnobarwny. Więc najprzód szlachta i rycerstwo, a za nią senat miejski z łańcuchami pozłocistemi na szyjach i ze świecami w ręku, a prowadził go burmistrz, słynny na całe województwo medyk, przybrany w czarną togę aksamitną i biret; za senatem szli kupcy, a między nimi wielu Ormian w zielonych ze złotem myckach na głowie i w obszernych wschodnich chałatach. Ci, chociaż do innego obrządku należąc, ciągnęli wraz z innymi, by stan reprezentować. Za kupiectwem dążyły cechy z chorągwiami, a więc: rzeźnicy, piekarze, szewcy, złotnicy, konwisarze[1]), szychterze, płatnerze[2]), kordybanci[3]), miodowarzy i ilu tylko innych jeszcze było; z każdego ludzie wybrani szli za swoją chorągwią, którą niósł okazalszy od wszystkich urodą chorąży. Zaczem dopiero waliły bractwa różne i tłum pospolity, w łyczkowych kapotach, w kożuchach, guniach, sukmanach, mieszkańcy przedmieść, chłopi. Nie tamowano przystępu nikomu, dopóki kościół nie zapełnił się szczelnie ludźmi wszelkich stanów i płci obojej.

Nakoniec zaczęły zajeżdżać i karety, lecz omijały główne drzwi, albowiem król, biskupi i dygnitarze mieli osobne wejście bliżej wielkiego ołtarza. Co chwila wojsko prezentowało broń.

[1]) Puszkarze, którzy leją rusznice, działa, dzwony.
[2]) Robiący zbroję, służącą wojownikom dla obrony ciała.
[3]) Wyprawiacze skór.

następnie żołnierze spuszczali muszkiety do nogi i chuchali na zmarznięte dłonie, wyrzucając z piersi kłęby pary.

Zajechał król z nuncjuszem Widonem, potem arcybiskup gnieźnieński z księciem biskupem Czartoryskim, potem ksiądz biskup krakowski, ksiądz arcybiskup lwowski, kanclerz wielki koronny, wielu wojewodów i kasztelanów. Ci wszyscy znikali w bocznych drzwiach, a ich karoce, dwory, masztalerze i wszelkiego rodzaju dworscy utworzyli jakby nowe wojsko, stojące z boku katedry.

Ze mszą wyszedł nuncjusz apostolski, Widon, przybrany na purpurze w ornat biały, naszywany perłami i złotem.

Dla króla urządzono klęcznik między wielkim ołtarzem a stallami, przed klęcznikiem leżał rozpostarty dywan turecki. Kanonickie krzesła zajęli biskupi i świeccy senatorowie.

Różnobarwne światła, wchodzące przez okna, w połączeniu z blaskiem świec, od których ołtarz gorzeć się zdawał, padały na twarze senatorskie, ukryte w cieniu kanonickich krzeseł, na białe brody, na wspaniałe postawy, na złote łańcuchy, aksamity i fiolety. Rzekłbyś: rzymski senat, taki w tych starcach majestat i powaga; gdzie niegdzie wśród sędziwych głów widać twarz senatora-wojownika, gdzie niegdzie błyśnie jasna główka młodego panięcia; wszystkie oczy utkwione w ołtarz, wszyscy modlą się; błyszczą i chwieją się płomienie świec; dymy z kadzielnic igrają i kłębią się w blaskach. Z drugiej strony stallów kościół nabity głowami, a nad głowami tęcza chorągwi, jako tęcza kwiatów, się mieni.

Majestat króla Jana Kazimierza padł, wedle zwyczaju, krzyżem i korzył się przed Majestatem Bożym. Wreszcie wydobył ksiądz nuncjusz z cyborjum kielich i zbliżył się z nim do klęcznika. Wówczas król podniósł się z jaśniejszą twarzą, rozległ się głos nuncjusza: „Ecce Agnus Dei“, i król przyjął komunję.

Przez jakiś czas klęczał schylony; nakoniec podniósł się, oczy zwrócił ku niebu i wyciągnął obie ręce.

Uciszyło się nagle w kościele tak, że oddechów ludzkich nie było słychać. Wszyscy odgadli, że chwila nadeszła i że król jakiś ślub będzie czynił; wszyscy słuchali w skupieniu ducha, a on stał ciągle z wyciągniętemi rękoma, wreszcie głosem wzruszonym, ale jak dzwon donośnym, tak mówić począł:

„Wielka człowieczeństwa Boskiego Matko i Panno! Ja, Jan Kazimierz, Twego Syna, Króla królów i Pana mojego i Twojem zmiłowaniem się król, do Twych Najświętszych stóp przychodząc, tę oto konfederację czynię: Ciebie za Patronkę moją i państwa mojego Królową dzisiaj obieram. Mnie, Królestwo moje Polskie, Wielkie Księstwo Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmujdzkie, Inflanckie i Czernihowskie, wojsko obojga narodów i pospólstwo wszystko Twojej osobliwej opiece polecam; Twojej pomocy i miłosierdzia w teraźniejszem utrapieniu Królestwa mego przeciwko nieprzyjaciołom pokornie żebrzę...“

Tu padł król na kolana i milczał chwilę, w kościele cisza ciągle trwała śmiertelna, więc wstawszy, tak dalej mówił:

„A że wielkiemi Twemi dobrodziejstwy zniewolony, przymuszony jestem z narodem polskim do nowego i gorącego Tobie służenia obowiązku, obiecuję Tobie, mojem, ministrów, senatorów, szlachty i pospólstwa imieniem, Synowi Twemu Jezusowi Chrystusowi, Zbawicielowi naszemu, cześć i chwałę przez wszystkie krainy królestwa polskiego rozszerzać, czynić wolę, że, gdy za zmiłowaniem Syna Twego otrzymam wiktorję nad Szwedem, będę się starał, aby rocznica w państwie mem odprawiała się solennie do skończenia świata rozpamiętywaniem łaski Boskiej i Twojej, Panno Przeczysta!“

Tu znów przerwał i klęknął. W kościele uczynił się szmer, lecz głos królewski wnet go uciszył, i choć drżał teraz skruchą, wzruszeniem, tak dalej mówił jeszcze donośniej:

„A że z wielkim żalem serca mego uznaję, iż dla jęczenia w opresji[1]) ubogiego pospólstwa oraczów, przez żołnierstwo uciemiężonego, od Boga mego sprawiedliwą karę przez siedem lat w królestwie mojem różnemi plagami trapiącą nas wszystkich, ponoszę, obowiązuję się, iż po uczynionym pokoju starać się będę ze stanami Rzeczypospolitej usilnie, ażeby odtąd utrapione pospólstwo wolne było od wszelkiego okrucieństwa, w czem, Matko miłosierdzia, Królowo i Pani moja, jakoś mnie natchnęła do uczynienia tego wotum, abyś łaską miłosierdzia u Syna Twego uprosiła mi pomoc do wypełnienia tego, co obiecuję.“

Słuchało tych słów królewskich duchowieństwo, senatorowie, szlachta, gmin. Wielki płacz rozległ się w kościele, który najpierw z chłopskich piersi się zerwał i z onych wybuchnął, a potem stał się powszechny. Wszyscy wyciągnęli ręce ku niebu, rozpłakane głosy powtarzały: „Amen! amen! amen!“ na świadectwo, że swoje uczucia i swoje wota ze ślubami królewskiemi łączą. Uniesienie ogarnęło serca i zbratały się w tej chwili w miłości dla Rzeczypospolitej i jej Patronki. Zaczem radość niepojęta, jako czysty płomień, rozpaliła się na twarzach, bo w całym tym kościele nie było nikogo, ktoby jeszcze wątpił, że Bóg Szwedów pogrąży.

[1]) Ucisku.

Król zaś po skończonem nabożeństwie, wśród grzmotu wystrzałów z muszkietów i dział, wśród gromkich okrzyków: „Wiktorja! wiktorja! niech żyje!“ jechał do grodu i tam oną niebieską konfederację wraz z Tyszowiecką roborował [1]).

H. Sienkiewicz.

133. Karol Gustaw w katedrze Wawelskiej.

Karol w gmachach wawelskich o pomniki pyta,
Sędziwy Starowolski przy drzwiach króla wita,
Starowolski, mąż wiekiem poważnego czoła,
Świadom i dziejów Polski i dziejów kościoła.
„To jest Kaźmierz — rzekł kapłan — ostatni z krwi Piasta,
Pod nim wzrosły te grody, te twierdze, te miasta;
Miejsca pustyń osady i zamki zaległy,
Objął Polskę drewnianą, a zostawił z cegły;
Księgą praw gwałt ukrócił, który lud uciskał;
Rdzewiał pod nim miecz Chrobrych, a lemiesz połyskał.
Zwano go królem chłopów; gdy zawarł powieki,
Imię Wielkiego wdzięczne przyznały mu wieki;
Lud pomnik trwalszym nad śpiż wyrazem ozdobił,
Żal swój usty wytłoczył i łzami wyżłobił;
Lecz gdy ucisk powrócił między wiejskie chaty,
Lud od natłoku ledwie wstrzymały te kraty;
Cień jego wywołując przy żałosnych skargach,
Łzą marmur, w pył zmiękczony, unosił na wargach.
To jest król, najsławniejszy walecznemi czyny,
Batory; poszedł za brzeg Połoty i Dźwiny
I potężnem ramieniem przy dzielnych hetmanach
Zmusił Moskwę pokoju błagać na kolanach.
Niestety! gdy zamierzał dokonywać dzieła,
Dni drogie dla narodu śmierć w Grodnie przecięła...“
Gdy się ku drugiej stronie świątyni przybliża,
Czyta napis u stopni wzniesionego krzyża:
„Przy tym krzyżu Jadwiga łzy sączyła hojne,
Ilekroć król i naród biegł odpierać wojnę;
Zdobiła tron cnotami, zgasła w wieku wiośnie.“
I kapłan opowiada jej życie żałośnie,
Jakie dla obu ludów, dla Boga, dla wiary
Z miłującego serca zrobiła ofiary.
Gdy się dalej posuwa, na przeciwnej stronie
Widzi posąg leżący z berłem i w koronie,

[1]) Roborować — potwierdzać.

Na drobnym wzroście dziwi go ogrom pancerza.
„To jest — rzekł kapłan — ojciec Wielkiego Kaźmierza,
Łokietek, wielki męstwem, chociaż drobny ciałem.
Złączył Polskę, rozdartą naddziadów podziałem,
Przemógł współzawodników, a na polach Płowców
Przytarł dumną potęgę grabieżnych Krzyżowców.
Trzykroć tułacz, po trzykroć powracał do tronu,
I na ostrzu oręża trzymał go do zgonu.“
Na to się obrażona pycha w królu cuci,
Rzekł: „Łokietek wasz wrócił. Jan Kaźmierz nie wróci!“
Odpowiada pokornym głosem stróż świątyni:
„Królu, fortuna zmienna, a Bóg cuda czyni.“
Jak piorunem, rażony kapłańskiemi słowy,
Zaniemiał i już wątek przerywa rozmowy.
Pierwszy raz czuje w piersiach zachwianego ducha:
Już nie widzi pomnika, nie szuka, nie słucha;
I gdy się krokiem zbliża do przysionków końca,
Spotyka przez Millera wysłanego gońca:
Częstochowa się broni; goniec nie ukrywa
Klęsk zadanych, o działa i o pułki wzywa.
„Waleczność nasza, królu — mówi — jest daremna:
Ten mały klasztor wspiera potęga tajemna.“

Kajetan Koźmian.

134. Bitwa pod Cecorą.

Nadpłynęła noc szósta krwawego pochodu. Od Dniestru powiał wiatr, niebo zaciągnęło się chmurami... Bój ustał, zmęczony tabor szedł naprzód. Ciemno było, jak w grobisku jakiem, tatarska czerń płynęła w oddaleniu pewnem, dech tylko słychać było i ciężkie sapanie kilkudziesięciu tysięcy piersi końskich, nieustający szmer zażartej pogoni, głuche dudnienie kopyt, dygotanie powietrza, dreszcz ziemi. Widocznie i pohaństwo się znużyło, ustawało, cofało się i pozwalało ujść niezwyciężonym.

Nagle przed taborem, daleko, zamigotał jakiś sierp krwawy. Rósł z ogromną szybkością, zbliżał się do posuwających się wciąż naprzód szyków polskich. I oto na ciemnem łonie chmur wielka zapaliła się łuna; wiatr głębiej westchnął i chorągiew jakąś o straszliwej barwie czerwieni rozwinął i niósł na obóz polski.

— Stepy się palą! — zabrzmiał krzyk przerażenia.

Tak! to Kantemir podpalił trawy suche i tabor polski w śmiertelny uścisk wziął ognia. Za nim chmura Tatarstwa,

przed nim morze płomieni i dymów kłęby potworne. I tabor polski w piekło to poszedł... zdeptał... zgasił... i przeszedł!...

W obozie tureckim Żółkiewski na przemożnego czarodzieja urósł. Kantemir, jak szatan, się rzucał, klął, pluł na wszystkich, a Skinder-basza brodę pozłocistą gładził i mówił z flegmą:

— Bóg jest jeden, a prorok jego Mahomet!...

I znowu dwie doby minęło tej walki rozpasanej, wysiłków nadludzkich. Zwycięski tabor szedł naprzód. Aż nadeszła noc ósma, jedna z najstraszniejszych nocy. Rozszalała się burza, ciemny strop nieba przerzynały błyskawice i pioruny, a z trzaskiem gromów mieszały się dzikie wycia i piski Tatarów, i bój, bój nieustanny, owo przedśmiertne odgryzanie się odyńca rozjuszonej psów sforze. Trupy końskie i ludzkie znaczyły ślad szalonego pochodu, wołania obłąkańców odzywały się coraz częściej, zwierzęta gryzły się między sobą, trawione głodu gorączką, z każdego oblicza ludzkiego strach patrzył, przerażenie i rozpacz. A tu gwizd wiatru, bałwanienie się chmur, węże błyskawic i gromów odpowiedź potworna.

Przy blasku piorunowym dostrzegli niektórzy rycerze zostawione na polu sterty siana. Oddział Lisowczyków[1]) wymknął się cichaczem po łup pożądany, a była to chwila, gdy Tatarzy, z powodu wzmagającej się burzy, zaniechali napadów, tylko w pewnem oddaleniu szli trop w trop za taborem, jak wilki za umykającą zdobyczą. Ta burza pozwoliła odetchnąć piersiom i ramionom. Nie wiedział nikt, jak daleko byli od granic Polski, każdy jeno instynktownie posyłał przed siebie wzrok w ciemność, by choć w szmerze wichrów posłyszeć szelest rzeki rodzinnej; ale, prócz charkotania gromu i skowytu Tatarów, nic innego żadne ucho uchwycić nie mogło.

Nagle ztyłu taboru zabrzmiał tętent gwałtownie pędzonych koni. To z łupem Lisowczycy wracali. Ale w zmęczonych umysłach inny obraz się zrodził. Mniemano, że po raz ostatni Kantemir pułki swoje do ataku prowadzi, że cała horda Krymców i Nogajców, cała potęga ottomańska uderza szturmem straszliwym.

— Tatarzy! — zabrzmiał krzyk przerażenia na tyłach taboru.

A wtem złota błyskawica ogromnie niebo rozdarła i przed idącymi przodem, w oddaleniu niewielkiem, błysnęła srebrna wstęga rzeki...

— Dniestr! — z tysiąca piersi wybiegło.

[1]) Oddział ochotników pod wodzą Lisowskiego.

Oszaleli na widok tej rzeki, na samą myśl zbawienia, rzucili się do rozrywania taboru i do szalonego pędu naprzód. Daremnie wielki hetman drogę zabiegał, prosił, błagał, zaklinał i groził, nikt już w zapamiętaniu się onem rozkazów wodza nie słuchał. Ściany taboru rozbite zostały, wszyscy naprzód pomknęli ku owej desce ratunku.

A wtem jakaś burza powiała, jakiś pęd wichru, huragan, groza!... To Kantemir z całą siłą uderzył w tabor rozbity. Zmieszały się jęki i krzyki, bój rozpaczny, szamotanie się bezładne. A wtedy z ust Żółkiewskiego wypadło ciche, grobowe:

— Śmierć!

Te trzy krzyki: strachu, nadziei i zimnej rezygnacji, odezwały się jednocześnie prawie i w dziwny akord się zlały. Kto mógł, to walczył, kto już na siłach się nie czuł, ten pierzchał ku dojrzanemu Dniestrowi. I widział hetman, jak wozy i armaty, konni i piesi w pędzie szalonym przebiegali około niego. Jedni rzucali broń, inni burki i wszelki rynsztunek wojenny, byle naprzód, byle dalej!... Zamieszanie, tłok, ciżba, ryk i skowyt, jakiś sabat piekielny, taniec djabli, mocy ciemnych rozpasanie się. A oto do Żółkiewskiego przypadł Kurzański, konia podprowadzając, i zawołał:

— Uchodź, hetmanie!... świat się kończy!...

— Czyż widział mnie kiedy uchodzącego? — hetman odparł.

I ostrzem szabli ugodził w pierś ulubionego rumaka, serce mu przebijając.

A wtem porucznik Złotopolski, od syna hetmańskiego wysłany, który, okryty ranami, na wozie leżał, przybiegł z rumakiem, który wiatr prześciga, i krzyknął:

— Syn cię błaga: umykaj!...

A hetman:

— Gdzie owce giną, tam powinien i pasterz paść!

Słów nie skończył, gdy na spienionym ogierze Koniecpolski nadleciał i, zeskakując z konia, a wodze hetmanowi wręczając, zawołał:

— Pogrom!... na koń, panie ojcze! ty już tu nic!

A Żółkiewski:

— Meliori fortunae na usługę Rzeczypospolitej vos servate[1]), a ja swym tułowiem do ojczyzny nieprzyjacielowi niech drogę zawalę!

I szablę dobył i, wspierając się lewem ramieniem na barkach Kurzańskiego, szedł na spotkanie śmierci.

A wkoło zamęt, rozpętanie się sił piekielnych... Plichta wichurą umykających porwany został i zniknął w ciemnościach

[1]) Ocalcie się na lepsze czasy na usługę Rzeczypospolitej (łac.).

nocy; Lach-Strach z imieniem Andzi na ustach w tłum się rzucił i, osłaniając się ruchomą tarczą swojego miecza, straszliwą kośbę rozpoczął. Groza padła na otaczających go Turków i Tatarów. Dokoła słychać było ryk jeden, łupanie kości, trzask pękających czerepów, jęk głuchy rozbijanych piersi, nie mogących się zdobyć na krzyk dłuższy. Krew lepka zaklejała oczy, w przerażeniu zdawało się, że w łonie ziemi otworzyły się źródła tej krwi i chcą świat zalać. Kopyciński na trupie swojego konia stał i koło krwawe błyskawicą miecza zakreślał. Umknęliby dawno przed onem widmem okrutnem, lecz poza nimi tłoczyły się szeregi, przez Kantemira gnane, i parły ich — na śmierć. Lach-Strach już sił nie czuł, tchu w piersi, zdawało mu się, że powietrze już ziemi całej wydycha, a jeszcze walczył, jeszcze mordował.

Nagle zachwiał się, ręce roztworzył, z ust wybiegł szept: — Andziu!... — I padł.

Pistoletowa kula Krwawego Miecza serce mu przeszyła.

Korecki kniaź niemniej potężny bój zwodził: niósł postrach i zniszczenie, po trupach szedł i mordował, aż go węże arkanów zdławiły i niewoli oddały. A wśród owego szamotania się i rwania, gwizdu wichrów, skowytu Tatarów, trzasku piorunów i złotych pochodni błyskawic, wsparty na ramieniu wiernego sługi, szedł hetman wielki z szablą dobytą, straszliwe przejście żłobiąc wśród otaczających go zewsząd pohańców. Przy hetmanie zostało trzystu nieulęknionych. Padali po kolei — i padli... Złotopolski ostatni w ziemię czołem uderzył... i hetman sam pozostał z podtrzymującym go Janem Kurzańskim... i szedł tak w mrok, w ciemność, w wieczność.

Ukołysała się burza na niebie i na ziemi, walka ucichła. Wśród cieniów nocy dyszała tylko w przerażeniu pierś ziemi, ale i ten oddech zwiała potężna dłoń śmierci... I cicho było, przerażająco cicho!

— Świt!...

Słońce zeszło i bezczelnie złotym promieniem oblokło okropne pole walki. Wdali srebrzyły się fale Dniestru, przed nim olbrzymi obszar ziemi, trupami usiany, krwią spływał. Szlachetne rysy rycerzy polskich i wklęsłe nosy Tatarów powlekała siność śmierci. Nogajcy odzierali trupy, kolbami rozbijali czaszki już martwe. Kantemir szukał zwłok Żółkiewskiego, a Skinder-basza za Dniestr patrzył. Ale nie poszedł za Dniestr. Duch wielkiego hetmana na brzegu skalistym stał i olbrzymią piersią swoje wejście zapierał.

Na kupie trupów żołnierze tureccy znaleźli bohaterskie zwłoki wodza polskiego. Zrąbane ciało, prawa ręka odcięta

mówiły, że walczył do ostatniego tchu swojej piersi. I strachem ich przejął ten krwawy, nieruchomy trup. Stanęli w oddaleniu i, wskazując na zwłoki hetmana, szeptali głosem przyciszonym:

— Żółkiewski!...

Na piersiach jego, ze strzałą w sercu, spoczywał Jan Kurzański.

K. Gliński.

135. Pani Twardowska.

Jedzą, piją, lulki palą,
Tańce, hulanka, swawola;
Ledwie karczmy nie rozwalą,
Cha, cha, chi, chi, hejże, hola!

Twardowski siadł w końcu stoła,
Podparł się w boki, jak basza:
Hulaj, dusza! hulaj! woła,
Śmieszy, tumani, przestrasza.

Żołnierzowi, co grał zucha,
Wszystkich łaje i potrąca,
Świsnął szablą koło ucha:
Już z żołnierza masz zająca!

Na patrona[1]) z trybunału,
Co milczkiem wypróżniał rondel,
Zadzwonił kieską pomału:
Z patrona robi się kondel!

Szewcu w nos wyciął trzy szczutki,
Do łba przymknął trzy rureczki.
Cmoknął, cmok! i gdańskiej wódki
Wytoczył ze łba pół beczki.

Wtem, gdy wódkę pił z kielicha,
Kielich zaświstał, zazgrzytał;
Patrzy na dno, co u licha?
Po coś tu, kumie, zawitał?

Djablik to był w wódce na dnie,
Istny Niemiec, sztuczka kusa,
Skłonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa.

[1]) Obrońca sądowy.

Z kielicha aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos, jak haczyk, kurzą nogę
I krogulcze ma paznogcie.

„A! Twardowski! witam, bracie,“
To mówiąc, bieży obcesem.
„Cóż to, czyliż mię nie znacie?
Jestem Mefistofelesem.

Wszak ze mną na Łysej górze
Robił o duszę zapisy.
Cyrograf [1]) na byczej skórze
Podpisałeś ty, i bisy

Miały słuchać twego rymu [2]);
Ty, jak dwa lata przebiegą,
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać jak swego.

Już i siedem lat uciekło,
Cyrograf nadal nie służy;
Ty czarami dręczysz piekło,
Ani myślisz o podróży!

Ale zemsta, choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci;
Ta karczma Rzym się nazywa,
Kładę areszt na waszeci.“

Twardowski ku drzwiom się kwapił
Na takie dictum acerbum [3]);
Djabeł za kontusz ułapił:
„A gdzie jest nobile verbum [4])?“

Co tu począć? — kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głową...
Twardowski na koncept wpada
I zadaje trudność nową:

„Patrz w kontrakt, Mefistofilu!
Tam warunki takie stoją:
Po latach tylu a tylu,
Gdy przyjdziesz brać duszę moją,

[1]) Umowa piśmienna.
[2]) Rozkazu.
[3]) Gorzkie słowo (łac.).
[4]) Słowo honoru (łac.).

Będę miał prawo trzy razy
Zaprząc ciebie do roboty,
A ty najtwardsze rozkazy
Musisz spełnić co do joty.

Patrz, oto jest karczmy godło:
Koń, malowany na płótnie;
Ja chcę mu wskoczyć na siodło,
A koń niech z kopyta utnie!

Skręć mi przytem biczyk z piasku,
Żebym miał czem konia chłostać,
I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać!

Gmach będzie z ziarnek orzecha,
Wysoki pod szczyt Krępaku [1]),
Z bród żydowskich ma być strzecha,
Pobita nasieniem z maku.

Patrz, oto na miarę ćwieczek,
Cal gruby, długi trzy cale,
W każde z makowych ziareczek
Wbij mi takie trzy bretnale [2]).“

Mefistofil duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi,
Potem bicz z piasku utoczy:
I już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł biegusa,
Próbuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, kłusa,
Patrzy, aż i gmach już gotów.

„No! wygrałeś, panie bisie;
Lecz druga rzecz nie skończona,
Trzeba skąpać się w tej misie,
A to jest woda święcona.“

Djabeł kurczy się i krztusi,
Aż zimny pot na nim bije;
Lecz pan każe, sługa musi.
Skąpał się biedak po szyję.

[1]) Krępak — to samo, co Karpaty.
[2]) Bretnal — gwóźdź z dużym łebkiem.

Wyleciał potem, jak z procy,
Otrząsł się, dbrum! parsknął raźnie.
„Teraz jużeś w naszej mocy,
Najgorętszam odbył łaźnię.“

„Jeszcze jedno, będzie kwita:
Zaraz pęknie moc czartowska! —
Patrzaj, oto jest kobieta,
Moja żoneczka — Twardowska.

Ja na rok u Belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie;
Niech przez ten rok moja luba
Z tobą, jak z mężem, zostanie.

Przysiąż jej miłość, szacunek
I posłuszeństwo bez granic;
Złamiesz choć jeden warunek,
Już cała ugoda na nic.“

Djabeł do niego pół ucha,
Pół oka zwrócił do samki;
Niby patrzy, niby słucha,
Tymczasem już blisko klamki.

Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi, od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd jak czmycha, tak czmycha.

Adam Mickiewicz.

136. Trzech Budrysów.

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzecze:
„Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbaki[1]),
A wyostrzcie i groty, i miecze.

„Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie
Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgierd ruskie posady, Skirgiełł Lachy sąsiady,
A ksiądz[2]) Kiejstut napadnie Teutony.

[1]) Siodła.
[2]) Książę.

„Wyście krzepcy i zdrowi, jedźcie służyć krajowi,
Niech litewskie prowadzą was bogi!
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
Trzej jesteście i macie trzy drogi.

„Jeden z waszych biec musi za Olgierdem ku Rusi,
Ponad Ilmen, pod mur Nowogrodu;
Tam sobole ogony, i srebrzyste zasłony,
I u kupców tam dziengi[1]), jak lodu.

„Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cugi,
Niechaj tępi Krzyżaki psubraty;
Tam bursztynu, jak piasku, sukna cudnego blasku
I kapłańskie w brylantach ornaty.

„Za Skirgiełłem niech trzeci poza Niemen przeleci;
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe,
Ale zato wybierze dobre szable, puklerze[2])
I mnie stamtąd przywiezie synowę.

„Bo nad wszystkich ziem branki milsze Laszki kochanki,
Wesolutkie, jak młode koteczki,
Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,
Oczy błyszczą się, jak dwie gwiazdeczki.

„Stamtąd ja przed pół wiekiem, gdym był młodym człowiekiem,
Laszkę sobie przywiozłem za żonę,
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę.“

Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę.
Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
Idzie jesień i zima, synów niema i niema;
Budrys myślał, że w boju polegli.

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
„Ej, to kubeł, w tym kuble nowogrodzkie są ruble!“
— „Nie, mój ojcze, to Laszka synowa!“

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
„Pewnie z Niemiec, mój synu, wieziesz kubeł bursztynu?“
— „Nie, mój ojcze, to Laszka synowa.“

[1]) Pieniędzy.
[2]) Tarcze.

Po śnieżystej zamieci do wsi jedzie mąż trzeci;
Burka pełna, zdobyczy tam wiele.
Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał
Prosić gości na trzecie wesele.

Adam Mickiewicz.

137. Świteź.

Ktokolwiek będziesz w nowogródzkiej stronie,
Do Płużyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świteź tam jasne rozprzestrzenia łona
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszczą oczerniona,
A gładka, jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się dobą
I zwrócisz ku wodom lice,
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą
I dwa obaczysz księżyce.

Niepewny, czyli szklana z pod twej stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklane stropy
Aż do nóg twoich ugina;

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu,
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
W jakiejś otchłani błękitu.

Tak w noc, pogodna jeśli służy pora,
Wzrok się przyjemnie ułudzi...
Lecz żeby w nocy jechać do jeziora,
Trzeba być najśmielszym z ludzi.

Bo jakie szatan wyprawia tam harce!
Jakie się larwy[1]) szamocą!
Drżę cały, kiedy bają o tem starce,
I strach wspominać przed nocą.

Nieraz śród wody gwar, jakoby w mieście,
Ogień i dym bucha gęsty,

[1]) Poczwary, złe duchy.

I zgiełk walczących, i wrzaski niewieście,
I dzwonów gwałt, i zbrój chrzęsty.

Nagle dym spada, hałas się uśmierza,
Na brzegach tylko szum jodły,
W wodach gadanie cichego pacierza
I dziewic żałosne modły.

Co to ma znaczyć? różni różnie plotą,
Cóż, kiedy nie był nikt na dnie;
Biegają wieści pomiędzy prostotą,
Lecz któż z nich prawdę odgadnie?

Pan na Płużynach, którego pradziady
Były Świtezi dziedzice,
Zdawna przemyślał i zasięgał rady,
Jak te zbadać tajemnice.

Kazał przybory w bliskiem robić mieście
I wielkie sypał wydatki;
Związano niewód[1]), głęboki stóp dwieście,
Budują czółna i statki.

Ja ostrzegałem, że w tak wielkiem dziele
Dobrze, kto z Bogiem poczyna;
Dano więc na mszę w niejednym kościele,
I ksiądz przyjechał z Cyryna.

Stanął na brzegu, ubrał się w ornaty,
Przeżegnał, pracę pokropił;
Pan daje hasło: odbijają baty,
Niewód się z szumem zatopił.

Topi się; pławki[2]) na dół z sobą spycha,
Tak przepaść wody głęboka;
Prężą się liny, niewód idzie zcicha,
Pewnie nie złowią ni oka.

Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło,
Ciągną ostatek więcierzy[3]).
Powiemże, jakie złowiono straszydło?
Choć powiem, nikt nie uwierzy.

[1]) Rodzaj wielkiej sieci.
[2]) Kawałki drzewa lub kory, przyczepione do krawędzi sieci.
[3]) Sieć.

Powiem jednakże. Nie straszydło wcale:
Żywa kobieta w niewodzie!
Twarz miała jasną, usta jak korale,
Włos biały, skąpany w wodzie.

Do brzegu dąży, a gdy jedni z trwogi
Na miejscu stanęli głazem,
Drudzy zwracają ku ucieczce nogi,
Łagodnym rzecze wyrazem:

„Młodzieńcy, wiecie, że tutaj bezkarnie
Dotąd nikt statku nie spuści;
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.

„I ty, zuchwały, i twoja gromada
Wrazbyście poszli w głębinie,
Lecz że to kraj był twojego pradziada,
Że w tobie nasza krew płynie,

„Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz żeście z Bogiem poczęli.
Bóg wam przez moje opowiada usta
Dzieje tej cudnej topieli.

„Na miejscach, które dziś piaskiem zaniosło,
Gdzie car[1]) i trzcina zarasta,
Po których teraz wasze biega wiosło,
Stał okrąg pięknego miasta.

„Świteź, i w sławne orężem ramiona,
I w kraśne twarze bogatą,
Niegdyś od książąt Tuhanów rządzona,
Kwitnęła przez długie lata.

„Nie śmił widoku ten ostęp ponury,
Przez żyzne wskróś okolice
Widać stąd było nowogródzkie mury,
Litwy naówczas stolicę.

„Raz, niespodzianie, obległ tam Mendoga[2])
Potężnem wojskiem car z Rusi;
Na całą Litwę wielka padła trwoga,
Że Mendog poddać się musi.

[1]) Nazwa roślin nadwodnych.
[2]) Książę litewski XIII w.

„Nim ściągnął wojsko z odległej granicy,
Do ojca mego napisze:
Tuhanie! w tobie obrona stolicy,
Śpiesz, zwołaj twe towarzysze!

„Skoro przeczytał Tuhan list książęcy
I wydał rozkaz do wojny,
Stanęło zaraz mężów pięć tysięcy,
A każdy konny i zbrojny.

„Uderzą w trąby, rusza młódź, już w bramie
Błyska Tuhana proporzec[1]),
Lecz Tuhan stanie, i ręce załamie,
I znowu jedzie na dworzec.

„I mówi do mnie: — Jaż własnych mieszkańców
Dla obcej zgubię odsieczy?
Wszak wiesz, że Świteź nie ma innych szańców[2]),
Prócz naszych piersi i mieczy.

„Jeśli rozdzielę szczupłe wojsko moje,
Krewnemu nie dam obrony;
A jeśli wszyscy pociągniem na boje,
Jak będą córy i żony?“

„Ojcze, odpowiem, lękasz się niewcześnie,
Idź, kędy sława cię woła!
Bóg nas obroni: dziś nad miastem we śnie
Widziałam jego anioła.

„Okrążył Świteź miecza błyskawicą
I nakrył złotemi pióry,
I rzekł mi: Póki męże zagranicą,
Ja bronię żony i córy.“

„Usłuchał Tuhan i za wojskiem goni;
Lecz gdy noc spadła ponura,
Słychać gwar zdala, szczęk i tętent koni
I zewsząd straszny wrzask: ura!

„Zagrzmią tarany, padły bram ostatki,
Zewsząd pocisków grad leci,
Biegą na dworzec starce, nędzne matki,
Dziewice i drobne dzieci.

[1]) Chorągiew.
[2]) Wałów obronnych.

„Gwałtu! wołają, zamykajcie bramę!
Tuż, tuż za nami Ruś wali!
Ach! zginmy lepiej, zabijmy się same,
Śmierć nas od hańby ocali.

„Natychmiast wściekłość bierze miejsce strachu:
Miecą bogactwa na stosy,
Przynoszą żagwie i płomień do gmachu
I krzyczą strasznemi głosy:

„Przeklęty będzie, kto się nie dobije!...
Broniłam, lecz próżny opór:
Klęczą, na progach wyciągają szyję,
A drugie przynoszą topór.

„Gotowa zbrodnia. — Czyli wezwać hordy
I podłe przyjąć kajdany,
Czy bezbożnemi wytępić się mordy?
Panie, zawołam, nad Pany!

„Jeśli nie możem ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagamy u Ciebie,
Niechaj nas lepiej Twój piorun wystrzela,
Lub żywych ziemia pogrzebie!

„Wtem jakaś białość nagle mię otoczy,
Dzień zda się spędzać noc ciemną;
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy,
Już ziemi niema pode mną!

„Takeśmy uszły zhańbienia i rzezi.
Widzisz to ziele dokoła?
To są małżonki i córki Świtezi,
Które Bóg przemienił w zioła.

„Białawem kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą;
List[1]) ich zielony, jak jodłowe szpilki,
Kiedy je śniegi pobielą.

„Za życia cnoty niewinnej obrazy,
Jej barwę mają po zgonie;
W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,
Śmiertelne nie tkną ich dłonie.

[1]) Liść.

„Doświadczył tego car i ruska zgraja,
Gdy, piękne ujrzawszy kwiecie,
Ten rwie i szyszak stalony umaja,
Ten wianki na skronie plecie.

„Kto tylko ściągnął do głębiny ramię,
Tak straszna jest kwiatów władza,
Że go natychmiast choroba wyłamie
I śmierć gwałtowna ugadza.

„Choć czas te dzieje wymazał z pamięci,
Pozostał sam odgłos kary,
Dotąd w swych baśniach prostota go święci
I kwiaty nazywa c a r y."

To mówiąc, pani zwolna się oddala;
Topią się statki i sieci,
Szum słychać w puszczy, poburzona fala
Z łoskotem na brzegi leci.

Jezioro do dna pękło, nakształt rowu,
Lecz próżno za nią wzrok goni:
Wpadła i falą nakryła się znowu,
I więcej nie słychać o niej.

Adam Mickiewicz.

138. Burzenie świątyni Perkuna.

Wokoło Wilna gromadziły się tłumy ciekawe, niespokojne, trwożne. Wieść o przybyciu Jagajły sprowadziła je pod mury stolicy, a poruszały z ust do ust obiegające pogłoski, jako sam wielki książę nowej wiary naucza, do przyjęcia chrztu skłania, posłusznych obdarowywa hojnie, a opornym karami grozi, że wreszcie przystąpić ma do zburzenia głównej świątyni Perkuna w stolicy i zagaszenia wieczystego świętego ognia. I szły głośne szmery wśród zbiegających się tłumów, a oczy, skierowane ku onej świątyni gromowładnego boga, rozszerzał lęk. Dziwowano się, jako kapłani nie podnoszą wrzawy i że nie wychodzi z ukrycia sam arcykapłan Krewe-Krewejto, aby wezwać lud ku obronie, lub spłonąć w rozpaczy na ofiarnym stosie.

Tymczasem Jagiełło, zgromadziwszy wokół siebie braci swych i pokrewnych książąt, z nimi i z Bodzantą oraz duchownymi naradzał się długo. Postanowiono przystąpić do zniszczenia świątyni Perkuna i obalenia bożyszcza, iżby w ten sposób

widoczny przekonać strwożony i szemrzący lud, jako bogowie pogańscy i ów najgroźniejszy nie mają mocy.

Był dzień piątkowy, zwykle przeznaczony ku czci Perkuna i składania mu ofiar, gdy z niższego zamku, położonego u podnóża Turzej góry, kędy zamieszkiwał król z królową i dworem całym, wyruszyła ogromna procesja ku głównej świątyni. Lud, który dotychczas miasto jakby oblężeniem ściskał, widząc bramy otwarte i zgoła nie strzeżone, wtłoczył się teraz do wnętrza i biegł zdyszany ku „świętej łące Swentoroga", wysokim, kamiennym otoczonej murem. Spoglądano ku wieży, wznoszącej się u wejścia, skąd zwykle wajdeloci zwoływali na modlitwy i wzywali do składania ofiar. Ale na wieży nie ukazywał się nikt, stojący zaś dom Krewe-Krewejty stał otworem, pusty... Ostatni arcykapłan, Gintowt, na wieść o przybyciu Jagiełły uszedł na Żmujdź...

W mglistem powietrzu zimowego poranku rozchodziły się głośnem echem nabożne pieśni, ale jęki i wyrzekania tłumów, które ogarniał coraz większy lęk, chwilami głuszyły je.

Wkroczono wreszcie do obwodu. Pierwszy szedł arcybiskup Bodzanta z krzyżem w prawicy, w uroczystych szatach; za nim postępował Jagiełło, mając obok siebie Jadwigę. Był bardzo blady, chociaż dawniejsze przesądne przerażenie usiłował zwalczyć. Nauki księdza Wysza zaczynały przenikać do jego umysłu, a chwilami nawet ogarniał go zapał i chęć nawrócenia co rychlej Litwy całej. A jednak mimowolnie zakołatało w nim serce, gdy stanął przed świątynią i podniósł wzrok.

Gajem świętym z jednej strony otoczona, stała cicha i wspaniała swą wielkością. Na dwunastu stopniach kamiennych wznosił się ołtarz ogromny, z którego wnętrza pośrodku wyskakiwały w górę jaskrawe płomyki wieczystego ognia. Snadź ostatni kapłan, czy też wajdelota, uchodząc w nocy, podniecił jeszcze ogień święty i przygotował zapas drew, które obok leżały złożone. Czyniąc to, snadź ufał, że do zniszczenia nie dojdzie i że gromowładny bóg obronić się zdoła przeciw zamachom świętokradczych rąk. Z tą samą wiarą podnosiły się teraz oczy tłumu, kędy ponad ołtarzem i górującą nad nim kaplicą w kamiennej altanie, wznoszącej się wysoko jeszcze ponad mury świątyni, stał Perkun. Posąg ogromny z drzewa, o głowie srebrnej, z uszami złotemi, z twarzą groźną, pełną złości, okoloną rozwichrzonemi włosami, wśród których widać było ostro zakończone wężyki, niby błyskawice piorunu. Na piersi spadała mu długa czarna kędzierzawa broda; w prawicy zaś dzierżał godło swe: błyskawicę piorunu.

Jagiełło podniósł wzrok i już oczu od tego bożyszcza oderwać nie mógł i stał nieruchomy, bardzo blady, gdy tymczasem o. Hieronim, kamedula, stanąwszy na stopniach świątyni, mówić począł do zgromadzonego ludu, wzywając, iżby zbył się lęku, zaprzestał wyrzekać i jęczeć, bo oto za moment przekona się każdy, jako owo bożyszcze jest jeno posągiem, z drzewa uczynionym, który nad ludźmi żadnej władzy nie ma, bo ją posiada w całej pełni przebywający w niebiesiech i na każdem miejscu Wszechmogący i Jedyny Bóg chrześcijański.

A teraz podszedł ku Jagielle arcybiskup Bodzanta i rzekł:

— Miłościwy królu, nadszedł czas... Podnieś prawicę i obal bałwochwalstwo, w imię Chrystusa, w którego wierzysz!...

I podawał mu żelazny toporek.

Jagiełło drgnął, jakby ze snu obudzony. Spojrzał na Jadwigę. Ona patrzała na niego szeroko otwartemi oczami. Wzrok był bez blasku a sztywny; zdawał się mówić wyraźnie:

— Okaż teraz, że spadła z ciebie skóra poganina! Okaż to, a będę cię wielbiła, jeśli miłować nie mogę...

Gwałtownym ruchem wyrwał Jagiełło toporek z ręki Bodzanty i począł wstępować na stopnie.

Szedł krokiem pewnym, ale zwolna.

Tłum zaś poza nim jakby skamieniał. Stała się taka cisza, że słychać było wyraźnie odgłos kroków króla, który szedł ciągle w górę... Już przeszedł stopni dwanaście, minął ołtarz ofiarny i zniknął poza nim...

A gdy zniknął, szał trwogi ogarnął tłum. Poczęto tłoczyć się i krzyczeć, że rycerze zbrojni zaledwie przemocą zdołali utrzymać w karbach cisnącą się gromadę.

Tymczasem z chmurnego nieba zaczęły zsuwać się mgły. Zrywał się wicher, kłębił je lub szerokiemi pasami rozsnuwał, tłocząc ku ziemi.

Na chwilę znika wśród nich Perkuna postać i wnet ukazała się znowu jego straszna głowa; mgły opadały niżej, niby płaszczem otulały posąg, rozsnuły się na dachu kaplicy i stoczyły kłębami ku ołtarzowi, od wyskakujących stamtąd płomieni czerwonych.

— Diewas! Diewas! — wrzeszczał tłum, oszalały z trwogi.

Gdy oto nagle, powyżej już kaplicy, ukazała się znowu króla Władysława postać. Zdawało się, że po dalszych schodach, niewidocznych z dołu, szedł raźniej, jakby jakąś tajemną siłą unoszony w górę.

I stała się znowu cisza, wśród której, niby wicher daleki, szumiał i syczał jeden oddech tysiąca zaległonych piersi...

Jagiełło stanął u szczytu przed samym posągiem. Moment stał nieruchomy, jak gdyby się wahał. I nagle zwrócił się twarzą do ludu. Miał teraz u stóp swoich wijące się rozrzedzone mgły, a nad sobą, ponad groźnem obliczem Perkuna, coraz jaśniejsze niebo. Twarz jego, przedtem tak blada, teraz zdawała się pałać uniesieniem niezwykłem. Głosem gromkim, który donośnym rozszedł się echem, krzyknął:

— W imię Jezusa Krysta, w którego wierzę!...

I, zwróciwszy się ku posągowi, jednym silnym zamachem toporka odrąbał Perkunowi prawicę, dzierżącą piorun. Cios był tak gwałtowny, że cały posąg zachwiał się na swej podstawie, a odrąbana ręka potoczyła się z głuchym łoskotem w dół po kamiennych schodach...

Jeden ryk, jedno przerażające wycie rozległo się wokół. Padano twarzą do ziemi, wrzeszcząc w dzikim popłochu:

— Perkune Diewati, ne muszk ant manes!

Perkunie, bożyczku, nie gódź we mnie!

Tarzano się po ziemi w oczekiwaniu ciosu...

Wrzaski te tłumiły zrazu pieśń, którą w chwili zadania Perkunowi ciosu zaintonował arcybiskup Bodzanta. Jeno kiedy niekiedy słychać było hymn, śpiewany przez duchownych i całe polskie rycerstwo:

Bogu rodzica dziewica,
Bogiem sławiena Maryja...
. . . . . .
Kyrie elejson!
. . . . . .
Nas dla wstał z martwych Syn Boży,
Wierzy-ż w to, człowiecze zbożny,
Iż przed trud Bóg swój lud
Odjął djablej strożej...
. . . . . .

Tymczasem Jagiełło zszedł już z wyżyny i stanął u ofiarnego ołtarza, z którego buchały coraz żywsze płomienie. Naprzeciw króla pośpieszył teraz Bodzanta z gronem duchownych, dźwigających kubły, napełnione wodą. Podano Jagielle dzban srebrny, a on, zaczerpnąwszy nim wody, pierwszy gaszący strumień wlał we wnętrze ołtarza. Płomienie syknęły głośno, zakołysały się i okryły chmurą dymu, ale za moment znów strzeliły w górę.

A lud przerażony wył ciągle.

Szybko teraz zalewano ogień, który miał płonąć wieczyście, i wkrótce stłumiono go zupełnie; żarzyły się jeszcze chwilę

węgle, ale i te wygasły, a z ołtarza ze szmerem ściekała jeno woda mętnemi strugami.

Mgły pierzchły zupełnie. Z rozjaśnionego nieba wyblysły blade promienie marcowego słońca. Lud zwolna podnosił głowy i z podziwem patrzał na te łagodne blaski, oświetlające okaleczałą postać gromowładnego boga i wygasłe ognisko Znicza. Perkun stracił moc... z jasnego nieba żaden grom nie spadał. Wycia i jęki zmilkły, a rozgłośnie wśród ciszy rozbrzmiał znowu pobożny rycerski hymn:

Bogu rodzica dziewica,
Bogiem sławiena Maryja...
. . . . . .
Kyrie elejson!
. . . . . .

Z ostatnich już stopni schodził król. Oblicze miał dziwnie promienne, pełne uroczystej powagi i jakby tchnące radością, że dokonał już czynu, który go mimowolnym dotychczas przejmował lękiem. Wszystkie teraz pogańskie bożyszcza paść muszą, a on czuje w sobie tę apostolstwa łaskę i tę moc, o której mówił mu ksiądz Nawój.

U ostatniego stopnia oczekiwała go Jadwiga. I jej oblicze promieniało radością i nieziemskiem uniesieniem. Łagodnemi oczami patrzała na Jagiełłę, który schodził ku niej wśród blasków słonecznych. Wydał jej się w tym momencie niemal pięknym z tą rozradowaną twarzą, okoloną długiemi włosami, które wiatr rozwiewał. On także bystro patrzał na królową, ale w miarę, jak się ku niej zbliżał, wyraz radości znikał. Od owego zajścia w kościele, od czasu, gdy z jej ust usłyszał, jako przez nią tylko jest królem, a zawsze w pogańskiej skórze, nie wyrzekł do niej ni słowa. W ciągu podróży i po przybyciu do Wilna nie zbliżał się zgoła, a tu, na ziemi litewskiej, on czuł się dostojnym panem i władcą, przeto tem dotkliwiej bolały go owe dosłyszane wyrazy i odpychały od dumnej niewiasty, która jeno swój uznawała majestat. Czasem tylko z pod oka spoglądał na nią, zbadać chcąc, jakie wrażenie czyni na wytwornej królowej ten kraj ogromny, w którym wszystko woli jego było uległe, te nieprzebyte bory, te jeziora, olbrzymie, jak morza, i ta giedyminowa stolica warowna. Ale dotychczas z twarzy Jadwigi, zawsze jednakowo bladej i posępnej, nic wyczytać nie mógł. Dopiero w tym momencie widział ją blisko, rozjaśnioną uniesieniem. Zakołatało w nim serce. Co mu powie ta niewiasta teraz, gdy on spełnił czyn, którym Litwę całą, przez zgruchotanie najwyższego

jéj boga, oddał w moc Chrystusową? Zali cofnie obelżywe słowa i zechce uznać władzę jego, jako małżonka i króla? Niepewny, stanął przed nią. Ona zaś podeszła i chyląc kornie aż do jego kolan swą nieugiętą dotychczas głowę, szepnęła:

— Cześć ci, panie mój i królu!...

On zadrżał od stóp do głowy. Więc to było wyraźne i uroczyste cofnięcie tamtych słów, to było uznanie jego mocy nad sobą i w państwie. Duszę zalewała mu niewymowna rozkosz, nie odrzekł wszakże nic, jeno uniósł ku sobie tę pochyloną, umiłowaną głowę i spojrzał w jej oczy, pełne w tym momencie blasku z poza łzawej mgły.

Ale oto ksiądz Bodzanta poświęcił już krzyż wielki, srebrną blachą obity, i teraz szedł znowu z procesją po stopniach ku pogańskiemu ołtarzowi. Wydźwignięto tam krzyż i mocno przytwierdzono u owego ołtarza, a za moment z tego miejsca, kędy spełniano bałwochwalcze ofiary, rozciągnął swe ramiona — znak najwyższej zbawczej ofiary...

Raz jeszcze zabrzmiały pobożne pieśni, a potem cały orszak królewski wyruszył w pochód z powrotem do zamku, tłumy zaś zwolna rozpraszały się, szemrząc.

A. Krechowiecki.

139. Hołd królowej Jadwidze.

Na grób Twój pójdziem i na miejsce Boże,
Z którego dzwon dziś chwałę Twą ogłasza;
O, zapal w sercach naszych nowe zorze,
O, daj nam światło, co moc starą zmoże,
— Królowo nasza!

Zapłomień zimne piersi iskrą ducha!
Oczyść nam usta węglem Izajaszaa[1])!
Gdzie nędza cierpi, gdzie siedzi noc głucha,
Miłość z serc naszych niech ogniem wybucha,
— Królowo nasza!

Pokaż nam drogę do bratnich dusz ludu,
Gdzie chaty ciemne, gdzie mroczne poddasza!
Daj czołom naszym Najświętszy chrzest trudu
I tęczą Twego opromień je cudu,
— Królowo nasza!

[1]) Izajasz — prorok starohebrajski.

Daj zgodę myśli i jedność daj czynu,
Daj karność, niech się chów Twój nie rozprasza!
O, rozpal pośród niewiast polskich gminu
Żar pożądania zasługi wawrzynu,
— Królowo nasza!

Daj ziemi służyć! Daj bronić nam ziemi,
Gdy ją dłoń zdrajcy przedawa Judasza,
Razem z prochami ojców — razem z temi
Piastowych kmieci strzechami siwemi,
— Królowo nasza!

Daj stać niewieścim duchem w tej świątyni,
Co dziś cześć Twoja skróś wieków rozmasza,
I niech się światło nad nami uczyni,
O, pierwsza chramu[1]) tego hospodyni,
— Królowo nasza!

Związ nas imieniem Twojem w zwarte roty!
Daj męstwo! niech nas walka nie przestrasza,
Daj zburzyć twierdze krzywd, nędzy, ciemnoty!
Rozwiń nad nami proporzec Twój złoty,
— Hetmanko nasza!

Marja Konopnicka.

140. Do swego Boga.

Wąska drożyna przeciska się przez las zwarty, podszyty młodą sośniną, tworząc między szczytami drzew przedział nieznaczny. Gałęzie świerków, na których leżą grube, soplami obwieszone kiście śniegu zginają się pod ciężarem nad tym leśnym przesmykiem, zaledwie oznaczonym dwiema skibami śniegu, które sanie chłopskie odwróciły.

Dzień był marcowy — jasny a mroźny.

Teraz, gdy się na zachodzie rozpościerać zaczyna półzmierzch błękitny, nawet zaspy, pozataczane dokoła pniów, stają się sypkiemi, jak mąka. Na przedziwnie czystej przestrzeni niebieskiej, jak płonie już zorzą wieczorną — las stoi nieruchomo, niby wielki ejkonostas świątyni greckiej: nieznaczne podmuchy strącają z wierzchołków drzew drobniutkie pyły śniegowe i płyną między gałęziami, po tle purpurowem, jakby poplątane smugi nikłego dymu, wzbijające się z niewidzialnych kadzielnic...

Cisza tam głucha, nieskończona, śmiertelna...

[1]) Chram — **świątynia.**

Drożyną ową idzie stary, zgrzybiały, siwy jak gołąb chłopowina Felek z wnuczką Teofilką, — poły lichego kożucha za pas zatknął, kij daleko przed się stawia, szeroko rozkracza nogi, sapie i kaszle, lecz nie ustaje, choć mu zaczerwienione oczy łzami zachodzą, choć pot się sączy zmarszczkami zwiędłej. przez wiatr wychłostanej twarzy. Teofilka staje swemi wielkiemi butami w śladach dziadowskich, co chwila chuścinę na piersiach zawiązuje mocniej i, pomimo że upada ze znużenia, dotrzymuje staremu kroku. Z trwogą spoglądają na zorzę, rozniecającą się nad szczytami i spieszą coraz bardziej. Od czterech dni idą tak, krótko odpoczywając przy stogach siana i pustych szopach, nocując po chatach, zdaleka za wsiami stojących, przebywają pustkowia bezludne, lasy czarne i głuche, brną po zaspach głębokich, po lodach rzek i stawów, śniegiem przyprószonych, pod nogami dzwoniących — idą leśnemi, dalekiemi a zapadłemi drogami — z pod samego Drohiczyna aż za Warszawę-miasto... spowiedź „uhopić“...

Co roku tak chodzą we dwoje — odkąd na wiarę cudzą zapisani. Grzesznicy oni wielcy oboje, zdrajcy oboje...

Stary Felek jeszcze przed „zbrodniami“ synowi swe pięć morgów odpisał, wnuczki się doczekał, synowę pochował i pacierze, pod piecem siedząc, odmawiał już tylko, gdy mu się nagle a niespodziewanie na ruskiego podpisać kazano. Synowi też, wnuczce też — całej wsi... Sam arcypop coś do nich gadał, gdy ich wszystkich do gminy zapędzono. Wieś się oparła.

Pewnej nocy zimowej wojsko naszło, ludzi wypędziło z chat na szare pole, w mróz trzaskający. Trzy dni kozaki po chatach obozem stały, bydło rżnąc i niszcząc mienie, trzy dni ludzie stali z odkrytemi głowami na polu, na śniegu, do Boga się modląc. Wreszcie naczelnik wojskowy wielkim się gniewem zapalił — dawaj bić. Danaga rozbierali mężczyzn i kobiety, bijąc po kolei a srogo, aż się naród całej wsi zawściekł i jął się rozbierać sam, pod baty kłaść sam, pokotem; — aż się Felków syn z pięściami podsunął do naczelnika do Gołowińskiego... Dopiero nastał sądny dzień!

Bili tego Leona nahajkami na śmierć, w sześciu, szmaty z niego zwlekli, naczelnik ostrogami grzbiet obnażonemu, na śniegu, we krwi leżącemu szarpał, wrzeszcząc w zapamiętałości: „podpiszyś!“

Na nic!

— Ni, ni, ni... — szeptał tamten.

To go umierającego dźwigać kazał, twarzą do siebie obracać i pytał:

— Ty ruski?

— Ni — Polak, na polskiej ziemi się urodził... Tak i uświerkł, szepcąc do siebie: ni — ni!... Gdy wzięli wnuczkę Teofilkę bić — Felek nie wytrzymał: podpisał duszę swoją i wnuczki na złą wiarę. Stare u niego było serce, dziadowskie... Jak liść dygotał, u nóg Moskalowi się wlókł, przyszwy butów całował — aż podpisał.

Odtąd rok rocznie przed Wielkanocą idą Bogu się kajać za zdradę. Dziad taką drogę zna, gdzie nie tylko żandarma, ale człowieka żywego nie spotkasz.

Jest daleko, za Warszawą-miastem, kościółek maleńki, stary: ksiądz tam jest młody, świątobliwy a miłosierny. Oczy u tego księżyka we łzach, słowo ciche, a takie mądre, a takie słodkie!...

Przyjdą w nocy, zastukają, dziad przez szybkę poszepce, — wnet on ich boczną furtką do kościoła prowadzi, spowiedzi słucha, a sam płacze, serdeczny, ślozami gorzkiemi. Potem wszyscy krzyżem leżą aż do rannego świtania. Gdy odchodzą, naucza ich ten sługa boży zawsze jednakowo: miłujcie nieprzyjacioły wasze, miłujcie nieprzyjacioły wasze.

Nim słońce wejdzie, nim się ludzie pobudzą, już oni od miejsca tego daleko... Teraz oto, gdy dzień się szybko nachyla, śpieszą już co tchu, aby na wiadomy dziadowi nocleg trafić. Las rzednie, otwiera się pole czyste, śniegiem równo zasłane, bezludne, dalekie, bezmierne.

Na skraju lasu Felek przystanął, oczy dłonią od blasku nakrył, z nogi na nogę przestępuje, wargi mu drżą. Pola tego on nie zna, chałup tu kilkoro powinno stać pod lasem.

— Obce pole... szepce do siebie w trwodze. Na środku pustkowia wiatr wzdyma sypkie bryłki śniegu, to je rozmiata, to wieje, jak zboże szuflą, to cały obszar przestworza ciągnie za sobą, jak obrus, to go daleko, daleko lejkiem w górę podrywa, to jakby w falach dymu od końca do końca leci.

— Zbłądził ja, stary głupiec, hej! — mówił cicho, w tył zasuwając czapkę.

— Za tym torem chodźmy, dziadku...

— Za torem...

Ruszają znowu i brną po kolana. Śnieg na polu głębią leży, wiatr luty, burza idzie. Bylinki zeszłoletnie, suche, cieniutkie gdzie niegdzie nad śniegiem stoją, kiwają się w wietrze żałośnie, jakby nad tą dziewczyną zawodziły, jakby za nią świstały: ej,ej... Tarnina, od lodu i sopli błyszcząca, badyle głogu czepiają się jej spodnicy, jak ręce miłosierne, co chcą zatrzymać...

Buty obojgu przemokły do cna, nogi kostnieją, tchu brak.

Isz ty, wnuczko, jak nas ten wiatr, moskiewski sługa, od Boga odpędza — mamle półzrozumiale dziadowina.

Nagle coś dudni i wre głucho za nimi. To wicher w las uderzył. I zakołysał się las, zastękał... Teraz burza w nich bije, szmaty rozmiata, w oczy garściami śniegu, ostrego jak tłuczone szkło, ciska. Chwilami, jak żywy siłacz brzemiona śniegu z miejsca na miejsce przerzuca, zdziera go, aż do gruntu nagiego i fryga wysoko — nad las.

Kamień tam był wielki na polu, do niego się dowlekli, usiedli odpocząć...

Noc zaszła nagle ciemna. Burza w niej wre — długo, długo... Czasem znienacka ucichnie, wówczas z wysokości niebieskiej pada na oblicze pustkowia blade, zimne, znikome półświatło miesiąca, dotyka lodowatemi promieniami przytulonych do siebie, skrzepłych, śniegiem przysypanych głów, zimnych oczu otwartych i łez na rzęsach wiszących, co się w sople lodu ścięły...

Gdy wstaje i płonie zorza poranna, znowu na równinie cicho, tylko z wierzchołków drzew niewidzialne podmuchy strącają pył lekki, śniegowy i płynie niby biały dym znikomy, wzbijający się z niewidzialnych kadzielnic...

St. Żeromski.

141. Na okręcie emigranckim.

Więc kiedym stanął na owym pokładzie,
Na pewnych nogach i szeroko w kroku,
Tom się pocieszył, że już na zawadzie
Nie będzie teraz nic, nawet łza w oku.
Okręt był wielki, szeroki w nasadzie,
A choć wiatr tęgi zadymał mu z boku,
Ledwo się w sobie kolebał bezmała
Na linie, co się napięła i drżała.

A w imię Ojca i Syna i Ducha!
Zrobiłem święty krzyż: płynąć, to płynąć!
Człowiek nie plewa, wiatr go nie wydmucha,
Katolik przecie, Bóg nie da mu zginąć.
I zaraz we mnie wstąpiła otucha,
A że mnie jeden z fajeczką chciał minąć,
Więc ognia wziąłem i czapkę-m nacisnął
Na lewe ucho; wtem sygnał zaświsnął.

Jest przeraźliwość jakaś niespodziana
W takowym świście, co jeży ci włosy;
To już waleta[1]), przez ziemię ci dana,
A ty się zbieraj i w garści dzierż losy.
Więc się pode mną ugięły kolana
I w oczach nieco zaczułem tej rosy,
Co, chociaż nikt cię nie żegna z żałobą,
Samego człeka urzewnia nad sobą.

A już te czółna, te barki, te łodzie,
Co tam latały od portu do brzega,
Tak się zwijając i goniąc po wodzie,
Jak stado rybitw, gdy płocia dostrzega,
Cała ta luza, zbyteczna w pochodzie,
Już nam umyka, już od nas odbiega.
Wtem działo w hafie[2]) ryknęło co gardła...
Głos poszedł duży, lecz woda go zżarła.

Znak to był, jako na grzbiecie nas swoim
Morze już samo trzyma bez kotwicy:
Załopotały po boku oboim
Skrzydliska, nakształt młyńskiej śmigownicy;
Nie czułem zrazu, czy płyniem, czy stoim,
Dym buchał z ogniem, jak w czarnej kuźnicy,
Okręt, choć trzeszczał, lecz mocny się zdawał
I, jak rak, wodę łapami rozkrawał.

Tuż za nim, jako kiedy na nowinie
Pług zajmie krojem skibę a odwali,
Taka się połać wskróś morza odwinie
I szczerym ogniem po strzępach się pali;
Bo już się słońce nurzało w głębinie,
Kolory dając ze siebie tej fali,
Co się waliła w żar, brózda po bróździe,
Łódź czarną ciągnąc ze sobą na uździe.

Na statku wrzawa, komenda, tłok, krzyki;
Po ludziach depcą, jak w boru po chróście.
Człek się tu robi przemyślny, a dziki:
Ustąp się krokiem, to chybniesz w czeluście.
Nie tak się niedźwiedź pilnuje muzyki,
Gdy mu na drumli gra Cygan w odpuście,
Jak tu człek prawa morskiego i rządu,
Bo apelować daleko do lądu.

[1]) Pożegnanie.
[2]) Haf — port, przystań.

Zrazu tam byłem, jak w ostęp wpędzony,
Wprost na nagonkę, w sam kocieł obławy,
Jako ten szarak, co nie wie, gdzie w strony
Słuchy ma wytknąć, by nie dał odprawy;
Świst wiatru w uszach i rozpęd szalony
Mało mnie z owej nie wymiótł precz nawy,
Razem z magierką, z butami i pasem;
Więcem się skulił, jak zając pod lasem.

Ale powoli ciekło. Czym ja zwykał,
Czy też tak woda po sobie rozniosła!...
A com rozumiał, że każdy wykrzykał,
Jeden drugiego ganiając za posła,
Nieprawda! Tuman już z oczu mi znikał!
Różny tu urząd i różne rzemiosła;
Najwyżej stoi kapitan w honorze
I w rozkazaniu, a nad nim zaś — morze.

To pan największy nad wszystkie burmistrze,
A każdy przy nim kiep i staje frontem.
Gdy ono huknie, a porwie się bystrze,
To jakbyś właśnie na działo szedł z lontem,
A gdy zwolnieje, gdy toczy się czystsze,
Pod drobną falą, jak gdyby pod gontem,
To ci od miru tego, od tej łaski,
Naokół bije świt i srebrne blaski.

Ale nim sobie rozbierzesz to, człecze,
Jużeś poczestnem szturchańców wziął siła.
Już ci tu za kark coś pluszcze i ciecze,
Już cię tu lina skrobnęła, jak piła;
Tuś w łańcuch stąpnął, więc z sobą cię wlecze,
Tu pompa chlusła i gębę ci zmyła;
Gdzie spojrzysz, wszędzie srogość i zawziątek,
A morze kipi i pryska, jak wrzątek.

To i nie dziwo, żem zrazu w tym warze
Nie wiedział nawet, co z naszą gromadą;
Stali-ć tam w dymach kotłowych i w parze,
Zbici na kupę, jak owiec tych stado,
Gdy je zapłoszy wilk; spojrzałem w twarze:
Te jedne sino mienią się, to blado:
W oczach błąd jakiś, kolana dygocą,
Stoją, jak gdyby ujęci złą mocą.

Każdy to wiedział, że morze nie łacha,
Poły nie ugnie, nie przejdzie go brodem;
Alić dopiero tu poznał on stracha,
Tutaj na grzbiecie pot ściął mu się lodem,
I widać było, jak tłum ten się waha,
Oblany krwawym, ogromnym zachodem,
Jako łan żytni, gdy wiatry nim chwieją,
Między żałością i między nadzieją.

To, kiedym spojrzał znagła w te sukmany,
Na onem wielkiem, rozłożystem morzu,
Na ten len siwy, wełnami przetkany,
Co zwyczkiem[1]) siedzi chowany we zbożu,
W opolnych ziemiach, pod dach swój słomiany,
A teraz — patrzcież — po takiem przestworzu
Z wiatrem się błędnym unosi po świecie,
To mnie mróz przeszedł i ciarki po grzbiecie.

Boć ze rzemiosłem to jeszcze pół licha:
Człek jest światowy i luźny sam w sobie,
Kunszt go prowadzi i naprzód popycha:
Źle mi — poprawię, straciłem — zarobię;
Ale kto w sochę swój żywot wydycha,
Kto ziemię tylko przewraca a skrobie,
Kiedy chce od niej, nie puszcza go, stęka,
I tak, czy owak, a zawsze jest męka.

Więc gdy tak patrzą na te one brzegi,
Choć im i cudze były i nielube,
Na one wody pieniste, by śniegi,
Co się chybocą i kręcą we śrubę,
Podobni ptactwu, co miewa noclegi
W śródniebnych drogach, a podczas i zgubę,
Od skrawka ziemi, niknącej w oddali,
Oczu nie mogli odjąć — i tak stali.

A już te łuny ugasły na wodzie,
Z zachodnich ogniw, kolorów i słońca;
Niebo się miało ku cichej pogodzie,
Otchnione parą od końca do końca.
Lekkuchna modrość szła po niem na wschodzie,
Aż nagle gwiazda wybłysła z niej drżąca
I liczko swoje złociste a blade
Prosto na naszą zwróciło gromadę.

[1]) Zwykle.

I patrz, jak dziwne są moce i siły
W onych to światłach litośnych na ziemię!
Wszystkie się głowy podniosły i wzbiły,
Jakoby tknięte ognistym tchem w ciemię;
Wszystkie się oczy rosami zaszkliły,
A choć nikt znaku nie dał, lud, jak brzemię,
Z jękiem padł głośnym na oba kolana:
— „O gwiazdo morza! O karmiąca Pana!“

Marja Konopnicka.

142. Przypowieść o rozbitkach.

Onego czasu rozbił się okręt; wszakże część ludzi wypłynęła na brzeg cudzy.

Byli zaś między tymi, co wypłynęli, żołnierze i majtkowie, ludzie morscy, i rzemieślnicy, i uczeni, piszący książki.

Wszyscy narzekali i chcieli do ojczyzny wrócić; i weszli w radę.

Lud brzegu onego nie dawał im okrętu, ani łodzi, a będąc chciwy, nie dawał im drzewa bez pieniędzy.

Poszli tedy do lasu, i zaczęli opatrywać drzewa, i rozprawiać, wiele tych drzew potrzeba i jaki okręt zbudować, czy podobny do dawnego, czy nowym kształtem, czy fregatę, czy bryg, czy kuter.

Tymczasem ludzie owego brzegu przybiegli na odgłos kłótni i wygnali rozbitków z lasu.

Zaczęli więc narzekać i weszli w radę.

Mówili jedni, iż przyczyną rozbicia był sternik i chcieli go zabić, ale był utonął; drudzy skarżyli majtków, ale mieli tylko kilku ludzi morskich, i zabiwszy ich, nie mieliby z kim płynąć, więc ich tylko łajali i urągali się nad nimi.

Niektórzy wywodzili, iż rozbicie przyszło z wiatrem północnym, inni składali je na wiatr zachodni, inni obwiniali skałę podwodną. I stała się między nimi kłótnia wielka, trwała zaś rok cały, a nic nie uradzono.

Rzekli więc: — „Rozejdźmy się a szukajmy sposobu do życia.“ Więc cieśle poszli budować domy, a mularze murować, a uczeni książki pisać cudzoziemcom, każdy rzemieślnik wedle rzemiosła swego.

I stało się, że wszyscy tęsknili do ojczyzny, a jedni nie umieli budować wedle rozkazania budowniczych cudzoziemskich, a drudzy nie umieli pisma onych ludzi.

Narzekali więc i weszli znowu w radę.

I znalazł się między nimi człowiek prosty, który dotąd milczał, bo był cichy, ten rzekł im:

— Pracując i żywiąc się, zapominacie, że musimy powracać do ojczyzny, a nie powrócimy, tylko okrętem, i po morzu.

Niech więc każdy z was buduje i muruje i pisze; ale razem niech każdy kupi siekierę i uczy się pływać.

Zaś ludzie morscy, którzy między nami są, niech wywiedzą się o morzu i o brzegach tutejszych, i o wiatrach.

A gdy będziem gotowi, pójdziemy do lasu i zbudujem prędko okręt, nim się obejrzą ludzie brzegu tego. A jeśli zechcą nam wstręt czynić, tedy, mając siekiery, obronimy się.

Rzekli więc: — „Obierzmy sternika.“

Jedni chcieli starego, drudzy młodego; mularze innego, uczeni innego. I trwała ta kłótnia pół roku i nic nie postanowili.

Natenczas rzekł im ów człowiek prosty: — „Obierzcie naprzód cieślę, któryby wam prędko okręt zbudował, a zbudujecie tymczasem kształtem dawnym, bo nie mamy czasu nowego próbować.

„A gdy wsiądziemy i wypłyniemy, zbierzemy ludzi, którzy między nami są ludzie morscy, i każemy im obrać z pomiędzy siebie sternika.

„Ludzie morscy, równie jak my, nie zechcą utonąć; więc dobrze wybiorą.

„A jeśliby i wtenczas była między nami kłótnia, tedy skończy się, bo mocniejsi słabszych albo powiążą, albo w morze wrzucą; a póki jesteśmy na tym brzegu, kłótnia nigdy nie skończy się, bo nam nie wolno ani zabijać drugich, ani wiązać“:

Zrobili ci tak, jak im radził, i wypłynęli szczęśliwie.

Adam Mickiewicz.

143. List z Sybiru.

Mamo! Piszę do ciebie ten list! Czy go czytać
Będziesz? Nie wiem! Czy dojdzie? Nie wiem! Chciałbym spytać
Kwiatka, jak to się u nas wróży listków rwaniem,
Ale kwiaty umarły pod śniegu posłaniem
I o losie tej kartki żaden mi nie powie!
Mamo! jak to okropnie, gdy w słowo po słowie
Kładę serce swe, duszę, ach, całego siebie,
A nie wiem, czy t a k chociaż powrócę do ciebie!

Mamo! jak to już dawno! jak dawno się zdaje,
Gdym cię żegnał! Ta chwila, jak we mgle, mi staje
Przed okiem, zapatrzonem tam, ku naszej stronie!
Widzę twoje rozpacznie wyciągnięte dłonie!
Widzę ruch ten, gdy chciałaś z bólu obłąkana,
Przed potworem dymiącym runąć na kolana...
I ten wieczór, i słońce, gasnące szkarłatnie!
I jękiem rwie mi serce „Pamiętaj“! ostatnie.

„Pamiętaj“! Mamo! Ile w tym jednym wyrazie
Jest męki! gdyby wyryć słowo to na głazie
I kazać mu pamiętać, z żalu głazby spękał!
Niema dnia! niema nocy, bym we łzach nie klękał,
Powtarzając: „Pamiętaj!“ straszne, jak przekleństwo!
O, matko! jeśliś chciała dać błogosławieństwo,
Bym, żyjąc i konając, nie cierpiał ogromniej,
To było mnie pożegnać, wołając: „Zapomnij!“

Piszę rankiem. Śnieg zawiał okienka mej chaty,
W izbie mroźno i szaro. Jakiś gość skrzydlaty
Przed zimnem do lepianki schronił się — i ćwierka.
Ja piszę, a ptaszyna z pod pułapu zerka
I widzi, jak na papier ciężka łza mi kapie...
Sople wiszą lodowe u ścian, na okapie,
I stary mój kożuszek srebrzy się od szronu...
Jak głucho! bicie serca słyszę, jak głos dzwonu!...

Co tu robię? jak żyję? Nie wiem, jak nakreślić,
Że patrząc — nie chcę widzieć! myśląc — nie chcę myślić!
Że pomiędzy tem wszystkiem, co mnie tu otacza,
A mną jest dusza moja, która przeinacza
Rzeczywistość i sprawia, że, złudzony snami,
Chodzę z niewidomemi, jak ślepiec, oczami,
I dzień po dniu przeżywam, i chwilkę za chwilką,
Tem, co mam wewnątrz siebie! I tak trwam: tem tylko!...

Ludzie nie są źli tutaj! jest w nich jakaś szczera
Litość. Nieraz chłop ruski tak na mnie spoziera,
Jak ja patrzyłem niegdyś na pisklę bezdomne.
Nieraz, gdy wyjdę z chaty na śniegi ogromne,
Zakrwawione od zorzy polarnego nieba,
Na progu pieniądz srebrny, albo krążek chleba
Położy jakaś dobra, niewiadoma ręka!
Jem chleb ten, gdy to piszę, i serce mi pęka!

Znalazłem na dnie kufra twój „Złoty Ołtarzyk“,
Tyś go włożyła, mamo! To mój relikwjarzyk!
Schowałem go na sercu i chodzę z nim wszędzie!
Jak ty przeczułaś, mamo, czem mi tutaj będzie
Ta książka: jakby żywą i drogą osobą!
Po polsku z nią jedynie rozmawiam — i z sobą!
I codzień na te pustki drętwe, nieskończone
Idzie moja modlitwa: „Pod Twoją obronę!“

Mamo! Napisz mi wszystko! Czy tak samo z rana
Gra srebrna sygnaturka u świętego Jana?
Czy jednako pod zamkiem pluska Wisły fala?
Czy słońce zawsze najpierw płomienie zapala
Na kolumnie Zygmunta wprost naszego domu?
Czy pieśń z Fary, jak echo dalekiego gromu,
Bijąc w niebo milczące, brzmi po staroświecku?
Pytam, jak dziecko małe... Odpowiedz, jak dziecku!

Ach, mamo! jak mi tęskno! A śnię co noc prawie,
Żem w kraju: nasz pokoik widzę, jak na jawie!
Staś kłusuje na krześle z pałasikiem w ręku,
Ty, mamo, jak to zwykle, szyjesz przy okienku,
A w kącie ja i Zosia gwarzymy oboje.
Budzę się, ale oczu otworzyć się boję
I chciałbym usnąć jeszcze, by ujrzeć to samo...
Jaki to żal okropny! jaki to żal, mamo!

Zosia... Nie mogę o tem... Mamo! Powiedz Zosi:
Niechaj zapomni! Powiedz, że ją o to prosi
Umarły! Niech zapomni i niech mi przebaczy,
Żem, prócz niej, kochał kogoś bardziej, choć inaczej!
Stasia ucałuj, mamo! Mów z nim często o mnie!
Mów, jak jest, choćbyś miała zasmucić ogromnie
Tę duszyczkę tak jasną, jak jego oczęta!...
Zosia niechaj zapomni! lecz on: niech pamięta!

Mamo! Bądź zdrowa, mamo! Niech Boża opieka
Będzie nad wami! Pozdrów każdego człowieka!
Mur każdy! wszystkich! wszystko! Pozdrów, jak od brata!
Mamo! Ja piszę do was, jak z tamtego świata,
Bo ja stamtąd... nie wrócę! Ach, jakie wrą wojny
W mem sercu! Chciałbym zwalczyć! Chciałbym być spokojny!
Ale kiedy pomyślę: Nigdy! nigdy! nigdy!
O, mamo!...

Or-Ot.

144. Litanja pielgrzymska.

(Urywek.)

O wojnę powszechną za Wolność Ludów
prosimy Cię, Panie.
O broń i orły narodowe
prosimy Cię, Panie.
O śmierć szczęśliwą na polu bitwy
prosimy Cię, Panie.
O grób dla kości naszych w ziemi naszej,
prosimy Cię, Panie.
O niepodległość, całość i wolność Ojczyzny naszej
prosimy Cię, Panie.

A. Mickiewicz.

145. Burza.

Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki,
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki,
Słońce krwawo zachodzi, z niem reszta nadziei.

Wicher z triumfem zawył, a na mokre góry,
Wznoszące się piętrami z morskiego odmętu,
Wstąpił genjusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz, szturmujący w połamane mury.

Ci leżą napół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół, żegnając się, pada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnać.

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie
I pomyślał: szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać.

A. Mickiewicz.

146. Na pokładzie.

Na pokładzie statku, dążącego z Brunnen do Fluelen[1]) tłoczyło się wielu turystów. Byli tam przedstawiciele narodowości francuskiej, niemieckiej, włoskiej, angielskiej i innych. Świt roztoczył się nad górami i ogarnął tę całą krainę, jak

[1]) Miasteczka nad jeziorem Czterech Kantonów w Szwajcarji.

niewymowne wzruszenie. Kopuła Urirotstock[1]) stała wśród nocnych obłoków, niby tajemniczy przybytek w dymie kadzideł. Na prawo i na lewo lśniły się pod słońcem szczyty lodowe. W głębi, u samych wód szukała jeszcze kryjówki noc, zewsząd wygnana. Świerki, leszczyny i brzozy nad brzegiem tuliły ją między siebie, ile mogły. Zniżały gałęzie aż do samej wody i, oniemiałe z podziwu, patrzyły we własne odbicia, rodzące się w głębokiej topieli. Długa zatoka jakby martwa, nieruchoma, fiołkowa tafla, leżała pod znikomym tumanem. Błędne i wiotkie mgiełki wstawały z przezroczystych nurtów i chodziły nad wodami. Widziało się, że daleko, w zamroczonej niebieskiej dolinie tułają się i krążą nad leżącem w ciszy jeziorem cienie i widma, wyśnione przez Schillera, który tu marzył.

W pewnej minucie na jednostajnej barwie odmętu wynikła przedziwna, jasnozielona plama, o brzegach mocno zarysowanych, i mknęła chyżo, niby swobodna łódka Tellowa[2]). Statek, nurzając się w toń, wstrząsał jej uśpioną powierzchnię i ciągnął za sobą jakby obwisłe skrzydła z fal rozkołysanych. Te lśniące, błyskotliwe, małe fale szły wstecz, coraz wolniej, ku czarnym brzegom, pieszcząc się wzajem jedne z drugiemi.

Cały przód pokładu pełen był dzieci szwajcarskich. Mieściła się tam szkoła jakiejś wioski kantonu[3]) Appenzell, odbywająca zwyczajną wędrówkę letnią wpoprzek swego kraju. Byli to chłopcy i dziewczęta różnego wieku, synowie i córki rolników i drobnych mieszczan, pastuchów i kupców, rolników i służby, dorobkiewiczów i nędzarzy. Wszyscy byli już dosyć znużeni, ogorzali, pyłem okryci. Przewodniczył im nauczyciel, c h a j b[4]) z ruchami parobka, o twarzy piegowatej, ordynarnej, zarosłej bezbarwnym włosem. Było jednak w tem obliczu coś, co wyróżnia pedagoga tamtejszego z tłumu. Malowało się na niem przyzwyczajenie do mówienia prawdy otwartej i nieskażonej, zawsze i wszędzie. Ten mus, ten piękny owoc wysokiej kultury zmywa w ciągu lat, jak niestrudzona woda rogatą glebę, przywary indywidualnego[5]) charakteru, wrodzone brzydoty temperamentu i znaczy twarze dziwnym uśmiechem, jaki oglądać można chyba tylko na starych płótnach Bernardina Luini'ego[6]). Są to naiwne twarze, które kłamać nie umieją.

[1]) Szczyt górski w Alpach.
[2]) Tell Wilhelm — bohater szwajcarski w walce o wolność.
[3]) Kanton — prowincja szwajcarska.
[4]) Chłop szwajcarski.
[5]) Indywidualny — należący do jednostki.
[6]) Malarz włoski XVI. w.

Szkoła taka, gdzie się da, maszeruje, miejscami jedzie koleją, albo płynie na statku. W okolicach północnych zwiedza fabryki, świetne warsztaty, muzea, kościoły, piękne miasta nad jeziorami, siedliska życia, wiedzy i pracy; odludne wioski, stare ruiny i wreszcie martwe pustynie na wysokich górach, gdzie ponury lodowiec śpi w milczeniu wiekuistem. Starsi gromadzą w swych zielonych pudełkach zioła i owady, — młodsi na polach Näfels, Morgarten, Sempach[1]) słuchają wykładu zdarzeń i uczą się legend, które są jakby westchnieniami ludzkości.

Gdy przekroczą wysoki szczyt gotardzki, gdy zstąpią do pięknej doliny Tessinu, ludzie mówiący językiem obcym, Włosi czarni a żywi, przyjmą ich z otwartemi ramionami — są to bowiem ich bracia.

Gdy po długiej wędrówce znajdą się w smutnej dolinie Rodanu, w miejscach, gdzie ludzie mówią po francusku, i tam przyjmą ich z miłością, są to bowiem ich bracia.

Gdy statek wymijał Rütli[2]), rozległ się piękny śpiew tych dzieci. Zwróceni twarzami do wyniosłego urwiska nieśmiertelnej skały, śpiewali:

„Von ferne sei herzlich gegrüsset, du stilles Gelände am See[3])...“

Obcokrajowi pasażerowie skupili się dokoła małych śpiewaków i z przyjemnością słuchali zgodnego chóru. Tu i owdzie wymykało się z tłumu słowo pochwały. Jakiś Niemiec zcicha bił okłaski, jakaś szczupła dama ze wzruszeniem szepnęła do towarzysza: oui, c'est beau[4])... Pargaminowa twarz Anglika mieniła się rzewnym uśmiechem. Na uboczu stało kilku młodych ludzi. Oblicza ich były bardzo smutne, a źrenice zasłonięte łzami.

Stefan Żeromski.

147. Konno przez Peloponez.

Dalej, mój koniu, powoli, dość czasu!
Krajograficznie strofami wyłożę,
Jaka mię droga prowadzi z Patrasu.
Po prawej stronie góry, z lewej — morze,
Za morzem znowu i skały, i góry,
Nad niemi niebo błękitne bez chmury.

[1]) Pola bitew, gdzie Szwajcarzy wywalczyli wolność.
[2]) Miejsce pamiątkowe w walkach o wolność Szwajcaryi.
[3]) Bądź pozdrowiona zdala serdecznie, cicha kraino nad jeziorem (niem).
[4]) Tak, to piękne (franc.).

Niema tu ziemia czego złożyć w stercie;
Koń dzwoni w głazy, depce chwast dziewanny,
Czasem po drodze w rozłożystym mircie
Widać rudery tureckiej fontanny,
Gdzie w kamień woda płacząca nie tętni,
Na które patrząc, nawet Grecy smętni.

Taka głęboka przy fontannach cisza,
Tak ciemne mirty i tak liściem szumią
Nad fontannami, jak pacierz derwisza[1]).
Cały ten smutek błękitami tłumią
Wody Lepantu[2]) i z czystego nieba
Patrzące czoło (jestem w Grecji) Feba[3]).

Ani po drogach bawiącej się dziatwy,
Ani człowieka w polu, ni na drodze;
Czasem szumiącym lotem kuropatwy
Porwą się w stado, tuż przy konia nodze,
I padną blisko — i znów cisza wielka...
Jaskółek żadna nie wyśle ci belka.

Niebo tych czarnych gwiazdek pozbawione,
Wdzięcznie błękitne... zda się, że nad smętnym
Krajem przeszłości leży zamyślone
Jakim obrazem dawnym i pamiętnym
Tylko samemu Bogu, co w niem duma.
Kraj ten zniszczyła tak wolności dżuma...

Ząbek się lasu dopiero wyrzyna;
Małe sosenki, jako pszczoły, brzęczą
Jedwabnym kolcem... Jeżeli masz syna,
A twego rodu ludzie nie zamęczą:
Może zobaczy Grecję pełną krasy,
Ubraną w ludzi szczęśliwych — i w lasy.

Gdy tak myślałem, mrok osłonił szary
Przybywających wreszcie do Vostizy.
Tu jeszcze pomnik turecki... dąb stary
Na podniesieniu z głazów, przy ulicy,
Siedział spokojny. O tej to godzinie
Turek tu niegdyś pił dymy w bursztynie[4]).

J. Słowacki.

[1]) Derwisz — mnich mahometański.
[2]) Lepanto — cieśnina u brzegów Grecji.
[3]) Feb, Apollin — bóg słońca i sztuk pięknych.
[4]) t. j. w cybuchu bursztynowym.

148. Rybak normandzki.

Dom rybaka to dalszy ciąg morza. Przez ścianę szum, w powietrzu sól, za oknem bezmiar modry. Zdaje się, że dość jest drzwi otworzyć, aby przez nie weszło morze i mieszkało z nami.

W sieniach pęki lin, sznurów, podrywek, koszyków; w izbach u sufitów okręciki wiszą, nad kominem muszle i gwiaździce, w podwórku wywrócone do góry dnem czółno, połamane kotwice, więcierze, zapasowe wiosła...

Wchodzisz i myślisz: dom na ziemi stoi.

A nieprawda!

I on, i byt pokoleń całych, od prapradziadów, co wznieśli te zręby, aż do gospodarzy naszych, wszystko to stoi morzem i na morzu. Życie ludzkie zarzuciło tu kotwicę, tak samo, jak je nieco dalej zarzucają barki i łodzie, i tak, jak one, kołyszą się z falą i na fali. Jego radości i nadzieje, jego klęski i żałoby kołyszą się z nimi razem. Coś z płynności żywiołu weszło tu w dusze ludzkie. Każdy przypływ wypełnia je otuchą i wzmaga; każdy odpływ zabiera coś z nich i unosi z sobą. Oczy tak samo osychają z łez, jak nadbrzeżne piaski, a żagiel, wzdęty świeżym tchem morza, pędzi nie tylko barkę, ale i krew w żyłach. Palce starej Normandki, która w rogu podwórka sieć wiąże, plączą się i mdleją, kiedy „les sablons“ [1]) zażółcą się w słońcu; lecz kiedy biegnąca grzbietem morza fala zahuczy, zasyczy u brzegu, wielka iglica sieciarki błyskawicznie miga, a węzły sieci aż warczą, z taką je mocą dociskają stare, stare palce.

Przypływ i odpływ reguluje tu i zarządza wszelakie sprawy żywota.

W izbie, na głównej ścianie, wisi kalendarz księżycowy, pokazujący na rok cały godziny i minuty „de la haute marée“ [2]).

Innego tu i nie trzeba nawet.

Kiedy zalśnią, zabieleją żagle, ku przystani wzdęte, a cała flota barek rybaczych z połowu powraca, każdy wie, że to niedziela i że to jest święto. Zaraz więc zaczynają dzwony bić rozgłośnie, jasno, wesoło, a mały, duży do kościoła idzie.

Idzie albo do nowego kościoła, albo do starego. Nowy stoi na wzgórzu i nazywa się kościołem „Zwycięstwa“, a to najniepotrzebniej w świecie. Zbudowany bowiem został na

[1]) Piaski nadbrzeżne.
[2]) Przypływu morza.

pamiątkę wyzwolenia z okrutnego strachu, jaki opanował osadę na wieść, że Niemcy idą.

Jakoż Niemcy istotnie szli, następując na karki Francuzów, ciężką i twardą, bo zwycięską nogą. Już poprzenoszono na spód barek dobytek co cenniejszy, w węzełkach i skrzynkach, już pan mer opasał się trójkolorową wstęgą, by godnie kapitulować, a pani merowa, przybrana w jedwabną suknię, już trzymała chusteczkę u oczu, które, według programu, zapłakanemi być miały, kiedy nagle Niemcy w Honfleur stanęli i nie poszli dalej tym traktem, zaskoczeni w swych triumfach zawieszeniem broni. Odjęła tedy pani merowa chusteczkę od oczu, suknia jedwabna poszła na kołek, a pan mer, jak stał opasany wstęgą, tak w pełni swej urzędowości uczynił votum, że nad osadą, na najwidoczniejszem miejscu, stanie kościół pod wezwaniem „Notre Dame de Victoire“ [1]). I stanął. Wszakże starzy rybacy i stare rybaczki tłumniej i ochotniej się cisną do dawnego drewnianego kościołka, w którego absydzie [2]), w sztywnej złoconej szacie i staromodnym normandzkim kornecie na głowie, stoi od wieków z litościwą, poczerniałą twarzą „Madame la Vierge Marie“ [3]).

„Madame la Vierge“ zna wszystkie dolegliwości, wszystkie niepokoje i smutki swojej rybaczej osady. Wie, gdzie w domostwie choroba, gdzie grzech, gdzie waśń, gdzie bieda. Wie, które ręce nadmiar już zmęczone, które oczy wypłakane, zgasłe. Wie, ile dzieci pod dachem się chowa i jakiem na nie wołają imieniem. Wie, kiedy wróci młody marynarz, ochotnik, za którym patrzy ku brzegom Szkocji dziewczyna. „Madame la Vierge“ wie i to nawet, gdzie na dnie morza leży jedyny syn wdowy.

Ona zna wszystkich tych, za których „Dzwon utopionych“ co wieczór głucho bije, i tych, których imiona kołyszą się za wiatrem, wypisane na skrzypiących deskach, za cmentarnym murem, gdzie „krzyż zaginionych stoi“.

Więc kiedy się tak w tym dawnym ubogim kościołku lud dokoła Niej ściśnie, każdy ma Ją o coś prosić, pytać, każdy ma Jej coś do powiedzenia. A Ona, z pod swego staroświeckiego korneta patrzy trochę smutna, a trochę surowa, i słucha, słucha...

Więc jedni mówią do Niej półgłosnym, żarliwym szeptem, a inni westchnieniem dziękczynnem, a jeszcze inni spojrzeniem szeroko otwartych, osłupiałych źrenic.

[1]) Matka Boska Zwycięska.
[2]) Absyda — wgłębienie na ołtarz.
[3]) Najświętsza Marja Panna.

Ale raz, po mszy, stary jeden rybak wyszedł z tłumu, przeżegnał się i zaczął włazić na ołtarz.

Chwycił go zakrystjan za kubrak:

— Gdzie, po co?

A ów:

— Nic, nic! Ja tylko chcę coś powiedzieć „à Madame la Vierge“.

Tak zakrystjan z pasją:

— Schodź mi zaraz, stary głupcze! Nie wolno!

A rybak:

— Co to nie wolno? Ja mam Jej coś ważnego powiedzieć, coś pilnego! Ja muszę Jej coś powiedzieć!

A tuż w tłumie biorący stronę rybaka pomruk:

— O!... Oooo!...

Oparło się o księdza. Wyszedł ksiądz:

— Bój się Boga, człowieku, co wyrabiasz? Przecież ci na ołtarz włazić nie dam!

A ów:

— Kiedy ja zaraz, Ojcze wielebny, zlezę! Tylko coś powiem Najświętszej i zlezę!

Więc znów ksiądz:

— Zwarjowałeś, czy co? Zastanów-że się, człowieku, że to jest wyobrażenie tylko, figura, która, choćbyś nie wiem co gadał, to cię nie usłyszy!

Tak rybak z oburzeniem:

— Co? Najświętsza mnie nie usłyszy? Mnie?... Najświętsza?... Mój Jegomość!...

I machnął ręką.

A w tłumie całkiem już groźne:

— Ooo!... Ooooo!...

Widzi ksiądz, że nie z tej beczki trzeba, tak rzecze:

No, więc dobrze! Mnie powiedz, dobry człowieku, co masz do powiedzenia, a ja Jej powtórzę.

A rybak:

A, nie! Nie mogę! To jest ważna rzecz! To ja Jej muszę sam...

Co było robić? Kazał ksiądz przystawić do ołtarza drabinkę, rybak się na nią wygramolił, przyłożył zwiędłe wargi do ucha Najświętszej i długą chwilę szeptał, trzęsąc głową siwą.

Zaczem westchnął z głębia, ucałował brzeg sztywnej pozłocistej szaty, grzmotnął się w piersi, przeżegnał się i zlazł z drabinki, z rozjaśnioną błogiem światłem twarzą.

M. Konopnicka.

149. W Pekinie.

„Kochana, złota, daleka mamusiu!

Nareszcie jestem na własnych śmieciach.

Doprawdy: na śmieciach — gdyż zostało ich dużo na niby-to zamiecionej podłodze. W kącie leży ich cała góra. Zmieni się to jednak z czasem. W poselstwie na niczem mi nie zbywało, wszyscy obchodzili się ze mną bardzo grzecznie, i sam ambasador mówił ze mną kilkakroć, ale... tam wszyscy tacy bogaci i wielcy panowie! Strasznie nudno. Gdyby nie doktór i topograf, nie wiedziałbym nieraz, gdzie się podziać. Ci do końca uważali mnie za towarzysza. Zaszły jednak takie rzeczy, że musiałem ambasadę porzucić. Zbyt obszernie trzebaby o tem pisać, ale wierz mi, mamusiu, że miałem rację. Zresztą na pobyt w poselstwie nie starczyłoby mi przeznaczonych przez wuja pieniędzy. Studenci poselscy pobierają ogromną pensję, ze dwa tysiące rubli rocznie złotem, a wciąż się skarżą, że im brak. Rauty, bale, przejażdżki powozem lub konno bardzo drogo kosztują. Tu wszystko krajowe tanie, ale wszystko europejskie nadzwyczaj drogie.

Tymczasem w poselstwie nawet służba europejska wstydzi się używać tutejszych przedmiotów. Zawsze trzeba brać przedmioty najlepsze i najdroższe; piechotą chodzić nie wypada, tylko zaraz najmować palankin. Powiadają, że to dla podtrzymania godności poselstw, że inaczej motłoch zarazby się na nie rzucił i zburzył. W poselstwie siedziałem, jak w klatce. Wciąż to samo: wizyty różnych narodowości. Wszystkie poselstwa mieszczą się na tej samej ulicy, w otoczonych murami ogrodach. W głębi stoją pałace poselskie, niegdyś mieszkania chińskich książąt i magnatów nadwornych. W ogrodach i na ulicy zawsze jest cicho i pusto. Czasem zajrzy jakiś przekupień, ale nie krzyczy, nie hałasuje, nie woła, jak u siebie w śródmieściu; pogada ze służbą, przemknie się do kuchni, do przedpokoju, odnajdzie potrzebną mu osobę i znika. Gwar miasta dolatuje tu z handlowych dzielnic głucho, niby szum dalekiego morza.

Ważniejsi członkowie ambasady: poseł, sekretarz, dragomani, doktór, duchowieństwo, zajmują osobne domy. Każdy coś zbiera: ten ryciny, ów książki, bronzy, wyroby z kości słoniowej, emalje lub hafty. Bardzo ładnie ozdabiają niemi swoje mieszkania. Studenci wciąż urządzają rozmaite zabawy dla wprawy w dyplomację z obcemi mocarstwami. Po chińsku umieją tyle, co ja. Ojciec Paolo z katolickiej misji, który dawno tu jest i wie wszystko doskonale, powiedział mi, że się nigdy

więcej nic nauczę, że, aby poznać do gruntu Chińczyków, trzeba żyć z nimi i tak, jak oni.

Postanowiłem poznać do gruntu Chińczyków i zamieszkałem u pewnego Kiu-Czin, t. j. uczonego drugiego stopnia, znajomego ojca Paola. Ten Chińczyk dawno się kręci w poselstwach, umie po francusku tyle, co ja, a wymawia europejskie wyrazy, jak Siuj[1]). Przezywają go w poselstwach „Dziesięć tysięcy ceremonij", choć właściwie nazywa się Wań-Siń-Li, co, jak twierdzi on sam, znaczy: „Władca Wrót Zachodnich". Mówi o sobie, że jest „trochę chrześcijaninem". W niemieckiem poselstwie gadają, że jest „dubeltowym chrześcijaninem", że już dwa razy się ochrzcił, ale w katolickiej misji powiadają, że to protestancka plotka. Ojciec Paolo mówi, że Wań jest ubogi, ale uczciwy, i spodziewa się, że zostanie z czasem gorliwym katolikiem. Wań zgodził się być moim Siań-Szaniem, t. j. nauczycielem, za 10.000 czochów miesięcznie! Nie bój się, mamusiu: to niedużo, to tylko 10 rubli z mieszkaniem i życiem. Dostaję przecież od wuja dużo więcej. Z czasem będę mógł nawet mamusi pomagać. Za radą ojców-misjonarzy przebrałem się za Chińczyka, co znacznie zmniejszy wydatek na odzież. Wszyscy misjonarze tak się ubierają. Wśród nich poznałem w misji rodaka, księdza Płońskiego. Jest młody, chudy i smutny. Bardzo się zdziwił, kiedym zagadał do niego po polsku. „A pan co tu robi?", spytał. Opowiedziałem mu o życzeniu i projektach wuja. Kiwał głową i rzekł, że wszędzie nas pełno, że rozproszyliśmy się po świecie, jak Żydzi po stracie Jerozolimy, i że, jak Żydzi, zostaniemy z czasem narodem bez ziemi. Mamusiu kochana, czy to może się stać?! Czy to doprawdy może kiedy nastąpić! Boli mię dusza, kiedy o tem rozmyślam. Mieszkam już u Wania. Porozumiewamy się zapomocą chińsko-francuskiej mieszaniny i gestów. Pokój mam duży, ale nieprzyjemny, podobny do latarni. Całą jedną ścianę zajmuje ogromne okno, drobno kratkowane i zaciągnięte przezroczystym papierem.. .

Brzeski położył pióro, przeciągnął się i rozejrzał po mieszkaniu, aby je lepiej opisać. Ale nie było co opisywać. Stolik, na którym się wspierał, krzesełko, na którem siedział, kuferek i trochę rozwieszonych na gwoździach rzeczy ginęły w obszernej zakurzonej „latarni". W jednym jej końcu, w małej alkowie, mieściła się niska prycza do spania, w drugim leżała kupa śmieci, przykrytych niedużą ryżową miotełką. Czerwone światło zachodu z trudnością przedzierało się przez

[1]) Plemię amerykańskie.

zbrukany papier okna i różowiło zlekka szare ściany, ubogie sprzęty i białą twarz młodzieńca.

Rozglądał się po mieszkaniu i ziewał.

Wtem za tekturowym blatem drzwi rozległ się szmer, wyjrzała stamtąd ogolona głowa chłopięcia i czarne, podłużne oczki Chińczyka z zaciekawieniem spoczęły na cudzoziemcu.

— Kasza! — rzekł krótko i głowę schował.

Brzeski roześmiał się, zatupał nogami na uciekającego malca i powstał. Zrozumiał, że go wołają na wieczerzę.

Wyszedł. Niebo, pełne dżdżystych, ciężkich, zwichrzonych chmur, zalewała ognista wieczorna pożoga, wróżąc wietrzną pogodę. Brudne podwórko, szarym wyłożone kamieniem, stare zmurszałe mury przylegającego rządowego budynku, wielkie ślepe okna ubogiego mieszkania Wań-Siń-Lina płonęły, jak czeluście hutniczego pieca.

Na gałązkach i konarach dwóch czarnych, bezlistnych drzew, stojących w głębi dziedzińca, lśniły się rubinowe połyski, całe snopy rubinowych iskier migotały na starej ich korze chropawej. Wilgotna zielona dachówka pogiętych dachów i rozwarte na ich rogach, zamiast rynien, paszcze glinianych smoków grały ogniami.

Stare złocenia i delikatne purpurowe malowania okapów rzeźbionych wypłynęły z cieniów i zaświeciły łagodnie, jak rysy zbudzonego ze snu człowieka.

Brzeski nie poznawał „rudery", jak nazwał pod pierwszem wrażeniem lichy domek „Władcy Wrót Zachodnich". Z pod opadłych jego tynków, z brudnych zacieków muru, z błota, gruzu i śmiecia podwórzowego wyjrzało nagle coś starego, pięknego w swym cichym, wiekowym zgonie.

Mieszkanie Wania przedstawiało taką samą, jak Brzeskiego, obszerną, brudną izbę, podobną do zakurzonej latarni. Tylko miała ona znacznie więcej sprzętów. Pośrodku, wprost drzwi, mieściła się pod ścianą mała kuchenka z wmurowanym kotłem do grzania wody. Na lewo w głębi stół w otoczeniu prostych drewnianych stołków, a pod ścianą ołtarz przodków, rodzaj biurka, ustrojonego taniemi rycinami, rzeźbionemi tabliczkami przodków, oraz poszczerbioną porcelanową wazą z pawiem piórkiem. Na prawo od kuchenki, tuż przy ścianie, szedł niski kanał ceglany, odprowadzający ogrzane powietrze, i ginął za rzędem jaskrawo malowanych papierowych parawanów.

Gdy Brzeski wszedł, Wań siedział przy stole, na którym stary i niezmiernie brudny sługa Czang ustawiał małe miseczki z ryżem i smażoną wieprzowiną. Siań-Szań powitał swego

ucznia poważnem wzniesieniem rąk i podał mu własnoręcznie pierwszą filiżankę herbaty.

— Każdy kraj ma swoje obyczaje — zauważył ostrożnie w czasie przerywanej rozmowy o pogodzie, o porządku przyszłych ich zajęć i sposobach nauczania. — W naszym kraju, naprzykład, nawet ci, co płacą znaczne pieniądze, pierwsi kłaniają się swym nauczycielom!

Brzeski poczerwieniał, gdyż, rozglądając się po izbie, zapomniał był tego uczynić. Stłumiony śmiech za parawanem zmieszał go bardzo.

— Lien... Lien... — usłyszał szept. — Ty za długo patrzysz w dziurkę... a przecież to ja ją znalazłam... Pozwól, niech ja teraz zobaczę...

Młodzieniec czuł się przedmiotem obserwacji, a szelest kobiecego odzienia do reszty wyprowadził go z równowagi.

Pręciki do jedzenia, któremi nie władał jeszcze dość wprawnie, odmówiły mu ostatecznie posłuszeństwa; ziarenka ryżu uparcie umykały od nich i rozsypywały się po całym stole. Stary Czang ze zdumieniem spoglądał na barbarzyńcę i kręcił głową, a powstrzymywane śmiechy za parawanem gotowe były zamienić się lada chwila we wrzawę. Brzeski położył pałeczki; wstał głodny i zły od stołu, życzył dobrej nocy gospodarzowi i opuścił jego mieszkanie.

Zorza zgasła. Zmrok, zwiększony dżdżystemi chmurami, zmienił budynki w czarne niezgrabne ruiny, a drzewa w pokręcone poczwarnie drapacze, w których wiatr gwizdał posępnie.

Brzeski wszedł do swej zimnej, wilgotnej izby, zapalił świecę i dopisał w liście:

„...Tęsknię, mamusiu, tak tęsknię, że aż strach! Pisz często, jak można najczęściej i o wszystkiem: wszystko mię zajmuje, najmniejszej wieści od was ciekaw jestem! Kłaniaj się znajomym, oraz Teodorowi i jego żonie... Kochający syn Janek."

W. Sieroszewski.

150. Odwiedziny piramid.

Jak dwaj czarni z białemi skrzydłami anieli,
Dwaj Arabi na rogach pomnika stanęli,
Ja na głazie najwyższym... Chciałem zebrać wzrokiem
Cztery ściany, spadzistym lecące potokiem,
I nie mogłem ogarnąć, bo na to potrzeba
Być słońcem — i na królów groby patrzeć z nieba.

Arabi stali cicho, za nimi zwierciadłem
Był sklep błękitu — w niebo spojrzałem i siadłem,
Patrząc na różnych wkoło napisów kobierce.
Cicho — zegarek słyszę idący i — serce...
Czas i życie. Spojrzałem na błękit rozciągły,
Świat przybrał kształty, Bogiem widziane — był krągły.
Zdala Kair... Nil... łąki... daktylowe laski...
Bliżej — pustynia... złotem oświecone piaski...
Bliżej — trzy drzewa, figa, pod nią cienia chłodnik,
A w nim stał mój osiołek i Arab przewodnik.
Patrząc na nich, myślałem o mrówce ze srebra...
Bliżej — dolina piasku, cała w równe żebra
Wichrem zmarszczona — i Sfinks, i grobowce białe —
Ziemia widoma... wszystko dojrzane, lecz małe...
Inny widok na prawo, inna była scena:
Naprzeciwko Cheopsa stał pomnik Chefrena,
Tak, że orzeł po równej krainie błękitu
Mógł płynąć od jednego do drugiego szczytu.
Dwie piramidy wąwóz tworzyły głęboki,
A zachodniego słońca czerwone potoki
Jakby falami ognia płynęły tamtędy,
Lejąc się przez grobowców utworzonych rzędy.
Ale większy był jeszcze widok z innej strony:
Pustynia — i ogromny krąg słońca czerwony
Chylił się do zachodu...
I większy był jeszcze
Widok — w myślach — na wieki, lecące, jak deszcze
Po granitowych ścianach, na pożarów łuny,
Na ogromnych wypadków bijące pioruny...
Kiedym to wszystko wstawił i w grobie pochował,
Zdało mi się, że Mojżesz krwią Nil zafarbował
I że płynął czerwony wypadków posoką;
A tak myśląc, po głazach obłąkane oko
Padło na jakiś napis — strumień myśli opadł...
Ktoś dwudziesty dziewiąty przypomniał listopad,
Polskim językiem groby Egipcjanów znacząc...
Czytałem smutny — człowiek może pisał płacząc.

Juljusz Słowacki.

151. Dzieci uwalniają się z niewoli u Arabów.

Była godzina piąta po południu. Słońce zniżyło się już ku zachodowi. Gebhr myślał o noclegu; chciał tylko dotrzeć

do jakiejś dolinki, w której możnaby urządzić zeribę, to jest otoczyć karawanę wraz z końmi płotem z kolczastych mimoz i akacyj, chroniących od napadu dzikich zwierząt. Saba biegł naprzód, poszczekując na małpy, które na jego widok rzucały się niespokojnie, i raz wraz znikał w zakrętach wąwozu. Echo powtarzało rozgłośnie jego szczekanie.

Nagle jednak umilkł, a po chwili przybiegł pędem do koni ze zjeżoną sierścią na grzbiecie i wtulonym pod siebie ogonem. Beduini i Gebhr zrozumieli, że musiało go coś przestraszyć, ale spojrzawszy po sobie i chcąc przekonać się, coby to być mogło, ruszyli dalej.

Lecz, przejechawszy mały zakręt, zdarli konie i stanęli w jednej chwili, jak wryci, na widok, który uderzył ich oczy.

Oto na niewielkiej skale, leżącej w samym środku dość szerokiego w tem miejscu wąwozu, leżał lew.

Dzieliło ich od niego najwyżej sto kroków. Potężny zwierz, ujrzawszy jeźdźców i konie, podniósł się na przednie łapy i począł na nie patrzeć. Nisko stojące już słońce oświecało jego ogromną głowę, kudłate piersi — i w tym czerwonawym blasku podobny był do jednego z takich sfinksów, jakie zdobią wejścia do starożytnych świątyń egipskich.

Konie jęły przysiadać na zadach, kręcić się i cofać. Zdumieni i przerażeni jeźdźcy nie wiedzieli, co począć, więc z ust do ust przelatywały tylko trwożne i bezradne słowa: „Allah! Bismillah! Allah Akbar!“

A król puszczy patrzał na nich z góry, nieruchomy, jakby odlany z bronzu.

Gebhr i Chamis słyszeli od kupców, przybywających z kością słoniową i gumą z Sudanu do Egiptu, że lwy kładą się czasem na drodze karawan, które wobec tego muszą po prostu zbaczać. Lecz tu nie było gdzie zboczyć. Wypadało chyba zawrócić i uciekać! Tak! ale w takim razie było rzeczą niemal pewną, że straszny zwierz rzuci się za nimi w pogoń.

Znów zatem zabrzmiały gorączkowe pytania:

— Co robić?

— Co robić?

— Allah! może ustąpi.

— Nie ustąpi.

I znowu zapadła cisza. Słychać było tylko chrapanie koni i przyśpieszony oddech piersi ludzkich.

— Spuść Kalego z powroza — ozwał się nagle do Gebhra Chamis — a my uciekajmy na koniach, wówczas lew jego pierwszego dogoni i jego tylko zabije.

— Uczyń tak! — powtórzyli Beduini.

Lecz Gebhr odgadł, że w takim razie Kali wdrapie się w mgnieniu oka na ścianę skalną, a lew pogna za końmi, przeto do głowy wpadł mu inny, okropny pomysł. Oto zarznie chłopca, rzuci go przed siebie, a wtedy zwierz, skoczywszy za nimi, ujrzy na ziemi krwawe ciało i zatrzyma się, by je pożreć.

Więc przyciągnął Kalego powrozem do siodła i już podniósł nóż, gdy w tej samej sekundzie Staś chwycił go za szeroki rękaw dżiuby.

— Co robisz, łotrze?

Gebhr począł się szarpać i, gdyby chłopiec chwycił był go za rękę, wyrwałby się natychmiast, ale z rękawem nie poszło tak łatwo, więc, szarpiąc się, począł jednocześnie charczeć stłumionym ze wściekłości głosem:

— Psie, jeśli jego nie starczy, zakłuję i was! Allah! zakłuję, zakłuję!

A Staś pobladł śmiertelnie, albowiem błyskawicą przebiegła mu myśl, że lew, goniąc przedewszystkiem za końmi, może istotnie pominąć w pędzie trupa Kalego, a w takim razie Gebhr z największą pewnością zarznie kolejno ich oboje.

Więc, ciągnąc ze zdwojoną siłą za rękaw, krzyknął:

— Daj mi strzelbę... zabiję lwa!

Beduinów zdumiały te słowa, ale Chamis, który widział jeszcze w Port-Saidzie, jak Staś strzela, począł natychmiast wołać:

— Daj mu strzelbę! On zabije lwa!

Gebhr przypomniał sobie odrazu strzały na jeziorze Karun i wobec straszliwego niebezpieczeństwa prędko zaniechał oporu. Z wielkim nawet pośpiechem podał chłopcu sztucer, a Chamis otworzył co duchu pudło z nabojami, z którego Staś zaczerpnął pełną garścią.

Potem zeskoczył z konia, wsunął ładunki w lufy i ruszył naprzód.

Przez pierwszych kilka kroków był jakby odurzony i widział tylko siebie i Nel, z szyjami poderżniętemi nożem Gebhra. Ale wnet bliższe i straszniejsze niebezpieczeństwo kazało mu zapomnieć o wszystkiem innem. Miał przed sobą lwa! Na widok zwierza pociemniało mu w oczach. Poczuł zimno w policzkach i w nosie, poczuł, że nogi ma jak ołowiane i że mu brak tchu. Po prostu bał się. W Port-Saidzie czytywał, nawet i w czasie lekcji, o polowaniach na lwy, ale co innego było oglądać obrazki w książkach, a co innego stanąć oko w oko z potworem, który teraz oto patrzył na niego jakby ze zdziwieniem, marszcząc swe szerokie, podobne do tarczy czoło.

Arabowie przytaili dech w piersiach, albowiem nigdy w życiu nie widzieli nic podobnego. Z jednej strony mały chłopiec, który wśród wysokich skał wydawał się jeszcze mniejszy, z drugiej potężny zwierz, złoty w promieniach słońca, wspaniały, groźny, „pan z wielką głową“, jak mówią Sudańczycy.

Staś przemógł całą siłą woli bezwładność nóg i posunął się dalej. Jeszcze przez chwilę wydawało mu się, że serce podchodzi mu aż do gardła — i trwało to dopóty, dopóki nie podniósł strzelby do twarzy. Wówczas trzeba było myśleć o czem innem. Czy zbliżyć się więcej, czy już strzelać? gdzie mierzyć? Im mniejsza odległość, tem strzał pewniejszy... a zatem dalej! dalej! kroków czterdzieści — jeszcze za dużo... trzydzieści! — dwadzieścia! Już powiew przynosi ostry zwierzęcy swąd...

Chłopiec stanął.

— Kula między oczy, albo po mnie! — pomyślał. — W imię Ojca i Syna!...

A lew podniósł się, przeciągnął grzbiet i zniżył głowę. Wargi poczęły mu się odchylać, brwi nasunęły się na oczy. Ta drobna jakaś istotka ośmieliła się podejść zbyt blisko, więc gotował się do skoku, przysiadając, z drganiem ud, na tylnych łapach...

Lecz Staś przez jedno mgnienie oka dostrzegł, że muszka sztucera przypada na czole zwierza — i pociągnął za cyngiel.

Huknął strzał. Lew wspiął się tak, że przez chwilę wyprostował się na całą wysokość, poczem runął na wznak, czterema łapami do góry.

I w ostatniej konwulsji stoczył się ze skały na ziemię.

Staś trzymał go jeszcze przez kilka minut pod strzałem, lecz widząc, że drgawki ustają i że płowe cielsko wyprężyło się bezwładnie, otworzył strzelbę i założył nowy ładunek.

Ściany skaliste rozbrzmiewały jeszcze gromkiem echem. Gebhr, Chamis i Beduini nie mogli zrazu dojrzeć, co się stało, gdyż poprzedniej nocy padał deszcz i z powodu wilgoci powietrza dym zasłonił wszystko w ciasnym wąwozie. Dopiero, gdy dym opadł, poczęli krzyczeć z radości i chcieli skoczyć ku chłopcu, ale napróżno, gdyż żadna siła nie mogła zmusić koni do kroku naprzód.

A Staś zawrócił, objął wzrokiem czterech Arabów i wpił oczy w Gebhra.

— Ach, dość! — rzekł, zaciskając zęby. — Przebrałeś miarę. Nie zamordujesz ani Nel, ani nikogo więcej.

I nagle uczuł, że nos i policzki bledną mu znowu, ale było to inne zimno, płynące nie ze strachu, lecz ze strasznego i nieubłaganego postanowienia, od którego serce w piersiach czyni się na razie żelazne.

— Tak! To przecie łotry, katy, mordercy, a Nel w ich ręku!...

— Nie zamordujesz jej! — powtórzył!

Zbliżył się ku nim — znów stanął — i nagle z błyskawiczną szybkością podniósł strzelbę do twarzy.

Dwa strzały, jeden za drugim, targnęły echem wąwozu: Gebhr runął na ziemię, jak wór piasku, a Chamis pochylił się w kulbace i uderzył krwawem czołem o kark koński.

Dwaj Beduini wydali okropny krzyk przerażenia i, zeskoczywszy z koni, rzucili się ku Stasiowi. Zakręt był za nimi niedaleko i, gdyby byli uciekali za siebie, czego Staś życzył sobie w duszy, byliby mogli uchronić się przed śmiercią. Ale zaślepionym trwogą i wściekłością wydało się, że dopadną chłopca wpierw, nim zdoła zmienić naboje, i zadżgają go nożami. Głupcy! — ledwie przebiegli kilkanaście kroków, szczęknęła znów złowrogo strzelba, wąwóz odgrzmiał echem nowych strzałów i obaj padli twarzami na ziemię, rzucając się i tłukąc, jak wyjęte z wody ryby.

Jeden, gorzej w pośpiechu strzelony, podniósł się jeszcze i wsparł na rękach, ale w tej chwili Saba zatopił mu kły w karku.

Nastała śmiertelna cisza.

Przerwały ją dopiero jęki Kalego, który rzucił się na kolana i, wyciągnąwszy przed się ręce, krzyczał w łamanym języku ki-swahili:

— Bwana Kubwa! (Panie wielki!) zabić lwa, zabić złych ludzi, ale nie zabijać Kalego!

Staś jednak nie zważał na jego wołanie. Czas jakiś stał, jak błędny, poczem, spostrzegłszy zbielałą twarzyczkę Nel i jej nawpół przytomne, rozszerzone z przerażenia oczy, skoczył ku niej:

— Nel! nie bój się!

— Nel! jesteśmy wolni!...

Jakoż byli istotnie wolni, ale i zabłąkani w dzikiej, bezludnej puszczy, w czeluściach Czarnego lądu.

Henryk Sienkiewicz.

152. Baśń o złej córce.

Ubogi starzec miał jedynaczkę córkę, prześliczną dziewczynę. Kochał ją, pieścił, psuł, jakby sobie w chacie królewnę jaką wychował, a nie przyszłą na zgrzybiałe lata wyrękę. Dziewczyna myślała tylko o tańcach i strojach. Czasem po dni kilka pacierza nie mówiła, a jeśli kiedy spojrzała w niebo, to chyba myśląc sobie: „Żebym to ja mieć mogła taką błękitną sukienkę, jak niebo, takie srebrne trzewiczki, jak chmury, taką złotą koronę, jak słońce, tyle djamentów, ile gwiazd błyska w pogodnej nocy zimowej i tyle pereł, ile kropel rosy w wieczór letni spada.“

Jużcić pewnie ojciec byłby sobie dał krwi utoczyć, żeby dziewczyna te wszystkie zbytki miała, ale biedak przy ciężkiej pracy ledwo się w kilkanaście lat zebrał na kupienie sznura korali. Dziewczynie też nudno i tęskno było w ojcowskiej chałupie. Aż razu jednego w lecie poszła sobie na pole, chabru i innych kwiatów do przypstrzenia uzbierać. Zbierała długo, długo, fartuch napełniła cały i w obu rękach było jeszcze co trzymać. Wtem od bitego gościńca zatętniało coś na drodze: ciekawa dziewczyna poleciała co prędzej, ale aż stanęła, jak wryta, na niespodziewany widok. Była to przepyszna złocista kareta, za nią mnogi orszak konnych rycerzy, a z karety wyglądała głowa mężczyzny, tak pięknego, jak ona była piękną. Gdy się oboje postrzegli, to już nie mogli i nie chcieli patrzeć gdzie indziej. Książę, bo to był bogaty i możny książę ten śliczny chłopiec, kazał stanąć, zawołał dziewczyny i rzekł jej:

Piękne jesteś, dziewczę moje,
Jako anioł w niebie.
Pojedź ze mną — perły, stroje,
Wszystko dam za ciebie!

— Och! pojadę, pojadę, mój śliczny panie, i będę twoją!

Książę wyciągnął do niej ręce i posadził obok siebie, a ona, wsiadając, baczyła tylko, żeby pięknych kwiateczków nie uszkodzić sobie. Dopiero, gdy już konie ruszyły: „Stańmy, stańmy! — zawołała — niech ja tylko na chwilę do chaty powrócę.“

Księciu na myśl przyszło, że piękna dziewczyna ma w chacie ojca i matkę, z któremiby się pożegnać chciała, więc jej obie ręce na szyję zarzuciwszy, mówił:

Wpierw, nim wrócisz do twej chaty,
Pojmę cię za żonę,
Jedwabne ci sprawię szaty
I złotą koronę.

A ona znowu jemu: — „Stańmy, stańmy, niech ja tylko na chwilę wrócę, bo zostawiłam w skrzyni mój piękny sznur korali.“

Książę, widząc, że ona tylko tego żałuje, śmiać się zaczął i pocieszał ją, że nie tylko da jej tyle sznurów korali, ile sama zechce, lecz tyle djamentów nawet, ila ma kwiatów z sobą. Ona też, chcąc się zaraz dowiedzieć, ile to będzie, zaczęła liczyć kwiateczki i przeliczone ciskała po jednemu za sobą i liczyła bardzo długo, a konie biegły przez wsie i miasta, przez pola i bory, bo książę był z dalekiego, dalekiego kraju.

Tymczasem biedny ojciec czeka do wieczora — córki niema; przez całą noc chodzi niespokojny, pyta sąsiadów, woła po lesie — córki jak niema, tak niema. Nakoniec dowiaduje się, że ją widzieli, jak w zbożach chaber zbierała; idzie, kędy go rosło najwięcej, płacze, chodzi na wszystkie strony i spostrzega wreszcie, jak gdyby kto umyślnie dróżkę kwiatami wysypał.

— Otóż-to — pomyślał sobie — pewnie mi zbójcy moją jedyną córkę uwieźli, a ona dla poznaki te chabry po drodze ciskała.

I szedł, szedł za nimi, a ciągle tak płakał, że na każdy wyrzucony kwiatek jemu łza jedna na siwą brodę spadała. Ani gorące słońce południa, ani zimna rosa nocy jego drogi nie wstrzymała. Głód, niewczas, zmęczenie, wszystko znosił, myśląc tylko o córce swojej, a kiedy mu na ślad kwiateczków zabrakło, to pytał ludzi przechodniów:

— Nie widzieliżeście wy mojej córki, mojej pięknej córki? Biała, jak lilja, rumiana, jak jagoda, niby krucze pióra, czarne są jej włosy, niby szklana wiśnia, świeże jej usteczka.

A ludzie mówili mu wtedy, że to zapewne ta dziewczyna, co z bogatym panem w złocistej jechała karecie, i poczciwy staruszek nie wiedział, co już myśleć sobie, i tylko ciągle, ciągle szedł dalej. Aż jednego wieczora przyszedł on pod jakiś pyszny pałac. Światło błyszczało przez wszystkie okna i muzyka brzmiała ze wszystkich pokoi. Starzec przeziębły, zgłodniały oparł się o ścianę i płakał. Dochodziły jego uszu wesołe okrzyki i tanecznikow skoki; on stał, jak głuchy, i o córce myślał tylko. Wtem wśród tysiąca głosów jeden głos się śmiechem odezwał — biedny starzec ledwo na ziemię nie upadł: to był głos córki jego. Lecz w tejże chwili, dawne siły odzyskując, pomimo sług, co go wstrzymać chcieli, wbiega do sali, a nic nie może mówić, tylko:

— Moja córka, moja córka! — i obiedwie ręce wyciągnął do księżny. A też tę księżnę to chyba rodzony tylko ojciec

mógł poznać, tak była wystrojona, tak dumną stała się panią z ubożuchnej dziewczyny! Jak tylko zobaczyła starca w łachmanach, ledwo jej krew twarzą nie wytrysła.

— Kto mi tu wpuścił tego żebraka? hej! zaraz go wypędzić! — krzyknęła na służbę, i służący, pochwyciwszy biednego starca, na dwór go wyrzucili, ale już wyrzucili trupa tylko, bo, jak usłyszał, że go się własne dziecko zaparło, nieszczęśliwy ojciec żyć przestał.

A tymczasem niegodna córka weseliła się w najlepsze, i tak jej dobrze było na tym świecie, że ani nawet wspomniała sobie o drugim. Uciechy po uciechach, dnie po dniach jej biegły, aż też przyszedł dzień Zaduszny. Zrana jakoś, kiedy w dzwony uderzono, jej się zimno i przykro na duszy zrobiło; kiedy niekiedy niby jej coś do ucha szeptało: „Idź się modlić, idź się modlić za ojcowską duszę“, ale ona, nie zważając na to, chciała inaczej smutkowi zaradzić. Poprosiła księcia, który ją zawsze kochał i niczego jej nie odmawiał, żeby sutą wydał ucztę. Tak się też stało, przybyli goście, znowu zabrzmiała muzyka, znowu zaiskrzyło się tysiące świec jarzących, a piękna księżna co najpiękniejsze rzeczy powkładała na siebie. Suknię wzięła błękitną, jak niebo, trzewiczki srebrne, jak chmury, koronę złotą, jak słońce, a na koronie, na sukni i na trzewiczkach tyle było djamentów, ile gwiazd świeci w pogodną noc zimową, ile kwiateczków rzuciła za sobą, ile łez wylał jej ojciec; a na ręku i na szyi tyle miała kosztownych pereł, ile kropli rosy w letni wieczór spada, ile kroków zrobił, szukając jej, biedny starzec, ile uśmiechów od jego zgonu po jej twarzy przebiegło. Oj, bawiła się też, tańczyła wesoło, jak gdyby nigdy nic złego na sumieniu jej nie ciążyło. Zegar bił na ścianie godziny: dziesiątą, jedenastą, nikt nie słyszał, nikt nie myślał o czasie, aż nakoniec i dwunastą uderzył. Nagle, jak gdyby wszystkich odrazu piorun pozabijał. Krzyknęli i ucichli. Och! bo też było czego z przestrachu oniemieć. Z ostatnim dźwiękiem zegaru same drzwi się otworzyły i wszedł do sali szkielet, na którym kawałki tylko przegniłego ciała wisiały.

— Moja córko! moja córko! — zawołał grobowym głosem i stanął przed księżną. Księżna zbladła, jak trup, chciała coś mówić, głosu jej zabrakło, chciała się cofnąć, wszystkie członki skamieniały.

Wtedy widmo zbliżyło się do niej, a za każdym krokiem kość jego nogi dzwoniła o marmurową posadzkę.

— Zapłać mi łzy moje! — rzekło ponuro.

W tejże chwili wszystkie djamenty, z osad wypadłszy, kroplami wody na ziemię się stoczyły, a było ich tyle, ile

gwiazd w noc zimową na niebie jaśnieje, ile kwiatków dziewczyna za sobą rzuciła, ile łez wylał jej ojciec...

Potem w milczeniu szkielet wziął długiemi piszczelami białe ramię księżny, odpiął perły — i upadła jedna ręka, wziął drugą, odpiął perły — i upadła druga ręka. Potem aż mu coś straszliwie przez otwory oczu zabłyszczało, zgrzytnął zębami, jak do uścisku objął szyję córki, odpiął perły — i spadła piękna głowa, niby z ołowiu, i tylko złota korona kulnęła się daleko po gładkiej podłodze. Potem wszystkie świece zgasły, ogień z pod ziemi buchnął, a o księżnie, o księciu, o zamku nikt już z żyjących nie słyszał, bo tak zawsze Pan Bóg złe dzieci karze.

N. Żmichowska.

153. W niebie.

Matulu moja, powiedzcie przecie,
Coście widzieli na tamtym świecie?

„O, moje dziecko, byłam ja w raju,
Gdzie drzewa rosną, jak w naszym gaju,
Same jabłonie i piękne grusze;
Na nich najczystsze umarłych dusze
Za dobry żywot, za świętą cnotę,
Poprzemieniane w owoce złote,
Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą,
W ciepłem się słońcu pięknie kołyszą,
Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba,
Bo zaraz lecą w górę do nieba.

Potem widziałam jasne niebiosy,
Ową pszenicę z złotemi kłosy,
Co się pochyla pod boże nóżki,
Oj! nie pszenica, lecz święte duszki.

Potem widziałam przeróżne kwiatki,
Te w bożych łąkach prześliczne bratki,
Co się na ziemi bardzo kochali,
A potem w niebie powyrastali.“
„Mateńko moja, proszęż ja ciebie,
Co też tam robi Pan Jezus w niebie?...
Co robi w niebie gwiazda zaranna,
Królowa nasza, Najświętsza Panna?...“

„O! moje dziecko, o! kochające,
Jezus owieczki pasie na łące,
Jak śnieg bieluchne, co skubią trawę,
I nie boją się, takie łaskawe;
A to są dusze błogosławione,
Które cierniową zniosły koronę;
Matka Najświętsza dla ludzkiej nędzy
Wyrabia płótno ze srebrnej przędzy;
I jużby wszystkie dzieci sieroty
Miały koszulki z owej roboty,
Gdyby w jesieni pochmurnej, słotnej,
Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny
Tych srebrnych nitek babiego lata,
Co się na naszych płotach oplata."

„Matula moja, czyście widzieli,
Co też tam robią święci anieli?"

„Anieli z nieba świecą nad nami
Bardzo wysoko temi gwiazdami,
A słysząc ludzi proszących głosy,
Z litości płaczą kroplami rosy;
Rosa upada na obszar ziemi
I przez tę miłość zboże się plemi...

„Jest też, jak u nas, matulu droga,
Taka wesołość u Pana Boga?"

„O! moje dziecko, jak ci się zdaje;
Musi mieć Pan Bóg, kiedy nam daje."

„A czy tam grają tak aniołowie,
Jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie?"

„O! jeszcze piękniej, jeszcze weselej,
Na złotych skrzypkach grają anieli."

„A gdzież się uczą przeróżnych pieśni?"

„Tam, gdzie się uczą ptaszkowie leśni,
I nasi ludzie: w rumianej zorzy,
We łzach radości, w miłości bożej..."

„Matulu moja, powiedzcie ino,
Widać tam naszą wioskę jedyną,
Naszą chałupę, bydło na smugu,
Siostrę w zagonie, ojca przy pługu?

Widać tam dziewczę, co zbiera ziele,
I tego dziada, co przy kościele
Siedzi i w górę wyciąga ręce
Na małym wzgórku przy Bożej męce?"

„O! widać wszystko, gdzie się kto ruszy,
Wiedzą tam dobrze o każdej duszy;
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną,
A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi."

„Powiedzcież teraz, mateńko droga,
Co tam jest więcej u Pana Boga?"
„Potem widziałam, strasznej wielkości
Dwóch archaniołów stało w jasności,
Trzymając wielką księgę otwartą,
A Piotr apostoł kartę za kartą
Przewracał zwolna z smutkiem głębokim,
I patrzał na świat żałosnym wzrokiem,
Bo w owej księdze wszystko tam stoi:
Co tylko człowiek na świecie zbroi,
I co się stało, i co się stanie,
Jest o tem w niebie jasne pisanie;
Kiedy śmierć człeka nędznego blisko,
To zaraz anioł czyta nazwisko."

„Słuchajcie ino, matulu droga,
Czyście widzieli i Stwórcę Boga?"

„Nie, moje dziecko, przed Stwórcą świata
Tyle aniołów na skrzydłach lata,
Że jest okryty jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem;
Tylko z promieni, co stamtąd lecą
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie boże."

„A jak daleko, matko, do nieba?
To pewnie z miesiąc iść tam potrzeba?"

„Bogać tam miesiąc, o moje dziecię!
Iść tam potrzeba przez całe życie,
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,
Kochając ludzi jak braci własnych...

To w końcu dojdzie do niebios jasnych,
I Piotr mu święty, apostoł boży,
Złocistym kluczem niebo otworzy.“

„Toście wy dużo, matko, widzieli,
I pewniebyście wrócić tam chcieli;
Więc jak pójdziecie, mateńko droga,
To i mnie z sobą weźcie do Boga.“

„O, ty zostaniesz, małe pacholę,
Bo któżby gęsi wypędzał w pole,
Ktoby po lesie zbierał jagody,
Graniastą krówkę pędził do wody?
Ktoby niósł ojcu w pole dwojaki,
Ktoby na ogień przynosił krzaki?
Tak, moje dziecko, moje kochane,
Ty się zostaniesz — ja nie zostanę.“

„Ej, co tam gadać, wy nie umrzecie,
Jest ci już dużo na tamtym świecie.
Powiedzcie lepiej, jak też to było,
Jak się błękitne niebo skończyło?“

Teofil Lenartowicz.

154. Mitręga.

Posłał raz Pan Bóg na ziemię anioła, który nigdy jeszcze na niej nie bywał. Patrzył na nią tylko zwysoka, a uszu jego dochodziły stamtąd skargi i narzekania. Ciekaw więc był zbliska ten padół płaczu zobaczyć. Pan Bóg pozwolił mu, aby się bliżej rozpatrzył po ziemi.

Anioł, postać ludzką przybrawszy, spuścił się na zieloną dolinę, lasem otoczoną, przez którą płynęła rzeczułka. Była właśnie wiosna. Ptactwo wśród drzew szczebiotało, kwiaty rozkwitały, powietrze wonne było i świeże. Bardzo mu się ziemia podobała. Uśmiechnął się do niej, mówiąc sobie w duchu: „Ludzie bardzo zepsuci być muszą, kiedy się na pobyt w takim raju uskarżają.“

Na skraju lasu trafił na ubogą chatę. Mieszkał w niej budnik[1]), który się zwał Mitręga. Było to bardzo biedne człowieczysko. Właśnie, przyniósłszy wody, łupał, siedząc w progu, szczepki, żeby było czem ogień podpalić i jeść zgotować.

[1]) Chłop — leśnik.

Odziany był ubogo, koszulę miał czarną, włosy nieuczesane, a ręce zasmolone. Robiąc, wciąż stękał głośno a narzekał.

Zbliżył się anioł do niego i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — odpowiedział Mitręga.

— No i cóż tam u was słychać? — zapytał anioł — jakże tam na roli i w domu?

— A! zachcieliście! — rzekł Mitręga — bieda, i po wszystkiem! Nędza coraz gorsza, co rok to ciężej na chleb zapracować, pot się z czoła leje, chwileczki spoczynku człek nie ma. A tu dzieci kupa, a tu wszystko jeść woła, i na moich ramionach dom, gospodarstwo, aż już tchu nie staje.

— Cóż ci to najbardziej dolega? — badał anioł.

— Co? chyba wszystko — począł Mitręga. Dobrego niema nic, złe od rana do nocy prześladuje. A ze wszystkiego najgorsze to, że nieustannie pracować potrzeba.

— W niedzielę przecież odpoczywacie! — rzekł anioł.

— Co mówicie? — zawołał Mitręga. — Toć muszę drew żonie przynieść, wody przygotować, często ziemniaki skrobać, w ogień dmuchać, bydełku zarzucić paszy i napoić! A! a! kto to zliczy!

— Ale i w ciągu roku — mówił anioł — przecie są tygodnie i miesiące, w których wypoczywacie.

Mitręga począł się śmiać.

— A skądże to was tu Pan Bóg dał? Chyba nie znacie życia naszego i porządku ziemskiego. Kiedyż to spocząć można? Zimą to się młóci, wysiewa, wywozi. Namarznie się człek, prawda; ale żeby wypoczął? gdzie zaś! A tu ledwie wiosenkę skowronki obwieszczą, ruszajże z gnojem w pole i z sochą; trzeba siać, żeby grad miał co wybijać. Skończyła się siewka, zaczyna się kośba; jeszcze siano moknie w kopicach, a tu już przepiórka woła: „Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć!“ Nim się owsy pokłosiły, a tu już orać trzeba nagwałt, aby pierwsze żyta na Bartłomieja zasiać!

I westchnął Mitręga, a że się rozgadał, więc mu język chodził już, jak rozpędzony kołowrotek, który, choć prządka odejdzie, jeszcze się obraca.

— Ale bo tak źle na tym świecie, źle! Spoczynku niema. A niewiadomo nawet, czy i na drugim będzie lepiej, bo tam, jak słychać, trzeba będzie z aniołami dzień i noc śpiewać, a to także robota.

— Więc ci się robota tak naprzykrzyła? — zapytał anioł.

— A jużci! a jużci! — odparł Mitręga — bo odkądem się urodził, tom spoczynku nie zaznał.

Coś sobie anioł pomyślał i powiada mu:

— Człecze kochany, żal mi ciebie. Wiesz co? Oto ja dam ci worek złota, ale pod tym warunkiem, żebyś sobie życie urządził spokojnie i żebyś nic a nic nie robił.

Mitręga do kolan mu się rzucił, całując go po nogach i zbawcą swym nazywając; a gdy chciał podziękować jeszcze mocniej, anioł wstał i odleciał co prędzej. Powtórzył mu tylko jeszcze raz, że teraz mu nic a nic robić już nie wolno.

— A ktoby tam o robocie myślał, kiedy może, za piecem leżąc, jeść słoninę z chlebem! — odparł Mitręga i czapkę podrzucił z radości.

I poszedł anioł dalej. Tymczasem ów Mitręga panem się stał i począł we wszystko opływać, Panu Bogu dziękując. Miał już i parobków, i włodarzy, i dozorców i, tak jak sobie życzył, za piecem się umieścił, szperkę przyskwarzoną z chlebem zmiatał i piwem popijał. Dobrze mu się działo. To też podobało mu się zrazu takie życie. Przyszła zima, przywieziono mu drew, napalono w piecu, a Mitręga, z boku na bok się przewracając, Pana Boga chwalił.

Wtem jakoś po krótkim czasie napadło go poziewanie. Ziewa, ziewa, aż mu w szczękach trzeszczy; co ziewnie, to krzyżyk zrobi na ustach, a nie pomaga. Myśli sobie: — Wstanę. Zwlókł się tedy do okna, na ławie siedzi, popatrzył sobie na podwórko, drzemiąc. Nudno mu było.

Zbierało się już jakoś na drugą wiosnę. Na podwórku wróble kupami latały, to przypadając ku ziemi, to gniazda ścieląc; skowronek bujał, jaskółki błoto w dziobach nosiły, bociany po łąkach się uwijały; co żyło, strasznie się ruszało, krzątało, kłopotało, a śpiewało wesoło. Mitręga ziewał.

— Chwała Tobie, Panie! — myślał — że nie potrzebuję nic robić; to się za wszystkie lata wywczasuję.

A no, ziewał, nudno mu było.

Wyszedł w podwórze i siadł na przyźbie. A tu parobcy z dziewczętami się kręcą, ciężary dźwigają, bydło naganiają, z pługami wychodzą, z bronami wracają. Mitręga sobie siedzi, ręce złożywszy, palce około palców okręca i ziewa.

— Dobrze mi! — powiada do siebie.

Wieczorem poszedł za piec. Ale, że cały dzień drzemał, zasnąć nie mógł. Poczęło go wyciągać, sen nie przychodził; przeleżał tak do rana.

— Dawajcie jeść!

Przynieśli mu ogromną misę kluseк; wziął się do niej zajadać, ale apetytu nie było. Zdawało mu się, czy przydymione, czy nie dosolone. Soli dosypał, słoniny dołożył; w gardło nie

idzie. Więc do piwa. Piwsko zdawało mu się kwaśniesmaczna. Żonę połajał, dostało się wszystkim potroszoda ławie siadł i muchy opędzał.

Dzień mu się wydawał długi, że ani przeżyć; nadeszła noc, ani przespać. Owo ziewanie napastuje go ciągle. Humor mu się popsuł. W kilka dni stękać począł, sam dobrze nie wiedział, czego. W pole poszedł, nogi mu ociężały, nagniewał się na parobków i powrócił zły. Cały dzień przekawęczał, całą noc znów przestękał.

I myśli sobie:

— Co to jest? Wszystkiego poddostatkiem mam, czego dusza zapragnie, a do niczego ochoty nie mam.

Ale przypomniawszy sobie, jak ciężko dawniej pracował, pocieszył się tem, że nic nie robi, i usnął. We śnie mary go trapiły, obudził się z bólem głowy strasznym, a taki zły, że ani przystępu do niego.

Co tu robić?... Ba, poczynało mu się już zachciewać byle czem ręce zająć, choćby pójść drewek narąbać, ale wstydził się, a potem słowo dał. A słowa dotrzymać musi. Sam sobie nałajawszy, siadł Mitręga na przyźbie i gryzł orzechy. Niektóre były dziurawe. Narzekał tedy znowu, jak strasznie jest nieszczęśliwy, i pluł i złorzeczył.

Już ku jesieni życie mu zbrzydło nie do wytrzymania. Przy pracy bywał zdrów i okrągły, a teraz wychudł, zżółkł, zmizerniał i ledwo się trzymał na nogach. Przyszło do tego naostatku, że dawnego życia pożałował.

— Głupim był! — powiedział sobie.

Wtem, gdy się tak męczy, patrzy, idzie ten sam, który go złotem obdarował.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków!

— A co u was słychać, poczciwy Mitręgo! Jużci szczęśliwi jesteście, gdy macie, coście chcieli?

Poskrobał się w głowę chłop. Nie śmiał się przyznać, że głupim się czuł.

— Pewnie, żem z łaski waszej szczęśliwy — rzekł, wzdychając poniewoli — a no, coś mi jest.

— Cóż ci jest? — spytał anioł.

— Ot, czasami zachciewa się coś robić, bo mnie nuda zjada.

— Przecieżeś panem i pracować nie potrzebujesz — odezwał się anioł. — Chciałeś państwa i spoczynku: masz je.

Mitrędze już tak nuda i bezsenność dokuczyła, że, nie namyślając się, do nóg dobroczyńcy padł.

Wróć mnie do dawnego stanu! — rzekł do niego. — Z mi dziś nic nie smakuje, sen nie bierze; schnę i mrę. Co mi po bogactwie, kiedy szczęścia i ono nie daje... Wolę biedować, jak przedtem.

Anioł się nad nim ulitował i, zmieniając postać, stanął przed nim jasnością okryty.

— Człowiecze! — rzekł. — Niech ci się stanie, jak pragniesz. Wiedz o tem, że na świecie całego szczęścia nigdzie niema; Pan Bóg zaś dał pracę człowiekowi, aby mu życie znośniejszem uczynić. Módl się i pracuj!

J. I. Kraszewski.

155. Myśli i przestrogi.

Gotując się do przyszłości, potrzeba wracać się myślą w przeszłość, ale o tyle tylko, o ile człowiek, gotujący się do przeskoczenia rowu, wraca się w tył, aby się tem lepiej rozpędzić.

A. Mickiewicz.

Niech każdy składa talent swój ojczyźnie, jako dar w karbonę, tajemnie, i nie mówiąc, wiele złożył. Przyjdzie czas, że się karbona napełni, a Pan Bóg zapisuje, ile każdy złożył. Ale jeśli chwalić się będziecie, iż tyle a tyle złożyliście, tedy wyśmieją was ludzie i poznają, żeście dawali talent wasz tylko dla chluby.

A. Mickiewicz.

A wasz zakon inny jest, bo wy mówicie: wszystko, co nasze jest, Ojczyzny jest; wszystko, co naszej ojczyzny jest, wolnych ludów jest.

A. Mickiewicz

A każdy z was ma w duszy swej ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych granic. O ile polepszycie i poprawicie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice.

A. Mickiewicz.

A chorobą zgubną jest melancholja i zamyślenie się zbytnie o rzeczach duszy. Dwie są bowiem melancholje: jedna jest z mocy, druga ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się.

J. Słowacki.

Podlas. Biblet. Wojewódzka
Wł. Spasowskiego
99459